

Lewis Perdue

Córka Boga

Tytuł oryginału: Daughter of God

Tłumaczenie: Cezary Murawski

Dla Katherine i Williama

Memu synowi i mojej córce, bez pomocy których książka ta zostałaby ukończona wcześniej, ale życie byłoby bez porównania bardziej puste.

Z każdym mijającym dniem nie przestaję się dziwić, jak wasza miłość poszerza granice mego serca, a w waszych oczach odkrywam niezwykle cuda tego świata, których wcześniej nie dostrzegałem.

Dla Megan

Mojej żonie, przyjaciółce i duchowej partnerce.

Jestem latawcem, ona sznurkiem, do którego jestem przywiązany.

Żadne z nas nie poszybuję w górę bez drugiego.

Nasze zejście się nie było dziełem przypadku.

Podziękowania Bogu, naszemu Stwórcy

Jego siła, jego inspiracja wymykają się wszelkim słowom.

Autor wyraża wdzięczność

Redaktor Natalii Aponte, „która pomogła mi spojrzeć na tę książkę innymi oczami, a w twórczości i w poszukiwaniach wiary umożliwiła mi dotarcie do tak oddalonych krain, których istnienia nie podejrzewałem”. Taka wszechstronna redakcja – to szczęśliwy los dla każdego autora.

Agentowi literackiemu

Nataszy Kern, „która nigdy nie traciła wiary we mnie i w moje książki. Nigdy nie miałem takiego bezlitosnego i takiego wytrwałego anioła stróża”.

Kathleen Caldwell z „Readers Books” z Sonomy, której precyzyjne oko wychwyciło wiele z tego, czego ja nie dostrzegłem. „Wielkie dzięki. Cieszę się, że książka Ci się podobała”.

Naucz nas liczyć dni nasze, Abyśmy osiągnęli mądrość serca.

Psalm 90,12 z Biblii Tysiąclecia (W antycznej grece *sophia* znaczy mądrość)

Rozdział 1

Zoe Ridgeway poczuła te woń już w chwili, gdy przekroczyła próg imponującej szwajcarskiej rezydencji. Usiłowała przekonać siebie, że to tylko sprawa wyobraźni, ale nawet dawno zaginione płótno Rembrandta, zawieszane jakby od niechcienia w holu, nie potrafiło zagłuszyć myśli, że mieszka tu śmierć.

– Herr Max z niecierpliwością czeka na panią – oficjalnie oznajmił po angielsku, choć z dziwnym akcentem, wysoki mężczyzna, kłaniając się przed nią sztywno w pasie. – Proszę iść za mną.

Mijali eleganckie, wysokie pokoje o białych ścianach obwieszonych arcydziełami. Zoe domyśliła się, że ten muskularny, szeroki w barach mężczyzna nie był wyłącznie kamerdynerem, bo kiedy pochylił się, by podnieść z podłogi jakiś papierek, przez frak odcisnęły się paski kabury na ramię. Była w końcu żoną faceta, który nosił kiedyś broń i nauczyła się niemal bezbłędnie to rozpoznawać.

Podążając za ochroniarzem, za wszelką cenę starała się ukryć podniecenie. Jako historyk sztuki i marszand przywykła do tego, że przez jej ręce przechodziły bezcenne skarby sztuki z całego świata, w końcu arcydzieła były niemal jej chlebem powszednim. A jednak, gdy rozpoznawała obrazy wielkich mistrzów, zawieszane bez ładu i składu jeden obok drugiego w salonie, przez który właśnie przechodzili, z trudem powstrzymywała się przed okazaniem podziwu. Na jednej ze ścian dostrzegła wiszące nad połączonym klawesynem płótno Tintoretta, zaginione w pierwszych latach II wojny światowej. Obok Chagall, rzekomo strawiony przez płomień podczas nazistowskiej kampanii skierowanej przeciwko sztuce dekadentckiej. Przy dźwiękach radosnej symfonii na smyczki napawała oczy widokiem kolejnych, wprawiających w osłupienie dzieł.

W pewnej chwili ochroniarz dał gestem znak, żeby zaczekała. W drugim końcu pokoju dostrzegła Willego Maxa siedzącego bezwładnie w wózku inwalidzkim stylizowanym na Bauhaus; sprawiał wrażenie raczej umarłego niż żywego.

Kamerdyner podszedł do wózka, pochylił się i coś szepnął. Willi Max usiadł prosto, ożywiony nagle niczym marionetka pobudzona do życia.

– Witam w moim domu – odezwał się ciepłym, zadziwiająco mocnym głosem.

Ochroniarz popychał wózek w kierunku Zoe. Zobaczyła starca o pomarszczonej twarzy, którego oczy emanowały zimnym, błękitnym blaskiem lodowca oświetlonego promieniami słońca. Wyciągał przed siebie rozdygotaną rękę.

– Ogromnie się cieszę, że zdołała pani przyjechać w tak krótkim czasie od mojego zaproszenia.

Zoe uścisnęła jego dłoń; była sucha, lekka i wiotka, jak gdyby życie już ją opuściło.

– To dla mnie zaszczyt – wyznała szczerze.

Twarz Maxa pozostała nieruchoma, ale w oczach pojawił się błysk aprobaty.

– Niech pani przestanie! Zostało mi niewiele czasu, a do zrobienia jest dużo.

Na jego znak ochroniarz obrócił wózek i skierował go w kierunku regału z książkami. Zoe ruszyła za nimi. Mężczyzna odsunął na bok segment regału i ukazały się ukryte drzwi. Przyklęknął przed klawiaturą systemu alarmowego, umieszczoną na wysokości wózka inwalidzkiego, i na moment zatrzymał się, jakby powtarzał zapamiętaną sekwencję cyfr. Kiedy wystukiwał kod, miękkie tony wypełniły pokój. Zoe poczuła, że jej dłonie zrobiły się wilgotne z wrażenia. Rozczapierzyła palce i, starając się, by wyglądało to na bezwiedny ruch, wytarła je o długą, szarą, plisowaną spódnicę. Rozejrzała się dookoła, a muzyka brzmiąca w jej głowie zmieniała się, kiedy przechodziła do kolejnych płócien.

Starła się zapisać w pamięci to, co zobaczyła do tej pory; na tym etapie nie mogła jeszcze sporządzać notatek. Max zdawał sobie w pełni sprawę, jakie wrażenie wywiera na ludziach jego kolekcja dzieł sztuki, dlatego wyraził życzenie, żeby obejrzała arcydzieła, zapominając na moment, kim jest z zawodu. Nie po raz pierwszy klient usiłował tak właśnie wpływać na jej oszacowania i, jak zwykle, była przygotowana na taką ewentualność. Kiedy ochroniarz wybierał cyfry na klawiaturze, a Max spoglądał w inną stronę, wsunęła dłoń za połą marynarki i upewniła się, że miniaturowy magnetofon wciąż jest włączony.

Zoe zawsze kochała sztukę, a początkowa pasja przeistoczyła się z czasem w profesję. Mimo satysfakcji, jaką dawało jej życie spędzane wśród najpiękniejszych obiektów i historycznych dzieł, nigdy jednak nie przestała marzyć o odkryciu zakopanego skarbu: wydobyciu nieznanych dotąd bezcennych dzieł sztuki, których

wartości nie dałoby się oszacować.

Tymczasem to skarb ją odkrył.

Niecałe czterdzieści osiem godzin temu Willi Max zatelefonował do niej, prosząc o wybaczenie, kiedy poinformowała go, że w Los Angeles jest akurat środek nocy, z czego zresztą najwyraźniej zdawał sobie sprawę, i bez najmniejszego śladu emocji w głosie powiedział:

– Umieram. Pozostało mi niewiele czasu; i musiałem zadzwonić, zanim się rozmyślę albo...

Nie dopowiedział tego, co było oczywiste.

Zoe nigdy nie słyszała o Willim Maksie i już miała odłożyć słuchawkę, przekonana, że ktoś stroi sobie żarty przez telefon, lecz jego nienaganna angielszczyzna z wyraźnym niemieckim akcentem oraz niebudząca wątpliwości szczerłość sprawiły, że nadal słuchała, chociaż oczy same jej się zamykały.

– Chciałbym osobiście załatwić sprawy związane z pozostawianą przeze mnie spuścizną – oznajmił Max.

Spuścizną. Nie kolekcją. Zoe przypominała sobie teraz jego słowa i w końcu zaczęła pojmować ich prawdziwy sens.

Tamtej nocy, gdy Max zaoferował jej stawkę dziesięciokrotnie większą od jej normalnego honorarium, jeśli tylko rzuci wszystko i przyleci do Zurychu, sen w jednej chwili się ulotnił.

– Doszły mnie słuchy, że jest pani najlepszym historykiem sztuki i brokerem na świecie – ciągnął Max. – I uczciwym... Uczciwym. Pragnę, by moją kolekcję potraktowano w sposób uczciwy... w aspekcie moralnym.

Na dłuższą chwilę zaległa cisza. Zoe zastanawiała się nawet, czy mężczyzna jeszcze tam jest, ale wtedy usłyszała w słuchawce spazmy kaszlu.

– Czytałem wszystkie pani opublikowane prace – odezwał się znowu – nawet książki...

Znów przerwał mu kaszel, tym razem na krótko.

– I wszelkie artykuły poświęcone pani osobie... jestem przekonany, że rozumie pani. Zrozumienie jest bowiem nie zbędne.

I jak gdyby wyczuwając wciąż jeszcze tłącą się w niej niechęć, Max przeciągnął

ją ostatecznie na swoją stronę informacją, że gotów jest zapłacić także znaczącą sumę jej mężowi za konsultację, z uwagi na fakt, iż w jego kolekcji znajdowały się również eksponaty wymagające ekspertyzy badacza biegłego w tematyce religijnych manuskryptów oraz relikwiarzy. Ta dziedzina nie była jej mocną stroną, o czym Max wyraźnie wiedział, dlatego Zoe często pracowała razem z mężem, Sethem Ridgewayem, profesorem filozofii i religioznawstwa na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Seth specjalizował się w okresie szczególnie intensywnego rozwoju religii, czyli w latach od 500 roku p.n.e. do 700 roku n.e.

Jej zadumę przerwał długi, niski dźwięk wyłączanego systemu alarmowego. Zoe obserwowała, jak ochroniarz otwiera drzwi. Max wydawał się niezwykle ożywiony, z wielkim wysiłkiem niemal wyprostował się na wózku.

– Damy przodem, moja droga – odezwał się szarmancko.

Zoe spojrzała na ochroniarza, który zaprosił ją do środka lekkim ukłonem i skinieniem głowy.

Pomieszczenie było bardzo wysokie, jakieś dwanaście metrów. Ściany pomalowano na kolor złamanej bieli, co miało ułatwić skupienie uwagi na znajdujących się tu eksponatach. Każde z widzianych przez nią pomieszczeń w rezydencji przypominało połączenie galerii muzealnej i magazynu – znajdowało się w nich tyle dzieł sztuki, że nie można było skoncentrować się na nich w pełni. Kiedy zaczęła przyglądać się z bliska dziełom zgromadzonym w tej sali, poczuła, jak jej ciało przebiegają elektryzujące dreszcze. Miała oto przed sobą legendarne płótno Vermeera, które opisywał w swoich listach, ale którego nikt nigdy nie widział.

I znów usłyszała muzykę, niebiańskie wprost brzmienie instrumentów smyczkowych, wobec których zniknęły ostatnie przebłyски akademickiego obiektywizmu. Jej dusza otworzyła się na piękno sztuki i piękno muzyki rodzącej się gdzieś w jej wnętrzu.

Podeszła do płótna i pozwoliła, by przemówiły do niej niepowtarzalne światłocienie. Niewiarygodna głębia i perspektywa zapraszały do wkroczenia w głąb sceny. Oderwała wzrok od Vermeera i spojrzała na gablotę, w której leżał kodeks Leonarda; jeśli pamięć jej nie myliła, nie było go wśród dokumentów dotąd opisanych czy znanych. Obróciła się powoli, a jej wzrok kierował się na kolejne obiekty: nieznane

dzieło van Gogha, obraz Picassa uznany za zniszczony oraz egzemplarz Tory ze Świątyni Króla Salomona.

Zoe obeszła dookoła ogromną salę przekonana, że śni na jawie. Bibliofilskie białe kruki wypełniały regały z książkami; bezcenne manuskrypty i zwoje z czasów starożytnych z trudem mieściły się w szklanej gablocie. Teksty religijne odnalezione w grotach i ruinach przez grasujących pod osłoną nocy Beduinów, którzy odsprzedawali je potem na czarnym rynku, i to setki lat przed odkryciem zwoi znad Morza Martwego.

Każdy z tych eksponatów mógłby stanowić największą atrakcję niejednego muzeum. A wszystkie razem? Poczula zawrót głowy.

Stała przed Maxem. W jego twarzy dostrzegła zadowolenie wynikające z podziwu, jaki zgromadzone przez niego dzieła sztuki wzbudziły w znawczyni słynącej w świecie z tego, że niełatwo ją czymś zadziwić.

– Nie bardzo wiem, co powiedzieć. – Zoe szukała odpowiednich słów. Czula, że pieką ją policzki i za wszelką cenę starała się odzyskać panowanie nad sobą.

– Jestem przekonany, że słowa najczęściej nie oddają uczuć – skomentował Max.

Spoglądał do góry i wyraźnie nie był w stanie opanować drżenia głowy. Chcąc mu ulżyć, Zoe Ridgeway usiadła na stojącej w pobliżu sofie w stylu Mięsa van der Rohe; wciąż nie mogła przywyknąć do bogactwa zebranych tu skarbów.

Max skinieniem głowy oddalił ochroniarza, który wychodząc, zamknął za sobą drzwi zabezpieczone szyfrem.

– Rozumie już chyba pani, że nie jest to kolekcja, lecz dziedzictwo. – Max wyrzucał z siebie słowa krótkimi partiami, w przerwach między nieregularnymi oddechami. – Pragnę, żeby to pani dopomogła mi odpokutować za nie.

Zoe spojrzała pytająco.

Max zamknął oczy na dłuższą chwilę, potem kontynuował.

– Przed ponad pół wiekiem służyłem jako żołnierz w armii Trzeciej Rzeszy, w Wehrmachcie. Byłem jednym z tysięcy zmuszonych do służby w austriackich górach, na południe od Monachium, w regionie słynącym z licznych kopalni soli.

Hitler splądrował wielkie europejskie galerie sztuki i w kopalniach właśnie ukrył zrabowane dzieła. Byłem świadkiem wielu budzących grozę zdarzeń, a szczególnie jedno z nich stało się dla mnie sekretem trudnym do zniesienia.

Atak kaszlu znów szarpnął słabowitym ciałem starego człowieka i natychmiast pojawił się ochroniarz. Max wziął głęboki oddech i machnięciem ręki kazał mu się oddalić.

– Kiedy dotarli tam alianci, ja i wielu moich towarzyszy uciekliśmy, zabierając ze sobą tyle dzieł, złotych monet, manuskryptów i relikwiarzy, ile tylko byliśmy w stanie unieść. Ruszyłem w stronę Zurychu i dzięki pomocy wielu ludzi, którzy dotarli tam przede mną, rozpocząłem nowe życie. Odsprzedałem część przywiezionych dzieł sztuki, ale uzyskane w ten sposób pieniądze, przeznaczyłem na odkupienie kolejnych dzieł i wartościowych eksponatów od tych, którzy przybyli tu po mnie.

– Były to ciężkie czasy – kontynuował opowieść Max. – Rynek był zalany towarami, gotówki jak na lekarstwo, najważniejsze było przetrwać. Zbiory, które widzi pani przed sobą, zostały kupione za śmiesznie małe pieniądze dla kogoś takiego jak ja, kto na dodatek był przygotowany na wykorzystanie każdej nadarzającej się sposobności. Zachowywałem, co mogłem, i pozbywałem się tego, co trzeba, żeby zdobyć środki na przetrwanie... oraz na zdobywanie dalszych dzieł.

Max rozejrzał się po galerii, a w jego oczach pojawiły się łzy.

– Widzi pani, musiałem tak robić. Zakochałem się w sztuce. To sztuka zawsze mnie posiadała, nigdy na odwrót.

Zoe przytaknęła, czuła, jak jakaś niepowstrzymana siła ciągnie ją ku wspaniałościom zebranych w tej sali. Kolejny raz głęboki kaszel szarpnął torsem starca.

– To grzech, i jestem tego świadom, że wszystko to od tak dawna znajduje się w moim posiadaniu i bardzo pragnę, że by pomogła mi pani odpokutować.

Zoe spojrzała zdumiona.

– Większość tych dzieł sztuki pochodzi z grabieży. Chcę, że by zwróciła je pani prawowitym właścicielom lub ich potomkom. Zrobiłem już stosowny przelew na konto w Zurychu...

Przez chwilę szukał czegoś pod kocem narzuconym na nogi, wreszcie wyciągnął kopertę i podał Zoe. Wpatrywała się w nią z rezerwą.

– Konto jest na nazwisko pani oraz pani męża; każde z was może z niego korzystać. Na koncie znajduje się kwota kilkakrotnie wyższa, niż wyniosłaby

zwyczajowa prowizja od sprzedaży zebranych tu dzieł sztuki.

Znów zakręciło jej się w głowie. Musiała to być kwota rzędu dziesiątków milionów dolarów.

– Jeśli nie zdoła pani odnaleźć prawowitych właścicieli, wtedy moim życzeniem jest, żeby osobiście podjęła pani decyzję, do którego państwowego muzeum powinny trafić te dzieła sztuki jako darowizna. W moim testamencie przewidziałem też odrębną prowizję, która pokryje wszelkie koszty związane z tym przedsięwzięciem.

Zoe otworzyła usta, ale nie zdołała wydusić nawet jednego słowa.

Max pokręcił przecząco głową.

– Nie – oświadczył. – Niech pani przemyśli propozycję. Proszę się z nią przespać, porozmawiać z mężem. Muszę bowiem dodać, że ze zleceniem wiąże się jeszcze trudniejszy do udźwignięcia balast odpowiedzialności, który chciałbym złożyć na wasze barki; większy, ważniejszy i trudniejszy do podołania niż to, co wiąże się ze wszystkimi zebranymi tu dziełami sztuki. Chodzi o pewien sekret z czasów starożytnych, o religijną prawdę, o wiedzę, która może zmienić całkowicie bieg ludzkich spraw.

– Słucham...?

– Na stole obok pani...

Zoe spojrzała we wskazanym kierunku i dopiero teraz spostrzegła skórzaną aktówkę.

– Proszę to wziąć i przekazać mężowi. Z tego co wiem, dobrze zna starożytny język grecki.

Zoe przytaknęła w osłupieniu.

– Z pewnością będzie chciał to przeczytać jak najszybciej.

Ostry spazm kaszlu znów przerwał słowa Maxa.

– Wyślę również pani pocztą kurierską dodatkowe materiały, które muszę wydobyc z lepiej strzeżonego miejsca.

Lepiej strzeżonego niż ta rezydencja? Cóż na Boga mogło być cenniejsze od zebranych tu skarbów?

Max spojrzał na nią.

– Właśnie teraz, w tym momencie, postanowiłem, że wyślę pani ten materiał.

– Dlaczego?

– Ponieważ dostrzegam w pani oczach prawdę – odparł. – Kiedy dotrze do pani, proszę to zweryfikować. Niech pani porozmawia z mężem. Podejmując decyzję, oboje musicie być szczerzy. Proszę przyjechać do mnie jutro i przedstawić decyzję; potem będziemy mogli rozpocząć pracę.

Rozdział 2

Seth Ridgeway siedział w hotelowym pokoju, pochylony nad manuskrypcem rozłożonym na małym stoliku. Ostatnie złociste promienie słońca omywały go ciepłymi kolorami niczym na obrazie Gauguina. Gdy skończył, spojrzął na Zoe.

– Gdzież więc jest reszta tego? – zapytał niecierpliwie, znów pochylił się i ostrożnie dołożył do pliku kartek ostatnią stronę.

Seth miał na sobie strój sportowy – buty do biegania, krótkie spodenki oraz wyblakłą granatową koszulkę, pozostałość po pracy w policji. Wrócił właśnie z joggingu i dlatego na koszulce widać było plamy potu.

Zoe wyciągnęła z ucha słuchawkę kieszonkowego dyktafonu, odłożyła pióro, którym spisywała notatki z taśmy, i spojrzała na męża.

– Powiedział, że resztę dośle nam jutro.

Na widok malującego się na jego twarzy rozczarowania, poczuła tkliwość. Seth przypominał bardziej pięciolatka zmartwionego popsutą zabawką, niż czterdziestoletniego byłego policjanta, z licznymi bliznami po ranach postrzałowych oraz z doktoratem z filozofii. W oczach świata uchodził za twardziela, dla zbirów i gliniarzy był legendą, człowiekiem, który nie bał się kul i zawsze doprowadzał do aresztowania oprychów. Dodatkowo lęk przed nim budził fakt (przynajmniej na wydziale wychowania fizycznego Uniwersytetu Kalifornijskiego w LA, który kiedyś nieopatrznie przyjął na listę studentów pewnego gwiazdora koszykówki), że stawiał najsurowsze oceny na całym wydziale. Zoe jednak wiedziała, że pod tą twardą skorupą kryje się chłopiec o szeroko otwartych oczach, niezaspokojonej ciekawości i miękkim sercu zdolnym do intensywnej miłości i głębokiej wiary. Dzięki miłości jej życie zamieniło się w wartki potok dni, z których każdy następny dawał jej więcej radości niż poprzedni.

Jednego tylko Zoe nie potrafiła zrozumieć – wiary Setha. Wykładał religię, znał wszystkie kłamstwa oraz oszustwa, na jakich bazował każdy system religijny, a mimo to wierzył. Tam, gdzie on jakimś cudem dostrzegał powód do trwania w wierze, ona widziała jedynie szalbierstwo. Nie wierzyła, nie mogła wierzyć w Boga. A Seth wierzył. Tajemnicy tej w żaden sposób nie rozjaśniły lata spędzone razem.

– Jut...? – nie dokończył, patrząc na nią rozczarowany.

Zoe przytaknęła. Podeszła do niego. Silny zapach potu niemal już zanikł, ale intensywna woń męskości wyzwoliła w niej serię zmysłowych wspomnień. Pamiętała smak soli zlizywanej z jego ciała, wyraźne linie twardych, obnażonych mięśni. Zaprażyła zrzucić kwiecistą sukienkę na ramiączkach, pod którą miała tylko dół od bikini, ale opanowała się.

– Max jest wyjątkowo dziwnym człowiekiem, ale bardzo szczerym; przynajmniej takie odniosłam wrażenie. Oznajmił, że jeśli uzna, iż naprawdę rozumiemy treść tego, co masz przed sobą, wtedy dostaniesz resztę.

– Dostanę? Po prostu dostanę... nie kupię, przeczytam czy pożyczę, tylko dostanę?

Zoe ponownie przytaknęła.

– Stwierdził, że zgromadzone zbiory przestały mieć dla niego znaczenie. Pragnie odkupić swoje winy.

Seth skinął głową.

– Z pewnością jest to szlachetny zamiar, nawet jeśli motywem jest śmierć, jaką dostrzega, patrząc w lustro.

Zoe zerknęła na zegarek.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Chodzi o Maxa – wyjaśniła, marszcząc brwi. – Powiedział, że coś jeszcze prześle tu kurierem. Przesyłka powinna już dotrzeć.

– Coś?

– Mówiłam ci, że to dziwak.

Wzruszyła ramionami. Usiadła obok męża, spojrzała na kartki manuskryptu, później na Seta i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– No i co to za tekst, profesorze?

– Przede wszystkim jest w nim mowa o męczeństwie...

– Kolejna opowieść o wymyślnych torturach? Okaleczanie męczenników dla zabawy i zysku.

Seth znów kiwnął głową potakująco.

– Pierwsza część, czyli to – stuknął palcem wskazującym w plik kartek – ma charakter narracyjny. Druga część, w której posiadaniu jeszcze nie jesteśmy, ma być

podobno wierną relacją, zapisem procesu.

– Kiedy pomyślę o tym, ile papierzysek w swoich archiwach zgromadzili Rzymianie, ogarnia mnie zdumienie.

– Można powiedzieć, że to oni wynaleźli biurokratyczną papierkową robotę – zgodził się Seth.

– Cóż więc jest wyjątkowego w tym przypadku? – chciała zaspokoić ciekawość Zoe. – Sądziłam, że zazwyczaj opisy męki bywały upiększane przez dobrych ojców Kościoła, i to bez najmniejszego związku z historyczną prawdą. No wiesz, skuteczna propaganda tworzona z myślą o wyznawcach.

Zwykle tak bywało. Po pierwsze, należy zdać sobie sprawę z faktu, jeśli naturalnie dokument jest autentyczny, że odnaleziono jeszcze jedno z zagubionych pism Euzebiusza z Cezarei, biografy cesarza Konstantyna Wielkiego. Jest to opowieść o młodej kobiecie, imieniem Zofia, która, tak wynika z dokumentu, żyła w malutkiej, odległej górskiej osadzie w pobliżu anatolijskiego miasta Smyrna. Dzisiaj miasto to nazywa się Izmir i leży w Turcji, ale w tamtym czasie leżało na obszarze, gdzie żywiłowo rozwijały się pierwsze formy chrześcijańskiego Kościoła. Miejsca położonego niedaleko miast lepiej znanych z Nowego Testamentu takich jak Efez czy Philadelphia...

– Wiem o tym, kochanie – odezwała się ciepłym głosem. – Nie jestem już twoją studentką.

– Przepraszam.

Posłał jej jeden z tych szybkich uśmiezków, jakie podbiły jej serce, kiedy po raz pierwszy go zobaczyła. Uśmiezek, który wyzwolił w niej pokusę, pożądanie i miłość, a to z kolei poprowadziło ją przebytym szlakiem od studentki, przez kochankę, po żonę.

– Dobrze. W każdym razie niewielka wioska w pobliżu Smyrny była osadą o charakterze pasterskim, miejscem postoju nomadów. Z tego, co mogę stwierdzić na podstawie lektury, prawdopodobnie nigdy nie liczyła więcej niż dwustu, co najwyżej trzystu mieszkańców. Wymiana handlowa ze światem zewnętrznym była raczej ograniczona – nie wzniesiono tam też żadnej świątyni, kościoła, synagogi czy pogańskiego ołtarza. Po prostu niczego. Co samo w sobie już wydaje się dziwne, gdyż w czasach, w których dokument powstał – rok 325 naszej ery, zaledwie kilka miesięcy po

Soborze Nicejskim I – religia wszędzie była tematem bardzo gorącym. Ludzie rozmawiali o sprawach religii z takim samym zapałem, jak dzisiaj dyskutują o osiągnięciach sportowców czy o skandalach w Waszyngtonie. W tamtym okresie chrześcijaństwo rozdzieliło się na liczne odłamy i sekty; każda z nich wysyłała w świat misjonarzy, którzy mieli pozyskiwać współwyznawców. Była to bezkompromisowa walka o uznanie za Jedyny Prawdziwy Kościół.

– Och, rzeczywiście zaczęli wcześniej – zmarszczyła brwi Zoe. – Wyznawaj prawdziwego boga miłości i dobroci albo rozerwiemy twoje dzieci na strzepy.

Prychnęła z pogardą i usadowiła się w drugim końcu sofy, obracając twarz ku niemu. Seth wzruszył ramionami i uśmiechnął się nieśmiało.

– Mamy więc małą dziewczynkę, która dorasta wśród pasących się owiec, nie znając religii i jakiegokolwiek tradycji. A potem nagle, w kilka dni po pierwszej miesiączce, zaczyna doznawać wizji i słyszeć, jak przemawia do niej Bóg.

– Co w zupełności wystarczy, żeby zmarła śmiercią męczeńską – skomentowała Zoe.

Tym razem Seth zmarszczył brwi.

– Jeśli będziesz mi przerywać, nie powiem ani słowa więcej. – Chciał jeszcze coś dodać, ale rozmyślił się.

Zoe popatrzyła badawczo na męża, w jego przenikliwe oczy. Wyraz jej twarzy złagodniał, lecz słowa nadal były twarde jak stal.

– Seth, wiesz dobrze, że nie jestem taka jak ty, przynajmniej jeśli chodzi o charakter. I wiesz równie dobrze jak ja, że zorganizowane systemy religijne nie zawierają w sobie pierwiastka duchowego. Religia zabija i dzieli ludzi. Przemawia językiem kłamstwa i szalbierstwa, dopuszcza się kradzieży i poświęca wiele czasu na zakamuflowanie popełnionych przestępstw. Po prostu rozejrzyj się dookoła. Żydzi i Arabowie, ortodoksyjni rabini, którzy stawiają samych siebie w roli hebrajskich ajatollahów, obkładając ekskomuniką innych Żydów. Muzułmanie sunniti, mordujący szytów, katolicy i protestanci zabijający się nawzajem. Wszyscy oni są rasistami i seksistami niczym ciężarówka pełna członków Ku-Klux-Klanu. Jeśli Bóg istnieje i jeśli wygląda jak bohater z komiksów stworzonych przez tych facetów, to znajdujemy się w gorszych opalach, niż ktokolwiek jest w stanie sobie wyobrazić.

– Tak, cóż... – mrucał pod nosem Seth. – To bardzo stare dzieje... historia.
Wstał, podszedł do barku i wyciągnął korek z butelki Chateau La Gaffeliere.
Zoe postanowiła jednak nie porzucać tematu.

– Naprawdę bardzo kocham ten pieprzony psalm o sielance nad brzegami rzek Babilonu, który Jonie Mitchell przemieniła w słodką balladę. Wstała z sofy i zaczęła chodzić po pokoju. – Tylko nikt nie pamięta, że na samym końcu tego samego psalmu są słowa: „Szczęśliwy, kto schwyci i rozbije o skałę twoje dzieci”*[Psalm 137, cyt. za Biblią Tysiąclecia, przyp. tł.]. To było bestialstwo. Wręcz ludobójstwo. Gdybym wierzyła w Boga, z pewnością nie oddawałabym czci takiemu, który każe mi mordować dzieci.

Seth spokojnie nalał wino do dwóch kieliszków, potem podszedł do Zoe i podał jej jeden. Gdy tylko spojrzała w jego szczerze i głęboko zatroskane oczy, uspokoiła się.

– Tak mi przykro – wyznała, biorąc do ręki kieliszek. – Dałam się ponieść emocjom. Nagłówki gazet były ostatnio tak wstrząsające... wszyscy ci zadowoleni z siebie, przekonani o własnej nieomyślności ludzie...

Pozwoliła, by ostatnia myśl zawisała w powietrzu. Oboje zrozumieli ją właściwie.

– Pokój – rzekł. – Przynajmniej między nami. Uśmiechnęła się i uniosła kieliszek do góry.

– Za ciebie.

– I za ciebie – odwzajemnił toast Seth i stuknął swoim kieliszkiem w jej.

Wypili po łyku wina i stali w milczeniu dłuższą chwilę.

– Chcesz wrócić do manuskryptu? – zapytał w końcu.

– Oczywiście – potwierdziła Zoe. – Naprawdę mi przykro.

Wszystkie te emocje sprawiają, że łatwo tracę nad sobą panowanie.

Usiedli na sofie i Seth zaczął przerzucać wzrokiem stronicę rękopisu.

– Pewnego dnia w tej osadzie pozbawionej jakiegokolwiek świątyni – podjął wątek – Zofia wstąpiła na wóz zaprzężony w woły, ustawiony w centrum wioski i zaczęła prawić kazanie.

Później nastąpiły cuda, cudowne uzdrowienia...

Czekał na jej reakcję. Spojrzała pobłaźliwie, lecz nie odezwała się nawet słowem.

– Zofia zabrała się za wypędzanie demonów, a pewnego razu, kiedy mieszkańcom osady skończyły się zapasy oliwy do kaganków...

Odstawił kieliszek z winem na stolik, podniósł palec wskazujący, pochylił się nad manuskryptem i zaczął go skrupulatnie wertować strona po stronie.

Zoe położyła dłoń na jego udzie, wyczuwając pod palcami twarde mięśnie pozbawione grama tłuszczu. Przyglądała się bacznie mimice jego twarzy, gdy on tymczasem nie odrywał wzroku od rękopisu.

– O tu – powiedział, wyciągając kartkę i tłumacząc grecki tekst. – „Po czym zebrany tłum wpadł w trwogę, Zofia nakazała tedy tym, którzy lamp strzegli, by zaczerpnęli wody i przynieśli jej. Uczyniono tak bezzwłocznie, ona zaś wzniosła modły nad wodą i pełna głębokiej wiary w Pana, nakazała im nalać wodę do lamp. Kiedy zaś to uczynili, wbrew oczekiwaniom wszystkich, w sposób cudowny i z boskiej mocy, natura wody przemieniła się w naturę oliwy”.

– Z tekstu wynika, że ludzie nazywali ją „Zaddikiem”, czyli „Sprawiedliwym” albo „Nauczycielem Sprawiedliwości”.

Seth wskazał na stronicę.

– O, widzisz? Obok jej imienia jest kółko... i tutaj. – Wskazał inne miejsce. – Słowo to oznacza zaimek osobowy „ona”.

Zoe przytaknęła.

– I?

– I pamiętasz, jak ci powiedziałem, że ten manuskrypt jest jedynie wstępnym konspektem, nie końcowym traktatem? Jest to ta sama historia, jaką czytałem wcześniej w dziełach Euzebiusza z Cezarei. Jednak w wersji finalnej jest to relacja o dziejach męczennika Narcyza – zaimek osobowy przyjmuje w niej postać „on”. Ten rękopis prezentuje chyba faktyczny stan rzeczy, został jednak przeredagowany w celu zmiany płci opisywanej postaci.

– I tu mamy wielką niespodziankę – skomentowała Zoe. Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu, wreszcie Seth wrócił do przerwanej opowieści.

– Tak. Cóż, nie upłynęło dużo czasu od chwili, gdy zaczęła czynić cuda, by wieści o niej rozeszły się szeroko. Euzebiusz, który stał się biskupem krystalizującego się wówczas i uznanego ostatecznie przez cesarza Konstantyna Kościoła chrześcijańskiego,

złożył wizytę w osadzie cudotwórczym. Droga z Konstantynopola czy też z pałacu w mieście Nicomedia nie była zbyt odległa. Zakładam, że stało się to na owe czasy ważkim wydarzeniem, któremu z uwagą przyglądał się sam cesarz.

– Dlaczego?

Wypiła łyk wina. W wyobraźni przywołała obraz bizantyńskiej sztuki i architektury, którą Seth zapełniał postaciami z tamtej epoki.

– Konstantyn miał bzika na punkcie jedności. Przyszedł na świat, kiedy cesarstwem rzymskim władało czterech zwalczających się nawzajem cesarów. Większość panowania spędził, tocząc wojny i zbrojne kampanie, których celem było ponownie zjednoczenie imperium – uznał, że tylko w ten sposób zdołają przetrwać napór barbarzyńców, którzy stukali do wszystkich drzwi, oraz pokonać wewnętrznych przeciwników. Kiedy w końcu został jedynym i niekwestionowanym cesarzem, był zdeterminowany rządzić zjednoczonym państwem bez względu na to, kogo musiałby po drodze usunąć.

– Ale Konstantyn uchodzi przecież za pierwszego chrześcijańskiego cesarza – zdziwiła się Zoe.

– Stał się nim dopiero na łożu śmierci – sprostował Seth. – Sol Invictus, Bóg Słońca, to jemu oddawał boski hołd aż do ostatnich godzin życia. Wcześniej wykorzystywał chrześcijaństwo do taktycznych rozgrywek, było ono dla niego sposobem na sprawowanie rządów, a nie religią.

– Niezbyt to oryginalne.

Nie, ale moim zdaniem stał się pierwszym prawdziwym mistrzem w nadawaniu systemowi religijnemu formy, która sprzyja konsolidowaniu władzy państwowej. Zrozumiał, że nowej religii nie da się wyplenić, dostrzegł też to, że w ciągu trzech stuleci chrześcijaństwo wywierało destabilizujący wpływ na władanie cesarstwem. Wiedział, że jest to ruch religijny nieustannie rosnący w siłę, zamiast więc z nim walczyć, zaczął go wykorzystywać. Sprawował kontrolę na Kościele dla własnych celów i tak wpływał na teologię, żeby przynosiła doraźne korzyści polityczne. Wiele prawd i dogmatów, które dzisiaj uważa się za podyktowane przez Boga, było efektem politycznych edyktów wprowadzonych w życie siłą miecza.

– Na przykład?

Seth zastanawiał się przez moment. – Pociągnął łyk wina i obrócił się do okna, spoglądając na zachód słońca. W końcu ponownie spojrzął na Zoe.

– Dajmy na to tak fundamentalna dla Kościoła chrześcijańskiego kwestia jak Trójca Przenajświętsza.

Zoe zmarszczyła brwi.

– We wczesnym Kościele chrześcijańskim nie było zgody co do tego, czy Jezus ma być wielbiony w takim samym stopniu jak Bóg. I rzeczywiście, można znaleźć wiele dowodów na to, że Jezusa traktowano bez porównania gorzej. Lecz mniej więcej w 324 roku naszej ery kwestia ta stała się niezwykle istotna. Biskup Ariusz, prezbiter Aleksandrii, głosił w swoich kazaniach, że Jezus Syn został stworzony, spłodzony przez Boga Ojca i z tego powodu jego boski status jest niższy. Inni hierarchowie sprzeciwili się takiemu stawianiu sprawy, doszło nawet do ulicznych rozruchów i zamieszek, wywołanych tym teologicznym sporem oraz być może jeszcze tuzinem innych sporów o dogmaty. Nowa doktryna rozprzestrzeniała się z szybkością błyskawicy, wywołując w cesarstwie coraz to nowe bunty i rozlew krwi.

Uliczne rozruchy i zamieszki nie były ulubionymi rozrywkami cesarza. Całe to zamieszanie wprowadziło go w zakłopotanie. Spór nazwał kwestią „w zasadzie nieistotną” i był bardzo zaskoczony, kiedy skłócone strony zignorowały jego wezwanie do zaprzestania waśni. Wtedy właśnie zwołano Sobór Nicejski I. Współcześni teologowie utrzymują, że obradom kościelnych mędrców przyświecał Duch Święty, a poczynione wtedy postanowienia zostały natchnione mądrością Bożą. W rzeczywistości jednak to Konstantyn zwołał hierarchów i kazał im obradować w drewnianej szopie. No i dysponował wsparciem armii zbrojnej w miecze.

Zapadający zmrok usuwał stopniowo ze świadomości Zoe teraźniejszość, a przedstawiony przez Seta obraz rysował się w jej wyobraźni w coraz jaskrawszych konturach.

Pierwsza przerwała ciszę.

– O ile sobie przypominam, nie był to pierwszy raz, kiedy dogmaty definiowano, mając przystawiony do gardła miecz.

– I nie ostatni – uśmiechnął się Seth. – Kiedy więc podczas obrad biskupi znów zaczęli się spierać się i kłócić, Konstantyn miał już tego po dziurki w nosie. Wciąż

jeszcze pozostawał poganinem i nie przyjął chrztu, ale mimo to wyszedł przed zgromadzonych i oznajmił, iż Jezus oraz Bóg byli „jednej natury” a Syn Boży był „równie boski co Bóg Ojciec”. Dodał jeszcze, że ten, kto nie podpisze deklaracji, iż takie było Słowo i Wola Boga, nie opuści soboru... chyba że martwy. Nic więc dziwnego, że dokumenty podpisali wszyscy dostojnicy kościelni, za wyjątkiem dwóch, których obłożono ekskomuniką, zaś ich pisma rozkazano spalić. – Przerwał na chwilę. – Prawda jest więc taka, że dogmat o Trójcy Przenajświętszej, niekwestionowany fundament chrześcijańskiej wiary, zatwierdzony został pod groźbą użycia mieczy, z polecenia faceta, który nawet nie był jeszcze wtedy wyznawcą tej religii. Wprowadzenie dogmatu nie miało związku z teologią, lecz wyłącznie z chęcią przywrócenia społecznego spokoju.

Zoe uśmiechnęła się cierpko i powoli, z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Zatem Sobór Nicejski I był dla Konstantyna okazją do wysłuchania racji wszystkich stron i jednocześnie wymuszenia na nich własnej wersji, służącej określonym celom.

– Dokładnie.

– Hmm – mruknęła.

Wstała, podeszła do okna i spojrzała w dół na światła okalające jezioro.

– Czy pewne stare porzekadło nie mówi o tym, że dwóch rzeczy nie należy robić na oczach innych: kielbasy oraz prawa? – Obróciła się, by spojrzeć mu w twarz. – Moim zdaniem należałoby dodać do tego trzecią pozycję. Teologię.

– To rzeczywiście niezbyt urocze – zgodził się Seth, po czym wstał i podszedł do niej.

Oboje spoglądali na jezioro.

– Czasami sam się zastanawiam – westchnął Seth – ale do chodzę do przekonania, że pod powłoką teologicznych kłamstw i kościelnej biurokracji wciąż pozostaje kilka okruchów prawdy, w które warto wierzyć.

– Ale jaki jest pożytek z tych okruchów, jeśli całość pozostaje tajemnicą?

– Być może sednem jest właśnie ta tajemnica – odparł, wzruszając ramionami. – Być może tajemnica musi pozostać, ponieważ spoglądamy na to, co jest nieskończone, oczami, których zdolność percepcji jest ograniczona. Być może tym, czego Bóg naprawdę pragnie, nie jest ślepa akceptacja dogmatu, lecz poszukiwanie, które trwa całe

życie... odrzucanie tego, co jest oczywistym fałszem, i poddawanie próbom reszty. Z tego właśnie powodu manuskrypt, który otrzymałaś od Maxa, jest tak bardzo ważny. Jeszcze raz ukazuje, w jaki sposób zmanipulowano prawdę, żeby dodać boski autorytet zamiarom tych ludzi. W tym przypadku chodziło o zatuszowanie faktu, że istotną rolę w historii Kościoła mogła odegrać kobieta. Dlatego przerobili Zofię na mężczyznę.

– No nie – przerwała Zoe.

Przez chwilę marszczyła czoło, potem upiła łyk wina i na jej twarz powrócił wyraz opanowania. Seth obserwował, jak jej oczy zmieniały się, odzwierciedlając myśli. Kiedy odezwała się, nie ulegało wątpliwości, że jej umysł przeszedł na zdecydowanie inne pozycje.

– A relacja z procesu?

– Tak?

– Jeśli rzeczywiście istnieje wierny zapis, nie zaś kompilacja, czy co tam Euzebiusz umieścił w rękopisie, to dokument ten stanowiłby jednocześnie potwierdzenie, że opowieść o Zofii jest prawdziwa. Że dokonywała cudów.

– Zdolność uzdrawiania ma naprawdę wielu ludzi.

– Ale czyż relacja z procesu nie będzie stanowić swego rodzaju dowodu? W końcu nie ulega wątpliwości, że wszelka władza była nastawiona do niej wrogo. Ale jeśli ta władza potwierdziła czynione przez nią cuda i przypadki uzdrowień, byłby to dokument o stopniu wiarygodności wyższym niż źródła pisane, stworzone przez jej wyznawców.

– To całkiem logiczne. Nie da się również wykluczyć, że kilku sprytnych chrześcijańskich rewizjonistów mogło stworzyć te manuskrypty i przypisać ich powstanie urzędnikom sądowym, pragnąc, by właśnie jako takie je postrzegano. Mimo wszystko jest to z pewnością najważniejsza sprawa, na jaką natrafiłem w całej akademickiej karierze – oznajmił z przejęciem. – I dlatego niemal konam z niecierpliwości, dysponując jedynie połową tej opowieści.

Zoe przytaknęła.

– Rozumiem, jak się czujesz. Tamten dom... dzieła sztuki... – jej słowa przez moment zagubiły się w ciemnościach.

– Wydaje mi się, że wszystko, co do tej pory robiłem, co kiedykolwiek

studiowałem, było przygotowaniem do tej chwili – wyznał.

Zoe wymamrotała coś, co miało oznaczać aprobatę.

– Jestem zdania, że Bóg czasami wtrąca się i wystawia nas na próbę – kontynuował Seth. – My zaś powinniśmy zastanowić się przez moment, by ocenić, jaka intencja kieruje boskimi poczynaniami. O coś takiego modliłem się przez całe dorosłe życie.

– Seth, przestań – zganiła go Zoe. – Jestem tym przytłoczona w takim samym stopniu jak ty. Również dla mnie jest to najważniejsze wydarzenie w życiu. Ale z pewnością nie jest to boska interwencja. Zasłużyłeś na to; poza tym we właściwym czasie znalazłeś się we właściwym miejscu.

Seth odwrócił się od niej i skrzyżował ręce na piersiach. Zoe ciężko westchnęła. Stali tak w ciemnościach przez kilka minut.

Patrzemy na tę samą scenę, pomyślała Zoe, spoglądając na światła aut jadących ulicami, które ciągnęły się wzdłuż brzegów jeziora, ale jak to się dzieje, że dochodzimy do całkowicie sprzecznych wniosków?

– Seth – odezwała się w końcu. – Po prostu postrzegamy sprawy... inaczej.

Seth obrócił się powoli w jej stronę. Przez chwilę wpatrywał się w niknące w ciemności kontury twarzy, potem się uśmiechnął.

– To nieprawda.

Pochylił się ku niej, chcąc przytulić, ona zaś głośno wciągnęła powietrze w nozdrza.

– Może zechciałbyś łaskawie wziąć prysznic, żebym na prawdę mogła być blisko ciebie?

Przesunęła dłonie po muskularnych ramionach męża, potem zjechała nimi na podbrzusze, łaskocząc go delikatnie opuszkami palców.

– To chyba całkiem rozsądny pomysł – stwierdził Seth. Odwrócił się i objął ją.

Zoe lekko go odepchnęła.

– Najpierw prysznic – odparła, potem cmoknęła go w policzek.

– Och, cholera – stęknął, udając rozczarowanie, kiedy obracała go w kierunku łazienki. – Ale później oczekuję bardziej namiętnych całusów niż to.

– Możesz na to liczyć! – obiecała, potem włączyła lampę przy oknie. Podeszła do

biurka, wybrała kilka dokumentów i włożyła je do grubej, wyłożonej folią pęcherzykową koperty. – Wrzucę tylko te dokumenty do skrytki depozytowej w hotelowym sejfie i sprawdzę, czy nie nadeszła przesyłka od Maxa.

Potem rzuciła w jego kierunku pełne pożądaniami spojrzenie.

– Niech pan będzie wtedy gotowy, proszę pana.

Seth wszedł do łazienki i puścił gorącą wodę. Usłyszał trzask zamykanych drzwi i wszedł pod natrysk.

Nie było wątpliwości, że Zoe miała rację w kwestii daleko posuniętej duchowej korupcji, jaka leżała u podstaw zorganizowanych systemów religijnych, myślał, stojąc pod strugami wody. Nie ulegało również wątpliwości, że zarówno wczesny judaizm, jak i wczesne chrześcijaństwo postrzegały Boga w postaci obojnaczej, obejmującej pierwiastki męski i żeński. Pierwsze rozdziały Księgi Rodzaju w jednoznaczny sposób opisują obojnaczego Boga, w oczach którego mężczyźni i kobiety są równi. Dopiero znacznie później jakiś kreatywny hierarcha kościelny dopisał w drugiej wersji opowieść o Adamie i Ewie, w oczywisty sposób chcąc wesprzeć doktrynę o dominacji rodzaju męskiego.

Myjąc włosy, Seth przeanalizował naprędce niebudzące wątpliwości badania historyczne, które w jednoznaczny sposób udowodniły, że to, co ludzie uważali za judaizm lub chrześcijaństwo, obecnie prezentowało jedynie drobny ułamek religijnej różnorodności, jaka istniała w początkowej fazie rozwoju obu religii. Jednak kościelni dostojnicy nadawali religijnym doktrynom kształt odpowiadający ich kulturze oraz politycznym potrzebom, wszystko to zaś działo się przy nieustannym zapewnianiu wiernych, że jest dokładnie odwrotnie. Żeby mechanizm ten mógł zadziałać, hierarchowie dokonywali selekcji świętych tekstów i pism, odrzucając te, które nie nadawały się do wspierania bóstwa, jakie oni sami pragnęli czcić. Zatem na stosach płonęły teksty uznane za herezję wyłącznie dlatego, że nie wspierały ortodoksyjnych dogmatów.

Zaczął się namydlać, czując jednocześnie, że zabliznione dawno rany nadal są jednak bolesne.

Biblia chrześcijan w roku tysiąc trzechsetnym zawierała więcej ksiąg niż ta sama Biblia z roku tysiąc siedemsetnego, ponieważ Kościół korygował historię, dopasowując ją do zmieniających się dogmatów. Czy więc ludzie, którzy kiedyś wyznawali wiarę

zgodnie z tekstem Biblii sprzed wieków i wierzyli w prawdę objawioną ksiąg, których nie ma we współczesnej wersji Pisma Świętego, zostaną odpędzeni od bram niebios?

Splukał mydliny, zakręcił wodę i sięgnął po ręcznik.

Jak ktokolwiek mógł przeoczyć fakt, że wybór tekstów, które miały znaleźć się w Piśmie Świętym, był aktem politycznym, a poszczególne wersje Biblii w dużym stopniu pisano na nowo, żeby stały się zgodne z dogmatami ulegającymi zmianom w zależności od epoki? Wielu ksiąg zawartych w Torze nie mógł napisać Mojżesz, jak się utrzymuje, gdyż zawierają odniesienia do faktów historycznych, które miały miejsce już po jego śmierci. Podobnie jest z wieloma księgami chrześcijańskiego Nowego Testamentu, gdyż dowody na to, iż ich rzeczywistymi autorami byli ci, którym je przypisuje się, okazały się bardzo skąpe lub brakowało ich w ogóle.

Seth wytarł się, przeczesał włosy palcami. Na sercu niczym kamień ciążyło mu poczucie winy. Wychowany surowo niczym prezbiterianin nigdy nie był w stanie pozbyć się obawy, że trafi do piekła, odważał się bowiem kwestionować absolutną doskonałość i świętość Nowego Testamentu.

Pograżony w przemyśleniach wszedł do pokoju, a to, co ujrzał, poraziło go jak grom z jasnego nieba.

Grecki manuskrypt zniknął. Nie było też notatek Zoe i dyktafonu, torebka leżała na podłodze, a jej zawartość była bezładnie rozsypana dookoła. No i nie było Zoe.

Seth rzucił się do telefonu.

Rozdział 3

Z ciemnej, bocznej uliczki wprost na oślepiający skwar Piazza Venezia wyszedł wysoki, jasnowłosy Amerykanin. Bezlitosne wrześnie słońce dosłownie roztopiło plac, przez który auta wlokły się, tworząc korek – istne pole lawy wypełnione samochodowymi spalinami oraz rozżarzonym metalem. Mężczyzna zszedł z chodnika i ruszył na ukos przez plac w kierunku Via del Corso.

Amerykanin był szczupłym trzydziestoletnim mężczyzną; miał cerę typową dla mieszkańca Nowej Anglii i zbyt szybko opalił się w rzymskim słońcu. Przebijał się między fiatami i vespami, jedną ręką przytrzymując nowy kapelusz słoneczny, w drugiej natomiast ściskając mocno rączkę błyszczącej, aluminiowej teczki. Na nogach miał ozdobione frędzlami mokasyny z kurdybanu, ubrany był w popelinowy garnitur koloru khaki oraz niebieską koszulę z oksfordzkiego płótna z kołnierzykiem przypinanym na dwa guziki oraz uczelniany krawat z Yale.

Gdy dotarł wreszcie do krawężnika po drugiej stronie placu, spojrzał na zegarek i zaklął w duchu. Cholera! Po prostu nie wypada, żeby spóźnił się na spotkanie ze Świętą Inkwizycją.

Był pewien, że z człowiekiem, który go wezwał, spotka się w murach Watykanu, a jednak nie. Miał stawić się w miejscu położonym pioruńsko daleko, gdzieś po drugiej stronie Tybru.

No i zaskoczony dowiedział się, że Święta Inkwizycja nigdy nie przestała istnieć. Zmieniła jedynie nazwę: w 1542 roku watykańscy hierarchowie przemianowali ją na Święte Oficjum, a w 1965 roku nazwę zmieniono na Kongregację Doktryny Wiary.

– Kongregacja Doktryny Wiary – poinformował go swego razu partner z firmy, człowiek, który kiedyś nosił habit jezuita – to bezdyskusyjnie najbardziej wpływowy organ w Kurii; dysponuje większą władzą w Watykanie niż KGB na Kremlu, nawet w szczytowym okresie sowieckiej władzy.

Amerykanin zatrzymał się przy skrzyżowaniu z małą uliczką, przy której brakowało tabliczki z nazwą. To musi być to miejsce, pomyślał i skręcił w prawo.

– Porównanie z KGB jest w pełni uprawnione, zwłaszcza gdy chodzi o ciebie – wciąż brzmiały mu w uszach słowa eksjezuita. – Dlatego że dzisiaj Kongregacja

Doktryny Wiary działa bardziej na modłę służby wywiadowczej niż armii Boga i nad inne metody przedkłada zakulisowe zniszczenie czyjegoś życia lub kariery, nigdy nie czyniąc tego na oczach opinii publicznej. Głową Kongregacji Doktryny Wiary jest zawsze urzędujący papież, ale inkwizycyjnym aparatem zarządza urzędnik nazywany po prostu prefektem. Tytuł ten, podobnie jak i sama struktura, sięga trzynastego stulecia; wtedy nazywano go Wielkim Inkwizytorem.

Kongregacja Doktryny Wiary dysponuje własną służbą wywiadowczą oraz siatką agentów i donosicieli, wobec której wschodnioniemieckie Stasi zarumieniłyby się ze wstydu. Musisz o tym pamiętać; nie wolno ci nawet na moment opuszczać gardy. Ci ludzie w żaden sposób nie przypominają Braciszka Tucka; są bardzo niebezpieczni i należy ich traktować ze śmiertelną powagą. Zajmują się gromadzeniem obciążających dowodów, a później przedstawiają je czteroosobowemu trybunałowi, w skład którego wchodzi sędzia przewodniczący, zwany asesorem, wspomagany przez dwóch dominikanów oraz komisarza.

Zbliżając się do celu, mężczyzna przypomniał sobie jeszcze, jak były jezuita pochylił się kiedyś nad stolikiem w pewnym barze i powiedział:

– Spotkasz się z asesorem. Jest osobą wpływową, bardzo wpływową. Zdaniem niektórych zostanie kolejnym zwierzchnikiem Kościoła. Rób, co ci każe, a jeśli nie uczynisz tego w imię wiary, rób to, jeśli chcesz uratować życie i karierę.

Amerikanin wszedł po schodach, stanął przed drzwiami do budynku i nim nacisnął guzik dzwonka, zwrócił uwagę, że we wszystkich oknach znajdowały się ozdobne – i bardzo solidne – kraty z kutego żelaza. Ze środka dosłyszał odgłos szurania.

Czekając, przypomniał sobie resztę informacji podanych przez byłego jezuitę. Większość spraw osądzanych przez asesora i pozostałych sędziów nigdy nie wychodzi poza mury Watykanu. Jeśli jednak zasłona tajemnicy zostanie lekko uchylona, opinia publiczna dowiaduje się z reguły o prześladowaniu kościelnych teologów – jak dla przykładu sprawa Hansa Kunga, który podał w wątpliwość doktrynę nieomyślności papieża. Kung dowodził między innymi, że doktryna o nieomyślności nie ma poparcia w biblijnych przesłankach i nie istniała przed 1870 rokiem. Ukazanie szwajcarskiego teologa przez Kongregację Doktryny Wiary potwierdzało tezę, że – wykazując lojalność

wobec korzeni Wielkiej Inkwizycji – tłumienie prawdy jest cnotą, jeśli chodzi o utrzymywanie ortodoksyjnych dogmatów Kościoła.

W opublikowanym dekrete, zatwierdzonym przez papieża, Kongregacja Doktryny Wiary stwierdziła jednoznacznie, że „wolność aktu wiary nie usprawiedliwia religijnego odstępstwa”.

W staromodnym judaszu zamontowanym w drzwiach pojawiło się oko. Amerykanin zmusił usta do uśmiechu. Oko szybko zniknęło.

W historii Kościoła katolickiego jeszcze do niedawna kwestionowanie dogmatów, nawet w poszukiwaniu religijnej prawdy, uznawane było za grzech karany śmiercią. Jednym z najbardziej aktywnych wydziałów Kongregacji Doktryny Wiary była Papieska Komisja Biblijna, której zadaniem jest czynienie wszystkiego, co tylko niezbędne, by chronić przed atakami oficjalne kościelne dogmaty – te prawdziwe i te niekoniecznie z prawdą zgodne. Komisja ma prawo wstrzymywania publikacji, ich niszczenia, a także ukrywania w Archiwum Watykańskim dokumentów lub przedmiotów, które mogłyby rzucić cień wątpliwości na oficjalną interpretację Pisma Świętego lub teologicznego nauczania.

Drzwi otworzyły się.

Amerykanin wstrzymał dech, ujrzał bowiem przed sobą samego asesora ubranego w strój cywilny, zamiast w purpurę, jak przystało kardynałowi. Z tyłu dostrzegł dwóch roślących mężczyzn, będących, bez cienia wątpliwości, ochroną osobistą.

– Dziękuję za przybycie – powitał gościa asesor, wyciągając dłoń.

Kardynał Neils Braun, były arcybiskup Wiednia, zwierzchnik Papieskiego Sekretariatu do Spraw Niewierzących oraz asesor Kongregacji Doktryny Wiary, uchodził za człowieka słusznie budzącego trwogę. Był to bardzo wysoki mężczyzna o silnej budowie i niezwykle fotogenicznej twarzy, jakby wyrzeźbionej, grubo ciosanej, spoglądającej wprost z austriackich gór, które tak bardzo ukochał. Cechowały go energiczne ruchy i fenomenalna wręcz siła żyłastych mięśni; takie miewali wyłącznie świetni skałkowcy, którzy do wspinaczki nie używają lin, karabińczyków ani innych przyborów technicznych. W pierwszy dzień Bożego Narodzenia Braun kończył sześćdziesiąt lat i zamierzał spędzić urodziny w samotności, wspinając się po górach gdzieś w okolicy rodzinnego Innsbrucku, a może nawet atakując skalną ścianę, której

nikt jeszcze nie zdobył.

– Witamy – powtórzył Braun z łaskawością człowieka, który rozkoszuje się wrażeniem, jakie wywiera na zwykłych ludziach.

Amerikanin z trudem przełknął ślinę i uściśnął dłoń podaną przez purpurata.

– Dzień dobry, Wasza Eminencjo.

– Zwracaj się do mnie Neils – poprosił Braun, świadom tego, jak bardzo Amerikanin cenił zażyłość. – W końcu jesteśmy kolegami pracującymi wspólnie nad rozwiązaniem tego samego problemu.

Na te słowa napięte rysi Amerikanina rozluźniły się, ramiona, tułów i kolana przestały być takie sztywne. Dobrze, dobrze, pomyślał asesor. Umożliwienie ludziom odprężenia się w sytuacji stresowej to pierwszy krok do przejęcia nad nimi kontroli.

– Skoro to proponujesz... Neils – odparł Amerikanin, zmuszając się do uśmiechu.

– Wejdz zatem i schowaj się przed skwarem. Ochroniarze zniknęli gdzieś w ciemności; Amerikanin i Braun weszli do środka.

Ruszyli schodami na drugie piętro, potem słabo oświetlonym korytarzem i wreszcie Amerikanin mógł spocząć w obitym brokatem fotelu ustawionym przed eleganckim mahoniowym biurkiem Brauna. Mrużył oczy przed zalewającym pokój jaskrawym światłem, wpadającym przez duże okno, nawet tu chronione kratą.

– Opowiedz, proszę, czego dowiedziałeś się w Zurychu – powiedział Braun, od razu przechodząc do rzeczy.

– No cóż... – zaczął Amerikanin i przełknął ślinę. – Ujmując rzecz w skrócie: Max nie żyje, kobieta marszand zaginęła, tak samo jak wszystkie obrazy z rezydencji w Kreuzlingen.

– A obraz Stahla?

Amerikanin pokręcił przecząco głową.

– Przepadł, jak kamień w wodę.

Braun zmarszczył brwi.

– Czy twoje dochodzenie pozwoliło ustalić, kto za to odpowiada?

– Nie do końca jednoznacznie.

– Ale dysponujesz... najbardziej prawdopodobną poszlaką? Amerikanin skinął głową, przytakując.

– Wszystkie ślady wskazują na rosyjską mafię, wykorzystującą najprawdopodobniej swoich ich ludzi działających w KGB – wyjaśnił i przez chwilę jeszcze zastanawiał się nad sformułowaną tezą. – Nie da się też wykluczyć ewentualności, że jest akurat odwrotnie. Rozmiary panującej w Rosji korupcji bardzo utrudniają rozsądzenie, kto tak naprawdę tym kieruje.

– W jakim celu to robią?

– Dla pieniędzy, dla wymiennej waluty. Kolekcja Maxa jest bezcenna. Nie zdziwiłbym się, gdyby mieli na to błogosławieństwo Kremla. Twarda waluta to zawsze twarda waluta.

Kardynał przytaknął.

– Widzieliśmy sporo od czasu rozpadu Związku Sowieckiego; później zaczął się dotkliwy kryzys walutowy. Wielu spośród ludzi, którzy usiłowali zgładzić mnie w dawnych, złych czasach, wciąż nie ustaje w wysiłkach.

Amerykanin chciał już zadać pytanie, nasuwające się w sposób oczywisty, zdołał jednak ugryźć się w język.

– Żyrinowski. – Braun jakby wiedział, co interesuje gościa. – On i jego ultranacjonalistyczne zbiry chętnie pozbyliby się mnie z tego świata, z tych samych powodów, dla jakich usiłowali uczynić to Chruszczow i Andropow.

Amerykanin znów nie odezwał się słowem, ale tym razem odpowiedź na niezadane pytanie nie padła. Zamiast tego kardynał obrócił się w fotelu i przez długą chwilę spoglądał na zawieszony na ścianie krucyfik z kości słoniowej. Potem ciężko westchnął znów spojrzał na Amerykanina.

– Są rzeczy, o których musisz się dowiedzieć, jeśli masz da lej nam pomagać. Mogą one mocno zaburzyć twoje własne życie duchowe. Budzą niepokój i troskę, ale jeśli pragniesz wziąć na barki brzemień prawdy, którą ci wyjawię, zyskasz sposobność wyświadczenia ogromnych zasług twemu Kościołowi.

Amerykanin skinął potakująco.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Kardynał obdarzył gościa uśmiechem, który zdawał się przenikać do głębi jego duszy.

– Dziękuję. Zacznijmy od tego, że zostałeś wybrany z uwagi na amerykańskie

obywatelstwo, które posiadają również ta kobieta i jej mąż. Zyskałeś też nasze zaufanie, z uwagi na twoje wcześniejsze dokonania.

– Dziękuję.

– To ja i Kościół winniśmy dziękować tobie – powiedział kardynał. – Teraz niech mi będzie wolno powiedzieć ci, że tak jak Ojciec Święty jest dziedzicem Świętego Piotra, tak Kongregacja Doktryny Wiary jest dziedziczką Konstantyna.

Amerikanin był wyraźnie tym zaskoczony.

– Podobnie jak Konstantyn stoimy na straży jedności Kościoła – zaczął wyjaśniać Braun. – Najsilniejsza i dająca najwięcej otuchy jest wiara zjednoczona we wspólnocie, pozbawiona dwuznaczności i bezgranicznie szczerą. Innymi słowy, wiara musi być białoczarna, bez żadnych odcieni szarości. Lecz tak jak Konstantyn wiemy bardzo dobrze, że Pismo Święte, a także historia wiary i religii były wielokrotnie przepisywane, na nowo redagowane i korygowane, by dały się dopasować do zmiennych wymogów różnych epok. W rzeczywistości prawdę da się interpretować na wiele różnych sposobów. Istnieją autorytety, które wydają się sobie równe, a jednak różnią się w opiniach; dysponujemy relikwiami, źródłami pisanymi oraz faktami historycznymi, które wydają się nieodparte, a jednak podane do powszechnej wiadomości zburzyłyby jedność kościelnej teologii i przyczyniły do powstania wątpliwości. Biblia rozszerzyłaby się o milion przypisów drukowanych drobną czcionką, komentujących historię wiary.

Co więcej, wątpliwości nie dodają otuchy i nie oferują pocieszenia w świecie targanym burzami. Zwykłym ludziom potrzebna jest pewność, jaką daje wiara, jeśli mają nie porzucić nadziei. Jeśli pojawiają się wątpliwości w kwestiach wiary i religii, naszym obowiązkiem, czyli Kongregacji Doktryny Wiary, jest stawianie czoła szatanowi, żeby wierni tej nadziei nie tracili. Jeśli powstaje wrażenie, że wiara prowadzi dwiema drogami, naszym obowiązkiem jest podążać jednym i drugim szlakiem, a potem zablokować niewłaściwą drogę, żeby wierni nie musieli się błąkać. Walczymy z wątpliwościami, potem formułujemy odpowiedź dla Kościoła, upewniając się przy tym, że jest ona zbieżna z pozostałymi dogmatami oraz z modlitwami i błogosławieństwami Ojca Świętego. Potem obwieszczamy ją jako Słowo Boże, którego nie da się obalić. Ujednoliconą wiara jest bez wątpienia ważniejsza niż sprzeczne z nią prawdy, które muszą pozostać utrzymane w tajemnicy, ponieważ większość ludzi nie potrafiłaby sobie

z nimi poradzić, stając się automatycznie ofiarą zakusów szatana. Wbił w Amerykanina spojrzenie.

– Czy mnie rozumiesz?

– Jeśli dobrze usłyszałem – zaczął niepewnie Amerykanin – mówisz, że mniej ważne jest to, w co ludzie wierzą, jeśli tylko wszyscy wierzą dokładnie w to samo – w dogmaty sformułowane i zatwierdzone przez twoją Kongregację – bez najmniejszych choćby zastrzeżeń.

Braun uśmiechnął się szeroko i przytaknął.

– Jesteś bardzo pojętny. Wykazałeś też dostatecznie dużo rozumu, żeby nie zaniedbać zajęć z religii.

Na twarzy Amerykanina pojawił się wyraz zaskoczenia.

Kardynał znów się roześmiał.

– To oczywiście, że dysponujemy wyciągiem z twojego indeksu z czasów nauki w college’u. Wiemy więcej o twojej przeszłości niż twój obecny pracodawca. – Głos Brauna w jednej chwili zrobił się poważny. – Wierzysz, że cel jest te go wart? Czy byłbyś w stanie oddać za niego życie?

Amerykanin ściągnął brwi. Wyszkolono go w oszukiwaniu, ale szybko odrzucił taką pokusę na rzecz szczerości, gdyż sprawa dotyczyła Boga.

– Proszę mi wybaczyć Eminencjo, musiałbym przemyśleć tę kwestię – odparł w końcu.

Gryzł kącik dolnej wargi i przez chwilę spoglądał przez okno na jaskrawe promienie słońca. Serce waliło mu jak młot; przełknął ślinę, chcąc pozbyć się suchości w gardle. Z tyłu za nim tykał zegar. Kardynał czekał cierpliwie. Wreszcie Amerykanin odezwał się.

– Pierwsze jest możliwe, nawet prawdopodobne. Drugie...? – Pokręcił głową, powątpiewając. – Nie wiem. Nie jestem pewien, czy jakikolwiek człowiek jest w stanie podjąć taką decyzję, zanim przyjdzie mu stanąć oko w oko ze śmiercią. – Spoglądał z lękiem na kardynała.

– Wyśmienicie! – pochwalił go Braun.

Amerykanin poczuł głęboką ulgę.

– Odpowiedziałeś szczerze, a to daje mi pewność – podjął Braun, a z jego twarzy

zniknął uśmiech, ustępując miejsca surowej minie asesora. – Ojciec Wszechmogący przyjmuje twoje najlepsze starania, lecz ja zaakceptuję jedynie twoje najlepsze rezultaty. Czy rozumiesz?

Amerykanin przytaknął.

– Czy zgodzisz się wziąć mnie na swego przewodnika i jedyne go spowiednika?

Znów skinął głową na znak zgody.

– Zgadzasz się wypełniać moje polecenia co do joty, wiedząc, że karą za nieposłuszeństwo będzie ekskomunika oraz wiekuiste potępienie?

Amerykanin przez dłuższą chwilę spoglądał na niego zszokowany.

– Tak, Wasza Eminencjo.

– Dobrze – pochwalił kardynał i po chwili zapytał:

– Słyszałeś rzecz jasną o Całunie Turyńskim?

Amerykanin ponownie przytaknął.

– Oczywiście. Któż nie słyszał? – kontynuował kardynał. – Jest to prawdopodobnie całun z pochówku Jezusa Chrystusa. To długi zwój płótna, na którym odcisnął się wizerunek ukrzyżowanego mężczyzny. Wszystkie ślady ran oraz punkty szczególne, a także charakterystyczne cechy budowy fizycznej człowieka z płótna są zbieżne z relacjami ludzi opisujących śmierć Chrystusa. Z tego co pamiętam, kontrowersje na temat uznania tej relikwii za autentyczną były bardzo silne.

Braun przerwał na moment i pociągnął łyk herbaty. Serwetką otarł kropelki potu, jakie pojawiły się na górnej wardze, potem podjął temat.

– To tylko zwięzłe streszczenie, a przynajmniej wersja przeznaczona dla opinii publicznej. – Odchylił się na oparcie fotela, a jego słowa płynęły teraz wolniej. – Jak pewnie wiesz, Watykan nigdy nie uznał w pełni autentyczności Całunu Turyńskiego. A przecież gdyby zebrać wszystkie fragmenty Krzyża Pańskiego, które zyskały błogosławieństwo Stolicy Piotrowej, dałoby się nimi wypełnić cały skład drzewny. Tymczasem wciąż odmawia pobłogosławienia całunu. Dlaczego? Pytanie było czysto retoryczne.

– Ponieważ obawiamy się, oto dlaczego. Ponieważ wiemy, że istnieje jeszcze jeden całun – znajdujący się w lepszym stanie, którego pochodzenie nie budzi dyskusji i jest doskonale udokumentowane, potwierdzone przez źródła absolutnie wiarygodne i

niepodważalne. Jeśli więc pobłogosławimy Ca łun Turyński, którego historia pełna jest luk i niedopowiedzeń, pewnego dnia staniemy może przed żądaniem uczynienia tego samego w odniesieniu do drugiego całunu.

Amerykanin sprawiał wrażenie zmieszanego.

– Czegoś tu nie rozumiem. Chcesz przez to powiedzieć, że istnieje drugi całun, który również okazał się szatą żałobną Chrystusa? Jeśli tak rzeczywiście jest, dlaczego nikt nie przekazał tego opinii publicznej, dlaczego nikt...

– Nie, źle mnie zrozumiałeś – przerwał mu Braun. – Ten drugi całun, ten, którego istnienie utrzymywane jest w tajemnicy, nie był użyty do owinięcia ciała pierwszego Mesjasza. Raczej zawinięto nim zwłoki tego drugiego.

Amerykanin siedział jak ogłuszony.

– Drugiego... ale jak... jak możliwe... – Usiłował zebrać myśli. – Chcesz przez to powiedzieć, że przez wszystkie te la ta Kościół ukrywał dowód boskości Chrystusa? Dlaczego fakt ten ma być otoczony tajemnicą?

Braun zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Przypomnij sobie, proszę, mój komentarz sprzed chwili dotyczący nadrzędnej potrzeby jedności oraz pewności w wierze. Wiara ma kruchą naturę. Z tego właśnie powodu my, w Kongregacji Doktryny Wiary, oraz nasi poprzednicy w ciągu minionych stuleci pracujemy tak usilnie nad utrzymaniem wewnętrznej zgodności papieskich dekretów i nad obroną absolutnej prawdziwości kościelnych doktryn i dogmatów. Gdybyśmy przyznali, że jakaś zwykła drobnostka jest fałszem, wtedy rzesze wiernych zaczęłyby wysuwać przypuszczenia, że również inne elementy nauki mogą zostać podane w wątpliwość. Wypuszczenie choćby jednej nitki mogłoby skutkować spruciem do cna całej szaty. Większe sprawy? – Wzruszył ramionami. – Mogę jedynie stwierdzić, że większe sprawy spowodowałyby większe wyłomy w naszej wierze, niż Szatan byłby w stanie kiedykolwiek dokonać.

– O Boże...

– Jak powiedziałem, wiele z tego, co tu usłyszysz, wywoła w tobie zamęt – ciągnął Braun. – Ale nie trać wiary i zaufaj mi, gdyż zadanie, do wykonania którego zostałeś wybrany, jest w stanie wpłynąć na przyszłość chrześcijaństwa.

– Wielki Boże – odparł Amerykanin cichym głosem.

– Ten drugi Mesjasz – Zbawiciel, jeśli wolisz – żył za panowania Konstantyna, władcy, którego wyniesiono na tron jako Ojca Wszechmogącego, co stało się instrumentem służącym do utrzymania jedności chrześcijaństwa i wyeliminowania herezji. By osiągnąć ten cel, cesarz Konstantyn sprowadził drugiego Mesjasza do Bizancjum i tam... zgładził.

Amerikanin poczuł, jak osuwa się pod nim skała, na której opierała się jego wiara. Chwycił dłonią za blat biurka, że by nie stracić równowagi.

– Gdyby ta informacja wyciekła, chrześcijaństwo oraz wszystkie wartości, na straży których stoi ta religia, zostałyby podane w wątpliwość. Powstałby zamęt i chaos. Absolutny chaos. Kryzys wiary, jakiego nie widziano na przestrzeni dwóch tysięcy lat historii Kościoła. Co więcej, naruszone zostałyby również podstawy judaizmu. W końcu Jezus był Żydem i nikt bardziej niż naród wybrany, jak opisuje Biblia, nie oczekiwał nadejścia Mesjasza. A co jeszcze ważniejsze, istnie ją źródła historyczne potwierdzające istnienie tego drugiego Mesjasza, o wiele bardziej przekonujące od źródeł odnoszących się do ziemskich losów naszego Pana. Ich ujawnienie mogłoby doprowadzić miliony wyznawców do odrzucenia Jezusa Chrystusa jako naszego zbawcy i odkupiciela i przejścia na stronę tego ukrywanego Mesjasza.

Amerikanin zauważył, że kardynał żegna się, wypowiadając to imię.

– Miliony opuściłyby nasz Kościół; sama instytucja oraz jej wpływy w świecie ległyby w gruzach.

– Wierni z pewnością odrzuciliby tego rodzaju rewelacje, uznając je za przebiegłe oszustwo – uspokajał Amerikanin. – Za spisek.

– Być może – odparł Braun. – Ale twoja święta misja ma na celu utrzymanie w tajemnicy istnienia tego drugiego Mesjasza. Odzyskaj dowody, dokumenty potwierdzające jego rzeczywiste istnienie. Jeśli nie zdołasz tego dokonać, musisz się upewnić, że nikt inny również tego nie uczyni.

Kardynał zamilkł na chwilę, przez moment na jego twarzy pojawił się wyraz świadczący o braku pewności.

– Wydaje się... – zaczął, kierując wzrok ku własnej duszy – że ten sekretny Mesjasz stanowi dowód na potwierdzenie faktu, iż Bóg nieustannie przysyła nam zbawicieli. Nasze zbawienie zależy od podążania za ich przykładem. Lecz nie jesteśmy w

stanie ich rozpoznać lub, co gorsza, mordujemy ich.

– Zatem Bóg wystawia nas na próbę, by przekonać się, czy jesteśmy gotowi na odkupienie? A kiedy wreszcie zdołamy rozpoznać Mesjasza pośród tłumów... i nie zabijemy go, winy nas wszystkich zostaną odkupione?

Braun przytaknął.

– Nie zabijając jej.

– Słucham?

– Na drugim całunie również uwieczniony jest wizerunek ludzkiej postaci. Jest to wizerunek drugiego odkupiciela... podobizna kobiety.

Amerikaninowi odebrało dech ze zdumienia.

Rozdział 4

Sztorm, typowy dla połowy grudnia, gnał z Pacyfiku, pędząc przed sobą rozszalałe strugi siekące wody przystani Marina Del Rey oraz pokłady przytulonych do siebie jachtów, szukających tu schronienia przed furią oceanu. Wiatr pogwizdywał przeraźliwie wśród takielunku łodzi i za wszelką cenę usiłował tchnąć życie w małe fale sunące wewnątrz przystani, rozbijające się o kadłuby jachtów. Dochodziła ósma rano.

Sto metrów od wschodniego brzegu portu ludzie usiłowali dostać się do swoich warsztatów i biur. Ulice i studzienki burzowe zalane były po brzegi, woda przelewała się przez krawężniki i zatapiała chodniki. Niemal na każdym skrzyżowaniu stały auta, których silniki zgasty, a obok nich przemoknięci do suchej nitki poirytowani właściciele czekali na przyjazd pomocy drogowej. Nieliczni o tak wczesnej porze piesi walczyli z porywami wichury o utrzymanie parasoli i płaszczy przeciwdeszczowych. Zwycięsko z tych zmagania wychodził jednak sztorm.

W kabinie głównej trzynastometrowego słupa Walkiria Seth Ridgeway miotał się niespokojnie wśród przepoconych prześcieradeł, czekając na sen. Zazwyczaj nadchodził zniecka, gdy Seth pogrążał się w półśnie, stanie pośrednim między snem a jawą, między fantazją a rzeczywistością. Zawsze był ten sam i zawsze kończył się źle, tak jak w świecie realnym. I chociaż te senne mary sprawiały ból, były jedynym ogniwem łączącym go z nią. On zaś wolał zapamiętać cierpienia, niż zapomnieć o niej.

Sen zaczynał się zawsze w ich pokoju w hotelu Eden au Lac w Zurychu. Odczuwał wtedy podniecenie i przewidywał bliską rozkosz. Prawa ręka nieświadomie szukała czegoś po omacku wśród prześcieradeł, w końcu palce dotknęły obrączki, którą wciąż nosił na lewej dłoni. Sześć cudownych lat, małżeństwo dwóch nieskończonych przeciwieństw: ona, eteryczna znawczyni historii sztuki, on podziurawiony kulami eksplodant, twardo stąpający po ziemi, wykładający filozofię na uczelni. Gdy wspomniano ich spotkania, wszyscy wymownie się uśmiechali. Wszyscy poza ludźmi z administracji Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, którzy zwykle zachowywali się jak ludzie z wrodzonym brakiem humoru. Ci tylko marszczyli brwi. A im bardziej je marszczyli, tym głośniejsze śmiały się Seth i Zoe. Ich weselne przyjęcie to było prawdziwe zderzenie kultur: dowódcy brygady antyterrorystycznej z jednej strony i właściciele

galerii sztuki z drugiej, muskularni dowódcy policyjnych drużyn, według których wyraz „dada” był pierwszym słowem wypowiedzianym przez niemowlę oraz ekscentryczni krytycy sztuki, którzy nigdy wcześniej nie spotkali się oko w oko z policjantem, chyba że dali się aresztować podczas pokojowych manifestacji w latach sześćdziesiątych.

Ich wesele z pewnością nie było ani typowe, ani nudne.

Grudniowy sztorm rozszalał się na dobre, Seth Ridgeway jęczał przez sen; sen nabierał coraz szybszego tempa. Chciał zatrzymać jej obraz, zatrzymać ją, spojrzeć na nią jeszcze raz. Jednak niczym fragment filmu, nad którym utraciło się kontrolę, sen nie przestawał pędzić. Zoe weszła do pokoju, zachwycona dokonaniem popołudnia.

– *Udało się! Zgodził się sprzedać mi wszystko!* – powiedziała zadyszczonym głosem. – *Ale to nawet nie połowa sukcesu. Mam ze sobą niesamowitą niespodziankę dla świata sztuki oraz dla ciebie.*

Wtedy wyciągnęła manuskrypt w języku greckim.

Teraz zupełnie nie przejmował się rękopisem ani światem sztuki, ani żadną inną niespodzianką, którą jedno z nich mogło przeżyć. Jediną rzeczą, jaka liczyła się teraz, było odzyskanie jej. Koszmar toczył się dalej, a manuskrypt przestał być ważny.

– *Może zechciałbyś łaskawie wziąć prysznic, żebyśmy mogła na prawdę być blisko ciebie.*

Pocałowała go w usta, stanęła z tyłu i spojrzała na niego pożądliwie. Czuł, jak jej dłonie przesuwają się po jego ramionach, potem na podbrzusze, pocierają o przód spodenek, lekko muskają palcami. Bieg zdarzeń we śnie przyspieszał. Seth Ridgeway widział się powoli obracającego w kierunku prysznic. Nie! Chciał krzyknąć. Nie pozwól jej wyjść. Nie pozwól, by zniknęła z pola widzenia. Ale sen zsuwał się po równi pochyłej, już poza kontrolą.

– *Najpierw prysznic* – usłyszał jej głos pędzący razem ze snem. – *Lepiej żeby wtedy był pan przygotowany, proszę pana. Lepiej żeby wtedy był pan przygotowany, proszę pana. Lepiej żeby wtedy był pan przygotowany.*

Lecz kiedy kończył brać natrysk, jej już nie było.

Seth Ridgeway zbudził się i zdał sobie sprawę z faktu, że płacze.

Zaklął, uderzając pięścią w poduszkę. Czuł się jak frajer, gdyż nie zbudził się na czas. Ale gdzieś w głębi duszy tliła się nadzieja, że pewnego dnia sen zakończy się

inaczej – przebudzi się u jej boku i znowu będą się kochać, jak tamtego ranka w Zurychu przed pięćmioma miesiącami.

Leżał zupełnie rozbity emocjonalnie, oddychając ciężko, poznając słony smak własnego bólu i cierpienia.

– Niech cię szlag, Boże! – szeptał, uderzając pięścią w materac. – Niech cię szlag! Niech cię szlag!

Natychmiast jednak pożałował wypowiedzianych słów i poczucie winy osiadło mu ciężko na piersi.

– Proszę, wybacz mi Boże te słowa. Nie miałem tego na myśli. Pomóż mi ją odnaleźć; pomóż mi, proszę. Ach, proszę.

Usiłował powstrzymać napływające łzy, które pojawiały się każdego ranka od niemal pół roku. Moja wiara została już dostatecznie wystawiona na próbę, Boże. Czyż nie przeszedłem jej pozytywnie? Czy nie możesz sprawić, żebyśmy znowu byli razem? I znów zaczął wyrażać skruchę. Przepraszam, Boże. Wiem, że kierujesz się własnymi planami; proszę, zwróć mi Zoe. Jeśli nie taka jest twoja wola, daj mi siłę, bym poradził sobie z cierpieniem.

Powoli obrócił się, ściągając prześcieradło, które owinęło się wokół nóg. W końcu zrzucił je z przeпоconego ciała i leżał na plecach, wsłuchując się w stukanie deszczu o pokład jachtu. Był to smutny, choć kojący dźwięk; pozwolił, by szum deszczu omywał go, gdy on tymczasem był myślami przy Zoe i po raz setny usiłował przypomnieć sobie tamte chwile w Szwajcarii w poszukiwaniu czegoś, co mógł przeoczyć.

Czekając na przyjazd policji, zbiegł po schodach do frontowego lobby. Sprawdził w hotelowych restauracjach oraz sklepach i na koniec zajrzał do wynajętego auta. Stało w tym samym miejscu, w którym zaparkował je pracownik hotelu, kiedy Zoe przekazała mu kluczyki. Silnik wciąż był ciepły po jej podróży powrotnej z Kreuzlingen.

Dawne nawyki odżyły, znów był detektywem wydziału zabójstw. Przeszukał samochód, potem pokój. Przystąpił do sporządzania notatek. Wypytywał recepcjonistów, chłopców hotelowych oraz chudego, łysiego faceta, który zaparkował wypożyczony samochód.

Na zuryskich policjantach żadnego wrażenia nie wywarł fakt, że Ridgeway był

kiedyś ich kolegą po fachu. Byli też dość rozdrażnieni tym, że zdołał już osobiście porozmawiać z ważnymi dla sprawy osobami. Później zasiedli w wygodnych fotelach w pokoju z widokiem na jezioro i zaczęli omawiać sprawę.

– Nie widać tu żadnych znamion przestępstwa, Herr Ridgeway – zwrócił się do niego starszy rangą policjant. – Być może doszło między wami do nieporozumienia?

Upłynęła chwila nim Ridgeway pojął znaczenie tych słów. Czy przypadkiem kłótnia nie była powodem zniknięcia Zoe? Zdołał jednak zapanować nad ogarniającą go wściekłością. Kiedy sam był jeszcze gliną, niejedną raz dochodził do podobnych wniosków i wypowiadał podobne słowa pod adresem kobiet i mężczyzn, których współmałżonkowie nagle zapadali się pod ziemię. Jakby słyszał własny głos:

– Być może było coś, co ją wytrąciło z równowagi, o czym pan nie wiedział? Takie rzeczy się zdarzają. – Szwajcar wyraził swoją opinię, potem wzruszył ramionami. – W każdym razie jeśli nie stwierdzimy znamion przestępstwa, nie możemy nic zrobić. Prawo nie zabrania samowolnego oddalenia się.

Ridgeway miał zamiar opowiedzieć policjantowi o ich miłości i o tym, że Zoe nigdy nie zrobiłaby niczego takiego, ale echo słów wypowiedzianych kiedyś przez innych ludzi, kiedy sam jeszcze był gliną, sprawiło, że ugryzł się w język.

Policjanci opuścili hotel równie dyskretnie, jak się w nim zjawili, mimo to personel spoglądał niego surowym wzrokiem, ilekroć przechodził obok. Była to niewątpliwie kara za niewłaściwe zachowanie, czyli wezwanie policji kryminalnej do tak dystygowanego hotelu.

Tamtej nocy Ridgeway w ogóle nie spał. Chodził po pokoju w tę i z powrotem, co chwila zatrzymując się przy oknie i wpatrując w tafłę jeziora, jakby miało mu coś do powiedzenia na temat Zoe. Z każdą jednak chwilą narastała w nim pulsująca pustka. Nigdy wcześniej nie czuł się do tego stopnia samotny. Okropne sceny z czasów, gdy był gliną, odtwarzały się bez końca w jego umyśle.

Następnego ranka, kiedy zamówione śniadanie dotarło wraz z zuryską gazetą, był zupełnie wyczerpany. Zamierzał coś zjeść i zdrzemnąć się parę godzin, zanim znów podejmie prywatne dochodzenie. Rzucił jednak spojrzenie na gazetę i jego wzrok przyciągnął nagłówek:

POŻAR POSIADŁOŚCI W KREUZLINGEN WŁAŚCICIEL W STANIE

CIEŻKIM Jednym tchem przeczytał relację. Zaledwie kilka godzin po tym, jak Zoe zakończyła negocjacje z właścicielem rezydencji, posiadłość doszczętnie spłonęła. Zgodnie z dziennikarską relacją wszystko, co znajdowało się w rezydencji – wliczając w to bezcenną kolekcję obrazów – strawiły płomienie. Właściciel, jak informował dalej artykuł, doznał rozległego zawału mięśnia sercowego oraz ciężkich poparzeń.

Ridgeway natychmiast popędził wynajętym samochodem do Kreuzlingen. Niczego tam jednak nie znalazł.

Miejscowa policja oraz funkcjonariusze straży pożarnej twierdzili uparcie, że nie dopatrzono się śladów podpalenia czy innych znamion przestępstwa. Ich zdaniem przyczyną była wadliwa instalacja elektryczna założona w tych wielowiekowych murach. Poza tym Amerykanin powinien uprzytomnić sobie fakt, że właściciel był już w bardzo zaawansowanym wieku.

Nie lepiej powiodło mu się w szpitalu. Willi Max nie odzyskał przytomności, a nawet gdyby jego stan się poprawił, lekarze nie dopuściliby do niego nikogo, kto chciał zadawać pytania. Po trzech dniach starzec odszedł z ziemskiego padołu, zabierając ze sobą liczne sekrety oraz – o czym Ridgeway był głęboko przekonany – nierozwiązaną zagadkę losów Zoe.

Seth potrząsnął głową, jakby chcąc odświeżyć pamięć. Wsłuchiwał się w monotony stukot kropel deszczu bijącego o pokład Walkirii. Wstał, potknął się i walnął w głowę. Stojąc w łazience przy sedesie, popatrzył na własne odbicie w lustrze. To, co zobaczył, nie bardzo mu się spodobało. W ciągu blisko sześciu miesięcy od zniknięcia Zoe pod oczami zrobiły mu się głębokie wory koloru śliwkowego, a wokół pasa odłożyła się wyraźna warstwa sadła. Chociaż nadal miał muskularną sylwetkę, wiedział, że jeśli nie rozpocznie regularnych ćwiczeń, za następne sześć miesięcy będzie wyglądał jak flak. Co gorsza, dawne rany znów mogą zacząć dawać o sobie znać. Lekarze twierdzili, że czasami tak właśnie się dzieje. Lecz przestało to być teraz dla niego ważne. I co z tego?

Splunął, potem pochylił się i z bliska badawczo przyglądał się swemu odbiciu w lustrze. Przez całe życie wyglądał wyjątkowo młodo. Policjanci z wydziału nazywali go nawet Dzieciakiem. Kiedy miał dwadzieścia dziewięć lat, barman poprosił go o okazanie dokumentu tożsamości; zaledwie miesiąc wcześniej opuścił szpital i dochodził właśnie

do siebie po kulach, a wciąż wyglądał jak dzieciak. Wkrótce komisja orzekła, że jest trwale niezdolny do służby. Lekarze oznajmili mu również, że przypuszczalnie przez resztę życia nie będzie chodził normalnie. Rok później osiągnął wyższą sprawność fizyczną niż najlepszy rekrut po akademii policyjnej, a mimo to nie przywrócono go do pracy.

Ale nawet w te najgorsze dni, kiedy był samotny, walczył z bólem i stracił posadę w policji, nie przestawał wyglądać jak dzieciak. Kiedy jednak Zoe zniknęła, wszystkie złe chwile natychmiast powróciły. Teraz każdy rok z trzydziestu siedmiu lat życia wydawał się wyryty w liniach zmarszczek na jego twarzy.

Ridgeway wrócił do kambuza. Wciąż jeszcze zaspany otworzył lodówkę i wpatrywał się w jej wnętrze, ale przed oczami znów miał tamte dni w Zurychu. Do Los Angeles wrócił dopiero z rozpoczęciem jesiennych wykładów na uczelni. Mimo dwóch dodatkowych miesięcy prywatnego dochodzenia, nie miał się specjalnie czym pochwalić poza kolosalnym rachunkiem z hotelu Eden au Lac, biegłą znajomością języka niemieckiego, bliższą znajomością z kilkoma szwajcarskimi stróżami prawa oraz przyjaźnią z Amerykaninem pracującym w konsulacie USA w Zurychu.

George Stratton okazał się nieocenionym wsparciem; dzięki niemu Ridgeway pokonał dyplomatyczną i biurokratyczną dżunglę, w jakiej znalazł się, prowadząc w obcym kraju na własną rękę dochodzenie i zadając niewygodne pytania na temat zaginionej żony. Przy okazji Stratton stał się niezbyt wymagającym partnerem do gry w tenisa.

Początkowo Seta odpychało nieco zachowanie Strattona. Zaczął nawet podejrzewać, że gość jest gejem albo kimś w rodzaju niańki, której zadaniem było dopilnowanie, żeby były policjant nie wpakował się w jakieś tarapaty, jednak wkrótce zrozumiał, że to jeszcze jeden samotny Amerykanin stanu wolnego, którego coraz bardziej gnębiła nostalgia za starą, dobrą Ameryką.

Dzięki pomocy Strattona Ridgeway zdobył zezwolenie na przeszukanie pogorzelniska w posiadłości Kreuzlingen, i to zanim wkroczyła ekipa porządkowa. Przez trzy tygodnie przetrząsał popiół i rupiecie, upewniając się, że miejscowa policja miała rację. Pod koniec każdego dnia dręczyło go jednak coś, choć nie wiedział co. Wreszcie, dzień przed wejściem buldożerów, pojawił w czym rzecz. Właściciel był kolekcjonerem

dzieł sztuki, w jego posiadaniu znajdowały się najcenniejsze w całej Szwajcarii prywatne zbiory, a mimo to w popiołach nie znalazł żadnych resztek ram, żadnych okruchów szkła czy też niedopalonych fragmentów malarskich płócien. Ani kawałka drutu czy haków do zawieszania obrazów. Ogień, o czym Ridgeway wiedział z dawnych śledztw w sprawie zbrodni z podpaleniem, rzadko kiedy pochłaniał wszystko. A tymczasem w zgliszczach pogorzelniska w Kreuzlingen nie było żadnych istotnych resztek. Można było odnieść wrażenie, że nim wybuchł pożar, wszystkie dzieła sztuki zostały wyniesione.

Miejscowe władze zignorowały jednak sugestie Ridgewaya, wskazujące na umyślne podłożenie ognia, i odmówiły dalszego wstrzymywania uprzątnięcia pogorzelniska. Ich cierpliwość dobiegła końca, a sympatia jaką okazywano pogrążonemu w smutku Amerykaninowi, nie była w stanie pohamować ich rozdrażnienia. Oświadczyli, że z pewnością otrzyma odpowiedź na wszystkie stawiane pytania, i poprosili, by był uprzejmy i przestał im podpowiadać, co mają robić, i nie wtrącał się dłużej do spraw, które go nie dotyczą.

Nie pozostało mu już nic do zrobienia. Patrzył, jak buldożery zrównują z ziemią jedyny trop, który mógł go doprowadzić do Zoe, potem zapłacił rachunki, pożegnał się ze Strattonem i pojechał do domu uczyć studentów.

Ridgeway wysypał stare fusy z ekspresu do kawy, potem wsypał świeże ziarna do młynka. Wykłady nie wypadały najlepiej. Wcześniej wychwalano go za sposób prowadzenia zajęć; czynili to zarówno studenci, jak i pracownicy naukowcy wydziału. Nigdy nie opuszczał wykładów, zawsze przygotowywał świeże i ciekawe materiały, nigdy nie zanudzał studenckiej braci. Zurych jednak odmienił wszystko. Wykładał teraz bez entuzjazmu, korzystał z zeszłorocznych notatek... jeśli w ogóle pokazywał się na sali wykładowej. Tony Bradford, dziekan wydziału, który przed ośmioma laty przyjął go do pracy, zapytał nawet wprost, czy nie ma problemów z alkoholem.

To, co się działo, było jednak gorsze niż alkohol. Chodziło o niepewność. Ona sprawiła, że się postarzał. Gdyby tylko wiedział, czy Zoe żyje, z pewnością łatwiej by sobie poradził.

Wsunął do ekspresu koszyk ze świeżo zmieloną kawą, wlał dzbanek wody i włączył urządzenie. Stał przez chwilę, wpatrując się bezmyślnie w ekspres. W końcu syczenie i bulgotanie przebiło się przez zadumę i zwróciło jego uwagę na burzę szalejącą

na zewnątrz. Chwilami widział kadłub sąsiedniej łodzi, która potem zniknęła, ustępując miejsca pienistym zakłóceniom przypominającym obraz czarno-białej telewizji.

Przez kilka minut obserwował porywy sztormu, potem spojrzął na leżący na stole segregator z notatkami z wykładów, nietkniętymi od czasu ostatnich zajęć. Rzucił pobieżnie okiem na jedną ze stron, potem na drugą i zdał sobie sprawę, że także i tego ranka ich treść nie zajmuje go bardziej niż jakiegokolwiek innego dnia od powrotu z Zurychu.

Bez entuzjazmu wertował pokreślone żółtym markerem kartki, wycinki, dopisane odręcznie notatki i cytaty. Zamierzał dziś poprowadzić wykład na temat korzeni antysemityzmu w religii chrześcijańskiej, nie było w nim jednak choćby odrobiny energii, która pozwoliłaby zająć się dogmatami, antysemityzmem czy też studentami. Brakło mu cierpliwości, by stawić czoło dociekliwości studentów.

Ekspres wciąż syczał i furczał, wyciskając ostatecznie krople kawianej esencji i buchając kłębami gorącej pary. Zmęczony po nocnym półśnie zamknął z impetem segregator, wstał od stołu i podszedł do telefonu. Wybrał numer swojego wydziału.

– Filozofia, Bradford przy telefonie – usłyszał głos sekretarki.

Karen Bradford była uroczą kobietą w średnim wieku, wysoką, szczupłą, o pełnych gracji ruchach.

– Dzień dobry, Karen – powiedział Ridgeway najśłodszy głosem, na jaki było go stać. – Czy David jest gdzieś pod ręką?

– Dzień dobry, Seth. – W głosie Karen dało się wyczuć z troską. – Jak się miewasz dzisiaj?

– Och... nie najgorzej, nie najgorzej, uwzględniając wszelkie okoliczności.

– To dobrze. O ile wiem, profesor Davis jest w swoim gabinecie. Zaraz cię połączę.

Lecz zamiast monotonnych odgłosów klikania wiekowej centrali telefonicznej, Ridgeway usłyszał jedynie ciszę. Ściskając słuchawkę między podbródkiem i ramieniem, pochylił się i nalał świeżo zaparzoną kawę do nieco wyszczerbionego, lecz wciąż ulubionego kubka, jaki otrzymał na urodziny od swego pierwszego partnera. Po jednej stronie widniało jego nazwisko i stopień, po drugiej zaś komiksowy rysunek z dwoma myszołowami siedzącymi na samotnej gałęzi drzewa. Podpis pod rysunkiem głosił:

„Cierpliwości, do cholery! Mam zamiar ruszyć w drogę i kogoś zaciukać”. Inne czasy, inne życie, pomyślał Ridgeway, ale wspomnienie wywołało na jego twarzy lekki uśmiech.

W telefonie znów rozległy się dźwięki. Ridgeway przełknął szybko łyk kawy, szykując się do poproszenia Dave’a Davisa o kolejne zastępstwo na wykładzie. Tylko jaki podać pretekst tym razem?

– Seth? – Był to głos Tony’ego Bradforda.

Ridgeway poczuł, że nastrój gwałtownie mu się pogarsza.

– Ach, tak, Tony. Mówi Seth Ridgeway.

– Przepraszam za włączenie się do twojej rozmowy, ale właśnie przechodziłem obok biurka Karen, kiedy zadzwoniłeś.

Przez moment zapadło kłopotliwe milczenie.

– Nawet nie dopuszczam do siebie myśli, że dzwonisz do młodego Davisa z prośbą o kolejne zastępstwo, chyba że się mylę? – Głos Bradforda tchnął oskarżycielskim tonem.

– Cóż, nie... czuję się...

– Tak właśnie pomyślałem – przerwał Bradford, a jego głos robił się coraz bardziej gniewny. – Seth, rozmawialiśmy już o tym wcześniej i tak nie może być dalej.

– Wiem o tym, ale...

– Żadnych ale, Seth. Albo zjawisz się tu dzisiaj i poprowadzisz zajęcia, a także pozostałe wykłady w tym semestrze, albo zastanowię się, czy nie rozwiązać z tobą umowy o pracę.

Ridgeway słuchał oniemiały; czuł się winien tego, że rozczarował człowieka, który pomógł mu, kiedy stróża prawa wysłali go na przedwczesną emeryturę.

– Nigdy wcześniej nie widziałem ciebie w takim stanie – podjął Bradford już spokojniejszym tonem. – Zawsze byłeś gotów podjąć walkę, nigdy nie ustępowałeś. Kiedy lekarze stwierdzili, że nie dojdiesz do siebie po tamtej strzelaninie, nie poddałeś się. Kiedy policja nie przyjęła cię do służby, uznając za trwale niezdolnego, także się nie poddałeś. Widziałem, jak połykałeś książki jedną za drugą. Zawsze miałeś talent do filozofii, widziałem to, kiedy byłeś jeszcze na ostatnim roku studiów. Ale to, jak radziłeś sobie po doktoracie, było wręcz zdumiewające. Stałeś się świetnym wykładowcą, dlatego

zapropnowałem ci posadę nauczyciela akademickiego. Masz duże doświadczenie życiowe, a to rzadko się zdarza u naukowców. Naprawdę nie chcę cię stracić. Ale musisz w końcu wziąć się w garść!

– Teraz jest inaczej – zaproponował Ridgeway. – Nie jestem już tym samym człowiekiem.

– Masz rację, cholera, nie jesteś! – wykrzyknął Bradford. – Skierowałeś tę furję przeciwko sobie, zamiast spożytkować ją w pracy.

– Gdybym tylko znał los Zoe...

– Cholera, człowieku, ona nie żyje! Musisz pogodzić się z tym i ruszyć do przodu. Jeśli bowiem tego nie zrobisz, będą dwa trupy. Powiedziałbym, że nadeszła już pora, byś sięgnął po swoją wiarę i wyciągnął sam siebie z tarapatów.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, Bradford miał rację.

– Dzwonili wczoraj z banku. Pytali mnie jako twojego pracodawcę, czy zamierzasz sprzedać dom, czy może masz inne plany. Zalegasz ze spłatami hipoteki za sześć miesięcy.

Ridgeway jak przez mgłę przypominał sobie koperty. Ignorował je, podobnie jak resztę poczty, która wciąż przychodziła do niego pod adresem uczelni. Nawet nie przyszło mu do głowy zawiadomienie urzędu pocztowego, że wrócił ze Szwajcarii. Uzbierały się już solidne zaległości. Zamierzał zapłacić wszystkie rachunki, zwłaszcza hipotekę, gdyż od tego zależała możliwość sprzedaży domu. A musiał go sprzedać; w domu straszyl duch Zoe. Nigdy jednak nie spotkał się z żadnym z agentów, gdyż wiedział, że jeśli to zrobi, będzie musiał wejść do domu, a to go przerażało.

Dom żył pamiątkami tych lat, które on i Zoe spędzili razem. Sprzedaż byłaby równoznaczna z przyznaniem, że lata te dobiegły końca. Ale musiał coś zrobić. Opuszczony dom stawał się celem wandalii; jak dotąd zdarzyły się trzy takie incydenty.

– Tak – odparł chropawym głosem. – Staram się teraz sprzedać wszystko. Zadzwoń do nich. Tony...

– Tak?

– Przykro mi, że do ciebie zadzwonili. Przykro mi, że za wracali ci głowę moimi kłopotami. Ja... – przerwał w pół słowa, poczuł bowiem, że jacht się zakołysał.

Dobry żeglarz zna wszystkie ruchy i odgłosy swojej łajby, zna sposób, w jaki

płyń z wiatrem, na fali i rozpoznaje, kiedy ktoś wchodzi na pokład. Teraz też nie miał wątpliwości, że ktoś ostrożnie wszedł na pokład Walkirii.

– Czy mogę oddzwonić do ciebie później, Tony?

– Nie, Seth, chcę wyjaśnić teraz wszystkie sprawy. Chcę... Usłyszał delikatne pukanie.

– Tony, ktoś tu jest przy drzwiach. Muszę... Delikatne pukanie przemieniło się w bardziej natarczywe.

– Posłuchaj Tony, możesz poczekać minutę?

– Nie, do jasnej cholery. Nie zamierzam pozwolić ci kolejny raz się wymknąć. Jeśli się rozłączysz, wyrzucę cię na bruk.

Stukanie było coraz głośniejsze. Ridgeway odłożył słuchawkę i odwrócił się w kierunku rufy. Ruszył w stronę zejściówki, zatrzymał przy pulpicie nawigacyjnym i wyciągnął magnum marki Smith & Wesson kaliber 9 mm. Nie miewał zbyt wielu gości, zwłaszcza o godzinie ósmej rano, podczas grudniowego sztormu. Był jednak przygotowany. Nie wezmą go tak łatwo jak Zoe. Wsunął pistolet do głębokiej prawej kieszeni szlafroka i zaciągnął mocniej w talii pasek. Rozległo się gwałtowne walenie.

– Już dobrze, już dobrze – zawołał, wchodząc po schodach.

Chwycił rączkę wjazdu i odciągnął go nieco. W szczelinie zawył lodowaty wiatr, niosąc ze sobą zapach deszczu. Na zewnątrz, pod ochronnym daszkiem dostrzegł kobietę mniej więcej w jego wieku, o błyszczących oczach, które wydawały się jednak stare – jak gdyby widziały zbyt wiele. Wiatr smagał jej krótkie blond włosy i szarpał połami płaszcza z wielbłądziej wełny poplamionego kroplami deszczu. Za nią stał potężny mężczyzna w uniformie szofera, trzymający w jednym ręku parasolkę, w drugim krótki pistolet maszynowy. Broń trzymał za rękojęść, jakby od niechcienia, z lufą skierowaną w stronę pokładu, nie mierząc w nikogo konkretnego.

Ridgeway poczuł w gardle suchość. Na moment zamarł, ale chwilowe poczucie strachu odpędziła myśl o Zoe, a także o Tonym Bradfordzie i religijnych dogmatach.

Powoli sięgnął ręką po broń, wyciągnął ją z kieszeni szlafroka i trzymał z boku, poza polem widzenia, gotów w razie czego przestrzelić deski pokładu. Pociski bez trudu przejdą przez deski, szofera i pawężę, wciąż zachowując tyle impetu, żeby zabić.

– Panie Ridgeway? – Głos kobiety był grzeczny, łagodny i nie niósł w sobie

zagrożenia.

– Tak?

Któż, do diabła, mógł pojawić się na jego łodzi uzbrojony w pistolet maszynowy? Ktoś, kogo kiedyś aresztował? Podświadomie usiłował przypomnieć sobie twarz kobiety lub szofera, dopasować je do twarzy ludzi z cel aresztu lub z sali sądowej.

– Nazywam się Rebeka Weinstock – powiedziała kobieta, wyciągając do niego długą kościstą dłoń. – Czy mogę wejść? Tu na zewnątrz nie jest specjalnie przytulnie.

Dostrzegła spojrzenie Ridgewaya skierowane na szofera.

– To jest Benjamin, mój kierowca i ochroniarz. Benjamin skinął głową i lekko się uklonił, co wyglądało komicznie, zważywszy na broń trzymaną w ręku.

– Moje życie było już wielokrotnie zagrożone – wyjaśniła kobieta – dlatego towarzyszy mi Benjamin. Nie chodzi o pana.

Wciąż nieprzekonany Ridgeway spoglądał podejrzliwie to na Rebekę, to na Benjamin.

– Nie przywykłem do widoku pistoletów maszynowych z rana.

Na twarzy Rebeki pojawił się wyraz rozdrażnienia.

– Czy mogę jednak prosić pana o schronienie? Propozycji, jaką mam dla pana, z reguły nie dyskutuje się w prog.

– Tylko pod warunkiem, że ten pan Benjamin opuści moją łajbę wraz z przenośną armatą.

Odwrociła się i kiwnęła głową w stronę szofera.

– Idź i zaczekaj w samochodzie. Jest mało prawdopodobne, żeby zaatakowali z wody.

Benjamin spojrział gniewnie na Ridgewaya i z niepokojem na swoją chlebodawczynię.

– No idź – nalegała Rebeka. – Pan Ridgeway nie skrzywdzi mnie.

Szofer, wciąż jeszcze pełen wątpliwości, wsunął pistolet maszynowy pod płaszcz i przeszedł na pomost. Stał tam przez moment, potem wyciągnął z kieszeni walkie-talkie.

– Proszę to wziąć, panno Weinstock. Będę na podsłuchu w limuzynie. W razie czego proszę mnie wezwać. – Podał krótkofalówkę i odszedł.

Ridgeway obserwował, jak podchodzi stromym trapem, a potem odwraca się i

przez chwilę jeszcze spogląda w ich stronę. Rebeka kiwnęła ręką, a Benjamin otworzył drzwi auta, wsiadł do środka i zamknął je z trzaskiem.

Seth wsłuchiwał się w stukanie kropel deszczu o daszek kokpitu i czuł narastające rozdrażnienie. Usiłował stłumić to odczucie. Dobrzeje znał, tak jak każdy policjant patrolujący ulice. Strach przed sytuacją zagrażającą życiu zamienia się w nieopanowany wybuch gniewu; próba pozbycia się nadmiaru adrenaliny. Ridgeway nauczył się rozpoznawać taki stan i radzić sobie z nim, zanim ucierpieli na tym inni.

Teraz też wziął głęboki oddech, wstrzymał powietrze i wypuścił je powoli. Powtórzył to jeszcze raz. Zamknął oczy i wyobraził sobie, że żegluje. Trwało to nie dłużej niż trzydzieści sekund, ale kiedy usłyszał jej głos, znów był spokojny i opanowany.

– Panie Ridgeway? – arystokratyczny głos Rebeki Weinstock brzmiał teraz jak delikatne zawrodożenie. – Byłabym bardzo wdzięczna za ciepłe miejsce pod dachem na minutkę lub dwie.

– Oczywiście – odparł, chowając broń do kieszeni szlafroka.

Odłożył na dół ostatnią z desek włazu i podał kobiecie dłoń, pomagając jej zejść po kilku stromych schodkach prowadzących do kabiny głównej. Wskazał miejsce przy stole, potem odwrócił się w stronę kambuza. Słuchawka telefonu wciąż leżąca obok widełek przypomniła mu, że zostawił Tony’ego Bradforda na linii.

– Tony? Tony?

– Seth? – to znów był głos Karen Bradford. – Profesor musiał wyjść na umówione spotkanie. Przekazał mi... powiedział, że bym poinformowała ciebie, że... och, nie cierpię tego, jak każą mi robić za siebie brudną robotę. Powiedział, że jeśli dziś nie poprowadzisz wykładu, wyleje cię.

W kłopotliwej ciszy Ridgeway zamknął oczy, usiłując zebrać myśli. Uniósł powieki i spojrzał na zegarek. Powinien znaleźć się w sali wykładowej za niecałe dziesięć minut. Uwzględniając ulewę, zdąży, i to z najwyższym trudem, jeśli wyruszy natychmiast. Spojrzał na Rebeke.

– Przykro mi, Seth – głos Karen Bradford przerwał ciszę. – Naprawdę, bardzo mi przykro.

– Nie przepraszaż, Karen. – To ja winien jestem przeprosiny. Postaram się to

jakoś wyprostować.

Odłożył słuchawkę.

– Obawiam się, że mam bardzo mało czasu – powiedział. – Muszę się ubrać i pędzić na wykład.

Spojrzał na notatki leżące na stole obok Rebeki. Wzrok kobiety zatrzymał się przez chwilę na segregatorze, potem powrócił ku Ridgewayowi.

– Ale...

– Proszę mówić, gdy będę się ubierał – zaproponował, idąc w kierunku kabiny. – Zostawię otwarte drzwi, żebym mógł panią słyszeć.

Zanim jednak zdążył otworzyć drzwi kabiny, silne dłonie chwyciły go od tyłu za ramiona.

– Panie Ridgeway, przebyłam długą drogę, żeby spotkać się z panem. Niech pan mnie nie zbywa.

Seth odwrócił się.

– Musi mi pan to oddać – wykrzyknęła, składając dłonie w błagalnym geście. – Proszę, niech mi pan to da. Jestem gotowa sownie za to pana wynagrodzić.

Ridgeway cofnął się, zaskoczony jej nagłym wybuchem.

– Proszę.

Sięgnęła do kieszeni płaszcza, wyjęła plik banknotów owiniętych banderolą i rzuciła je w Ridgeway. Były do amerykańskie tysiąc dolarówki. Nic dziwnego, że kobieta podróżowała z uzbrojonym szoferem. Raz jeden widział facetów z plikiem tysiąc dolarówek, to byli dealerzy kolumbijskiej kokainy.

– Niech pan bierze. To uczciwe pieniądze od dobrych ludzi... jest ich jeszcze więcej.

Na potwierdzenie tych słów sięgnęła do drugiej kieszeni i wyciągnęła taki sam plik jak pierwszy. Podeszła i wsunęła pieniądze do kieszeni szlafroka Ridgeway, tej, w której trzymał broń.

– Niech pan to weźmie. Wszystko, co musi pan zrobić, to dać mi to, a wszystkie będą należały do pana.

Ridgeway powoli wyciągnął plik banknotów z kieszeni i spojrzał na nie. Co najmniej pięćdziesiąt. Spojrzał na Rebeke. Lekko licząc, ta kobieta weszła na jego łódź z

nie mniej niż stoma tysiącami dolarów w gotówce.

– Panno Weinstock – zaczął bez pośpiechu Ridgeway. – Niech mi tylko pani wyjaśni, czego pani ode mnie oczekuje.

– Proszę, niech się pan nie bawi ze mną w te męczące gierki – poprosiła płaczącym głosem Rebeka. – Wiem, że musiała to dostać od niego.

– Ona?

– Pańska żona.

– Moja żona? Co z nią? O czym pani mówi? – Głos Ridgewaya podnosił się niepokojąco. – Co, do diabła, dzieje się z moją żoną?

Chwycił ją za ramię i szarpnął.

– Gdzie ona jest? Niech mi to pani powie albo rozszarpie panią na pieprzone kawałki...

– Niech pan przestanie, proszę – zawołała, bo Ridgeway potrząsał nią gwałtownie. – Niech pan przestanie. Ja... my... usiłowaliśmy ich powstrzymać. Proszę, panie Ridgeway, niech pan przestanie...

Seth popchnął ją na sofę. Boże, co się z nim działo. Ból rozsadzał mu głowę. Ukrył twarz w dłoniach i rozcierał pulsujące skronie. Szaleństwo całej tej sytuacji sprawiło, że niemal postradał zmysły. Spojrzał na kobietę, wobec której przed chwilą dopuścił się fizycznej przemocy. Musiał znów wziąć w karby własne życie.

Rebeka spoglądała na Ridgewaya nieufnie.

– Wiem, co pani myśli – odezwał się wreszcie Ridgeway. – Bardzo mi przykro, ale pomyślałem...

– Nie ma powodu do przeprosin. Ta rzecz od setek lat przyprawia ludzi o szaleństwo – słowa te Rebeka wypowiedziała zadziwiająco spokojnym głosem. – Najważniejsze żeby zapamiętał pan, iż jesteśmy w stanie zapłacić za ten obraz dużo.

– Nie wiem nic o żadnym obrazie – powiedział zdziwiony Ridgeway.

– I wcale tak bardzo nie zależy mi na pieniądzach. Wolałbym odzyskać Zoe.

– Oczywiście, że wolałby pan, i jeśli będzie pan z nami współpracował, jestem przekonana, że zdołamy ją zlokalizować.

– A więc ona żyje?

– Tego nie powiedziałam. Powiedziałam, że pomożemy ją panu odnaleźć. Nie

wiemy, co ci szaleńcy mogli jej zrobić, ale przypuszczam, że wciąż żyje, ponieważ wie, co znajduje się na odwrocie obrazu, a oni nie...

– Obrazu? – przerwał Ridgeway. Wziął kubek z kawą i usiadł przy stole naprzeciw Rebeki. – Nie rozumiem. Co ma z tym wspólnego jakiś obraz? I kim, do diabła, pani jest?

– Powiedziała panu. Jestem Rebeka Weinstock. Ja...

– Nie, chodziło mi o to, kto panią wysłał? – Ręka mu zadrżała i kawa rozlała się na stół. Pociągnął łyk i postawił kubek na mokrej plamie. – Dlaczego...

– Zawsze najtrudniej jest zrozumieć, dlaczego – przerwała mu. – Zwykle jesteśmy w stanie zrozumieć, jak i gdzie, a także kto, ale odpowiedź na pytanie dlaczego bywa z reguły zadaniem dla filozofów oraz duchownych.

Ridgeway spoglądał na nią i czekał.

Kobieta przez chwilę coś rozważała, potem wsunęła rękę do kieszeni płaszcza i wyciągnęła niedużą czarno-białą fotografię. Przesunęła ją na drugą stronę stołu, uważając, żeby nie zmoczyła się w rozlanej kawie. Ridgeway bez entuzjazmu wziął zdjęcie i spojrzał na nie. Na fotografii był obraz przedstawiający alpejską łąkę otoczoną górami, widocznymi ponad świerkami. Rebeka Weinstock szukała na twarzy Ridgeway'a znaków, że rozpoznaje obraz, ale nadaremnie.

– Więc? – zapytał Ridgeway, zwracając fotografię.

– To olejny obraz na drewnie, ma około piętnastu centymetrów wysokości i dwunastu szerokości – kontynuowała Weinstock. – Powstał między 1936 a 1938 rokiem, a namalował go niemiecki malarz Friedrich Stahl. Używał ciepłych barw, na podobieństwo mistrzów włoskiego renesansu, których styl usiłował naśladować.

Rebeka przerwała, spoglądając z oczekiwaniem na Ridgeway'a.

– I co z tego? – Znów odpowiedział pytaniem Ridgeway. – Po co mówi mi pani o tym wszystkim? Jaki to ma związek z Zoe?

– Ważne jest to, czy rozpoznaje pan ten obraz? Pokręcił przecząco głową.

– A powinienem?

Nie przestawała go obserwować. W końcu westchnęła i skinęła głową, jakby podjęła właśnie decyzję wielkiej wagi.

– Panie Ridgeway, nie wiem dokładnie dlaczego, ale wierzę panu. Nie sądzę,

żeby kiedykolwiek widział pan ten obraz. Ale owszem, powinien go pan widzieć; mamy wszelkie podstawy sądzić, że miała go pańska żona w chwili, kiedy opuszczała Kreuzlingen.

Powiedział, że coś jeszcze prześle tu kurierem. Przesyłka powinna już dotrzeć. Umysł Ridgewaya wskoczył na najwyższe obroty, kiedy znów usłyszał słowa wypowiedziane przez Zoe. To było to. Poszlaka, która od sześciu miesięcy tkwiła tuż za granicą jego świadomości, jak znany, lecz przegapiony kawałek układanki.

Co właściwie znalazła? Coś na tyle ważnego, że ją porwano... zabito?

Mam ze sobą niesamowitą niespodziankę dla świata sztuki. Seth znów zanurzył się w sennym koszmarze, obserwując jak senne widzenie przyspiesza, jak Zoe oddała się od niego. *Wróćę jak tylko wrzucę te dokumenty do skrytki depozytowej w hotelowym sejfie...*

Obraz. Czy to właśnie Max zamierzał dostarczyć kurierem? I czy przesyłka dotarła na miejsce? Jeśli tak, to gdzie się do diabła podziała?

– Panie Ridgeway? Panie Ridgeway, nic panu nie jest?

Pokój w hotelu Eden au Lac rozplątał się, a Ridgeway ponownie spoglądał na kobietę o blond włosach i mądrych, frapujących oczach.

– Przez moment zrobił się pan biały jak kreda – powiedziała zaniepokojona Rebeka. – Wyglądało to na jakiś atak.

– To tylko nerwy – wyjaśnił. – Ostatnie miesiące były trudne, a pani dzisiejsza poranna wizyta sprawiła, że puściła nawet ta resztką nerwów.

– Przykro mi. Wiem, że to dla pana stresujące i bolesne, ale koniecznie musimy odnaleźć to malowidło. A pan przy okazji dowie się, co stało się z pańską żoną.

– Niech mi pani poda więcej szczegółów na temat obrazu – zażądał Ridgeway.

– Wciąż jest pan pewien, że nie wie nic o tym obrazie? – Ponownie wyciągnęła fotografię. – Ani o miejscu, w którym się znajduje?

– Nie – skłamał. – Nie mam zielonego pojęcia.

Rebeka spojrzała na niego, potem podjęła temat.

– To był malarz, ulubieniec ludzi z SS. Hitler, jak mówiono, po prostu kochał go i jego dzieła. Kiedy w 1940 roku Stahl zmarł, Hitler napisał epitafium, które wryto na nagrobku, wygłosił też osobiście mowę pogrzebową.

Ridgeway ponownie przyjrzał się czarno-białej fotografii.

– Skąd ta fascynacja? To chyba żaden wybitny artysta?

Uśmiechnęła się.

– Wiele osób podziela pańskie zdanie, panie Ridgeway. Fuhrer jednak był innego zdania. Cóż, może pan nie wie, ale Hitler najbardziej na świecie pragnął zostać artystą malarzem, jednak akademie sztuk pięknych odrzucały jego podania o przyjęcie w poczet studentów. Całe lata żył w ubóstwie, usiłując sprzedawać swoje bohomyzy bywalcom kawiarni i bistr w Wiedniu.

Rebeka Weinstock wstała i rozprostowała nogi. Ridgeway bawił się przez chwilę kubkiem do kawy, obserwując jednocześnie gościa.

– Być może świat nigdy nie doświadczyłby najkrwawszej z wojen – podjęła wątek, gdy usiadła z powrotem – gdyby go przyjęto na akademię sztuk pięknych.

– To fakty dość dobrze znane – przerwał Ridgeway; w jego głosie wyczuwało się zniecierpliwienie. – Cóż to ma wspólnego z Zoe oraz... tym malowidłem Stahla.

– Cierpliwości. Nie przybyłam tu z tak daleka, żeby marnować pański czas. Ten okres w życiu Hitlera jest bardzo istotny dla pana i pańskiej żony.

Po pierwsze, w tym okresie Hitler obdarzył sympatią innego, klepiącego biedę aryjskiego artystę, Stahla. Powziął mocne postanowienie, że świat doceni prawdziwą wartość jego sztuki, bez względu na środki, z pomocą których cel ten miałby zostać osiągnięty. Dostrzegł w Stahlu swoje własne odbicie – walczącego o uznanie dość zdolnego artystę, który z pewnością nie był geniuszem.

– Chce pani przez to powiedzieć, że Hitler był dobrym malarzem?

– Solidnie opanował malarskie rzemiosło, dziś zrobiłby zapewne karierę komercyjnego artysty lub grafika. Ale kolejny Rembrandt? Raczej nie. Tak samo jak nie był nim Stahl. Tak więc Hitler przyjął Stahla z otwartymi ramionami, przedstawił go ludziom z kręgów nazistowskich, oni zaś odczuwali satysfakcję, że nie wszyscy artyści w Niemczech byli Żydami lub uchodźcami...

Kolejna konsekwencja nieudanej kariery artystycznej Hitlera, jaka ma związek z panem – ciągnęła dalej Rebeka – to jego pomysł zbudowania największego muzeum świata. Muzeum Fuhrera, bo taką nazwę miał otrzymać obiekt, zamierzano wznieść w jego rodzinnym mieście Linz, w Austrii*.[W rzeczywistości Hitler urodził się w

miasteczku Braunau, przyp. tł.]

By zdobyć eksponaty, Hitler powołał do życia specjalną grupę operacyjną złożoną z członków SS, której nadał nazwę Sonderauftrag Linz. Zadaniem ich było dopilnowanie, żeby najwspanialsze dzieła sztuki, antyki, rzeźby, relikwie, ikony, monety – czyli wszystko – co znajdowało się w muzeach i prywatnych zbiorach w okupowanych krajach, zostało po prostu zrabowane. Dzieła sztuki dowożono w krytych wagonach towarowych do Monachium, gdzie urządzono centralny punkt zbiorczy. Później, kiedy wojna zaczęła przybierać niekorzystny obrót, eksponaty wywieziono do historycznych zamków oraz do kopalni soli, gdzie były bezpieczne przed alianckimi bombami.

Przerwała i pochyliła się w stronę Ridgewaya.

– W posiadłości w pobliżu Kreuzlingen, którą odwiedziła pańska żona, zgromadzono mnóstwo dzieł zrabowanych przez nazistowską maszynę. Większość z nich przekroczyła niemiecką granicę wraz z oficerami SS, którzy dzięki nim by li w stanie kupić sobie milczenie, wikt, opierunek oraz trans port do miejsc, gdzie nie sięgały alianckie trybunały.

– Jezu Chryste! – Wcześniej Ridgeway nie dawał wiary fantazjom Ludluma na temat geriatrycznych nazistów, którzy usiłowali przejąć kontrolę nad światem, ale teraz wierzył, że dzieła sztuki warte miliony dolarów mogły uczynić z morderstwa rzecz mało istotną.

– Skąd jednak taka wartość miernego malowidła pędzla drugorzędnego nazisty wobec bezcennych płócien dawnych mistrzów?

– Właśnie do tego dochodziłam – mówiła Rebeka. – Krótko przed uderzeniem na Polskę Stahl odwiedził Hitlera w Berchtesgaden i obaj wyruszyli na długą przejażdżkę po górach. Nikt dokładnie nie wie, dokąd dotarli. Kiedy jednak wrócili, Stahl miał ze sobą szkice, na podstawie których namalował ten obraz. – Stuknęła w zdjęcie elegancko zadbanym paznokciem. – Malowidło wisiało prawdopodobnie w prywatnej kwaterze Hitlera w najbardziej tajnej bazie wojskowej na terenie Austrii. Zlokalizowanej prawdopodobnie w pobliżu miejsca, które uwieczniono na obrazie.

Ridgeway wyciągnął rękę i kolejny raz sięgnął po zdjęcie. Tym razem przyjrzał mu się z większą uwagą.

– Co to jest tu? – Pochylił się nad stołem i wskazał na róg fotografii.

– Prawdopodobnie jest to wejście do starej kopalni soli – odpowiedziała Weinstock. – Ale to bez znaczenia. Austria i Bawaria są nimi podziurawione jak rzeszoto.

– Jaki tytuł nosi to malowidło?

– *Dom Naszej Pani Odkupicielki.*

– To dziwne. Spodziewałbym się zobaczyć świętych, aureole i być może Dziewicę Maryję – do tego przecież odnosi się ten tytuł, czyż nie tak? *Pani Odkupicielka?*

– Niech pan przypomni sobie, co powiedziałam – podjęła ostrożnie Rebeka. – Powiedziałam panu, że przedmiotem grabieży były nie tylko dzieła sztuki. I że naziści rabowali tak że antyki, relikwiarze i przedmioty kultu religijnego. Już na początku zainicjowanej przez Hitlera operacji poszukiwania dzieł sztuki i innych cennych obiektów ludzie z Sonderauftrag Linz zdołali zdobyć – przekupstwem, przymusem lub zbrodnią – przedmiot kultu religijnego przeogromnej wagi. Ranga tej zdobyczy była tak wielka, że Fuhrer posłużył się nią przeciwko Kościołowi katolickiemu, zmuszając do milczenia jego hierarchów, w tym samego papieża, w kwestii traktowania Żydów. Zanim stwierdzi pan, że to nonsens, proszę przypomnieć sobie, jak rzadko w tamtych latach Watykan zabierał głos na ten temat. Niektórzy nawet atakowali za to Stolicę Piotrowa, bez ogródek nazywając ciche przyzwolenie skandalem.

Ridgeway spojrział na nią, kiwając z niedowierzaniem głową.

– Tak, wiem o tym. Ale jak? To znaczy, cóż to był za obiekt, że mógł wywierać aż tak wielki wpływ?

Głos Rebeki był teraz wyraźnie podniesiony.

– Coś, panie Ridgeway, co podważyłoby fundamenty Kościoła. To właśnie pojechali zobaczyć Hitler i Stahl tamtego dnia. Gdzieś na tym obrazie – stuknęła palcem w fotografię – znajduje się klucz do odnalezienia tego przedmiotu. Jestem przekonana, że pańska żona wie, co jest tym kluczem...

– Ale kluczem do czego ma być ten obraz?

– Wiedza o tym może być bardzo niebezpieczna dla pana – odparła. – Są ludzie, którzy całe życie poświęcili, żeby świat nie dowiedział się o tym nigdy.

– Lecz jeśli moja żona jest w to wmieszana... jeśli wciąż istnieje szansa

odnalezienia jej, muszę wiedzieć wszystko. – Spojrzał na nią podejrzliwym wzrokiem. – Jaka jest w tym pani rola? Dlaczego tak zależy pani na odnalezieniu malowidła?

Dobierała słowa z rozwagą:

– Tamci ludzie, o których napomknęłam... ci, których nic nie powstrzyma, dla których najważniejsze jest dochowanie tajemnicy... mój ojciec był jednym z nich. Upłynęło wiele lat, zanim zdał sobie sprawę, że nie chronili Kościoła, lecz jedynie samych siebie. Z tego właśnie powodu zrzucił sutannę, potem ożenił się. Ale nie był w stanie zapomnieć tego, co widział, dlatego nawiązał kontakt z niewielką, lecz coraz silniejszą grupą ludzi w Watykanie, którzy podjęli wysiłki, aby pozbyć się dogmatów wprowadzonych ze względów politycznych i sprawić, by Kościół powrócił do duchowych korzeni.

– Życzę powodzenia.

Jej wzrok zatrzymał się na nim dłuższą chwilę.

– Wierzę, że tak może się stać – rzekła w końcu. – Wierzę, że za sprawą dobrych ludzi Kościół katolicki znów przemówi do prawdziwego ducha wiernych, jeśli tylko pozbędzie się reguł narzuconych przez ludzi i powróci do Słowa Bożego.

Podziałało to na niego elektryzująco, wstrząsnęło nim do głębi.

– Co stało się z pani ojcem? – zapytał w końcu. – I co pani tu właściwie robi?

– Mój ojciec umarł – odpowiedziała bez cienia emocji w głosie. – Ja zaś odziedziczyłam po nim schedę.

Ridgeway spoglądał w jej oczy przez długi czas, potem wstał.

– Być może wiem, gdzie jest to malowidło. Równie dobrze mogę tego nie wiedzieć. Ale nigdy się pani tego nie dowie, jeśli ja nie dowiem się więcej... bez porównania więcej.

Obrócił się i spojrzał na nią, chcąc sprawdzić efekt, jaki wywarły na niej te słowa.

Kiedy tak mierzyli się nawzajem wzrokiem, na parking przy końcu nabrzeża wjechał powoli sedan. Zatrzymał się przodem do limuzyny jakieś dwadzieścia metrów dalej, zasłonięty przed Benjaminem przez budynek z pustaków; ochroniarz zresztą był całkowicie pochłonięty obserwowaniem Walkirii. Dwaj mężczyźni, ubrani w żółte, błyszczące płaszcze przeciwdeszczowe wysiedli, dwaj pozostali siedzieli w aucie, bez przeszkód obserwując jacht.

– To pańskie życie. – Rebeka ponownie odezwała się do Ridgewaya.

– To moje życie, zgadza się. I co z tego?

Kiwnęła głową, przytakując i w tym samym momencie rozpełtało się prawdziwe piekło. Najpierw zadzwonił telefon, a jego brzęczenie przerwało pełną napięcia ciszę panującą w kabinie Walkirii. Ridgeway wziął słuchawkę.

– Tak?

– Seth? Mówi Tony Bradford.

Głos znów przeciągnął Ridgewaya na stronę szarej rzeczywistości. Spojrzał na mosiężny zegar zawieszony na ścianie kabiny. Wykład, który miał poprowadzić, rozpoczął się przed siedmioma minutami.

– Seth? Miałem nadzieję, że nie odbierzesz. Wtedy przy najmniej mógłbym założyć, że jesteś w drodze, a twoje spóźnienie byłoby usprawiedliwione.

– Tony, ja...

– Zapomnij o tym, człowieku. Robię to z wielką niechęcią, ale od tej chwili zostajesz zawieszony. Chcę, żebyś do końca dnia opróżnił swój gabinet oraz zabrał z magazynku ten ogromny karton z twoją prywatną korespondencją. Do diabła, nie jesteśmy twoją pieprzoną skrzynką pocztową. Jeśli nie uprzątniesz tego do dzisiejszego popołudnia, osobiście wywalę twoje rzeczy na dwór. I rozłączył się, zanim Seth zdołał cokolwiek powiedzieć.

Ridgeway wciąż wpatrywał się w trzymaną w dłoni słuchawkę, kiedy rozległy się trzaski krótkofalówki, którą Rebeka wsadziła do kieszeni.

– Halo, Benjamin? Benjamin, jesteś tam? – Była wyraźnie przerażona.

Cisza.

Seth odwrócił się i kątem oka dostrzegł jakiś ruch w oddali. Wyrzwał przez bulaj i w strugach rzęsistej ulewy zobaczył mężczyznę ubranego w żółty płaszcz przeciwdeszczowy, zamykającego przednie drzwi limuzyny. Człowiek ten obrócił się i powiedział coś do drugiego faceta w takim samym płaszczu. Rozmawiali ze sobą przez moment, potem ruszyli w kierunku pomostu, przy którym zacumowana była łódź.

– Spodziewa się pani jakiejś wizyty? – zapytał Ridgeway, wskazując na limuzynę.

Dwaj faceci szli, nie rozglądając się ani na lewo, ani na prawo, tylko patrząc

wprost na Walkirię.

– Benjamin? – wołała do walkie-talkie.

W odpowiedzi rozległy się jedynie trzaski. Rebeka wpatrywała się w instrument trzymany w dłoniach z taką miną, jak gdyby krótkofalówka właśnie ją zdradziła.

Ridgeway wyciągnął z kieszeni szlafroka magnum; poczuł, jak dłoń przesuwają się po grubym pliku tysiąc dolarowych banknotów. Przez chwilę pomyślał o zwróceniu pieniędzy, ale odgłos kroków na pomoście wydał mu się sprawą bardziej palącą.

– Sądzę, że lepiej będzie, jak zostanie tu pani przez chwilę – rzekł. – Proszę przejść do przedniej kabiny i nie odzywać się.

Miał wrażenie, że kobieta drży; zaprowadził ją do kabiny na przodzie łodzi i kazał jej położyć się na koi.

Kiedy zobaczył spodnie zawieszane na haczyku za drzwiami kabiny, uświadomił sobie, że ciągle jest nagi pod szlafrokiem, co wcale nie dodało mu pewności siebie. Szybkim ruchem odłożył broń na łóżko i sięgnął po slipy. Nad głową rozległy się kroki mężczyzn wchodzących na pokład. Zdążył jeszcze chwycić spodnie i rozsunąć suwak, kiedy deski grubości dwóch i pół centymetra, tworzące sufit zejściówki, eksplodowały nagle do środka, rozrywane pociskami z pistoletu maszynowego z tłumikiem.

– Niech się pani skryje w rogu! – krzyknął, chwytając pistolet i zasłaniając Rebeke własnym ciałem.

Jęknęła z bólu, kiedy przeturlali się do narożnika kabiny, omal nie uderzając głowami o ścianę. Sekundę później Ridgeway patrzył ze zgrozą, jak drzwi i ściana przegrody po drugiej stronie kabiny wybuchają małymi brązowymi gejzerami, a potem jak kule rysują na ścianach śmiertelny wzór. Czuł, że Rebeka drży. Gdy tak leżał z policzkiem wciśniętym w przednią ścianę toalety, jego uwagę przyciągnął głuchy odgłos drgań wywołanych przez kule, które weszły w drewno niecałe trzy centymetry od jego głowy. Tym razem szczęście graniczyło z cudem; gdyby nie tłumik, kule mknęłyby z tak dużą prędkością, że bez trudu przeszłyby przez obie ściany toalety, zabijając ich oboje na miejscu.

Ogień ustał równie raptownie, jak raptownie się rozpoczął. Rebeka poruszyła się.

– Niech się pani nie rusza – szepnął Ridgeway.

Leżeli tak przez chwilę, nasłuchując dźwięków, które z pewnością nie były

odgłosami sztormu. W końcu usłyszeli skrzypienie i chrzęst ziaren piasku między twardą podeszwą buta a pokładem. Odgłos nasilał się, wreszcie ktoś znalazł się bezpośrednio nad nimi. Ridgeway wypalił dwa razy w sufit, w niewielkiej przestrzeni strzały z pistoletu brzmiały jak armatnie salwy. Chociaż w uszach mu huczało, usłyszał zdumione stęknienie, a chwilę później ciężkie, głuche łupnięcie, po którym natychmiast rozległ się metaliczny stukot pistoletu odbijającego się po drewnianym pokładzie.

– Teraz szybko – ponaglił, gdy Rebeka poderwała się na nogi.

Podążyła za nim niepewnie przez kambuz do kabiny głównej.

– Lepiej niech pani wpełźnie pod stół – doradził, wskazując na masywną płytę z drewna Łękowego, jedyną w całej kabynie solidną ochronę przed kulami.

Gdy tylko skryła się bezpiecznie pod blatem, Ridgeway obrócił się i ruszył w stronę tylnej kabiny. Odsunięty właz umożliwił mu czysty strzał, jeśli tylko ktoś jeszcze znajdował się na pokładzie. W tej samej chwili sufit znów implodował do środka. Ridgeway rzucił się na podłogę i przeczołgał do zaciemnionego korytarza.

Kule wciąż przecinały sufit. Przez jeden z otworów Seth dostrzegł coś, jakby zarys sylwetki mężczyzny. Wymierzył w tym kierunku i nacisnął spust, gdy nagle dosłyszał zduszony okrzyk bólu. Spojrzał pod stół. No tak, Rebeka nie wciągnęła prawej nogi i teraz przez nogawkę spodni przesączała się krew.

Wystrzelił do góry, potem przepelznął na jej stronę kabiny. Z tyłu za nim seria pocisków pocięła gęsto ściankę poniżej gaśnicy. Ridgeway uniósł blat stołu i delikatnie wsunął nogę Rebeki, aż była całkowicie przesłonięta.

– Niech się pani nie martwi – pocieszył ją. – Wyciągnę pa nią z tej kabały i zawiozę do szpitala.

Zaczął wyczołgiwać się spod stołu, kiedy kolejna wściekła salwa rozdarła podłogę mniej niż dwa centymetry od jego twarzy.

– Psiakrew! – wykrzyknął rozsierdzony na całego – Dosyć już tego, kurwa!

Przeturlał się spod stołu i trzy razy szybko wystrzelił. Jedna z kul wyraźnie dosięgnęła celu, bo przez ryk sztormu dobiegł ich okrzyk bólu.

Rebeka podniosła się ociężale na łokciu. Obróciła głowę i spojrzała na Ridgeway. Nogawka jej spodni dosłownie ociekała krwią.

– Panie Ridgeway...

– Cicho! – syknął Seth.

Zerwał się na równe nogi i ostrożnie wszedł na schody. Z jednym tylko nabojem w magazynku ostrożnie wyskoczył na pokład. Tuż przed sobą dojrzał ciało mężczyzny. Na dziobie, w odległości jakichś dziewięciu metrów leżało drugie. Ridgeway dosłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi samochodu, szybko odwrócił głowę i zobaczył kolejnych dwóch facetów wyskakujących z ciemnego sedana zaparkowanego obok toalet.

Czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła, popędził w dół do głównej kabiny i pochylił się nad Rebeką.

– Musimy się stąd wynosić... idą następni.

Chwyciła Ridgewayą za rękę i z grymasem bólu zaczęła wyczołgiwać się spod blatu stołu.

– Ale... jak? – wyjąkała. – Nie umiem pływać... jest tylko jedna droga zejścia z pokładu.

– Łódź towarzysząca – wyjaśnił Ridgeway. – Skiff z doczepianym silnikiem.

Szli przez pokład, Ridgeway podparł Rebeke, pomagając jej dojść do występu pomostu biegnącego wzdłuż kadłuba Walkirii. Tu właśnie, między występem a Walkirią, znajdowała się mała, biała łódka z włókna szklanego. Ignorując krzyki dobiegające z tyłu, Seth ukląkł i przyciągnął ją bliżej pomostu. Do tego stopnia był zaabsorbowany, że nie usłyszał serii wystrzelonej z automatycznej broni z tłumikiem. Kiedy obrócił się do Rebeki, zamarł w bezruchu, widząc szyję kobiety, a raczej to, co z niej zostało. Pociski z automatu rozszarpały ją, zamiast skóry widoczne były czerwone ochłapy mięsa. Na twarzy kobiety wciąż jeszcze malował się wyraz zdziwienia. Jej usta poruszały się, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo, jedynie dziwny chrypliwy dźwięk. Zamknęła oczy i osunęła się na pomost twarzą do dołu.

– Tam! Obok kobiety – dosłyszał krzyki.

Zaraz potem rozległa się przytłumiona seria z automatu. Podniósł wzrok i zobaczył smugę pocisków sunących wzdłuż nabrzeża w jego kierunku. Odruchowo zanurkował w zimne wody przystani.

Rozdział 5

Zoe siedziała na krawędzi zapadającego się metalowego łóżka i wciskała do uszu zatyczki zrobione z papieru toaletowego. Zardzewiałe sprężyny niemiłosiernie skrzypiały, podobnie metalowa siatka, na której leżał cienki, gruzłowaty materac. Odgłosy skrzypienia zagłuszał jednak szum wentylatora przyspawanego do stalowych drzwi. Po drugiej stronie pomieszczenia na odrapanym, także metalowym biurku stał przestarzały komputer, a jego wentylatorek pracował nie mniej głośno niż stara suszarka do włosów. Monitor wydawał z siebie nieregularne odgłosy podobne do wyładowań łuku elektrycznego. Powietrze w pomieszczeniu było przesycone wilgocią, która cuchnęła pleśnią oraz jakimiś chemikaliami. W rogu burczał i bzyczał piecyk elektryczny, kiepsko radzący sobie z mokrym chłodem zimy. Zoe miała na sobie gruby narciarski sweter ze wzorem w płatki śniegu, wełniane spodnie, pod nimi rajstopy oraz dwie pary grubych, wełnianych skarpet.

Gdy zatyczki z papieru toaletowego, nawilżonego tonikiem do rąk, zaczęły pęcznieć, dźwięki odbijające się od nagich betonowych ścian przycichły. Hałas osłabł. Zoe zdobyła się na nieśmiały uśmiech satysfakcji. Jeszcze jedna drobna improwizacja pozwalająca zyskać przewagę w sytuacji, która początkowo wydawała się nie do przeżycia. Pomyślała o ojcu, spawaczu, mechaniku i jednocześnie utalentowanym, choć niespełnionym rzeźbiarzu, który nauczył ją posługiwania się narzędziami, i to mimo oporu ze strony matki, stojącej twardo na stanowisku, że narzędzia nie są dla dziewczyn. Zoe potrząsnęła powoli głową i spojrzała na dłonie, lekko marszcząc brwi.

Potem, jak każdego wieczora, zanim przyniesiono jej kolację, Zoe zamknęła oczy i sięgnęła do zasobów pamięci. Dni zamieniały się w tygodnie, a tygodnie w miesiące. Przypominała sobie pierwsze dni, kiedy to przyjechali Rosjanie z Moskwy z torbami pełnymi narkotyków. Spenetrowali doszczętnie jej umysł, szukając informacji o obrazie, wykorzystując narkotyki, które rozerwały jej pamięć na odrębne skrawki, jak bezładnie rozrzucone kartki z segregatora. Każdego wieczora koncentrowała się na odzyskaniu kolejnej kartki i włożeniu jej z powrotem we właściwym porządku.

Pierwszy zastrzyk podskórny wprowadził ją w niechciany sen jeszcze w hotelu Eden au Lac. W półmroku, jaki wtedy ją otoczył, wyczuła czyjeś podpierające ją dłonie i

usłyszała głosy, niektóre mówiące po rosyjsku, większość jednak po niemiecku.

– Zabierzmy też profesora, skoro już tu jesteśmy – ode zwał się ktoś po niemiecku.

Zoe usiłowała krzyknąć, ale koszmar odebrał jej głos.

– Nie – sprzeciwił się inny porywacz, władczym głosem. – Teraz będzie dla nas tylko zbędnym balastem; dwa ciała oznaczają dwa razy więcej kłopotów. Jeśli ona powie, że profesor coś wie, zawsze możemy go jeszcze zabrać.

A potem głosy rozplynęły się w całkowitej czerni.

Ocknęła się w starym przemysłowym magazynie, który odtąd stał się jej całą. Początkowo odczuwała jedynie głód i przenikliwie zimno. Później dostała dużo ciepłej stawy i koce. Dni niedoli przeplatały się z dniami komfortu, po rozpaczach przychodziła nadzieja. Jej stan psychiczny i sposób traktowania zmieniały się w zależności od tego, kto ją przesłuchiwał. Powiedziała im wszystko, co wiedziała, ale nadal uważali, że wie coś na temat obrazu. Wtedy właśnie wzięli się za rozbieranie jej umysłu na elementy pierwsze. Narkotyki zamieniły upływający czas w szalony, ciągnący się bez końca sen, który przenosił ją w nierzeczywisty świat pogrążony w półmroku, w połowie tylko odczuwany i w połowie zapamiętany.

Czoło Zoe pokrywały głębokie bruzdy, kiedy zmagła się nad przywróceniem skradzionych dni, ale wysiłki były bezskuteczne.

– Cholera – mruzczała pod nosem, ciężko dysząc.

Nic nie zyskiwało ostrości poza słabymi, pierwszymi wspomnieniami głosu Thalii, mówiącej, iż powinni zapewnić jej doświadczoną pomoc w systematyzowaniu danych, ich katalogowaniu oraz szacowaniu wartości dzieł sztuki, jakie zrabowali z rezydencji Williego Maxa.

– Dajcie jej szansę – usłyszała niski, kojący głos Thalii, do biegający gdzieś z półmroku, kiedy ocknęła się po raz pierwszy. – Posłuchajcie... jeśli to się nie powiedzie, zawsze możecie odesłać ją do Rygi w beczce z ropą. Ale na razie jej ręce i głowa bardziej mi się przydadzą wciąż połączone z jej tułowiem.

Kochana Thalia.

Pogrążona w zaimprovizowanej ciszy Zoe kołysała się na łóżku, usiłując ponownie odzyskać utracone wspomnienia. Zamiast tego dojrzała twarz Setha. Ale

portret utrwalony w jej umyśle zaczął stopniowo blaknąć, niczym zdjęcie pozostawione na słońcu. Upływające miesiące powoli rozmywały rysy. Kiedy po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, że jego obraz zanika w jej pamięci, rozplakała się. Później jednak wydarzyło się coś dziwnego. Równie prędko jak zamazywały się rysy twarzy, wyostrzał się obraz jego oczu. Teraz widziała już nawet najdrobniejsze żyłki i plamki na tęczówce. To tak jakby artysta narysował na płótnie szkic twarzy, ale farbę nałożył jedynie na oczy.

To jednak w zupełności jej wystarczało. Gdy siedziała tak, rozmyślając o nim, uświadomiła sobie, że te oczy zawsze jej wystarczały, bowiem w pełni go odzwierciedlały. Nauczyła się patrzeć w oczy Setha, jak inni patrzą w niebo, żeby przepowiedzieć pogodę. Jego oczy miały tyle samo odcieni: były ciemnoniebieskie, kiedy pogrążał się w myślach, szare, gdy zapracowywał się na śmierć, turkusowe, kiedy popadał w smutek lub melancholię oraz głęboko, niemal czysto zielone, gdy ich miłosne uniesienia dobiegały kresu.

Wspomnienia napływały niczym fala powodziowa, wywołując poczucie straty niemal równie bolesne, co cierpienia ostatnich miesięcy. Usiłowała przypomnieć sobie jego głos albo poczuć dotyk jego dłoni na piersiach, on jednak zniknął. Całkowicie. Pozostały tylko oczy. Znów starała się powstrzymać łzy. Tak bardzo go pragnęła.

Odchyliła głowę do tyłu, walcząc z przygnębieniem i rozpaczą, starała się rozładować napięcie, masując dłońmi kark. Otworzyła oczy. Nad głową widziała belki stropowe oraz zardzewiałe żelazne rury i dysze przeciwpożarowych zraszaczy. Kątem oka dostrzegła ruch. Odwróciła głowę i zobaczyła, że drzwi powoli się otwierają. Szybko wyciągnęła zatyczki z uszu i wstała. Strażnik przystanął na moment w progu. Ogromny niczym pień drzewa mężczyzna, którego ręce i nogi wydawały się zbyt krótkie w stosunku do wielgachnego korpusu ciała, dosłownie wypełnił otwór drzwiowy, a papierowa torba z jedzeniem na wynos od Móvenpicka, w której znajdowała się jej kolacja, niemal całkowicie niknęła w jego kolosalnej dłoni.

– Witamy w Chez Bastille, jestem Andre, twój maitre d’hotel – powiedziała Zoe, wiedząc doskonale, że olbrzym mówił wyłącznie po rosyjsku. – Czy zamawia pan stolik dla jednej osoby?

Wielkolud jak zawsze uniósł jedną krzaczastą brew, spoglądając na nią podejrzliwie, potem przystąpił do lustracji pomieszczenia. Dał jej znak ruchem głowy;

Zoe przeszła do przeciwległego narożnika celi i stanęła przy nogach łóżka, obok nocnika, mężczyzna tymczasem postawił torbę zjedzeniem na zdezelowanym biurku. Potem dokładnie obejrzał pomieszczenie, szukając jakichkolwiek śladów próby ucieczki. Rzucił jej na koniec krótkie, triumfujące spojrzenie i ruszył w stronę drzwi. Zamiast jednak wyjść natychmiast, jak robił zazwyczaj, stanął z boku i skinął głową.

Chwilę później w drzwiach pojawiła się Thalia Jastrubinecki, ze srebrną tacą w ręku, na niej stał porcelanowy serwis do herbaty. Obok pięknego dzbanka leżała torba zjedzeniem również od Móvenpicka.

– Pomyślałam sobie, że możemy podyskutować na temat postępów prac nad twoimi ekspertyzami – powiedziała Thalia, wskazując głową na komputer. Puściła oko do Zoe, pode szła do szafki na dokumenty i postawiła na niej tacę.

Zoe zmarszczyła czoło. Z powodu braku książek i czasopism sporą część wolnego czasu – był to efekt przymusowego odosobnienia – spędzała przy starym komputerze z procesorem 486, a to pozwalało jej przenosić się z obskurnej celi w pełen znajomego komfortu i piękna świat sztuki. Całe godziny spędzała na przepisywaniu notatek z oględzin przeprowadzanych dzień wcześniej, dokumentując to, co zdołała odkryć, i tworząc świadectwa pochodzenia najlepsze z możliwych. W duchu jednak gnębił ją niewyjaśniony niepokój. Thalia rzadko kiedy składała jej wizyty i zawsze po to tylko, żeby zostawić jakąś książkę lub dokumenty. Nigdy nie wpadała na dłużej. Coś było nie tak.

– Cóż – powiedziała Zoe ostrożnie. – Nie mam tego dużo więcej, niż miałam dzisiaj rano, gdyż zazwyczaj pracuję dopiero po kolacji.

Dobrze więc, zjedzmy wpierw coś! – powiedziała Thalia z autentycznym entuzjazmem, który z reguły rezerwowała wyłącznie dla wielkich dzieł sztuki oraz dla... jedzenia. Była to kobieta wysoka, o obfitych kształtach, miała czterdzieści parę lat, długie, kręcone, rude włosy oraz łagodne rysy twarzy. Jej ojciec, starszy wiekiem marszand z Mińska, zadłużył się po uszy u lichwiarzy z moskiewskiej mafii, a potem zaczął zalegać ze spłatami. Mafijni bonzowie, zamiast torturować starca, co zwykle czynili, zmusili go do prowadzenia wspólnych interesów, wykorzystując jego dawne oficjalne kontakty do przemytu skradzionych dzieł sztuki i antyków. Proceder ten doprowadził ich w końcu do skarbów zgromadzonych w Kreuzlingen, a pracę nad nim i

powierzono Thalii. Olbrzymi strażnik wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Rygiel zasunął się z trzaskiem, nie pozostawiając złudzeń.

– Cóż za podejście – skomentowała Thalia, spoglądając na drzwi; mówiła z nowojorskim akcentem. Potem rozejrzała się powoli po pomieszczeniu.

– Naprawdę powinnaś coś zrobić z tym miejscem. Większość krewnych Thalii to byli rosyjscy Żydzi, którym za czasów prezydentury Jimmy’ego Cartera wydano wizy wyjazdowe. Jedyne jej owdowiały ojciec zrezygnował z wyjazdu. Był już słabowity i nie wyobrażał sobie życia bez sztuki. Wyjeżdżając, skazałby się na ubóstwo, musiałby bowiem opłacić drakońskie podatki emigracyjne, narzucone przez Sowieców. Pozostał, ale wysłał córkę do ciotek i kuzynek w Nowym Jorku, opłacił jej również studia na Uniwersytecie Columbia. Później dowiedziała się, że pieniądze na czesne pożyczyl od lichwiarzy z Moskwy, przekonany, że nim nadejdzie pora spłaty długu, przeniesie się na drugi świat.

– Nie przyszedł chyba dyskutować o wystroju wnętrza – po wiedziała Zoe, podchodząc do biurka.

Thalia wzruszyła ramionami, wzięła papierową torbę zjedzeniem dla Zoe i rzuciła w jej kierunku.

– Trzymaj. Podjedz trochę mięska, chudzino – zachęciła, potem obróciła się i sięgnęła po własną torbę. – Chodź! Siadaj! Siadaj!

Thalia podsunęła Zoe jedyne krzesło, potem skoncentrowała się już na odwijaniu jedzenia. Po dłuższej chwili Zoe ustawiła krzesło w miejscu, z którego mogła lepiej widzieć Thalię, i wyciągnęła z torebki kanapkę z zimnym mięsem oraz wysoki plastikowy kubek z zupą jarzynową. Postawiła jedzenie na biurku, otworzyła kubek i pociągnęła łyk.

Thalia stała obok srebrnej tacy i z nieskrywanym apetytem wzięła się za kanapkę. Po chwili spojrzała na drzwi, odłożyła kanapkę i podeszła do Zoe.

– To jedyne miejsce, w którym możemy porozmawiać – powiedziała cicho. – Wszędzie nas obserwują.

Zoe przytaknęła.

– Naciskają mnie, żebyśmy prędko zwijali manatki. Coś musiało ich nieźle przestraszyć i zamierzają zamknąć kram tak szybko, jak się da.

– Ale co?

– Któż to wie? Być może policja depta im po piętach. Albo twój mąż, jeśli jest takim dobrym detektywem, jak mówiłaś.

Przez moment serce Zoe zabiło na myśl o poszukiwaniach prowadzonych przez Seta. Niejeden raz śniła o tym, że nagle staje w drzwiach jej celi.

– Ile czasu nam zostało? – zapytała.

– Najwyżej tydzień.

– Ale przecież mamy jeszcze do sprawdzenia tyle posążków Bogini!

Wśród łupów zabranych z Kreuzlingen, co było zaskoczeniem, znalazła się też ogromna skrzynia wyładowana po brzegi setkami figurek, posążków i innych wyobrażeń Wielkiej Bogini; niektórzy nazywali je figurkami bogini Wenus. Najstarsze z nich liczyły sobie dobrze ponad dziesięć tysięcy lat, sięgając tym samym epoki paleolitu i neolitu. Było to najbardziej niewiarygodne znalezisko należące do tej zdumiewającej kolekcji.

– Zrobienie tego zgodnie z zasadami, zajmie całe miesiące – zaprotestowała Zoe.

– Nie mamy miesięcy – odparła Thalia. – Co więcej, wszystkie falsyfikaty, które namierzyłaś w innych segmentach zbiorów, posiadają priorytet. Oni są porządnie rozdrażnieni tym, że według ciebie tak wiele eksponatów to falsyfikaty.

– Wielki pieprzony interes – odparła Zoe. – Będą musie li nauczyć się z tym żyć.

Upiła łyk zupy, która szybko stygła w zimnej celi.

– Czym tak naprawdę się przejmują? – zapytała, ocierając usta papierową serwetką. – Sprzedają skradzione dzieła sztuki ludziom, którzy wiedzą, że to rzeczy kradzione. Cóż mogą z tym zrobić? Poskarżą się policji, że kupili falsyfikat? Zoe pokręciła głową i dokończyła zupę.

– Owszem, to złodzieje – ciągnęła Thalia – ale zamierzają dalej sprzedawać dzieła sztuki tym samym kolekcjonerom i kustoszom. Jak się zorientowałam, mają doświadczenie do potajemnych magazynów w Ermitażu, w których znajduje się wiele eksponatów zrabowanych przez Sowietów, do posiadania których nie chcą się oni jednak przyznać.

– Figurki – odparła przygnębiona Zoe, potem ugryzła kęs kanapki.

– Cóż, pocieszające w tym wszystkim jest to, że najprawdopodobniej wśród impresjonistów i innych dekadencjonalnych dzieł nie ma falsyfikatów – odezwała się po

chwili. – Ale trudno się spodziewać, że najlepsi fałszerze zajęli się dziełami, z których wiele naziści wyjęli spod prawa. Z drugiej natomiast strony oceniam, że co najmniej dwadzieścia pięć procent wszystkiego, co pochodzi z okresu od średniowiecza po początek dziewiętnastego stulecia, to dzieła sfalszowane albo do tego stopnia na siłę odrestaurowane, żeby ze względów praktycznych prezentowały się jak nowe.

– Wpadną w szal – przestraszyła się Thalia.

– Nie, jeśli im o tym nie powiemy.

Thalia spojrzała nie nią zdziwiona.

– Większość już przepuściłam – wyjaśniła Zoe. – Falsyfikaty zaznaczałam małą literką „f” w prawym dolnym rogu obrazów oraz w różnych miejscach na posążkach i relikwiach. Oznaczenie to znajduje się również w bazie danych. Po prostu samotna literka „f w jednym z pól edycji.

– Jesteś złośliwa – stwierdziła Thalia, a na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. – Jeśli przyklei się do nich etykieta handlarzy falsyfikatów, nikt nigdy więcej nic od nich nie kupi.

– Bingo! – pochwaliła Zoe. – Poza tym nie będą mogli obwiniać ciebie, ponieważ to ja jestem specem od falsyfikatów. Muszę tylko przeżyć, a ci faceci będą ugotowani.

Thalia posmutniała. Słowa Zoe wyrażały bowiem mroczną, pomijaną milczeniem pewność, że nie dożyje chwili, kiedy jej plan się wypełni. Na dłuższą chwilę ogarnęło przygnębienie.

Thalia mieszkała z pobliskim hotelu, który opuszczać mogła wyłącznie pod opieką porywaczy. Była więźniem. Dali jej jasno do zrozumienia, że, jeśli zdarzy się coś nieprzewidzianego – ucieczka Zoe, nalot policji, przeschmuglowana wiadomość – ona i ojciec przejdą długie i okropne męki, zanim wreszcie umrą. Nawet jeśli Thalia w niczym nie zawini.

– Dobrze! Bardzo chciałabym poznać sposób, w jaki rozpoznajesz falsyfikaty. – Thalia posprzątała biurko i naląła parującą herbatę do dwóch filiżanek. – Musimy wziąć się za to od jutra, żeby mieć później te rzeczy z głowy.

– To będzie niezła wymiana – stwierdziła Zoe. Wlała do herbaty mleczko i upiła łyk. – Naprawdę nie wiem zbyt wiele o epoce paleolitu i neolitu, ty zaś wiesz bardzo dużo.

Thalia wzruszyła skromnie ramionami.

Piły herbatę w milczeniu, każda pogrążona w myślach na temat niepewnej przyszłości, do czego żadna z nich nie chciała się przyznać.

– Mimo wszystko byłabym bardziej zadowolona, gdybyśmy wzięły się wcześniej za figurki Bogini.

– Ja również – zgodziła się Thalia. – Niestety, geniusze, którzy tu rządzą, nie troszczą się specjalnie o... jak oni to nazwali? Stertę tłustych, grubych baboli z ceramiki.

Zoe dopiła resztę herbaty.

– Figurki – burknęła Thalia.

– Możemy wziąć się za to dziś wieczorem.

– Za falsyfikaty?

– Miałam na myśli figurki Bogini. Thalia zaprzeczyła ruchem głowy.

– Oni są niewzruszeni. Najpierw dzieła z nowszych epok. Dopiero potem Boginie.

– Czy możemy więc dzisiaj zająć się falsyfikatami? Czy pozwolą nam popracować trochę dłużej?

– Nie widzę powodu, dla którego mieliby nie pozwolić – odparła Thalia. – Chcą jak najszybciej zwijać kram. Na dobrą sprawę zamierzali w ogóle zrezygnować z figurek Bogini. Wytargowałam z nimi dodatkowy tydzień dla nas, przekonując ich, że „tłuste, grube babole z ceramiki” mogą im przynieść miliony. Stwierdzili wtedy, że być może będą musieli wynosić się stąd z dnia na dzień oraz że będą zmuszeni w ciągu kilku godzin pozacierać wszystkie ślady.

Zoe poczuła, jak trwoga ściska jej gardło. Ona była takim właśnie śladem. Thalia także posmutniała. Zoe próbowała dodać im obu otuchy.

– Posłuchaj, gdybyśmy, dajmy na to, pracowały w tej wielkiej galerii przy Bahnhofstrasse, mógłby nas potrącić na przejściu jakiś mercedes lub inne auto. Nikt tak naprawdę nie wie, ile czasu mu pozostało, zatem wykorzystajmy w pełni ten, którym dysponujemy... Lepsze to niż bezczynne siedzenie i zamartwianie się.

Rozdział 6

Blady zimowy dzień już dawno ustąpił miejsca rzymskiemu zmierzchowi, kiedy Amerykanin skończył zdawać relację asesorowi. Kardynał Neils Braun siedział odwrócony plecami do gościa, spoglądał w okno i obserwował odbicia ich twarzy w szybie.

Amerykanin zeszczupłał, pomyślał Braun. Twarz młodego mężczyzny przecinały teraz głębokie bruzdy, które nieoczekiwanie pojawiły się w ciągu minionych sześciu miesięcy.

– Wciąż nie rozumiem, w jaki sposób zdołali nas wywieść w pole – powiedział Amerykanin znużonym głosem.

On nie skarży się ani nie szuka wymówek, pomyślał kardynał. To dobrze. W końcu worki pod jego oczami mówiły o wiele bardziej dobitnie o nieustających wysiłkach, niż mogły to uczynić najstaranniej nawet dobrane słowa.

– Jesteś pewien, że dysponujesz wszystkimi niezbędnymi środkami? – zapytał Braun, odwracając się od okna i patrząc w twarz Amerykaninowi.

Przytaknął.

– Okazałeś się niezwykle hojny. Wykorzystałem też w dużym stopniu środki udostępnione przez mojego pracodawcę.

Kardynał skinął głową, potem nieoczekiwanie uśmiechnął się.

– W odpowiednim czasie Bóg wynagrodzi nas obu.

Amerykanin próbował, choć bez powodzenia, ukryć westchnienie ulgi.

– Postąpiłeś słusznie, nie zadając zbyt wielu pytań i nie starając się zgłębiać rzeczy zbyt wnikliwie – powiedział kardynał po chwili milczenia.

– Dziękuję. Prawdę mówiąc, nie mam zamiaru wścibiać nos w nie swoje sprawy. Chyba byłoby dla mnie lepiej, gdybym nie znał większości szczegółów...

Braun przytaknął.

– Pomyślałem jednak, że jeśli poznasz głębiej istotę sprawy, być może ułatwi ci to prowadzenie poszukiwań i natchnie kreatywnymi pomysłami.

– Skoro tak uważasz – odparł Amerykanin niepewnie. – Jak najbardziej.

– Czy w ciągu minionych miesięcy zastanawiałeś się, co może znajdować się w szkatule, której szukasz? – zapytał kardynał. – I jak jej zawartość może potwierdzić autentyczność całunu Zofii i jej prawdziwą rolę jako Mesjasza? W końcu rozmawiamy o wydarzeniach sprzed blisko siedemnastu stuleci... Wojny, krucjaty, polityczne wstrząsy... jak można udowodnić coś z tamtego okresu, nie żywiąc przy tym uzasadnionych wątpliwości?

– Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że wolałbym tego nie wiedzieć – odparł.

Braun uśmiechnął się.

– Być może dla ciebie, jako członka tego Kościoła i człowieka wierzącego, byłoby lepiej nie wiedzieć. Jesteś jednak żołnierzem Boga, zatem uważam, że szczegóły dopomogą ci w twoich poszukiwaniach.

Oczy Amerykanina wytrzymały wzrok kardynała, po dłuższej chwili przytaknął z ociąganiem.

– Historia jest pełna dowodów – zaczął Braun. – Zacznij my zatem od 310 roku naszej ery, kiedy Zofia to przysłała na świat w kupieckiej rodzinie z maleńkiej anatólickiej osady, najprawdopodobniej jako dziecko z nieprawego łóża najstarszej córki kupca. Okoliczności związane z jej narodzinami nie są bliżej znane. Rodzina dokładała starań, by utrzymać w tajemnicy przyjście na świat nieślubnego dziecka, a czyniła to skutecznie przez trzysta lat. Dziewczynce nigdy nie pozwolono wychodzić poza granice rozległej posiadłości; nigdy nawet nie kontaktowała się ze służbą. Oczywistym wytłumaczeniem takiej tajemnicy byłby wstyd, dzięki jednak pamiętnikowi prowadzonemu przez matkę dziewczynki wiemy, że prawdziwe powody wiążą się z nadprzyrodzonymi zdarzeniami, jakie miały miejsce począwszy od połowy okresu ciąży.

– Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa matka dziewczynki, będąc w stanie brzemiennym, zaczęła głosić prorocтва, z których wszystkie dotyczyły prozaicznych sytuacji dnia codziennego, w tym również związanych z kupiecką profesją ojca. Wszystkie przepowiednie spełniły się co do joty.

– Po narodzinach dziecka, ludzie, którzy kapali niemowlę lub nosili je na rękach, także otrzymywali przejściowe zdolności wieszczania. Fakt, że Zofia nie została zgładzona nie tylko z powodu pochodzenia z nieprawego łóża, ale także ze względu na

opętanie przez demony, dowodzi, że rodzina wiedziała więcej o niezwykłości towarzyszącej przyjsciu na świat dziewczynki, niż miała odwagę ujawnić w zapisie.

– Więcej? – zapytał zaintrygowany Amerykanin. – Na przykład?

– Być może dysponowali pewnymi poszlakami lub wskazówkami na temat boskiego pochodzenia dziewczynki. – Spojrzał z wahaniem na Amerykanina. – Ale jest to tylko spekulacja, a chciałbym się w tej rozmowie trzymać wyłącznie tego, co możemy udowodnić.

Amerykanin przytaknął.

– Wiara w zabobony w tamtych czasach, nawet bardziej niż obecnie, potrafiła doprowadzać do aktów przemocy. Opętanie przez demony oznaczało szybką śmierć z rąk któregoś z sąsiadów. Żeby zatem mieć pewność, iż plotka o córce nie rozniesie się po okolicy, a tym samym nie zagrozi jej samej i reszcie rodziny, dziewczynkę wychowywano w całko witej izolacji.

Jednak ściany i zamknięte drzwi nie stanowiły przeszkody dla rozwoju Zofii. W wieku trzynastu lat dziewczynka pokazała się u boku dziadka na targowisku. Zdarzenie to zostało potwierdzone w relacjach dwunastu mężczyzn. Zgodnie z ich przekazami, dziewczynka ich zahipnotyzowała, przemawiając niczym dorosły i tak dobierając słowa, że jej przemowa stała się kazaniem. Mężczyźni byli nią zauroczeni i zafascynowani. Przerażony dziadek przegonił ją do domu, obawiając się o swoje życie i swój stragan, a także o życie córki i reszty rodziny. Jednak do przejawów gwałtu i przemocy wcale nie doszło. W rzeczywistości zdarzyło się coś odwrotnego. Mężczyźni z targowiska opowiadając o zdarzeniu, byli w błogich nastrojach i całkowicie spokojni. Obdarzyli Zofię głęboką sympatią i wyrazili wolę oglądania jej częściej. Wkrótce stała się w osadzie prawdziwą osobistością, zaczęła też zdobywać wyznawców. Potem nastąpiły pierwsze przypadki uzdrowień.

– Czy naprawdę wierzysz w to? – zapytał zdumiony Amerykanin.

Braun przytaknął.

– Nie mam wyboru. Dokumenty są zbyt przytłaczające, że by nie dawać... jak zresztą zaraz się przekonasz. Rozważmy choćby przypadek Valeriusza Daia – pierwszy jej cud. W 285 roku naszej ery wcielony przymusowo do służby w armii rzymskiej, w 295 roku, za czasów cesarza Dioklecjana, został wysłany do Mezopotamii. Rok później

Narses, władca Persji, rozgromił rzymskie legiony pod wodzą Galeriusza. Liczne relacje opisują szeroko losy Valeriusa Daia. Jego prawa noga została okaleczona i w efekcie sparaliżowana, co spowodowało, że został uznany za trwale niezdolnego do dalszej służby wojskowej.

Ślad pojawia się ponownie w małej osadzie niedaleko Smyrny, w której mieszkała Zofia. Z rozkazu jednego z cesarskich generałów, część podatku płaconego przez mieszkańców na rzecz Rzymu zamieniono w swego rodzaju fundusz rentowy. Nieduże kwoty wypłacano żołnierzom, którzy odnieśli rany, walcząc w imię cesarstwa. Była to pierwsza próba stworzenia funduszu rentowego dla weteranów. W każdym bądź razie imię Valeriusa Daia pojawiło się w zwojach dotyczących tej osady w roku 297 naszej ery. Potem w 323 roku, w dokumentacji pojawia się niezwykle wpis, dotyczący wstrzymania wypłat z tego funduszu, ze względu na „nadzwyczajne okoliczności, w rezultacie których porażona noga Valeriusa Daia ozdrowiała”.

Braun przerwał na moment, chcąc, by sens jego słów dotarł do rozmówcy. Uchwycił spojrzenie Amerykanina i pochylił się do przodu.

– Po prostu dotknęła jego nogi. Dotknęła i był zdrow jak ryba. Autorem relacji o tym cudzie jest miejscowy skryba, ale jesteśmy też w posiadaniu źródeł pochodzących z administracji wojskowej oraz finansowej, które to potwierdzają.

Znów zrobił pauzę.

– Istnieją również inne źródła. Rzymianie okazali się nie zwykle pedantyczni, jeśli chodzi o tworzenie i przechowywanie wszelkiego rodzaju dokumentacji. Do tego dochodzą relikwie i artefakty, które obecnie uchodzą za absolutnie wiarygodne źródła również skrupulatnie opisane i udokumentowane przez władze cywilne.

W pokoju zrobiło się chłodno i po raz pierwszy od momentu, kiedy Braun rozpoczął swój niezwykle monolog, Amerykanin zwrócił uwagę na to, że w gabinecie zapanował zmrok. Wstrząsnęły nim dreszcze.

– Ale wracając do tych wszystkich źródeł. W jaki sposób zdołały przetrwać przez siedemnaście stuleci?

W Watykanie jest budynek, w którego piwnicach znajduje się 65 kilometrów półek wypełnionych woluminami, pergaminami, glinianymi płytkami, tajnymi dokumentami oraz manuskryptami najwyższej rangi i znaczenia. Tam właśnie Kościół

przechowuje m.in. sprawozdania z procesów czarownic, listy Joanny d'Arc, oryginalny rękopis z procesu Galileusza, petycję siedemdziesięciu angielskich lordów wnoszących błagania o unieważnienie małżeństwa Henryka VIII z Katarzyną Aragońską, dokumenty z wypraw krzyżowych, opisy skandalicznego życia prowadzonego przez mniszki z Monzy, przekazy na temat prorocत्व, które już się spełniły oraz tych, które dopiero mają się spełnić. W L'Archivo Segreto Vaticano – Tajnym Archiwum Watykanu przechowywane są miliony dokumentów.

Znów przerwał na moment, jak gdyby przekładanie myśli na słowa sprawiało mu zbyt wielki ból.

– Do 1084 roku, kiedy to cesarz Henryk IV oblegał Rzym, całun Zofii, opis jej męki oraz inne źródła o niebudzącej cienia wątpliwości wiarygodności także spoczywały w L'Archivo. Sądzimy, że biograf cesarza Konstantyna, Euzebiusz, potajemnie gromadził wszystkie te przedmioty i zamknął je w złotej szkatule inkrustowanej klejnotami.

– Dlaczego on? Był przecież najważniejszym z biskupów Konstantyna?

– Z zemsty, co do tego mamy niemal pewność.

– Słucham?

– Wiemy obecnie, a potwierdzają to liczne źródła pisane, że Euzebiusz w skrytości ducha był poplecznikiem Ariusza, biskupa, który stał po stronie przegranych w trakcie Soboru Nicejskiego I. Euzebiusz był duchowym buntownikiem na dworze Konstantyna. Szkatuła, której zawartość skompletował – nazywamy ją dzisiaj Męczeństwem Zofii – zawiera bardzo wiarygodne dowody na potwierdzenie faktu, że Sobór Nicejski miał przede wszystkim zatuzować boskie pochodzenie Zofii, a nie wytyczać jednolity szlak, którym mieli odtąd podążać wyznawcy chrześcijaństwa.

Przez dłuższą chwilę spoglądał w milczeniu na swą dłoń, jak gdyby widział tam rozgrywającą się bitwę, która ujawniła światu prawdę.

– Kiedy informacje o cudach i naukach Zofii dotarły do Rzymu – ciągnął dalej Braun – zarówno papież Sylwester I, jak i cesarz Konstantyn uznali je za ekstremalne zagrożenie. W podręcznikach historii to okres reformacji przedstawiany jest jako czas największego zagrożenia dla Kościoła. W rzeczywistości to w tamtych latach instytucja kościelna była bardziej zagrożona. Wyobraź sobie, co musieli pomyśleć Konstantyn i

Sylwester I, kiedy dowiedzieli się o istnieniu Zofii. Oto mieliśmy Konstantyna, pierwszego cesarza, który przyznał religii chrześcijańskiej oficjalne wsparcie i Sylwestra I, pierwszego papieża, który rządził oficjalnie po blisko trzystu latach prześladowań.

Wedle wszelkich reguł powinien to być okres rozkwitu Kościoła – kontynuował kardynał – w rzeczywistości wcale tak nie było. Członkowie Kościoła, który stał się teraz oficjalną, wspieraną przez państwo religią, utracili wzajemne zaufanie, konieczne do przetrwania. Wcześniej, kiedy wyznawcy musieli ufać członkom innych gmin, bo pozwalało to im uniknąć włączających się band rzymskich legionistów, których celem było wytepienie chrześcijan, łatwo było zdusić herezję i utrzymać religijną jedność. Jedność oznaczała przetrwanie. Jednak z chwilą oficjalnego uznania przez cesarza Konstantyna Kościół szybko utracił tę wewnętrzną spójność. Dostojnicy, zachęceni oficjalnymi stosunkami z Rzymem, szybko przystąpili do tworzenia rozbudowanej biurokracji, z której słynie obecnie Watykan. Biurokracja zaczęła żyć własnym życiem, a to przyczyniło się do narastania rozlicznych konfliktów.

By zapewnić przetrwanie, Kościół dokonał szybkiej transformacji, przechodząc od ruchu religijnego, zrodzonego dzięki charyzmie przywódcy, do zbiurokratyzowanej instytucji. Należy zacząć od tego, że Kościół musiał stawić czoło członkom duchowych grup rozłamowych, a najgroźniejszą był ruch gnostyczny, które bezustannie przeciwstawiały się podstawowym zasadom ortodoksyjnej teologii. Chodziło między innymi o to, że Jezus przyjmował na uczniów i duchowych przywódców zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Nauczał również, że Bóg zawiera w sobie w takim samym stopniu pierwiastek męski i żeński.

- Czy to są fakty autentyczne? Braun potwierdził skinieniem głowy.
- Dobry Boże – westchnął cicho Amerykanin.
- Tak – potwierdził kardynał ciepłym głosem. – Teraz zyskałeś już szersze spojrzenie na to, z czym się zmagamy, chroniąc ten sekret.

Zrobił pauzę.

– Dokąd zatem doszliśmy? – podjął po chwili. – Konstantyn. No tak, Konstantyn dostrzegł korzyści płynące z błogosławieństwa ze strony duchowego przywódcy, natomiast Sylwester wiedział z pewnością, jak trudno jest kierować Kościołem, gdy jest

się wyjętym spod prawa przez władze cywilne. Kiedy więc usłyszeli o tej młodej dziewczynie żyjącej w odległej osadzie, wiedzieli, że muszą działać szybko, jeśli chcą wyeliminować jeszcze jedno zagrożenie dla ich władzy.

Emisariusze reprezentujący Konstantyna i Sylwestra wyruszyli więc w drogę, by złożyć wizytę niezwyklej pannie – kontynuował Braun. – Kiedy dotarli na miejsce, okazało się, iż sytuacja jest jeszcze poważniejsza, niż początkowo im się wydawało. Zofia, choć miała wtedy zaledwie piętnaście lat, stała się zaczynem nowej religii, której wyznawcami byli już mieszkańcy osady, a z okolicznych terenów dochodzili coraz to nowi zwolennicy.

Braun wstał, odsunął krzesło i powrócił do opowieści.

– Kościół znów był rozdierany przez małe grupki, których wiara opierała się na różnicach w interpretacji świętych tekstów. Trwogę budziła w nich myśl o potędze i pokusie, jaką mogła tworzyć grupa zorganizowana wokół osoby o takiej sile ducha i charyzmie, jakimi cechowała się Zofia. Nie uszły ich uwadze nasuwające się porównania z samym Jezusem Chrystusem.

Braun ponownie usiadł na krześle.

– Poza tym – podjął, opierając łokcie na stole – ona była niewiastą. Żaden z apostołów uznanych przez ortodoksyjną teologię nie był kobietą. Kobiety...

– Przepraszam, Wasza Eminencjo...

– Neils.

Amerikanin zawahał się przez chwilę.

– Neils.

– Tak?

– Mówiłeś niczym prawnik, stwierdzając, że żaden z apostołów uznanych przez ortodoksyjną teologię nie był kobietą. Czy oznacza to, że wśród apostołów były także niewiasty, tyle że nieuznane później przez Ewangelię?

– Z całą pewnością – potwierdził Braun. – Najważniejszą wśród nich była Maria Magdalena. Ona i Piotr toczyli zresztą zagorzały spór.

– Wiesz o tym z tekstu Ewangelii gnostyków? Kardynał przytaknął.

– Z tego oraz innych świętych tekstów.

– I teksty te są równie wiążące, co księgi włączone do Biblii?

– Są równie ważne, ale były nad wyraz niewygodne dla Konstantyna oraz dla człowieka, który zbudował instytucję, jaka dotrwała do dziś dnia. Wiedz, że ostatecznie Piotr wygrał walkę o władzę z Marią Magdaleną i z tego właśnie powodu kobiety zostały zepchnięte do roli pomocników, drugorzędnych wyznawców w każdej wyznaniowej gminie. Chrześcijaństwo zapożyczyło od judaizmu i zinstytucjonalizowało doktrynę o dominacji mężczyzn w nowej religii, uzasadniając to przyczynami natury teologicznej „Ojciec nasz, któryś jest w niebie”. Dla nich Bóg jednoznacznie jest mężczyzną, podobnie jak jego syn. Przyznanie teraz, że Kościół mylił się pod tym względem, sprawiłoby, że papież stanąłby w ogniu krytyki także i w innych kwestiach.

Amerikanin siedział jak ogłuszony.

– Zrozumiałe jest więc – ciągnął dalej kardynał – że mężczyźni kierujący ówczesnym Kościołem byli ludźmi bardzo doświadczonymi i pragmatycznymi. Wiedzieli, że przetrwanie Kościoła zależy od przyciągnięcia do zjednoczonej ortodoksyjnej religii jak największej liczby wyznawców, bo to ograniczyłoby rozłamy i zaburzenia, tym samym pomagając Konstantynowi w skutecznym rządzeniu. Z tych powodów odarli chrześcijaństwo z wielu jego elementów i uprościli wymogi, jak zostać chrześcijaninem: wystarczyło recytować „Wyznanie wiary”, być ochrzczonym i stosować się do dekretów wydawanych przez władzę. Poznawanie zakamarków duszy i weryfikowanie dogmatów nie było mile widziane, a nawet zakazane, gdyż jedno i drugie mogło pobudzać do stawiania pytań. Z kolei droga wyznaczona przez gnostyków była trudna, wymagała wielkiego duchowego wysiłku ze strony wyznawców.

Zwycięstwo Kościoła wymagało również pójsia na ustępstwa wobec pogańskich Rzymian. Z tego właśnie powodu dzień poświęcony Solowi, bogowi słońca, stał się naszą niedzielą. Z tego samego powodu święto rzymskiego boga Mitry, wypadające 25 grudnia, zamieniło się w nasze Boże Narodzenie. Takich inkorporacji pogańskich obyczajów jest bez liku.

Na twarzy Amerikanina pojawił się wyraz bólu.

– Ale powróćmy do osoby Zofii. Co oczywiste, konieczne było podjęcie szybkich i zdecydowanych działań – kontynuował Braun. – Emisariusze nie dysponowali jednak czasem, by wysłać posłańca do Konstantyna czy Sylwestra, zatem samodzielnie podjęli historyczną decyzję.

Kardynał znów przerwał i wypił łyk herbaty.

– Najstarszym woluminem w Tajnym Archiwum Watyka nie jest gruba księga wypełniona drobnym pismem skryby z dworu Konstantyna, w której zawarte są relacje z rozmów z mieszkańcami osady. Pytano ich o Zofię i o jej życie; ich opinie zapisano i porównywano z wcześniejszymi. Na samym końcu zamieszczono zapis rozmów z Zofią. Kiedy zakończono spisywanie zeznań, przeczytano raz jeszcze wszystkie relacje i uznano, że są ze sobą zgodne. Posiadam kopie tych zeznań, przetłumaczone na język angielski z łacińskiego oryginału... jako lekturę dla ciebie.

Amerikanin przyjął to do wiadomości skinieniem głowy.

– I co stało się wtedy?

– Rzymscy legionieści wycięli wszystkich w pień.

– Wszystkich! Wszystkich mieszkańców osady?

Braun przytaknął.

– Wszystkich co do jednego. Pisarza, stu pięćdziesięciu mieszkańców osady i Zofię – kontynuował Braun, drżącym głosem. – Ciała pogrzebano. Po tygodniu, kiedy w jaskini służącej za masowy grób robiono oględziny ciał zawiniętych w całuny, okazało się, że jedno z żałobnych płócien było puste. Na całunie widniało odbicie piętnastoletniej dziewczyny.

Kardynał wstał powoli z krzesła i podszedł do Amerikanina. Położył dłoń na jego ramieniu.

– Jesteśmy strażnikami tego sekretnego Mesjasza – rzekł. – Musimy odnaleźć Pasję Zofii i dopilnować, żeby nikt na świecie nigdy nie poznał tajemnicy – albo ewentualności, że ona oraz Pan Jezus mogą być jedynie dwoma spośród wielu Mesjaszy zesłanych przez Boga, by nas nauczać lub poddać próbie. Ujawnienie tego sekretu rozsądziłoby w posadach naszą instytucję i na koniec otworzyło bramy przed wrogami wiary. Bo kiedy ludzie zaczną zadawać pytanie na jeden temat, zechcą je zadawać także na wiele innych. Jeśli dojdą do przekonania, że wcześniej ich oszukano, już nigdy nie odzyskamy ich zaufania. A to przyniosłoby jedynie niedolę i śmierć.

Amerikanin spojrział na niego.

– Przykro... przykro mi, że o to zapytałem. Nie... nie miałem pojęcia. Chyba tak naprawdę nie chciałem tego wiedzieć.

– Prawda nie zawsze czyni wolnym – odparł Braun. – Zwłaszcza kiedy jesteś jednym z tych, którym wyznaczono misję niedopuszczenia, by jej moc wywarła szkodliwy wpływ na setki milionów twoich braci chrześcijan.

Rozdział 7

W strząsany dreszczami Ridgeway przywarł do betonowego filaru pod pomostem. Przez wąską szczelinę między kadłubami łodzi obserwował, jak dwaj mężczyźni zanoszą ciała swych towarzyszy na nabrzeże. Była pora odpływu. Ściany nadmorskiego wału okalającego przystań wyłoniły się wokół niego niczym ogromny klif.

Walcząc z zimnem, Ridgeway rozważał, czy warto płynąć dalej. Uznał ostatecznie, że jest to raczej pozbawione sensu. Płynąc w kierunku głównego kanału, nurkując głęboko między poszczególnymi pomostami i wynurzając się tylko w pobliżu dających gwarancję względnego bezpieczeństwa łodzi zdołał pokonać jedynie dystans dzielący trzy pomosty.

Chłód przenikał go do szpiku kości, wypędzając nawet tę odrobinę ciepła, jaką zawdzięczał fizycznemu wysiłkowi. W tej chwili był w stanie wyłącznie trzymać się kurczowo betonowego filara. Wiedział, że albo wydobędzie się na nabrzeże i stawi czoło napastnikom, albo umrze w wodzie z wyziębienia. Wielokrotnie słyszał opowieści o wychłodzeniu organizmu, o tym, jak anielsko przyjemne jest zapadanie w stan nieprzytomności. Podobno ci, których przywracano do życia, mieli niejednokrotnie żal do ratujących. Zamknął oczy i poczuł, jak napięcie ustępuje.

Woda była ciepła, a Zoe siedziała za sterem. Wciągnęli duży przedni sztaksel, obserwowali, jak na horyzoncie przesuwa się wysepka Salt Cay. Ridgeway zerknął na kompas oraz na mapę rozłożoną na kolanach. Wyspa Jost Van Dyke leżała gdzieś tam przed nimi. Odchylił twarz ku słońcu i pomyślał o świeżych homarach oraz pina coladzie serwowanej w restauracji Foxies. Zamknął oczy i pozwolił, by słońce wciskało się krwistymi barwami pod powieki. Poczuł dłoń Zoe na włosach i...

Nagle zakrztusił się słoną wodą. Pod powieki dostał się brudny szlam. Musiał koniecznie puścić filar! Zaczynał tonąć. Ramiona były jak przymarzniete, a nogi wydawały się sztywne i pozbawione życia, ale powiedział sobie, że musi się ruszyć i, o dziwo, dolne kończyny wykonały polecenie. Głowa wysunęła się ponad powierzchnię i łączywie chwycił powietrze. Starał się nie czynić żadnego hałasu, mimo iż szalejący wokoło sztorm zagłuszał niemal wszystko. Po jego prawej stronie śmignął pędzony wiatrem koniec liny zwisającej z nabrzeża. Ridgeway raz jeszcze z desperacją uderzył

nogami wodę i sięgnął w kierunku jej końca. Nie udało się. Raz jeszcze zanurkował i wynurzył się kawałek dalej, w miejscu, w którym jego dłonie bez trudu złapały linę. Podciągnął się do góry; okazało się, że była to lina cumownicza rozpięta między pomostem a niedużą motorówką. Podciągał się dalej, aż zdołał chwycić się belki pomostu, do której przywiązana była lina. Rozejrzał się. Dziwaczna kabina oraz nadbudówka motorówki przesłaniały widok na pobliskie nabrzeże.

Przełożył jedną nogę ponad linę cumowniczą, drugą wsparł na pomoście. Przez jedną długą chwilę miał wrażenie, że jego ciało po prostu zamarzło wisząc w przestrzeni, niczym orzeł z rozpostartymi skrzydłami, idealnie naprężone. W następnej leżał już na pomoście, a krople deszczu uderzały go w twarz. Obrócił głowę i ciężko chwycił ostre, wilgotne powietrze, pokaszując cicho.

Powoli oparł się na łokciach i usiadł. Po lewej stronie, na drugim końcu akwenu dostrzegł oddalającego się mężczyznę. Seth wstał ostrożnie i czekał, aż minie odrętwienie. Potem ruszył w kierunku głównej części pomostu. Prawa ręka odruchowo szukała w kieszeni szlafroka pistoletu, ale był tam jedynie gruby plik banknotów. Odpędził z głowy myśli o broni oraz pieniądzach i szedł dalej.

Przedtem zasłaniała go duża motorówka, teraz jednak, kiedy szedł w stronę głównego pomostu, widział wyraźnie plot na szczycie wału ochronnego oraz budynki stojące za nim. Tyle że nie tylko on więcej widział, inni także mieli go teraz jak na talerzu.

Ruszaj! Ponaglał sam siebie. Biegając, pokonał szybko dystans dzielący go od stromej rampy prowadzącej na brzeg. Poszukał wzrokiem drugiego mężczyzny. Co się z nim stało? Gdzie się skrył? Gdy był już blisko rampy, zatrzymał się przy bukszprycie dużego kecza i przyjrzał się uważnie górnej linii wału. Nie dostrzegł ani śladu postaci w żółtym, błyszczącym płaszczu przeciwdeszczowym.

Ale czy tamten go widział? Może czatował na górze, ukryty przed jego wzrokiem? Ridgway wiedział jednak, że musi iść. Musiał wejść na szczyt rampy, bez względu na to, co miało go tam spotkać. Jeśli zostanie na pomoście, zginie. Wziął głęboki oddech, opanował dreszcze i ruszył w górę rampy.

Był już niemal na szczycie, gdy kątem lewego oka dostrzegł coś żółtego. Rzucił się i leżał na brzuchu. Jaki miał wybór? Wejść na rampę i stanąć twarzą w twarz z

uzbrojonym mężczyzną albo zejść na dół, gdzie wystawi się na śmiertelny strzał. Zaczął czołgać się w górę.

Tuż przed szczytem zebrał resztki sił, zerwał się na równe nogi i ruszył biegiem w kierunku samochodów. Minał czarnego sedana zabójców, potem toalety. Czuł pod bosymi stopami asfalt; ucieszył się, gdyż oznaczało to, że odzyskał czucie w nogach. Minał swoje auto – kluczyki były gdzieś na Walkirii – i popędził w stronę limuzyny. Bez względu na to, co zrobili Benjaminowi, kluczyki najprawdopodobniej wciąż tkwiły w stacyjce. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Przeskoczył wąski kanał burzowy, przedarł się przez rząd rachitycznych krzewów i dobiegł do limuzyny. Mimo odgłosów szalejącego sztormu słyszał własny oddech. Oparł się ciężko o maskę samochodu i spojrzał za siebie. Jeden z mężczyzn biegł w poprzek nabrzeża, potem zwolnił. Drugi wciąż stał przy płocie jakieś czterdzieści do pięćdziesięciu metrów od niego.

Podjął decyzję. Zdecydowanym ruchem odepchnął się, stanął na chwiejnych nogach i podszedł do drzwi limuzyny od strony kierowcy. Otworzył. Otoczył go intensywny, ciepły, miedziany zapach krwawej śmierci.

Kiedy był jeszcze świeżo upieczonym policjantem, dokonywał oględzin miejsc wypadków drogowych, widział więc wiele zmiądzonych, często zmasakrowanych ciał. Potem jako detektyw z wydziału zabójstw widział perwersyjnie okaleczanych ludzi, nigdy jednak nie widział czegoś równie odrażającego.

Ochroniarz siedział na środku przedniego fotela z rozłożonymi nogami i rękoma, które przywiązano sznurem do drzwi oraz innych elementów auta. Mężczyzna był całkowicie obnażony; równe, chirurgiczne cięcie biegło od owłosienia łonowego po mostek, a wnętrzości wylewały się na zewnątrz na tapicerowane siedzenie.

Nagle Ridgeway usłyszał jęk. Benjamin wciąż jeszcze żył. Obrócił ku niemu bładą jak popiół twarz, podniósł powieki, a po kilku sekundach w jego oczach pojawił się smutny blask rozpoznania. Otworzył usta, lecz zamknął nie wypowiadając nawet słowa, jak gdyby był to wysiłek ponad siły. Potem oczy zamknęły się, a ogromna głowa opadła bezwładnie na piersi.

Ridgeway poczuł, jak przechodzą go ciarki. Poruszał ustami, jak ryba wyciągnięta z wody. W końcu oderwał wzrok od Benjamin i z najwyższym trudem zmusił nogi do

pracy. Cofnął się, obrócił, chcąc dalej biec, ale zobaczył przed sobą młodego mężczyznę z nożem w jednej dłoni, a pistoletem maszynowym wyposażonym w tłumik w drugiej. Na twarzy napastnika pojawił się uśmiech triumfu.

– Czekaliśmy na ciebie. – Mężczyzna mówił z wyraźnie obcym akcentem. Spojrzał na przednie siedzenie limuzyny i dodał: – Benjamin i ja.

Facet ubrany był w dżinsy i wiatrówkę nałożoną na sweter, a na nogach miał buty do biegania. Ubranie było przemoczone do suchej nitki, krótkie włosy przylgnęły do głowy. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat, miał szczupłą sylwetkę typową dla długodystansowca.

Ridgeway cofnął się bez słowa. Czuł, jak zimny metal wpija się w jego plecy. Miał nadzieję, że lodowaty spokój oraz instynkt starego policjanta, który tyle razy ratował mu skórę, nie zawiedzie go również i tym razem. Rozejrzał się desperacko dookoła; jego oczy szukały wsparcia, broni lub drogi ucieczki.

Szczęknienie pistoletu maszynowego ponownie przyciągnęło jego uwagę; mężczyzna stał jak zawodowiec poza zasięgiem ramion Ridgeway, dostatecznie jednak blisko, żeby udaremnić wszelkie próby ucieczki.

– Nawet nie próbuj uciekać – odezwał się, jak gdyby czytał w myślach Ridgeway. – Mamy ze sobą do pogadania.

– Masz na myśli pogawędkę, jaką odbyłeś z... Benjaminem – odparł Ridgeway, usiłując nie patrzeć na ludzkie wnętrzości rozlane na przednim siedzeniu.

– Jeśli będzie to konieczne.

Ridgeway zmusił się do skupienia uwagi na mężczyźnie, jego słowach, chcąc w ten sposób oderwać myśli od tamtego, zaszlachtowanego jak rzeźne zwierzę, od zimna oraz od niebezpieczeństwa.

– Nie sądzę, że to ci będzie potrzebne – powiedział, wskazując na nóż.

– Trzymaj ręce przy sobie – warknął tamten, potem teatralnym gestem złożył nóż i schował go do kieszeni. – Wystarczy minuta, a przekonamy się, czy będzie ci potrzebna tego rodzaju motywacja. Wsiadaj na tylne siedzenie.

Myśl o znalezieniu się wewnątrz auta, w którym unosił się ciepły i słodki zapach śmierci, sprawiła, że żołądek podszedł Ridgewayowi do gardła, ale nie miał żadnego wyboru.

– Jeśli zajrzysz do środka, zobaczysz dwie pary kajdanek. Jedne przypięte do uchwytu w drzwiach, drugie przyczepione do wspornika przedniego siedzenia. Usiądź, a ja pokażę ci, jak masz się w nie skuć.

Ridgeway usiadł na przesiąkniętej krwią tapicerce.

– Spójrz w drugą stronę – powiedział mężczyzna, przesuając się bliżej, by mieć Ridgewayą na muszce. – Przekonasz się że oba wolne końce kajdanek nie są zapięte. W górne kajdanki zapniesz lewą rękę, w dolne lewą nogę.

Ridgeway zrozumiał, że facet zamierzał rozpruć mu brzuch bez względu na to, jak bardzo skłonny okaże się do współpracy.

W tej samej chwili Benjamin wydał przeciągły, niski jęk z głębi umęczonego ciała. Jęk stawał się coraz bardziej donośny i przenikliwy, aż w końcu wyparł i zablokował w głowie Ridgewayą każdą inną myśl poza tą o ucieczce. Skoczył więc ku drzwiom po drugiej stronie auta, wołając szybką śmierć od kul niż powolne konanie z rozprutym brzuchem, ale nie otworzyły się. Uderzał desperacko w drzwi, potem w szybę, rozwalając ją pięścią.

Seria z automatu położyła kres potwornym jękom Benjaminą. Ridgeway wzdrygnął się z obrzydzeniem, gdy żółtobiały strzep tkanki mózgowej chlapnął w bok jego głowy, reszta rozbryznięła się na szybie. Po sekundzie usłyszał głos zabójcy:

– Załóż kajdanki.

Ridgeway obliczał, jak szybko zginie od kul, jeśli rzuci się teraz na zabójcę, gdy zauważył niewyraźną plamę, poruszającą się tak szybko, że zlewała się z szarym deszczem.

Ułamek sekundy później dostrzegł jakieś ramię, które uderzyło napastnika od tyłu w głowę. Mężczyzna odruchowo pociągnął za spust pistoletu. Ridgeway rzucił się na podłogę limuzyny, a kule uderzały w zamknięte drzwi i odbijały się rykoszetem w dach. Seth spojrzął i zobaczył najpierw zdumienie w oczach leżącego, potem ból. W końcu mężczyzna zamknął oczy, a mięśnie jego twarzy zwiotczały.

Siadając, Seth obserwował, jak ciało tamtego osuwa się na bok. Potem przez otwarte drzwi dojrzał dwie ochlapane deszczem nogi odziane w szare spodnie, a ponad nimi granatową wiatrówkę. Nie widział twarzy swego wybawcy; jedna z rąk wyciągnęła długi, składany traperski nóż z pleców zabitego, druga wyjęła chusteczkę z tylnej

kieszeni spodni i starła krew z ostrza. Dłonie złożyły nóż, potem jedna z nich wsunęła go do kieszeni wiatrówki. Moment później mężczyzna pochylił się.

– Ridgeway? Ridgeway, nic ci się nie stało?

Ridgeway podniósł wzrok i ujrzał gładko ogoloną twarz George'a Strattona. Przez moment jedyną rzeczą, o jakiej był w stanie pomyśleć, był kiepski bekhend, którym tamten popisywał się w Zurychu.

Rozdział 8

Zoe podążała za Zwalistym przez zakamarki i ciemne korytarze magazynu. Cicho pobrzękiwały kajdanki, którymi skuto jej nadgarstki. Za nimi, w milczeniu, szła Thalia. Kierowali się w stronę dużego obiektu znajdującego się pośrodku rozległego magazynu, który przypominał sceniczne dekoracje oraz plac budowy niedokończonego domu. Budynek, posadowiony bez fundamentów, bezpośrednio na betonowej, brudnej teraz posadzce, miał płaski dach. Pod sufitem ciągnęły się liczne splecione przewody, ledwo widoczne w panującym mroku.

Sto dziewięćdziesiąt sześć, Zoe liczyła w myślach kroki. Sto dziewięćdziesiąt siedem, sto dziewięćdziesiąt osiem.

Zatrzymali się przed metalowymi drzwiami znajdującymi się na węższej ścianie obiektu. Sto dziewięćdziesiąt osiem kroków od celi, w której pracowała. Każdego dnia sto dziewięćdziesiąt osiem kroków w tamtą stronę i sto dziewięćdziesiąt osiem kroków z powrotem. Ta monotonia początkowo działała jej na nerwy, ale w miarę jak upływały kolejne miesiące, wędrówki te stały się dodającym otuchy rytuałem, określającym fizyczne granice jej egzystencji.

Zwalisty otworzył drzwi, przeszedł przez próg, bezpardonowym szarpnięciem wciągając za sobą Zoe. Chwilę później światło zalało pomieszczenie o nijakich ścianach. Z sufitu zwisało mnóstwo lamp, dlatego nie było tu prawie zupełnie cieni.

We wnętrzu urządzono elegancką galerię; w jednym końcu pomieszczenia był kącik wyposażony w meble w stylu Bauhausu oraz Mięsa van der Rohe, wykradzione z rezydencji Willi Maxa, w przeciwnym stanowisko robocze oraz miejsce, gdzie eksponowano dzieła sztuki. Były tu stoły wyposażone w podstawowe narzędzia do wyjmowania płócien z ram, lampy ultrafioletowe, pozwalające wykryć przeprowadzone zabiegi konserwacyjne, spirytus laboratoryjny, rozpuszczalniki oraz inne chemiczne odczynniki przeznaczone do wykonywania prób oraz czyszczenia, a także sztalugi z obrazami, blaty zarzucone rzeźbami, figurkami, relikwiarzami i niezwykle wyrobami jubilerskimi.

Kiedy zjawiali się potencjalni klienci, część roboczą zasłanianą specjalnymi parawanami. Do prowadzenia pertraktacji zmuszono Thalię, a chcąc mieć pewność, że

zrobi wszystko, by otrzymać najwyższą możliwą cenę, jej prowizję przeznaczono na spłatę długów ojca. Niektórzy kupcy okazywali się szanowanymi kustoszami ze znanych muzeów lub przedstawicielami bogatych kolekcjonerów; zostawiali moralność przed drzwiami, byle tylko zdobyć nowo odnalezione, bajeczne dzieła. Popijali drogie francuskie wina pochodzące z piwnic Maxa, zrabowane wraz z jego kolekcją, i oglądali zaaranżowaną dla nich naprędce ekspozycję. Wypisywali czeki, zaspokajali chciwość i ambicje. A następnego poranka Zoe stwierdziła brak kilku kolejnych dzieł.

Wszystko to składało się na dramat, który powoli zbliżał się do finału. Zoe nie miała wątpliwości, że kiedy sprzedane zostaną ostatnie dzieła sztuki, porywacze się jej pozbędą. Ale tego wieczora entuzjazm wobec dzieł sztuki raz jeszcze odpędził myśli o śmierci, przynajmniej do czasu, kiedy znów pozostanie sam na sam ze swoimi myślami.

Zoe i Thalia udały się na koniec pomieszczenia, tam gdzie stały sztalugi i stoły. Z tyłu za nimi trzasnęły drzwi; Zwalisty wyszedł. Chwilę później z zewnątrz dobiegł odgłos zamykanego rygla. Były to jedyne drzwi i jedyny otwór w ścianach tego pomieszczenia.

– Zostawiłam je dla ciebie – powiedziała Zoe, kiedy dotarli do narożnika, który ostatnio nazwały Zakątkiem Falszerzy. Przed sobą miały płótno Vermeera, dużą srebrną paterę ze sceną wygnania Adama i Ewy z Rajskiego Ogrodu, dwa niemal identyczne dzieła Renoira, z których jeden w oczywisty sposób był kopią drugiego, srebrny relikwiarz w kształcie palca wskazującego oraz kolekcję blisko tuzina dzieł Corota.

– Reszta została skatalogowana, sprzedana i wysłana.

– Kiedy wieści się rozniosą, kilku słynnych znawców sztuki straci swą pozycję – skomentowała Thalia.

– Zasługują na taki los – odparła ostro Zoe.

Thalia z uwagą przyglądała się falsyfikatom.

– Cóż więc jest podejrzanego w tym dziele – zapytała, wskazując na srebrną paterę.

– To przepiękna rzecz – odparła Zoe. – Naprawdę wyjątkowa, ale nie pochodzi z piątego stulecia, jak wynika z metryczki.

– Po czym poznajesz?

– Po listkach figowych zasłaniających przyrodzenia.

– Mianowicie?

– Taki przejaw pruderii jest charakterystyczny dla końca epoki renesansu – wyjaśniła Zoe. – Kiedy oryginalna patera powstawała, nikomu się nawet o tym nie śniło. Seks został uznany za czynność brudną i grzeszną dopiero po zakończeniu pierwszego milenium, kiedy to Kościół katolicki doszedł do rzeczywistej władzy.

– Cholera! – zakląła Thalia i uderzyła się dłonią w czoło. – Ależ oczywiście! Wiedziałam o tym! Dlaczego nie przyszło mi to do głowy?

– Sądząc z dokumentacji, wielu sławnym ludziom też nie przyszło to na myśl.

– Ale dlaczego?

– Być może zaślepiła ich piękno. Albo, czego nie da się wykluczyć, pragnęli wierzyć, że dzieło jest takie stare. Sztuka jest domeną umysłu, podobnie jak to, w co wierzymy. Człowiek pragnie wierzyć, ponieważ może potem uzyskać wyższą cenę za dzieło autentyczne.

Thalia zamruczała pod nosem z aprobatą, potem wskazała na dwa płótna Renoira.

– W moich oczach jedno z tych dzieło jest oczywistym falsyfikatem. Brakuje mu finezji.

Zoe zachichotała.

– Tak naprawdę obydwa obrazy są dziełem Renoira. Kiedy potrzebował pieniędzy, sam w pośpiechu kopiował te ze swych płócien, które sprzedawały się najlepiej.

– Oczywiście – odparła Thalia. – Powinnam pamiętać także o tym. To dlatego, że od bardzo dawna nie handlowałam sztuką bardziej współczesną. Niemal wszystko, co sprzedałam w ostatnich paru latach, liczyło sobie sześć lub osiem tysięcy lat, a nawet więcej.

– Nie powinnaś się załamywać – pocieszyła ją Zoe.

– I tu rodzi się kwestia prawa wykonywania zawodu – odrzekła Thalia, spoglądając na przemian to na jedno, to na drugie dzieło Renoira. – Chodzi mi o to, że jest to prawdziwy Renoir, ale...

Na moment pogрузzyła się w myślach.

– Moim zdaniem nie ma nic negatywnego w tym, że artysta kopiuje sam siebie.

– Absolutnie nic – zgodziła się Zoe. – Niektórzy, jak Renoir, robili tak dla

pieniędzy. Innym bardzo podobała się idea kilkakrotnego powrotu do tego samego tematu. Ale, co jeszcze ważniejsze, moim zdaniem wielu artystów powracało do dzieł raz już stworzonych, ponieważ w pewnym momencie dochodzili do przekonania, iż stali się lepszymi malarzami czy rzeźbiarzami i pragnęli oddać sprawiedliwość tematom, które ich fascynowały.

Thalia przytaknęła powolnym ruchem głowy, pogrążając się w rozważaniach na ten temat. Ciszę wypełnił basowymi dźwiękami przytłumiony stukot pociągu, podłoga pod ich stopami lekko zadrżała.

– W porządku, a co powiesz o Vermeerze? – odezwała się w końcu Thalia, wskazując na płótno Józef w Egipcie wyjawia braciom własną tożsamość”.

– O Vermeerach. Liczba mnoga – sprostowała Zoe, pochylając się do przodu i wyciągając drugie płótno schowane za pierwszym. – W rzeczywistości mamy dwa płótna.

– Zoe! – Twarz Thalii wyrażała pełne zaskoczenie. – Ten Vermeer... „Cud w Galilei”... – Wskazała na drugi obraz. – Co to płótno tutaj robi?

– Dodałam je do kolekcji dzisiaj po południu, na chwilę przed tym, jak skończyłyśmy pracę. Stało w kącie. Wcześniej jakoś uszło mojej uwadze.

– To jest...

– Uhm... – przytaknęła Zoe. – Bez cienia wątpliwości jeszcze jeden Van Meergeren. Wszystkie dzieła Vermeera w tej kolekcji okazały się falsyfikatami, z wyjątkiem płótna, którego widok tak bardzo mnie poruszył tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy złożyłam wizytę Maxowi.

Hans van Meergeren był chyba najslawniejszym współczesnym fałszerzem sztuki. Holenderski malarz o wielkich umiejętnościach, pobawiony inspiracji i oryginalnych pomysłów, zasłynął dzięki falsyfikatom dzieł geniusza z Delft, Jana Vermeera. Obrazy te, pochodzące rzekomo z „utraconych lat” Vermeera spędzonych we Włoszech, zyskały powszechną akceptację licznych kolekcjonerów oraz muzealnych kustoszy. Prawda wyszła na jaw po zakończeniu II wojny światowej, kiedy Meergerena oskarżono o kolaborację z nazistami i wyprzedaż dzieł należących do dziedzictwa narodowego. Chcąc ocalić własną skórę, van Meergeren przyznał, że obrazy, które sprzedał nazistom – wliczając w to płótno „Chrystus i cudzołożnica”, zakupione przez

Hermann Goringa – były falsyfikatami, które wyszły spod jego pędzla.

– Jesteś tego pewna?

– O co chodzi, skarbie? – zapytała Zoe, dotykając delikatnie ramienia Thalii.

Upłynęła chwila, zanim Thalia uspokoiła się.

– Ten obraz należy do mnie – wyznała w końcu.

– Och, nie. – Głos Zoe był teraz niski i głuchy. – Och, nie, nie.

Thalia przytaknęła. – Jak to możliwe?

– Pomyślałam sobie, że skoro przyjeżdżają tu najwięksi kolekcjonerzy, sprzedam część zbiorów mojego ojca. To była duma jego kolekcji.

– Przykro mi – rzekła Zoe.

Thalia pokręciła głową z niedowierzaniem. Pochyliła się nad obrazem, a potem cofnęła się. Ciężko westchnęła i spojrzała w stronę Zoe.

– Nie masz co do tego wątpliwości? Zoe zrobiła smutną minę.

– Chciałabym mieć – odpowiedziała szczerze.

– Ale skąd? Skąd masz pewność? W moich oczach obydwa obrazy wyglądają na autentyczne dzieła Vermeera.

Zoe przytaknęła.

– Nie potrafię wyjaśnić, jak to się dzieje. Spoglądam na dzieło, a ono... przemawia do mnie i wiem niemal natychmiast, czy jest to falsyfikat, czy też oryginał.

– Przemawia do ciebie?

Zoe zawahała się.

– Seth jest jedyną osobą, która o tym wie – powiedziała ostrożnie.

Thalia spoglądała na nią wyczekująco.

– Zawdzięczam tobie życie – podjęła Zoe. – Ja... zżyłyśmy się jak siostry. Nie wiem jednak, czy mogę powierzyć ci ten sekret?

Thalia przytaknęła.

– Kiedy patrzę na obrazy, na kolory, słyszę dźwięki – zaczęła powoli.

Thalia zmarszczyła brwi, jak gdyby nie w pełni rozumiała słowa Zoe.

– Dźwięki?

– Czerwony to tony średnio niskie, jak wiolonczela, żółty to dźwięki bardzo wysokie, jak pikolo.

Na twarzy Thalii pojawiło się nieopisane zdumienie.

– Zawsze słyszałam kolory – kontynuowała Zoe. – Odkąd sięgam pamięcią. Sądziłam, że każdy je słyszy. W miarę jak dorastałam, rodzice martwili się tym coraz bardziej. Matka doszła nawet do przekonania, że to sprawka demonów, a cała parafia modliła się za mnie w każdą niedzielę. Ojciec natomiast zaprowadził mnie ukradkiem do psychiatry, na którego tak naprawdę nie było nas stać – i to była przyczyna sporu, który ciągnął się przez pięć lat. Lecz psychiatra niemal natychmiast zdiagnozował u mnie synestezję. Ulżyło mi bardzo, że nie jestem świrem.

– Uhmhhh – odezwała się Thalia, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Synestezja jest wyłącznie niegroźnym kojarzeniem ze sobą wrażeń pochodzących z różnych zmysłów – można to przyrównać do błędnie połączonych rozmów na centrali telefonicznej. Niektóre osoby cierpiące na tę przypadłość czują smak kształtów, inne odbierają kolory zmysłem powonienia. Psychodeliczne narkotyki, jak LSD czy peyotl wywołują podobne doznania, ale prawdą jest, że jedna osoba na 25 000 jest z natury dotknięta tym fenomenem. Prawdopodobnie dlatego, że w ich mózgu określone synapsy utrwaliły się jeszcze przed przyjściem na świat. Większość synestetyków to leworęczne kobiety – dokładnie tak jak ja – a najczęściej spotykaną formą tej anomalii jest postrzeganie kolorów wyzwalanych przez dźwięki – wprost przeciwnie do mojego przypadku.

– Zdumiewające – powiedziała cicho Thalia. – Sądziłam, że obecnie sztuka rozpoznawania falsyfikatów nie bazuje na intuicji, lecz na naukowych podstawach. No wiesz, datowanie izotopem węgla C14, analizy spektrograficzne... i temu podobne rzeczy.

Zoe uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową.

– Na każde osiągnięcie nauki fałszerze odpowiadają sposobem jego obejścia. Nieuczciwość jakoś daje sobie radę z dotrzymaniem tempa postępowi naukowemu – cóż, chciwość i ambicje gwarantują, że tak właśnie się dzieje. Tak więc van Meegeren też znalazł sposób – sięgał po siedemnastowieczne płótna pośledniej wartości, zdrapywał z nich powłoki malarskie aż po oryginalne gruntowanie, zwykle była to cienka powłoka beżowej farby i gipsu. Potem malował zupełnie nowy obraz, używając mieszanych ręcznie farb, wykorzystując barwniki takie same jak te używane przez Vermeera. Jeśli

zastosuje się spektrograf do zbadania autentyczności pigmentu, próba wypadnie pozytywnie. Oczywiście czasem może przejść nawet bakelit lub grunt na bazie oleju z bzu, ale wtedy trzeba po prostu o tym wiedzieć i wykonać dodatkowe testy. Okienko nauki jest bardzo wąskie, natomiast paleta oszustów bardzo szeroka.

– Hmmm – mruknęła Thalia.

– Poza tym ludzie zajmujący się sztuką zwykle mają bardziej aktywną prawą półkulę mózgu; nie stosują naukowych metod ani instrumentów z odpowiednim rygiem lub konsekwencją – podkreśliła Zoe. – W większości przypadków testy metodami naukowymi są prowadzone w celu zweryfikowania przeczuć. Prawie zawsze najpierw głos zabiera intuicja.

– Ale jest przecież wielu dobrych specjalistów od wykrywania fałszerstw, którzy nie cierpią na twoją syntezę...

– Synestezję.

– Tak, na tę przypadłość. Ale te zwarcia w twoim mózgu nie zamieniły ciebie od razu w specja od falsyfikatów. Jako mała dziewczynka z pewnością nie błagałaś rodziców, by zabrali cię do Getty Museum, żebyś mogła tam pokazać wszystkie zebrane falsyfikaty.

– To prawda – potwierdziła Zoe. – Wrodzona zdolność wymagała treningu. Nie miałam pojęcia, że ten szósty zmysł kiedykolwiek mi się przyda, ale ponieważ wiązał się z barwą mi i muzyką, moja edukacja podążyła w tym właśnie kierunku. Moim zdaniem wykształcenie przypominało do pewnego stopnia oprogramowanie komputerowe, które w mojej głowie stopniowo się rozwijało. Nie mogłam przecież wiedzieć, że za każdy razem, kiedy spoglądałam na dzieło sztuki, stojąc przed nim całymi godzinami, wchłaniając pociągnięcia pędzla, sposób, w jaki światło padało na rzeźbę, kształt twarzy, drapowanie szat – milion rzeczy, których nie byłam w stanie wyrazić słowami, które jednak zaczęły generować w moim umyśle muzykę, programowałam mózgowe synapsy.

– Tu chyba przesadziłaś z uduwnieniami – wtrąciła sceptycznie Thalia. – Nie dźwięki, lecz muzykę?

Zoe przytaknęła.

– Prawda, że to ma sens? Żółcie pikolo, czerwienie wiolonczele, czerń kotły – wszystkie kolory obrazu – albo wszystkie odcienie szarości marmurowej rzeźby.

Wszystko to przekładało się na koncert orkiestry symfonicznej. Bardziej proste dzieła brzmiały jak utwory rockowe, jazzowe lub rhythm and bluesowe. Im bardziej zgłębiałam sferę muzyki, tym więcej było form, w jakich przemawiała do mnie sztuka.

– Muzyka w twojej głowie.

Zoe znów potwierdziła skinieniem głowy.

– W mojej głowie.

– W Rosji zamykają ludzi w wariatkowie po to, żeby nie wyrządzili sobie krzywdy – wtrąciła Thalia, mrugając porozumiewawczo. – Jesteś pewna, że nie słyszysz cichych podszeptów – no wiesz, Marsjanie, agenci CIA czy co tam jeszcze – które każą ci zabijać ludzi?

Wybuchnęły śmiechem i napięcie opadło.

– Zatem jak brzmi mój Vermeer? – zapytała z wahaniem Thalia.

Zoe obróciła twarz w stronę obrazu. – Jak światowej klasy orkiestra, w której fałszuje sekcja instrumentów smyczkowych – odparła po krótkiej chwili.

– Fałszujące instrumenty smyczkowe?

Zoe przekrzywiła głowę i zacisnęła wargi, szukając przez chwilę odpowiednich słów.

– Instrumenty smyczkowe brzmią subtelnie – odezwała się w końcu. – Popatrz tu... – Wskazała dłonią na obraz. – Jest w nim cudowne, głębokie światło, niemal jak zamazanie światła, jakie przywykliśmy kojarzyć z Vermeerem. Jaskrawe plamy i głębokie realistyczne cienie również w pełni odpowiadają pierwowzorowi.

– To te klasowe sekcje orkiestry?

– Racja – przytaknęła Zoe. – Ale spójrz na twarze tych ludzi.

Wskazała postać Chrystusa, potem przesunęła palec w kierunku tłumu zgromadzonego wzdłuż brzegu.

– Należy zacząć od tego, że są masywni i przysadziści. Nie kryją się w nich dusze ani żadne uczucia. I spójrz na łódź rybacką wyciągniętą na brzeg – jest wciśnięta na siłę i pod żadnym względem nie trzyma proporcji. Vermeer miał bzika na punkcie dokładności oraz precyzyjnej perspektywy.

Thalia pochyliła się do przodu.

– Tak – potwierdziła, przechylając głowę, następnie wstała i spojrzała na Zoe. –

Masz rację. Nigdy wcześniej tego nie dostrzegałam.

Na koniec westchnęła z rezygnacją.

– Z pewnością rozpraszały cię zdumiewająca świetlistość obrazu oraz cudowna gra światła i cienia, którą zdołał uchwycić malarz – tłumaczyła Zoe. – Z pewnością rozum podpowiadał ci, że skoro te elementy były aż tak doskonałe, należało wyciszyć sceptycyzm.

– To fascynujące – odparła Thalia. – Naprawdę fascynujące. Ale skąd twoja głowa wie, jak odróżnić dobrą muzykę od hałasu? Jak nauczyła się odróżniać fałszywe utwory od tych autentycznych, które brzmią jak Bela Bartok?

Zoe wybuchnęła śmiechem.

– Prawdę mówiąc, autentyczny Jackson Pollock zamieniony na muzykę Bartoka nie brzmi najlepiej.

Thalia zawtórowała jej śmiechem. Kiedy po chwili doszły do siebie, Zoe zaczęła tłumaczyć:

– Jeszcze raz programowanie. Każde szanujące się muzeum i galeria sztuki posiadają piwnice lub usytuowane gdzieś na zapleczu pomieszczenia, w których przechowywane są znane falsyfikaty. Akademicy mogą tam obejrzyć dzieła, które w niezbyt sposób są fałszerstwami. Ale nawet najbardziej wytrawni kolekcjonerzy dają się od czasu do czasu wystrychnąć na dudka. Najuczciwszym sposobem byłoby za branie falsyfikatów z wystaw i galerii i udostępnienie ich ekspertom, którzy mogliby uczyć się na własnych błędach. Ale są muzea, które za nic nie chcą się przyznać do pomyłki, ponieważ boją się obrazić wpływowych darczyńców lub członków honorowych komitetów. – Przerwała na chwilę. – W każdym razie oceniam, że spędziłam dobrych parę lat życia na węszeniu po archiwach, w których gromadzono falsyfikaty, porównując podróbki z oryginałami.

Thalia patrzyła wzrokiem pełnym uwielbienia na swojego „Vermeera”, a potem zapytała:

– Czy to naprawdę ma znaczenie?

– Czy co naprawdę ma znaczenie? – odpowiedziała pytaniem Zoe, zaskoczona nagłą zmianą toku ich rozmowy.

– Jeśli obraz jest źródłem radości... jeśli nawet eksperci nie są w stanie stwierdzić

oszustwa, czy dla właściciela albo publiczności ma znaczenie fakt, że obraz namalował ktoś inny? – Thalia znów popatrzyła na obraz. – Kochałam to płótno od czasów, gdy byłam małą dziewczynką.

Kiedy spojrzała na Zoe, w jej oczach pojawiły się łzy.

– Oczywiście, że ma znaczenie – odparła Zoe, usiłując złagodzić nieco stanowczy charakter własnych przekonań. – Obdarzanie uczuciem podrabianego obrazu jest jak... miłość do niewiernego mężczyzny... albo, dajmy na to, do fałszywego boga. Jest niewłaściwa, jest... jest zła.

– Czy jest także złem, jeśli twoje serce o tym nie wie? I nigdy się nie dowie?

– Chcesz przez to powiedzieć, że lepiej nie wiedzieć? – obruszyła się Zoe.

– Być może – odparła Thalia. – Być może.

Zoe pokręciła głową, zdecydowanie zaprzeczając.

– Nie kupuję tego. Po prostu nie mogę. Wierzę po prostu, że... – Ugryzła się w język i przełknęła ostre słowa, które nie niosły pocieszenia, a mogły jedynie pogłębić ból, jaki od czuwała Thalia.

Thalia dotknęła delikatnie jej ramienia.

– Wiem, w co wierzysz i jak głęboko w to wierzysz. Nie sugeruję, że niewiedza jest najlepszym rozwiązaniem, lecz uważam, że ludzie, którzy wybierają niewiedzę, są często najszczęśliwsi – wraz ze swoim Bogiem lub towarzyszem życia...

Spojrzała na swojego „Vermeera”, potem ponownie na Zoe.

– Oraz ze swoją sztuką – dodała. A potem ciężko westchnęła. – Cóż, teraz wiem dlaczego papa zawsze odrzucał moje sugestie, by sprzedać to płótno.

Wyglądało na to, że dała za wygraną.

– Domyślam się, że dzięki temu łatwiej sprzedamy ten obraz – oznajmiła.

Rzuciła pożegnalne spojrzenie na podrobionego mistrza z Delft i wsunęła obraz za drugie płótno Vermeera. Potem obróciła się do malowideł plecami z taką determinacją, że Zoe musiała uznać to za ostateczne stanowisko, niepodlegające dalszej dyskusji.

– W porządku. Zatem słyszysz w głowie te zbzikowane melodie i doskonale pamiętasz detale ujawnionych fałszerstw. I to właśnie czyni z ciebie niedoścignionego mistrza w ich wykrywaniu?

Zoe zaskoczona była psychiczną odpornością sporo starszej od siebie kobiety.

– Cóż, nie jest to cała prawda. Jednym z najlepszych sposobów doszlifowania umiejętności rozpoznawania fałszerstw dzieł sztuki jest poznanie fałszerza i sprawienie, by wyjawiał sekretna arkania jego rzemiosła – odpowiedziała po chwili. – Dowiesz się wtedy, czego naprawdę trzeba szukać. Ale tylko wtedy, kiedy na własne oczy zobaczysz, jak powstaje fałszerskie arcydzieło.

– To dość trudne zadanie, jak się domyślam.

– Dość trudne – zgodziła się Zoe – ale jednak nie niemożliwe.

Thalia uniosła brwi w zdziwieniu.

– Chcesz powiedzieć, że poznałaś jakiegoś fałszerza?

– Ummm – przytaknęła Zoe. – Jak w bajce.

– Och, moja droga – twarz Thalii rozjaśniła się – zróbmy przerwę. Muszę usłyszeć to wszystko na własne uszy.

Rozdział 9

Parterowy motel wciśnięty był między poplamioną smugę asfaltu autostrady Pacific Coast Highway a wyziębione wybrzeże, które stromymi ścianami opadało ku plaży. Szyld z napisem WOLNE POKOJE świecił niemrawo, nadaremnie przemawiając do potencjalnych klientów, z których większość wybierała drogę międzystanową numer 5, biegnącą jakieś dziesięć kilometrów dalej, dając tym samym zarobić motelom nowszych sieci, które rozlokowały się przy rozjazdach.

Znudzony recepcjonista, który przed godziną wpisał do książki meldunkowej Ridgewaya, Strattona i resztę towarzystwa, siedział teraz z niewzruszonym spokojem. Przez kuloodporne szyby obserwował przejeżdżające samochody. Jeśli nic niezwykłego się nie stanie, ten wieczór będzie typowy. Zamelduje pewnie jeszcze jakiegoś zbłąkanego kierowcę, który przez pomyłkę zjechał z trasy międzystanowej, niewykluczone, że trafi się jeszcze jakiś żołnierz piechoty morskiej z pobliskiej bazy Camp Pendelton z dziewczyną lub cudzą żoną. Nie miało to dla niego znaczenia. Koniec końców miał do wynajęcia zaledwie cztery pokoje.

Motel wyglądał tak, jakby lada dzień miał zakończyć swój żywot. Kolejni właściciele, a żaden z nich nie zagrzał tu na dłużej miejsca, nie angażowali się na tyle, by nawiązać znajomość z okolicznymi mieszkańcami. Tyle że nikt z miejscowych nawet się nie domyślał, że od 1963 roku tak naprawdę jedynym właścicielem motelu była amerykańska Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, która wykupiła go na własność.

Recepcjonista wręczył Strattonowi klucze do kilku pokoi usytuowanych na tyłach motelu, tych z widokiem na ocean. Na falach oceanu zazwyczaj roiło się od surferów, wędkarzy i żaglówek, tego jednak wieczora budynkiem szarpały ostatnie podrygi sztormu, a wiatr cicho gwizdał pod drzwiami oraz w szczelinach okiennych. Kotary unosiły się przy każdym silniejszym powiewie.

– Niech to szlag trafi! – warknął Ridgeway na Strattona. – Nie miałeś prawa. Żadnego prawa.

To szaleństwo ciągnęło się już całe godziny. Przed oczyma Ridgewaya raz za razem odtwarzała się ta sama scena: na przednim siedzeniu limuzyny jęczał ochroniarz Rebeki Weinstock, głowa zabójcy odskakiwała do tyłu, mięśnie jego twarzy wiotczały, a

na samym końcu pojawiał się widok krwi ścieranej z błyszczącego ostrza traperskiego noża.

Ridgeway natychmiast rozpoznał Strattona, lecz zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, jakieś dłonie wyciągnęły go do czekającego już sedana. Przemoczony do suchej nitki, wstrząsany dreszczami zimna, szczękał zębami na tylnym siedzeniu, kiedy auto wyjeżdżało z parkingu. Za kierownicą siedział Jordan Highgate obok Setha Strattona.

Highgate wyjechał z Marina Del Rey, kierując się na południe. Zatrzymali się w centrum handlowym niedaleko Long Beach; Highgate wszedł do środka i pojawił się po pół godzinie z kompletem suchej odzieży, papierową torbą wypełnioną przyborami toaletowymi oraz, co najważniejsze, z kubkiem gorącej kawy. Ręce Ridgewaya trzęsły się tak bardzo, że Stratton musiał przytrzymywać kubek, pozwalając mu pić drobnymi łykami, jak małemu dziecku.

I znów samochód mknął cicho na południe, prowadzony wprawnymi rękami Highgate'a, który trzymał się z dala od zakorkowanych autostrad. Ridgeway przebrał się w suche ubranie i pił kolejną gorącą kawę, pilnie strzegąc przesiąkniętego krwią szlafroka z plikiem tysiąc dolarowych banknotów w kieszeni. Przez pierwsze czterdzieści pięć minut odczuwał wyłącznie zadowolenie z faktu, że żyje, że jest suchy i że coraz mu cieplej. Kiedy jednak jego organizm odzyskał normalną temperaturę, wdzięczność ustąpiła miejsca podejrzeniom, a na samym końcu złości; Stratton wyjaśnił, że on oraz Highgate pracowali dla National Security Agency.

– Zatem nie było dziełem przypadku, że natknąłem się na ciebie w Zurychu – domyślił się Ridgeway. – Spoglądał w milczeniu na Strattona. – Śledziłeś mnie od pierwszej chwili, kiedy wróciłem ze Szwajcarii.

Stratton potwierdził skinieniem głowy.

– Od dnia, kiedy po raz pierwszy zjawiłeś się w konsulacie.

– Wykorzystałeś mnie w charakterze przynęty w nadziei, że ktoś wyłoni się z cienia – ciągnął Ridgeway. – W nadziei, że schwytasz ludzi, którzy przyszli dzisiaj na moją łódź.

Stratton znów przytaknął.

– Niech cię cholera weźmie, człowieku. – Ridgeway gotował się ze złości. – Kto dał ci prawo, żebyś bawił się moim życiem jak Bóg?

– To nie jest kwestia tego, czy posiadam takie prawo. Sprawdziliśmy wszystkie fakty. Chciałbym, żebyś odsunął na bok gniew i urazę, musimy omówić pewne sprawy.

– Nie ma o czym dyskutować – zaperzył się Ridgeway, odwracając się od okna i spoglądając na Strattona, który siedział w nogach łóżka.

Highgate stał niewzruszony przy drzwiach. Ridgeway rozejrzył się po pokoju, oceniając szanse ucieczki. Stratton przejrzał jego zamiary.

– Nawet nie myśl o opuszczeniu nas – odezwał się. – Budynek jest zamknięty niczym sejf. Stalowe drzwi, kuloodporne szyby, filtrowane powietrze. Nikt stąd nie wyjdzie, dopóki recepcjonista nie wprowadzi odpowiedniego kodu na panelu w recepcji. A nie zrobi tego tak długo, jak długo nie podam mu właściwej kombinacji cyfr. Nikt nie wyjdzie. Nikt nie wejdzie.

Przesunął się na łóżku.

– Nie widzę żadnego powodu, żebyśmy nie mieli porozmawiać o tym wszystkim... o współpracy...

Potrząsając przecząco głową, Ridgeway podszedł do Strattona. Chciał spojrzeć mu w twarz.

– Naprawdę jesteś niezły. Zamykasz mnie w miejscu, które okazuje się więzienną celą, i oczekujesz, że rozsiądę się wygodnie i że sobie pogwarzyśmy? Inni ludzie być może poszliby na taki układ, panie Stratton, ale nie ja. Nie mam o czym z tobą rozmawiać, już nie.

– Ale możemy okazać się bardzo pomocni – nalegał Stratton. – Potrzebujesz nas, jeśli chcesz odnaleźć żonę.

– Mogłeś zaproponować mi to w Zurychu – warknął Ridgeway. – Mogliśmy już wtedy podjąć współpracę.

– Musieliśmy sprawdzić wszystkie fakty – przerwał mu Stratton, nie tracąc cierpliwości. – Wtedy nie wiedzieliśmy te go, co wiemy teraz.

– Mogłeś powiedzieć mi, co wtedy wiedziałeś.

– Nie mogłem...

– Mogłeś – fuknął gniewnie Ridgeway. – A nawet więcej, powinieś.

Wzrok Strattona powędrował gdzieś daleko.

– To kwestia bezpieczeństwa – powiedział powoli Stratton, jakby do siebie. – Musiałem uzyskać zgodę, pozwolenia. To była... jest... sprawa tajna. Uzyskanie koniecznej zgody zabiera dużo czasu.

– Pieprzony pożar nie był żadną tajemnicą. – Ridgeway nie panował już nad sobą.
– Urowadzenie Zoe nie było żadną tajemnicą! Cóż więc, do kurwy nędzy, było w tym wszystkim tajnego?

– Nie ma potrzeby kłąć – powiedział spokojnie Stratton. – To nie pomoże nam w rozwiązaniu czegokolwiek.

Ridgeway patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Posłuchaj, wiem, że jesteś wściekły – odezwał się Stratton. – Masz do tego święte prawo. I jesteś całkowicie wytracony z równowagi. Ale najlepszym sposobem na jej odnalezienie będzie współpraca z nami.

Ridgeway zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

– Uratowałem ci życie. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

– Użyłeś mnie jako przynęty. Uratowałeś mnie, ale to ty zaaranżowałeś tę sytuację. Wtargnąłeś w moją prywatność, założyłeś podsłuch na moim telefonie, śledziłeś mnie na każdym kroku, obserwowałeś moją łódź, zamierzając schwytać tamtych facetów, kiedy się zjawią. Obojętne, kim byli. Wykonałeś swoją robotę do tego stopnia wiarygodnie, że niemal wszyscy przypłacili to życiem, o mały włos nie wliczając w to mnie. I dlatego mam ci zaufać? – Ridgeway znów pokręcił przecząco głową i pociągnął kolejny łyk kawy.

Stratton wstał i ruszył w poprzek pokoju. Sięgnął po plastikowy kubek, potem jednak zmienił zdanie. Usiadł ciężko na krześle stojącym obok stołu, otarł twarz dłonią i przechylił się na oparcie.

– Zastanawiam się, czy nie powinienem pozwolić, żeby ten facet wypruł ci flaki, jak wcześniej zrobił to szoferowi.

– Być może powinieneś – zgodził się szybko Ridgeway. – Ponieważ nie zamierzam w czymkolwiek ci dopomóc.

Stratton pokiwał głową z powątpiewaniem.

– Co mam ci zaoferować? – zapytał.

– Za co?

Stratton zamknął na moment oczy, a jego twarz wykrzywił grymas. Wziął głęboki oddech, potem głośno wypuścił powietrze.

– Co mam ci zaoferować, żebyś zgodził się na współpracę z nami?

Ridgeway pokręcił głową z zalem. Usiadł na łóżku, patrząc na Strattona.

– Nie zrozumiałeś mnie. Nie ufam ci. A nigdy nie pracuję z kimś, komu nie ufam.

Panie Ridgeway, podziwiam pańskie zasady – odparł Stratton. – Ale świat nie może sobie na nie pozwolić. Obaj wmieszaliśmy się w coś, co może wstrząsnąć posadami Zachodu, zaś w twoich rękach być może znajduje się klucz. Ale ty wolisz trzymać się swoich hołubionych zasad, a świat niech się stacza do piekieł!

Ridgeway zerwał się z łóżka.

– Jesteś szaleńcem. Ty i twój przyjaciel przy drzwiach. Nie pierwszy raz słyszę, jak ludzie gadają to, co ty: Ach, nie możemy sobie teraz pozwolić na wierność zasadom. Naśladował głos Strattona. – Przestępcy i świry przejęli kontrolę. Nadzwyczajne czasy potrzebują nadzwyczajnych ludzi. To samo mówili naziści; to samo powtarza każdy komunistyczny i prawicowy dyktator. Słyszałem to wszystko już wcześniej. W pokoju odpraw na komisariacie, na ulicach, podczas oficjalnych apeli. Czasami traktowałem to całkiem poważnie. Bywały nawet chwile, kiedy chciałem działać poza prawem, zamierzając wdrażać w życie to, co uznawałem za sprawiedliwość, ale wtedy przestałbym być gliniarzem. Stałbym się przestępcą. Możesz być tylko jednym albo drugim, nigdy oboma naraz. Ty też jesteś swego rodzaju gliniarzem, Stratton. Może więc powinieneś zacząć postępować jak gliniarz.

Na twarzy Strattona pojawił się przemądrzały uśmiech dziwki pogrążonej w lekturze broszurki Armii Zbawienia.

– W normalnych okolicznościach zgodziłbym się z tobą. Ale fakty w tej konkretnej sytuacji są jedyne w swoim rodzaju. Historia jest do tego stopnia zdumiewająca, że sam z trudem daję jej wiarę.

– Dlaczego więc na próbę nie przedstawiś mi kilku spośród tych faktów – zaproponował ironicznie Ridgeway. – Pozwól mi przekonać się, czy zdołam wyrobić w tobie nowe spojrzenie na bieg spraw.

– Nie mogę ci nic wyjawić, dopóki nie dasz słowa, że nikomu nie powtórzysz nic

z tego, co tu usłyszysz – zastrzegł Stratton.

– Przestań, przecież wiesz, że niczego nie obiecuję. – Ridgeway nie krył irytacji.
– Dlaczego więc na chwilę nie odłożysz na bok regulaminu, gróźb pod moim adresem i klauzuli tajności i nie powiesz mi czegoś, w co będę w stanie uwierzyć?

Nagły poryw wiatru uderzył o ścianę, jakby rzucając w nią śrutem. Mężczyźni zamilkli, słuchając żywiołu szalejącego na zewnątrz.

– Mogę wyjawić ci prawdę – odezwał się w końcu Stratton – ale zapewne trudno ci będzie w nią uwierzyć.

Ridgeway popatrzył na twarz mężczyzny, szukając w niej jakiejś oznaki nieszczerości. Jeśli ten sukinsyn kłamie, pomyślał, jest cholernie dobrym aktorem.

– Zadowolę się prawdą – zachęcił go po chwili milczenia.

Stratton skinął głową w geście wdzięczności i uznania.

Spojrzał na własne stopy i zagryzł dolną wargę. Ridgeway dostrzegł w nim nagle rozważnego profesjonalistę zbierającego myśli, a nie złowrogię krętacza, jak jeszcze przed chwilą.

– Moja sekcja w NSA przechwyciła dużą liczbę informacji przekazywanych drogami telekomunikacyjnymi, które w ja kiś sposób dotyczą działań KGB i moskiewskiej mafii, a mają one związek z operacją związaną z dziełami sztuki zrabowanymi przez nazistów oraz pewnym swoistym obiektem religijnego kultu. Rozeszły się pogłoski, że z powodu całej serii finansowych niepowodzeń matka Rosja pilnie potrzebuje twardej, zachodniej waluty. Rząd jest zdesperowany i bierze dolary, niemieckie marki... co tylko może. Nie interesuje go sposób ich zdobycia, nie zadają żadnych pytań.

Nasze informacje są wrywkowe, w większości bazują na przechwyconej poczcie elektronicznej i podsłuchanych rozmowach telefonicznych. Źródła informują, że w chwili obecnej takich operacji, których celem jest zdobycie gotówki, i to za wszelką cenę, prowadzi się bardzo wiele. Okazało się, że w jedną z nich wmieszana jest grupa ludzi z KGB i ich kumpli z mafii, którzy są powiązani z Żyrinowskim oraz jego Sokołami – to właśnie ci faceci, którzy dzisiaj rano o mało ciebie nie wykończyli. Podobnie jak wszyscy inni, oni również poszukują pieniędzy, ale ta grupa przyjemniaczków korzysta z dawnych informacji wywiadu na temat pewnych obrazów zrabowanych przez nazistów w

latach II wojny światowej. Malowidła są tyle warte, że w zupełności wystarczyłoby na wyciągnięcie Rosji z finansowych tarapatów. Ale co ważniejsze, jeden z tych obrazów został w jakiś sposób podczas wojny wykorzystany przez nazistów do szantażowania papieża. Zmarszczone brwi Ridgewaya uniosły się nieco.

– Obraz? – Poczł dziwne dreszcze, bo nagle wróciły słowa Rebeki Weinstock, wypowiedziane na chwilę przed śmiercią. – Opowiedz mi więcej.

– Tak naprawdę nie wiemy zbyt wiele. Najprawdopodobniej jest to dzieło pędzla mało znanego artysty nazwiskiem Stahl... ale to nie jest istotne. Ważny natomiast jest fakt, że w watykańskiej Kurii działa tajna sekcja, która od setek lat poszukuje relikwii, o której wcześniej wspomniałem. Wiemy o tym dzięki podsłuchom założonym przez KGB na liniach Watykanu, oraz naszym założonym w biurach KGB.

– Watykan stanowi priorytetowy cel Żyrinowskiego – dołączył się do rozmowy Jordan Highgate.

Ridgeway odwrócił się i spojrzał na drugiego mężczyznę, który wciąż stał przy drzwiach, wyprostowany niczym słup, z twarzą pozbawioną wyrazu jak strażnik w Pałacu Buckingham.

– Ultranacjoniści w Rosji pragną znaleźć sposób na zneutralizowanie wpływów Watykanu. Wychodzą z założenia, że to, co okazało się skuteczne w czasach Hitlera, zadziała również w ich przypadku.

Highgate spojrzał na Strattona. Ten przytaknął skinieniem głowy.

– Nawiasem mówiąc, to, co dało się wykorzystać przeciw Watykanowi, może przydać się w walce z Rosyjskim Kościołem Prawosławnym, którego wsparcia Żyrinowski i jego ludzie będą potrzebować, jeśli zechcą przejąć władzę. Taki stan rzeczy, o czym pan zapewne wie, zmieniłby obraz świata w sposób najgorszy z możliwych. Niech pan nie zapomina, że Żyrinowski wysuwał groźby pod adresem Azerbejdżanu, islamskiego państwa zasobnego w ropę naftową. Ten fanatyk upiera się, że cały Azerbejdżan powinien znów należeć do Rosji, nawet jeśli miałyby to oznaczać przeprowadzenie czystek etnicznych na skalę masową i eksterminację azerskiego narodu. W rzeczywistości jego polityczni zwolennicy popierają przywrócenie do rosyjskiej macierzy wszystkich dawnych kolonii oraz pozbycie się mniejszości narodowych w celu zapewnienia bezpieczeństwa Rosjanom. Jego publikacje i przemówienia pełne są

ciepłych słów pod adresem Hitlera. Przerwał na moment.

– Do czasu, gdy ludzie Żyrinowskiego dowiedzieli się o tajnej sekcji w Watykanie. Wszyscy wychodzili z założenia, że gadanina na temat szantażowania Piusa XII to tylko jeszcze jedna wyszana z palca plotka związana z III Rzeszą. Ja zresztą też tak myślałem do chwili, kiedy przesłuchałem taśmy z podsłuchów oraz przeczytałem pocztę elektroniczną. Ale nawet wtedy zyskaliśmy tylko niewyraźne kontury tego, co się dzieje, a że coś się dzieje, nie mamy wątpliwości.

– Cóż więc się dzieje? – zapytał Seth.

Stratton pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem, jakie znaczenie może mieć ten obraz.

– Hmmm!? Sądziłem, że wy wiecie chyba wszystko – warknął rozłoszczony. Wcisnął obie ręce w kieszenie spodni i oparł się o ścianę obok okna. – Jaki to może mieć związek z Zoe?

– Śledziliśmy Rebekeę Weinstock prawie tydzień – wyjaśniał Stratton. – Od momentu, kiedy usłyszeliśmy jej nazwisko w podsłuchanych rozmowach KGB. Ona jest... była... wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, Austriaczką i zamożną kolekcjonerką dzieł sztuki. Zamierzała wykupić zbiory zgromadzone w Kreuzlingen, wśród których, zdaniem KGB, znajduje się poszukiwane przez nich malowidło. KGB, za pośrednictwem ludzi Żyrinowskiego, dotarło do Weinstock i do ciebie, zanim udało się to nam.

W głosie Strattona słychać było skrucę.

– Czy... natknęliście się na informację, gdzie mogą prze trzymywać Zoe? – zapytał Ridgeway.

Stratton zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Ale wierzymy, że jest żywa i nadal przebywa w Szwajcarii.

Ridgeway odsunął nieco zasłonę i spoglądał w mroczną, szalejącą burzę. Furia wichury dorównywała jego wzburzonym myślom. Musi z nimi współpracować, postanowił. Nie miał po prostu innego wyjścia. Nigdy jej nie odnajdzie, działając w pojedynkę. Musi jednak zachować ostrożność, wykorzystując ich, ale nie dając się jednocześnie wykorzystać. NSA miało reputację instytucji bezdusznej, mogliby jej pozazdrościć Borgiowie.

– W porządku – zgodził się, odwracając od okna. – Będę z wami współpracował.
Stratton uśmiechnął się.
– Byłem przekonany, że w końcu zrozumiesz.
– Mam jednak kilka warunków – dodał Ridgeway. – Pracuję samodzielnie.
Dzielimy się informacjami. Nie życzę sobie, żebyście mnie śledzili. Jeśli Rosjanie trafią na wasz trop, nie chcę, żeby deptali mi po piętach.

Stratton starał się sprawiać wrażenie nieporuszonego.
– Skoro tak to sobie wyobrażasz – skomentował. – Miałem nadzieję, że będziemy współpracować nieco bliżej.

Ridgeway zaprzeczył ruchem głowy.
– W żadnym wypadku.
Przez długą chwilę mierzyli się nawzajem wzrokiem, każdy z nich usiłował zrozumieć znaczenie słów, które właśnie padły.

Stratton wahał się. Spojrzał na Highgate'a, potem na sufit i w końcu na Ridgewaya.

– W porządku, dogadaliśmy się.

Zoe poszła za Thalią na teren prowizorycznej galerii i rozsiadła się w miękkim skórzanym fotelu projektu Ludwiga Mies van der Rohe. Thalia podała jej kieliszek z winem, potem usiadła na sofie wykonanej z chromu i skóry.

Nie pierwszy raz pozwalały sobie na taki relaks, robiły to zwłaszcza w wieczory takie jak ten, kiedy pracowały długo, aż po noc. Celowo trzymały się z dala od win najlepszych marek, dzięki temu kończyło się to jedynie na zmarszczonych brwiach i marsowych minach porywaczy, bez wymierzania kary.

Thalia zamknęła oczy i smakowała trunka na podniebieniu, zanim w końcu przełknęła.

– Jedną z najdziwniejszych rzeczy, na jakie natrafiłam, kiedy mieszkałam w Nowym Jorku, był sposób, w jaki Amerykanie – zwłaszcza niektórzy mężczyźni – tracili całą radość, jaką daje wino.

Zoe przechyliła głowę.

– Dziwnych? W jakim sensie?

– Mieli problem ze zmysłowością wina... z jego seksualnością, jeśli wolisz. – Obróciła kieliszek i przez chwilę wpatrywała się w ciemnorubinowy płyn. – Oni chcą myśleć o winie, zamiast je czuć. Czuć jest sferą, która przeraża ich śmiertelnie, zatem pozbawiają wino aspektów zmysłowych, opisując je w kategoriach ilościowych. Przypisują winu odpowiednie wartości liczbowe, dzielą na proporcje komponentów kwaśnych i zawierających cukier. Rozpisują się bez końca na temat producentów win, pogody oraz wielkości opadów. Ich pragnieniem jest kolekcjonowanie wina, a nie po prostu raczenie się nim. Są wśród nich samozwańczy kapłani i święci kelnerzy podający wina, kolekcjonerzy oraz maniacy wina którzy rozmawiają żargonem niezrozumiałym dla niewtajemniczonych. Mają własne dogmaty, rozstrzygające o tym, które wina są dobre, a które kiepskie, który gatunek należy pić z jakim jedzeniem, jakie kieliszki są odpowiednie – ich rytuały mogą przyprawić o rumieniec wstydu niejedną religię. Publikują książki, traktowane niemal jak pismo święte, których uczą się na pamięć. Oddają hołd idei wina, nie rytuałowi jego picia... i tak dalej.

Wolną ręką machnęła lekceważąco.

– Wszyscy są niczym grupa bezużytecznych wyznawców Kościoła Zjednoczenia. Problem polega na tym, że to gówno, którym kieruje lewa półkula, to przeliczanie, absorbuje ich do tego stopnia, że nigdy nie doznają zmysłowości, nigdy nie zaznają rozkoszy picia wina.

Co więcej, moim zdaniem robią to celowo – ciągnęła dalej. – Obawiają się tego, czego nie są w stanie opisać ilościowo, bowiem opis ilościowy oznacza kontrolę. Moim zdaniem ten sam mechanizm odnosi się także do religii. Lęk przed zmysłowością, ten żalony strach przed rzeczami, które odczuwamy, w przeciwieństwie do tych, których nie da się odebrać czuciem, stał się przyczyną wyewoluowania z kultu Wielkiej Bogini systemów religijnych zdominowanych przez mężczyzn – bo ona była zmysłowa i seksualna. Faceci pragnęli uformować Boga stosownie do swoich potrzeb, podobnie jak czynią to z winem.

Thalia przerwała długi wywód i pociągnęła duży łyk wina.

– Wyprowadziłaś całe to rozumowanie jedynie na podstawie tego, że faceci nie potrafią rozkoszować się winem? – zdziwiła się Zoe.

Thalia wzruszyła ramionami.

– Istota rzeczy leży w doświadczaniu tego, co nie daje się opisać, w percepcji bardziej uczuciowej niż racjonalnej. A w tym znaczeniu wino oraz Stwórca wszechświata są do siebie podobni. Jedno i drugie ma naturę zmysłową, jedno i drugie należy odbierać czuciem, doświadczać, nie rozumieć czy analizować aż do śmierci. Cywilizacja Zachodu po wstała w oparciu o logikę, ale logika nie potrafi opisać odpowiednio tego, co nieskończone oraz co zmysłowe. Boginię utożsamiano ze stworzeniem – świata i życia. Prokreacja jest w swej istocie aktem seksualnym i od pradziejów była w głównej mierze funkcją kobiety, czymś, nad czym mężczyźni nie sprawowali kontroli. I w tym problem. Musieli przejąć kontrolę, a ponieważ nie byli w stanie zapanować nad własnymi popędami, postanowili kontrolować obiekt tych popędów.

W większości kodeksów przepisy prawa odnoszące się do seksu narzucają sankcje zachowaniom kobiet, nie mężczyzn. Grzechy mężczyzn są traktowane z przyzwoleniem oka i pobłażliwością. Przez wieki dogmatycy religii maskulinocentrycznych nie mogli poradzić sobie z niezrozumiałą dla nich zmysłową naturą Wielkiej Bogini Kreatorki, zatem stopniowo marginalizowali jej znaczenie, sprowadzając ją do roli lokalnego bóstwa płodności, przemieniając jednocześnie seks z radosnego aktu cielesnego i duchowego w sferę nieczystą i grzeszną. Był to na dobrą sprawę jedyny sposób, w jaki ich duże głowy mogły przejąć kontrolę nad ich małymi główkami.

– Niezła teoria – pochwaliła Zoe, kręcąc z niedowierzaniem głową, potem pociągnęła kolejny łyk wina.

– Tak, miałam kilka lat na sformułowanie mojej uniwersalnej teorii kutasów – zgodziła się Thalia. – Ale nie był to powód, dla którego włamałam się do winnej piwniczki. Tak naprawdę chcę usłyszeć od ciebie opowieść o twoim przyjacielu fałszerzu.

– Mów dalej o kutasie – upierała się Zoe.

– To zbyt tragiczne.

– Nie. To nadzwyczaj optymistyczne, naprawdę – obstawała przy swoim Zoe, uśmiechając się szelmowsko.

Odstawiła kieliszek, następnie rozłożyła ramiona, jak ktoś, kto chwali się, jak wielką rybę wyciągnął z wody.

– O kutasie takiej wielkości.

Thalia roześmiała się, że rozlała wino na sukienkę.

– Przestań, mówię poważnie. Opowiedz o tym fałszerzu.

Zoe ponownie upiła łyk wina i podjęła opowieść.

– Eryka spotkałam w Amsterdamie podczas wakacji między drugim a trzecim rokiem studiów na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Odbywałam wtedy staż w Stedelijk Muzeum i mieszkalam u holenderskiej rodziny, która miała dom przy Vondelparku – to ich odpowiednik Central Parku – całkiem niedaleko od muzeum. Pewnego popołudnia, krótko po rozpoczęciu stażu, jeden z asystentów kustosa po prosił, bym mu towarzyszyła podczas tury po mieście, kiedy odnosił obrazy – odrzucone płótna młodych artystów zabiegających o ich umieszczenie w muzealnej galerii.

Zoe pokiwała głową z namysłem.

– Był to jeden z najbardziej ponurych dni, jakie do tamtej pory przeżyłam. Totalne przygnębienie.

– Odrzucenie dzieła oznacza odrzucenie artysty – przytaknęła Thalia ze zrozumieniem.

– Nie żartuj sobie. No cóż – westchnęła Zoe, potem przymknęła na moment oczy, przywołując w pamięci obraz tamtego dnia. – No więc ostatnim przystankiem na trasie był rozwalający się budynek z cegły, położony na zachód od Zeedijk, głównej ulicy czerwonych latarni. Zostało nam kilka abstrakcyjnych malowideł malarza nazwiskiem Erik van Broek.

– Van Broek? – zapytała Thalia. – Przecież to sława. Jego płótna sprzedają się za setki tysięcy.

Zoe przytaknęła.

– Osobiście uważałam jego obrazy za doskonałe. Na dobrą sprawę, kiedy zaczęłam zarabiać na życie jako marszand, pierwsze prowizje otrzymałam właśnie za sprzedaż jego płócien w Stanach. Ale gdy byłam na stażu, krytycy uznawali za szmirę wszystko, co wychodziło spod jego pędzla.

– Krytycy! – zachnęła się Thalia. – Jadowici, pozbawieni talentu naśladowcy, którzy własną marność i miałość nadrabiają, niszcząc dzieła tych, którzy potrafią tworzyć.

Zoe uniosła brwi.

– Widzę, że spotkałaś kilku tych samych co i ja.

Uśmiechnęły się.

– W każdym razie był to już ostatni przystanek i poszłam tam sama, taszcząc obrazy na drugie piętro po krętych schodach jakiegoś dawnego magazynu. Erik otworzył, miał twarz szczerą i spontaniczną, pokrytą kropelkami potu, a ja byłam dla niego kimś nieznanym. I te jego błyszczące, zielone oczy, które emanowały dobrem. Był bardzo, bardzo wysoki, jak zresztą wielu Holendrów – co najmniej metr dziewięćdziesiąt – i miał cudowną muskulaturę... jak zawodowy gracz koszykówki.

Zoe przerwała i na chwilę znów przymknęła oczy.

– Bluza dresowa z oderwanymi rękawami, poplamiona farbami, dosłownie pękała w szwach. Był w krótkich spodenkach, które ledwie zasłaniały jego bajecznie umięśnione nogi. Na ramiona zarzucił ręcznik. Otworzyła oczy i spojrzała na Thalię. – W środku, za progiem, zobaczyłam zestaw hantli i ciężarków ustawiony na wydeptanej drewnianej podłodze. Całe jego ciało błyszczało perlistymi kropelkami potu.

– Sądząc po brzmieniu twego głosu, byłaś jak rażona piorunem.

– Och tak – przytaknęła Zoe, uśmiechając się nieśmiało. – Naprawdę. Podziałał na mnie elektryzująco. Poczułam się nagle tak, jakby reszta świata przestała istnieć. Być może sprawił to zapach potu albo widok tego perfekcyjnego ciała, ale rzeczywiście trafił mnie grom z jasnego nieba. Nagle poczułam, że robię się wilgotna. Miałam dwadzieścia lat i nigdy wcześniej nie byłam tak totalnie powalona na ziemię.

Jej wzrok spoglądał gdzieś w przestrzeń.

– I co dalej? – ponaglała Thalia.

– Byłam do tego stopnia zbita z pantalyku, że upuściłam obydwie płótna. Hałas spłoszył urok chwili. Kiedy Erik spojrzał w dół, zorientował się, po co przyszłam. Pochylił się, wziął obrazy, potem zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

– Co oczywiście w żaden sposób nie zniechęciło ciebie?

– Naturalnie że nie. Całkowicie mnie zauroczył. Bez przerwy o nim myślałam. Przed pójściem do pracy i po powrocie z niej – i niemal w trakcie każdej przerwy na lunch. Przesiadywałam w małym barze po drugiej stronie kanału, naprzeciwko jego pracowni, i czekałam, aż wyjdzie. Wkrótce zorientowałam się, jacy ludzie do niego

przychodzili: dostawcy, ludzie, których przywozili ich szoferzy, właściciele drogich wozów. Zdałam sobie sprawę, że wcale nie był kolejnym przymierającym głodem artystą. No i jeszcze zakochałam się w jego obrazach.

– Przed czy po tym, jak hormony wzięły górę w twoim życiu?

– Przed... i o wiele bardziej po – odpowiedziała Zoe. – Tak czy owak, kiedy wychodził z budynku, szłam za nim.

– Śledziłaś go.

– Można tak to ująć. Ale po tygodniu zdałam sobie sprawę, że każdego dnia około ósmej wieczór wychodził na kolację do niewielkiej indonezyjskiej knajpki *ñjsiafel* przy Rembrandtsplein. A robił to z regularnością zegarka.

– I nagle odkryłaś w sobie zamiłowania do indonezyjskiej kuchni.

– Prawdę mówiąc, jest wyborna. Pierwszego wieczora byłam już w środku, kiedy przyszedł. Spojrzał na mnie gniewnie i wyszedł. Następnego wieczora udawał, że mnie nie widzi, i poprosił o stół położony jak najdalej od mojego.

– A trzeciego wieczora?

– Wcześniej jednak... tamtego popołudnia udałam się na Kalverstraat i kupiłam najcieńszy, najbardziej prześwitujący, najwięcej odsłaniający biały top z dzianiny, jaki udało mi się znaleźć. Kupiłam rozmiar o jeden numer mniejszy niż zwykle nosiłam, potem założyłam ten nowy ciuch bez stanika. Narzuciłam na wierzch uczelnianą marynarkę, żeby w drodze do knajpki nie brano mnie za prostytutkę, ale kiedy weszłam do knajpki, zdjęłam ją i wypięłam nieco piersi, co zresztą ćwiczyłam przez całe popołudnie.

– Niech zgadnę. Dosiadł się do twojego stolika.

– Aha – przytaknęła Zoe. – I to szybko. Zachichotała. Thalia jej zawtórowała.

– A potem?

– Cóż, nie pamiętam, co jedliśmy. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Ale pamiętam fajerwerki, które niemal rozerwały mnie na kawałki tamtej nocy.

– Twój pierwszy orgazm?

– Pierwszy bez baterii.

Ta uwaga znów sprowokowała Thalię do chichotu.

– W każdym razie spotykałam się z nim prawie przez miesiąc, zawsze to samo

risjlafela seks. Jednak z każdym dniem co raz więcej czasu poświęcaliśmy na rozmowy o jego sztuce, o krytykach, o rzemiośle restaurowania dzieł sztuki, dzięki któremu w głównej mierze, jak powiedział, zarabiał na życie. Im bardziej był rozgniewany, tym bardziej szalony był późniejszy seks.

Pewnego ranka... – Przez moment Zoe znów wpatrywała się w dal. – W lipcu, to pamiętam. Wstałam wcześniej niż Erik i zaczęłam szwendać się po jego pracowni. Weszłam do pomieszczenia, w którym tworzył swoje oryginalne dzieła. Pamiętam też, że przez upstrzony smolą świetlik wpadało tam cudowne światło, które przeistaczało całe pomieszczenie w pełną żaru martwą naturę z pędzlami, farbami, puszkami, butelkami z rozpuszczalnikami oraz szpachlami. Przeszłam przez studio, a potem do pracowni renowacyjnej. Na sztalugach spoczywało z pół tuzina płócien, w różnych fazach czyszczenia i konserwacji. Przypominam sobie, że był tam Cezanne przysłany przez galerię z Niemiec oraz Gainsborough z Ameryki. Krytycy mogli sobie darzyć nienawiścią Erika, ale nawet wrogowie uznawali jego klasę w konserwacji i renowacji malarskich płócien.

Zoe odstawiła kieliszek, wstała i przeciągnęła się.

– Nigdy wcześniej nie dotarłam dalej niż do tego pomieszczenia, ale tego ranka podeszłam do drzwi, które zawsze były zamknięte na kłódkę. Kłódka była otwarta i po prośbie wisiała na skoblu. Przekroczyłam więc próg i znalazłam się w pomieszczeniu z jeszcze lepszym naturalnym oświetleniem niż w studio. Podobnie jak w pracowni renowacyjnej, było tu mnóstwo sztalug z ustawionymi na nich malarskimi arcydziełami, których nigdy nie widziałam, i o których nigdy nie słyszałam. Monet, van Gogh, Mondrian – całe mnóstwo. Kiedy podeszłam bliżej, zauważyłam, że na żadnym z płócien nie widniał autograf mistrza. Monet był jeszcze niedokończony, podobnie jak jeden z van Goghów. W chwili, kiedy prawda zaświtała mi w głowie, usłyszałam za sobą kroki. Odwróciłam się i zobaczyłam Erika stojącego w progu, z twarzą, na której malowały się gniew, strach i zdumienie. Przez ułamek sekundy dostrzegłam w jego oczach żądzę mordu, lecz zniknęła ona tak szybko, że nawet nie mam pewności, czy rzeczywiście to widziałam.

– Ludzie zabijali z dużo bardziej błahych powodów – wtrąciła Thalia. – Nie wspominając o forsie, która się z tym wiąże.

Zoe przytaknęła, potem zaczęła powoli spacerować w tę i z powrotem.

– Był bardzo oddany sztuce. Uhm. – Wierzchnią stroną palca wskazującego musnęła policzek marmurowego greckiego popiersia datowanego na trzeci wiek, potem odwróciła się twarzą do Thalii. – Ograniczył się jedynie do powiedzenia słów: „To jest twój sekret i mój, kotku. Nieprawdaż?”. Objął mnie w talii i znów zaczął roztapiać. Przytaknęłam. Ale znałam w sobie jakimś cudem dostateczną siłę, dostateczną trzeźwość myśli, by odsunąć się na krok i zaproponować bez cenny układ. „Zgoda”, powiedziałam. „Będzie to nasz sekret, ale pod jednym warunkiem. Chcę, żebyś nauczył mnie wszystkich swoich sztuczek”. Cóż, zapewne pomyślałaś sobie, że wymierzyłam mu policzek. Przez kolejny ułamek sekundy dostrzegłam w jego oczach morderczą desperację, po chwili jednak zgodził się.

Zoe podeszła z powrotem do fotela i usiadła.

– Była to zapłata za wspaniały seks. Zostałam jego studentką, zagrożeniem, obowiązkiem. Przez resztę lata jego pościel ogrzewała procesja artystycznych wielbicielek, które pielgrzymowały do jego łóżka także i wcześniej, zanim się pojawiłam. Dowiedziałam się wtedy, jak bardzo w rzeczywistości był próżny, że liczyła się dla niego wyłącznie jego sztuka, że za kilka tygodni tak czy inaczej zostałabym porzucona.

– To musiało bardzo boleć.

Zoe pokręciła przecząco głową.

– Nie do końca. Wtedy właśnie przekonałam się, jak bardzo jestem oddana temu drugiemu rodzajowi sztuki. Seks był fantastyczny, otworzył mi oczy na świat, na moje dorastanie, ale przestał mieć dla mnie znaczenie, ponieważ resztę lata, godzina po godzinie, spędziłam na poznawaniu najnowszych metod fałszowania dzieł sztuki. Wiele z nich wciąż pozostaje tajemnicą dla specjalistów od wykrywania fałszyfikatów.

– Niezwykłe – skomentowała Thalia. – Czy Erik wciąż zajmuje się podrabianiem mistrzów? Nawet teraz, kiedy jego własne prace sprzedają się tak dobrze?

Znajomy odgłos trząśnięcia metalowych drzwi gdzieś w drugim końcu magazynu wypełnił krótką chwilę ciszy.

– Uwaga, nadchodzi – ostrzegła Thalia, pospiesznie sprzątając dowody ich wypadu do kolekcji wybornych trunków Williego Maxa. Zoe zabrała kieliszki i ukryła je na półce w ich części pomieszczenia.

– Nie maluje już falsyfikatów – odpowiedziała. – Ale fałszerstwa przyczyniły się w równym stopniu do jego sukcesu, co talent.

– Jak to?

– Cóż. Po pierwsze, zaczął je malować dla pieniędzy, a później z zemsty.

– Zemsty?

– Wziął na celownik krytyków, którzy go odrzucili, a było ich bardzo wielu. Jak wiesz, są to ludzie hołdujący fanaberiom i chwilowym modom, rzadko kiedy kierujący się własnym uznaniem i obiektywną oceną. Początkowo zamierzał ich zniszczyć... i rzeczywiście kilku zrujnował.

– Jak?

– A choćby von Gleick z Hamburga, który należał do najsurowszych krytyków Erika.

– Von Gleick. Jego reputację zrujnowała sprawa pewnego ujawnionego potem fałszerstwa.

– I nie był to przypadek – ciągnęła Zoe. – Tak się złożyło, że przez długie lata von Gleick przedstawiał się światu jako niedościgły znawca Jacksona Pollocka.

– Kichanie z ustami wypełnionymi farbą.

Bez żartów – zgodziła się Zoe. – Zatem Eryk przystąpił do malowania „nieodkrytych” Pollocków... co zabierało mu mniej więcej pół godziny na płótno. Dzięki silnej pozycji konserwatora zdołał „wyprać” falsyfikaty, przepuszczając je przez ręce pozbawionych skrupułów kolekcjonerów o niesplamionej reputacji, co pozwoliło mu zatrzeć ślady prowadzące do źródła pochodzenia płócien. Tak jak to zaplanował, von Gleick dostał bzika na punkcie nieodkrytych dotąd Pollocków, wychwalał je, wystawiał im świadectwa autentyczności, rozplęwał się nad nimi z zachwytem. Później, uciekając się do anonimowych informacji, Eryk powiadamiał galerie i kolekcjonerów, kto zakupił te obrazy oraz podpowiadał, gdzie kryły się drobne, ukryte błędy, które celowo popełnił, malując fałszywe obrazy.

– Zastawił pułapkę na von Gleicka, a potem zepchnął go w przepaść – wtrąciła Thalia łagodnym tonem. – W tej sytuacji późniejsze samobójstwo von Gleicka należałoby uznać za morderstwo.

– Erik nie przejmował się tym – podjęła opowieść Zoe, gdy kroki na korytarzu

magazynu stawały się coraz głośniejsze. – Harper-Bowles w Londynie oraz LePen w Paryżu wykazali się większą odpornością, ale ich kariery również legły w gruzach.

– Niewielka strata dla świata sztuki – wymamrotała Thalia.

– I owszem – skomentowała Zoe.

Kroki dotarły już pod drzwi i do ich uszu dobiegło pobrzękiwanie kluczy.

– Ale Eryk zrozumiał chyba w końcu, że niszczenie krytyków nie jest na dłuższą metę korzystne, tak jak próba prowadzenia ich za nos. Zaczęły krążyć plotki – a jestem pewna, że rozpuścił je Eryk – że namalował falsyfikaty, w których „legalizację” zamieszanych było wielu spośród krytyków, a z całą pewnością wszyscy ci, którzy wcześniej negatywnie oceniali jego własne dzieła.

– Szantażował ich w ten sposób.

– Tylko początkowo, jak mi się wydaje. Sądzę, że wystarczyło mu powstrzymanie niepoehlebnych recenzji, dzięki czemu świat mógł wreszcie docenić rzeczywistą wartość jego obrazów.

Klucz zachrobetał w zamku, drzwi otworzyły się i do środka wszedł Zwalisty zjedną obrączką kajdanek Zoe przykutą do własnego przegubu.

Rozdział 10

Nim Seth Ridgeway zatrzymał volvo na podjeździe swego domu w Playa del Rey, burzowe chmury rozstały się na tyle, że zdołały przebić się przez nie ostatnie promienie zachodzącego słońca. Ridgeway patrzył, jak słabnące światło zmagало się z rozdzielaniem od siebie szarości nieba i oceanu. Ściskając kurczowo kierownicę, przywołał w myślach wszystkie te dni, kiedy on i Zoe stali obok siebie, obejmując się ramionami i radując oczy widokiem zachodzącego słońca.

Biały bungalow był niewielki, mieścił tylko dwie sypialnie. Wzniesiono go w latach trzydziestych dwudziestego stulecia w stylu, który stanowił kalifornijską interpretację art deco. Pierwszy właściciel zbudował go jako domek letniskowy na samym skraju wysokiego urwiska, ponad dwadzieścia metrów nad plażą. W pogodny dzień miało się wrażenie, że wyspa Santa Catalina leży tuż za pojazdem.

Seth zgasił silnik i kilka minut siedział nieruchomo, wsłuchując się w narzekania porywistego wiatru, gdy ten pędził znad oceanu, wciąż jeszcze dysząc gniewem sztormu. W końcu ociągając się, odwrócił wzrok od Pacyfiku i spojrzał na dom. Ich dom... a teraz tylko jego. Zachód słońca przebarwił białe ściany na żółty nikotynowy kolor. Długie cienie rzucane przez uginające się pod wiatrem cedry, które posadzili od frontu, pełzały po trawniku oraz domu. Szyba w jednym z okien pokoju gościnnego odbiła na moment refleks światła i przyciągnęła jego wzrok.

Ostatnie dwa dni były czystym szaleństwem; nie wiedział nawet, czy powinien odczuwać wściekłość czy strach. Noc przespał w motelu Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, zmagając się z koszmarami oraz dziwacznymi sennymi majakami kryjącymi się pod cienką powłoką wyczerpującego snu.

Czuł się szczególnie poirytowany tym, na co pozwalali sobie Stratton i jego banda. Ekipa porządkowa Strattona przyjechała na nabrzeże kilka chwil po tym, jak wyciągnięto go z limuzyny. Zabrali z łodzi, co się dało, potem wyprowadzili jacht na otwarte morze i zatopili. Stratton powiadomił go tylko, że rzeczy zabrane z jachtu zostały złożone w garażu domu.

Seth wiedział, że podjęte przez nich kroki zaoszczędzą mu konieczności udzielania odpowiedzi na trudne pytania, mimo to wciąż czuł urazę, że tamci w

bezceremonialny sposób dokonali rewizji jego osobistych rzeczy na łodzi w poszukiwaniu obrazu. Zastanawiał się, czy ludzie z NSA byli również wmieszani we wcześniejsze włamania do domu, do których doszło, kiedy mieszkał na jachcie. Teraz było oczywiste, że włamywacze także szukali obrazu.

Uśmiechnął się ironicznie, wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi garażu i otworzył je. Obraz nie znajdował się w domu, zresztą nigdy go tu nie było. Do poprzedniego poranka nie zdawał sobie nawet sprawy z jego istnienia, a tym bardziej z tego, gdzie malowidło może być ukryte. Teraz jednak wiedział i wiedział, że jest w bezpiecznym miejscu. Nie zamierzał też pozwolić, by obraz dostał się w brudne łapska Strattona czy kogokolwiek innego.

Przejrzał sprzęt żeglarski i takielunek oraz rzeczy osobiste, które podwładni agenta NSA zabrali z jachtu. Wnętrze garażu wyglądało jak żeglarski pchli targ. Obejrzał olinowanie i sprzęt, potem jego spojrzenie zatrzymało się na niewielkim woluminie oprawionym w skórę, rozmiarów niezbyt grubej encyklopedii. Był to dziennik pokładowy, który Zoe podarowała mu trzy lata temu na Boże Narodzenie. Pochylił się i wziął księgę do ręki. Krople deszczu utworzyły na oprawie ciemne plamki. Otworzył książkę, a wtedy spomiędzy kartek wypadło zdjęcie. Chwycił je w locie, gdy opadało na podłogę jak liść.

W półmroku wpatrywał się w fotografię – on i Zoe tuż przed wyjazdem do Zurychu. Doug Denoff, który był drużbą na ich ślubie, zrobił im tę fotkę, kiedy razem z Zoe szorowali pokład Walkirii po długim weekendzie spędzonym pod żaglami; popłynęli wtedy na Catalinę.

W piersiach czuł wydrążoną pustkę, coraz większą w miarę jak wpatrywał się w zdjęcie. Zoe miała spokojną urodę, taką, która się nie narzuca. Była po prostu ładna, a uroda fizyczna stanowiła subtelną zapowiedź piękna, jakie kryło się w jej duszy. Przywołał w myślach tamten dzień, jeden z wielu zwykłych dni, których nadzwyczajny charakter zostaje odkryty dopiero po upływie dłuższego czasu. Był to ostatni raz, kiedy odbyli razem żeglarską wyprawę. Żałował teraz, że nie zdawał sobie wtedy sprawy, jak wyjątkowy był tamten wypad. Jednak niektóre chwile pozwalają się rozpoznać dopiero wtedy, kiedy jest już za późno, by się nimi delectować.

Jeszcze przez chwilę spoglądał na fotografię, po czym wsunął ją do kieszeni

wiatrówki. Miał wrażenie, że się rozplacze, potem nagle zamknął dziennik pokładowy i odrzucił go na stos sprzętu zabranego z łodzi. Walkiria również odeszła. Na jej pokładzie popłynął na Hawaje i z powrotem, przeżył sztorm na Pacyfiku w pobliżu Los Cabos, spędził też wiele niezapomnianych wspólnych chwil z Zoe. Jacht do tego stopnia związany był z Zoe, iż równoczesne niemal ich zniknięcie wydawało się zrozumiałe; zabrali ich szaleńcy, którzy nie powstrzymają się przed niczym, byle tylko zdobyć tajemnicze malowidło pędzla miernego malarza nazisty.

Gładząc palcem zdjęcie schowane w kieszeni, Seth odwrócił się od sterty leżącej na podłodze garażu i skierował się w stronę drzwi prowadzących prosto do kuchni. Myślami pobiegł do Strattona, Weinstock i zabójcy na nabrzeżu. Wszyscy oni pragnęli i to za wszelką cenę, posiadać obraz znajdujący się rzekomo w jego posiadaniu. Już sam ten fakt był dla niego dostatecznym argumentem, by trzymać się od nich z daleka... przynajmniej na razie. Los Zoe, a także i jego, był teraz nierozzerwalnie spleciony z obrazem, dlatego pozwoli komuś wejść w jego posiadanie jedynie wtedy, kiedy będzie miał pewność, że odzyska Zoe.

Jeśli jeszcze żyła.

Na pewno żyje, pomyślał. Na pewno.

Wszedł do kuchni, zamknął za sobą drzwi i przez chwilę stał w ciemnościach. Poczł ciężkie, zatęchłe powietrze długo niewietrzonego domu. Nikle światło zachodzącego słońca pozwalało rozróżnić kontury kredensu oraz blatów i odbijało się słabiutką poświatą od kuchennych sprzętów.

Ciągle nie włączając światła, przeszedł przez pokój jadalny do salonu. Wszędzie czuł rękę Zoe. Każde miejsce, na które spojrział, przypominało mu ją. Zamknął oczy i starał się powstrzymać napływające łzy. Przez moment poczuł drżenie powiek, potem przetarł twarz dłonią, jak gdyby usiłował odpędzić w ten sposób przygnębiecie. Podeszedł do okna; zielistka, którą zawiesiła tam Zoe, zamieniła się w suchy, brązowy snopek. Już się odwracał, żeby pójść po konewkę, kiedy zobaczył auto. Cztery domy dalej, po drugiej stronie ulicy stała zaparkowana toyota w jasnym kolorze.

Nie spuszczać oka z samochodu Seth wycofał się w bezpieczny mrok panujący w salonie. Z pewnością widział już wcześniej ten wóz. Zamknął oczy i usiłował przypomnieć sobie gdzie. Widział go w ulicznym ruchu. Z pewnością wtedy, kiedy

jechał do domu z przystani. I jeszcze gdzieś indziej. Ale gdzie.

Otworzył oczy i wpatrywał się w samochód. Widział jedynie niewyraźny kontur głowy i ramion kierowcy. I wtedy nagle zaświtało mu. To auto stało obok motelu, do którego zabrał go Stratton. A więc to on kazał go śledzić.

Ma to sens, pomyślał Seth. Będąc na miejscu Strattona, postąpiłby tak samo. Fakt, że był teraz śledzony, dodawał mu odrobinę otuchy; mogło mu to pomóc, gdyby znów zjawili się nieproszeni goście, ale musiał pozbyć się ogona na kilka godzin, kiedy będzie odzyskiwał obraz. I będzie musiał ich zgubić w taki sposób, by nie zorientowali się, że robi to celowo. Nie chciał wzbudzać żadnych podejrzeń, bo skończyłoby się to przesłuchaniem, które z pewnością nie obeszloby się bez użycia środków farmakologicznych wspomagających pamięć. A nie groziło mu to tak długo, jak długo Stratton będzie wierzył, że Seth nie zna miejsca ukrycia malowidła.

Zgubienie ogona i zniknięcie z oczu śledzących było całkiem łatwe, ale większość sposobów, do których uciekał się jeszcze jako gliniarz, wydawała mu się podejrzana. Musiał zniknąć, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. W grę nie wchodziła więc szalona ucieczka autem ani wskoczenie do windy w ostatnim momencie. Przez kilka chwil Seth wpatrywał się w przestrzeń. Pomyślał o wtopieniu się w tłum podczas meczu koszykówki w hali Forum; z radia w samochodzie dowiedział się, że tego wieczora grali Lakersi. Nie, to zbyt niepewne, a zniknięcie zostanie łatwo zauważone. To samo odnosiło się do sal kinowych oraz koncertowych.

Siedział w nogach łóżka i rozglądał się bez celu po pokoju. Odrzucił też wariant z awaryjną przerwą w dostawie energii elektrycznej w domu towarowym, kiedy mógłby wymknąć się po ciemku razem z tłumem; to zbyt skomplikowane. Zniknięcie musiało stwarzać pozory zdarzenia losowego. Zaczął przywoływać w myślach miejsca, w których normalnie bywał, oraz takie, do których mógł się udać w obecnych okolicznościach.

Siedział w bezruchu przez godzinę, zanim wreszcie na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Uniwersytecka Biblioteka Naukowa UCLA mieści się potężnym siedmiokondygnacyjnym gmachu usytuowanym w północnym krańcu akademickiego miasteczka. Kiedy Seth Ridgeway dotarł na miejsce, w budynku roiło się od studentów.

Niektórzy z nich rozpoznawali go i pozdrawiali.

Trzymając teczkę w lewym ręku, Seth wyszedł z windy na czwartym piętrze. Teczka była ciężka, wypełniona narzędziami. Podeszedł do schematu pomieszczeń na czwartym piętrze i starannie go przestudiował. Spojrzał na zapisane w żółtym notatniku numery indeksów i raz jeszcze obejrzał rozkład czwartego piętra.

Po chwili usłyszał szum nadjeżdżającej drugiej windy. Zatrzymała się na czwartym piętrze. Seth wciąż udawał zainteresowanie planem kondygnacji, jednocześnie ukradkiem obserwując wysiadającego z windy mężczyznę z jasnej toyoty.

Facet był wysoki i chudy, miał około dwudziestu pięciu lat, dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a głowę zwieńczała mu czupryna w brudnym odcieniu koloru blond. Ubrany był na sportowo w adidasy, džinsy oraz wiatrówkę narzuconą na sweter z wycięciem pod szyją. Wszystkie ciuchy były nowe, jakby dopiero kupione. Wyszedł z windy i zatrzymał się. Seth powrócił wzrokiem do schematu pomieszczenia, raz jeszcze spojrzął na kartki w notatniku, potem obrócił się i ruszył w kierunku działu zajmującego się historią sztuki.

Mężczyzna jechał za nim z Playa Del Rey do kampusu Uniwersytetu Kalifornijskiego, a potem szedł z parkingu do budynku biblioteki, cały czas w niedużej odległości, ale z profesjonalną wprawą.

Seth robił wszystko, by stworzyć pozory, że szuka w komputerze pozycji związanych z historią sztuki, z nazistowskimi Niemcami oraz Stahlem. Postarał się też o pozostawienie na ekranie śladów tego, co przeglądał, żeby ogon mógł się zorientować, jakich danych poszukiwał. By tamten uznał, iż Seth postępuje jak zwykły naukowiec, zagląający do książkowych źródeł przed podjęciem jakichkolwiek działań.

Przez półtorej godziny Seth wyciągał więc książki z półek, zaznaczał po kilka stron paskami papieru, potem zanosił je do stanowiska z kserografami, gdzie robił kopie. Stopniowo zapełniał notatkami kolejne kartki żółtego notatnika, który zawsze zostawiał na wierzchu. Stos skopiowanych stron rósł, podobnie sterta książek na stoliku. Za każdym jednak razem zabierał ze sobą teczkę. Demonstracyjnie wyciągał też pudełko pełne pięcio – i dziesięciocentówek przeznaczonych do uruchamiania kserokopiarki. Sprawiał wrażenie poważnego naukowca, który w podniszczonej skórzanej teczce nosi drobiazgi niezbędne w profesorskiej profesji. Skrupulatnie budował tę iluzję, opuszczając

swój boks w czytelni jedynie na tyle czasu, ile potrzebował na dotarcie do kolejnej książki. Na biurku porozkładane były jego notatki, na oparciu krzesła wisiała wiatrówka. Chciał, żeby ogon wystawiony przez Strattona przyzwyczał się do sytuacji, w której Seth znika co jakiś czas, zabierając ze sobą teczkę oraz stertę książek.

Udało się. Cień kilka razy podążył za Sethem do pomieszczenia z kserokopiarkami oraz raz do baru z przekąskami w gmachu Nordi Campus Union, gdzie obserwował, jak wypija filiżankę kawy i zjada zatechłego pączka, a następnie powraca do swojego boksu w czytelni. Potem mężczyzna siedział już tylko w pobliskim boksie z książką w dłoniach, stwarzając pozory, że czyta. Wyraźnie uwierzył, że podopieczny nie opuści biblioteki bez pokaźnej sterty notatek i powielonych na ksero stron z książek, jakie do tej pory zgromadził.

Kiedy ogon przestał deptać mu po piętach w drodze do pokoju z kserokopiarkami, Seth zaczął wydłużać czas swej nieobecności.

A potem siedział w swoim boksie i starał się wybrać właściwy moment. Jeśli się nie powiedzie, Stratton znów go zamknie i wyciągnie z niego wszystko, co wie. Narkotykami zmuszą go mówienia, potem ludzie z NSA zabiorą obraz, a wraz z tym argumenty, których potrzebował, by odzyskać Zoe.

Jeśli jeszcze żyła.

– Cholera – zamruczał pod nosem.

Otarł twarz, potem przetarł oczy. Wątpliwości, łzy, smutek. Napływały nagle jak powodziowa fala, czające się tuż pod powierzchnią myśli, podmywające w nim fundamenty determinacji. Musi żyć, pomyślał Seth. Gdyby było inaczej, okazałby się głupcem, przekazując obraz Strattonowi i jego bandzie.

Otworzył oczy i spojrzał na zegarek. Dwudziesta pierwsza siedemnaście. Za niespełna dwie godziny biblioteka miała zamknąć podwoje. Musiał przystąpić do działania.

Facet z ociąganiem podniósł głowę, kiedy Seth wstał i ruszył w kierunku windy z teczką w jednym ręku oraz grubym tomem z miejscami zaznaczonymi tuzinem pasków papieru w drugiej. Kątem oka widział, jak mężczyzna na chwilę podnosi wzrok, po czym szybko opuszcza oczy na stronicę swojej książki.

Seth wysiadł na parterze, wrzucił książkę do pojemnika na zwroty, wyszedł przez główne wejście i pospiesznie zbiegł po schodach. Zmierzał wprost w kierunku North Campus Union, chwycił po drodze kolejny styropianowy kubek z kawą. Usiadł na przy stoliku i przez kilka minut obserwował drzwi wejściowe gmachu biblioteki. Nigdzie nie dostrzegł śladów ogona.

Wstał od stolika, wziął teczkę i z kubkiem kawy w ręku opuścił gmach, kierując się na południe. Szedł szerokim, wybetonowanym chodnikiem, co chwilę mijając grupki studentów dyskutujących żywo na temat ocalenia świata, obalenia potęgi władzy światowych elit korporacyjnych albo dyskutujących o naturze prawdy czy bardziej prozaicznych obsesjach i zmartwieniach: referatach, które trzeba już oddać, utraconych miłościach, problemach z rodzicami.

Przez moment poczuł się stary. Nie do niego należało już naprawianie świata. Zresztą nigdy tak nie było. Nigdy nie wierzył, że świat należy do młodych, a teraz mógł jedynie rozpychać się łokciami, by zyskać odrobinę życiowej przestrzeni dla siebie samego.

Szedł szybko, starając się jednak nie sprawiać wrażenia człowieka spieszącego się. W pobliżu głównego dziedzińca kampusu było zdecydowanie mniej studentów. Oparł się jednak pokusie sprawdzenia, czy ogon w końcu postanowił wyruszyć za nim. Skreślił w lewo i krótkim zejściem zszedł na poziom sutereny gmachu Haines Hall. Drzwi ustąpiły; nie wahając się, wszedł do środka.

Wydział filozofii znajdował się na pierwszym piętrze. Gdyby ogon nagle się pojawił, mógłby udać się do swojego gabinetu, pozorując poszukiwanie jakiejś książki lub segregatora, a potem po prostu wrócić do boksu w czytelni. Mimo takiego planu awaryjnego Seth czuł, jak jego dłonie robią się chłodne, bardziej niż wskazywałaby na to temperatura otoczenia. Minął windę, potem schody i ruszył w kierunku nieoświetlonego końca korytarza. Gdy dotarł, zatrzymał się na kilka chwil, kryjąc w cieniu i spoglądając na zwykle drewniane drzwi ze zwykłą klamką i zamkiem na zasuwkę. Wypróbował klucz od swojego gabinetu. Nie pasował. Zresztą nie sądził, że będzie. Magazynek używany był rzadko, a klucze do niego posiadali wyłącznie Karen i Tony.

Postawił na podłodze teczkę, w której znajdował się zestaw narzędzi, których nie używał od czasu, kiedy przestał pracować w policji. Macając po omacku, wyciągnął

zestaw wytrychów; można je było schować w rękojęść, jak scyzoryk. Minęły lata, kiedy posługiwał się nimi po raz ostatni, zatem w pierwszej kolejności zabrał się do rozpracowywania zamka najprostszego.

Z początku szło mu to nieporadnie, ale po kilku minutach palce przypomniały sobie, co należy robić. Za starych czasów z zamkiem takim jak ten poradziłby sobie w kilka sekund. W końcu rygiel ustąpił. Seth przerwał na chwilę, zanim przystąpił do otwierania zamka z zasuwką. Podniósł prawą dłoń, by odgarnąć z czoła kosmyk opadających włosów. Palce zrobiły się mokre od potu. Nagle poczuł, że krople potu zebrały się też na górnej wardze, a pod pachami wyczuł mokre plamy. Wziął głęboki wdech, potem pochylił się i wyciągnął z teczki małą kieszonkową latarkę. Dodatkowe światło ułatwiło mu dostrzeżenie zarysów zamka oraz odgadnięcie jego konstrukcji. Zamek był prosty, w końcu jedynym jego zadaniem było zablokowanie wejścia do pomieszczenia, w którym przechowywano stare książki, przestarzały sprzęt, dodatkowe krzesła oraz komplet roczników „National Geographic” należący do Tony’ego Bradforda, a także pocztę i gazety Seta Ridgewaya, odkąd ich sterta zrobiła się zbyt duża, by mogła pomieścić się na jego biurku. Wśród tych przesyłek właśnie była też i ta z obrazem o nieopisanej wprost wartości.

Gdy zastanawiał się, w jaki sposób wziąć się za otwieranie zamka, od strony schodów dobiegły jakieś głosy. Wyłączył latarkę i znieruchomiał. Głosy stawały się wyraźniejsze, jeden męski, drugi kobiecy. Chwilę później dosłyszał też stukanie obcasów i cięższe odgłosy męskich stóp, kiedy para zaczęła schodzić na poziom sutereny. Seth zebrał narzędzia, chwycił teczkę i skrył się pospiesznie w najciemniejszym mroku pod schodami.

Słowa wypowiedane przez zbliżających się były bardziej wyraźne. Współlokatorka dziewczyny miała już dość nieustannego zostawiania do jej dyspozycji ich wspólnego pokoju. Dlaczego więc on nie wyprowadzi się z akademika i nie wynajmie prywatnej kwatery? Wszystkim, czego potrzebowali, było ciche, ciemne i wygodne miejsce, przekonywał on; być może w tym budynku znajdują jakiś niezamknięty gabinet. Seth miał wrażenie, że rozpoznaje głos jednego ze swoich studentów. Para dotarła już na dół i kontynuowała rozmowę. Jej zdaniem pomysł na ukradkowy seks w przypadkowo otwartym uniwersyteckim gabinecie był poniżający i pozbawiony romantyzmu. Męski

głos, który w dużym stopniu brzmiał jak głos faceta przed pierwszym razem, stopniowo przechodził w błagalny jęk dorastającego nastolatka. Seth miał teraz pewność, że rozpoznaje go. Ten sam jęk słyszał wcześniej już wielokrotnie – student osiągający wyniki poniżej średniej, który był na najlepszej drodze do relegowania.

Para nie przestawała targować się u podnóża schodów.

Idźcie sobie, pomyślał Seth, popatrzysz na fosforujący wyświetlacz zegarka. Czas mijał nieubłaganie. Dochodziła już dziesiąta, a człowiek Strattona nie będzie czekał bez końca. Tymczasem tamci wciąż negocjowali kuszeni wizją cielesnej rozkoszy. Z tego, co słyszał, Seth ocenił, że dziewczyna chciała u targować jak najwięcej. Wspominała nawet coś o małżeństwie, a chłopak, rozpalony już do białości, zgadzał się na rzeczy, którym później będzie bez powodzenia zaprzeczał. Składane przyrzeczenia sprawiły, że dziewczyna stawiała się coraz bardziej ustępliwa.

– Po tamtej stronie – powiedział student – jest magazynek, który czasem zostawiają otwarty. W środku jest nawet kozetka.

Seth poczuł, jak robi mu się zimno. Nie było sposobu, żeby go nie zobaczyli.

– Coś podejrzanie dużo wiesz na ten temat. – Jej słowa niosły teraz w sobie zapowiedź odwołania erotycznej przygody. – Czy często sprowadzasz tutaj inne dziewczyny?

– Nie... nie, ja... to tylko... ten magazynek należy do wydziału filozofii. Pomagałem im kiedyś zanieść tam segregatory, to wszystko. Nigdy nikogo tutaj wcześniej na sprowadzałem, niech skonam, jeśli kłamię.

Zapadła długa chwila ciszy. W końcu Seth usłyszał śmiech dziewczyny, a w chichocie, gdzieś między wierszami, krył się triumf zwycięstwa.

Zanim Seth zdołał pomyśleć cokolwiek więcej, para weszła w strefę mroku pod schodami i moment później stanęła z nim twarzą w twarz. Chłopak obejmował dziewczynę w pasie jedną ręką, a drugą zdążył już wsunąć pod jej bluzkę. Na widok Setha dziewczyna wydała piskliwy krzyk, odskoczyła do tyłu, jednocześnie zatykając dłonią usta. Na twarzy chłopaka, niczym w pełnej kinowej sekwencji, przewinęły się szybko i po kolei strach, konsternacja, ulga rozpoznania i znowu strach. Twarze ich obojga, blade i pozbawione kropli krwi, przebijały się przez mrok niczym dwa księżycy. Przez chwilę ciągnącą się niemal tyle co wieczność nikt nie przemówił ani słowem. Seth

czuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła. Z jednej strony był pracownikiem dydaktycznym wydziału, miał stanowisko i autorytet, a jako członek kadry wydziału miał pełne prawo korzystać z magazynku w suterenie. Z drugiej natomiast, nie życzył sobie, żeby odkryli jego obecność i posądzili o przyczajanie się i podsłuchiwanie w ciemnościach ich prywatnej rozmowy.

– Profesorze... – pierwszy odezwał się chłopak, ale słowa zdawały się grzęznąć mu w gardle.

– Dobry wieczór – odparł zmieszany Seth.

Słowa były niedorzeczne, ale tylko to mu przyszło do głowy.

Nagle chłopak zaczął nerwowo wygłaszać przeprosiny, co tylko pogłębiło zakłopotanie. Górę wziął jednak chłodny, koci instynkt jego towarzyski. Spokojnym głosem nakazała mu, żeby się zamknął i odciągnęła go do tyłu, do oświetlonej części korytarza.

– Dobry wieczór, profesorze – wydusiła z siebie, w pełni już opanowana i uprzejma. – To, że... wpadliśmy na pana, było całkiem intrygujące.

Wreszcie odgłosy ich kroków ucichły w drugim końcu korytarza, rozległo się trzaśnięcie zamykanych drzwi. Seth postawił teczkę w miejscu, gdzie mrok był największy, i wrócił do otwierania zamka. Po minucie zasuwka ustąpiła. Seth schował wytrychy do teczki i otworzył drzwi. W ciemnościach dostrzegł jakiś ruch. Światło dobiegające z korytarza było zbyt słabe, by spenetrować mrok. Wyciągnął więc rękę ku ścianie, chcąc znaleźć włącznik, ale światło się nie zapaliło. Najwidoczniej żarówka była przepalona. To zapewne rozżłości Tony'ego Bradforda, dziekan bowiem co jakiś czas szukał tu schronienia przed codziennymi sprawami, siadał na kozetce i zjadał kanapki skomponowane z najdziwniejszych składników. Seth wyciągnął latarkę i przeszedł przez próg. Usłyszał cichy tupot, jakieś drapanie i szelesty.

Zapalił latarkę. Pierwsze, co zobaczył, to prawdziwy chaos. Ktoś przeszukał dokładnie magazynek. Meble były wywrócone, zawartość półek zrzucona na podłogę. Wszędzie wałały się papiery. Ktoś też otworzył każdą kopertę z jego korespondencją.

Nagle poczuł w sercu tak ogromny ciężar, iż wydało mu się, że rozerwie mu klatkę piersiową. Z pewnością znaleźli obraz. Z pewnością była to duża paczka przesłana na jego adres z hotelu Eden du Lac, zawierająca między innymi rzeczy z hotelowego

sejfu, który zapomniał opróżnić przed wymeldowaniem się. Stracił jedyny skuteczny atut, a wraz z nim nadzieję na odzyskanie Zoe.

Bezmyślnie omiatał światłem latarki wewnątrz pomieszczenia. Chwilę później snop światła ujawnił scenę do tego stopnia okropną, że nie przygotowały go na nią nawet najgorsze chwile, jakie przeżył w Jatach policyjnej kariery.

W przeciwległym rogu leżało ciało Tony'ego. Na środku czoła widniał niczym trzecie oko pojedynczy, czerwony otwór po kuli. Na prawym ramieniu siedział opasły szczur i wgryzał się w szyję Bradforda. Szczur spojrzał w stronę Setha arogancko mrugającymi oczkami, w których światło latarki odbijało się na czerwono.

Seth stał zupełnie sparaliżowany. Kiedy tak wpatrywał się z przerażeniem, z mankietu nogawki Bradforda wylał drugi szczur z pyszczkiem unurzonym we krwi. Seth pochylił się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby odpędzić gryzonie, kiedy nagle coś ciepłego uderzyło go w policzek. Na moment stracił dech, starając się w ślepej panice strącić futrzaną furję. Ułamek sekundy później usłyszał głucho łupnięcie o przeciwległą ścianę. Drżącymi rękoma skierował tam światło latarki i dostrzegł szczura leżącego na podłodze. Zwierzę szybko się pozbierało i pierzchnęło co sił.

Seth walczył z histerią, która go ogarniała. W panice świecił po całym pomieszczeniu, aż w końcu znalazł. Starając się ignorować odgłosy dochodzące z mroku, chwycił miotłę z drewnianym trzonkiem. W nagłym ataku gniewu, na granicy łez, zamachnął się na szczury, odganiając je z ciała Tony'ego. Pomieszczenie wypełniło się odgłosami panicznego tupotu i drapania oraz chórem przenikliwych, niedających się od siebie odróżnić pisków. Seth omiatał obszar wokół zwłok tak długo, aż ostatni gryzoń salwował się ucieczką na korytarz.

Upuścił szczotkę i uklęknął obok ciała Bradforda. Wyciągnął prawą rękę i ostrożnie dotknął jego ramienia grzbietem palców. Zwłoki wciąż były znacznie cieplejsze niż temperatura w pomieszczeniu. Zatem musiał zginać nie tak dawno. Seth wstał i oświetlił miejsce wokół zwłok. Napastnicy nie pobili go. Jedynym śladem ataku był rana postrzałowa na czole po kuli dużego kalibru, poza tym dostrzegł wyłącznie ślady ugryzień szczurów.

Bezwiednie cofał się w stronę drzwi prowadzących na korytarz. W głowie słyszał jakieś płytkie oddechy, musiał zorientować się, czy są to jego własne odgłosy.

Wyszedł z magazynku, w którym wyczuwał teraz wyraźnie słodki, mdlący zapach krwi i śmierci, potem stanął nieruchomo w ciemnościach, opierając się o zimną, betonową ścianę. Przez chwilę zmagął się ze słabością, jednocześnie starając się pozbierać myśli.

Powoli układał w głowie bieg zdarzeń. Ktoś dowiedział się, że adresowana do niego korespondencja jest tu składowana. Kto? Z pewnością nie ludzie Strattona, bo wspomnieliby mu o tym. Nie mieliby wtedy zresztą powodów, by go śledzić, mieliby już obraz. Najprawdopodobniej byli to ci sami ludzie, którzy zaatakowali go na łodzi. Ale kto? I skąd się dowiedzieli? Pomyślał chwilę i przypomniał sobie poranną rozmowę telefoniczną z Tonym Bradfordem i z Karen. Oboje wspominali o jego poczcie i o magazynku. Ktoś więc musiał założyć podsłuch na jego telefonie i w ten sposób dowiedział się, gdzie jest przechowywana jego korespondencja. Potem ten ktoś włamał się do magazynku, podobnie jak teraz uczynił to on sam. Tony, który prawdopodobnie zdecydował, że nie rzuca gróźb na wiatr, wybrał się do magazynku z zamiarem usunięcia rzeczy Ridgewaya i najwidoczniej natknął się na włamywaczy, zaskakując ich na gorącym uczynku. I za to właśnie spotkała go śmierć.

Seth poczuł mdłości, nachylił się i gwałtownie zwymiotował. Wyrzucał z siebie treść żołądka, aż nie zostało w nim nic, potem otarł usta i chwiejnym krokiem ruszył po teczkę.

Dziwnym trafem udało mu się niezauważonym przez nikogo dotrzeć do męskiej toalety na pierwszym piętrze. Zatkaną umywalkę korkiem ukreconym z papierowego ręcznika, potem odkręcił zimną wodę i zanurzył twarz. Zimna woda odgoniła mdłości. Stał tak, z zamkniętymi oczami, starając się opanować oddech, a serce powoli zaczynało bić w normalnym tempie.

Powoli wracało też racjonalne myślenie: musi zadzwonić na policję i zgłosić zabójstwo Tony Bradforda. Musi do kogoś zadzwonić, zanim powrócą szczury. Nie ma już wyjścia, musi włączyć się w tę sprawę. Wcześniej wszystkie argumenty przemawiały za tym, by trzymać się z daleka od stróżów prawa. Drobiazgowo dochodzenie w sprawie zabójstw na łodzi skierowałoby podejrzenia na niego, opóźniając poszukiwania obrazu, a tym samym także poszukiwania Zoe. Ale teraz, kiedy obraz zniknął, zniknął z nim jego jedyny atut. Musiał przekazać sprawy ludziom lepiej wyposażonym w dochodzeniowe

instrumentarium. Oparł się o ścianę przed drzwiami prowadzącymi na wydział i grzebał w kieszeni w poszukiwaniu kluczy. Przynajmniej teraz dadzą mu wiarę, przekonywał sam siebie. Z pewnością na spotka się ze sceptycznymi połajankami, jak miało to miejsce w Zurychu.

Przekręcił klucz w zamku, pchnął drzwi, potem włączył światło w sekretariacie. Jarzeniówki przez chwilę mrugały, zanim wreszcie stały się niebieskie, pograżając w poświęcie nieco zużyte drewniane biurko Karen oraz nie mniej zużyte drewniane krzesła ustawione pod ścianą.

Bez chwili zwłoki ruszył krótkim, ciemnym korytarzem w kierunku własnego gabinetu. Otworzył drzwi i wszedł do niewielkiego pomieszczenia, jakie otrzymywali do dyspozycji pracownicy dydaktyczni wydziału. Jego wzrok zatrzymał się na tabliczce z wygrawerowanym napisem umieszczonej z tyłu za jego szarym, metalowym biurkiem. Zrobiono ją dla niego na zlecenie Zoe.

Ci, którzy potrafią, wykonują.

Ci, którzy nie potrafią, nauczają.

Ci, którzy nie potrafią uczyć, zostają administratorami.

Słowa te wyrażały jego własne poglądy, co z kolei uczyniło go osobą bardzo niepopularną w kręgach administracji zarządzającej Uniwersytetem Kalifornijskim. Prawda zawsze była bolesna.

Usiadł za biurkiem i sięgnął po telefon, zamierzając zadzwonić na policję, gdy jego uwagę przyciągnęła koperta. Rozpoznał pismo Karen Bradford; kopertę przykleiła do abażuru biurkowej lampki, co miało przyciągnąć jego wzrok.

Odłożył słuchawkę.

„Tony był na ciebie porządnie wkurzony”, tak zaczynała się notatka. „Zdaję sobie sprawę, jak bardzo wstrząsnęło tobą zniknięcie Zoe. I wiem, że tak naprawdę nie jesteś sobą. Podobnie zresztą jak Tony nie był sobą. Obawiałam się, że zrobi coś nieprzemyślanego z twoją pocztą, zatem dzisiaj rano, po naszej rozmowie, zesłałam do magazynku i wybrałam te listy oraz przesyłki, które wydały mi się ważne. Umieściłam je w mojej szafce na dokumenty, w dolnej szufladzie, na samym końcu. Klucz do szafki znajdziesz w kopercie”.

Liścik podpisany był inicjałem „K”.

Drżącą ręką Ridgeway wyciągnął kluczyk z koperty. Wstał od biurka tak raptownie, że krzesło przewróciło się do tyłu i uderzyło o podłogę, a myśli o Tonym Bradfordzie natychmiast odeszły w niepamięć. Seth ruszył pędem do biurka Karen Bradford. Metalowa szafka na dokumenty stała z tyłu.

Już wkładał klucz do zamka, gdy usłyszał krzyki. Najpierw usłyszał głos żeński; w pierwszej chwili okrzyk zdziwienia, który szybko przeszedł w urywane krzyki grozy. Potem doszedł męski głos. Raczej wołanie niż krzyk. Po chwili znów głos kobiecy, teraz drżący, wchodzący w wysokie rejestry, z każdą chwilą coraz bliższy hysterii.

Rozpoznał je. Widać tamci, zdesperowani powrócili do magazynku skonsumować to, co wcześniej utargowali. Ponieważ nie zamknął drzwi szybko odkryli ciało Tony'ego Bradforda. Dziewczyna ciągle darła się wniebogłosy. Miał wrażenie, że krzyk stawał się coraz głośniejszy.

Seth wsunął kluczyk do zamka. Musiał się spieszyć. Biura wydziału filozofii były pierwsze przy schodach. Zobaczą światło i zechcą zadzwonić stąd na policję, on zaś w żaden sposób nie zdąży wrócić na czas do biblioteki. W tej chwili wszystko zależało od tego, czy ogon podesłany przez Strattona nie zacznie w końcu czegoś podejrzewać.

Bez trudu otworzył szafkę, wysunął dolną szufladę i natychmiast dostrzegł stertę kopert oraz kilka grubszych przesyłek. Wyciągnął je.

Niepomny krzyków, desperacko grzebał wśród kopert i paczek. Jego dłonie szybko wychwyciły to, czego szukały. Przesyłka wielkości pudełka od koszuli, owinięta w brązowy papier pakowy z adresem zwrotnym hotelu Eden au Lac. Zerwał papier, potem arkusz ochronnej tektury, wreszcie folię pęcherzykową; zobaczył malowidło przedstawiające alpejską łąkę. Na odwrocie widniał napis „Dom naszej Pani Odkupicielki”. Ponownie zawinął obraz w folię i papier, zabrał też resztę korespondencji i ruszył w kierunku drzwi.

Kiedy wychodził na korytarz, słyszał kroki na schodach oraz głos chłopaka usiłującego pocieszyć dziewczynę. Wsunął teczkę pod ramię i wybiegł z budynku.

Stojąc pośrodku celi i usiłując dostrzec oczami wyobraźni drogę ucieczki, Zoe zmagala się z pokusą odprawienia modłów.

Zanim źli ludzie zamknęli ją tutaj, nie wierzyła w Boga, który miałby

wysłuchiwać ludzkich błagań. Gdyby teraz zaczęła się modlić, byłoby to świadectwem hipokryzji, którą tak bardzo pogardzała.

Matka usiłowała wychować ją na dogmatyczną, protestancką fundamentalistkę. W każdą niedzielę chodziły do niewielkiego ceglanego kościółka w hrabstwie Orange, na południe od Los Angeles. Wedle reguł tej wiary taniec był grzechem, a urzędnicy wybrani w demokratycznych wyborach, których poglądy choć odrobinę odbiegały na lewo od Ronalda Reagana, uznawani byli za Antychrysta. Ludzie z parafii wierzyli, że świat powstał w 4004 roku przed Chrystusem, gdyż tak głosiła Biblia, i nikt z tym nie dyskutował, ponieważ każde słowo w Piśmie Świętym zostało napisane przez gniewnego, podobnego do Zeusa Boga, który posyłał wprost do piekła każdego, kto ośmielił się nie wierzyć w zrodzonego z niego Syna.

Ojciec nigdy nie chodził do kościoła i fakt ten, a także dylemat, co zrobić z sekretem o przemawianiu do niej kolorów za pomocą dźwięków, stały się pożywką dla niekończących się kłótni i niesnasek. W pewnym spokojniejszym momencie, kiedy Zoe miała kilkanaście lat, ojciec wyjaśnił jej, że „uwzględniając istnienie tylu różnych religii i wyznań oraz rozmaitych sposobów oddawania czci Bogu, przejawem skrajnej arogancji jest fakt, że każdy z Kościołów uznaje sam siebie za jedyny prawdziwy, utrzymując przy tym, że wyznawcy wszystkich pozostałych będą się smażyć w ogniu piekielnym. Być może powinniśmy zaczerpnąć po odrobinie z każdej religii i spróbować odnaleźć w nich okruchy prawdy”.

Religijne dogmaty były łatwym celem buntu. Zoe odwróciła sens ojcowskiego credo i gdy on przyznawał, że w każdej religii jest prawdopodobnie ziarno prawdy, ona doszła do wniosku, że ostre konflikty między wyznaniem dobitnie świadczą o tym, że w żadnym z nich nie kryje się nawet jej odrobina. Kiedy odmówiła uczęszczania do kościoła, matka stała się jeszcze bardziej fanatyczna. Pewnej niedzieli, po szczególnie zagorzalej kłótni przy śniadaniu, poszła na mszę do kościoła i nigdy już nie wróciła. Jak się potem okazało, zniknął również jeden z barytonów z męskiego chóru. Zoe nigdy więcej nie usłyszała nic o własnej matce.

W oczach dziewczynki zniknięcie matki było ostatecznym dowodem na to, że Bóg to kanciarz, a ludzie zwykli frajerzy. Doszła też do wniosku, że prawdopodobnie była to jedyna rzecz, co do której nie mylił się Karol Marks.

Teraz więc, gdy skurcze chwytają jej wnętrzności, Zoe stawiała czoło własnej hipokryzji popychającej ją do modlitwy. W lisich norach nie kryją się ateści, powiada stare porzekadło. Według niej to desperacja zmuszała ludzi do wiary, robili to dla wygody, znajdowali fałszywe pocieszenie, oszukując sami siebie. W pierwszej chwili pragnienie modlitwy zaskoczyło ją, potem dostrzegła w nim to, czym było w istocie, i postanowiła zachować godność, nie poddając się chęci błagania o wybawienie Boga, w którego przedtem nie wierzyła.

Chociaż żałowała, że wcześniej nie wierzyła w Boga, gdyż teraz mogłaby zawrzeć z nim układ: Wyprowadź mnie stąd, a uwierzę w Ciebie; uczynię wszystko, co tylko zechcesz.

Zoe pokręciła przecząco głową, wstydząc się, że takie myśli przychodziły jej do głowy. Jaki pożytek był z Boga, z którym można było iść na tanie układy?

– Co za beznadzieja – powiedziała cicho do samej siebie.

Thalia sprawiała, że była pełna energii i myślała pozytywnie, ale każdego wieczora, kiedy odprowadzali ją do celi, depresja zdawała się wyłaniać z każdego ciemnego rogu.

Obróciła się powoli, spoglądając kolejno na każdą z trzech litych, betonowych ścian i na czwartą, w której były ciężkie, metalowe drzwi z zasuwą i dwoma zamkami oraz przyspawanymi zawiasami, żeby nie dało się ich podważyć od dołu. Wentylator przyspawano do drzwi tuż ponad otworem, którego rozmiary pozwalały wyłącznie na wystawienie głowy. Spojrzała na betonową płytę pod stopami, potem na deski stropu nad głową. Przez panujący w pomieszczeniu hałas usiłowała dosłyszeć ciche odgłosy stóp dochodzące z biura na górze.

Jej serce było niczym otchłań beznadziei, ciemna czeluść, która usiłowała zassać ją do środka.

– Zawsze musisz zakładać, że istnieje jakieś wyjście. – Słowa ojca wywołane z zakamarków pamięci zaskoczyły ją. – Twoim zadaniem jest odkrycie tego rozwiązania, bez względu na to, jak bardzo wydaje się niemożliwe. Zakładanie nie powodzenia z góry, nie przynosi bowiem żadnego pożytku.

Prawie dziesięć lat nie poświęciła tym słowom nawet jednej myśli. Nagle powróciły, tak klarowne, jakby wypowiedział je dopiero przed chwilą, i to ją zaskoczyło.

Poczuła, jak skóra piecze ją żywym ogniem. W jednej chwili przypomniała sobie scenę z jego prowizorycznego rzeźbiarskiego studia. Pracował wtedy nad rzeźbą z sześcienną bryłą stali o wadze czterech ton, która miała być największą atrakcją podczas otwarcia galerii. Rzeźbę zatytułował „Pożar umysłu”, a chodziło o to, by bryła stali cięższa niż samochód Chevrolet Suburban wyglądała tak, jakby stała się lżejsza od powietrza.

– Kiedy logika przestaje działać – powiedział wtedy ojciec – szukaj odpowiedzi, które przeczą logice.

Koniec końców wymyślił metodę szlifowania stali łupinami orzechów włoskich, podwieszając bryłę za pomocą odpowiednio ustawionych elektromagnesów.

– Jeśli zawiedzie cię umysł, szukaj odpowiedzi w duszy.

„Pożar umysłu” został sprzedany za sumę większą niż siedmioletni zarobek ojca z pracy w warsztacie jako mechanik. A żył jeszcze siedem lat, zanim przygniótł go ogromny odlew z brązu. Jego dzieła złożyły się na pierwszą galerię sztuki, jaką Zoe otworzyła.

– Musisz wyobrazić sobie drogę, którą pójdziesz między przeszkodami – jego głos znów przemówił do niej. – Wyłącz racjonalne myślenie i puść wodze fantazji.

– Daj mi tę inspirację, tato – odezwała się Zoe miękkim głosem, usiłując powstrzymać łzy. – To musi być arcydzieło wyobraźni. Pomóż mi, tato.

Rozdział 11

Nochspitze jest nierówną granitową granią wystającą po nad dwa tysiące czterysta metrów nad poziom morza, położoną w austriackim Tyrolu na południowy zachód od Innsbrucku. Jest to niegościnna góra: zimna, stroma, pozbawiona drzew i niedostępna dla nikogo poza ptakami, wytrawnymi alpinistami oraz tymi, którzy mieli szczęście i załapali się na przejazd prywatną kolejką linową, kursującą do masywnego górskiego schroniska wzniesionego tuż pod szczytem góry.

Alpejska chata zbudowana została w 1921 roku jako schronisko przez austriackiego oberżystę, który miał nadzieję ściągnąć na strome stoki tłumy narciarzy. W budynku urządzono dwadzieścia pięć pokoi gościnnych, każdy z łazienką i kominkiem, natomiast salę jadalną usytuowano w prawym skrzydle, tuż nad urwistym zboczem.

Jednak położenie na takim odludziu sprawiło, że z jednej strony schronisko było wielką atrakcją, z drugiej, miało niewielu gości. Dotarcie wymagało długiej jazdy krętymi drogami z Innsbrucku aż do maleńkiej stacji kolejki linowej u podnóża góry. W tamtych czasach nieutwardzone drogi uniemożliwiały jazdę automobilem, zatem podróż musiała się odbywać wozem zaprzężonym w konie. Przy pogodzie deszczowej, mroźnej lub śnieżnej jazda stawała się niemożliwa albo do tego stopnia męcząca, że zniechęcała potencjalnych gości. Ostatecznie w 1924 roku schronisko zbankrutowało, a przyczynił się do tego wypadek – gondola kolejki linowej zerwała się, powodując śmierć pięciorga ludzi.

Dwa lata później zamożny włoski przemysłowiec kupił chatę, zamierzając wykorzystać ją jako prywatne ustronie oraz ośrodek konferencyjny. Po siedmiu latach Włoch zmarł, zapisując schronisko w testamencie na rzecz Kościoła katolickiego.

W dawnej sali jadalnej schroniska stał teraz kardynał Neils Braun, arcybiskup Wiednia i głowa papieskiego Sekretariatu do Spraw Niewierzących, w pozycji paradnej, z plecami wyprostowanymi, stopami szeroko rozstawionymi i dłońmi założonymi na plecach. Miał na sobie gruby góralski sweter, spodnie z materiału o ukośnym splocie i lekkie buty do wspinaczki. Szkarłatne szaty wisiały teraz w szafie, jak zawsze, kiedy tu przybywał. Przejechał dłonią po gęstych i szorstkich włosach, nieobecny wzrokiem patrząc przez skute lodem szyby na malutkie postacie narciarzy zjeżdżających stokiem w

dół.

Spoglądał na drugi kraniec doliny, usiłując dojrzeć ścianę, po której jeszcze nigdy się nie wspinał. Od frontu schroniska mógł podziwiać trasę olimpijskiego slalomu w pobliżu Axamer Lizum, gdzie w 1968 roku Jean-Claude Killy tworzył historię narciarstwa zjazdowego. Patrzył przez przymrużone oczy; popołudniowe słońce wyszło zza chmury i zacieniony krajobraz przypominał teraz prawdziwe dzieło malarskie. Wyżej pędziły po niebie chmury, niczym wielkie żaglowce. Były to pozostałości po burzy śnieżnej, która poprzedniego wieczora zasypała Tyrol warstwą śniegu grubości trzydziestu centymetrów.

W dolinie, pomiędzy dwoma pokrytymi śniegiem brzegami serpentyną, płynęła rzeka Inn. Mróz nie skuł jej jeszcze w pełni, ku zaskoczeniu łyżwiarzy. Jego wzrok podążał za rzeką, która wiła się obok przypominających hieroglify pasów startowych na lotnisku i wrzynała się w samo serce Innsbrucku. Kiedy jego wzrok dotarł wreszcie do pokrytych śniegiem dachów gotyckich zabudowań miasta, przywołał w myślach człowieka, z którym miał się niebawem spotkać. Chodziło o Hansa Morgena, prostego wiejskiego księdza o niezwykle skomplikowanej przeszłości. I prawdopodobnie bez jakiegokolwiek przyszłości.

Neils Braun obrócił się od okna i spojrzał w poprzek rozległej sali konferencyjnej. Na tyle dużej, by nakarmić jednocześnie co najmniej setkę gości; teraz pod ukośnym sufitem z grubo ciosanych bali stał tylko długi, dębowy stół, a przy nim dwanaście krzeseł. W przeciwnym końcu znajdował się kominek z ogromnych kamieni, na którym trzaskały rozżarzone drwa.

Punktualnie o trzeciej po południu rozległo się stukanie do drzwi. Braun podciągnął do góry rękaw swetra i spojrzał na cienki jak opłatek zegarek, podziwiając punktualność gościa.

– Proszę wejść! – zawołał. Jego głos zabrzmiał serdecznie w panującej ciszy.

Hans Morgen otworzył drzwi i z impetem wszedł do środka. Na moment zatrzymał się za progiem, mrużąc oczy w ostrym świetle odbijającym się od śniegu i przenikającym przez okienne szyby.

Był to wysoki i szczupły mężczyzna, bardziej żyłasty niż umięśniony, o jasnoniebieskich oczach osadzonych w długiej, ascetycznej twarzy. W ostrym świetle na

jego pobrużdżonych policzkach głęboko rysowały się cienie, akcentując wyrazistą zuchwę, która sterczała ponad widoczną pod szyją koloratką. Miał ze sobą laskę, chociaż tego akurat dnia nie musiał się na niej opierać.

Braun zaskoczony był silną i wyprostowaną sylwetką księdza, zwłaszcza że miał już swe lata i liczne odłamki kości wbite w czaszkę, pamiątki przeszłości, które w ułamku sekundy najlepsze nawet zdrowie mogły obrócić w niwecz. Ale uświadomił sobie, że obaj byli Austriakami o solidnych genach. Z obszernego dossier zgromadzonego w archiwach Kongregacji Doktryny Wiary na temat Morgena wiedział nie tylko o latach spędzonych w seminarium, ale i o tym, że od dzieciństwa Morgen jeździł na nartach i wspinał się po górach wznoszących się wokół małej osady Alt Aussee. Latem pływał łodzią po jeziorze, a zimą jeździł na łyżwach. No i według danych zgromadzonych w teczce, wiedział więcej na temat tego, co się działo w tym regionie przed pięćdziesięciu laty, niż ktokolwiek inny, kto jeszcze tam żył.

– Dzień dobry, Wasza Eminencjo.

Morgen rozejrzał się po pomieszczeniu, jego wzrok dostrzegł spadzisty sufit, kamienny komin, ręcznie wykonany stół i krzesła oraz rzucający się w oczy brak innych mebli. W końcu ruszył w stronę Brauna. Buty na twardej skórzanej podeszwie stukały głośno na lakierowanej drewnianej podłodze.

Braun wyszedł mu naprzeciw.

– Dobrze, że ojciec przyjechał – powiedział, wyciągając dłoń.

Morgen zawahał się przez chwilę i spojrzał na twarz hierarchy z pełnym rezerwy zainteresowaniem, które na moment wytrąciło Brauna z równowagi. W końcu uściśnił sobie ręce.

– Nie wiedziałem, że mam jakiś wybór poza zastosowaniem się do wezwania Waszej Eminencji – odparł Morgen beznamiętnym głosem.

Kardynał zignorował afront; normalnie słowa takie stanowiłyby podstawę do wymierzenia kary dyscyplinarnej duchownemu niższej rangi.

– Pozwoliłem sobie przygotować herbatę – powiedział Braun, podchodząc do drzwi.

Morgen obrócił się i zobaczył, że arcybiskup Wiednia bierze srebrną tacę od kogoś stojącego w cieniu. Podziękował tej osobie i powrócił z paterą, którą postawił na

środku stołu.

– Proszę się obsłużyć.

Na tacy stały termos oraz dzbanki z gorącą wodą i mlekiem, a także dwie porcelanowe filiżanki, spodeczki, dwa małe talerzyki, lniane serwetki oraz herbatniki, ciastka tortowe i biszkopty.

– Podwieczorki są zwyczajem, który przyswoiłem sobie, studiując na Oksfordzie – wyjaśnił Braun i włożył na talerzyk kilka ciasteczek. – Wydaje mi się, że jest to cywilizowany sposób na odpoczynek i kontemplację po długim dniu pracy.

Morgen wymruczał coś wymijającego, ale wstał i podszedł do tacy. Stanął po prawej stronie Brauna i w milczeniu wziął herbatę z cytryną.

– Może usiądziemy? – zaproponował Braun.

Wskazał gestem w stronę jednego z końców długiego stołu. Morgen skinął głową i zajął wskazane krzesło. Braun usiadł w przeciwnym końcu stołu. Siedzieli w milczeniu, mierząc się wzrokiem.

– Prawdopodobnie zastanawia się ksiądz, dlaczego go tu zaprosiłem?

Morgen dobrze to wiedział, ale milczał. Upił łyk herbaty i czekał. Popatrzył na dyktafon położony na stole i ustawiony obok mikrofon.

Kardynał pociągnął łyk z filiżanki i odstawił ją.

– Chciałbym, żeby ojciec opowiedział mi o dawnych wydarzeniach w Alt Aussee – zaczął Braun. – O dniu, kiedy...

– O dniu, kiedy o mały włos nie zginąłem.

Braun skinął głową, potakując.

– Ależ opowiadałem już tę historię – odparł Morgen bez śladu rozdrażnienia. – Ludziom z Kongregacji Doktryny Wiary oraz trybunałowi i asesorowi sprzed dwóch kadencji.

– Wiem – rzekł Braun. – Ale mam nadzieję, że być może pojawiły się jakieś fakty, które ojciec przypomniał sobie od tamtego czasu. Nawet jakieś szczegóły.

Morgen uśmiechnął się.

– Urazy mózgu rzadko się cofają – powiedział. – Niektórzy twierdzą nawet, że wcale się nie cofają. Nauczyłem się żyć z ograniczeniami będącymi następstwem tamtego dnia. Z pewnością moja pamięć się nie poprawiła.

– Cóż, w takim razie pozostaje nadzieja na cud – zasugerował Braun. – Ojciec wciąż wierzy w cuda, czyż nie tak?

– Oczywiście, że wierzę – odrzekł Morgen. – Każdy mój oddech jest takim cudem.

– W takim razie przekonajmy się, co ojciec pamięta dzisiaj – zasugerował Braun, pochylając się, by włączyć dyktafon.

– Jak Wasza Eminencja sobie życzy – odpowiedział Morgen; z trudem stłumił ciężkie westchnienie.

– Kiedy byłem już na środku zamrożonego jeziora, nad szedł cholerny, czerwonawy brzask – rozpoczął Morgen. – Miałem nadzieję, że zdążę przejść zanim słońce wzejdzie, ale śnieg był bardzo głęboki. Uciekałem przed esesmanami już ponad trzy godziny i wiedziałem, że są coraz bliżej; to było jak w koszmarze, kiedy stopy zapadają się, wskazując drogę uciekiniera, a z drugiej strony nadjeżdża lokomotywa z prze ciągłym rykiem i sapaniem.

Na twarzy Brauna pojawił się wyraz współczucia.

– Rozumiem, że ten sen już dłużej ojca nie dręczy?

Morgen przez moment spoglądał badawczo na twarz hierarchy, usiłując oszacować, do jakiego stopnia kardynał jest szczery w swoich reakcjach.

– Nie budzę się już z krzykiem z tego koszmaru. Kardynał przytaknął.

– Co ojciec zrobił tamtego ranka?

– Uciekałem. Modliłem się. Recytowałem wielokrotnie psalm dwudziesty trzeci – opowiadał Morgen, wypatrując reakcji, lecz gdy nie dostrzegł żadnej, kontynuował: – Uciekałem przez całą drogę z Salzbergwerku, kopalni soli wydrążonej w masywie góry Habersam. W tej porzuconej kopalni widziałem relikwię. Zakradłem się tam. Esesmani stojący na warcie sądzili, że jestem duchownym pracującym dla Trzeciej Rzeszy, dlatego pozwolili mi obejrzeć Całun.

Jego spojrzenie stało się rozanielone.

– Trzymałem to w dłoniach. – Spojrzał triumfująco na kardynała. – Naprawdę trzymałem to, złotą szkatułę inkrustowaną mieniącymi się klejnotami. Na własne oczy widziałem rzeczy znajdujące się w środku i czytałem dokumenty, złożone tam niemal dwa tysiące lat temu. Wciąż nie mogę uwierzyć, że rzeczy, które trzymałem wtedy w

dłoniach, usuwały z tronów papieży, obalały rządy i sprawiały, że przez niemal dwadzieścia wieków upadały imperia. Każdego dnia, kiedy o tym myślę, a zapewniam Waszą Eminencję, że myślę o tym codziennie, nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego taka świętość stała się przyczyną tak wielkiego zła. Ludzie przekupywali innych, okłamywali, kradli i zabijali, czyniąc to w imię Boga. I myślę też o tym, że Pius XII milczał, widząc okrucieństwa i bestialstwo hitlerowskiej III Rzeszy.

– Nie rozmawiamy o tym – warknął Braun.

W głębi duszy Morgen aż wrzał z wściekłości. Czuł szlachetny gniew, który pokonał w nim strach i pozwolił opanować nerwy. Kto mógł uczynić to jego Kościołowi w imię jego Boga! Morgen spojrzał bacznie na hierarchę, widząc coraz wyraźniej szczegóły.

– Przyszli po mnie z gór, z bazy nad wioską Fischerndorf – podjął relację. – Wciąż widzę dalekie światelka ich pochodni. Nabrałem otuchy, ponieważ odniosłem wrażenie, że liczba światełek zmalała. Wtedy usłyszałem z daleka głosy i wie działem, że się zbliżają.

Braun podniósł rękę, przerywając relację.

– Niech ojciec opowie mi jak najwięcej z tego, co pamięta o Niemcach w wiosce – kiedy przybyli, nazwiska, które ojciec być może zapisał w pamięci. Wiem, że ojciec przypomina sobie tamten dzień na jeziorze z dużą klarownością, ale szczegóły prowadzące do tego dnia mogą być dla nas bardzo pomocne.

Morgen skinął przytakująco. Pociągnął łyk herbaty i przez chwilę patrzył w zamyśleniu na żyrandol.

– Początkowo naziści przybywali do Alt Aussee w niewielkich grupach i zachowując pełną tajemnicę. Hitler również złożył wizytę w naszym miasteczku, udał się w góry nad osadą, a potem zjadł obiad razem z mieszkańcami. Kupił wtedy nawet kawałek bezwartościowej ziemi w rejonie góry Habersam, której jedynym walorem była opuszczona kopalnia soli, z korytarzami wiodącymi głęboko w ziemię. Później nadeszła wojna, a naziści przybywali coraz liczniej.

Nam, mieszkańcom miasteczka, zabroniono zbliżać się do terenu wokół starej kopalni soli na górze Habersam. Esesmani zbudowali tam kwaterę dla ponad dwustu pięćdziesięciu ludzi i wszystkim im zabroniono opuszczania miejsca zakwaterowania

oraz podejmowania rozmów z kimkolwiek spoza koszar. Prowiant i zaopatrzenie oraz kolejnych żołnierzy dowożono w zakrytych ciężarówkach. Dygnitarze przybywali samolotami na lotnisko w pobliskim Bad Aussee, a potem przejeżdżali przez miasto w wielkich limuzynach z zasłoniętymi oknami, które pozwalały ukryć tożsamość gości. Tuż przed Bożym Narodzeniem 1941 roku w Alt Aussee rozszły się plotki, że pojawił się sam Hitler, i że zszedł do kopalni.

Wszyscy w osadzie byli wdzięczni za to, że esesmani nie opuszczali swego terenu, nic jednak nie było w stanie powstrzymać niekończących się spekulacji na temat tego, co naziści robili w opuszczonej kopalni soli na górze Habersam. Ciekawość kusiła, wielu podchodziło do granicy zakazanej strefy, ale nikt nie widział nic poza żołnierzami kręcącymi się po alpejskiej hali, pilnującymi wejścia do niewyróżniającej się niczym nieczynnej kopalni soli.

Zdaniem jednych była to kryjówka wysokich rangą dygnitarzy SS, na wypadek gdyby losy wojny obróciły się na niekorzyść Rzeszy, inni uważali, że znajdowały się tam podziemne laboratoria, produkujące obiecaną przez Hitlera sekretną broń. Jednak myśląc trzeźwo, łatwo było wywnioskować, że każda z tych teorii była nedorzecznnością. Kopalnia była w dobrym stanie, nie groziła zawaleniem, wewnątrz panowały stała temperatura i wilgotność. Krótko mówiąc, podziemne korytarze stanowiły doskonałe miejsce do bezpiecznego ukrycia czegokolwiek.

Morgen dopił ostatni łyk herbaty i okazał zadowolenie, gdy kardynał wspaniałomyślnie wcielił się w rolę gospodarza i ponownie napełnił jego filiżankę.

– Dziękuję – rzekł, na co Braun skinął głową.

Salzbergwerk na górze Habersam to było jedyne miejsce, które okupowali naziści w górach wokół Alt Aussee. Na początku 1945 roku zaczęły tu masowo przyjeżdżać ciężarówki oraz wagony towarowe wyładowane bezcennymi dziełami sztuki, rzeźbami, rzadkimi woluminami, rękopisami oraz religijnymi relikwiami – podjął relację Morgen. – Jak Eminencja zapewne wie, Hitler rabował największe publiczne i prywatne zbiory sztuki w okupowanych krajach, zamierzając wszystko to umieścić w przyszłym Muzeum Fiihrera. Wyobrażał sobie, że monumentalna budowla powstanie w brudnym, przemysłowym Linzu w Austrii, w mieście, gdzie spędził chłopięce lata. Ten sfrustrowany artysta chciał zbudować największe muzeum sztuki w dziejach ludzkości

tylko po to, żeby jego rodzinne miasto nigdy o nim nie zapomniało. Jednak alianckie bombowce położyły kres planom Hitlera, on zaś polecił szybkie przewiezienie zrabowanych zbiorów do kopalni w rejonie Salzammergut, żeby ochronić je przed niemal już codziennymi alianckimi nalotami.

W odróżnieniu od tajnych jednostek SS, pełniących straż przy kopalni na górze Habersam, oddziały Wehrmachtu transportujące dzieła sztuki składały się z przestraszonych chłopaków, wdzięcznych, że znaleźli się z dala od linii frontu, lecz świadomych swej roli strażników kultury, czyli zrabowanych dzieł sztuki i innych dóbr. Opowiadali czasami o kopalniach soli w całym rejonie, o tym, że wiele z dzieł sztuki ukryto w kopalniach w pobliżu takich miejscowości jak Bad Ischl i Bad Aussee, a zwłaszcza w dużych i głębokich kopalniach w rejonie Steinbergu i Moosbergu. Żołnierzom Wehrmachtu towarzyszyli kustosze z różnych muzeów – wielu z nich było jeńcami wojennymi – których przewożono na pakach ciężarówek lub w wagonach towarowych, po górskich szlakach bardzo niebezpiecznych zimą, powierzając im zadanie ochrony dóbr pozyskanych przez Fuhrera.

– Dniami i nocami przez miasteczko przejeżdżały z hukiem ciężarówki, zapewniając jednocześnie handlarzom prawdziwy raj. Ci nowi przybysze zapełniali mój kościół i sprawili, że byłem bardzo zapracowany. Na tyle zapracowany, że prawdę mówiąc, prawie zapominałem o kopalni na górze Habersam. Ale nowi parafianie, żołnierze Wehrmachtu przychodzili do spowiedzi i opowiadali o strachu i terrorze. Kiedy ich słuchałem, zastanawiałem się, czy Bóg znajdzie w sobie dostateczne pokłady tolerancji i zrozumienia, żeby ich rozgrzeszyć.

– Łaska Ojca Wszechmogącego jest nieograniczona i potrafi wybaczyć wszystkie grzechy – oznajmił kardynał nieco zbyt pompatycznie, jak na gust księdza Morgena.

– Za pozwoleniem Waszej Eminencji, jestem w pełni świadom tego – odparł oschle Morgen. – Ale jestem jedynie człowiekiem i niewyczerpana cierpliwość oraz mądrość nie są w moim zasięgu.

– To zdążyłem już zauważyć – odparł Braun z protekcyjnym uśmiechem.

– Czy Eminencja chce rzeczywiście usłyszeć tę relację, czy też chce ze mnie kpić?

Kardynał popatrzył beznamiętnym wzrokiem.

– Proszę. Niech ojciec kontynuuje – powiedział po chwili.

Morgen westchnął ciężko.

– Miejscowi młodzi chłopcy coraz bardziej interesowali się tą kopalnią. Mniej więcej dwa miesiące po tym, jak zaczęto przywozić dzieła sztuki, pewien trzynastolatek, Johann Hoffer, zjeżdżał szlakiem na nartach powyżej Alt Aussee i zbytnio zbliżył się do kopalni przy górze Habersam. Zastrzelono go. Następnego dnia o czwartej nad ranem otworzyłem drzwi młodemu sierżantowi SS, nazywał się Willi Max, który był poruszony śmiercią chłopca. Zabito go na oczach sierżanta. Powiedział mi wtedy, że zastrzelono dzieciaka dla sportu, gdyż dwóch poruczników postanowiło poćwiczyć się w strzelaniu do ruchomego celu. Sierżant błagał mnie o rozgrzeszenie, opowiedział mi też o Sekretnym Mesjaszu. Przez resztę życia żałowałem, że wysłuchałem spowiedzi tego młodego żołnierza, ale wtedy nie miałem wątpliwości, że muszę coś z tym zrobić.

Ponieważ oddział SS miał zakaz pokazywania się w miasteczku, Morgen zaaranżował z sierżantem odprawienie mszy i wysłuchanie spowiedzi na terenie koszar. Tego dnia, kiedy zjawił się w garnizonie, dotarły tu wieści o zbliżających się wojskach aliantów, co wywołało wśród młodych żołnierzy panikę. Modlili się z wiarą ludzi zdesperowanych. Przegranych. Wojska alianckie wkroczyły już do Austrii, rozchodziły się pogłoski, że z każdym dniem są coraz bliżej. Esesmani najbardziej bali się tego, że zostaną potraktowani w taki sam sposób, w jaki oni traktowali innych. Nie potrafili sobie nawet tego wyobrazić, przez sześć lat bezwzględnej wojny zupełnie zapomnieli, czym są łaska i miłosierdzie.

Zdjęci strachem żołnierze rozmawiali cicho z Morgenem o ucieczce pod osłoną nocy, paru prosiło go o dostarczenie cywilnych ubrań. Wyglądało na to, że żaden z nich tak naprawdę nie wiedział, czego strzegli. Sekret znała jedynie garstka wybranych, wśród nich także sierżant, który owego ranka przyszedł do Morgena po rozgrzeszenie.

– Pewnego wieczora, już po odprawieniu mszy, prze mknęliśmy z sierżantem z górnych baraków do wejścia do kopalni. Ogromne pieczary zostały zamienione w fortece. We wszystkich korytarzach znajdowały się prawdziwe arsenały broni i amunicji, materiałów wybuchowych, a także miny pułapki. Pokazali mi, jak zaminowano wejścia, żeby je w razie czego zawalić. Sierżant zaręczył za mnie, dzięki te mu wpuszczono mnie dalej bez zadawania jakichkolwiek pytań.

Morgen starał się zapanować nad gniewem i odrazą, jakie wywoływały w nim te wspomnienia.

– Byłem w stanie to zrobić, ponieważ, jak Eminencja dobrze wie, wielu w szeregach tego Kościoła, zwłaszcza antysemitów, wiernie służyli Trzeciej Rzeszy. – Morgen zignorował ostrzegawczą zmarszczkę na czole kardynała i kontynuował. – Nie chciałem wierzyć w opowieść sierżanta; kiedy otwarto prowizoryczny skarbiec i dostałem do rąk złotą szkatułę zawierającą opis Męki Zofii, jej całun oraz inne dokumenty, wszystkie wątpliwości ustąpiły przerażeniu. Kiedy odstawiono szkatułę do skarbcza, wartownik otworzył inne pomieszczenie i pokazał mi dokument, pakt zawarty między Hitlerem a papieżem Piusem XII.

Morgen skoncentrował się na wzroku kardynała.

– Kiedy czytałem tekst o papieskich ustępstwach, czułem, jak moja wiara się rozsypuje, ja sam zaś byłem bliski postradania zmysłów – cedził te słowa, potrząsając głową, jak gdyby wciąż żałował tego, co widział przed ponad pół wiekiem. – Wciąż widzę siebie, zupełnie jakbym wystąpił z własnego ciała. Przestałem panować nad sobą, a moja pięść podążyła w kierunku gładkiej, białej szyi wartownika. Moje ręce były wtedy poza kontrolą. Biłem wartownika do chwili, kiedy osunął się na ziemię, zakrwawiony i nieprzytomny.

Morgen oddychał teraz ciężko, jak gdyby raz jeszcze jego ciało wykonywało ogromny wysiłek.

– Wtedy sięgnąłem po złotą szkatułę. Z tyłu dobiegł mnie krzyk: „Stój” i zobaczyłem młodego sierżanta, który widział, co się wydarzyło; mierzył do mnie.

– „Strzelaj!”, powiedziałem. Jestem gotów umrzeć”. Sierżant zaprzeczył ruchem głowy. „Nie” – „Musi ojciec uciekać”. Obróciłem się i w zdumieniu zobaczyłem, że sejf, w którym ukryty był całun, zamykał się samoczynnie, uruchomiony przez mechanizm zamontowany w skalnej ścianie. Zawróciłem, chcąc zabrać ze sobą szkatułę, ale sierżant rzucił się do przodu, chwycił mnie za ramiona i wyciągnął w momencie, gdy drzwi sejfu zamknęły się. Uratował mi życie. Gdyby nie on, zginąłbym zamknięty w środku jak w pułapce.

Morgen pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Czasami żałuję, że tak się wtedy nie stało – wyznał i pociągnął łyk herbaty,

ręka, w której trzymał filizankę, drżała. – Powiedział mi, że w kopalni są specjalne urządzenia zabezpieczające sejf, miny pułapki, które zabiłyby każdego, kto chciałby wykraść relikwie.

Nagle z oddali dobiegły głosy. Uświadomiłem sobie, że pozostanie przy życiu na tyle długo, by zdążyć objawić światu, co tam się działo, mogło okazać się trudniejsze niż sprawienie, by świat uwierzył w to, co zobaczyłem. Sierżant wymyślił naprędce jakąś historyjkę i zatrzymał ich na jakiś czas, a ja uciekłem z kopalni. Ale po chwili stałem się ściganą zwierzyną.

Morgen milczał pogrążony we własnych myślach; przez moment chciał je chyba zdradzić, ale po raz kolejny zrezygnował. Był wdzięczny, że jego syn, o którym nikt nie wiedział, zdołał uniknąć okropieństw wojny, i modlił się do Boga o wybaczenie krnąbrnemu duchownemu słabości, której kiedyś się dopuścił. Modlił się także o to, żeby Bóg wybaczył mu dumę, jaką czuł każdego dnia, patrząc jak chłopiec przemienia się w mężczyznę. Cierpiał tortury, spoglądając w oczy chłopca, słuchając, jak ten mówi do niego „ojcze” i nie mogąc wyjawić mu prawdy. Wiedział, że musiałyby upłynąć lata, zanim chłopiec zaakceptowałby rzeczywistość: że prawdziwym jego ojcem nie był dzielny Oberleutnant, który poniósł śmierć, walcząc z polskimi barbarzyńcami, lecz małomiasteczkowy ksiądz, który kochał jego matkę bardziej niż jej męża. Nie miał prawa uczynić tego, co uczynił, ale czasami...

Morgen przywołał we wspomnieniach gospodę nad jeziorem, którą pod nieobecność męża prowadziła Anna. Po raz kolejny przypomniał sobie cudowne fantazje, które rozgrywały się dzień po dniu w jego myślach, że odrzuci śluby kościelne, ożeni się z Anną i będzie wychowywał syna. I kolejny raz przypomniał sobie, że został zaślubiony Kościołowi – nawet jeśli niektórzy wysocy hierarchowie poszli na kompromis w imię „wyższych celów”. Nie, nie mógł zaprzeczyć, że jego syn był owocem słodkiego grzechu, za który powinien uzyskać prawdziwe rozgrzeszenie.

Odpędził myśli o Annie i synu.

– O czym ojciec myślał? – dopytywał się Braun.

– O czym? Znow biegłem w kierunku małej kamiennej chaty na południowym brzegu jeziora, gdzie miał czekać Jacob Yost.

Morgen czuł, jak wali mu serce. Do tego stopnia był zaabsorbowany myślami o

synu, że przez moment zapomniał o podwójnej gardzie.

– Świetnie! – odezwał się Braun tryumfująco. – Przypomniał sobie ojciec coś nowego! – A więc, kim był ów Jacob Yost?

Schwytany w pułapkę Morgen wiedział, że nie ma wyboru i musi kontynuować relację, starając się jednak wyjawic jak najmniej szczegółów, chociaż trzymając się prawdy.

– Yost miał kontakty z ruchem oporu – wyjaśnił Morgen. – Rozmawiałem z nim krótko po pierwszym wyznaniu sierżanta SS. Miałem nadzieję, że będzie w stanie przekazać informacje Amerykanom, a za ich pośrednictwem całemu światu. Wiedziałem, że to zrobi, nawet gdyby miał zapłacić życiem. Już niemal dobiegałem do chaty. Esesmani postrzelili mnie. Rana była lekka, ale spowalniała moją ucieczkę, oni zaś zbliżali się. I wtedy wkroczyła Boska Opatrzność.

Kardynał uniośł brwi, jak gdyby wcześniej nie wiedział o tym z zapisów rozmów z księdzem.

– Do miasteczka zbliżali się Amerykanie, ostrzeliwali okolicę. Jeden z pocisków upadł na zamrożone jezioro między mną a ścigającymi mnie esesmanami, bliżej nich. Na zawsze zapamiętam, jak eksplozja rozerwała lód pokrywający jezioro. Wybuch uniośł w górę ogromne kry i żołnierze wpadali do ciemnej wody. Później bryły lodu spadały, jak kawałki układanki, zakrywając tonących.

Dotarłem do chaty, w której miałem spotkać się z Yostem. Kiedy wszedłem do przedsionka, drzwi otworzyły się, ale zamiast Yosta dostrzegłem wysoką postać odzianą w mundur oficera SS. Odwróciłem się i rzuciłem do ucieczki. – Głos Morgena zadrzał. – Tamten strzelił mi w głowę.

W pomieszczeniu wciąż rozbrzmiewały ostatnie słowa księdza. Jasny dzień dobiegał końca, słońce zaczęło zachodzić za górskie granie. Siedzieli tak przez dłuższy czas, obserwując zapadający zmierzch, żaden nie chciał spojrzeć w oczy drugiego.

Kiedy Braun odezwał się wreszcie, wydawało się, że jego głos niesie echo.

– Ojcie, doceniam ogromny wysiłek związany z przypomnieniem sobie tych wydarzeń i pragnę podkreślić, jak było to dla mnie ważne, zwłaszcza że ojciec przypomniał sobie coś nowego. – Przerwał na chwilę, szukając odpowiednio dobranych słów. – Oprócz tego, że ten nowy fakt jest istotny, kardynałne pytanie brzmi następująco:

Czy przypomina sobie ojciec, w której z nich spośród setek kopalni soli znajdowała się relikwia Sekretne Mesjasza?

Morgen włożył wiele wysiłku w to, by sprawić przed kardynałem wrażenie, że ze wszystkich sił pragnie sobie przypomnieć.

– Nie, Wasza Eminencjo. To jeden z wielu szczegółów, które rany głowy na zawsze zabrały z mej pamięci.

Z pełną premedytacją skłamał.

Rozdział 12

Seth Ridgeway leżał na plecach, wpatrując się w ciemnościach w sufit. Jak zwykle prześcieradła owinęły się wokół niego, poskręcały i poplątały jak lina, a koc leżał zepchnięty w beładzie w nogach łóżka. Przetarł twarz dłonią, by otrzeć krople potu, które perlily się na czole i górnej wardze. Wylał dłoń o prześcieradło i obrócił się, próbując znaleźć na tyle wygodną pozycję, by zasnąć.

Lecz sen nie nadchodził. Widział szczury pełzające po ciele Tony'ego Bradforda, rozszarpujące go na kawałki, nagle zobaczył, że to Rebeka Weinstock; stała na pomoście i trzymała się za gardło, którego już nie było.

Położył na boku, zamknął oczy, ale znów pojawiały się twarze śmierci. Tej nocy udało mu się na chwilę zasnąć, zaraz po powrocie do domu z obrazem, lecz sen natychmiast spłoszyły koszmary: pogrążony był we śnie i nagle ktoś zapalił światło. Otworzył oczy i przekonał się, że leży na podłodze w magazynku wydziału filozofii. Nad nim stał Tony Bradford.

– Wstawaj ty leniwy draniu! – krzyczał.

Jego twarz zrobiła się czerwona i napeczniała z gniewu. Żyły po obu stronach szyi wystawały niczym grube liny.

– Wstawaj i prowadź zajęcia ze studentami!

Słowa Tony'ego były coraz głośniejsze, aż wreszcie nie był już w stanie ich zrozumieć. No i to rażące światło. Zamknął oczy, ale zdawało się, że promienie przechodzą przez powieki.

Ból eksplodował w klatce piersiowej i boku; przez moment znów znalazł się na ulicy. Dealer koki odbezpieczał uzi. Pierwsza seria pocisków trafiła partnera Ridgeway'a prosto w twarz. Druga uderzyła Seta w klatkę piersiową i obróciła go, następne kule trafiły już w bok i plecy.

W rzeczywistości tamtego dnia ciemność zapadła szybko, ale w koszmarze nadal było jasno.

Seth otworzył oczy i dostrzegł twarz partnera.

– Ty skurwysynu, powinienes mnie ostrzec – warknął tam ten. – To powinienes być ty; ty powinienes zginąć, nie ja.

Seth usiłował wstać, chciał coś wyjaśnić, lecz nie mógł ruszać ani nogami, ani rękami, ani nawet ustami. Był sparaliżowany.

– Ty odrażająca kupo mięsa!

Twarz zmieniła się nagle w oblicze Rebeki Weinstock, ale oskarżający głos wciąż był głosem jego partnera. Seth czuł, jak łzy spływają mu po policzkach. Mógł przecież wszystko wyjaśnić, chciał to zrobić, ale nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Zamiast Rebeki Weinstock, zobaczył Zoe.

– Pozwoliłeś im porwać mnie – odezwała się z wyrzutem. – Pozwoliłeś im zabrać mnie. Taki z ciebie glina!

Potem Seth rozdzielił się na dwie postacie. Jedna z nich unosiła się pod sufitem i spoglądała na dół na siebie samego. Zobaczył, jak osuwa się ze śladem po kuli w czole, a szczury wygryzają krwistą dziurę w jego ciele. Potem poczuł ostry, niewypowiedziany ból i dotyk małych łapek uzbrojonych w pazurki, drapiących go po oczach, oraz ciepło nagich ogonów ślizgających się po jego brzuchu i kroczu. Obudził się z krzykiem.

Otworzył oczy i patrzył na fluoryzujący wyświetlacz budzika. Dochodziła trzecia. Koszmar dręczył go. Usiadł na brzegu łóżka i dostrzegł swoje zamglone odbicie w lustrze toaletki Zoe. Drewniana szkatułka na biżuterię, którą kupił jej podczas rejsu po Brytyjskich Wyspach Dziewiczych, stała po jednej stronie komody, kolekcja kosmetyków, lakiery do paznokci i inne drobiazgi stały po drugiej stronie. Wszystkie te przedmioty zdawały się oskarżać go o zaniedbanie.

Powoli przesunął się, potem wstał. Sprężyny łóżka zaskrzypiały głośno, jakby przypominając, że Zoe zamierzała wymienić je na nowe. Aż go zakłuło w sercu, gdy przypomniał sobie chwile, kiedy leżeli razem, wtuleni jedno w drugie, ramię przy ramieniu, oddech przy oddechu. Czy to jeszcze kiedyś wróci?

Podszedł do okna, oparł się o parapet i wyjrzał na ulicę. Deszczowe chmury zniknęły, odsłaniając gwiazdy, które małymi, jasnymi punkcikami zdobiły niebo.

– Dlaczego, Boże? – zapytał cichym głosem, a para oddechu skropiła się na szybie. – Cóż takiego uczyniłem, że mi to zrobiłeś? Modliłem się, starałem się żyć według twoich przykazań. Dlaczego pozwoliłeś, żeby to się stało?

Potem zmagał się ze sobą, by odpędzić myśli, które nachodziły go coraz częściej. Być może Bóg nie istnieje. Albo Bóg ma to wszystko gdzieś.

Po drugiej stronie ulicy w miejsce toyoty pojawił się ciemny sedan, w środku dostrzegł dwóch ludzi. Przez moment był zirytowany, że go śledzono, ale szybko mu przeszło. Stratton wykonywał po prostu swoją robotę.

W pełni już przebudzony podszedł do łóżka, sięgnął ręką pod materac i wyciągnął paczkę. Położył na kołdrze i odwinął. Przez kilka chwil trzymał po prostu malowidło w dłoniach, potem pochylił się i włączył lampkę nocną przy łóżku. Raz jeszcze przyjrzał się obrazowi dokładnie.

Wyglądał dokładnie tak, jak opisała go Weinstock: alpejska łąka pokazana w ciepłych, żółtych barwach florenckich mistrzów. Po prawej stronie widać było wystającą skalną grań, a przy lewej krawędzi coś, co przypominało wejście do kopalni. Żadnych wskazówek, które rzuciłyby mu się w oczy.

Obraz oprawiony był w zwykłą czarną, drewnianą ramkę i podklejony od spodu brązowym papierem. Obejrzał teraz odwrotną stronę – owalna pieczęć przybita w jednym z rogów, „Jacob Yost i synowie, artystyczne ramy do dzieł sztuki”. I jeszcze adres „Augustinergasse 2, Zurych”.

Nazwa zakładu rzemieślniczego, w którym oprawiono obraz, to jedyny ślad, jakim dysponował. Dlaczego, zastanawiał się, obraz został oprawiony w Zurychu, a nie gdzieś w Niemczech? Raz jeszcze spojrzał na pieczęć. Było coś jeszcze, lecz atrament wyblakł, i nie dało się odczytać. Podsunął obraz bliżej światła. Zapisek był nieczytelny, ale ustawiając ramę pod odpowiednim kątem zdołał dostrzec datę: 19 maja 1937... oraz ciąg liczb 16-16. Było to więc jeszcze przed inwazją na Polskę, przed holocaustem, w okresie kiedy Hitlera wciąż jeszcze traktowano jako przywódcę państwa. Jego ludzie mogli bez trudu podróżować, gdyż nie było jeszcze bitewnych pól ani wrogich granic. Tak więc zjawili się w Zurychu z malowidłem. I z czym jeszcze?

Spojrzał na obraz, Pozwolił myślom swobodnie płynąć. Zurych słynął z banków oraz stabilnej sytuacji, chociaż w jego świadomości miasto stało się niesławnym miejscem, w którym porwano Zoe. Naziści gromadzili złoto i inne kosztowności. Czy poszlaka, że przybyli do Zurychu przed wojną, by otworzyć konta i nawiązać kontakty w bankach, była pozbawiona sensu? Być może Hitler lub Stahl, albo inny nazista przywiózł tu ze sobą obraz przy okazji innej misji i tylko korzystając z okazji zajrzał do zakładu ramiarskiego Herr Yosta.

Jeśli w nazistach było coś godnego pochwały, to z pewnością można mówić o ich metodycznej naturze. Ich życiem nie kierował przypadek. Szansa na to, że obraz zbiegiem okoliczności tylko znalazł się w Zurychu, była raczej niewielka.

Przytakując własnym myślom, chwycił słuchawkę, wybrał numer centrali i poprosił o połączenie międzynarodowe. Chciał się dowiedzieć, czy Jacob Yost lub któryś z jego synów wciąż jeszcze prowadzi zakład ramiarski w Zurychu.

Telefon zadzwonił dwa razy, zanim Seth odłożył słuchawkę na widełki. Prawdopodobnie założyli mu podsłuch. Zresztą nie miało znaczenia, kto go podsłuchiwał. Mógł spokojnie odbyć tę rozmowę, korzystając z aparatu na lotnisku. W pośpiechu wciągnął spodnie i sweter. Wyrzucił z teczki narzędzia, włożył obraz oraz wciąż jeszcze mokry plik tysiąc dolarowych banknotów, jakie do kieszeni szlafroka wcisnęła mu Rebeka Weinstock. Potem podszedł do szkatułki z biżuterią Zoe, otworzył szufladkę. Wyciągnął paszport i gruby plik szwajcarskich franków, które przywiózł ze sobą z Zurychu. Spojrzał na stemple w paszporcie – Szwajcaria, Wielka Brytania, Holandia... Każdy ważniejszy kraj w Europie Zachodniej oraz większość tych mniejszych plus stemple z rozlicznych wysp na Morzu Karaibskim, które zwiedzali razem z Zoe. Przelotnie pomyślał o tamtych cudownych dniach, kiedy przemierzali Karaiby, potem nagle zamknął paszport i zaczął się pakować.

Po dziesięciu minutach wyszedł dziarsko z domu i wrzucił torby podróżne do bagażnika volvo, z uciechą obserwując, jak mężczyźni w czarnym sedanie ożywił się nagle. Siadł za kierownicą i uruchomił silnik. Wrzucił bieg, potem ostrożnie wycofał i pojechał w dół ulicy; zatrzymał się obok czarnego sedana, opuścił szybę i wskazał gestem, żeby mężczyźni uczynili to samo.

– Powiedźcie swojemu szefowi, że wyjeżdżam do Amsterdamu – oznajmił i z gestem nonszalanckiego pożegnania zakręcił szybę, po czym odjechał.

Godzinę później uśmiechał się sam do siebie, gdy odkładał słuchawkę aparatu telefonicznego na międzynarodowym lotnisku w Los Angeles. Jacob Yost oraz jego synowie wciąż jeszcze prowadzili zakład ramiarski, przy czym dołączyło kolejne pokolenie synów. Stary człowiek żył jeszcze, jak mu powiedziano, ale był już na emeryturze. Seth wspomniał o obrazie, podał nawet nazwisko malarza, lecz rozmówcy nic to nie mówiło. Obiecał, że wspomni o tym ojcu i był pewien, że ten zechce

porozmawiać z dżentelmenem z Ameryki.

Jestem pewien, że zechce, pomyślał Seth; wszedł do prawie pustego snack baru i wziął filiżankę złodziejsko drogiej i zbrodniczo gorzkiej kawy. Ale – zastanawiał się – czy inni zechcą również na ten temat rozmawiać.

Siedział tak w oczekiwaniu na odlot i nagle poczuł nadzieję. Po raz pierwszy był przekonany, iż pojawiła się szansa odnalezienia Zoe. Zastanawiał się, czy była to odpowiedź na jego modły, czy też po prostu sprawy same rozgrywały się w ten sposób? Patrzył przez okno i usiłował pomodlić się. Lecz słowa go zawiodły.

Walcząc z niepokojem i ściśniętym gardłem, Zoe wygięła w kabłąk plecy zdecydowana walczyć z bólem i zmęczeniem, jakie odczuwała po całym dniu spędzonym na nogach. Ona i Thalia prawie dwanaście godzin rozpakowywały i ustawiały przebogatą, zgromadzoną przez Maxa kolekcję figurek Wenus, z których niektóre były datowane na dwadzieścia tysięcy lat przed naszą erą.

Gdy skończyła rozciągać mięśnie pleców, raz jeszcze rozejrzała się po pomieszczeniu. Zdawała sobie sprawę, że powstała w niej jakaś bariera między tym, co czuła w sercu, a co podpowiadała profesja. Otaczał ją miniaturowy batalion świętych kobiecych postaci – ponad trzysta statuetek ustawionych na każdym wolnym skrawku powierzchni. Każdy posążek opatrzony był metryczką z numerem eksponatu, opisem oraz numerami katalogowymi do szerszych opisów. Posążki wykonane były z wypalanej gliny, terakoty, alabastru, ceramiki oraz odlewanej miedzi. Duży, wycięty fragment alabastrowego fryzu, pochodzący ze ściany świątyni w Anatolii, został spakowany w oddzielną skrzynię i miał być rozpakowany dopiero później.

Spojrzała na figurkę Wenus z wypalanej gliny, liczącą dziewięć tysięcy lat. Miała nie więcej niż trzydzieści centymetrów wysokości, a piersi, brzuch oraz genitalia kobiety były przedstawione niemal karykaturalnie. Bogini siedziała z rękami opartymi na panterach. Wedle współczesnych wzorców kobiety przedstawione na najstarszych znanych statuetchkach byłyby zaklasyfikowane jako chorobowo otyłe.

Widok ten popchnął jej myśli ku tajemniczemu światu sprzed tysięcy lat, odwrócił jej myśli od grozy tkwiącej w sercu, która nocą zabierała jej sen, a w ciągu dnia tłamsiła duszę. Zamiast zastanawiać się nad tym, co przyniosą nadchodzące dni, poczuła

nagle piękno świata widziane oczami tamtych artystów, którzy tworzyli dzieła sztuki, jakie zdołały przetrwać tysiąclecia.

– Ujmujące, nieprawdaż?

– Och! – wykrzyknęła Zoe, gdy głos Thalii wyrwał ją z zadumy i przywrócił do teraźniejszości.

– Przepraszam. – Thalia spoglądała w dół na glinianą figurkę, która przyciągnęła uwagę Zoe. – To również jedna z moich ulubionych. Tak czysta pod względem braku ozdób czy dekoracji, wykonana z miejscowej gliny i wypalona w popiele ognia, który sam w sobie był wtedy czymś mistycznym.

– W tamtych czasach... – powiedziała miękko Zoe, wpatrując się w figurkę.

– Sądzę, że być może miało to miejsce przy ognisku, kiedy ktoś spojrzął głęboko w płomień i dostrzegł odbicie odległego i niezrozumiałego świata, który napędzał im porządnego stracha. A ona – tu wskazała dłońmi w białych rękawiczkach glinianą statuetkę – a ona poradziła sobie z trwogą w ten sposób.

– To właśnie sprawia, że te wizerunki są aż tak fascynujące. Sądzę, że mówisz o początkach religii – powiedziała Zoe, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Tak niewiele o tym wiem...

– O prehistorii – poprawiła ją Thalia, biorąc w dłonie glinianą figurkę. – Dlatego właśnie tak niewiele jest tego, o czym można wiedzieć.

– Właśnie. Nigdy bliżej nie interesowałam się sztuką z czasów wcześniejszych niż tysiąc lat przed naszą erą. Jedyne kilku specjalistów w mojej branży zna się na tym. To w większym stopniu archeologia niż sztuka.

– Cała sztuka jest archeologią – wyraziła własną opinię Thalia. – Sztuka odzwierciedla kulturę, a kultura jest sposobem, w jaki ludzie starają się nadać życiu sens. To po prostu jest tak, że większość z nas, historyków sztuki, zależy od historii pisanej, która daje nam przesłanki do interpretowania sztuki.

Zoe przytaknęła w zamyśleniu.

– Pomyśl o tym, co się wówczas działo. Ona – Zoe wskazała na glinianą Wenus – została uformowana przez czyjeś dłonie i umysł, które szykowały się do niewiarygodnej wręcz eksplozji wiedzy. Działo się to wtedy, kiedy zostało wynalezione koło, kiedy zaczęto udomawiać zwierzęta, kiedy powstawały pierwsze malowidła na ścianach jaskiń,

a pierwsze grupy pierwotnych ludzi odkryły, że można uprawiać zboże, wysiewając nasiona...

– Kiedy Bóg był kobietą – przerwała jej Thalia.

– Słucham?

– Rozejrzyj się dookoła. Bóg miał cycki.

Zoe zmarszczyła brwi.

– Cóż za świat! – skomentowała Thalia. – Ma uda grube jak ja, a w tamtych czasach ludzie uczynili z niej Boga.

Roześmiała się rubasznie, a całe jej ciało zatrzęsało się pod obszernym czarnym swetrem i elastycznymi spodniami.

– Dziwne! – dodała cicho Zoe. – Dzięki Sethowi wiem wiele na temat współczesnych religii. – Rozejrzała się dookoła. – Ale nie wiem prawie nic o... – Zatoczyła szeroki łuk ramieniem, wskazując pomieszczenie. – Tak naprawdę nigdy nie myślałam o tym, co działo się kiedyś. To znaczy zakładałam, że figurki Wenus symbolizowały po prostu jednego z wielu lokalnych bogów. No wiesz, nie była to jeszcze tak naprawdę formalnie zorganizowana religia.

– Niezorganizowana formalnie religia – powtórzyła Thalia, idąc wzdłuż stołu, na którym ustawione były posążki bogini Wenus. – To dzięki moim ludziom.

Zatrzymała się i spojrzała na Zoe.

– Tora... a także chrześcijański Stary Testament pełne są nawoływań do burzenia pogańskich świątyń, do palenia na stosach pogańskich świętych tekstów oraz do zgładzenia pogan z powierzchni ziemi. Ale pozwól mi powiedzieć, że pięć naście tysięcy lat temu... być może nawet dwadzieścia pięć lub trzydzieści tysięcy lat przed tym, jak dzięki świętym tekstom Jahwe przybrał postać, Bóg był kobietą. Wielka Bogini nie była jedynie częścią kultu płodności czy też jednym z wielu animistycznych totemów. Uznawano ją za stwórcę wszechświata, za dawczynię wszelkiego życia. I to nie tylko w jednym miejscu, lecz na całym świecie. Chodź za mną.

Ze zdumiewającą szybkością ruszyła przejściem między rozstawionymi stołami. Zoe pospieszyła za nią.

– Popatrz na metryczki. – Wskazała na Wenus z terakoty. – Ta pochodzi z Sumerii i ma na imię Nana lub Innana. Obok niej – tu wskazała figurkę wyrzeźbioną w

serpentynie – to wielka Bogini Słońca Eskimosów, najwyższy stwórca, taki jak japońska Stwórczym Świata.

Szła dalej.

– Indie, Arabia, Anatolia, Australia, Egipt, Afryka, cały ba sen Morza Śródziemnego, Bóg był kobietą. Nazywali ją Izis, Isztar, Aszera, Hathor, Anahita, Au Set, Ishara oraz setki innych imion, ale zawsze wyglądała tak samo i nie ma wątpliwości, że wszystkie te wizerunki reprezentują Wielką Boginię, która stworzyła świat i wszystko w nim.

Thalia zatrzymała się tak nagle, że Zoe niemal wpadła na nią.

– Od samego początku był to monoteizm. Zatrzymały się przy największym posągu Wenus, niemal metrowej kamiennej statuetce z Anatolii, która przedstawiała kobiecą postać rodzącą jedną głowę barana i trzy głowy byka.

– To początek szóstego tysiąclecia przed naszą erą – wyjaśniła. – W ich kulturze barany i byki reprezentowały mężczyzn. Ten posąg jednoznacznie przedstawia mężczyznę wychodzącego z ciała kobiety, zupełnie inaczej niż w opowieści o Adamie i Ewie.

Zoe pochyliła się nisko nad posągiem, chcąc przyjrzeć się szczegółom.

– Wtedy jeszcze nie rozumiano związku między współżyciem płciowym a potomstwem. Wszyscy wiedzieli tylko tyle, że kobieta i samice zwierząt dawały nowe życie. Że jedynie kobiety mogły to robić. Ciała kobiet funkcjonowały w rytm natury, księżycy i reprezentowały te same tajemnicze cykle, co świat wokół nich.

– Co, jak zakładam, jest przyczyną tego, że wciąż mówimy o matce ziemi oraz o matce naturze.

– Ależ tak. Możesz usiłować ukryć istnienie Wielkiej Bogini, ale nie dasz rady pozbyć się jej. Warto też pamiętać o tym, że kultury te miały charakter matriarchatu – dziedziczenie dobytku oraz nazwiska przechodziło w linii matki, ponieważ wtedy nie wiadomo jeszcze, że faceci mają coś z tym wspólnego. Mężczyźni byli jedynie myśliwymi i obrońcami, z uwagi na ich siłę fizyczną i rozmiary ciała, ale to kobiety wynalazły rolnictwo, ponieważ zapewniało im ono dostatek pożywienia blisko domu.

– Dlatego właśnie ta figurka trzyma w dłoniach jakieś ziarno? – Zoe wskazała na dłoń dużego posągu. – Wygląda jak pszenica, ale nie jestem tego pewna.

Thalia pochyliła się i spojrzała na figurkę spod przymrużonych powiek.

– To jest karłowata forma jęczmienia. Jeden z przodków współczesnych odmian. Tak, masz rację, trzyma to w dłoniach, bo jest dawcą pożywienia, tak jak stwórczynią życia.

– Cóż więc się stało?

Thalia uniosła brwi.

– Dlaczego Bóg jest teraz facetem? Po części dlatego, że wino oraz Bóg mają ze sobą wiele wspólnego i jak sądzę, wszystko zaczęło się wtedy, kiedy zrozumiano, jaką rolę odgrywa stosunek płciowy w prokurowaniu dzieci – wyjaśniała Thalia. – Albo to w połączeniu z początkami rolnictwa.

Za ścianami ich artystycznej galerii usłyszały trzaśnięcie drzwi dochodzące z dalszej części magazynu.

– Wtedy właśnie zaczęto zdawać sobie sprawę z tego, że kobiety sprawowały kontrolę nad własnym ciałem i zapasami żywności i że nie był to cud boskiej natury.

– Wiedza – podjęła Zoe. – Spożywanie zakazanego owocu?

Można tak to ująć. Do tego czasu niewielkie plemiona żyły zgodnie z rytmem przyrody, korzystały z tego, co dała natura, i nie podejmowały prób przejęcia kontroli nad przyrodą czy nad własnym życiem. Kiedy mężczyźni zdali sobie sprawę, że stanowią kluczowy element, przestali do pewnego stopnia odczuwać lęk. W tym mniej więcej czasie... – wskazała palcem i podeszła do sąsiedniego stołu, gdzie figurki bogini były nieco szczuplejsze. – Widzisz to?

Zoe spojrzała na figurkę odlaną z miedzi z oczami z lapis lazuli oraz kamieniem podobnym do bursztynu umieszczonym w torsie. Obok bogini stała mniejsza figurka, bez wątplenia przedstawiająca postać męską.

– W porządku, to jest mniej więcej czwarte tysiąclecie przed naszą erą – wyjaśniła Thalia. – Figurka męska to książę małżonek. Wielka Bogini wciąż jeszcze dominuje, ale kul tura rozwinęła się w ten sposób, że boski byt zawierał w sobie oba pierwiastki – męski i żeński. Nie interpretowałabym te go jako politeizm. Jest to jedno bóstwo z aspektami męskim i kobiecym, nie zaś dwa oddzielne bóstwa.

Odgłos kolejnego trzaśnięcia drzwi i tym razem jakieś ciche głosy.

– Kultura wciąż miała charakter matriarchalny, chociaż dobytek był już wspólny.

Była to epoka brązu, powstawały prawdziwe miasta, które rozwijały się bardzo szybko i zaczynały rywalizować ze sobą o tereny łowieckie oraz płody rolne; zaczęło dochodzić do konfliktów. Wcześniej bezpieczeństwo zapewniało oddawanie czci bogom oraz życie w harmonii z naturą. Teraz głównymi instrumentami życia społecznego stały się oszczep i miecz. Wzrastała więc rola pierwiastka męskiego w boskiej istocie i...

Zgrzyt klucza przekręcanego w drzwiach galerii poprzedził głośnie skrzywienie otwieranych drzwi. Pierwszy wszedł mężczyzna, którego Zoe znała jako Sergiejewa, za nim wkroczył jej zwalisty strażnik, poprzedziła ich fala zimnego powietrza, które zwiąło ze stołu papiery. Chłód przeniknął Zoe do szpiku kości.

– Rozmawialiśmy o terminarzu – rzuciła Thalia po angielsku, potem przeszła na rosyjski, przywitała obu mężczyzn, którzy odpowiedzieli jej groźnymi minami.

Zoe westchnęła ciężko, po raz ostatni spojrzała na figurkę Bogini i powróciła do ponurej rzeczywistości.

– Idziemy! – warknął Sergiejew.

Tak jak każdego wieczora, Zoe obróciła się i wyciągnęła prawą dłoń. Jedna obrączka kajdanek była już przypięta do grubego jak pień przegubu ręki cerbera, druga zwisała luźno.

Siergiejew skuł Zoe. Zwalisty, nie odzywając się nawet słowem, ruszył w stronę drzwi.

Rozdział 13

W połowie drogi między Waszyngtonem D.C. a Baltimore, na blisko czterystu hektarach pofałdowanego terenu, wśród pól uprawnych i lasów, rozciąga się rozległy kompleks złożony z dwudziestu budynków, otoczony trzema rzędami płotu trzymetrowej wysokości. Płoty zwieńczone są drutem kolczastym, a jeden z nich znajduje się pod wysokim napięciem. Dwa pasy ziemi niczyjej pomiędzy rzędami ogrodzeń nieustannie kontrolują funkcjonariusze bezpieczeństwa uzbrojeni po zęby i wspomagani przez psy.

W ciągu dnia w tych dwudziestu budynkach tłoczy się ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi; pracują w miejscowych biurach, kupują znaczki na miejscowej poczcie, strzygą włosy u miejscowego fryzjera, zaopatrują się w leki w miejscowej drogerii, chodzą na zajęcia w miejscowym college'u, a wieczorem oglądają program telewizyjny nadawany przez lokalną stację, zasilaną przez elektrownię również znajdującą się w obrębie kompleksu.

Ktoś jadący trasą z Baltimore do Waszyngtonu, kto przypadkiem zjedzie z autostrady na rozjeździe prowadzącym do Fort Meade, a potem przez przypadek skręci w nieodpowiednim miejscu, wjedzie na teren bazy wojskowej, prosto na centralny budynek. Obiekt ten to Xanadu szpiegostwa, Taj Mahal systemowego podsłuchu oraz Kolos gromadzenia informacji wywiadowczych. Gmach kwatery głównej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (National Security Agency). Powierzchnia biurowa w tym ogromnym budynku jest większa niż w kwaterze głównej CIA w Langley i amerykańskim Kapitolu, licząc razem. W podziemiach, których powierzchnia liczona jest w hektarach, mieści się centrum komputerowe – najwięcej na świecie komputerów najnowszej generacji zgromadzonych w jednym miejscu. Zgodnie z ostatnim przeciekiem, jaki przedostał się do prasy, kompleks zajmuje powierzchnię blisko pięciu hektarów, co wystarczyłoby w zupełności do obsługi wszystkich firm w Stanach Zjednoczonych, zarówno tych małych, jak i dużych.

Ale zadaniem tych komputerów nie jest obsługa biznesu, tylko szpiegowanie. Część ich wykorzystywana jest przez kryptologów do łamania kodów zaszyfrowanych informacji, inne mają za zadanie przekład na angielski przechwyconych informacji w językach obcych. Lwia jednak wykorzystywana do analizy sygnałów i rozmów

przejętych przez gigantyczny system przechwytywania sygnałów przekazywanych drogą elektroniczną, cyfrową i analogową; system Echelon zarządzany jest przez NSA.

Niczym gigantyczny kombajn Agencja Bezpieczeństwa Narodowego skanuje miliardy miliardów informacji, które w każdej sekundzie rozchodzą się po świecie na falach eteru; satelity szpiegowskie przeczesują Ziemię w poszukiwaniu sygnałów telemetrycznych z rosyjskich bądź też chińskich wyrzutni raketowych, bezzałogowe samoloty szpiegowskie namierzają rozmowy prowadzone przez pilotów MIG-ów z ich naziemnymi stacjami kontroli, nawet rozmowy telefoniczne prowadzone z limuzyn dostojników kremlofskich jadących do pracy jakimś cudem zostają wychwycone przez rozległe sieci podsłuchowe administrowane NSA.

Ale w centrum zainteresowania znajdują się nie tylko wrogowie Ameryki. Zadaniem Agencji jest również ustalenie, którzy spośród obywateli Stanów Zjednoczonych są ich nierozpoznanymi jeszcze przeciwnikami. W tym celu anteny NSA przechwytyją rozmowy telefoniczne, przekazy telegraficzne oraz pocztę elektroniczną zwykłych obywateli.

W ten właśnie sposób wewnętrzne dochodzenie pozwoliło później stwierdzić, że rozmowa telefoniczna Seta Ridgewaya z zakładem ramiarskim Jacoba Yosta w Zurychu została przeprowadzana z automatu telefonicznego GTE znajdującego się na półpiętrze terminalu międzynarodowego portu lotniczego w Los Angeles, a jakość sygnału transmisji telefonicznej była poniżej standardu, podobna do tej, jakie są generowane przez prostsze systemy telekomunikacyjne w krajach Trzeciego Świata.

Sygnał telefoniczny rozmowy Ridgewaya został przełączony na długodystansowy kabel naziemny COMSAT w mieście Jamesburg, stan California. Ponieważ wszystkie dostępne obwody satelitarne były akurat zajęte, zatem centrala cyfrowa COMSAT przełączyła rozmowę na lądowe linie międzykontynentalne, które zdołały znaleźć wolny obwód w kablu TAT 6 (Transatlantic Cable 6) w miejscowości Green Stratton, stan Rhode Island. Stąd sygnał pokonał drogę równą pięciu i pół tysiąca kilometrom kablem po dnie Atlantyku do wybrzeży Francji, dotarł w pobliże Deauville i został przyjęty przez francuskiego operatora – Poste, Telephone, et Telegraphie. Z wybrzeża sygnał został przekazany drogą radiową do centrali cyfrowej na wschód od Paryża, tam komputer PTT przekazał rozmowę za pośrednictwem głównego kabla lądowego do komputera PTT w

Szwajcarii, który z kolei przekazał sygnały do Zurychu. W Zurychu kilka cyfrowych central telefonicznych przekazywało między sobą rozmowę, aż w końcu zlokalizowany został telefon abonencki Jacoba Yosta i aparat w jego biurze zadzwonił.

W trakcie tego złożonego i skomplikowanego procesu, trwającego około minuty Seth słyszał w słuchawce jedynie kliknięcia, stuknięcia i terkoty oraz dalekie echo. Myślał jednak bardziej o tym, co powie Yostowi, niż o szumach na linii.

Rozmowa wydawała się pod każdym względem zwyczajna. Seth chciał rozmawiać ze starszym człowiekiem, który akurat był poza zakładem. Syn starszego człowieka zapytał, o co chodzi. Chodziło o obraz pędzla Stahla, który oddano do oprawy kilkadziesiąt lat temu, o malowidło przedstawiające łąkę w austriackich Alpach zatytułowane „Dom naszej Pani Odkupicielki”. Syn Yosta stwierdził, że nie zna sprawy, ale porozmawia z ojcem; poza tym starszy pan chętnie przyjmie Herr Ridgewaya.

Okazało się jednak, że rozmowa między Sethem, a synem Jacoba Yosta była również istotna dla kilku innych par uszu.

W jednym z komputerów pracujących w Forcie Meade, stan Maryland, numer telefonu, nazwisko Stahl oraz tytuł obrazu wprowadzone były do programu ostrzegawczego. Ponieważ informacjom tym przypisany był status alarmowy, pierwszy komputer, który podsłuchał rozmowę, zawiadomił drugi komputer zwany Magnetytem. Podobnie jak niektórzy ludzie są ważniejsi od innych, tak i komputer Magnetyt był ważniejszy.

Magnetyt przeanalizował więc krótką rozmowę telefoniczną, następnie sprawdził tożsamość osoby, która wprowadziła kluczowe dane niezbędne do przechwycenia informacji: numer telefonu, nazwisko Stahl oraz tytuł obrazu. Dane do systemu wprowadził agent o kryptonimie Bizancjum, a wszelkie informacje dotyczące przechwyty miały status *supertajne umbra*. Oznaczało to, że dostęp do nich mógł mieć wyłącznie ten agent. Po niecałych trzech minutach od chwili, gdy Ridgeway odłożył słuchawkę, zakodowana informacja została przekazana pracownikowi Agencji Bezpieczeństwa Narodowego o kryptonimie Bizancjum, który był już w tym czasie w drodze do Międzynarodowego Portu Lotniczego w Los Angeles.

W ciasnych, lecz nie mniej nowoczesnych budynkach biurowych na wschód od Paryża, komputer PTT przyjmował wszelkie informacje przesyłane drogą

radiową z kabla TAT 6. Komputer był mniejszy, wolniejszy i ujmując rzecz w relacjach ludzkich, mniej bystry niż Magnetyt, ale miał za zadanie obsłużyć jedynie dwa tysiące rozmów telefonicznych równocześnie, co mieściło się w ramach potencjału komputera Olivetti mainframe, który wyznaczono do realizacji tego zadania. Kilku techników PTT chodziło wokół maszyny, konserwowało ją, obserwowoło migające diody i zaspokajało jej potrzeby – ludzcy akolici bijący czołem przed informatycznym bóstwem.

W pokoju obok głównego komputera siedział mężczyzna w garniturze, który pracował dla SDECE – francuskich tajnych służb; był jednym z trzech, którzy na zmianę przesiadywali w tym pomieszczeniu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, oczekując, aż komputer rozpozna jakieś zakodowane słowo lub kod, które wcześniej wprowadzili do bazy danych mainframe'a PTT. Ludzie z telekomunikacji nigdy nie byli specjalnie szczęśliwi z tego powodu, że musieli przeznaczyć część pamięci oraz mocy obliczeniowej maszyny na realizację brudnej szpiegowskiej roboty. Zresztą niewielki entuzjazm wykazywali również ludzie z SDECE, wyznaczeni do realizacji tego nużącego zadania, siedzący w sąsiednim pokoju i po prostu czekający na to, aż coś się wydarzy. Ale ponieważ SDECE i PTT były własnością tego samego rządu, nie było wyjścia – ludzie z dwóch odrębnych agencji robili, co tylko mogli, by schodzić sobie wzajemnie z drogi.

Urzędujący tego wieczora agent SDECE, Yves LePin, otrzymał pracę w agencji dzięki poparciu okazanemu swego czasu dla Francuskiej Partii Socjalistycznej, która przejęła ostatecznie władzę. Szefostwo SDECE, nieufne wobec tej nowej fali socjalistów i komunistów, zwłaszcza jeśli chodziło o kwestię bezpieczeństwa narodowego (wielu Francuzów i Włochów wciąż jeszcze przywiązanych było do archaicznych ideologii), lokowało ludzi pokroju LePina na posadach, na których mogli wyrządzić najmniejsze szkody. Gdyby okazali się podwójnymi agentami.

Tak więc LePin zdążył już wypić dwunastą kawę ze śmietanką i rozwiązać kolejną krzyżówkę z dziennika „Le Monde”, gdy kierownik zmiany zastukał nieśmiało do drzwi, informując go, że komputer Olivetti wydrukował coś, czego kodów on nie rozumiał.

LePin ruszył sennie, żeby odebrać wiadomość, ale to, co zobaczył, od razu postawiło go na baczność. Przechwycono informacje, których kody przed sześcioma

miesiącami zlecił mu wprowadzić do komputera prowadzący go oficer KGB. Usiłując zapanować nad drżeniem rąk, LePin zaniósł wydruk do swojego biura. Kod bazujący na jakiejś opublikowanej książce mógł rozszyfrować wyłącznie człowiek, który wiedział, jaką książkę wykorzystano. I on był właśnie tą jedyną osobą.

Początkowy lęk ustąpił miejsca ekscytacji. LePin całe życie spędził jako zwykły działacz związkowy, teraz w końcu mógł naprawdę przysłużyć się sprawie socjalizmu. Złożył starannie kartkę papieru i wsunął ją do kieszeni. Nie mógł czekać dłużej, natychmiast wyciągnął książkę z półki i przystąpił do rozszyfrowania zakodowanej informacji; do zaszyfrowania wykorzystał dzieło Adama Smitha zatytułowane „Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów”.

Nie minęło dziesięć minut od chwili, gdy syn Jacoba Yosta przekazał mu informację o telefonie Amerykanina, a stary człowiek już zamknął się w swoim biurze i zamówił rozmowę zamiejscową z Monachium. Po chwili w ciemnym korytarzu rezydencji jezuitów w zabytkowym, barokowym budynku wychodzącym na Sparkassenstrasse na terenie monachijskiej starówki rozległ się dzwonek telefonu.

Średniowieczne, renesansowe i barokowe kamieniczki staromiejskie stały jednak obok drugiej, a między nimi ściana przy ścianie, okap przy okapie, przeciskały się wąskie, brukowane kocimi łbami uliczki. Na niewielkiej powierzchni mieścił się tuzin kościołów, liczne zabytkowe piwiarnie, prywatne domy oraz budynki rządowe. Najokazalszy był Kościół Katedralny i Parafialny Naszej Pani, znany wśród mieszkańców jako Frauenkirche. Wzniesiony w 1271 roku jako kaplica poświęcona Matce Boskiej, wkrótce stał się symbolem starego Monachium. Bliźniacze wieże świątyni, których szczyty zwieńczone są niezwyklejmi kopułami przypominającymi piuski noszone przez duchownych katolickich, pojawiają się na turystycznych broszurkach i zdjęciach częściej niż jakikolwiek inny charakterystyczny obiekt miasta, no, może z wyjątkiem słynnych tańczących kurantów, Glockenspiel.

Frauenkirche to nie tylko atrakcja turystyczna, to przede wszystkim katedra, miejsce chętnie odwiedzane przez tutejszych katolików. Jej status zarówno jako kościoła katedralnego, jak i parafialnego sprawia, że posługę duszpasterską świadczy tu wielu duchownych; większość z nich mieszka w rezydencji ojców jezuitów.

Telefon zadzwonił dwa razy, zanim odebrał go najmłodszy z nowicjuszy.

Odpowiedział uprzejmie i poprosił dzwoniącego o chwilę cierpliwości, on tymczasem poprosi do telefonu ojca Morgena.

Morgen to dziwny człowiek, myślał zakonnik, idąc korytarzem, a potem schodami na drugie piętro. Miał takie dobre, niebieskie oczy, które zawsze zamglone były łzami; opat wyjaśnił kiedyś, że przyczyną były rany głowy, jakie Morgen odniósł pod koniec II wojny światowej.

Młody duchowny zatrzymał się przed zwykłymi drewnianymi drzwiami z krzyżem, chwilę wahał się, zanim zastukał; ze środka pokoju dobiegały jakieś dźwięki – Morgen coś sobie nucił, chyba „Koncert brandenburski”. Duchowny dziwił się w duchu, dlaczego opat nie przydzielił ojcu Morgenowi własnego aparatu telefonicznego, w końcu ksiądz był już stary i niedomagał, a dzwoniono do niego bardzo często. Z pewnością można było zrobić dla niego wyjątek. Delikatnie zastukał do drzwi. Nie kosztowałoby to dużo. Poza tym parafia nie musiałaby ponosić tych kosztów zbyt długo, w końcu ile jeszcze mógł pożyć ojciec Morgen?

– Proszę wejść.

Ksiądz otworzył drzwi i zobaczył Morgena siedzącego przy biurku i patrzącego za okno na gmach katedry.

– Telefon, ojciec – wyjaśnił, stając obok Morgena i podając mu pomocną dłoń.

Morgen uśmiechnął się i gestem dał znać, że poradzi sobie sam. Nie był przecież kaleką. Miał czasami wrażenie, że młodzi księża nie zdają sobie z tego sprawy.

Przy drzwiach zatrzymał się na moment i spojrzął na zawieszoną na ścianie fotografię. Syn wyrósł na przystojnego, wykształconego człowieka; był to już mężczyzna stojący u progu kariery. Morgen poczuł w sercu lekkie ukłucie, jak zawsze, kiedy uświadamiał sobie, że syn nigdy nie pozna prawdziwego ojca.

Teraz było to już zresztą niemożliwe. Matka, jedyna osoba, która mogła mu to wyznać, zmarła przed dziesięcioma laty na udar mózgu. Dziś wyłącznie Morgen i Bóg znali mroczną tajemnicę.

Zerknął raz jeszcze na zdjęcie, a potem ruszył ku schodom prowadzącym na dół. Miał nadzieję, że tym razem dobre nowiny ukoją gnębiący go fizyczny ból.

Ból i osłabienie każdego dnia stawały się coraz bardziej dokuczliwe, podobnie zresztą jak pogarszające się pamięć i wzrok. Przyczyną były odłamki, jak mu mówiono.

Tamtego pamiętnego dnia obok chaty nad jeziorem kule wystrzelone przez Oberleutnanta SS strzaskały mu czaszkę i połamały żebra. Trafiło go sześć pocisków, a każdy z nich mógł być śmiertelny, gdyby wszedł milimetr dalej lub przesunął się o ten milimetr. Zginąłby, gdyby Yost nie zabił Oberleutnanta i nie zabrał potem Morgena do lekarzy z amerykańskiej armii. Uśmiechał się nieznacznie, schodząc ostrożnie po schodach. Przez te długie lata nauczył się nie robić gwałtownych ruchów, które mogłyby spowodować przesunięcie odłamków.

W ciągu minionych sześćdziesięciu lat bywały dni, kiedy poza niedowidzeniem w prawym oku nic mu nie dolegało. Pragnął wtedy znów szusować na nartach albo jeździć na łyżwach, ale zdawał sobie sprawę, że byłoby to igraniem ze śmiercią. Dużo zatem spacerował, utrzymywał ciało w dobrej kondycji, tyle że nauczył się traktować własny organizm jak stare opakowanie z nitrogliceryną.

Doszedł do podestu na pierwszym piętrze i ruszył długim korytarzem w stronę aparatu telefonicznego. Młody ksiądz nie podążył za nim; odwrócił się i szybko poszedł w kierunku pokoju opata. Zastukał z respektem w drzwi.

– Ojciec Morgen znów otrzymał telefon, Wasza Eminencjo – oznajmił, wchodząc do skromnie umeblowanego pokoju.

– Dziękuję bardzo.

Kiwnięciem głowy opat dał znać młodemu księdzu, że jest wolny. Nowicjusz odczuwał pokusę wyjawienia Morgenowi, że razem z innymi nowicjuszami otrzymał od opata polecenie informowania go oraz jego pomocników o każdym takim telefonie. Bez wyjaśnień. Ale nowicjusze nie oczekiwali żadnych wyjaśnień; ich obowiązkiem było jedynie ślepe posłuszeństwo. Młody duchowny nie mógł jednak odpędzić od siebie myśli, że w całej tej sprawie było coś... nieuczciwego.

Dokładnie to samo pomyślał opat, kiedy otwierał płaską szufladę biurka, upewniając się, czy niewielki dyktafon, jaki otrzymał od ludzi z Kongregacji Doktryny Wiary, nadal działa prawidłowo. Ludzie ci pojawili się po raz pierwszy w dwa dni po Wielkanocy 1962 roku, tuż po przydzieleniu ojca Morgena do tej parafii. Opat był wówczas młodym człowiekiem i bez wahania zaprotestował zarówno wobec podsłuchu telefonu zainstalowanego na korytarzu, jak i polecenia, by szpiegowano jednego z podległych mu duchownych. Na protesty odpowiedział arcybiskup z diecezji, a później

pewien kardynał z Watykanu, a w końcu, gdy nie przestawał się upierać, wezwano go do Rzymu i tam bez ogródek dano mu do zrozumienia, że dalsze protesty nie będą tolerowane. I oczywiście nikt nigdy nie wyjaśnił mu powodu założenia podsłuchu.

Usiłował sam dotrzeć do prawdy, przesłuchując taśmy, i to mimo surowego zakazu. Z Morgenem rozmawiali najróżniejsi ludzie – marszandzi, handlarze sztuką, kolekcjonerzy, a najczęściej pewien mieszkaniec Zurychu nazwiskiem Yost. No i policyjni detektywi oraz urzędnicy z administracji rządowej. Ale zdumienie opata wzbudziły telefony do lub od byłego nazisty. W pierwszej chwili doszedł do przekonania, że Watykan podejrzewa Morgena o to, iż sam był kiedyś nazistą, przeczyły temu jednak rany, które duchowny odniósł w czasie wojny. Morgen był już wtedy słabowitym i nieszkodliwym starszym człowiekiem, niezdolnym do wypełniania wszystkich obowiązków duchownego. Pozwolono mu zaangażować się w działalność zmierzającą do ustalenia miejsca ukrycia dzieł sztuki wykradzionych przez nazistów, a przyświecał temu szczytny cel – przekazanie odzyskanych dzieł ich prawowitym właścicielom.

Odniósł na tym polu pewne sukcesy i stał się nawet bohaterem artykułu w gazecie „Abend Zeitung” napisanego przez reporterkę Johannę Kerschner, która zainteresowała się zarówno nim, jak i jego poszukiwaniami.

W końcu opat ograniczył się do modlitw i medytacji. Doszedł też do wniosku, że Bóg obdarzył większym zaufaniem ludzi stojących ponad nim w hierarchii i że tak naprawdę wszystkim, czego od niego wymagano, była wiara oraz ślepe posłuszeństwo. Zatem posłusznie przysyłał co tydzień taśmy do Rzymu. Mijały lata, co pewien czas zjawiali się nowi mężczyźni, wręczyli mu nowsze dyktafony i odjeżdżali. Potem zainstalowali urządzenia, które automatycznie nagrywały wszystkie rozmowy telefoniczne. On jednak nie ufał nowoczesnej technice i wolał sprawdzać za każdym razem, czy magnetofon działa.

Opat przez chwilę wpatrywał się w urządzenie; kasetą obracała się. Westchnął i powoli zamknął szufladę, po czym powrócił do dokumentów. Papierkowa robota, pomyślał z niechęcią. Ciekawe, czy księgi inwentarzowe w Niebie również wypełniane są w trzech egzemplarzach. Przeżegnał się i poprosił o wybaczenie za zuchwałe myśli, potem zaczął przekopywać się przez stos papierzysk, które zawały jego biurko.

Jedenaście tysięcy kilometrów na zachód Seth Ridgeway siadał właśnie przy

oknie na górnym pokładzie Boeinga 747 linii lotniczych KLM. Zawsze latał tymi liniami, ponieważ był to jego zdaniem ostatni profesjonalny przewoźnik lotniczy na tej trasie. Z uśmiechem przypomniał sobie, jak zmienił się terminal międzynarodowych przylotów na lotnisku JFK, kiedy zaczęli tam rządzić ludzie z Schiphol w Amsterdamie – prawdę mówiąc, dokładnie tacy sami jak w KLM. Teraz, pomyślał, Amerykanie podróżujący samolotami mogliby naprawdę spędzać rozkoszne chwile w powietrzu, gdyby tylko FAA (Federalny Zarząd Lotnictwa Cywilnego) przekazał cały amerykański ruch lotniczy w ręce KLM. Dzięki temu jego rodacy nie lataliby dłużej w bydlęcych, cuchnących uryną rozpadających się gruchotach, które w Stanach Zjednoczonych uchodzą za samoloty. Ale to tylko marzenia ściętej głowy, myślał; włożył do uszu słuchawki, wyregulował głośność i rozsiadł się na tyle wygodnie, na ile pozwalały mu zapięte pasy bezpieczeństwa.

Zamknął oczy i znów ujrzął twarz Zoe. Miał pewność, że tam była. Czuł to w głębi serca. Wiedział, że ciągle jeszcze żyje i że tym razem zdołają odnaleźć. Gdy ogromny Boeing 747 szykował się do startu, Seth był już w objęciach Morfeusza. I nie miał najmniejszego pojęcia, że uruchomił cały łańcuch wydarzeń, które dotyczyły niemal połowy ziemskiego globu.

Rozdział 14

W luksusowym apartamencie w rezydencji Nochspitze Amerykanin po raz kolejny czytał materiały otrzymane od kardynała Neilsa Brauna. Był do głębi zatroskany.

Wyszedł na wąski balkon, z którego widać było dolinę rzeki Inn. Zapadła już głęboka noc, zimne powietrze ostro wcinało się w ciastowatą mgłę; jaka wypełniała jego myśli. Oparł dłonie na balustradzie; wyglądał jak kaznodzieja stojący na ambonie, gotowy do wygłoszenia kazania.

Przywołał w myślach osobliwe informacje otrzymane od Brauna: drugi Mesjasz, kobieta, morderstwo, masowe morderstwo z rozkazu papieża, zmiany w Piśmie Świętym, korygowanie historii – łatwe wtedy, kiedy jeszcze tak niewiele było zapisane. Wszystko to miało służyć zatuszowaniu istnienia nowego Mesjasza.

Braun był całkiem przekonujący, gdy twierdził z uporem, że istnienie drugiego Całunu nie miało większego znaczenia dla wiernych. Tak naprawdę liczył się symbol zmartwychwstania i zbawienia oraz wiara w Boga. Ludzie nie byli gotowi... nie mogli i nie byliby w stanie zaakceptować drugiego Mesjasza w żeńskiej postaci.

Ujawnienie prawdy wstrząsnęłoby posadami wiary w Kościół katolicki, powodując niewypowiedziane cierpienia duchowe. Prawda nie wyzwoliłaby wyznawców chrześcijaństwa, lecz jedynie uczyniłaby ich nieszczęśliwymi.

Było oczywiste, że chodziło o rozruchy i niepokoje związane z dzieleniem się Kościoła na sekty, co byłoby oczywistym efektem ujawnienia tych informacji. Mówili też o ludziach takich jak Żyrinowski, którzy wykorzystaliby sytuację do zwiększenia własnych wpływów i umocnienia swej pozycji w Rosji oraz poza jej granicami. Zwolennicy Żyrinowskiego byli ludźmi nieobliczalnymi, bardziej pokroju Idi Amina niż Stalina, chociaż jeden i drugi zamordował więcej niewinnych ludzi niż Hitler. Powszechne niezadowolenie spowodowane upadkiem komunizmu sprawiło, że Żyrinowski i jego zwolennicy zawsze byli na drugim miejscu w wyścigu do władzy. Jeśli kiedykolwiek ją przejmą, jedyną otwartą kwestią będzie to, gdzie dojdzie najpierw do krwawej łaźni.

Amerykanin wpatrywał się w ciemności, szukając odpowiedzi – odpowiedzi, które pozostawały równie ulotne, co spadające gwiazdy na nocnym niebie nad jego

głową. Jego umysł, intelekt, wszystko, w co dotąd wierzył, mówiło, że mieli rację, że żadna prawda nie była warta ujawnienia, jeśli miała pociągnąć za sobą przemoc, śmierć i społeczne wrzenie.

Ale serce nie chciało tego słuchać.

Amerykanin wszedł z powrotem do pokoju i zamknął za sobą balkonowe drzwi, odcinając się od mroku. Stał przez chwilę, spoglądając na grube woluminy stojące na biurku i leżące na podłodze. Pełna historia losów Zofii: tłumaczenia rozmów przeprowadzonych z nią samą i z mieszkańcami osady, dekrety cesarza Konstantyna oraz opisy losów szkatuły wraz z wyczerpującymi i wiarygodnymi dowodami, na ile można je było zrekonstruować, aż do czasu, gdy zniknęła z bawarskiej rezydencji w połowie lat trzydziestych dwudziestego stulecia.

Przetarł zmęczone oczy i spojrzął na zegarek. Minęła już północ, lecz ciągle jeszcze nie czuł się senny. Usiadł z powrotem na krześle przy biurku, wziął do ręki kartki z notatkami i po raz kolejny zaczął przeglądać własne zapiski.

Po masowej zbrodni żałobny Całun Zofii oraz dokumentacja potwierdzająca autentyczność jej istnienia zostały umieszczone w dużej szkatule wykonanej ze złota i wysadzaney szlachetnymi kamieniami. Zamknięto wieko, a krawędzie stopiono, odciskając pieczęć cesarza oraz święte pieczęcie papieża Sylwestra I. Szkatuła została umieszczona w krypcie, w miejscu, w którym później wzniesiono Bazylikę Świętego Piotra i tam spoczywała w spokoju przez kolejne siedem wieków.

To straszne, myślał Amerykanin, czytając notatki po raz, jak mu się wydawało, pewnie tysięczny. Zupełnie jak w horrorze – archeolog i jego piękna asystentka otwierają grobowiec z mumią, uwalniając tym samym antyczną klątwę. Tyle że teraz miał do czynienia z prawdą, sięgającą starożytności, prawdą o Bogu i zbrodni; prawdą, która wróciła i miała straszyć świat. Znów zaczął czytać, starając się zrozumieć sens koszmaru.

Tak więc Całun i dokumentacja leżały złożone w krypcie, kiedy wznoszono nad nią Bazylikę Świętego Piotra, a każdy kolejny papież przekazywał sekret o Całunie swojemu następcy. I tak szkatuła przetrwała bezpieczna oblężenie Rzymu przez Wizygotów w roku 410 oraz Wandalów w 455 roku naszej ery.

Jednak Całun i jego tajemnica okazały się słabsze od polityki i postępującej degeneracji. Gdy zbliżał się kres pierwszego tysiąclecia istnienia Kościoła

chrześcijańskiego, kolejni papieże oraz otaczające ich świty do tego stopnia oddali się nieumiarkowaniu i rozpucie, że dorównywali cesarzom rzymskim z pierwszych lat imperium. Rozpusta szalała w Watykanie, a stopniem perwersji śmiało mogli równać się Kaligulą. Słowa o Męce Zofii coraz częściej zaczęły wymykać się z ust pijanych i rozwiązłych papieży. Ten właśnie fakt, bardziej niż sama rozpusta i rozwiązłość, nakłonił część kościelnych hierarchów do działania.

W 1045 roku Grzegorz VI przekupił swego poprzednika, Benedykta IX, i ten abdykował. To jednak jeszcze bardziej zaogniło sytuację, zamiast ją uspokoić. Jedna z frakcji przekonała Benedykta IX do wycofania się, w efekcie na tronie świętego Piotra zasiadało dwóch papieży. Wysiłki związane z negocjacjami, żeby jeden albo drugi ustąpił, zakończyły się niepowodzeniem, zatem trzecia frakcja doprowadziła do wyboru kompromisowego papieża, Sylwestra III. Wybór nie zadowolił jednak nikogo, zatem pod koniec 1045 roku już trzech papieży zwalczało siebie nawzajem i zabiegało o serca oraz dusze świata chrześcijańskiego, a także, co nie dziwi, o znaczące bogactwa i władzę.

Kiedy trzech Namiestnicy Chrystusowi walczyli ze sobą, kilku bardziej rozsądnych kościelnych dostojników ukryło szkatułę z Całunem Zofii i innymi bezcennymi relikwiami, chowając ją w labiryncie korytarzy Watykanu. Dzięki temu żadna z relikwii nie została wykradziona ani też wykorzystana przez pretendentów do papieskiego tronu.

Ci sami dostojnicy wysłali też emisariuszy do Henryka III, cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego, z prośbą o interwencję. W 1046 roku Henryk III osadził na Tronie Piotrowym czwartego papieża, Klemensa II, a decyzję poparły rycerskie zakony.

Niezbyt stabilna równowaga zdołała przetrwać dziesięć lat, do czasu śmierci Henryka III w 1056 roku. Władzę odziedziczył po nim jego syn Henryk IV, który w chwili śmierci ojca miał zaledwie sześć lat.

Amerykanin przyknuł oczy i pocierał nos palcem. Jak do diabła papież mógł utrzymywać, iż jest nieomylny? Sodomia, nekrofilia, orgie, które przyprawiłyby o rumieniec wstydu Rzymian. Zachłanność, chciwość, żądza władzy. Nie było bezceństwa, którego nie dopuściliby się papieże. A przecież wiara w to, że byli nieomylni, wymagała uwierzenia w to, że sam Bóg sankcjonował taki porządek rzeczy.

Amerykanin powrócił do nagryzmołonych własną ręką notatek, ale słowa zaczęły rozpływać mu się mu przed oczami. Nadchodził sen.

W 1061 roku zmarł papież Mikołaj II, a schedę po nim przejął Aleksander II. Ten nie cieszył się popularnością wśród biskupów na dworze Henryka IV, wykorzystano więc fakt, że każdy zwierzchnik Kościoła w tamtym czasie musiał uzyskać aprobatę cesarza, i na synodzie w Bazylei ogłoszono wybór Aleksandra II za nieważny, a na jego miejsce wyznaczono Honoriusza II.

Młody cesarz miał już wtedy jedenaście lat i coraz częściej nie zgadzał się z opiniami duchownych dostojników z własnego dworu. Dlatego też arcybiskup Anno z Kolonii wprowadził w 1062 roku Henryka IV i sprawował władzę w jego imieniu.

Cesarz odzyskał wolność w 1066 roku i blisko dekadę władał cesarstwem w miarę harmonijnie współpracując z Kościołem w Rzymie. Ale w 1076 roku biskupi niemieccy, którzy mocno dzierżyli władzę na dworze Henryka, kolejny raz sprzeciwili się Rzymowi. Odmówili uznania wyboru na papieża Grzegorza VII, a na synodzie cesarskim w Worms ogłosili jego detronizację. Wtedy Grzegorz VII obłożył ekskomuniką Henryka IV i wszystkich niemieckich biskupów. Pozbawiony świętych fundamentów władzy Henryk IV stanął w obliczu wojny domowej i buntów chłopskich, oraz utraty królestwa. Skarcony w ten sposób młody cesarz okazał skrucę i w 1077 roku uzyskał w Kanossie przebaczenie, a Grzegorz VII przywrócił mu jednocześnie tytuł cesarski.

Ale skrucha Henryka okazała się tylko grą, za którą stali niemieccy biskupi, a podjęte działania miały służyć wyłącznie zyskaniu na czasie. Jeszcze w tym samym roku ponownie ogłosili oni usunięcie z Tronu Piotrowego Grzegorza VII i wybrali na jego miejsce własnego papieża, Klemensa III.

Rozwścieczony Grzegorz VII ponownie obłożył ekskomuniką Henryka oraz jego biskupów i podjął dodatkowe kroki, przyznając płaszcz cesarski Świętego Cesarstwa Rzymskiego rywalowi Henryka, Rudolfowi Szwabskiemu.

W 1079 roku armia Henryka IV pokonała Rudolfa, jego samego zabijając, rozbiła wojska lojalne wobec niego, a potem najechała na Włochy. Cztery lata później Henryk IV zdobył Rzym i zmusił Grzegorza VII do ucieczki. Podczas pobytu w Rzymie Henryk osadził na tronie papieskim Klemensa III, po czym wyjechał, zabierając ze sobą jako część łupów zdobytych w trakcie zwycięskich bitew między innymi złotą szkatułę wysadzaną drogimi kamieniami.

Amerykanin odsunął się od biurka i wstał. Miał dość lektury na tę noc oraz dość materiału do przemyśleń na całe życie. Podszedł do łóżka zarzuconego jego ubraniami, lecz umysł ciągle nie mógł opędzić się od myśli o Całunie.

Przez osiem stuleci miejsce ukrycia Pasji Zofii oraz jej żałobnego Całunu pozostawało właściwie nieznane. Na podstawie skąpych danych źródłowych, jakie pozostały po Henryku IV i jego następcach, można było wyciągnąć wniosek, że żaden z nich nie znał prawdziwej wartości tego, co znajdowało się w szkatule. Nie poświęcono jej specjalnej uwagi w dokumentach królewskich ani też nie traktowano w specjalny sposób. Po prostu zapomniano o niej. I nikt nigdy nie wspomniał o złotej szkatule i ukrytej w niej bezcennej relikwii do czasu, kiedy pojawiła się ponownie w 1935 roku w Bawarii.

Amerykanin zaczął się rozbierać, ciągle jednak myślał o uczonych dysertacjach, jakie czynili kościelni historycy w odniesieniu do prawdopodobnych losów szkatuły. Nie można było wykluczyć, że szkatułę otrzymał w prezencie jeden z wysoko postawionych dworzan. Następnie przypuszczalnie przekazywano ją w rodzinie z pokolenia na pokolenie, aż wreszcie któryś ze spadkobierców doszedł do wniosku, że warto by ją sprzedać. Być może potrzebował pieniędzy albo po prostu nie widział żadnego pożytku z posiadania jarmarcznego, wysadzanego kamieniami złotego pudełka, pochodzącego z odległej przeszłości.

Bez względu na to, co działo się w ciągu dziewięciuset lat, czyli od chwili gdy Henryk IV zabrał szkatułę z Watykanu, konkretne informacje pochodziły z wiosny 1935 roku.

Działając na zlecenie Hitlera, niemiecki rząd pobierał od żydowskich obywateli Trzeciej Rzeszy drakońskie podatki. Ci, którzy nie byli w stanie płacić, zmuszeni zostali do sprzedaży domów oraz rodzinnych interesów dostojnikom Rzeszy lub ich totumfackim.

Oczywiście większość Żydów nie dysponowała odpowiednią gotówką, by móc płacić horrendalne podatki narzucone przez nazistów, zatem przekazywali poborcom podatkowym biżuterię i rodowe pamiątki, wliczając w to dzieła sztuki, cenne książki, antyki oraz inne wartościowe przedmioty.

Amerykanin założył bluzę od piżamy i przeszedł przez pokój, by wyłączyć

światło. Przez moment stał przy włączniku, jakby zastanawiając się, czy bardziej jest zmęczony czy podniecony odkryciem, jakiego dokonał tego dnia. Spojrzał na książki leżące na biurku, potem podszedł do nich i sięgnął po kartki z notatkami.

Człowiek ten nazywał się Sheldon Brucker i był dobrze prosperującym handlarzem antyków w Bad Tolz, małej miejscowości na południe od Monachium. Brucker oddał złotą szkatułkę wysadzaną biżuterią jako równowartość podatków narzuconych przez nazistowskie władze.

W tamtym czasie Hitler nie utworzył jeszcze Sonderauftrag Linz – struktury odpowiedzialnej za gromadzenie zbiorów sztuki przeznaczonych do Muzeum Fuhrera w Linzu, ale już w 1935 roku uświadomił sobie potrzebę szczegółowego katalogowania obiektów zrabowanych Żydom, żeby nic, co wartościowe, nie zostało przetopione lub zniszczone. Przedmioty otrzymane od marszandów, handlarzy antykami oraz po prostu od bogatych Żydów oceniane były z większą starannością niż reszta zdobyczy. Znaczący sztuki oraz historycy zmuszeni do służby na rzecz Trzeciej Rzeszy zorientowali się w końcu, jak cenna jest niezwykle szkatuła z odcisniętymi pieczęciami Konstantyna i papieża Sylwestra I.

Szkatułkę otworzono ostrożnie, aby jej nie uszkodzić, a dokumentację znaną w środku przetłumaczono bez zwłoki na język niemiecki. Od momentu, kiedy przedstawiono Adolfowi Hitlerowi ustalenia, Pasja Zofii stała się obiektem skrywanym ze szczególną pieczęcią. W końcu Całun oraz dokumentacja, której wiarygodność nie budziła cienia wątpliwości, zostały wykorzystane przez Hitlera do wymuszenia na Watykanie milczenia w sprawie holocaustu. Kościół zamknął oczy na czynione zło w nadziei, że uchroni to świat przed innym, być może jeszcze większym złem.

Amerikanin wstał, wyłączył światło i spacerował w ciemności.

Hitler ukrył Całun szczególnie starannie. Na tyle, że w chaosie, jaki towarzyszył upadkowi Trzeciej Rzeszy, relikwia bezpowrotnie zaginęła. Zupełnie tak jak przed wiekami zniknęła z watykańskiej krypty.

Wsunął się pod świeżą, chłodną pościel, jednak okropieństwa związane z historią sprawy, że tej nocy nie zmrużył nawet oka.

Zoe stała pośrodku swej celi i tym razem pozwoliła, żeby wokół niej

rozbrzmiewała kakofonia dźwięków. Nie zatkała uszu prowizorycznymi zatyczkami ponieważ chciała, by każdy fragment pomieszczenia zanurzył się w jej umyśle. Tylko ono mogło wskazać jej drogę, musiała jedynie bardzo się skoncentrować.

Spojrzała na komputer ustawiony na zdezelowanym biurku, odrapane krzesło i lampkę z postrzępionym sznurem, który oznaczał śmierć dla kogoś, kto nie wykazałby się dostateczną ostrożnością. Obok komputera resztki wieczornego posiłku. Obróciła się w prawo, przed sobą miała metalowe drzwi z wentylatorem oraz dalej w rogu nocnik. Kolejne ćwierć obrotu i łóżko. Jeszcze jeden obrót i jej spojrzenie padło na tekturowe pudła, które wykorzystywała do przechowywania ubrań, jakie oni jej dostarczyli. I znów spojrzenie na komputer.

Nie było możliwości pokonania betonowych ścian i podłogi. Poza tym w biurze nad głową zawsze ktoś przebywał. Podeszła do drzwi i przeprowadziła rutynową wieczorną inspekcję w nadziei na odrobinę inspiracji. Wciąż był to ten sam gruby metal; bolce od zawiasów ciągle były przyspawane tak, że w żaden sposób nie dałoby się ich wysunąć, a drzwi zamknięte były od zewnątrz.

Serce waliło jej w piersiach: powoli, głęboko i mocno. Z pewnością było jakieś wyjście, musiała je tylko dostrzec.

Pomyślała o wykorzystaniu elektrycznego piecyka do spowodowania pożaru, który z kolei mógłby przyczynić się do spalenia drewnianego stropu.

Ale wcześniej pożar spowoduje jej własną śmierć. Albo zostanie zgaszony przez zraszacze. Albo ona sama zginie z ręki tych, którzy zejną z góry, by ją ukarać za próbę ucieczki.

Nie. Było jasne, że musi wymyślić coś, co nakłoni ich do otwarcia drzwi. I to w chwili, kiedy nie będzie przykuta kajdankami do Zwalistego, a Sergiejew nie będzie obserwował ich z palcem przyłożonym do spustu pistoletu. W jakimś momencie, który jak dotąd nie zdarzył się ani razu w ciągu sześciu minionych miesięcy, ale który powinien zdarzyć się następnego dnia lub może za parę dni. W momencie, który jeszcze nie nadszedł i nie nadejdzie sam z siebie.

Ten moment nie nadejdzie, pomyślała ponuro. Przez całe miesiące nie obmyśliła sposobu ucieczki i nie było powodu sądzić, że rozwiązanie w cudowny sposób objawi się teraz, gdy koniec był tak bliski.

Przygnębienie ogarnęło serce niczym wieczorny mrok. Zobaczyła oczy Seta i przez moment miała przed oczami jego twarz. Już nigdy jej nie zobaczy. Oślepiły ją łzy, ciemność napęczniała w piersiach, w małym pomieszczeniu słychać było jedynie bicie jej serca.

– Cholera! – Otarła łzy. – Weź się w garść, Zoe Ridgeway.

Lecz nie powstrzymało to fali frustracji, gniewu i strachu. Nie widząc nic przez napływające łzy, Zoe padła na łóżko, a zardzewiałe sprężyny głośno zaskrzypiały.

Nie miała pojęcia, jak długo płakała, kiedy kolejny raz poczuła w sobie pragnienie modlitwy.

– Nie!

Potrząsnęła głową, sprzeciwiając się własnym myślom, potem wstała i wzięła rolkę papieru stojącą przy nocniku. Otarła łzy spływające po policzkach.

– Cholera! – westchnęła głośno, potem odrzuciła rolkę w poprzek pokoju w kierunku kosza na śmieci.

Zanim ponownie zebrała w sobie siły, pragnienie odmówienia modlitwy całkowicie ją opanowało; przez moment widziała w pomieszczeniu mnóstwo prehistorycznych bogiń i słyszała echo słów Thalii. Usiadła na łóżku, złożyła dłonie między kolanami, pochyliła głowę.

– *Pan jest moim pasterzem* – powiedziała cicho, rozpoczynając Psalm dwudziesty trzeci, którego nauczyła się na pamięć jako dziecko w niedzielnej szkółce, i który recytowała przed rozpoczęciem każdej lekcji. Tym razem jednak pasterz miał kobiecą twarz.

– *Nie brak mi niczego* – kontynuowała, starając się wydobyć z pamięci słowa, które przez lata wyblakły.

– *Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach; prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć.*

...*Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię. Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne, bo Ty jesteś ze mną.*

– *Zła się nie ulękne.*

Myśl ta rozluźniła supel, jaki zawiązał się w jej sercu. Chodziła po pomieszczeniu, starając się wygrzebać słowa głęboko zakopane w pamięci.

– *Twój kij...* – przypominała sobie z trudem. – *Twój kij i twoja laska właśnie mnie pocieszają.*

Uśmiechnęła się nieśmiało; przypomniawszy sobie, jak chłopcy w tym momencie chichotali oraz jak bardzo zarumieniła się, kiedy w końcu zrozumiała przyczynę ich śmiechu.

– *Stół dla mnie zastawiasz wobec moich przeciwników; namaszczając mi głowę olejkami; mój kielich jest przeobfity...*

Kiedy ta myśl przyszła jej do głowy, niemal szarpnęła ją fizycznie, zatrzymując w pół kroku.

O mój Boże, pomyślała, gdy podniosła wzrok do góry.

– To jest to! – wykrzyknęła.

Uśmiechnęła się szeroko, a jej oczy po raz kolejny rozglądały się po pomieszczeniu. Po raz pierwszy jednak zobaczyły to, co powinny widzieć.

To właśnie jest wyjście z tej dziury.

Całe ciało Zoe zdawało się drżeć, gdy usiłowała zapanować nad nagłą euforią.

– Dlaczego nie dostrzegłam tego wcześniej? Przecież nic się nie zmieniło. Wszystko to było cały czas widoczne.

Pomyślała, że być może potrzebne były całe miesiące duchowych przygotowań, zapisywania w pamięci każdego możliwego detalu, nieustanna praca nad możliwymi scenariuszami, kombinacjami i rekombinacjami – wszystko, co pomogło skoncentrować się na działaniach wymuszonych przez nieuchronnie nadchodzącą śmierć.

Mogło tak być, pomyślała. Potem jej myśli pobiegły ku biblijnej przypowieści o człowieku, któremu spadły z oczu łuski.

– Dzięki Ci, Boże – wydusiła z siebie w końcu.

Rozdział 15

Po drugiej stronie torów tramwajowych, nieco na zachód od głównego dworca kolejowego w Amsterdamie, znajduje się niewielki bar, który już od pięciuset lat słynie z podawanego tu dżinu. Nie jest to zniewieściały dżin, faworyzowany przez rozgorączkowanych angielskich graczy w krykieta czy też amerykańskich dyletanckich tenisistów, lecz holenderski dżin o silnym aromacie i niezłej mocy, który jego wytwórcy nazywają geneverem.

Bar jest stary, o ścianach pokrytych ciemnym drewnem, które przez całe stulecia dodatkowo pociemniało od tytoniowego dymu. Podłoga z desek wytarta jest butami, które stąpały po niej przez kilka wieków, a szerokie szczeliny między deskami wypełnione są brudem, który nanieśli tu ludzie współcześni Rembrandtowi i van Goghowi. Wewnątrz zawsze panuje przytłumiony gwar i snuje się nikotynowy dym.

Seth Ridgeway siedział przy mahoniowym barze, rozkoszując się szklaneczką dżinu genever i obserwując jednocześnie człowieka, który chodził za nim przez ostatnie trzy dni. Mężczyzna miał bladą, ascetyczną twarz, krzaczaste ciemne brwi oraz oczy, jakie dawni mistrzowie malowali na twarzach ludzi opętanych. Płaszcz wisiał na nim jak na kiju, a resztkę włosów na jego głowie była chyba koloru ciemnokasztanowego.

Seth pociągnął łyk i przez chwilę rozkoszował się smakiem alkoholu, zanim przełknął. W lustrze za barem widział odbicie tamtego; siedział sam przy małym okrągłym stoliku ze szklanką jasnego piwa, pogrążony w lekturze książki w papierowej oprawie.

Seth po raz pierwszy zauważył go na lotnisku w Schiphol, gdy stał na korytarzu tuż za stanowiskiem kontroli paszportowej. Facet ubrany był w niedopasowany garnitur, sprawiający wrażenie kupionego w jakimś sklepie z używaną odzieżą i wyglądał zupełnie jak jeden z meneli, ulicznych kloszardów, żebraków, ludzi naprawdę bezdomnych, których Holandia przyciągnęła liberalnym podejściem oraz jeszcze bardziej liberalnym programem pomocy społecznej. Minął go wtedy, a mężczyzna spojrział mu prosto w oczy i zrobił w jego kierunku niepewny krok. Seth rozejrzał się szybko i ruszył wartkim krokiem, chcąc uniknąć prośby, jak się spodziewał, o parę drobnych. Wystarczyło, by wsiadł do taksówki, a już o nim zapomniał. Jechał do centrum Amsterdamu, a zmęczenie

spowodowane długą podróżą samolotem wyszło energię najpierw z jego ciała, a potem z umysłu. Następnego jednak ranka, kiedy zszedł na śniadanie mężczyzna ten siedział już w hotelowym holu.

Seth dopił dzin i dał barmanowi znak, że zamawia jeszcze jedną kolejkę. Potem przesunął się trochę, a ukryte w kieszeni płaszcz magnum kaliber dziewięć milimetrów, które kupił za grosze poprzedniego wieczora, uderzyło miękko o drewnianą ścianę baru.

Początkowo zakładał, że człowiek ten pracuje dla Strattona; zmienił jednak zdanie po swoim telefonie do NSA, kiedy informował o tym, co się dzieje.

– Mój człowiek? – W głosie Strattona słyszał niepokój. – Nie mam żadnego człowieka w Amsterdamie. Przynajmniej jak dotąd.

Seth poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Pozwolił sobie na odrzucenie ochronnej gardy, w efekcie tamten miał wiele okazji, by go zabić. A jednak nie zrobił mu nic złego.

– To nie znaczy wcale, że niczego nie zrobi później – denerwował się Stratton. – W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zdobyliśmy pewne dodatkowe informacje, które dowodzą, że w tej grze bierze udział więcej graczy, niż początkowo sądziliśmy. Wszyscy są niebezpieczni.

– W grze? – zdziwił się Seth. – Czy to jest dla ciebie tylko gra? Przecież to jest moje życie... oraz życie mojej żony. To nie jest żadna gra.

– To wszystko jest gra, Seth – odparł spokojnym głosem Stratton. – Kłopoty zaczynają się dopiero wtedy, kiedy zaczynasz to traktować poważnie. Straciłeś do tego dystans. Dlatego właśnie powinieneś wrócić. Możemy zapewnić ci ochronę. To nie jest zabawa w policjantów, Seth. To inna gra, zupełnie inna gra.

Seth nie miał gotowej odpowiedzi. Być może była to gra, a być może nie. Ale Stratton w jednym się nie mylił: czymkolwiek to było, z pewnością nie było zabawą w policjantów. Obraz, który spoczywał bezpiecznie na lotnisku w Amsterdamie, był zbyt niebezpieczny, żeby sam jeden mógł się nim zająć. Bo była to w większym stopniu gra Strattona; Ridgeway nawet nie znał wszystkich jej reguł.

– Zostań w swoim pokoju, Seth. Niech ci tam przynoszą posiłki. Nie wychodź na ulicę. Zaczekaj, aż do ciebie dojadę.

Seth przypomniał sobie te słowa, gdy barman przesunął w jego kierunku kolejny

kieliszek dzinu. Rozmowa odbyła się dwa dni temu. Co się stało ze Strattonem? Dzwonił pod numer, który agent mu podał, ale nikt nie odbierał. Nikt też nie zostawił mu żadnej wiadomości w hotelowej recepcji.

Seth spojrzał demonstracyjnie na zegarek, następnie zaczął grzebać w kieszeni i wyciągnął wielokolorowy plik guldenów. Wyjął dwa banknoty, podał je przez bar, potem jednym haustem dopił resztkę dzinu. Zsunął się z taboretu i machinalnie ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Szczupły mężczyzna o oczach szaleńca zamknął książkę i również zaczął zbierać się do wyjścia.

Na zewnątrz panował już ogromny ruch, wszędzie toczyły się rowery, tramwaje, autobusy i dziesiątki najrozmaitszych aut. Wszystkie te pojazdy jakby tańczyły w wytwornym, mechanicznym balecie, usiłując zmienić pas ruchu lub poszukując kolejnego zakrętu, miejsca na zaparkowanie czy też luki w sznurze pojazdów, by choć odrobinę przyspieszyć. Seth mijał sklep jubilerski oferujący diamenty, gdy nagle zatrzymał się przed wystawą, jakby coś szczególnego przyciągnęło jego uwagę. W szybie dostrzegł odbicie człowieka o szalonych oczach, który wyszedł szybko z baru, potem zatrzymał się, dostrzegłszy Ridgewaya.

Seth obrócił się gwałtownie od wystawy i ruszył w stronę dworca centralnego, zaczynając opracowywać w głowie plan. Człowiek o szalonych oczach ruszył za nim. Dla kogo pracował? Jeśli nie dla Strattona i nie dla KGB, to w takim razie dla kogo? Im bliżej dworca, tym większy był tłum. Zbliżało się Boże Narodzenie i ludzie nosili niezliczone paczki zawinięte w kolorowe papiery, i torby wypełnione zakupami.

Boże Narodzenie, pomyślał Seth. Cholera. Spojrzał na datę wyświetloną na cyferblacie zegarka. Pięć dni do Gwiazdki. Kobiety z zakupami tłoczyły się wokół niego, czekając na zielone światło. Seth był dosłownie osaczony przez miliony drobnych pakunków owiniętych w szeleszczące papiery oraz torby wypchane zakupami. Kobiety rozmawiały radośnie, ale Seth rozumiał jedynie kilka słów, tych przypominających język niemiecki. Jedno zrozumiał – kobiety były szczęśliwe, zadowolone, usatysfakcjonowane i z ochotą wracały do własnych domów i rodzin. W tej chwili ich szczęście bardzo mu doskwierało.

Światła zmieniły się i tłum wylał się z krawężnika na jezdnię i dalej na plac przed dworcem kolejowym. Seth szybko wyprzedził zbity tłum i wpadł do hali dworcowej dużo

wcześniej niż pozostali. Przeszedł obok kiosku z gazetami w stronę budki, na której wywieszane były rozkłady jazdy pociągów, szybko odnalazł ten jadący na lotnisko. Za pięć minut. Seth zanotował w pamięci numer peronu i odwrócił się. Kątem oka zauważył, że facet, który go śledził, demonstracyjnie przegląda książki wystawione na regale.

Seth przepychał się przez tłum w stronę kasy, a potem kupił bilet. Tamten stanął na końcu sąsiedniej kolejki. Ponad ich głowami ze stukotem i hukiem przejeżdżały pociągi.

Na peronie było niewielu ludzi, przede wszystkim podróżni z walizkami. Seth podszedł do końca peronu i zatrzymał się. Zegar wskazywał godzinę trzynastą dwadzieścia, ale pociąg jeszcze nie nadjechał. To dziwne. Holenderskie pociągi z reguły przyjeżdżały przed czasem. Zawrócił, chcąc przejść w drugi koniec peronu, gdy zauważył, jak jego cień wchodzi po schodach. Nieznajomy szybko obrócił się i usiłował udawać brak zainteresowania, ale robił to wyjątkowo kiepsko. Albo był amatorem, albo też jego mocodawcy chcieli, by Seth wiedział, że jest śledzony.

Po chwili z hałasem wjechał na peron pociąg, rozległo się syczące westchniecie i otworzyły się pneumatyczne drzwi. Z pociągu wylał się tłum zmęczonych ludzi dźwigających torby i walizki; widać popołudniowe samoloty z Ameryki dotarły już na miejsce.

Seth wszedł do wagonu i rozejrzał się. Mężczyzna o szalonych oczach również zdążył wsiąść. Cóż, profesjonalista czekałby do ostatniej chwili. Drzwi zamknęły się sykiem i pociąg zaczął nabierać szybkości. Przemknęli przez przemysłową dzielnicę miasta, potem łagodnie skręcili na południe. Minęli stację Amstel i jechali przez otwarte poldery. Na myśl o szczupłym mężczyźnie z szalonym wzrokiem, który jechał w następnym wagonie, Seth poczuł dosłownie mrowienie. W jaki sposób facet mógł być powiązany z Zoe oraz z zabitymi w Los Angeles? Przez moment ogarnęło go zwątpienie, czy postępuje właściwie. Czy nie powinien jednak poczekać na Strattona. Ale Seth nigdy nie był dobry w czekaniu.

Na przedmieściach Amsterdamu pociąg zwolnił; Amstelveen oddzielał od lotniska park Amsterdamse Bos. Ridgeway wysiadł wraz z innymi pasażerami, którzy nie jechali na lotnisko. Nie pofatygował się nawet, by spojrzeć za siebie. Wiedział, że gdzieś z tyłu podąża mężczyzna o szalonych oczach.

Szybkim krokiem szedł w stronę Amsterdamse Bos; przypomniał sobie letni dzień, kiedy on i Zoe urządzili tam sobie piknik obok stawu z błękitną jak niebo wodą. Zoe była jeszcze wtedy studentką i przyjechała zapoznać się z nieudostępnianymi publiczności obrazami ze zbiorów Muzeum van Gogha. Oderwał ją wtedy od pracy, za co mu później dziękowała. Wynajęli rowery i jeździli niemal do zapadnięcia zmroku. Tamte ścieżki wciąż jeszcze były żywo zapisane w jego pamięci.

Seth zmierzał w kierunku wschodniej granicy parku. Ziemia była miękka i pokryta wilgotnym, uginającym się pod stopami dywanem. Wśród szarych, pozbawionych już liści drzew widać było gdzieś ciemnozielone drzewa iglaste.

Minął wąską asfaltową alejkę, potem zszedł niewielkim wałem między cedry, skąd wyraźnie widział drogę. Było to dobre miejsce na zasadzkę.

Miał wrażenie, że czas wlecze się bez końca. Spojrzał na wskazówkę sekundową. Jeden, dwa obroty dookoła tarczy i wciąż nikogo. Czyżby udało mu się zgubić ogon?

Czekał, a jego ciepły oddech zamieniał się w chłodne kłęby pary. W oddali usłyszał wycie silników odrzutowych, a chwilę później pełen radości ryk samolotu odrywającego się od ziemi. Nie dobiegały go żadne odgłosy ruchu ulicznego, nie widział samochodów i, co najważniejsze, nie widział też nigdzie człowieka o szalonych oczach.

Gdy był już bliski podjęcia decyzji o powrocie, tamten pojawił się między drzewami, daleko, po drugiej stronie asfaltowej drogi. Stał na skraju parku, jak spłoszone dzikie zwierzę. Potem ruszył pospiesznie i z głową pochyloną nisko wskoczył między drzewa po drugiej stronie. Seth zrozumiał, że mężczyzna tropi go po śladach odcisniętych w miękkiej ziemi. Tak bardzo pochłonięty był wypatrywaniem śladów, że dotarł do małego, cedrowego zagajnika, zanim wreszcie podniósł wzrok. Zatrzymał się i spojrzał na Seta szeroko otwartymi ze dziwienia oczami. Ridgeway mierzył w jego klatkę piersiową z magnum, z satysfakcją obserwując strach, jaki pojawił się na twarzy mężczyzny.

– Nie, błagam! – jęknął tamten, podnosząc ręce do góry. – Nie miałem zamiaru wyrządzić panu krzywdy.

– Dlaczego więc pan mnie śledzi?

– Żeby przekonać się... czego pan szuka.

– A kogo to interesuje?

– Wielu ludzi. Pan z pewnością wie o tym.

Seth skinął głową.

– Wiem i zdaję sobie sprawę, kto jest po której stronie. Rozmawiałem z tymi, którzy są po mojej, ale twierdzą, że nie znają pana.

– Być może to oni są po niewłaściwej stronie – odparł człowiek łagodnie.

– Być może. Ale nie sądzę, aby tak było.

Seth zrobił krok do przodu. Mężczyzna gwałtownie cofnął się, potknął o korzeń i po prostu klapnął na ziemię.

– Dlaczego pan mnie śledzi? – Seth powtórzył pytanie.

– Ludzie, dla których pracuję, są zainteresowani panem oraz obrazem.

– Skąd pan wie o obrazie? – zapytał obojętnym tonem Seth.

– Po prostu wiemy.

Seth uniósł pięść, jakby zamierzał uderzyć.

– Proszę przestać – krzyknął mężczyzna z taką siłą w głosie, że Seth bezwiednie posłuchał. Był to głos człowieka nawykłego do tego, że ludzie wykonują jego polecenia.

– W porządku – odparł Seth. – Jeśli przestanę, chcę coś w zamian. Chcę informacji.

– Powiem panu wszystko, panie Ridgeway, ale nie pod groźbą pistoletu.

Seth patrzył na niego dłuższą chwilę, potem odszedł kilka kroków i schował broń do kieszeni płaszcza. Mężczyzna powoli wstał, otrzepał płaszcz.

– Nazywam się Kent Smith, jestem księdzem i pracuję ja ko archiwista w Watykanie.

– Jezu Chryste – nie mógł powstrzymać się Seth, a Smith skrzywił się lekko, słysząc wezwanie Boga nadaremno. – I pan również pragnie posiadać to malowidło?

Smith przytaknął.

– Obawiam się, że ludzie dla których pracuję, pragną je zdobyć.

– W którąkolwiek stronę się obrócę, ktoś pragnie posiadać ten przeklęty obraz.

Na twarzy Smitha znów pojawił się grymas.

– Pojawi się jeszcze więcej ludzi, zanim zdąży pan pozbyć się tego obrazu.

Możemy panu w tym dopomóc.

– „My”, to znaczy kto?

– Niewielka lecz wpływowa grupa ludzi z Watykanu, zdecydowanych nie dopuścić do tego, żeby obraz oraz bezcenna relikwia z nim związana zostały wykorzystane przez ludzi dla ich własnych, partykularnych interesów.

– A więc wy jesteście dobrymi facetami? Czy to właśnie chce pan mi przekazać?

– Niech pan nie drwi, panie Ridgeway. Rzecz dotyczy spraw, które mogą zmienić bieg historii. – Głos Smitha stał się nagle ostry, niemal ewangeliczny. – Chodzi o rzeczy o wiele, o wiele większe, niż pan sobie wyobraża, których następstwa są dużo poważniejsze niż los pana, mój czy pańskiej żony.

– Mówiłem panu, że gdzieś mam te wszystkie brednie – odparł Seth. – Dla mnie nie ma nic ważniejszego niż odzyskanie żony całej i zdrowej.

– Możemy panu pomóc – przekonywał Smith. – Jesteśmy ludźmi, którzy za cel postawili sobie wyplenienie wszelkiego zła, politycznych walk oraz gry o władzę. Sprawy... oraz ludzie, jak pan wie, nie zawsze są tacy, jakimi się wydają.

– Jak choćby archiwiści z Watykanu, którzy udają szpiegów, stawiając czoło szpiegom w Amsterdamie? Smith uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Właśnie. I podobnie ludzie zajmujący wysokie stanowiska, zarówno w waszym rządzie, jak i w moim Kościele nie zawsze są tacy, jakimi się wydają.

W tym momencie, przez ułamek sekundy Seth widział czerwoną świecącą plamkę na płaszczu Smitha, a chwilę później ciszę chłodnego, jasnego popołudnia przerwał trzeszczący odgłos wystrzału. Dopiero wtedy zrozumiał, czym była ta czerwona plamka, koniec promienia snajperskiego lasera. Słyszał, jak kula uderza w pierś Smitha, i widział jak mężczyzna leci na pień drzewa. Seth wiedział, że umie opanować nerwy; pozwolił, by stare policyjne instynkty wzięły górę. Chwycił za poły płaszcza Smitha, przeciągnął mężczyznę, kryjąc się za pniem rosłego cedru. Kolejne kule zaczęły przecinać powietrze wśród kępy drzew.

Gdzie oni byli? Wyciągnął z kieszeni płaszcza magnum. Jeśli mieli karabiny z celownikami laserowymi, mogli być bardzo daleko, poza zasięgiem jego magnum. Wśród drzew znów zapadła cisza. Seth wyteżył słuch, usiłując zlokalizować niewidocznych wrogów, lecz słyszał jedynie ciężki oddech Smitha. Pochylił głowę, usiłując zrozumieć, co mężczyzna chciał mu powiedzieć.

– Brow... brun... – Głos Smitha ucichł.

Ridgeway pochylił się jeszcze niżej nad umierającym, nadaremnie jednak. Poczuł, jak ciało Smitha wiotczeje w jego ramionach.

Brow, brun. – powtórzył kilka razy w myślach, w końcu doszedł do wniosku, że tamten chciał powiedzieć „Brown”. Brown? Cóż mogło to znaczyć?

Nie miał jednak czasu na rozważanie ostatnich słów księdza. Znow padł strzał, a ułamek sekundy drzewo, za którym się krył, dosłownie eksplodowało drzazgami, i to kilka centymetrów od jego twarzy.

Seth upuścił ciało Smitha i przeturlał się dalej; znow kilka strzałów, jeden po drugim. Zerwał się na równe nogi, podniósł magnum i mierzył, starając się wypatrzeć strzelca. Tylko gdzie był zabójca? Jak miał trafić niewidzialnego wroga? Dwa kolejne pociski wbiły w górę liście obok jego stóp. Wtedy zobaczył je. Najpierw dwie czerwone plamki, potem trzecią. Krążyły wokół niego, tańcząc po ziemi i po nim, niczym mały rój śmiertelnie żądających owadów. Było zatem kilku zabójców. Seth oddychał szybko i ciężko. Rzucił się do przodu, uciekając od czerwonych plamek, a kolejne kule pomknęły śladem laserowych promieni i wbiły się w podłogę, wzbijając w powietrze kłęby ziemi i liści.

Wtedy usłyszał ich. Z tyłu. Nie. Z przodu. Byli więc ze wszystkich stron, zamykając go pierścieniem. Znow pojawiły się czerwone plamki i Seth ponownie rzucił się do przodu, uciekając z ich linii. Jednak strzelcy okazali się bardziej systematyczni i działali tym razem bardziej świadomie. Seth wymierzył w kierunku pierwszego odgłosu i wypalił, ale nie usłyszał odgłosu bólu ani krzyku zdumienia. Dobięł go jedynie odgłos kolejnego wystrzału i poczuł palący ból po prawej stronie.

Jezu Chryste! Lewą ręką dotknął rany i zobaczył na palcach lepką, czerwoną krew. Rana na szczęście była lekka. Chociaż niewiele brakowało, naprawdę niewiele. Próbował modlić się, prosić o pomoc, ale słowa, a nawet myśli tym razem nie nadeszły.

Zaklął w duchu, wcisnął magnum do kieszeni płaszcza i wczołgał się na krótki nasyp w kierunku, z którego przyszedł.

Był już blisko końca drogi, kiedy dostrzegł mężczyznę wychodzącego spomiędzy drzew po drugiej stronie. Tamten przyłożył karabin do ramienia, a Seth odruchowo padł twarzą na ziemię i wyciągnął pistolet. Ułamek sekundy później zobaczył, jak kula rozbija żwir i kruszy asfaltową nawierzchnię tuż przed jego twarzą. Zupełnie nie zważając na

strzelców, których miał za plecami, zerwał się na równe nogi i wycelował. Mężczyzna dostrzegł go i usiłował usunąć się z linii strzału, jednak karabin bywa czasami nieporęczny. Seth nacisnął spust i ułamek sekundy później patrzył z satysfakcją, jak kula uderza w pierś mężczyznę, zwalając go z nóg i obracając w powietrzu. Ostatnie, co zapamiętał, zanim padł na kolana, był widok czerwonej, ziejącej dziury w plecach mężczyzny. Znow wcisnął magnum do kieszeni płaszcza i przeturlał się w stronę przepustu. Była to jedyna droga ucieczki. Próba przejścia przez alejkę oznaczałaby wystawienie się na pewny strzał.

Za sobą słyszał ludzi biegnących w jego stronę przez las. Ruszył szybko. Był szeroki w ramionach, a kanał wydawał się bardzo wąski. Jeśli utknie w środku albo będzie się przeciskał zbyt długo, stanie się łatwym celem.

Lecz była to jego jedyna szansa.

Seth rzucił się w błoto, chcąc jak najbardziej zmniejszyć tarcie, potem wsunął się do środka kanału. Metalowe kręgi działały jak wzmacniacz; szybkie, rozpaczliwe oddechy brzmiały mu w uszach niczym przeraźliwe krzyki. Słyszał też wzmocnione odgłosy ludzi ścigających go. Centymetr po centymetrze przesuwał się wewnątrz, odpychając się palcami nóg i podciągając się ramionami.

– Nigdzie go nie widzę! – usłyszał jak jeden z nich woła.

– Na pewno nie przeszedł przez drogę – zawołał drugi, bardziej odległy głos. – Mam cały czas na oku ten teren.

– Musiał ukryć się gdzieś w krzakach przy drodze – zasugerował trzeci głos.

Seth poruszał się całkiem szybko, ale gdy dotarł mniej więcej do połowy przepustu, metalowe kręgi jakby stały się węższe. Zaklinował się! Za sobą słyszał odgłosy kroków poruszających się w zaroślach. Przesunął ramiona, ale wciąż nie mógł ruszyć do przodu. Widocznie ciężar jezdni skruszył przepust i lekko wgiał go do wnętrza.

– Tam jest przepust, który biegnie na drugą stronę ulicy. – Seth usłyszał to całkiem wyraźnie.

Czuł, jak ręce zaczynają mu drżeć, a oddech staje się przykrótki. Przełknął ślinę i spróbował zapanować nad sobą.

– Przynieś latarkę – zawołał jeden z prześladowców. Zdesperowany Seth zdołał wreszcie obrócić się, chociaż czuł, jak metal rozcina mu skórę dłoni i rozdziera odzież.

– Macie latarkę. Bądźcie jednak ostrożni. Jeśli jest w środku, zapewne ma pistolet gotowy do strzału.

– Może powinniśmy kilka razy strzelić do przepustu, tak na wszelki wypadek?

Napręzał mięśnie tak bardzo, że aż widział niebieskie błyski w oczach. Wreszcie poczuł, że ruszył do przodu, początkowo z trudem, później już łatwiej. Uwolnił się! Ale czy zdąży? Każdy strzał do wnętrza przepustu oznacza trafienie w niego.

Czołgał się, zupełnie nie zwracając uwagi na ostre krawędzie. Widoczny przed nim jaskrawy krąg dziennego światła robił się coraz większy, coraz jaśniejszy, aż w końcu jego głowa wyłoniła się z kanału, a chwilę później reszta ciała. Desperacko chwytając oddech, wytoczył się z przepustu i kilka sekund leżał na brzuchu.

– Niech się pan nie rusza, panie Ridgeway.

Seth zamarł w bezruchu. Czas zatrzymał się w miejscu.

– Teraz niech pan obróci się powoli i wstanie.

Powoli obrócił się na plecy i zaczął się podnosić. Przed sobą zobaczył mężczyznę z krótkim wąsikiem i w filcowym kapeluszu na głowie, trzymającego krótki, powszechnie nie lubiany pistolet maszynowy typu H&K MP5A, faworyzowany przez brytyjskie oddziały antyterrorystyczne SAS oraz niemieckich komandosów, którzy uwolnili izraelskich zakładników podczas Olimpiady w Monachium w 1972 roku. Była to broń szybka i śmiertelna z bliskiej odległości. Mężczyzna dostrzegł jego wzrok skierowany na karabin.

– Niech pan nie robi niczego głupiego – poradził. – To z pewnością skróci pana żywot.

– No to strzelaj.

W tej samej chwili ktoś zawołał po drugiej stronie przepustu, a chwilę później rozległ się strzał, a po nim trzy kolejne.

Mężczyzna w filcowym kapeluszu aż podskoczył i spojrzał w kierunku wylotu kanału. Był to moment nieuwagi, który Ridgeway natychmiast wykorzystał. Dосkoczył do tamtego, walnął go łokciem w twarz, potem kolanem w krocze. Mężczyzna w filcowym kapeluszu dosłownie pofrunął w powietrze, a potem spadł i zwinął się w kłębek.

Seth wyrwał mu pistolet maszynowy i rzucił się przed siebie. Leżący wrzasnął:

– Tam! Jest po tamtej stronie.

A wtedy Seth opróżnił magazynek prosto w niego, potem rzucił broń na ziemię i popędził co sił przez kępy drzew w kierunku Amstelveen.

Rozdział 16

Przybysz z Moskwy, którego znali pod pseudonimem Patron z marsową miną spoglądał na ludzi, którzy stali, dojadając ostatnie kęsy. Poplamione tłuszczem torebki z McDonald'sa pokrywały niemal cały blat biurka.

Patron nie darzył sympatią ludzi takich jak ci tutaj. Wszyscy oni byli funkcjonariuszami KGB, wszyscy chodzili na pasku moskiewskiej mafii i wszyscy zachowywali się lojalnie wobec organizacji Żyrinowskiego. Byli przykładem tej samej mentalności i tego samego rodzaju, jak ci, którzy kiedyś utorowali drogę do władzy Hitlerowi. Przyjrzał się im: pułkownik Edward Mołotow, obok Siergiejew, następnie wyglądający zza niego kolos, największa ludzka istota, jaką widział w życiu. Należeli do najlepszych w swych kategoriach. Wszyscy byli ludźmi z rynsztoka, a on płacił im dobrze za osobiste walory, za przekonania polityczne oraz za szczególne umiejętności.

– Otrzymaliśmy informację, że jedna z licznych służb wywiadowczych, które poszukują Pasji Zofii, poczyniła krok naprzód – przemówił Patron. – Ale operacja ciągnie się już nazbyt długo i grozi pozostawieniem po sobie śladów.

Zrobił przerwę.

– Ile czasu zajmie... zwinięcie spraw tutaj?

Niezbyt wiele – odpowiedział Siergiejew. – Magazyn jest już niemal pusty. Skrzynia z tymi pieprzonymi grubymi babolami jest już niemal opisana i prawie gotowa do wysyłki do kupca. Obie damulki są teraz na dole i ślinią się nad dziwnym kamiennym reliefem. Do jutra, do wieczora, będziemy w stanie spakować wszystko i wysłać. Jedyнным balastem, którego będziemy musieli się pozbyć... – wskazał gestem na podłogę, pod którą znajdowała się cela Zoe.

– Tak – odparł Patron. – Rozumiem, że dziewczyna jest całkiem atrakcyjna.

Wszyscy mężczyźni zgodnie przytaknęli.

– Dobrze, dobrze. To bardzo dobrze. Chcę, żebyście zniknęli stąd do jutra do południa i żeby żaden ślad nie prowadził do któregoś z nas. Zadzwońcie do konsulatu z prośbą o ciężarówkę, potem załadujecie na samochód wszystkie dokumenty związane z operacją i zaplombujecie skrzynię ciężarówki. Następnie pozbędziecie się dziewczyny, nie pozostawiając żadnego śladu. Nie obchodzi mnie to, co z nią wcześniej

zrobicie. Zabawcie się z nią, jak chcecie. Potraktujcie ją jako premię za ten miesiąc.

– Jest pan niezwykle szczodry – odezwał się Zwalisty, uśmiechając się od ucha do ucha.

Thalia i Zoe chodziły na czworakach, z bliska przyglądając się ogromnej bryle alabastru, o średnicy blisko metra dwadzieścia, kształtem przypominającej kalendarz Majów, pokrytej eleganckimi reliefami oraz inskrypcjami. Fryz stał pośrodku urządzonej naprędce pracowni artystycznej, której odosobnienie przypominało scenę czekającą na końcowe podniesienie kurtyny.

Rankiem tego dnia Zoe szła za porywaczami pełna obaw, że objawienie, jakiego doznała poprzedniego dnia, może zmienić jej sposób zachowania na tyle, iż prześladowcy zaczną coś podejrzewać, albo że Thalii podpowie coś intuicja. Jednak od pierwszej chwili, kiedy tylko otworzyły skrzynię z fryzem, Zoe nie potrafiła myśleć o niczym innym, a jej myśli skoncentrowały się wyłącznie na tym.

– To najbardziej zdumiewające dzieło sztuki, jakie widziałam w całym moim życiu – zadeklarowała głosem pełnym podziwu.

– Powtarzasz to samo chyba już po raz setny.

Zoe nie odpowiedziała, bez pamięci oczarowana niezwyklejmi płaskorzeźbami. Dzieło przedstawiało wyrzeźbioną w kamieniu historię Boga. W samym środku kompozycji rzeźbiarz umieścił wizję początku: Bóg przyjął trojaka postać: obojnaczą, hermafrodytyczną oraz trójcy w trójcy – ojca, matki i dziecka. Z tych pierwotnych form wyłaniało się antropomorficzne wcielenie, odchodzące spiralnie od środka, któremu ludzie oddawali boską cześć. Figurki Wenus, Wielkiej Bogini, znajdowały się najbliżej środka, potem stopniowo ustępowały miejsca wizerunkom męskim, które szybko zdominowały tematykę reliefu.

– Nie rozpoznaję języka, którym zapisano te inskrypcje.

– Aramejski – oznajmiła Thalia nieobecny głosem. – Co z kolei każe mi wnioskować, że relief został wyrzeźbiony, być może, około tysięcznego roku przed naszą erą, o czym zresztą świadczy niewielka metryczka, która nadeszła z dokumentacją. Popatrz. – Thalia wskazała na jeden z rzędów reliefów. – Mamy tu Wielką Boginię, która zaczyna dzielić się przestrzenią z męskim towarzyszem, a był nim zwykle jej syn lub

kochanek. Zaczyna się to w momencie, kiedy ludzie zaczynają dostrzegać związek między stosunkiem płciowym i przychodzeniem na świat dzieci. A teraz przejdźmy odrobinę dalej.

Przesunęła nieco palec.

– Tu widzimy już Boginię i Boga mających tę samą wielkość. Jej palec przesunął się o kolejnych kilka centymetrów wzdłuż spirali.

– Sprawy zaczynają bardzo przyspieszać; Bogini staje się coraz mniejsza i mniejsza, aż do chwili, gdy dochodzimy do końca opowieści.

Jej palec dojechał do końca spirali, docierając do bardzo dużej, odosobnionej postaci usadowionej pomiędzy węzłami i liśćmi. Wzdłuż zewnętrznej krawędzi widniała wąska linijka z inskrypcją.

– Go tu jest napisane? – zapytała Zoe.

– Jahwe.

– Fascynujące – Zoe wstała i przetarła zmęczone oczy.

Były tak spięte, że aż gotowe wybuchnąć przy byle okazji.

– Chcesz więc mi wmówić, że zmiany postaci Boga są odzwierciedleniem zmian w ludzkiej kulturze.

– Co do tego nie ma wątpliwości – odparła Thalia, wyciągając dłoń do Zoe. – Tu. Pomóż mi.

Zoe spoglądała na tę zdumiewającą kobietę. Z jednej strony błyskotliwy naukowiec, z drugiej córka uwikłana w problemy ojca. W ciągu minionych miesięcy niejedną raz narzekała na przymus, jaki wobec niej zastosowano, każąc jej pracować w tym miejscu. Zoe poczuła nagłe ukłucie w sercu, kiedy uświadomiła sobie, że nie zobaczy jej nigdy więcej. Thalia wzięła jej dłoń, a Zoe wyczuła w tym geście miłość i siłę, oraz zupełnie wyjątkowe zjednoczenie z bratnią duszą. Uczucia te zrodziły się podczas długich miesięcy wspólnej pracy intelektualnej. W tym czasie Zoe czerpała z niej nie tylko siłę, a także lepsze zrozumienie początków kultury rodzaju ludzkiego.

Thalia spojrzała Zoe prosto w oczy; na jej twarzy rysowała się nieskrywana troska. Zoe odwróciła wzrok.

– Nic ci nie jest? – zapytała Thalia. Zoe unikała jej spojrzenia.

– Wszystko w porządku.

– Chodzi mi o to, że jeśli chcesz porozmawiać...

To, co nieuchronnie się zbliżało, zawisło ponurą barierą między nimi. Thalia musiała zdawać sobie sprawę z faktu, iż godziny jej przyjaciółki są policzone.

– Nie – skłamała Zoe. – Nie chcę.

A jednak chciała, i to jak! Pragnęła opowiedzieć Thalii o szczegółach ucieczki, ale każde słowo, które wymknęłoby się jej przypadkiem, którego nie dałoby się już cofnąć, mogło unicestwić jej plan. Powstrzymanie się od mówienia było dostatecznie trudne. Wszystko musiało odbyć się w sposób perfekcyjny i w pełnej tajemnicy.

– Jeśli jesteś tego pewna...

– Absolutnie – fuknęła Zoe bardziej obcesowo, niż zamierzała.

Thalia spojrzała na nią, marszcząc w zdumieniu czoło.

Stały tak przez dłuższą chwilę, spoglądając na siebie: blada, szczupła, lecz mocno zbudowana Amerykanka i pokaźnej postury Rosjanka, o oliwkowej cerze i kręconych rudych włosach. Zoe odniosła wrażenie, że dostrzega w ciemnych oczach Thalii swego rodzaju zrozumienie.

– Tak naprawdę chcę wiedzieć więcej o tym. – Zoe wskazała na kamienny fryz. – Chodzi mi o to, że przecież faceci nie zbudzili się pewnego dnia i nie oznajmili sobie „Uczestniczymy w prokreacji i jesteśmy silniejsi, zatem zabieramy dla siebie całą ziemię”.

Thalia wpatrywała się w nią długo, z niedowierzaniem w oczach.

– Nie wiem, jakiego asa kryjesz w rękawie, i nie chcę wiedzieć. Ale mam nadzieję, że Bóg jest z tobą.

– Z pewnością – odparła Zoe, sama zaskoczona pewnością siebie.

Potem wskazała na kamienną płaskorzeźbę.

– No, opowiedz mi.

– Masz rację. Ta transformacja zabrała nieco czasu. Pamiętaj, że przejście cywilizacji od Wielkiej Bogini do Jahwe zajęło dobre sześć lub nawet osiem tysięcy lat. Moim zdaniem epoka Rajskiego Ogrodu to był okres, kiedy ludzie zamieszkiwali w niewielkich osadach, nie mieli żadnych wrogów, bo nie mieli prawie żadnego kontaktu z innymi ludzkimi sadybami. Ale sytuację tę odmieniły kobiety, a czyniąc to, jednocześnie kopaly dół pod Wielką Boginią.

Kobiety wynalazły rolnictwo, ponieważ to one zostały obciążone przez naturę obowiązkiem wykarmienia dzieci. W końcu można wymyślić tkactwo i udomowić dzikie ziarna, jednocześnie karmiąc niemowlęta i utrzymując je przy życiu... ale nie można tego zrobić dobrze podczas łowów. Zatem wysiewały ziarna, aż w końcu ludzie zdali sobie sprawę, że w ten sposób można zdobyć pożywienie. Rolnictwo pozwoliło też na powiększenie liczebności rodziny. Kobiety kultury zbieracko-łowieckiej musiały rodzić nie częściej niż co cztery lub pięć lat, gdyż wiodły żywot koczowniczy, a w tej sytuacji nie mogły prowadzić za sobą zbyt wielu małych dzieci. Poza tym, gdy nie było jeszcze rolnictwa, nie dało się w żaden sposób wyżywić większej liczby zawsze głodnych gąb. Kiedy jednak rodziny przeszły na osiadły tryb życia i zaczęły uprawiać własne zagony, zdolność do przemieszczania się straciła znaczenie jako istotny czynnik przetrwania. W rezultacie odstęp w czasie między kolejnymi porodami zmniejszał się stopniowo, ale sukcesywnie.

W miarę jak wznoszono coraz większe osady, które zaczynały między sobą konkurować, brutalna siła mężczyzn nabierała coraz większego znaczenia. Rolnictwo zaczęło się dynamicznie rozwijać, ponieważ rolnicy potrzebni byli do zaopatrywania w żywność licznych rzesz stałej armii, kadry urzędniczej i tak dalej – wcześniej społeczności zbieracko-myśliwskiej nie były w stanie wyprodukować dostatecznie dużo żywności, żeby taki stan rzeczy był możliwy. Jednak rolnictwo wiązało się też z nowymi problemami – pojawiła się kwestia własności ziemi. Obfitość pożywienia przyczyniła się również do demograficznego boomu, ponieważ pozwalało to wyżywić coraz liczniejszą społeczność.

W przeszłości konflikty zdarzały się rzadko, ale coraz więcej ludzi oznaczało też konieczność obrony własnych domów i społeczności. W rzeczywistości potrzeba bezpieczeństwa przyczyniła się do przekształcenia małych komunalnych osad w pełni rozwinięte struktury administracyjne, w miasta-państwa.

– Zatem, jeśli mam przyjąć tę linię rozumowania – przerwała Zoe – to powinnam wyjść z założenia, że mężczyznom bardzo przypadła do gustu nagle zyskana władza. Poza tym zdali sobie sprawę, że wcale nie byli na łasce Bogini, której oddawali do tej pory hołd. Zdecydowali się więc na podjęcie działań, skutkiem czego było wprowadzenie bóstwa posiadającego atrybuty męskości.

Pragnęli zyskać też dla siebie stosowną porcję dóbr ziemskich – powiedziała Thalia. – W systemie matrylinearnym wszelka własność przechodziła z kobiety na kobietę; dziedziczenie przez dzieci następowało po stronie matki, ponieważ nie było żadnej możliwości ustalenia, kto był ojcem. W aspekcie kulturowym mężczyźni znaleźli się na pozycji, która umożliwiła im zmianę biegu spraw. Wyróżniały ich duży wzrost i większa siła, ale nakazy religii dotychczas wyznawanej nie pozwalały im dokonać zaboru ziemi i mienia posiadanego przez kobiety. Nie sądzę, żeby była to świadoma decyzja... w każdym bądź razie nie miało to charakteru świadomego spisku zakrojonego na szeroką skalę, ale w miarę mijających tysiącleci zaczęto wprowadzać prawa regulujące pożycie małżeńskie i seksualne, w rezultacie można było określić ojcostwo. Monogamia oraz zakaz uprawiania seksu pozamałżeńskiego to był sposób na zdobycie pewności, które dzieci są owocem ich nasienia, co z kolei przekładało się na możliwość podziału dobytku zgodnie z literą nowych praw. Początkowo mężczyźni dziedziczyli tylko niewielką część majątku, ale w końcu zagarnęli wszystko, redukując kobietę do roli kolejnego elementu dobytku. Usankcjonowanie tych praw wymagało jednak odwołania się do Boga, który strachem zmuszałby wszystkich do posłuszeństwa wobec prawnych reguł.

– Chcesz zatem powiedzieć, że ludzie stworzyli Boga na miarę swoich potrzeb – wtrąciła niezdecydowanie Zoe, a w jej umyśle pojawiło się wyraziste echo wydarzeń z poprzedniego wieczora i pierwszej od wielu lat modlitwy. – Zgodnie z tą teorią Bóg jest tworem ludzkim, wykreowanym dla doraźnych korzyści w celu wyjaśnienia tego, co nieznanne. Człowiek zmieniał Boga – w postaci męskiej lub żeńskiej – stosownie do bieżących potrzeb.

Thalia obróciła głowę w stronę fryzu i wskazała wybrane miejsce.

– Bóg nie zmienia się – wyjaśniła. – Przynajmniej takie jest moje przekonanie. Zmianom ulega jedynie nasza interpretacja Boga, w zależności od zmieniających się kultur. To właśnie, jak sądzę, usiłuje nam powiedzieć ten artysta. Zobacz tu.

Jej palec podążył za linijką aramejskiej inskrypcji wrytej w pobliżu wizerunku Wielkiej Bogini.

– Zobacz, jak zmieniały się prawa odnośnie gwałtu, w miarę jak znaczenie Bogini malało. W 2000 roku przed naszą erą w Sumerii, mężczyzna, który zgwałcił kobietę, bez względu na jej status małżeński, płacił za to głową. Tysiąc lat później, jeśli mężczyzna

zgwałcił kobietę niezamężną, wtedy narzeczony lub ojciec zgwałconej zyskiwał prawo do wzięcia siłą żony lub córki gwałciciela. A jeszcze później pojawia się prawo nakazujące zgwałconej wyjście za mąż za tego, który naruszył jej cześć i cielesną nietykalność.

– To chore.

– Aha, ale to wszystko jest tu, zapisane w księgach Tory, a sprawy idą ku gorszemu. Jeśli ofiara gwałtu jest zamężna lub zaręczona, musi za hańbę zapłacić życiem. A teraz przypomnij sobie, że dzisiaj fundamentaliści, i to zarówno w chrześcijaństwie, judaizmie czy islamie, optują za tym, by literę tych praw ponownie wprowadzić w życie.

– To naprawdę przerażające – skomentowała Zoe. – Uogólniając, w miarę jak kult Wielkiej Bogini był usuwany w cień, kobiety traciły ziemię, dobytek oraz prawo przekazywania nazwiska swemu potomstwu, aż w końcu stały się kawałkiem mięsa – własnością i zabawką w rękach mężczyzn.

– Nawet dzisiaj – podjęła Thalia – ortodoksyjni Żydzi zobligowani są do odmawiania codziennej modlitwy, której słowa brzmią: „Bądź błogosławiony Ty, o Panie, Boże nasz, Królu Wszechświata, który nie stworzyłeś mnie kobietą”. Z kolei Mahomet stwierdził, że Szatan uradował się bardzo, kiedy Bóg stworzył Ewę. I to wszystko tu jest – powtórzyła Thalia, stukając palcem w kamienny fryz. – A także w Biblii, Koranie oraz Torze. Prawa dotyczące spraw seksu oraz prze widziane kary wymierzone były w kobiety i miały zastosowanie wyłącznie w stosunku do kobiet. To początek starego podwójnego wzorca. Moralność oraz dziewictwo stały się dla kobiet nakazem po to, żeby móc ustalać ojcostwo dzieci.

Przez dłuższą chwilę siedziały w milczeniu, czując ciężar, jaki złożyły na ich barki tysiąclecia. Zoe pierwsza przegoniła zły urok.

– Co mają symbolizować liście i serpentyny wzdłuż krawędzi fryzu?

– To odważna deklaracja ze strony artysty – odpowiedziała Thalia. – Błuznierstwo, jeśli odczytuję to właściwie.

– Co masz na myśli?

– To deklaracja artysty, które stwierdza, że żadne siły nie zdołały wymazać całkowicie Wielkiej Bogini. Wąż i liście figowca, a one tworzą właśnie ornament –

Thalia wskazała na kamienny fryz – to najbardziej sugestywne symbole Wielkiej Bogini. Dlatego właśnie autorzy Księgi Rodzaju przedstawili Szatana pod postacią węża – oznajmili tym samym, że Wielka Bogini prezentuje zło. Jej wizerunek musiał być jak najbardziej ohydny, co pozwoliłoby zamknąć jej świątynie i zakazać oddawania jej boskiej czci.

– Kontrola przez dokręcanie śruby.

– Raczej przez osvajanie – sprostowała Thalia. – Drzewo figowe było jej świątynią, dlatego wizerunkom pomstujących proroków zawsze towarzyszy drzewo figowe. W cieniu tego drzewa bowiem ludzie odprawiali modły do Wielkiej Bogini nawet wtedy, kiedy na danym terenie oficjalnie czczonym bóstwem stał się już Jahwe. Oddawanie czci oraz eucharystia wiązały się ze spożywaniem owoców figowca – owoców, które bardziej przypominały winogrona niż figi, jakie znamy dzisiaj. Tak więc żarliwi wyznawcy, spożywając owoc, przyjmowali tym samym ciało Bogini.

– Początki chrześcijańskiego sakramentu eucharystii?

Thalia przytaknęła.

– Po prostu jedna z wielu rzeczy, które chrześcijaństwo i judaizm zapożyczyły z przeszłości. Jeśli nowa religia miała zaspokoić potrzeby ludzi i jeśli stare wyznanie miało zostać wchłonięte i pokonane konieczne było włączenie dostatecznie wielu pierwiastków starego, zakazanego wyznania. Okazało się jednak, że to Wielka Bogini śmieje się ostatnia.

– Jak to?

– Grecy przekształcili ją w Kybele i Artemidę. Ale nawet po tym, jak Konstantyn wydał dekret zakazujący na obszarze całego imperium oddawania boskiej czci Bogini, wierni przekształcili po prostu ołtarze jej poświęcone w miejsca kuł tu Dziewicy Maryi. To jest właśnie jedna z rzeczy, która tak bardzo przeraża zramolałych darmożjadów w Watykanie. Oni dobrze wiedzą, że cześć oddawana Matce Boskiej to po prostu zamaskowana forma kultu Wielkiej Bogini.

To również jest powód, dla którego Rzymianie oraz moi pobratymcy musieli zamordować człowieka o imieniu Jezus. W jego oczach kobiety były równe mężczyznom; żydowscy i chrześcijańscy gnostycy postrzegali Boga jako byt złożony z pierwiastków męskiego i żeńskiego. Esseńscy, którzy są autorami zwojów z Kumran,

również uważali, że Bóg był mężczyzną i kobietą w jednym. Księga Przysłów oraz Księga Salomona także są bardzo jednoznaczne i odnoszą się do Mądrości w rodzaju żeńskim. „Zofia” to grecki wyraz określający mądrość.

– Zofia? – Zoe poczuła nagły ucisk w sercu i elektryzujące podniecenie, które wywołało ciarki na jej skórze. – Moim zdaniem może to być kolejne wcielenie Mesjasza.

– Wiem, że nim była – oznajmiła Thalia. – Podśluchałam rozmowę naszych chłoptasiów z mafii, kiedy mówili, co było ich prawdziwym celem w Kreuzlingen.

– O mój Boże – wyszeptała z przejęciem Zoe. – Wszystko do siebie pasuje.

Thalia skinęła głową, potakując.

– Moim zdaniem Sobór Nicejski I był w głównej mierze poświęcony kwestii, w jakim stopniu Zofia była kolejnym wcieleniem Chrystusa. Ortodoksyjni chrześcijanie zmienili słowo „Mądrość” na „Logos”, które jest rodzajem męskim. Prawdziwą walkę toczono z tymi, których uznano za prawdziwych heretyków, i którzy nawoływali, by Kościół powrócił do korzeni – a te symbolizowała Zofia, a nie Logos – oraz, by uznał, że była ona pierwotną i nierozdzieloną częścią Stwórcy.

Z tymi, według których błędem było ograniczanie Boga do jednej tylko płci czy postaci lub też uznawanie Go za Boga wyłącznie jednego narodu. Z tymi, którzy uznawali to za narzucanie ludzkich ograniczeń istocie nieskończonej pod każdym względem.

– I oczywiście przegrali tę walkę.

– Przynajmniej na razie – odparła Thalia.

– Koncepcję tę zresztą potwierdza artysta na fryzie – podjęła Thalia. – Ta inskrypcja, która biegnie wzdłuż zewnętrznego obwodu. Słowo, które zawiera w sobie wszystko inne, idąc od Boga w postaci mężczyzny, kobiety i dziecka po Boga jako Jahwe.

Zoe osunęła się na kolana i przesunęła palcami po antycznej inskrypcji.

– W aramejskim tekście po wielokroć pojawia się jedno i to samo słowo – dodała Thalia. – To imię. Zofia.

Zoe oderwała palce od kamiennego fryzu, jakby słowa ją parzyły.

Rozdział 17

W głębokim i bezlitosnym mroku o godzinie trzeciej nad ranem Zoe Ridgeway siedziała w swej celi przy przestarzałym komputerze i przeklinała.

– Cholera! – Walnęła dłonią w biurko. – Nie potrzebuję tego gówna! Nie teraz.

Twardy dysk zapełniał się w miarę, jak ściągała z głównego serwera wszystkie skany zdjęć, dokumentów, szczegółowych świadectw pochodzenia i relacji, które Max pieczołowicie przechowywał.

Otworzyła aplikację Windows Explorer i szukała kolejnych plików, które mogłaby usunąć; dzięki temu zyskałaby dodatkowe miejsce na dysku. Starła się znajdować pocieszenie w tym, że nie wyłączyli głównego serwera i nie wywieźli go, jak to zrobili niemal ze wszystkimi innymi rzeczami. Podczas wieczornego powrotu do celi, zauważyła w magazynie pospieszne i nerwowe działania, no i kolacja dotarła z opóźnieniem, tym razem był to McDonald's zamiast zwyczajowego Movenpicka. W dużym stopniu wiarygodna przewidywalność minionych miesięcy ustąpiła miejsca nagłej nerwowości, którą po prostu wyczuwała. Oni prawdopodobnie także zdawali sobie sprawę z faktu, że nie uszło to jej uwadze. Być może liczyli, że to ją tylko przestraszy.

Jednak wizja wolności wywołała oszałamiające upojenie, które odpędziło wszelką trwogę. Zoe z wielkim zapalem przystąpiła do porządkowania, kasując z twardego dysku każdy zbędny plik, ikonę oraz oprogramowanie. Na koniec opróżniła też kosz na śmieci. Zdołała odzyskać w ten sposób całe sto sześćdziesiąt megabajtów. Niezwykle zdesperowana, bo chciała zabrać tyle danych, ile tylko się da, Zoe wróciła do kopiowania; mijały kolejne minuty.

W czasie, kiedy dokonywał się transfer plików z serwera na twardy dysk, Zoe raz jeszcze rozejrzała się dookoła, analizując to, co zdołała już przygotować do ucieczki. Rozmontowała już łóżko, piecyk elektryczny leżał na płask obok biurka, a postrzępiony przewód włożony był do gniazdka znajdującego się przy drzwiach. Energicznie rozcierała zmarznięte dłonie. Wprawdzie piecyk elektryczny hałasował zazwyczaj niemilosiernie, lecz teraz, kiedy był wyłączony, zrobiło się niesamowicie zimno. Porywacze nigdy nie dali jej płaszcza, tej nocy miała więc na sobie dwa bawełniane trykoty – czyli wszystko, co od nich otrzymała – oraz jedyną swoją grubą koszulę

flanelową w szkocką kratę oraz wełniane spodnie. Tanie buty na płaskim obcasie już się rozpadały, lecz tej nocy musiały jeszcze jej posłużyć.

Cążki do paznokci – jedyne ostre narzędzie, jakie pozwolili jej zatrzymać – leżały na biurku obok myszki. Cążki oraz mały pilniczek były powyginane; efekt udanego ataku na śrubki mocujące twardego dysku oraz pokrywę elektrycznego piecyka.

Przy akompaniamencie klekotów i szumów twardego dysku starego komputera jej wzrok przesuwiał się badawczo po suficie w poszukiwaniu siatki drutów, które kiedyś służyły za podporę materaca w jej łóżku. Druty te zwisały teraz z rury doprowadzającej wodę do zraszaczy na długość pasków prześcieradła związanych w linę. Jeden z końców prześcieradła został przywiązany do drucianej siatki, tworząc w rezultacie luźne, odwrócone do góry nogami „V”. Lina z prześcieradła biegła nad rurą i schodziła potem na podłogę, w miejscu, gdzie przywiązała drugi koniec do nogi biurka.

Zoe była do tego stopnia pogrążona we własnych myślach, że nawet nie słyszała szumu twardego dysku, jaki towarzyszył transferowi plików z sieci. Jej spojrzenie znów szukało ewentualnych niedociągnięć czy słabych punktów. Każdy krok musiał być dopracowany do perfekcji, jeśli miała jeszcze ujrzeć słońce.

Ujrzeć ponownie Seta.

Przewody elektryczne wyciągnięte z kabla od piecyka poprowadziła do zawieszanej u góry drucianej siatki. Ponownie posługując się cążkami, przecięła jeden i ściągnęła z niego izolację. Potem rozkręciła wtyczkę oraz bolce z przedłużacza i następnie ściągnęła izolację na dwóch z trzech przewodów, po obu końcach. Na jednym z końców uszkodzonego przedłużacza podłączyła po dwa kable do każdego z odizolowanych, pochodzących z przewodu piecyka. Starannie przygotowała końcówki, potem owinęła je paskami prześcieradła i związała ze sobą; bardziej chodziło jej o wzmocnienie połączenia niż o prowizoryczną izolację. Na koniec paski prześcieradła zostały dowiązane do nogi biurka, żeby ruch nie rozerwał końcówek.

Następnie Zoe okręciła wszystkie wolne przewody z jednego końca przedłużacza wokół kilku drutów metalowej siatki podtrzymującej materac, a potem skręciła dwa odizolowane przewody przedłużacza wokół drutów siatki w odległości kilku centymetrów od siebie, po czym podwiązała je do pasków z prześcieradła. Prąd elektryczny, który popłynie do grzejnika, tym razem pobiegnie drogą okrężną. Obwód

zacznie się we wtyczce, potem prąd popłynie przez splecione przewody przedłużacza, następnie przez drucianą siatkę od materaca, potem zawróci do kolejnych przewodów przedłużacza, stąd wpłynie do kabla elektrycznego piecyka i na koniec do elementu grzejnego.

Albo być może elektryczność popłynie w kierunku przeciwnym, pomyślała. Nie. Jeśli dobrze przypominała sobie lekcję daną jej kiedyś przez ojca, prąd zmienny płynął w obydwu kierunkach. Chociaż to bez znaczenia. Liczyło się jedynie to, że materac miał zamknąć obwód, kiedy włączy przycisk na piecyku. Standardowe napięcie w sieci europejskiej wysokości 220 wolt zasili wszystkie druty metalowej siatki podtrzymującej materac. Zoe klepnęła dłonią w kieszeń spodni i wyczuła twarde wybrzuszenie po lewej stronie – wtyczka, którą odcięła od przedłużacza. Ściągnęła izolację ze wszystkich trzech przewodów, skręciła je razem ze sobą i prowizorycznie zaizolowała resztą pasków z pościeli.

Tak była zaabsorbowana przygotowaniami, że nawet nie usłyszała, że twardy dysk przerwał pracę, gdyż transfer plików dobiegł końca. Dopiero skrzypienie podłogi w biurze nad jej głową przywróciło ją do rzeczywistości. Strach chwycił ją nagle za serce, jakby ścisnęła je zimna dłoń. Na początku porywacze wpadali niekiedy niespodziewanie do jej celi nocą, i to o różnych porach. Czy zrobią to także teraz, kiedy koniec jest tak bliski? Czy akurat teraz zechcą zatrzeć za sobą wszelkie ślady?

Skrzypienie nad jej głową nie ustawało.

Błagam, Boże, modliła się. Spraw, by poszedł tylko do łazienki.

Gnana myślą, że Zwalisty oraz jego kamrat Siergiejew pojawią się u jej drzwi, zanim jeszcze będzie gotowa, Zoe zerwała się na równe nogi. Nie troszczyła się już o to, czy zdążyła ściągnąć z serwera wszystko, co chciała. Wcisnęła klawisz zasilania i wyłączyła komputer. W ułamku sekundy ogarnęła ją panika, że chyba po raz pierwszy w życiu wyłączyła system operacyjny Windows 95, zanim ten oznajmił, iż można to bezpiecznie zrobić. W ciągu kilku następnych minut musi jeszcze zrobić parę rzeczy, zanim naprawdę będzie bezpieczna.

Po odłączeniu komputera od sieci, Zoe odłączyła przewody zasilające i kable przekazujące dane, następnie wyjęła twardy dysk. Szerokością i grubością przypominał książkę, był tylko nieco krótszy; idealnie wpasował się w tylną kieszeń spodni.

W pomieszczeniu na górze zaległa cisza.

– Komu w drogę, temu czas, kochasiu – powiedziała na głos.

Nawet jeśli mężczyźni nie schodzili do niej, nie było powodu, by czekać dłużej z rozpoczęciem procedury końcowego odliczania, którą powtarzała w myślach już tyle razy od chwili, kiedy sprecyzowała ostatecznie plan ucieczki. Zatrzymała się tylko na moment i skłoniła głowę.

– Boże – modliła się na głos. – To twój plan; sama nigdy bym go nie wymyśliła. Błagam, pomóż mi dobrze go wykonać.

Otworzyła oczy. Potem uniosła twarz do góry.

– Błagam – dodała.

Nad sobą usłyszała plusk wody spuszczonej w toalecie, potem szum, gdy spływała w dół grubą, czarną rurą ściekową, biegnącą w narożniku jej celi. Toaleta. To dobry znak, pomyślała.

Od tej chwili Zoe działała niczym automat, postępując krok po kroku zgodnie z przygotowanym wcześniej planem. Zaczęła od zestawienia na podłogę komputera i monitora oraz uprzątnięcia do czysta biurka. Potem złożyła w troje cienki, gruzłowaty materac i położyła go na jednym z końców biurka. Następnie sięgnęła po elementy łóżka i posługując się ostatnimi paskami prześcieradła, związała je ze sobą, tworząc wnyki kilkucentymetrowej wysokości. Pokonując zmęczenie rąk, chwyciła ostatnią część łóżka, metalową nogą z przyspawaną do niej długą śrubą, postawiła ją na biurku, potem ostrożnie odwiązała linę skręconą z prześcieradła, na której powieszona była druciana siatka podłączona teraz do elektrycznego obwodu.

Serce waliło jej w piersiach. Wytarła dłonie, potem weszła na biurko.

– Błagam, pomóż mi – znów skierowała słowa do Stwórcy. – Nie dam rady zrobić tego sama.

Wzięła głęboki oddech, chwyciła nogę od łóżka i zamachnęła się, mierząc w dyszę najbliższego zraszacza. W celi rozległ się potężny, metaliczny dźwięk, który natychmiast wywołał krzyki w pomieszczeniu na górze. Tego nie przewidywała.

– Cholera! – mruknęła pod nosem.

Zamachnęła się po raz kolejny, lecz tym razem noga łóżka ześlizgnęła się po rurze i wypadła z jej przepoconych dłoni. Krzyki nad jej głową stały się dużo głośniejsze.

Starając się zapanować nad nerwami, Zoe zsunęła się z biurka, przywiązała linę do gałki od szuflady i podniosła nogę. W gorączkowym pośpiechu weszła z powrotem na biurko i ponownie uderzyła w dyszę z całą siłą, jaką mogła z siebie wyrzesać. Celowała w mały bezpiecznik, który normalnie zaczynał działać pod wpływem gorąca. Tym razem jednak metalowa noga od łóżka uderzyła w nasadę, odrywając od rury cały zraszacz.

Wartki strumień wody błyskawicznie zalewał podłogę celi. Potem do jej uszu dotarł jeden z najśłodszych odgłosów, jakie w życiu słyszała: dźwięk dzwonka pożarowego w przemysłowym magazynie. Poczula błogą falę ulgi. Planując, nie miała pojęcia, czy zraszacze działały i czy były podłączone do instalacji alarmowej.

– Dzięki Ci, Boże!

Przez chwilę Zoe zastanawiała się, ile czasu zajmie szwajcarskim strażakom dojazd do miejsca, gdzie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Obojętne jednak, ile miało to trwać, dla niej z pewnością było to za długo. Dobiegające z góry odgłosy ogólnego zamieszania łączyły się z uporczywym sygnałem alarmowym.

Zupełnie już spokojna Zoe wyłączyła światło i czekała. W ciemności wszystkie dźwięki stały się wyraźniejsze. Po upływie chwili, która wydała się jej całym życiem, dosłyszała krzyki dobiegające z korytarza. Rozpoznała gniewne głosy Zwalistego i Siergiejewa. Moment później zachrobotał w zamku klucz, drzwi otworzyły się z impetem i stanęli w nich obaj mężczyźni. Przyćmione światło słabej żarówki świecącej w przeciwnym końcu korytarza, sprawiło, że wszystko rozgrywało się w dziwnej, żółtej poświacie. Woda zaczęła wylewać się na korytarz. Zoe docisnęła się do ściany i puściła linę uplecioną z prześcieradła. Zwalisty usłyszał ten odgłos, podniósł wzrok i uniósł rękę, chcąc chwycić drucianą siatkę. Chwilę później zaryczał z bólu, który zdawał się płynąć z samego dna jego duszy. Rozległo się głośne, niskie buczenie. Olbrzym potknął się, potem upadł, gdy jego stopa zaplątała się we wnyki.

Idący za nim Siergiejew nie zdążył się zatrzymać i także wszedł w wodę. Targany konwulsjami wypuścił pistolet, wreszcie padł obok Zwalistego rażony prądem. Zoe stała przytulona tak do ściany przez całą chyba wieczność, czując w sercu udrękę, jaką powodowały jęki konających, znacznie bardziej poruszające niż wszelkie słowa opisujące głębię ich katuszy. Stała zdjeta przerażeniem, gdy dwaj oprawcy tymczasem skręcali się w agonii na podłodze. Nagle Zwalisty przestał jęczeć, a szarpiące nim drgawki ustały.

Siegiejew zdołał podnieść się jeszcze na kolana, jednak prąd był bezlitosny i moment później padł twarzą do wody. Podobnie jak Zwalisty, przestał w końcu jęczeć.

Zoe czekała. Kiedy miała już pewność, że obaj nie żyją, rzuciła materac na podłogę. Potem położyła się na płask na biurku, wyciągnęła wtyczkę elektrycznego piecyka, a do gniazdka wsadziła wcześniej przygotowaną wtyczkę ze skręconymi ze sobą wszystkimi trzema przewodami. Światło w korytarzu zgasło. Na górze znów rozległy się przekleństwa wywołane niespodziewanymi ciemnościami.

Trzymając nogę od łóżka niczym kij golfowy, Zoe zmierzała po omacku w stronę drzwi, pilnując się, żeby stawać wyłącznie na materac.

Gdy znalazła się już w korytarzu, usłyszała nowy dźwięk – syreny! Serce jej rosło, kiedy po omacku zmierzała ku drzwiom, które wedle jej wiedzy prowadziły do głównego magazynu. Otworzyła drzwi i dostrzegła w oddali światła. Po drugiej stronie rozległej przestrzeni dostrzegła światła latarek i rozpoznała dwóch mężczyzn biegnących w stronę prowizorycznej galerii. Byli to przełożeni Zwalistego.

Pobiegła w przeciwnym kierunku, w stronę drzwi przy drugiej rampie załadowniczej. Kiedy je otworzyła, poczuła chłód nocy. Zaczęła odmawiać modlitwę dziękczynną. Biegła brukowaną alejką ku błyskającym od frontu światłom, gdy nagle dwa cienie oderwały się od ściany magazynu.

– Szybko!

Jeden z mężczyzn pochwycił ją, drugi natomiast wyrwał jej z ręki metalową nogę od łóżka.

Nagle znów ogarnął ją mrok nocy.

Rozdział 18

Błyszczące w mroku światła wozów strażackich, policyjnych radiowozów i karettek pogotowia oraz innych pojazdów służb ratowniczych zaskoczyły Seta Ridgewaya siedzącego samotnie w przedziale pociągu z policzkiem przytulonym do zimnej szyby. Pociąg zwalniał, by w końcu w żółwym tempie zbliżyć się do dworca głównego w Zurychu.

Seth popatrzył na błyszczące światła, bez pośpiechu wstał i rozprostował nogi. Podróż trwała ponad dziesięć godzin. Odwrócił spojrzenie i wpatrywał się badawczo w czerń nocy.

– Gdzie jesteś? – powiedział do siebie cicho, obserwując jednocześnie własne, zmazane, przypominające widmo odbicie w szybie okna.

Czy jesteś gdzieś tutaj? Przetarł ze znużeniem oczy, ponownie usiadł i opuścił na chwilę powieki. Po raz kolejny odczuł zadowolenie, że wykupił cały przedział. Potrzebował czasu na przemyślenia i nie życzył sobie, żeby inni pasażerowie go rozprasali. Pragnął również mieć pewność, że obok nie usiądzie potencjalny zabójca. Trochę go to kosztowało, ale opłaciło się. Pieniądze Rebeki Weinstock pokryły ten wydatek i z pewnością pokryją jeszcze niejednego.

Godziny tuż po ataku w rejonie Amsterdamse Bos wydawały się tak nierealne jak sen. Podobnie jak ostatnich sześć miesięcy, sprawiały wrażenie zupełnie nie z tego świata. Seth trochę powłóczył się po ulicach, nim wszedł do sklepu. Ekspedient był zszokowany jego wyglądem, ale Seth wyjaśnił, że został napadnięty; co zresztą do pewnego stopnia było prawdą.

– Tak mi wstyd – powtarzał bez końca skonsternowany sklepikarz. – W Holandii takie rzeczy się nie zdarzają. Jesteśmy narodem usposobionym pokojowo.

Mężczyzna nie przestawał przeproszać, pomagając jednocześnie wybrać nową garderobę. Potem wziął Seta za rękę i zaprowadził do pobliskiego sklepu z walizkami, prowadzonego przez jego przyjaciela. Seth dosłownie musiał wciskać pieniądze właścicielowi za dwie torby podróżne, które wybrał. Po powrocie do sklepu odzieżowego włożył nową garderobę do worka na garnitur, a brudny płaszcz wrzucił do torby na ramię. Bieliznę starannie zwinął, chcąc ukryć broń.

Podobną scenkę odegrał przed kobietą w niewielkim, pobliskim hotelu. Skakała wokół niego niczym kwoka nad pisklęciem, upierając się, że wyprasuje mu nowe ubrania. Podobnie jak sklepikarz przepraszała za przemoc, bo w końcu „Tu nie jest Ameryka, gdzie takie rzeczy zdarzają się na co dzień”.

Po długiej kąpieli i relaksującej drzemce zamówił taksówkę na lotnisko Schiphol. Kazał kierowcy czekać, a potem wyjął ze schowka obraz oraz resztę pieniędzy, jakie dostał od Rebeki Weinstock. Zadzwoił też do George’a Strattona i zostawił mu wiadomość. Incydent w Amstelveen przekonał go, że najwyższa pora zakończyć działania w pojedynkę. Opisał atak, do jakiego doszło na Amsterdamse Bos, oraz powiadomił o planowanym wyjeździe do Zurychu. Nie wspomniał jednak o obrazie oraz o umówionym spotkaniu z Jacobem Yostem. Musiał mieć jakieś atuty, które mogły stać się przedmiotem targów w razie potrzeby.

Wrócił taksówką do hotelu, wypił kubek gorącej czekolady i dopiero wtedy wsunął się w świeżą, wykrochmaloną i czystą pościel. Zapadł w przerywany sen, w którym widział ludzi, którzy zginęli, ale każdy z nich miał jego twarz.

Następnego ranka podjął decyzję, że pojedzie do Zurychu pociągiem; nie chciał ryzykować wykrycia broni podczas kontroli na lotnisku. Poza tym pociągi trudniej jest monitorować – na dworcach nie ma bramek kontrolnych, pojedynczych kolejek przed wejściem, ani miejsc, gdzie zbierają się pasażerowie. Poza tym z pociągu łatwiej w każdej chwili wysiąść, dlatego też wybrał osobowy, który zatrzymywał się co dwadzieścia lub trzydzieści minut.

A mimo to wciąż miał wrażenie, że to jeszcze za mało zabezpieczeń.

Tylko co powinien zrobić? Trudno uciekać przed ludźmi, nie wiedząc, przed kim się ucieka. Trudno ukryć się przed niebezpieczeństwem, jeśli nie zna się oblicza zagrożenia. W jaki sposób go odnaleźli? Pytanie to wciąż nie dawało mu spokoju. Rozmowa telefoniczna na lotnisku? Niemożliwe. Nie mogli wiedzieć, iż skorzysta z telefonu.

Ktoś, kogo nie dostrzegł ani on, ani Stratton, depte mu teraz po piętach? Mało prawdopodobne. Otoczenie jego domu w Playa Del Rey raczej nie sprzyjało zamaskowaniu się obcych. Nie była to anonimowa ulica.

Stratton? Powiadomił ludzi Strattona – tych, którzy pełnili służbę przy jego domu

– że wybiera się do Amsterdamu. Ale to znaczyłoby, że...

Poczuł, jak zimny dreszcz przenika jego ciało. Czyżby człowiek Strattona lub ktoś, kogo uważał za takiego, pracuje dla innego?

Dla „Brown”?

Człowiek w Amsterdamie, którego początkowo brał za agenta od Strattona, okazał się księdzem. Ale dla kogo pracował? Dlaczego w tę sprawę zamieszany był ksiądz?

Niewielka lecz wpływowa grupa ludzi w Watykanie... rzeczy o wiele, o wiele większe, niż pan sobie wyobraża... błogosławieństwo papieża...

Ridgeway przywołał w pamięci ostatnie słowa duchownego.

Sprawy... oraz ludzie, jak pan wie, nie zawsze są takimi, jakimi się wydają... ludzie zajmujący wysokie stanowiska, zarówno w waszym rządzie jak i w moim Kościele nie zawsze są takimi, jakimi się wydają.

Kto nie był takim, jakim się wydawał? Czy Stratton nie był tym, za kogo się podawał? A może był duchownym? A może chodziło o Rebekeę Weinstock? I kto właściwie był w to zamieszany? Stratton utrzymywał, że Rebekeę zabili ludzie Żyrinowskiego ulokowani w strukturach KGB. Czyje zatem interesy reprezentowali? Tylko jego? Rosji?

Jesteśmy niewielką grupą, której zadaniem jest wyplenienie wszelkiego zła, politycznych walk oraz gry o władzę.

Do czego jednak potrzebny jest im obraz zapomnianego nazistowskiego artysty?

Seth kiwał z niedowierzaniem głową, a pytania goniły jedno za drugim.

Nagle Seth uświadomił sobie, że na korytarzu, tuż obok jego przedziału zatrzymał się jakiś mężczyzna. Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu, a ubrany był w długi, wełniany płaszcz. Na tyle obszerny, że bez trudu zakryłby każdy karabin. Włosy mężczyzny były koloru jasnobrązowego, w jego twarzy nie dostrzegł nic szczególnego, poza nosem, który musiał być kiedyś złamany. Ich oczy na moment się spotkały. Mężczyzna skinął uprzejmie głową, potem odwrócił się plecami do Seta i stał w przejściu, wyglądając przez okno.

Nieco zaskoczony Seth wstał, ściągnął z półki torbę podróżną i postawił ją na siedzeniu. W myślach wciąż jeszcze odtwarzał wygląd mężczyzny. Czy skinienie głową

było znakiem rozpoznania czy też jedynie dowodem uprzejmości? Czy mężczyzna znał go? Czy on sam powinien rozpoznać mężczyznę? Seth usiłował przypomnieć sobie ostatnie dni i wyodrębnić twarze ludzi, których mijał na lotnisku, na ulicach i na dworcu kolejowym. Ale twarz mężczyzny wciąż pozostawała obca.

Z tego właśnie powodu ludzi takich jak ten zawsze wybierano na zabójców albo szpiegów. Trudno ich było opisać, ich twarze trudno było zapamiętać, trudno wychwycić w tłumie. Czy to także był zabójca? Czy miał on dokończyć to, czego nie zdołali zrobić pod Los Angeles, a potem w Amsterdamie?

Seth postanowił w najmniejszym nawet stopniu nie ryzykować. Rozsunął zamek błyskawiczny torby i wyciągnął magnum. Położył broń na wierzchu, potem przymknął torbę i ponownie zagłębił się w lekturze.

Mężczyzna nie ruszał się z miejsca, ciągle stał w korytarzu z rękoma włożonymi do kieszeni. Po chwili wyciągnął jedną rękę i odpiął płaszcz. Czy sięgał po broń? Dłoń Seth pomknęła do torby i szybko znalazła magnum. Palce zacisnęły się na rękojeści, a palec wskazujący dotknął spustu.

Mężczyzna w korytarzu wyciągnął drugą rękę z kieszeni, a chwilę później zaczął się odwracać w kierunku Seta. Seth już szykował się do wyciągnięcia pistoletu, kiedy dojrzał w dłoni paczkę amerykańskich papierosów.

Mężczyzna zauważył spojrzenie Seta i uśmiechnął się. Wyciągnął rękę, częstując papierosem. Seth kiwnął głową, dziękując; czuł się po prostu głupio. Mężczyzna zapali papierosa i odszedł otoczony kłębam niebieskawego dymu.

Seth osunął się na siedzenie i zamknął oczy. Czuł, jak wali mu serce, a po czole spływają krople potu. Otworzył oczy i otarł czoło. Korytarz wypełniały obłoki bładoniebieskiego papierosowego dymu, niczym pozostałości po magiku, który nagle rozpułnął się w powietrzu.

Więc widział już demony tam, gdzie ich nie było.

Jezu Chryste! Stawał się paranoikiem!

Potem na moment znów znalazł się w wozie patrolowym, było ciemno, tchnęło grozą, a noc przesycona była atmosferą śmierci. Stary policyjny wyga, który siedział za kierownicą, uśmiechnął się półgębkiem.

– Posłuchaj, dzieciaku – powiedział. – Kiedy wszyscy dookoła dybią na twoje

życie, pamiętaj jedynie o tym, że musisz zachowywać się jak paranoik.

Seth przypomniał sobie te słowa, lecz po raz pierwszy nie zareagował na nie uśmiechem.

Nagle pociąg szarpnął, potem jęknął i w końcu zatrzymał się na peronie.

Rozdział 19

Zoe wpatrywała się w noc spod wpół przymkniętych powiek, a George Stratton z wprawą prowadził wynajęte volvo zaśnieżonymi ulicami Zurychu. Z tyłu siedział mężczyzna, który przedstawił się jako Gordon Highgate.

Chociaż powieki ciężkie ze zmęczenia, bólu i sześciomiesięcznej udreki, opadały, była zbyt podekscytowana, by zasnąć. Wydarzenia ostatnich dwóch godzin dosłownie buzowały w jej głowie, tworząc dziwaczny kolaż kolorów i uczuć: trwogi i ekscytacji, zwycięstwa i bólu, podniecenia i nagłej paniki, gdy pojmały ją jakieś nieznane ręce. A potem były już ciemność nocy, wolność i ulga.

Zawieźli ją furgonetką do czegoś, co przypominało biuro. Tam pozwolili jej zadzwonić do Setha. Nie odbierał jednak telefonu komórkowego. Wybierała numer trzy razy i trzy razy zgłaszała się tylko poczta głosowa. Gdzie mógł się podziewać, zastanawiała się, potem uświadomiła sobie różnicę czasu – dziesięć godzin. W Los Angeles dochodziła dopiero jedenasta rano. Zadzwoniła więc do jego gabinetu na Uniwersytecie Kalifornijskim UCLA, lecz tam również nikt nie odbierał.

– Jaki dzień dzisiaj mamy? – zapytała w końcu.

– Sobota.

To oczywiste. Musiała uwolnić umysł od nawyków z okresu uwięzienia i powrócić do trybu myślenia normalnej osoby. Zapewne jest teraz na łodzi.

Lecz tam również nikt nie odebrał telefonu. Cholera! Cholera! Tak bardzo pragnęła usłyszeć jego głos. Raz jeszcze wybrała numer domowy i nagrała się na automatyczną sekretarkę.

– Kocham cię – powtórzyła chyba ze sto razy.

Na koniec zostawiła jeszcze informację, żeby po odebraniu wiadomości zadzwonił do niej do hotelu Eden au Lac.

Przez cały ten czas narastała w niej złość, jakiej nie potrafiła pohamować: sześć miesięcy! Ta banda zbirów ukradła jej sześć miesięcy. Pół roku jej życia!

Stratton i Highgate chcieli, żeby spędziła noc w bezpiecznym domu na przedmieściach Zurychu, ona jednak była stanowcza. Chciała nocować w hotelu Eden au Lac, a jeśli jej na to nie pozwolą, nie będą w niczym lepsi od bandziorów, którzy ją

uprowadzili. Doszło do sporu, z którego Zoe naturalnie wyszła zwycięsko.

Teraz, kiedy volvo przejeżdżało przez plac naprzeciwko dworca kolejowego, pochyliła się do Strattona.

– Czy może pan zatrzymać się na kilka chwil? – Wskazała na Bahnhofstrasse, główną ulicę handlową miasta. – Przez sześć miesięcy trzymano mnie w więzieniu i nie mam co na siebie włożyć.

Spojrzała na podarte spodnie.

– Nie mogę wejść do hotelu Eden au Lac w tych szmatach.

– Oczywiście. – W mroku dostrzegła jego uśmiech.

Stratton przecisnął się wąską uliczką między pieszymi. Highgate poszedł razem z nią, a Stratton krążył w pobliżu. Zakupy zajęły więcej czasu, niż planował. Po upływie niemal całej godziny, z której połowa minęła na przekonywaniu placówki American Express, że Zoe żyje i ma się nie najgorzej, wyszli wreszcie na zewnątrz. Zoe miała na sobie jaskrawo czerwoną sukienkę z dzianiny oraz nowe włoskie czółenka, a także elegancki i ciepły, wełniany płaszcz. W obu rękach dźwigała paczki zawinięte w świąteczny papier. Highgate, który niczego nie niósł na wypadek konieczności użycia broni i unieszkodliwienia potencjalnego napastnika, obserwował chodnik.

Potem Stratton ruszył do hotelu.

Zoe oparła głowę, zamknęła oczy i wyobraziła sobie twarz Seta, kiedy wróci do domu i odsłucha wiadomość. Miała nadzieję, że nie zadzwoni wcześniej, niż ona zamelduje się w hotelu. Cóż za idealne miejsce. Rozpoczną tam, gdzie los rozdzielił ich sześć miesięcy temu.

Z pewnością przyleci tu pierwszym samolotem, żeby spotkać się z nią, lecz zanim dotrze, ona dokupi jeszcze kilka nowych ciuchów i znów zrobi się na piękność, a przynajmniej dołoży wszelkich starań.

Volvo zatrzymało się na parkingu przed hotelem. Otworzyła oczy i usiadła prosto.

Portier w uniformie, na którym błyszcząco więcej złotych galonów niż na mundurze rosyjskiego generała, wyciągał drogie, skórzane torby z bagażnika jakiegoś mercedesa. Podobnie ubrany szwajcar otwierał drzwi przed dżentelmenem o siwych włosach i kobietą w sobolach. Przez drzwi Zoe dostrzegła ciepłe światła oraz poruszających się niespiesznie gości, którzy nie musieli pamiętać o żadnych umówionych

spotkaniach.

Do ich samochodu podszedł jakiś potężny mężczyzna. Stratton kiwnął mu na powitanie ręką.

– To jest pani główny ochroniarz, Richard Cartiere – wyjaśnił. – Jeśli cokolwiek się wydarzy, Rich zatroszczy się o ciebie. Jego sto trzydzieści kilo żywej wagi oraz doświadczenie komandosa SAS sprawią kłopoty każdemu, kto zechciałby panią skrzywdzić.

Zoe pomyślała, że człowiek ten wygląda jak ruchoma góra.

– Dobry wieczór – przywitała olbrzyma. Odpowiedział uśmiechem i nisko się uklonił. A więc był człowiekiem czynu, a nie górnolotnego języka, pomyślała.

Wysiadła i ruszyła za Cartierem do holu, a portier ruszył pędem, by zaopiekować się jej nowo zakupioną garderobą.

Seth Ridgeway kłął w duchu, kiedy taksówka zatrzymała się przed frontem hotelu Eden au Lac. Był to jedyny przyzwoity hotel w Zurychu, w którym zdołał zarezerwować noclegi. Niech to szlag.

– Przykro nam, mein Herr – słyszał w każdym kolejnym hotelu, do którego dzwonił. – Nadchodzi Boże Narodzenie. Przyjęcia, wizyty, goście przyjeżdżający z prowincji na zakupy i świętowanie. Obawiam się, że wszystkie miejsca mamy zarezerwowane na kilka następnych tygodni. Być może...

Seth za każdym razem dziękował uprzejmie, odwieszał słuchawkę i wybierał kolejny numer. Potem osobiście zaglądał do różnych hoteli. Z takim samym rezultatem. Dopiero w Schweizerhof recepcjonista okazał się najbardziej pomocny spośród wszystkich, dzwonił do kilku swoich znajomków w innych hotelach i w końcu znalazł mu pokój.

– To hotel Eden au Lac – oznajmił z dumą. – Bardzo wytworny hotel, chociaż jest nieco oddalony od centrum handlowego. Z tego właśnie powodu udało mi się znaleźć tam wolny pokój dla pana.

Seth usiłował przywołać na twarz wyraz entuzjazmu, nie chcąc sprawić przykrości uprzejmemu recepcjoniście, wsunął mu do ręki sowity napiwek, po czym wyszedł do czekającej na niego taksówki.

Chcąc odsunąć w czasie nieunikniony moment wejścia do hotelu, w którym nie

chciał przecież nocować, Seth zaprosił taksówkarza na kolację. Licznik w taksówce nie przestawał bić, a Seth zapłacił za wszystko. Mężczyzna był tureckim imigrantem, który słabo mówił po niemiecku i ani trochę po angielsku. Rodzinę pozostawił w Turcji, dokąd przysyłał prawie wszystkie zarobione pieniądze. Miał żonę i siedmioro dzieci; najstarszy chłopiec liczył sobie dopiero dwanaście lat. Bardzo za nimi tęsknił. Bariera językowa sprawiła, że na tym właśnie zakończyła się ich konwersacja.

Grzebali więc sztuczkami w serwowanych daniach, komunikując się gestami rąk i mimiką twarzy, wznosili nawzajem toasty, racząc się butelką Chateau Latour. Żaden z nich nie rozumiał toastów wznoszonych przez drugiego, ale obaj czuli się zaszczytzeni. Posługiwali się uniwersalnym językiem samotnych przybyszy w obcym kraju, oddzielonych od tych, których kochali.

W końcu jednak Seth musiał zameldować się w hotelu, zanim personel w recepcji wynajmie wolny pokój komuś innemu.

Taksówkarz wyskoczył z auta i otworzył przed Sethem drzwi. Potem dał znak portierowi i posługując się jednym z kilku niemieckich zwrotów, które znał, poinformował odźwiernego, żeby potraktował bagaże z odpowiednią estymą. Na koniec Seth wyciągnął z portfela plik banknotów otrzymanych od Weinstock, spojrzął na licznik, pomnożył to przez dwa i wręczył zapłatę taksówkarzowi.

– Wesółych świąt.

Turek chwycił go w ramiona, ucałował w oba policzki, potem wsiadł do taksówki i odjechał.

Seth nawet nie zauważył zdziwionych spojrzeń bagażowych i portierów, odwrócił się i ruszył w stronę wejścia. Chłopiec hotelowy zaniósł bagaże do pokoju, ustawił termostat, zdjął narzutę z łóżka, potem zaprezentował barek wypełniony buteleczkami whisky i likierów oraz lodówkę, w której chłodziły się szampan, białe wino, soki owocowe oraz woda mineralna w butelkach. Boy miał na imię Klaus i mówił nienaganną angielszczyzną.

Seth wręczył mu napiwek na tyle duży, żeby młodzieniec zapamiętał go na wypadek, gdyby kiedyś zechciał poprosić go o przysługę. Przez chwilę zastanawiał się nad otwarciem butelki z sokiem pomarańczowym, potem jednak położył się na łóżku, chcąc puścić swobodne wodze myślom. Zasnął, zanim pomyślał o tym, by się rozebrać.

Daleko na południu Austrii wiatr gnał, gwizdząc doliną rzeki Inn i owiewał lodowatymi porywami górską rezydencję. Bale, z których zbudowano dom, grube i stare, trzeszczały i skomlały, skarżąc się przy każdym silniejszym podmuchu. Minęła godzina druga nad ranem. Światła świeciły się tylko w rzędzie okien najwyższego piętra kardynalskiej rezydencji zwanej Gniazdem. Kardynał arcybiskup Neils Braun przemierzał sypialnię miarowym krokiem, słuchając jednocześnie relacji człowieka na drugim końcu linii telefonicznej.

– Bardzo dobrze – uśmiechnął się do słuchawki. – Wiedziałem, że czynię właściwie, pokładając w tobie zaufanie.

Braun słuchał raportu, chodząc po chłodnym i ciemnym gabinecie. Po chwili włączył światło, rozejrzał się, popatrzył na regały wypełnione książkami, na wydania własnych dzieł, w sumie siedem tytułów. Filozofia, teologia, historia. Prace w znaczącym stopniu przyczyniły się do poszerzenia jego wpływów poza ważne, ale jednak zaściankowe środowisko duchownych hierarchów w Watykanie.

Nie przestając słuchać gorączkowej relacji tamtego, Braun podszedł do regału i wyciągnął książkę, dzięki której jego nazwisko stało się powszechnie znane i przestał już być szeregowym duchownym Kurii, a stał się poważnym pretendentem do tronu Świętego Piotra.

Spojrzał na okładkę – „Komunizm jako Antychryst”. Praca oparta na latach solidnych badań oraz na własnych, sekretnych doświadczeniach szefa Sekretariatu ds. Niewierzących; książka adresowana była zarówno do ludzi świeckich, jak i księży. W dniach zimnej wojny był to tekst niezwykle ceniony przez poważnych naukowców, zajmujących się konfliktem między Kościołem i państwem. Dzieło stało się również bestsellerem w każdym kraju wolnego świata, w efekcie awansował do roli głównego celu zamachowców.

Zaczęto go zapraszać do telewizji, został popularnym komentatorem wydarzeń zarówno religijnych, jak i świeckich. O dziwo, sytuacja ta wcale nie zaszkodziła mu we wspinaniu się po szczeblach kariery w strukturach Watykanu.

Dzięki sukcesowi nie miał trudności z powołaniem najbardziej wpływowych ludzi do Rady Ekumenicznej; którzy zastąpili tych o mniejszych możliwościach. Znaczenie Rady Ekumenicznej wzrastało proporcjonalnie do wzrostu jego osobistej

rangi. Ale też coraz bardziej koncentrowała się na nim wroga i zjadliwa propaganda oraz kampania oszczerstw organizowana przez Sowietów. Z każdym tego rodzaju atakiem, po których nastąpiły także próby zamachów, wzrastało też poparcie dla niego ze strony Kościoła. Wielokrotnie słyszał z usta odwiedzających go kardynałów: Neils Braun zostanie kolejnym papieżem. To jedynie kwestia czasu.

A jednak nie było to kwestią czasu, pomyślał ze złością odkładając książkę. Niech szlag trafi Sowietów! Do diaska z ich nieudolnością i niekompetencją! Jego sekretne, zakulisowe działania, osłabiły reżimowe władze państw satelickich i przyspieszyły upadek komunizmu na świecie.

Unikał spoglądania na portret papieża wiszący na ścianie za biurkiem, bo zawsze rosła w nim złość. To powinna być jego podobizna. Kiedy jednak komunizm zawalił się, zassany przez czarną dziurę intelektualnej próżni, uwaga, jaką dotąd się cieszył, została skierowana gdzie indziej. Podobnie zresztą stało się z jednomyślną opinią, iż to on właśnie powinien zostać następnym zwierzchnikiem Kościoła, gdyż jako jedyny gwarantował właściwy odpór międzynarodowemu komunizmowi.

Braun obrócił się plecami do portretu i wyciągnął krzesło wsunięte pod biurko. Och nie, nigdy nie da poznać po sobie, że zawładnął nim gniew! Nawet jego najbliżsi współpracownicy w Kurii okazywali wielkoduszność w obliczu jego porażki. Był jeszcze młody, pocieszali go podwładni. Nadejdą inne czasy, inne dni, inne głosowanie.

Usiadł za biurkiem. Ilekroć myślał o porażce, zawsze przeklinał w duchu. Po prostu zabrakło mu wtedy czasu! Każdego dnia wierni na całym świecie cierpieli coraz większą udrękę. Każdego dnia bezbożnicy zdobywali nowe tereny, a Kościół je tracił. Kościół w obecnym stanie stracił swój kręgosłup, odrzucił dyscyplinę i bezwzględny charakter, które czyniły z niego najjaśniejsze światło w oczach wiernych. Duchowni zajmowali się bardziej przeproszaniem za błędy przeszłości niż wizją przyszłej wielkości.

Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Ani urzędujący papież, ani Święte Kolegium Kardynałów. Nikt z nich nie orientował się, jak mało czasu im zostało. Jedynie on, kardynał, arcybiskup Wiednia dysponował tą wiedzą. A ta odrobina czasu, jaką jeszcze mieli, mogła się okazać złudą, jeśli niewierzący przechycą w swoje łapska Całun Zofii. Coś trzeba zrobić. Braun nie miał wątpliwości, że tylko on może temu zapobiec.

Z przemyśleń wyrwało go zakończenie relacji człowieka na drugim końcu linii.

– Oczywiście – odparł Braun, najbardziej kojącym tonem, na jaki było go stać. – Wciąż idzie ci bardzo dobrze, a nasza misja będzie się cieszyć błogosławieństwem tak długo, jak długo będziemy trwać mocno w wierze w Jezusa Chrystusa.

Rozłączyli się i Braun powrócił do swych rozważań. Wiedział, że wszystko się odmieni, kiedy Całun Zofii znajdzie się w jego posiadaniu. Kiedy dzięki tajemnicy Zofii zasiądzie na Tronie Piotrowym, zwoła serię spotkań z głowami największych światowych religii. Moc Pasji Zofii oraz groźba, jaką ze sobą niosła, wymusi ustępstwa nienotowane dotąd w historii. Być może nie dojdzie do zjednoczenia, ale z pewnością do głębokiego zbliżenia, które doprowadzi ostatecznie do zawarcia pod jego przywództwem sojuszu między światowymi religiami.

To powinno się udać, był tego niemal pewien. Braun liczył na instynkt przetrwania, tak głęboko zakorzeniony w biurokratach wszystkich systemów religijnych na świecie. Zofia zagrażała fundamentom zorganizowanych religii świata zachodniego. Braun wiedział też, że ludzie zasiadający na szczytach tych struktur, uczynią wszystko, by ich Kościoły przetrwały, oni zaś zachowali swe pozycje w hierarchii.

Naprzód, żołnierze Chrystusa! Wsparcie Brauna spotęguje ich moralny autorytet, tak im potrzebny, by stawić czoło wewnętrznym wrogom. Wrogom w kręgach rządowych oraz w łonie własnych Kościołów. Polityczna opozycja umrze wraz z opozycją religijną.

Zmiany, jakie przewidywał, miały być równe co najmniej powrotowi Świętego Cesarstwa Rzymskiego, kiedy to cesarze i papieże mianowali się nawzajem, kiedy każdy z nich rządził, bazując na autorytecie drugiego, zawsze w imię Boga. Braun miał na myśli jedność, pokój i harmonię, jaką przyniesie jedność wiary. Była to jego osobista krucjata. Bóg jest moim mieczem! Czuł, jak w sercu robi mu się ciepło.

Moment był ze wszech miar najwłaściwszy. Politycy i wojskowi, a nawet zwykli obywatele odczuwali frustrację wywołaną poczuciem bezradności w obliczu terroryzmu i moralnego rozkładu. Z pewnością wykorzystają więc nadarżającą się okazję, by to zmienić. Początek stanowić będzie autorytet moralny. Potem stopniowo Braun przystąpi do umacniania własnej władzy, jako jedyne go autorytetu. Gdy to się stanie, przystąpi do rozmów z tymi przedstawicielami wojska i władz cywilnych, którzy będą potrzebowali dalszego wsparcia moralnego autorytetu.

Od tego momentu do pracy przystąpi budząca grozę machina kształtowania opinii publicznej: potężna armia propagandzistów dysponujących wyrafinowanym instrumentarium służącym do manipulowania faktami, a poprzez to do manipulowania opinią publiczną. Fakty, których zmanipulować się nie da, uznane zostaną za poufne i obejmie je ścisła tajemnica. Ci ludzie dobrze wiedzą, na czym polega ich zadanie. Wiedzą, jak posługiwać się Bogiem i patriotyzmem, by przewodzić narodom. Znajdą właściwą strunę, w którą należy uderzyć; w rezultacie obudzą w narodach pożądane resentymenty. Na tej bazie zrodzą się przemoc, rozlew krwi oraz religijna nietolerancja. Mój kraj stoi po dobrej lub złej stronie. Mój Bóg zawsze stoi po dobrej stronie, nigdy po złej.

Początki już zostały zrobione. Chrześcijańska prawica już przyjęła te poglądy, podobnie jak ajatollahowie oraz ortodoksyjni rabini w Ameryce i Izraelu. Siłę czerpali z rwących nurtów podziemnych rzek, on zaś zamierzał okiełznać wszystkie te siły.

Rozdział 20

Ulica Bahnhofstrasse w Zurychu ciągnie się przez blisko półtora kilometra od dworca kolejowego do jeziora. Podążając tym traktem, przybysz ma okazję zobaczyć niemal wszystko, co sprawiło, że to niezbyt wielkie szwajcarskie miasto zyskało miano miejsca, w którym chodniki układane są na złocie.

Przy Bahnhofstrasse wprost roi się od banków i sklepów jubilerskich. W bankach gromadzone są pieniądze, drogie kamienie, złoto oraz przedmioty o wartości większej niż złoto, a sklepy z biżuterią sprzedają złoto oraz drogie kamienie w zamian za pieniądze, złoto i niekiedy przedmioty o wartości większej niż złoto. Bankierzy oraz jubilerzy od wieków już są sojusznikami, a więzi te nigdzie nie są równie silne jak właśnie tu, gdzie można znaleźć wszystkich wielkich: Swiss Credit, Union Bank, J. Vontobel&Co., A. Sarasin&Cie i wielu innych.

Pomiędzy imponującymi gmachami banków o śmiałych fasadach, zdobnych szyldach oraz błyszczących mahoniowych drzwiach wyłożonych pancernymi płytami, rozlokowały się banki prywatne: małe, ekskluzywne, najbardziej tajemne w gronie okrytej tajemniczością bankierskiej branży. Na mosiężnych tabliczkach zamontowanych na drzwiach widnieją jedynie pojedyncze, niewiele mówiące nazwiska, jak Bertoldier et Fils albo ciąg kilku nazwisk, jak w firmach prawniczych. I nie ma żadnej informacji, że za drzwiami kryje się bank. Jeśli przybysz nie wie, że trafił do banku, widać nie ma tu nic do załatwienia.

Sklepy z biżuterią funkcjonują w taki sam sposób. Te duże mają szyldy, które ściągają bogatą klientelę, wejście do środka możliwe jest jedynie prywatną windą i w eskorcie ochroniarzy. Salony te są przeznaczone dla tych, którzy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa weszli tu bezpośrednio po opuszczeniu malej instytucji bankowej, tej z mahoniowymi drzwiami wzmocnionymi pancerną płytą.

Seth dojechał do końca Bahnhofstrasse tuż przy jeziorze i zapłacił taksówkarzowi. Dzień był urokliwy, w chłodnej, przejrzystej oddali dostrzegł samotną żaglówkę pływającą odważnie po zimnych wodach. Z oddali żagiel wyglądał jak wyblakła czarodziejska czapka sunąca po wodnej tafli. Seth zatrzymał się na moment i pobiegł myślami do pewnego letniego dnia sprzed ponad sześciu miesięcy, kiedy wynajął

niedużą zagłówkę i wypłynął na jezioro aż do Zollikonu, gdzie czekał na powrót Zoe.

Porzucił jednak wspomnienia. Szedł szybkim krokiem, minął nieduży park i zanurzył się w narastającym tłumie świątecznych zakupowiczów. Był już dwudziesty drugi grudnia, do Bożego Narodzenia pozostały jedynie dwa handlowe dni.

Na chodnikach tłoczyli się ci, którzy robili zakupy, właściciele sklepów, a także roje turystów, gromadki szkolnych dzieci, które miały już ferie oraz trochę mniej liczni bogaci klienci okolicznych banków. Większość z tych kobiet miała na sobie drogie futra i majestatycznym krokiem pokonywała drogę między limuzynami a bankami i sklepami jubilerskimi.

Seth zwolnił, chcąc dostosować tempo do przechodniów zmierzając w stronę dworca kolejowego. Odpoczął przez chwilę na niewielkim trójkątnym placu w pobliżu przystanku tramwajowego, zerkając przy okazji na plan miasta, który otrzymał rano w recepcji. Rozejrzał się dookoła, ustawił mapę, uwzględniając kierunek, w którym zmierzał.

Po prawej stronie miał zuryskie stare miasto, z serpentynami brukowanych uliczek, wzdłuż których ulokowały się budowle pamiętające czasy średniowiecza i renesansu. Zakład ramiarski Yosta znajdował się przy jednej z nich, tej która przecinała Bahnhofstrasse dwie przecznice dalej. Kiedy wsuwał plan miasta z powrotem do kieszeni płaszcza, poczuł śmiertelny chłód metalowej lufy magnum.

Chryste, pomyślał, znów mieszając się z tłumem. Śmierć podążała za nim niczym cień. Najpierw Rebeka Weinstock na jego łodzi, potem Tony Bradford. Później ksiądz w parku w Amsterdamie.

I Zoe.

Przestań! Powiedział do siebie. Ona żyje. Musi żyć. Śmierć. Śmierć podąża za tobą. Ona nie żyje. Nie żyje. Przyznaj to. Oszukujesz sam siebie.

Wcisnął ręce w kieszenie płaszcza i sunął do przodu z pochyloną głową. Spieszył się, jakby chciał wyprzedzić gnębiące go myśli. Jeśli nie żyła... starał się myśleć w kategoriach, jeśli”, ale nie był w stanie wyobrazić sobie życia bez niej.

Już miał zamiar skrócić w prawo, w uliczkę, która prowadziła na starówkę, kiedy nagle usłyszał niski, frapujący dźwięk, zapadające w pamięć nuty, które wypełniły powietrze wokół niego i przemawiały do każdej cząstki jego ciała; nie tylko do jego

zmysłu słuchu. Zatrzymał się, obrócił dookoła, starając się zlokalizować źródło dźwięków. Inni ludzie tak przechodnie także się zatrzymali. Obok niego jakaś kobieta rozmawiała z córką.

– Tam. – Wskazała ręką, a dziewczynka natychmiast zaczęła się przepychać przez tłum. Seth ruszył za nimi.

Po drugiej stronie ulicy młody, brodaty mężczyzna w wieku około dwudziestu lat, ubrany w tradycyjny alpejski strój, dmuchał w ustnik alpejskiej trąbity. Na chodniku leżał jego kapelusz. Drewniany instrument, liczący dobre trzy metry długości, o kształcie rozciągniętej fajki z pianki morskiej, zdawał się rozżarzony dźwiękami; dźwięki odbijały się echem od pobliskich budynków.

Jakaś elegancko ubrana kobieta podeszła do grajka i wrzuciła banknot do kapelusza. Wkrótce kilka innych osób poszło za jej przykładem; młodzieniec zagrał parę prostych melodii oraz sygnałów, którymi mieszkańcy wysokich gór, oddzieleni od siebie skalnymi graniami, porozumiewali się między sobą, zanim Bell dał telefon.

Seth słuchał jakby całym ciałem. Pierwsza nuta sprawiła przyjemność uszom, następna zdawała się wibrować w jego piersiach, a kolejna w głowie. Na koniec rzucił do kapelusza pięciodolarowy banknot i ociągając się, poszedł w stronę uliczki, która miała zaprowadzić go do zakładu ramiarskiego Yosta oraz, na co liczył, do jakichś odpowiedzi.

Po kilku minutach Seth znalazł zakład Yosta. W ciągu minionych ponad czterdziestu lat firma była powiększana i wchłoneła kilka sąsiednich sklepików. Ridgeway odnalazł wejście, które teraz znajdowało się pod numerem 13 przy Augustinerstrasse, nieco w dół ulicy od pierwotnego.

Stał na krawędzi chodnika i spoglądał na frontową ścianę zakładu. Spodziewał się zobaczyć zagracony i słabo oświetlony warsztat rzemieślniczy, z witryną wypełnioną wzorcowymi narożnikami ramek, wyblakłymi od słońca, a tymczasem miał przed sobą przybytek, który prezentował się niemal jak jeden ze sklepów jubilerskich przy Bahnhofstrasse. Jacob Yost i Synowie, Sztuki Piękne” – taki napis widniał na wypolerowanej, mosiężnej tabliczce umocowanej do kamiennego muru budowli pochodzącej z epoki renesansu. Tak więc mieściła się tu teraz także galeria, a nie tylko zakład ramiarski. W kamiennej fasadzie na wysokości okien zamontowano pół tuzina szklanych gablot, w których znajdowały się pomalowane płótna oprawione w ramy. Nie

było na nich etykiety z cenami, widać nie były na sprzedaż albo przeznaczono je dla ludzi, którzy wiedzieli, jak targować się o dzieła sztuki.

Starając się za wszelką cenę opanować nerwy, Seth przeszedł dziarskim krokiem przez chodnik w kierunku galerii Yosta i wszedł przez podwójne szklane drzwi.

Znalazł się w eleganckim, ciepłym pomieszczeniu. Wysokie ściany obwieszane były od sufitu po podłogę najróżniejszymi dziełami sztuki. Jedyłą ich wspólną cechą było to, że wszystkie sprawiały wrażenie horrendalnie drogich. Wyposażenie sali było skromne, tylko meble z ciemnego mahoni: pół tuzina krzeseł obitych aksamitem w kolorze czerwonego wina, kilka stolików oraz duży stół z marmurowym blatem. Na oparcia dwóch z krzeseł zarzucone były futrzane płaszcze, które wyglądały zupełnie jak martwe zwierzęta.

Pośrodku marmurowego blatu, na srebrnej tacy stała kryształowa karafka otoczona szeregiem kieliszków do sherry. Seth omiół wzrokiem pomieszczenie i zauważył dwie leciwe damy o białych włosach, z kieliszkami w rękach. Panie stały obok niskiego, korpulentnego mężczyzny w wieku trzydziestu paru lat, który najpierw wskazał na jeden z obrazów, a po chwili na drugi, perorując przy tym przyciszonym, pełnym szacunku głosem. Kobiety przytakiwały, wsłuchując się w jego słowa.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – zapytał męski głos po angielsku.

Zaskoczony Seth odwrócił się. Młodszy, równie korpulentny mężczyzna, zmaterializował się zniemacka po jego prawej stronie. Elegancki garnitur oraz stonowany krawat sprawiały, że wyglądał jak przedsiębiorca. Seth przez dłuższą chwilę spoglądał na mężczyznę, usiłując pozbiierać myśli. Nie spodziewał się, że Jacob Yost i Synowie będą się prezentować tak elegancko.

– Przepraszam najmocniej, jeśli pana zaskoczyłem – odezwał się mężczyzna. – Jest pan Amerykaninem, nieprawdaż?

Obrzucił spojrzeniem sportowy strój Setha: szare wełniane spodnie, czarne skórzane buty turystyczne, granatowy sweter z wycięciem pod szyją i czerwoną narciarską kurtkę. W oczach mężczyzny można było wyczytać, że nie aprobował wprowadzić takiego stroju w swoim przybytku, ale szanował ekscentryczność Amerykanów, którzy mogli przecież dysponować bardzo okazałymi pieniędzmi.

– Tak – zdołał w końcu wydusić Seth. – To znaczy, tak... Jestem Amerykaninem,

ale doskonale rozumiem niemiecki.

Mężczyzna pokiwał głową i wyciągnął dłoń.

– Jestem Felix Yost – przedstawił się. – Przez dwa lata studiowałem w Stanach Zjednoczonych w Getty Museum w Kalifornii.

Dłoń Yosta była miękka, ciepła, chociaż silna.

– Chętnie skorzystam z każdej sposobności, żeby utrzymać biegłość w waszej mowie.

Seth skinął głową.

– Nazywam się Seth Ridgeway. Kilka dni temu dzwoniłem do państwa i rozmawiałem z pańskim ojcem o... pewnym obrazie.

Na twarzy Yosta pojawiła się marsowa mina, ale szybko ustąpiła zawodowej uprzejmości. Seth wyjął portfel i wyciągnął z niego fotografię obrazu, jaką otrzymał od Weinstock.

– Chciałbym porozmawiać z pańskim ojcem na temat tego obrazu.

Podał zdjęcie mężczyźnie, który oglądał je badawczo spod opuszczonych powiek. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Z drugiego końca galerii dobiegały odgłosy sporu, jaki toczyły ze sobą dwie białowłose damy. Jedna zamierzała kupić obraz, traktując to jako dochodową inwestycję, druga nazywała malowidło szkaradnym bohomazem.

– Ależ kochanie, jakież to nadzwyczaj cenny bohomaz – ripostowała przyjaciółka.

Tymczasem cisza, jaka zapadła między Sethem a Yostem, robiła się coraz bardziej kłopotliwa. Mężczyzna wyraźnie nie mógł oderwać wzroku od fotografii.

– Kiedy dzwoniłem wcześniej, powiedziano mi, że pański ojciec chętnie spotka się ze mną – odezwał się w końcu Seth.

To, co zrobił nagle Felix Yost, zaskoczyło Serfia kompletnie.

– Proszę bardzo! – syknął Yost, wciskając fotografię w ręce Ridgeway. – Niech pan zabiera swoje brudy i zostawi nas w spokoju.

Seth spoglądał nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Czy pan ogłuchł? Jesteśmy przyzwoitymi ludźmi i nie życzymy sobie, by gnębiono nas bez końca z powodu jednego błędu popełnionego przed czterdziestu laty. Niech się pan wynosi! Niech się pan stąd wynosi albo będę zmuszony za dzwonić po

policję.

– Ależ...

Seth nic z tego nie rozumiał. Co poszło nie tak? Nazwisko na odwrocie obrazu było jedynym śladem, jaki mógł go prowadzić do Zoe, to była jedyna możliwość odkrycia prawdziwego znaczenia obrazu. Co wpłynęło na zmianę nastawienia Yosta? Czy ktoś z nim rozmawiał? Na jaki temat?

Yost chwycił Seta za ramię i usiłował prowadzić w kierunku drzwi wyjściowych.

– Proszę, panie Ridgeway, czy jak pan mówi, że pan się nazywa. Proszę wyjść. Nie chcemy tu żadnych kłopotów i dlatego nie chcemy mieć nic wspólnego z obrazem, o którym pan mówi.

– Ale dlaczego?

Seth uwolnił ramię z uchwytu Yosta i obrócił się do niego twarzą; Yost był niższy od niego o całą głowę.

– Nie wiem nic o tym obrazie poza tym, że w jakiś sposób wiąże się ze zniknięciem mojej żony oraz ze śmiercią co najmniej trojga ludzi.

Oczy Yosta zrobiły się okrągłe.

– Dokładnie z tego powodu nie chcemy mieć nic wspólnego z tym obrazem.

Yost ponownie chwycił Seta za ramię i popychał go w stronę drzwi.

– Proszę mnie nie zmuszać do wezwania policji. Jeśli pan nie wyjdzie, wezwę stróżów prawa.

Seth po raz drugi uwolnił ramię z uchwytu Yosta i stanął plecami do drzwi. Z wściekłości aż się trząsał.

Wreszcie popchnął Yosta tak silnie, że ten poleciał do tyłu, machając ramionami niczym skrzydłami wiatraka, i wpadł na marmurowy blat stołu, przewracając najpierw kryształowe kieliszki, a potem karafkę. Rozległ się przenikliwy brzęk tłuczonego kryształu. Ucichł dopiero w chwili, kiedy drzwi wejściowe zatrzasnęły się za Sethem.

– Zniknął!

Opat wzdrygnął się wyraźnie, słuchając słów młodego księdza. Na moment zapomniał o kiepskiej sytuacji finansowej opactwa. Powoli obrócił twarz w stronę

młodego kleryka.

– Co ksiądz ma na myśli, mówiąc „zniknął”? – Jego słowa cięły jak ostrze brzytwy.

Twarz młodego duchownego wyglądała tak, jakby ktoś posypał ją mąką.

– Ja... – Ksiądz usiłował przełknąć ślinę, gdyż z wrażenia zasychało mu w gardle.
– Zastukaliśmy do jego drzwi, bo przynieśliśmy obiad. Powiedział... że nie czuje się dobrze. Cały poranek spędził w łóżku. On jest... on jest bardzo...

– Chory, tak. Znam historię jego niedomagań – przerwał niecierpliwie opat. – Wiem więcej na temat jego zdrowia niż na temat moich własnych problemów zdrowotnych, zatem niech ksiądz kontynuuje!

– Rano poprosił, żeby zostawić go samego, więc... doszliśmy do przekonania, że ojciec Morgen śpi. Czynił już tak wcześniej w przeszłości, o czym opat wie.

Młody ksiądz z nadzieją szukał w twarzy mistrza jakiejś oznaki malejącego gniewu. Nadaremnie, więc podjął raport.

– Zastukaliśmy do jego drzwi przed paroma minutami. Kiedy nie słyszeliśmy żadnej odpowiedzi... obudziły się w nas obawy, że być może... zmarł lub coś mu się przydarzyło. Weszliśmy więc do jego pokoju, lecz ojciec Morgen zniknął.

– Zniknął? Ot tak, po prostu? Zniknął? – dopytywał się opat.

Młody duchowny przytaknął.

Słowa opata przybierały na sile powoli, zaczynając się od odległego pomruku pioruna gdzieś na horyzoncie, potem wzbierając do momentu, gdy słowa waliły w nowicjusza niczym gromy z jasnego nieba. Młody ksiądz aż się przyginał pod ich razami.

– Przydzieliłem tobie oraz pięciu innym niekompetentnym ludzkim istotom, które nazywają siebie księżmi, zadanie pilnowania słabowitego, wpół chromego starego człowieka, a ty masz czelność przyjść do mnie i oznajmić, że ojciec Morgen jakimś cudem zniknął w biały dzień, tuż pod waszym czujnym spojrzeniem! Ja...

Opat aż się zakrztusił ze złości. Jego twarz poczerwieniała, a dłonie zaciśnięte w pięści drżały. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się ognistym wzrokiem w młodego kleryka.

– Niech się ksiądz wynosi – rzucił w końcu. – Ksiądz i księdza koledzy macie zakaz opuszczania swoich pokoi. Wami zajmę się później.

Młody duchowny siedział jak skamieniały.

– Wynocha! Wynocha, i to natychmiast!

Ksiądz nagle powrócił do życia i wybiegł z pokoju.

Opat podszedł do drzwi i zamknął je cicho. Potem ruszył w stronę biurka i usiadł ciężko na krześle. Dlaczego ja? Zastanawiał się przez chwilę z zamkniętymi oczami. Dlaczego?

Sięgnął po telefon, ale nagle zawahał się, jakby urządzenie było jadowitym wężem. Dłonie zaczęły mu drżeć, teraz bardziej ze strachu niż z gniewu. Wybierał numer do Kongregacji Doktryny Wiary.

Kardynał Neils Braun nie był człowiekiem, który przyjmuje porażkę ze spokojem.

Rozdział 21

Ktoś go śledził. Co do tego Seth nie miał już wątpliwości. Podniósł do ust kieliszek alzackiego pinotgris i spoglądał znad krawędzi kieliszka na mężczyznę, który siedział po przeciwnej stronie sali. Nawet stąd Seth dostrzegał jego intensywnie niebieskie oczy o odcieniu lodowca. Był wysoki, jakieś metr osiemdziesiąt pięć lub więcej, brązowe włosy przycięte tak krótko, że mógłby wstąpić do policji lub wojska, szczupłą twarz oraz ostre rysy, zamazujące wiek; typowe dla frontowych oficerów, którzy przez całe życie dokładali wysiłków, by utrzymać się w dobrej formie fizycznej. Ridgeway nagle zdał sobie sprawę, że od czasu uprowadzenia Zoe przytył o siedem kilogramów, które odłożyły się w postaci wałka sadła na brzuchu.

Mężczyzna poruszał się energicznie, a pod obszernym płaszczem bez trudu mógł ukryć broń palną.

Seth odstawił kieliszek i udał zainteresowanie porcją roślin, jaką miał na talerzu. Nie był to profesjonalista, pomyślał, rozgrzebując widelcem ziemniaki po talerzu. Za bardzo rzucał się w oczy, prezentował się zbyt wyraziście, utrzymywał zbyt krótki dystans, a nawet sporadycznie nawiązywał kontakt wzrokowy. Chyba że – Seth zastanowił się – chyba że ktoś chciał, żeby on wiedział, iż jest śledzony. Lecz któż to mógł być? Ludzie sprzymierzeni z księdzem, który chodził w ślad za nim w Amsterdamie? Albo ktoś, kto chciał go zabić?

Odrzucił tę ostatnią myśl. Gdyby miał takie zamiary, mógł uczynić to już wcześniej, choćby wtedy, kiedy spacerował samotnie po opuszczonym parku przy kościele pod wezwaniem św. Piotra. Tam właśnie po raz pierwszy wypatrzył tego mężczyznę, kilka minut po tym, jak pchnął Feliksa Yosta na kryształową karafkę z sherry.

Nim doszedł do końca uliczki, Seth zaczął już żałować, że puściły mu nerwy. Był bliski decyzji zawrócenia i przeproszenia Yosta oraz złożenia oferty zapłaty za wyrządzone szkody, kiedy dostrzegł tego mężczyznę. Zatrzymał się, zaś nieznajomy, który powinien go minąć, co uczyniłby profesjonalny ogon, również się zatrzymał, zaskoczony tym; wyraźnie nie wiedział, co powinien począć.

W pierwszej chwili Seth potraktował to spotkanie jako przypadkowe. Lecz

mężczyzna podążył za nim przez dziedziniec na szczycie In Gassen, obszedł też jak on kościół i przeszedł przez dziedziniec po drugiej stronie. Seth ściągnął rękawiczkę z prawej dłoni i mocno chwycił magnum. Tamten mógł mieć broń z tłumikiem, a może jego kompani czekali gdzieś za rogiem. Z pewnością pożałowaliby, gdy mieli jakies niecne zamiary. Jednak nie wydarzyło się nic. Mężczyzna miał więc wiele okazji, by go zabić i uciec niepostrzeżenie, a jednak kontynuował niezdarne śledzenie. Seth spojrzął na moment w jego stronę, mężczyzna jak amator usiłował skryć się za egzemplarzem dziennika „Neue Zuericher Zeitung”.

Nagle Seth pojął, co powinien zrobić. Po prostu rzucił widelec na talerz, wygrzebał z kieszeni pieniądze, które powinny wystarczyć jako zapłata za posiłek, rzucił je na stół, wstał i szybkim krokiem przeszedł przez salę. Prawą rękę trzymał głęboko w kieszeni, czując rękojeść broni. Przesunął palcem wskazującym blokadę, a potem przyłożył palec na chłodny spust. Ruszył prosto na tamtego. Usłyszał głośny szelest składanej gazety i dostrzegł zdziwienie w oczach mężczyzny, który zupełnie zaskoczony, poderwał się, wywracając filiżankę z herbatą.

– Nawet nie próbuj wstawać – powiedział Seth po niemiecku, unosząc lewą rękę w geście nakazującym zachować się bez ruchu.

Mężczyzna znieruchomiał, w połowie stojąc, a w połowie siedząc na krześle.

– Rób, co mówię. Siadaj. W kieszeni płaszcza mam pistolet. Widział, jak wzrok mężczyzny zmierza ku dłoni Setha ukrytej w kieszeni płaszcza, a potem jego oczy robią się wielkie jak młyńskie koła.

– Jest wymierzony w ciebie, będziesz miał dziurę wielkości talerza, jeśli choćby pomyślisz o zrobieniu czegoś, czego nie każę ci osobiście zrobić. Rozumiesz?

Mężczyzna przytaknął.

– Czego pan chce? – zapytał głosem cichym i pewnym siebie.

Być może był amatorem, jeśli chodzi o śledzenie kogoś, pomyślał Seth, ale z pewnością potrafił zachować zimną krew w obliczu zagrożenia. Jedynie ludzie, którzy stawiali już czoło niebezpieczeństwu i wychodzili z tego cało, potrafili zachowywać się w ten sposób.

– To ja powinienem o to zapytać. – odparł. – A ponieważ to ja mam broń, proponuję więc, by pan odpowiedział pierwszy.

Odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko mężczyzny.

– Niech mi pan da swój portfel – wydał polecenie. Dłoń mężczyzny szybkim ruchem pomknęła do kieszeni płaszcza.

– Powoli! Powoli! Nie wyciągaj tylko z tej kieszeni żadnych niespodzianek.

Mężczyzna kiwnął potakująco głową, przechylając ją na jedną stronę, i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza cienki, skórzany portfel. Przesunął go po blacie, następnie odchylił się na oparcie krzesła i spoglądał badawczym wzrokiem na Seta, który posługując się tylko jedną dłonią, otworzył portfel i zaczął przeglądać jego zawartość. W środku znalazł pieniądze, równowartość niecałych stu dolarów we frankach szwajcarskich, klucz magnetyczny do samochodowego parkingu, kolekcję kart kredytowych i szwajcarskie prawo jazdy wystawione na nazwisko Jacob Yost.

– Czy pan jest Jacobem Yostem? – W głosie Seta pobrzmiwało niedowierzenie.

Mężczyzna przytaknął.

– Jestem synem człowieka, do którego dzwonił pan przed kilkoma dniami. Jestem Jacob Yost drugi – lub junior, jak wy to mówicie.

Desperacko usiłując pozbierać myśli, Seth włożył prawo jazdy Yosta do portfela i przesunął go z powrotem po stoliku.

– Nie rozumiem – wyjąkał. – Dlaczego... dlaczego deptał mi pan po piętach?

– Ponieważ wczoraj wieczorem zjawił się w naszym domu ktoś, kto podał się za pana. Nie był sam i chciał skrzywdzić mego ojca. Ten mężczyzna już nie żyje. Podobnie jak jego przyjaciele – oznajmił Yost beznamiętnym głosem.

– Ale kto? Dlaczego?

– Nie mieli przy sobie dowodów tożsamości, ale po niemiecku mówili z rosyjskim akcentem. Jestem przekonany, że pracowali dla KGB.

Seth skinął głową, przyjmując do wiadomości to, co usłyszał.

– To ma sens – stwierdził. – Chociaż nie, to nie ma najmniejszego sensu. To wszystko jest bez sensu, ale przynajmniej trzyma się kupy. Wcześniej usiłowali zabić mnie. Sądziłem, że pan...

– Że mogę być jednym z nich?

Seth przytaknął, a Jakob Yost uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Nie, panie... Ridgeway?

Seth ponownie skinął głową.

– Jesteśmy po tej samej stronie.

Yost wyciągnął rękę nad blatem, a Ridgeway spojrział na nią z rezerwą. Czy to był jakiś trick? Tożsamość tego człowieka mogła być lipna, poza tym najlepsi zabójcy byli również najlepszymi aktorami. Spoglądał na zaoferowaną dłoń, potem przywołał w myślach Reбекę Weinstock, księdza w Amsterdamie, wreszcie George’a Strattona. Każdy z nich przychodził, mając przyjazne intencje, udowadniał, że jest godzien zaufania... Stratton uratował mu życie, ale tamci dwoje zginęli.

Bez przekonania zdecydował jednak, że zaufa temu człowiekowi. Starając się opanować dreszcze, które przechodziły mu po plecach, wyciągnął dłoń z kieszeni płaszcza.

– W porządku – powiedział w końcu, gdy chwycił ciepłą i suchą dłoń Yosta i uściskał ją. – Jesteśmy po tej samej stronie.

– To dobrze – odparł Yost, potrząsając dłonią Seta. – Ponieważ mężczyzna przy sąsiednim stoliku – wskazał gestem w lewo – trzyma w garści jeszcze potężniejszą soplwę wymierzoną w pańską głowę.

Ridgeway zobaczył barczystego mężczyznę o długich, prostych, brązowych włosach. Mężczyzna uśmiechnął się do niego, spojrział na kolana i ponownie podniósł wzrok na Seta. Seth natychmiast dostrzegł wylot tłumika ukryty pod papierową serwetką. Ponownie spojrział na Yosta, który dał tamtemu znak głową, mężczyzna odpowiedział kiwnięciem, sięgnął ręką w dół, wyciągnął zielony plecak spod stołu. Wsunął do niego pistolet z tłumikiem, położył na stole banknot i bez słowa wyszedł.

– Rzadko kiedy podejmuje pan ryzyko, prawda? – zauważył Seth.

– Jestem człowiekiem nadzwyczaj ostrożnym, panie Ridgeway – skomentował Yost.

– Ale teraz pan podejmuje takie ryzyko, czyż nie tak? Podejmuje pan ryzyko, bo skąd ma pan pewność, że nie jestem sprytnie zakamuflowanym agentem KGB?

Brwi Yosta ściągnęły się w dół w jedną podłużną linię; widać rozważał pytanie Ridgeway.

– Pan też obdarzył mnie zaufaniem, *mein Hen* – odpowie dział w końcu, cedząc słowa bez pośpiechu. – Jeśli nie byłby pan tym, za kogo pan się podaje, nigdy nie

zdecydowałby się pan na opuszczenie podwójnej gardy. Zachowywałby się pan wobec mnie inaczej. Zgodzi się pan?

Seth przytaknął w zamyśleniu.

– Dobrze – ucieszył się Yost. – Musimy więc uzgodnić kilka ważnych spraw i odpowiedzieć na parę pytań, zanim spotka się pan z moim ojcem.

Olśniewające światło słoneczne wpadało do salonu, który oddzielał sypialnię Zoe od pokoju Richa Cartiere’a w hotelu Eden au Lac. W apartamencie łatwiej było chronić Zoe.

Rich zabarykadował drzwi do jej pokoju, przesuwając po prostu szafę w stylu Ludwika XIV. Za oknami, wychodzącymi na urwisty spadek, nie było żadnych gzymsów ani schodów pożarowych. Tak więc Cartiere, olbrzym i były spadochroniarz, spał w salonie razem ze Strattonem. Dziwni ludzie, pomyślała. Tajemniczy. Stratton obiecał, że wyjaśni jej wszystko, kiedy tylko odpocznie, postanowiła więc pozostawić sprawy własnemu biegowi. W końcu uratowali jej życie.

Zoe przeciągała się leniwie i przez dłuższą chwilę z zamkniętymi oczami rozkoszowała się wolnością; tak chyba czuje się więzień skazany na śmierć, któremu w cudowny sposób darowano życie. Kolejny raz odmówiła modlitwę dziękczynną, za każdym razem dochodząc do wniosku, że wiara istotnie potrafi zdziałać cuda. I chociaż dopiero minęła pierwsza po południu, ona zdążyła już skorzystać ze wszystkich usług oferowanych przez hotelowy salon piękności. Po długiej, komfortowej kąpieli słonecznej w solarium fryzjerka obcięła i uczesała jej włosy. Przez cały czas syczała wprawdzie pod nosem ze zdumienia, powstrzymała się jednak od zadania pytania, dlaczego włosy madame są w tak opłakanym stanie.

W tym samym czasie manikiurzystka dokładała wszelkich starań, by doprowadzić jej paznokcie do przyzwoitego stanu, a robiła to z zapalem rzeźbiarza, który bierze się za dziewiczy blok marmuru.

Następnie zajęła się nią kosmetyczka, która roztaczała wokół siebie intensywną woń dobrej pianki do włosów o zapachu amaretto. I wreszcie trafiła do rąk wizażystki, która sprawiła, że Zoe odzyskała prawdziwie kobiecy wygląd. Potem modystka przyniosła ze sobą katalogi mody oraz próbki materiałów, wzięła miarę i obiecała

przetrzęsnać butiki w celu skompletowania nowej garderoby.

Zoe odwróciła twarz w stronę ciepłych promieni słonecznych i spojrzała przez okno na jezioro. Widziała samotną żaglówkę z trudem płynącą pod wiatr. Widok raził ją prosto w serce. Gdzie podziewa się Seth? Wydzwaniała do niego bez końca, nawet w środku nocy, lecz po drugiej stronie wciąż nikt nie odbierał.

Znów ogarnęło ją zniecierpliwienie. Gdzie się podziewał? Próbowwała odgadnąć z zapalem stęsknionej kochanki. Co robił w tej chwili? Czy popłynął jachtem do Cataliny? W Kalifornii była teraz druga nad ranem. A może spał na pokładzie Walkirii kołyszącej się łagodnie na kotwicy zarzuconej w przystani w Cherry Cove?

Oczami wyobraźni zobaczyła jego twarz i poczuła, napływające do oczu łzy. Kiedy był pogrążony we śnie, wyglądał jak mały chłopiec. Przywołała w pamięci obraz uśmiechającego się przez sen Seta.

Gdzie jesteś?

Ogarnęła ją niewypowiedziana wprost tęsknota. Gdzie się podziewał? Jedyne, czego pragnęła bardziej niż wiadomości, gdzie przebywał, było znalezienie się u jego boku.

Rozdział 22

Szklana powierzchnia jeziora Zurichsee odbijała światła świecące na drugim brzegu. O zachodzie słońca wiatr ustał, powietrze było krystalicznie czyste.

– Niech Cię diabli, Boże – pomstował Seth Ridgeway, przyglądając się scenie, która była tak podobna do widoku, który podziwiał razem z Zoe tyle miesięcy temu.

Niech Cię szlag! Niech mnie szlag trafi za to, że jestem takim frajerem i wierzę w Ciebie.

Odwrócił się od okna i poszedł w stronę drzwi. Przystanął, wyjął magnum z kieszeni kurtki narciarskiej, upewnił się, że w każdej komorze magazynka znajduje się nabój, potem zabezpieczył pistolet i schował z powrotem w kieszeni. Po chwili pomacał drugą kieszeń, upewniając się, że garść zapasowej amunicji wciąż się tam znajdowała. Zawahał się, powtarzając w myślach instrukcję Jacoba Yosta. Mała pomyłka i narazi się na śmierć. Opuścił pokój i nacisnął przycisk ściągający windę.

Stratton wyszedł pierwszy. Sprawdził, czy na korytarzu nikt się nie czai, dopiero potem pokój opuściła Zoe. Ostatni szedł Cartiere; zamknął drzwi do apartamentu, poślinił palec i ostrożnie przyczepił włos między drzwiami i framugą. Po powrocie będą wiedzieli, czy wchodził ktoś nieproszony. Podeszli do windy, Stratton wcisnął guzik. Stali w ciszy i patrzyli na wskaźnik. Kabina zatrzymała się piętro wyżej.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i Seth właśnie miał wejść do środka, kiedy usłyszał:

– Mein Herr.

Głos wydał mu się dziwnie znajomy. Przyjaciół, czy wróg? Odwrócił się, wkładając równocześnie rękę do kieszeni. Zobaczył mężczyznę, który zmierzał w jego kierunku. Chyba już gdzieś widział. Tylko gdzie? Gdzie słyszał jego głos?

– Cieszę się, że zdażyłem, zanim pan wyjechał – kontynuował mężczyzna, zbliżając się. Seth nie widział w mroku korytarza jego twarzy.

– Dzwonili do pana z recepcji, ale widać już pan wyszedł. Jest pan w wielkim niebezpieczeństwie.

Nie wyczuwał zagrożenia w głosie mężczyzny, czy też sposobie, w jakim szedł.

Miał mętlik w głowie. Obcy człowiek w hotelowym korytarzu. Skąd wiedział, że on tu jest? Serce Ridgewaya zabiło mocniej. A przecież człowiek wydawał się niegroźny.

Tak samo, jak Kobiela, która pojawiła się na zejściówce w jego łodzi.

Odbezpieczył magnum, a wtedy twarz mężczyzny znalazła się w świetle rzucanym przez kinkiet.

Był to taksówkarz, który przywiózł go wczoraj ze stacji kolejowej. Seth usłyszał, jak zamykają się drzwi windy i jak kabina rusza.

Zablokował broń, wyjął prawą rękę z kieszeni i wyciągnął ją w kierunku uśmiechniętego Turka. Tamten ścisnął jego rękę i potrząsnął ją entuzjastycznie. Potem uśmiech znikł z jego twarzy.

– Spotkałem ludzi, którzy pytają o pana – powiedział. – Mówią, że są z policji... z administracji rządowej. Ale coś mi to śmierdzi. Widziałem ten typ zbyt wiele razy. To ludzie aroganccy i źli. Sądzę, że pracują dla rosyjskiej mafii albo dla innej podobnej organizacji. Ubierają się jak bankierzy i proponują dużą forszę za wiadomość, gdzie pan się znajduje. Nic im nie powiedziałem. Był pan dla mnie taki dobry.

Ridgeway spojrzał na taksówkarza i pomyślał, że tak niewiele trzeba było, by zdobyć jego przyjaźń. A potem poczuł wdzięczność, że są jeszcze na tym świecie dobrzy ludzie, szlachetni, uczciwi i przyzwoici.

– Ilu ich było?

– Dwóch, trzech, myślę. Pojawili się rano na stacji i pokazywali wszystkim pańskie zdjęcie.

– Moje zdjęcie! Jakie zdjęcie?

Taksówkarz zamknął oczy i wykrzywił twarz, usiłując odtworzyć w pamięci to, co widział.

– Kolorowe – powiedział w końcu. – Była tam z panem jakaś kobieta. Bardzo ładna. Siedział pan przy stole, może w kawiarni albo w klubie nocnym. Pamiętam, że za panem była jakaś nazwa, ale nie pamiętam jaka.

– Ja pamiętam – wtrącił Seth. – To było Harbor Reef, prawda?

Nie wiem – powiedział powoli kierowca. – Mogło być to, ale było po angielsku, a ja nie czytam tego dużo. Niemiecki to jedyny język, jaki znam poza ojczystym, Harbor Reef! Seth znał tą fotografię. Została zrobiona polaroidem prawie trzy lata temu, kiedy

on i Zoe odwiedzili przesmyk przy wyspie Catalina. I przez ostatnie trzy lata to zdjęcie – jedyne – znajdowało się w portfelu Zoe! Co to znaczyło? Czy było teraz bardziej prawdopodobne, że Zoe żyje, czy też odwrotnie? A może znaczyło jedynie tyle, że ludzie, którzy ją porwali, nie dowiedzieli się tego, czego chcieli, i kontynuowali poszukiwania rozpoczęte w Los Angeles, których celem był on sam?

– ... będą szukać pana w hotelach. Musi pan wyjechać – przekonywał taksówkarz.

Wyjechać? Tak, pomyślał Seth, patrząc na zegarek. Obaj Yostowie – ojciec i syn – wkrótce będą go oczekiwali.

– Oczywiście niedługo zaczną mnie szukać w hotelach – powiedział Seth, kierując się ku schodom.

A może już teraz. Może na dole czeka jakiś człowiek z pistoletem. Ta myśl sprawiła, że poczuł skurcz żołądka.

– Mam jednak niezmiernie ważne spotkanie, na którym muszę być. Niecierpiące zwłoki. Nie mam czasu martwić się tym w tej chwili.

– Zawiozę pana na to spotkanie, mein Herr – nalegał kierowca. – Nie byłoby bezpieczne, gdyby widzieli pana inni kierowcy. Na pewno za pieniądze powiedzieliby.

Seth spojrzał na Turka.

– O jakich pieniądzach mówimy?

– Nie mniej niż dwa tysiące franków szwajcarskich.

Dwa tysiące franków! Około tysiąca dolarów amerykańskich. Może nie bająńska suma, ale dużo więcej, niż normalnie gliny oferowały taksówkarzom za informacje. Widać naprawdę im zależało.

Minęli podest na pierwszym piętrze. Seth sięgnął do kurtki i wyjął portfel z kieszeni, wyciągnął tysiąc dolarowy banknot.

– Zrezygnowałeś z dużych pieniędzy tylko dlatego, że jesteś uczciwy – powiedział, kładąc dłoń na ramieniu kierowcy.

– Chcę, abyś to wziął.

Taksówkarz spojrzał najpierw na banknot, a potem zmierzył Seta obrażonym wzrokiem.

– Nie mogę tego przyjąć – powiedział. – Nie przyszedłem tu prosić pana o pieniądze czy inną nagrodę. Przyszedłem, bo jest pan na pewno dobrym człowiekiem i

jest pan w niebezpieczeństwie.

– Ale pańska rodzina... dzieci. – Seth zająknął się. – Mogliby... mógłby pan... wykorzystać te pieniądze, czyż nie?

– To nie ma nic do rzeczy... to kwestia honoru – odparł taksówkarz z dumą w głosie. – Jestem człowiekiem honoru i muszę tak postępować.

Odepchnął banknot delikatnie ale stanowczo, potem spojrzał w oczy Setha.

– Chodźmy! Ma pan wyznaczone bardzo ważne spotkanie. Zawiozę pana.

– Chce mi pan powiedzieć, że nie telefonując ani nie powiadamiając w żaden inny sposób mojego męża, po prostu opróżnił pan sejf i wysłał wszystkie rzeczy pod jego adresem?

Zoe nie była w stanie ukryć oburzenia. Zdołała złapać dyrektora hotelu zanim zdążył wyjść do domu. Dopadła go na środku holu, a Stratton i Cartiere kręcili się nieopodal, nieporadnie próbując nie rzucić się w oczy.

– Ależ Madame Ridgeway, zapewniam panią, że nie mieliśmy wyboru – protestował dyrektor zdesperowanym szeptem.

Rozglądał się wokół, sprawdzając, czy któryś z hotelowych gości nie jest świadkiem tej sceny.

– Stosujemy zasadę, że kiedy gość wymeldowuje się, to wszystkie rzeczy pozostawione w naszych skrytkach depozytowych musimy im zwrócić. Poza tym byłoby niesprawiedliwe pozbawiać innych gości miejsca do przetrzymywania ich cennych rzeczy.

– Zasady! – wycedziła z irytacją Zoe. – Zasady są dla biurokratów, bankierów i innych, którzy są zbyt tępi, żeby móc samemu podejmować inteligentne decyzje. Widać nie dla kierownictwa jednego z najlepszych hoteli na świecie.

Twarz dyrektora na moment rozjaśniła się, słysząc ten niespodziewany komplement rozwścieczonej Amerykanki.

– Zakładaliśmy, że...

– Ten obraz należał do najwartościowszych na świecie – powiedziała Zoe. – Jest wręcz bezcenny! Wymagał co najmniej przesłania przez kuriera. Ale w żadnym wypadku nie wolno było zdać się na łaskę i niełaskę poczty!

Na słowo „bezcenny” twarz dyrektora zrobiła się blada jak popiół.

– Ale szwajcarska poczta jest...

– Wiem, że szwajcarska poczta jest godna zaufania – wtrąciła Zoe. – Ale kiedy dotrze do Ameryki, dostanie się w ręce US Postali Service, a większość jej pracowników potrzebuje mapy, by znaleźć drogę do łazienki.

Kąśliwa uwaga Zoe przywróciła odrobinę koloru twarzy dyrektora, ale był to jedynie nieśmiały, pozbawiony wigoru róż z plamami bladej bieli. Znow rozejrzał się dookoła. Nikt nie patrzył. Hol był niemal pusty, a personel był zajęty obsługą rachunków.

– Ja... uhm!

Dyrektor nerwowo przełknął ślinę. Nadszedł czas na wyciągnięcie asa z rękawa. Ryzykował, że wdepnie w coś, co skończy się kłótnią rodzinną. Jeśli tak się stanie, odwróci gniew kobiety od siebie albo – znow przełknął ciężko ślinę – zwiększy tylko jej złość. Prawdopodobnie ściągnie również na siebie gniew jej męża. Najwidoczniej nie wiedziała, że zeszłej nocy zameldował się on w hotelu i umieścił ten właśnie obraz w hotelowej skrytce depozytowej. Dyskrecja i szacunek dla prywatności były wartościami, którymi hotel zawsze się szczycił. Dyskrecji dochowywano, jeśli sytuacja nie stawała się do tego stopnia dramatyczna, że groziła pogorszeniem nieskazitelnego wizerunku i renomy hotelu.

Teraz właśnie sprawy przybierały dramatyczny obrót, zdecydował dyrektor.

– Pani mąż wydawał się zadowolony tym, co mu zaoferowaliśmy. Rozmawiałem z nim zeszłej nocy, kiedy meldował się u nas.

Gniew błyskawicznie zniknął z jej twarzy, niczym ostatnie ciemne chmury po letniej burzy.

– Prawdę mówiąc, schowałem obraz, o którym pani mówi, z powrotem w skrytce depozytowej. Zrobiłem to własno ręcznie, madame.

Patrzył, jak na twarzy Zoe rysują się kolejno gniew, potem osłupienie i w końcu ulga. Rysy jej twarzy złagodniały, a kiedy to się stało, dyrektor po raz pierwszy zauważył, jak bardzo była piękna.

Zoe czuła, jak łomotało jej serce. Seth tu jest! On tu jest!

– Seth jest w tym hotelu? – obróciła się do Strattona. – To dlatego nie odbierał telefonu wczoraj i dzisiaj!

– Ale jak? Skąd wiedział?

Obróciła się z powrotem do kierownika hotelu i pociągnęła go lekko za rękaw.

– W którym jest pokoju? – spytała niecierpliwie.

Dyrektor spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem. Nie wyglądała jak rozwścieczona małżonka. Nie było w jej oczach zazdrości czy nienawiści, tylko ulga. Jednak... wciąż miał wątpliwości.

– No cóż – zaczął z wahaniem. – Zwykle nie podajemy takich informacji o naszych gościach, ale...

– Oboje... podróżowaliśmy razem. Mój mąż i ja – przerwała mu. – I po prostu nie zdążyliśmy zjechać się razem, więc...

– Jak powiedziałem, normalnie nie udzielamy takich informacji, ale w tym wypadku, myślę, że mogę spełnić pani prośbę.

– Dziękuję! – powiedziała i podążyła za nim do recepcji.

Seth Ridgeway zszedł ze schodów i skierował się do holu.

– Nie! – Taksówkarz położył mu zdecydowanie rękę na ramieniu. – Nie tędy.

Seth zatrzymał się.

– Tam jest zbyt wielu ludzi, którzy mogliby pana rozpoznać. Proszę iść ze mną, bocznym wyjściem. Właśnie dlatego zaparkowałem po tej stronie.

Seth wyrzął na korytarz. Główne drzwi znajdowały na wprost, recepcja na lewo, poza zasięgiem wzroku, po prawej stronie, koło fryzu, stało kilka foteli. W holu nie było nikogo poza jakimś wielkim mężczyzną, który szedł właśnie w stronę recepcji. Wyglądał jak jedno wielkie zagrożenie.

Masz rację – szybko powiedział Seth. – Prowadź.

Podążył za taksówkarzem przez wąski korytarzyk aż do drzwi znajdujących się przy kuchni. Za nimi była już ciemność nocy.

Rozdział 23

Taksówkarz jechał powoli ulicą Limmat Quai, na północ od Wasserkirche. Kiedy zatrzymał się, jadący za nimi jakiś kierowca zatrąbił wściekle. Taksówkarz zignorował go. Chwilę później tamto bmw wyminęło ich z piskiem opon i pojechało dalej.

– Zawiozę pana na miejsce – zaferował Turek.

– Dziękuję – odparł Seth. – Jednak mam pewne wskazówki, których muszę się trzymać.

Kierowca skinął głową.

– Czy mogę chociaż zapłacić panu za podwiezienie z hotelu?

Taksówkarz spoglądał na niego dłuższą chwilę.

– Proszę – nalegał Seth, wyciągając z portfela kilka banknotów. – I tak musiałbym zapłacić za taksówkę.

– Jeśli dzięki temu poczuje się pan lepiej. Seth skinął głową, złożył banknoty w mały plik wielkości pudełka zapalek i podał je taksówkarzowi.

– Dziękuję – powiedział kierowca, wkładając zwitek banknotów do kieszeni płaszcza.

Seth nacisnął klamkę i otworzył drzwi auta.

– Uważaj na siebie, przyjacielu – powiedział na pożegnanie kierowca.

– Ty też.

Powiedziawszy to, wysiadł i zatrzasnął drzwi. Słyszał, jak silnik taksówki przyspiesza, potem zwalnia, kiedy kierowca wcisnął sprzęgło. Zatrąbił jeszcze, mijając Seta, i zniknął w wśród świateł ulicznego ruchu.

Seth stał jeszcze przez chwilę, uśmiechając się do siebie. Pewnie dopiero w domu kierowca zauważył tysiąc dolarowy banknot włożony między franki szwajcarskie.

Spojrzał na zegarek. Zgodnie ze wskazówkami Jacoba Yosta miał jeszcze pięć minut, by dotrzeć do pierwszego punktu kontrolnego. Szedł powoli ulicą Limmat Quai, zatrzymując się w regularnych odstępach przy sklepowych wystawach. Noc była prawie ciepła, Ridgeway odpiął nieco kurtkę, by się nie spocić. Nazywali to *die Föhn*, powiedział taksówkarz. Takie ciepłe powietrze. Niekiedy zimą wysokie ciśnienie nad północną Afryką wypychało ciepłe powietrze znad Sahary w kierunku północnych

układów niżowych, dominujących wtedy nad Europą. W rezultacie pojawiały się poddmuchy ciepłego powietrza, który topiły śnieg, a w Alpach ośnieżone stoki narciarskie. Kiedy wiał *die Föhn*, wzrastało niebezpieczeństwo lawin. To coś podobnego do wiatru Santa Ana w południowej Kalifornii, pomyślał Seth, idąc dalej. Tyle że *die Föhn* nie wywołuje pożarów wysokich traw i lasów oraz nie sprawia, że ludzie zaczynają wariować. Przynajmniej jeszcze nie.

Seth zatrzymał się, by obejrzeć kolejną wystawę sklepową, na której były stojaki z pierścionkami wysadzonymi szlachetnymi kamieniami we wszystkich kolorach: czerwonym, zielonym, białym, niebieskim, żółtym. Tutejsze sklepy nie dorównywały przepychem tym po drugiej stronie rzeki, przy Bahnhofstrasse, ale i ceny były tu niższe.

Nagle gdzieś z tyłu, po lewej stronie, Seth usłyszał szuranie kroków. Po chwili zapadła cisza. Oddech zastygł w pół drogi, a ręka natychmiast podążyła do kieszeni po magnum.

Nic! Seth czuł, jak serce wali niczym oszalałe. Rozejrzył się to w jedną, to w drugą stronę. Był zupełnie sam na ulicy, przynajmniej ma odległość połowy kwartału, w każdym kierunku. Uważnie przeszedł obok kilku kolejnych drzwi, nikt jednak nie skrywał się za żadną z bram. Zaintrygowany szedł dalej. Był pewien, że coś słyszał.

Nerwy, pomyślał, kiedy dotarł do rogu Torgasse i szedł z chodnika, by przejść na drugą stronę ciemnej alejki. Nerwy miał zszarpane do cna i resztkę zdrowego rozsądku też już była na wykończeniu. Wyteżył wzrok i wydało mu się, że dostrzegł w ciemności jakiś ruch. Szybko przeszedł przez uliczkę i ruszył w kierunku północnym wzdłuż Limmat Quai.

Kiedy dotarł do Rami Strasse, serce nadal mocno mu biło. Rozejrzył się uważnie, wyjął z kieszeni płaszcz mapę Zurychu i spojrzął na nią przy świetle lampy ulicznej. Yost zaznaczył małym iksem miejsce po lewej stronie Rami Strasse, jakiś kwartał domów dalej. Chyba rozpoznawał to miejsce. Trochę bliżej, po tej samej stronie uliczki, znajdował się sklep tytoniowy, dokładnie w miejscu wskazanym przez Yosta juniora.

Wciąż uśmiechając się, Seth schował mapę i ruszył dalej.

Jacob Yost syn był dziwnym człowiekiem, pomyślał, idąc do sklepu tytoniowego. Pułkownik armii szwajcarskiej, osobisty ochroniarz ojca, małowówny, kościsty, muskularny, zdeterminowany. Bez trudu znalazł określenia pasujące do młodszego

Jacoba Yosta. Zmarszczył brwi. Wydawał się w pełni oddany sprawie chronienia ojca, jak gdyby miało to być jego życiowym powołaniem. Ale dlaczego było to konieczne? No i jeszcze młodsi synowie. Dwaj łagodni, korpulentni mężczyźni, którzy prowadzili ekskluzywną galerię przy Augustinerstrasse. Pogarda z jaką Yost odnosił się do braci dawała się wyczuć, kiedy o nich mówił. Co sprawiło, że aż tak się różnili?

Pytanie goniło pytanie.

Seth pokręcił głową i sprawdził, która jest godzina. Dokładnie 7:30. Tak jak kazał mu Yost, popchnął otwarte drzwi sklepu tytoniowego i wszedł do środka. Powietrze było ciepłe i przesiąknięte zapachem tytoniu i książek. Na lewo dostrzegł duże stoisko z czasopismami i książkami, na lewo regały z aromatycznymi gatunkami tytoni oraz fajkami. Na wprost za ladą siedział właściciel i czytał książkę. Spojrzał na wchodzącego.

– Dobry wieczór. – Seth przywitał mężczyznę po niemiecku.

– Wieczór – odpowiedział właściciel, uważnie zaznaczając pustym kapciuchem od fajki miejsce, w którym skończył czytać. – Czym mogę panu służyć? – zapytał, a mówiąc to, spoglądał badawczo w twarz Setha.

Sethowi zaschło w gardle. Czy byli już tu ludzie z jego zdjęciem i oferowali pieniądze? Z trudem przełknął ślinę.

– Magazyn „Time” z tego tygodnia.

– Tam przy ścianie. – Właściciel wskazał na stojak z gazetami. – Na górze, prawie przy lewym brzegu.

Seth szukał znajomej okładki. Rzucił pełne niepokoju spojrzenie na drzwi, obawiając się, że w każdej chwili mogą tu wpaść ludzie, którzy go szukają, i dokończą zadanie rozpoczęte dziesięć tysięcy kilometrów na zachód stąd. W tej chwili zauważył poszukiwane pismo.

Parę chwil później kupił gazetę i zapalniczkę i wyszedł ze sklepu. Odszedł parę kroków i spojrzał w okno sklepu. Właściciel już gdzieś dzwonił.

Czy sklepikarz współpracował z Yostem? Czy była to część działań zapewniających bezpieczeństwo? Yost wyraźnie powiedział, który magazyn, gdzie i o której godzinie miał kupić Seth. Właściciel musiał więc być przyjacielem. Szkoda jednak, że nie miał pewności, do kogo zadzwonił sklepikarz.

To byłaby miła noc, myślał, gdyby nie ludzie czyhający gdzieś tam, szukający go

i oferujący pieniądze taksówkarzom lub recepcjonistom za informację, gdzie się znajduje. Rozpiął nieco płaszcz, bo zrobiło mu się gorąco. Minał pierwszy plac budowy, potem następny i dotarł do kolejnego iksa. Zatrzymał się przy placu budowy, by korzystając ze światła latarni, obejrzyć mapę.

Znalazł trzeciego już iksa i ruszył dalej, a odgłos szurania, jaki wydawał, idąc po żwirze, tonął w głośniejszej kakofonii hałasów i stukotów dobiegających z sąsiedniej budowy. Szybko minął następny kwartał i przeszedł na drugą stronę ulicy, zmierzając w stronę Heim Platz. Kilku ludzi kręciło się na małym, pokrytym betonem placu, czekając na tramwaj.

Przez chwilę powstał obok nich, obserwując okna pobliskich budynków i próbując odgadnąć, które z nich należą do Yosta. Dokładnie o 7.40 podszedł do pojemnika na śmieci przy krawężniku. Zapalił jednorazową zapalniczkę i zbliżył ją do okładki tygodnika, jak gdyby próbował odczytać datę. Potem wyrzucił egzemplarz „Time’a” do kosza na śmieci, nawet go nie otworzywszy.

To był niezły plan, pomyślał. Dzięki płomykowi zapalonej zapalniczki młodszy Yost mógł bez trudu go rozpoznać. Zgodnie ze wskazówkami, Seth miał postać jeszcze pięć minut, zaś Yostowie w tym czasie mieli obserwować jego oraz, co ważniejsze, okolice, aby upewnić się, że nikt nie depta mu po piętach. Plan – Yost nie wdawał się w szczegóły – miał ulec zmianie, gdyby okazało się, że ktoś śledzi Seta.

Czas mijał powoli. Seth spróbował się pomodlić, jednak nie potrafił. Może Bóg naprawdę przestał istnieć. Ta myśl pogłębiła tylko poczucie winy. Obawa o śmiertelną duszę właśnie zaczynała szarpać nerwy Seta, kiedy jedna po drugiej zapaliły się świece w oknach na najwyższym piętrze budynku przy południowo-zachodnim rogu ulic Rami Strasse i Zelt Weg.

Seth ruszył przez ulicę w tamtym kierunku. Dwie świece! To był sygnał Yosta, że wszystko w porządku. Po drugiej stronie ulicy musiał czekać, aż na plac budowy wjedzie ciężarówka pełna betonu. W końcu podniesiono barierę i Seth wraz z innym przechodniem mógł iść dalej.

Wreszcie dotarł pod adres, który podał mu Yost, i podszedł do zamkniętych drzwi z rządkiem ponumerowanych guzików, bez nazwisk. Wcisnął przycisk obok numeru 874 – najpierw bardzo krótko, potem drugi raz przez całe dwie sekundy.

Kiedy odsunął rękę, rozległ się brzęczyk i drzwi automatycznie się otworzyły. Szybko wszedł do środka.. Pusta kabina windy już czekała na niego. Wcisnął najwyższy guzik, ósmy.

Wypolerowane, mosiężne drzwi bezszelestnie zamknęły się. Kabina dotarła do celu, ale drzwi pozostały zamknięte.

Przez moment Seth myślał, że winda się zepsuła, jednak za chwilę zadzwonił wewnętrzny telefon. Podniósł słuchawkę.

- Ridgeway? – usłyszał głos Yosta.
- Oczywiście.
- Stań pośrodku kabiny i zdejmij płaszcz.
- Co? – odparł Seth. – Czemu niby...
- Spójrz w róg windy – powiedział Yost. – Jest tam kamera. Chcę mieć tylko pewność, że wszystko jest w porządku.

Rzeczywiście była. Miniaturowa kamera, której obiektyw skierowany był wprost na niego. Czując się lekko skrępowany, ściągnął płaszcz. Chwilę później drzwi windy otworzyły się i Seth wszedł na korytarz wyłożony eleganckimi panelami. Przed nim stał Jacob Yost, trzymając pistolet maszynowy.

Rozdział 24

Ciemny sedan sunął w dół ulicy Rami Strasse. Czterej siedzący mężczyźni wyglądali przez okna, nerwowo wypatrując ewentualnego zagrożenia. Pod świetnie skrojonymi garniturami, w drogich i fachowo uszytych skórzanych pochwach kryli śmiercionośną broń. Cóż, śmierć bywała niezauważona, jeśli tylko osłaniał ją przepych i dobrobyt.

– Tam! – powiedział po rosyjsku mężczyzna siedzący obok kierowcy.

Spojrzeli na wskazany przez niego budynek na skrzyżowaniu ulic Rami Strasse i Zelt Weg. Kierowca zwolnił, potem zatrzymał się przy krawężniku zaraz za wjazdem na plac budowy.

– Tam na górze, na samym szczycie.

Pozostali wychylili się przez okna, zadzierając w górę głowy. Obserwowali okna na ostatnim piętrze, na placu obok paliły się światła i pracowali budowlańcy wykorzystujący dobrą pogodę.

– Skręć tutaj – poinstruował kierowcę mężczyzna siedzący obok. – Zaparkujemy za budynkiem i wrócimy pieszo.

Kierowca skinął głową i włączył się do niewielkiego wieczornego ruchu ulicznego.

– Odłóż to – powiedział Seth, kiedy wysiadł z windy. Był bardziej zirytowany, niż przestraszony.

– Mam dość ludzi celujących do mnie.

Yost popatrzył na niego. W jego oczach widniała chłodna kalkulacja. Był niczym komputer, który porównywał dane zapisane w pamięci z widokiem osoby stojącej właśnie przed nim. Po chwili skinął głową i opuścił karabin.

– Dobry wieczór – powiedział z uśmiechem. – Przepraszam za niedogodności, jednak nieraz uratowały one memu ojcu życie.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego – powiedział Seth.

Yost posłał mu lekki uśmiech, a potem gwałtownie odwrócił się i poszedł korytarzem. Seth podążył za nim, wpatrując się w wiszące na ścianach obrazy olejne i

akwarele. Zupełnie jakby zwiedzał przy okazji galerię w muzeum. Rozpoznał kilka płócien, o których poprzedniego wieczora mówił młodszy Jacob Yost.

Yost syn wyjaśnił, że od trzydziestu już lat zmuszeni byli zachowywać najwyższe środki bezpieczeństwa nie tylko ze względu na wartość obrazów, ale głównie z powodu tego, co jego ojciec widział i czego dowiedział się w Alt Aussee.

Po wojnie, tłumaczył, jego ojciec powrócił do Zurychu z austriackich kopalni soli, w których Hitler ukrył skradzione dzieła sztuki. Tam też zrodziła się jego nienawiść do nazistów. Nienawidził ich z taką siłą, do jakiej zdolni są jedynie ludzie, którzy stanęli oko w oko z absolutnym złem.

W pierwszych latach po wojnie ojciec kontaktował się z odpowiednimi ludźmi i mówił im, że jest zainteresowany kupnem dzieł sztuki; w ten sposób byli esesmani mogli kupić sobie wolność. Dawał też do zrozumienia, że odpowiednia suma pieniędzy mogła uruchomić jego koneksje, dzięki którym byli naziści mogli liczyć na podróż w bezpieczne miejsca. Wraz z dwoma przyjaciółmi, którzy mieli za sobą różne dramatyczne przeżycia wojenne, Yost senior zapraszał zbiegłych hitlerowców do swego zakładu ramiarskiego, by tam poddać ekspertyzie skradzione dzieła sztuki. Kiedy Yost sprawdzał autentyczność dzieła, gości wyprowadzono do oddzielnego pokoju, w którym odbywała się egzekucja, a egzekutorami byli towarzysze Yosta.

Przez dziesięć lat wymierzali tak sprawiedliwość, a pełna konspiracja gwarantowała im bezpieczeństwo. Naziści przybywali do nich jeden po drugim, a ich zniknięcie nie wzbudzało żadnych podejrzeń. W środowisku nazistów sądzono, że Yostowi udało się kolejnego towarzysza broni wysłać gdzieś daleko w bezpieczne miejsce.

Wszystko skończyło się w lipcu 1949, kiedy w zakładzie ramiarskim pojawiło się dwóch byłych oberleutnantów SS. Chcieli razem wyjechać w jakieś bezpieczne miejsce. Jeden z nich wyczuł jednak zagrożenie i zdołał uciec. Od tego czasu, jak mówił młodszy Yost, jego ojcu groziło niebezpieczeństwo. Zagrażali mu ludzie, którzy – choć sami już za starzy, by zabijać – byli na tyle wpływowi i bogaci, że mogli wynająć płatnych morderców.

Yost zwrócił prawowitym właścicielom tyle obrazów, ile był w stanie, jednak wielu z nich już nie żyło lub też w żaden sposób nie dało się do nich dotrzeć. I właśnie te

„osierocone” dzieła pomogły mu przekształcić skromny zakład ramiarski w ekskluzywną galerię.

– A te są jego ulubione – powiedział Yost junior, zatrzymując się na końcu korytarza i pokazując ściany obwieszane obrazami. – Zawsze zatrzymywał dla siebie najlepsze spośród osieroconych dzieł.

Seth chciał coś powiedzieć, ale Yost odwrócił się już i otworzył drzwi na końcu korytarza.

– Proszę wejść.

Weszli do gabinetu pełnego książek. Żółtawe światło oświetlało wielki stół, na którym leżały otwarte księgi oraz kartki zapisane drobnym, nieco nierównym, ale wciąż eleganckim pismem.

Na drugim końcu pokoju, w fotelu stojącym przy marmurowym kominku odpoczywał stary człowiek; nogi oparte na podnóżku przykrywał koc. Na stojącym przed nim małym stoliku leżały książki i papiery, a między nimi stała karafka wypełniona do połowy bursztynowym płynem. Stary człowiek pogrążony był w lekturze opasłego tomu w twardej oprawie.

– Ojczy?

Stary mężczyzna położył książkę na kolanach i odwrócił się do nich.

– Tak, Jacobie?

– Twój gość. Pan Ridgeway.

Jacob Yost poprawił okulary, spojrział na Seta i mrugnął kilka razy.

– Cóż, zapraszam tutaj i proszę spocząć, panie Ridgeway – powiedział niecierpliwie. – Mam nadzieję, że nie zamierza pan tkwić przy drzwiach do czasu, aż będzie pan równie stary jak ja.

Młodszy Yost głową wskazał drugi fotel. Ridgeway przystanął obok starca. Yost senior ubrany był w ciepły, wełniany szlafrok przewiązany paskiem, a spod niego wystawały nogawki od piżamy. Seth przyjrzał mu się; jego dwaj młodsi synowie byli do niego bardziej podobni niż najstarszy pułkownik szwajcarskiej armii. Kiedy Ridgeway wyciągnął rękę, usłyszał stuknięcie zamykanych drzwi; junior wyszedł z pokoju.

– Panie Ridgeway. – Jacob Yost zaskakująco mocno uściskał dłoń Seta.

– Witam w Zurychu, witam w moim domu. Przepraszam, że nie wstałem, jednak

artretyzm zaatakował mnie ostatnio wyjątkowo brutalnie.

Seth wyraził współczucie i usiadł w fotelu na lewo od Yosta. Kątem oka zauważył dłoń starca spoczywającą na oparciu. Była straszliwie wykrzywiona, pokryta bliznami i brakowało kciuka. Seth odwrócił spojrzenie, Yost zdążył jednak to zauważyć. Uśmiechnął się cierpko.

– To jest – podniósł dłoń – część mojej opowieści. Najpierw jednak chcę usłyszeć pańską. – Jak rozumiem, szuka pan swojej żony, kobiety, która powinna mieć obraz znany pod tytułem „Dom naszej Pani Odkupicielki”?

Seth przytaknął.

– Zniknęła sześć miesięcy temu z pokoju w hotelu Eden au Lac.

– Słyszałem – odparł Yost.

Wydawało się, że jego spojrzenie na chwilę uciekło gdzieś w głąb duszy. Seth spojrzął w kierunku okna; za przezroczystymi firankami przesuwano się jak ramię dźwigu.

Wreszcie Yost wyrwał się z zadumy.

– Nigdy nie zapomnę tego obrazu. I nigdy nie zapomnę ludzi, którzy go do mnie przynieśli. – Przerwał nagle. – Ale to też część mojej historii. Najpierw jednak chcę usłyszeć pańską, więc proszę zaczynać.

Kiedy Seth relacjonował przebieg ostatnich sześciu miesięcy, Yost wyjął spod sterty papierów leżących na stole woreczek z tytoniem. Seth zauważył na paczce nazwisko sklepikarza z Rami Strasse. Seth mówił, a Yost wyjął gdzieś z fałd szlafroka dużą fajkę z korzenia wrzośca, starannie ją nabił i zapalił. Smugi aromatycznego dymu snuły się po pokoju.

Seth opowiedział więc o poszukiwaniach w Zurychu, o Rebecce Weinstock, o zabójcach w Los Angeles, o kolejnych w Amsterdamie oraz o ludziach, którzy teraz go szukali w Zurychu. Zanim opowieść dobiegła końca, Yost nabijał fajkę dwukrotnie.

– Przepraszam za mój wczorajszy wybuch w pańskiej galerii – powiedział Seth. – Chętnie zapłacę za wyrządzone szkody.

– Proszę się nie przejmować – zachichotał Yost. – To najbardziej ekscytująca rzecz, jaka się przydarzyła tym dwóm rozpieszczonym idiotom w ich całym pozbawionym większych emocji życiu.

Zaśmiał się znowu.

– Jacob – kiwnął głową w stronę drzwi – jest jedynym z moich synów, który ma choć trochę oleju w głowie. Ale on z kolei bierze wszystko zbyt serio.

Yost westchnął ciężko i pochylił się do ogromnej, szklanej popielniczki, żeby wystukać z fajki niedopalony tytoń.

– Nic, co mi pan powiedział, nie było niespodzianką – skomentował. – Ale powinienem chyba panu powiedzieć, dlaczego nie jestem zaskoczony.

Zatrzymał się na chwilę, by znów napełnić fajkę.

– Zaczęło się to w 1939 roku, kiedy pewien człowiek przyniósł obraz do mojego zakładu ramiarskiego. Było lato, ja ukończyłem właśnie uniwersytet i pracowałem dla ojca. Zdobyłem tytuł magistra historii sztuki i zamierzałem zostać ekspertem w dziedzinie konserwacji dzieł sztuki.

Gość był typowym służbistą, zachowywał się jak niższej rangi funkcjonariusz wysłany przez ważnych ludzi. Przyjechał czarną limuzyną. Nie byłem zachwycony tą sceną namalowaną na kawałku drewna i pachnącą jeszcze świeżą farbą. Dzieło było przeciętne, namalowane poprawnie, lecz bez żadnych znamion geniuszu. Mężczyzna chciał, aby obraz oprawić właściwie od ręki, na wieczór. Było to dość niezwykle zlecenie, ale nie niewykonalne. Bez problemu więc podołałem zadaniu.

Później dowiedziałem się, że człowiek ten został przysłany przez samego Hermanna Göringa, a obraz miał być prezentem dla jego szefa, Adolfa Hitlera.

W miarę jak wojna w Europie nasilała się, moja rodzina śledziła Göringa z zainteresowaniem, zafascynowana – ale w negatywnym sensie – faktem, że nawiązał z nami bliski kontakt. Göring jednak był w sposób szczególny zainteresowany niektórymi członkami mojej rodziny mieszkającej w Salzburgu.

Moja ciotka, siostra ojca, wyszła w 1928 roku za mąż za handlarza dziełami sztuki. Po aneksji Austrii przez Hitlera zaczęło im się żyć coraz gorzej. Wuj został wcielony do armii i zginął na froncie. W czterdziestym trzecim ojciec wysłał mnie do Salzburga, żebym sprawdził, czy uda się ściągnąć ciotkę z powrotem do Szwajcarii. Zanim jednak zdążyliśmy opuścić Salzburg, przybyli niemieccy żołnierze. Przeszukiwali galerie sztuki, uniwersyteckie wydziały sztuki i muzea, szukając, jak to określali, „patriotów”, którzy zaopiekowaliby się bezcennymi dziełami sztuki, które codziennie

zjeżdżały do Monachium z całej Europy.

Yost opowiedział, że on i jego ciotka starali się wytłumaczyć tęym żołnierzom, że prawdziwy ekspert sztuki zginął na froncie jako zwykły szeregowiec, ale nic do nich nie docierało. Uznali, że ciotka Yosta nauczyła się na pewno czegoś przydatnego od męża. Nie zamierzali dłużej marnować czasu i kazali jej razem z bratankiem załadować się na ciężarówkę i wybrać się na krótką wycieczkę do Monachium.

Ciotka zmarła na zapalenie płuc w grudniu 1943, ale Yost nadal pracował przy odbiorze dzieł sztuki, które ciężarówkami, pociągami i samolotami przybywały z całej Europy.

– Byłem naprawdę dobrze traktowany – kontynuował Yost. – Dostałem książeczkę z kartkami żywnościowymi, a tak że mieszkanie, które dzieliłem z trzema innymi pracownikami mi. Nawet płacili mi pensję. Gestapo uprzedziło mnie jednak, że wiedzą, kim jest mój ojciec, znali też jego adres. Gdy bym próbował uciec, ojcu „coś by się przydarzyło”. Byłem zdania, że gestapo ma ważniejsze sprawy na głowie, ale na wszelki wypadek nie próbowałem tego sprawdzać.

Może dlatego, że dobrze pracowałem, a może dlatego, że napisałem list do Göringa, w którym ubolewałem nad warunkami, w jakich przechowywano dzieła sztuki w centralnym punkcie zbiorczym, zainteresowali się mną ludzie z otoczenia Hitlera, między innymi Hans Reger, dyrektor centralnego punktu gromadzenia zbiorów, który zwiększył moje obowiązki i odpowiedzialność.

Pukanie do drzwi przerwało historię Yosta.

– Proszę – zawołał.

W drzwiach pojawił się Jacob Yost syn. Niósł tacę z kanapkami, piwem i wodą gazowaną.

– Pomyślałem, że mogliście trochę zgłodnieć.

Seth spojrzął na zegarek. Dochodziła 21.30. Czas płynął bardzo szybko.

– Dziękuję – powiedział Yost senior.

Syn uprzątnął stół i postawił tacę. Nalał piwo do dwóch ciężkich, kryształowych kufli i bez słowa opuścił pokój.

W gabinecie przez chwilę panowała cisza. Na widok jedzenia Sethowi zaczęło burczeć w brzuchu, dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo jest głodny.

Kiedy znów wygodnie usadowili się w fotelach, Yost wrócił do wspomnień.

– Stopniowo powierzano mi coraz ważniejsze zadania. W końcu moje studia – a na dobrą sprawę całe życie – poświęcone były konserwacji dzieł sztuki. Tęskniłem jednak bardzo za rodziną i nieustannie obawiałem się represji ze strony SS oraz gestapo. Powtarzałem sobie, że nie jestem przecież zwolennikiem Hitlera, tylko ratuję dzieła sztuki. A nieważne w końcu jest to, w czyich są rękach. Wiedziałem, że nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym pozwolił na zniszczenie prac wielkich mistrzów.

Spojrzał w stronę ognia na kominku, jak gdyby widział tam płótna malowane jaskrawymi, roztańczonymi pociągnięciami płomieni.

– Wie pan, byli tam niemal wszyscy – podjął opowieść głosem, z którego przebijała nostalgia. – Tycjan, Rembrandt, Leonardo, Rubens... wszyscy wielcy.

Można było odnieść wrażenie, że Yost pogrążył się w żalobie po utraconych wspomnieniach, gorzkich i słodkich jednocześnie.

– Jedynie kustosze największych muzeów świata mają niekiedy okazję troszczyć się o tylu mistrzów pędzla naraz.

Naziści odpowiedzialni za kierowanie Sonderauftrag Linz – specjalnej grupy operacyjnej, która zajmowała się rabowaniem skarbów sztuki – błędnie uznali zaangażowanie Yosta za wyraz poparcia ideologii. Yost nie czynił nic, by wyprowadzić ich z błędu, gdyż dzięki temu zyskał więcej uprawnień i przywilejów, a także większy zakres wolności. Dzięki temu właśnie zdołał nawiązać kontakt z ruchem oporu i za jego pośrednictwem przekazał aliantom informację, że największe w świecie zbiory dzieł sztuki przechowywane są w skandalicznych warunkach w centrum Monachium.

– Kiedy alianckie bombowce coraz bardziej zbliżały się do Monachium, zacząłem naciskać na przewiezienie zbiorów w bezpieczniejsze miejsce. Zasugerowałem, że mogłyby to być kopalnie soli w niezbyt odległej Austrii. Pomysł zyskał aprobatę, zwłaszcza funkcjonariuszy SS, gdyż dobrze wpasowywał się w ich wagnerowskie przekonania o walce do ostatniego człowieka wśród górskich grani. W oczach esesmanów o bardziej pragmatycznym podejściu idea ta wzbudziła jeszcze większy entuzjazm, dzięki temu bowiem łatwiej byłoby im wykorzystać zrabowane skarby do targów o własne życie i wolność.

Udałem się do regionu Salzkammergut w Austrii i zorganizowałem kwaterę w

miejsowości Alt Aussee, w pobliżu której znajdowały się liczne kopalnie soli.

Wynająłem też niewielki domek nad brzegiem jeziora Alt Aussersee – kontynuował relację Yost, pociągając ostatni łyk piwa. – Domek znajdował się przy głównej drodze prowadzącej do Bad Aussee, a w pobliżu był katolicki kościół; proboszcz nazywał się Hans Morgen. Jak to normalnie w Austrii, zwłaszcza w niewielkim miasteczku, miejscowy ksiądz był poważną figurą, szybko więc nawiązaliśmy znajomość.

Morgen początkowo był nieufny w stosunku do Yosta i jego powiązań z nazistami. Kiedy jednak ich znajomość przerodziła się w prawdziwą przyjaźń, ksiądz obdarzał przybysza z Monachium coraz większym zaufaniem. Niedługo potem Yost dowiedział się, że Morgen był jednym z filarów miejscowego ruchu oporu. W tej sytuacji Yost, pozbawiony kontaktów z podziemiem monachijskim, zaczął przekazywać informacje, wykorzystując ojca Morgena.

– To był prawdziwy bohater – powiedział Yost z podziwem. – Każdego dnia ryzykował własnym życiem, w odróżnieniu od wielu innych duchownych Kościoła katolickiego, którzy wspierali Hitlera aktywnie, bądź też zachowując bierność. Czułem się przy nim kimś nieważnym, lecz on wspaniałomyślnie dał mi do zrozumienia, że moja rola jest również ważna.

Ostatnie dni wojny, jak opisał to Yost, były prawdziwym szaleństwem. Kiedy odgłosy alianckiej artylerii i bombardowań odbijały się coraz bliższym echem wśród alpejskich grani, wielu spośród nazistów wyznaczonych do pilnowania tajnych składów ze zbiorami sztuki, wpadło w panikę. Jeden z nich, na wpół szalony pułkownik, dowodzący garnizonem strzegącym kopalni w górach powyżej Bad Aussee, opracował plan wysadzenia w powietrze podziemnych komnat i korytarzy kopalni wraz z bezcenną zawartością, nie chcąc, by „dostały się w ręce Żydów”.

W gorączkowym pośpiechu pułkownik rozkazał swoim ludziom znieść pod ziemię bomby lotnicze o wadze dwustu trzydziestu kilogramów i rozmieścić je w pobliżu rzeźb Leonarda da Vinci oraz płócien van Dycka. Bomby były już rozlokowane zgodnie z planem, kiedy Yost spotkał się z Morgenem. Pułkownik czekał już tylko na przybycie pirotechnika, którego zadaniem miało być usunięcie zapalników uderzeniowych, zamontowanych w bombach lotniczych, i wstawienie w ich miejsce zapalników, które

umożliwiały zdetonowanie na odległość.

Późnym wieczorem w chacie Yosta pojawiła się grupa ludzi z plecakiem wypełnionym materiałem wybuchowym – plastikiem oraz zapalnikami. Zanim brzask zdołał zastąpić świece zapalone w izbie, Yost nauczył się zakładać ładunki wybuchowe oraz ustawiać zapalniki czasowe.

– Następnego dnia włożyłem ładunki wybuchowe do teczki i podając wiarygodny pretekst, dostałem się do kopalni. Tuż przed jej opuszczeniem nastawiłem zapalnik czasowy i zostawiłem teczkę przy wejściu, zgodnie z instrukcją otrzymaną od ludzi z ruchu oporu.

Ładunki podłożone przez Yosta zawałyły wejście do kopalni, nie powodując jednak zniszczenia arcydzieł umieszczonych pod ziemią. Nie pozwoliły również pirotechnikowi pułkownika ani nikomu innemu dostać się do bomb umieszczonych w chodnikach kopalni i zainstalować w nich nowych zapalników.

Po kilku dniach Yost otrzymał od Morgena rozpaczliwą wiadomość, dostarczoną przez małego chłopca, którego matka prowadziła gospodę w osadzie.

– Morgen zawsze był niezwykle opanowany, ale wiadomość dowodziła, że ogarnęło go przerażenie; w liście stwierdzał, że poznał zatrważającą tajemnicę. Chodziło o pewną relikwię ukrytą w kopalni soli wykutej w masywie góry Habersam położonej powyżej Alt Aussee.

Nie wiedziałem nic o tej kopalni, co w naturalny sposób pobudziło moją ciekawość. Zacząłem więc trochę szperać, ale pytania, które zadawałem, nieomal doprowadziły do śmierci mojej i Hansa.

Twarz Yosta stała się ponura, gdy przywołał w pamięci dawne cierpienia.

Otóż ta niezdrowa ciekawość ściągnęła na niego uwagę esesmańskiego komendanta garnizonu, pełniącego wartę przy sekretnej kopalni na górze Habersam. Do chaty Yosta wysłano pewnego oberleutnanta SS, żeby go przesłuchał. Yost nie przestraszył się gróźb niemieckiego oficera i skończyło się na tym, że został przykuty kajdankami do oparcia ciężkiego, żelaznego łóżka i czekali tak na przybycie Morgena. Tuż przed świtem od strony Bad Aussee rozległy się artyleryjskie salwy. Alianci mogli pojawić się lada chwila; Yost domyślił się tego, obserwując nerwowe zachowanie oberleutnanta. Kiedy krwistoczerwone niebo ustąpiło miejsca brzaskowi, dosłyszeli huk

ogromnej eksplozji, która zatrzęsła posadami góry Habersam i spowodowała, że w oknach chaty zatrzęsły się szyby.

– Usiłowałem dojrzeć, co mogło się wydarzyć – podjął opowieść Yost. – Przez ponad godzinę lub dłużej stałem przy oknie, wpatrując się w surową i płaską biel zamrożonego jeziora.

W końcu dostrzegł ludzi. W pierwszej chwili znajdowali się zbyt daleko, by można było ich rozróżnić, kiedy jednak zbliżyli się, Yost zobaczył pojedynczą postać ściganą przez żołnierzy w mundurach. Ku swemu przerażeniu w uciekającym rozpoznał ojca Morgena.

Oberleutnant SS wszedł do izby, a na jego twarzy pojawił się po raz pierwszy uśmiech.

– Wkrótce uzyskamy kilka odpowiedzi, czyż nie? – zażartował.

Kiedy Yost usłyszał strzał i zobaczył, jak uciekający wpada w śnieżną zaspę, nie miał wątpliwości, że naziści zastrzelili Morgena. Banda zabójców zbliżała się do leżącego, kiedy ten z trudem podniósł się i obrócił w ich kierunku. Yost patrzył, a serce waliło mu jak młotem, kiedy ksiądz podniósł ręce do góry i ślaniając się, ruszył w kierunku zabójców. Ci zatrzymali się, zdumieni nieoczekiwanym zachowaniem ściganego przez nich człowieka. Po chwili jeden z esesmanów podniósł karabin i wymierzył w Morgena.

– Nigdy nie zapomnę tego, co stało się w następnej chwili. Wydarzył się cud, istny cud.

Zanim esesman zdążył pociągnąć za spust, padł martwy – ze wzgórza nad jeziorem ktoś otworzył ogień, a po chwili ogromna eksplozja wyrzuciła w powietrze wielgachne bryły lodu. Kiedy odłamy opadły, okazało się, że Morgen żyje, zaś jego prześladowcy albo już nie żyli, albo wydawali ostatnie tchnienie.

„Pański przyjaciel miał wiele szczęścia”, oznajmił wtedy oberleutnant, „Ale mnie nie wymknie się z rąk”. Wyciągnął parabellum i wymachiwał nim przed twarzą Yosta. Potem, nic więcej nie mówiąc, wyszedł. Yost słyszał stukanie jego butów, gdy przechodził przez następny pokój, a potem trzaśnięcie drzwiami, kiedy nazista wyszedł na niewielki ganek.

– Krzyczałem do Morgena, żeby zawrócił – ciągnął Yost – lecz on mnie nie

słyszał.

Ridgeway słuchał w napięciu opowieści, a kęs kanapki ugrzązł mu w gardle niczym kamień.

– Patrzyłem, jak Morgen zbliża się – podjął Yost. – Szedł w stronę chaty chwiejnym krokiem przez śnieg, nie mając pojęcia, że czeka tu na niego oficer SS.

Przypuszczam, że oberleutnant przybył tu z zamiarem przesłuchania nas obu, ale zbliżające się oddziały aliantów, które dotarły już do pobliskich wzgórz, najwidoczniej wpłynęły na zmianę jego zamiarów. Postanowił nas zabić, by zyskać na czasie.

Yost skrzywił się, przesuwając nogi na podnóżku.

– Ostatnie dni to był prawdziwy obłęd. To on sprawił, że czyniliśmy rzeczy, których... Cóż, przypuszczam, że nie będzie pan w stanie w pełni tego zrozumieć.

Yost wiedział, że kiedy oficer SS zabije Morgena, wróci do chaty, by pozbyć się także i jego. Stawką było jego własne życie i życie Morgena. Wyciągnął więc rękę tak daleko, jak zdołał, i rozbił tafelę lustra zawieszoną na ścianie.

– Chwyciłem największy odłamek rozbitego szkła – relacjonował Yost, unosząc do góry okaleczoną lewą dłoń, żeby Ridgeway mógł ją zobaczyć – i odciąłem kawałek mięśni i ścięgien z kciuka lewej dłoni.

Podobnie jak zdesperowane zwierzę, schwyte w wnyki, odgryza uwięzioną łapę, postąpił podobnie. Wreszcie lewa dłoń wysunęła się z obrączki kajdanek. Potem, nie zwracając sobie głowy krwawiącą raną, wybiegł z chaty i popędził w kierunku oberleutnanta.

– Nie pamiętam, żebym odczuwał wtedy jakikolwiek ból. – Yost spoglądał na pokrytą bliznami i skręconą dłoń, mając w oczach zdumienie. – Ale pamiętam desperację, jaka mnie pchała do działania. Wybiegłem przez frontowe drzwi, wciąż ściskając w prawej dłoni zakrwawiony odłamek lustrzanej tafli.

Zobaczył oberleutnanta, który stał w drugim końcu ganku z uniesionym pistoletem, dostrzegł też ojca Morgena wychodzącego zza rogu domu. Yost rzucił się na oficera z wyszczerbionym i ociekającym krwią odłamem szkła uniesionym w górę niczym sztylet. Oficer mierzył prosto w głowę księdza. Ten zamarł w bezruchu, a na jego twarzy pojawił się wyraz bezsilnej rezygnacji.

– Usłyszałem strzał na moment przed tym, jak czubek szklanego odłamku wbił się

w plecy oberleutnanta – relacjonował Yost, kiwając ze smutkiem głową. – Zabrakło mi sekundy, być może nawet pół sekundy, a nigdy nie zdołałby wystrzelić.

Potem Yost wyciągnął szklany odłam z karku leżącego i dźgnął go ponownie, raz jeszcze. Niemiec osunął się na ziemię, z rozciętych tętnic płynęła krew, zabarwiając śnieg na kolor szkarłatny.

– Nie pamiętam wiele z tego, co działo się potem, poza tym, że poszedłem zobaczyć, co z Hansem.

Na twarzy Yosta malował się wyraz cierpienia i bólu.

– Był bardzo ciężko ranny w głowę. Przez dziurę w czaszce widziałem fragmenty szarej substancji.

Wtedy najwidoczniej wpadłem w obłąd, gdyż dalej nic już nie pamiętam. Mam lukę w pamięci aż do chwili, kiedy amerykański żołnierz odciągnął mnie od ciała esesmana. Musiał uderzyć mnie w policzek i wyrwać mi siłą z dłoni szklany odłam. – Yost spojrzał prosto w oczy Ridgewayowi. – Później ten żołnierz opowiedział mi, że kiedy po raz pierwszy mnie zobaczył, siedziałem okrakiem na piersiach oberleutnanta i wbijałem mu szkło w oczy.

Głos Yosta przycichł.

– A tamten... wciąż jeszcze żył. Ten amerykański żołnierz powiedział, że słyszał jego jęki.

Yost pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Obłąd. Przypuszczam, że jedyną rzeczą, jaką zdrowy na umyśle człowiek może zrobić w czasie wojny, jest popaść w szaleństwo.

Przez dłuższą chwilę milczał. Ciszę przerywały jedynie trzaskające drwa w kominku oraz skrzypienie dźwigu dochodzące z placu budowy. Nie słyszeli szumu windy, którą ściągnęli do holu czterej mężczyźni ubrani w eleganckie garnitury.

Rozdział 25

Panele z sufitu prywatnej windy Yosta leżały zdemontowane na podłodze kabiny windy, a dwaj mężczyźni przyczepiali do zamkniętych drzwi ładunki wybuchowe.

– Ostrożnie – powiedział ten, który siedział w samochodzie obok kierowcy; bez wątplenia był szefem grupy. – Po wpadce w magazynie ta akcja musi przebiec perfekcyjnie. Upewnijcie się, że ładunki są dostatecznie mocno doczepione. Musimy mieć pewność, że impet będzie skierowany na zewnątrz. W przeciwnym razie...

Nie dokończył, lecz to, co zamierzał powiedzieć, było oczywiste. Ładunki mogły równie dobrze pozbawić życia ich; dlatego zakładanie wymagało prawdziwych umiejętności. Mężczyzna obejrzał dokładnie efekt pracy podwładnych i wreszcie wyraził zgodę na kontynuowanie operacji.

– W porządku. A teraz wszyscy na górę.

Z pomocą mężczyzny, który zdążył się już wdrapać na wierzch kabiny, dołączyli do niego i przykucnęli pomiędzy linami.

– Ostrożnie z przeciwwagami – ostrzegł dowodzący operacją, naciskając guzik najwyższego piętra. Gdy winda ruszyła w górę, rozwinął druty detonatora i podał je jednemu z ludzi. Potem wspiał się i dołączył do reszty.

Syn Yosta wszedł do pokoju, żeby zabrać pustą już tacę i zaproponować piwo. Seth podziękował. Było mu wystarczająco mdło.

– Po tym, jak Amerykanin uderzył mnie w twarz – kontynuował Yost, gdy syn opuścił pokój – ocknąłem się, jakbym zbudził się z koszmarne snu. Spoglądałem na to, co zrobiłem z tym człowiekiem, i nagle poczułem, że mdleję, prawdopodobnie z upływu krwi.

Zapadła chwila ciszy.

– Morgen i ja pozostawaliśmy w kontakcie przez wszystkie te lata – podjął Yost. – Później, kiedy wyleczył się w dużym stopniu z amnezji, opowiedział mi o wszystkim, co zobaczył w silnie strzeżonej kopalni w Alt Aussee. Zrobił to, bo obawiał się, że wkrótce umrze, a nie chciał, żeby sekret opuścił ziemski padół razem z nim. Dlatego opowiedział mi całą tę historię.

- To znaczy co? – przerwał niecierpliwie Seth.
- Uważam, że opowie panu o tym już osobiście Hans Morgen.
- Morgen? Czy jest w Zurychu?

Yost zaprzeczył ruchem głowy.

– Jest w Alt Aussee. A raczej będzie do czasu, aż pan tam dotrze. – Ale...

– Niech mnie pan wysłucha uważnie – tym razem Yost mu przerwał. – Obraz, który znajduje się w pańskich rękach... – To klucz do wszystkiego, co przydarzyło się panu i pańskiej żonie... a także mnie i Hansowi... w ciągu czterdziestu lat.

– Jak to? – zapytał Seth. – Nie rozumiem.

– Już niebawem zrozumie pan wszystko – zapewnił go Yost. – Ale teraz musi pan wysłuchać dokładnie mojej instrukcji. Otrzyma pan tylko jedną szansę. Rozumie pan?

Spoglądał surowym wzrokiem na Setha, który skinieniem głowy potwierdził, że przyjął to do wiadomości.

– Musi pan zanieść obraz do siedziby Thule Gesellschaft Bank przy Bahnhofstrasse, po północnej stronie Paradeplatz. Poprosi pan o rozmowę z pewną osobą z zarządu banku. Przekaze jej pan obraz i zażąda w zamian dostępu do skrytki depozytowej. Człowiek ten będzie wiedział, co ma robić.

– Ale cóż to ma wspólnego z...?

Yost znów kiwnął głową przecząco.

– Nie wiem. Naprawdę bardzo chciałbym móc powiedzieć to panu. W ciągu czterdziestu lat, kiedy ja i Hans podążaliśmy tropem tego obrazu, zdołaliśmy dowiedzieć się jedynie, że stanowi on klucz dostępu do skrytki depozytowej oraz że zawartość skrytki ma zasadnicze znaczenie dla odzyskania Pasji Zofii.

– Słucham? W jaki sposób...

– Wyjaśni to Morgen – nie pozwolił mu dokończyć pytania Yost.

– Dlaczego mam czekać? Błagam, niech pan powie mi o tym teraz – naciskał Ridgeway. – Wszystko, czego się dowiem, może przyczynić się do odnalezienia Zoe. Odzyskanie jej jest dla mnie ważniejsze od wszystkiego, co jest pogrzebane w jakiejś kopalni od bez mała czterdziestu lat.

Yost uśmiechnął się szeroko.

– Ależ nie musi już pan dalej szukać – oznajmił. – Pańska żona jest w Zurychu.

Zaledwie przed godziną lub coś koło te go rozmawiałem z nią, zanim przybył pan tutaj.

Seth szarpnął się nerwowo w fotelu, jak gdyby raził go nagle prąd wysokiego napięcia.

– Zoe? W Zurychu? Skąd... dlaczego... dlaczego zadzwoniła do pana? Dlaczego nie powiedział mi pan o tym wcześniej? Gdzie ona jest? -

Yost uniósł dłoń w geście nakazującym ciszę.

– Tylko jedno pytanie na raz, tylko jedno, proszę – podjął Yost. – Wiedziała o moim powiązaniu z kolekcją dzieł sztuki w Kreuzlingen, a nie tylko o fakcie, że oparłem w ramy niemal wszystkie dzieła, które Max... zgromadził. Jednak zadzwoniła do mnie nie w sprawie dzieł, lecz w nadziei, że miałem od pana jakąś wiadomość.

Uśmiechnął się.

– Ale dlaczego nie powiadomił mnie pan o tym wcześniej?

– Ponieważ wiedziałem, że wtedy nie wysłuchałby pan ni czego, o czym musiałem panu opowiedzieć – wyjaśnił Yost. – To, co panu wyjawilem, ma kolosalne znaczenie dla mnie, dla pana żony i dla reszty świata.

Seth spoglądał na Yosta szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Gdzie? Gdzie ona jest?

– W pańskim hotelu – odparł Yost. – W Eden au Lac. Seth zerwał się nagle na równe nogi.

– Przez tyle czasu... – W jego głosie pobrzmiwało teraz nie wyobrażalne zdumienie. – Przez tyle czasu byliśmy rozdzieleni, a teraz los sprawił, że spotykamy się w tym samym hotelu.

Stał chwilę w milczeniu, jakby delektując się szczęściem, potem otrząsnął się.

– Dziękuję za poświęcony mi czas i gościnność, panie Yost. Chciałbym...

– Chwileczkę – przerwał Yost, a na jego twarzy pojawił się nagle wyraz zaniepokojenia. – Niech mi pan przyrzeknie, że pojedzie pan do Alt Aussee i spotka się z Hansem. Książd Morgen naraził się na bardzo poważne konsekwencje, decydując się na spotkanie z panem.

– Ja...

Seth miał zamiar wyjaśnić, że musi zapytać o to żonę, kiedy podłoga pod ich stopami zadrżała, a ułamek sekundy później dobiegł dudniący odgłos eksplozji.

– Ta cholerna ekipa budowlana – wrzasnął poirytowany Yost. – Ich żuraw znów uderzył w ścianę naszego budynku!

Ale to nie był żuraw. Nagle zza wzmocnionych dębowych drzwi, które prowadziły do gabinetu, dobiegły odgłosy serii wystrzeliwanej z broni syna Yosta, potem usłyszeli kaszlącą odpowiedź automatycznej broni wyposażonej w tłumiki.

– Ojcie! – usłyszeli krzyk. – Oni tu są!

Nie mieli wątpliwości, że były to ostateczne słowa Jacoba Yosta juniora.

– Szybko, niech pan zamknie drzwi, panie Ridgeway – krzyknął Yost. – Są bardzo mocne.

Seth słyszał tupot biegnących oraz ich ściszone, nerwowe głosy. Zerwał się na równe nogi i rzucił w stronę dębowych drzwi. Nim ktoś z tamtej strony nacisnął klamkę, udało mu się chwycić gałkę rygla i zasunąć go szybkim ruchem. Usłyszał przekleństwa. Potem zaskrzypiały zawiasy, gdy któryś z napastników uderzył w drzwi ciałem. Jęknęły, ale trzymały się mocno.

Nagle Seth uświadomił sobie, kiedy słyszał już podobne odgłosy wydawane przez broń. Było to na łodzi, tam, po drugiej stronie świata. Wtedy, podobnie jak teraz, niewiarygodną opowieść przerwali niewidzialni napastnicy, których pociski przebijały się przez pokład Walkirii. Bez wahania padł na podłogę. W tym momencie wewnętrzna okładzina drzwi eksplodowała gradem kul i długich, postrzępionych dębowych drzazg.

– Na ziemię! – krzyknął Seth, turlając się po podłodze.

Spojrzał na fotel Yosta. Stary człowiek czołgał się z ogromnym trudem w stronę aparatu telefonicznego, stojącego na stoliku obok okna.

Pociski nie przestawały przebijać się przez drzwi, ale traciły niemal całkowicie impet, stając się mniej groźne. Niestety, jedna kula trafiła starca w bok, tuż poniżej pachy. Na szlafroku natychmiast zaczęła tworzyć się krwawa plama. Ciało Yosta zeszywniało i jakby uniosło się w górę. Seth widział to jakby na zwolnionym filmie. Potem latało w powietrzu, a moment później uderzyło w stojak z kominkowymi przyborami.

Seth podpełznął do fotela, na którym leżał jego płaszcz, wyciągnął magnum i zanurkował za fotel w chwili, gdy drzwi gabinetu otworzyły się z rozmachem.

Pierwszy z mężczyzn krzyknął coś w języku, którego Seth nie rozumiał.

Rosyjski? Tamten spojrział na ciało leżące przy kominku i na wszelki wypadek wystrzelił kilka razy.

– Sukinsyny! – wrzasnął Seth, strzelając do napastnika. Kula trafiła tamtego w tułów, podrzucając do góry. Pocisk przeszedł przez całe ciało i roztrzaskał kręgosłup. Bandyta zginął, zanim zdążył uderzyć o podłogę.

Ciszę wypełniły krzyki pozostałych napastników. Nie miał już wątpliwości, że mówili po rosyjsku. W jaki sposób udało im się go odnaleźć? Jakim cudem wytropili go mimo wszystkich środków bezpieczeństwa zastosowanych przez Yosta?

Nie pora była jednak teraz na rozmyślania. Wystrzelił po raz drugi, zmuszając ich do odstąpienia od drzwi gabinetu. Gadali coś gorączkowo w korytarzu, widać usiłowali się przegrupować.

Seth przeczołgał się do telefonu, aparat był głuchy. Tak więc został osaczony. Sam jeden. Obaj Yostowie już nie żyli. Usiłował opanować się.

Niech Cię szlag, Boże! Dlaczego ja? Daj mi choć raz odsapnąć i z kieszeni płaszcza wyciągnął garść amunicji. Tuzin dodatkowych naboí. I cztery, które zostały jeszcze w magazynku. W sumie szesnaście. Przeciwno ilu napastnikom?

Chwilę później gabinet pustoszył zmasowany ogień; pociski ryły posadzkę, ściany i sufit. Seth skulił się, a kule przecinały przestrzeń dokoła niego. Przewrócił fotel na bok, ale była to nader licha ochrona. I znów przypomniały o sobie lata treningu w akademii policyjnej oraz ostrej zaprawy na ulicach. Pozwól działać odruchom, ruszaj się szybko, nie daj się zabić, przeżyj.

Wystrzelił dwa razy w kierunku drzwi, po jednym strzale w każdą stronę, potem rzucił się do okna. Przewrócił na ziemię ciężki stół z marmurowym blatem i skrył się za nim, nim kolejna seria przecięła pomieszczenie.

Z korytarza dobiegały nerwowe krzyki, chwilę później jeden z napastników przebiegł na drugą stronę drzwi. Seth strzelił, potem jednak zaklął w duchu. Chcą go podejść i zmusić do marnowania naboí. Nawet jeśli mówią po rosyjsku, z pewnością potrafią liczyć wystrzelone kule.

Po sekundzie usłyszał głośne stuknięcie, a potem odgłos jakiegoś przedmiotu turlającego się po podłodze. Rozejrzał się i dostrzegł mały ręczny granat, który leżał teraz zaledwie kilkanaście centymetrów od blatu stołu. Zdesperowany puścił broń i odrzucił

przez otwarte drzwi. W ułamku sekundy znalazł się w schowaniu za blatem stołu.

Impet uniósł stolik i przycisnął Ridgewaya do ściany. Przez moment słyszał wyłącznie dzwonięcie w uszach, potem ogłuszający ryk, jaki zapamiętał z pierwszych dni szkolenia w akademii, kiedy to zapomniał założyć ochronne nauszники. A gdzieś z oddali dochodziły jakieś głosy. Seth zdążył odepchnąć blat stołu, gdy do gabinetu wpadło dwóch mężczyzn z bronią gotową do strzału. Jeden z nich wystrzelił krótką serię w stronę Ridgewaya. Seth dał jednak nurka za blat; marmurowe odłamy sypały się na podłogę jak grad, gdy szukał po omacku pistoletu. Gdzie go zostawił?

W panice przeszukiwał podłogę dookoła siebie; słyszał zbliżające się kroki mężczyzn. Kolejna seria spowodowała kolejny grad marmurowych odłamków, które pofrunęły w głąb gabinetu.

Jest! Dostrzegł magnum obok ściany. Rzucił się desperacko w tę stronę i chwycił pistolet. Obracając się, ponad dziobaty od kul blatem stołu, dostrzegł głowę najbliższego z mężczyzn. Napastnik podniósł broń.

Seth dokończył obrót i wystrzelił. Lewa połowa twarzy mężczyzny dosłownie oderwała się, a napastnik wydał charczący odgłos, zanim runął na podłogę.

Usłyszał pospieszne kroki drugiego, który wybiegł z pokoju. Szybko, pomyślał Seth. Musi działać szybko. Drugi raz nie popełni tego samego błędu z granatem.

Rozglądał się rozpaczliwie po gabinecie, szukając wyjścia. Były w nim tylko jedne drzwi i jedno okno, teraz całkowicie pozbawione szyb. Miał najwyżej kilka sekund do chwili, gdy znów wrzucą granat do środka.

Wsunął magnum za pasek spodni i wstał. Machnięciem ręki odsunął zasłonę i wyrzwał; dojrzał czarną czeluść – siedem pięter. Bezpośrednio przed sobą, w odległości dwudziestu pięciu do trzydziestu metrów dostrzegł oświetloną kabinę operatora dźwigu. Ramię żurawia pozostawało w bezruchu. Wzrok Seta pobiegł wzdłuż ramienia, potem w dół do metalowego pojemnika, do którego wlewano właśnie beton z betoniarki. Ogłuszający huk na placu budowy sprawił, że nikt nie słyszał odgłosów strzelaniny na siódmym piętrze.

Rozglądał się nerwowo za jakimś gzymsem, czy czymś, co mogłoby być podporą dla palców stóp, gdy zobaczył, że pojemnik z betonem unosi się do góry. Po chwili ramię żurawia zaczęło obracać się w jego kierunku, stopniowo przyspieszając.

Co takiego powiedział Yost tuż po eksplozji? Żuraw. Zaklął, sadząc, że dźwig znów zahaczył o budynek. Nagle za plecami Seth usłyszał znajome szczęknięcie w korytarzu. Chyba się nie mylił?

Ramię żurawia zbliżało się. *Nie pozwól, Boże, by się zatrzymało. Nie pozwól, by się zatrzymało.*

Przykucnął obok okna, czekając na szansę.

Nie miał wątpliwości, czym był odgłos dochodzący z korytarza. Odgłos wrywanej zawlecзки.

Ramię dźwigu było coraz bliżej; sześć metrów, cztery, trzy, wskoczył na parapet... Półtora metra...

Usłyszał, jak granat uderza o podłogę. Spojrzał w dół, w czarną czelusć, potem skoczył na przesuwaną się belkowaną ramię żurawia.

Fala uderzeniowa uniosła go i pchnęła do przodu, uderzając nim o metalową kratownicę. Za sobą usłyszał przytłumiony huk eksplozji, której impet tłumili potężne silniki dźwigu oraz silniki ciężarówek jeżdżących na dole, a także warkot młotów pneumatycznych.

Maksymalnie napiął mięśnie, szukając podpory dla rąk i jednocześnie usiłując ochronić głowę. A jednak udało się!

Wymachując rozpaczliwie nogami, zaczepił kolanem o narożnik złożonej z trójkątów kratownicy. Przez chwilę, która zdawała się trwać wieki, wisiał głową do dołu, niesiony w mroku przez ramię żurawia na wysokości siódmego piętra. Wyczuł, jak magnum wysuwa się z za paska spodni. Spojrzał w dół i zakręciło mu się w głowie. Nagle poczuł, że oczy zalewa mu gęsta, ciepła ciecz. Upłynęło kilka chwil, zanim pojął, że to krew ciekąca mu z nosa. Otarł twarz.

Dopiero teraz dosłyszał krzyki dobiegające z dołu. Ludzie na placu budowy dostrzegli go wiszącego na dźwigu, ramię żurawia zaczęło spowalniać.

Nie. Boże, błagam. Nie pozwól, żeby zatrzymali dźwig.

Niemal nadludzkim wysiłkiem podciągnął się do góry i usiadł okrakiem na dolnej belce ramienia. W tym momencie w oknie gabinetu Yosta, w odległości mniejszej niż piętnaście metrów, pojawiły się dwie głowy. Mężczyźni spojrzeli na dół, usiłując dostrzec miejsce, gdzie powinien teraz leżeć.

Ramię dźwigu przesunęło się o następne dziesięć metrów, ciągnięte bezwładem pojemnika wypełnionego po brzegi betonem, potem zatrzymało się. Seth raz jeszcze otarł krew płynącą z nosa i usiłował zebrać myśli. Uderzenie w głowę zaburzyło jego zmysł równowagi. Przez moment miał wrażenie, że dźwig znowu ruszył. Potem otoczenie znieruchomiało.

Nagle ponad sobą dosłyszał czyjś krzyk. Spojrzał w okno gabinetu Yosta i zobaczył, że jeden z mężczyzn zauważył go. Napastnicy unieśli broń. Seth ruszył między szczeblami kratownicy ramienia żurawia w stronę kabiny.

Operator najwyraźniej dostrzegł, co się dzieje, bo potężny silnik żurawia ryknął i ramię znów zaczęło się przesuwac, zamieniając Seta w ruchomy cel i przesuwając go w ciemność, a tym samym oddalając od zabójców.

Z okna dobiegły kolejne krzyki, a chwilę później szklane ściany kabiny operatora eksplodowały pod gradem kul. Seth patrzył, jak mężczyzna szarpnął się i osunął na pulpit sterowniczy. Ułamek sekundy później silnik dźwigu znów zaryczał, a ramię zaczęło obracać się coraz szybciej.

Z sercem walącym jak młot i mięśniami naprężonymi do bólu Seth przesuwac się między szczeblami kratownicy, zmagając się z coraz większą siłą odśrodkową. Dobrze wiedział, że w każdej chwili może znów stać się łatwym celem dla napastników. Wreszcie dotarł do pionowej części konstrukcji żurawia; kule odbijały się z brzdękiem od stalowych belek. Na ziemię dotarł w połowie schodząc, w połowie spadając.

Kiedy znalazł się na dole, czyjeś krzepkie ramiona odciągnęły go do tyłu – ramię dźwigu pędziło teraz jak szalone, wznecając snop iskier, a po chwili uderzyło w budynek domu Yosta. Betonowe płyty służące za przeciwwagę runęły w dół, niszcząc fragmenty rusztowania, zaledwie chwilę po tym, jak uciekli stamtąd robotnicy.

Twarc i szyja Seta umazane były krwią. Chwiejnym krokiem przepychac się między przerażonymi robotnikami, pierzchającymi na wszystkie strony, byle dalej od oszalałego żurawia, który chybotał i skręcał, a jego ramię wciąż przyspieszało, niczym uszkodzona karuzela w wesołym miasteczku. Po chwili stalowe liny pękły, wydając przy tym przeraźliwy odgłos. Seth patrzył ze zgrozą, jak pionowa konstrukcja podporowa zaczyna się odkształcać. Wtedy popędził co sił w mrok nocy.

Rozdział 26

Pod służbowe wejście na tyłach hotelu Eden au Lac podjechał ambulans ze znakami białego krzyża na czerwonym tle umieszczonymi po bokach oraz na drzwiach auta. Na tylnym fotelu siedział z bardzo posępną miną pułkownik KGB Mołotow, po raz setny przeklinający pecha, jaki nie przestawał gnębić kierowanej przez niego operacji. Kobieta wymknęła im się. Po jej ucieczce otrzymał upomnienie, że dalsze potknięcia, nawet drobne, nie będą tolerowane. Kazano mu ją odnaleźć i za wszelką cenę pojmać, miał również dopaść jej męża. Poszczyściło mu się tylko w jednym – agent w Paryżu przechwycił telefon, dzięki czemu dowiedzieli się, że mąż tej kobiety wybiera się do Zurychu. Spojrzał na zegarek. Druga podległa mu drużyna powinna już faceta mieć w swych rękach. Mołotow zdawał sobie sprawę, że połajanka, jakiej musiał wysłuchać, pójdzie w niepamięć, jeśli tylko obraz wpadnie w jego ręce. On zaś miał zamiar dołożyć wszelkich starań, by tak właśnie się stało. Raz jeszcze spojrzał na paszportowe zdjęcia Rigdewaya.

– Jesteście członkami personelu karetki pogotowia. Pamiętajcie o tym. I nie zapominajcie, że chcemy mieć pana i panią Ridgeway żywych. Jeśli będzie to konieczne, możecie ich zranić, ale nie wolno wam zabijać. Mają coś, co jest nam bardzo potrzebne.

Tymczasem Zoe odłożyła słuchawkę telefonu.

– Nie rozumiem. Gdzież on może się podziewać? – Spojrzała na Strattona i Cartiere’a. – Dzwoniłam do jego pokoju chyba z tysiąc razy. Zostawiliśmy wiadomość na drzwiach, w jego przegrodce w recepcji... i wciąż nic. Gdzież on się podziewa?

Zoe usiadła i ponuro spoglądała w okno. Znowu znalazła się w realnym świecie; świecie, do którego przez wszystkie te miesiące tęskniła, a jednak wciąż czegoś jej brakowało. Czegoś, co sprawiłoby, że świat znów stałby się rzeczywisty. Zdała sobie teraz sprawę, ileż znaczył dla niej związek z Sethem. Dopóki znów nie będą razem, nie poczuje, że znowu jest tą osobą, którą była kiedyś.

Jej myśli przerwał Cartiere.

– Jestem pewien, że wkrótce zadzwoni. Być może wybrał się na świąteczne zakupy.

Była to najdłuższa wypowiedź, jaka padła z ust ochroniarza, odkąd się poznali.

Zoe usiłowała zmusić się do uśmiechu.

– Mam nadzieję, że się pan nie myli. – Mówiła tak cicho, że mężczyźni musieli się pochylić, by dosłyszeć jej słowa. – Oczywiście, przecież jest Boże Narodzenie.

Spojrzała na nich, potem jej wzrok stał się nieobecny. Rozległ się dzwonek telefonu. Zoe podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Zoe? Zoe, to naprawdę ty?

– Seth! – Jej głos zaczął się załamywać, a ręce drżały z przejęcia. – Ach, Boże! To ty. Seth, jestem taka szczęśliwa, słysząc twój głos. Ach, Boże.

Nie wytrzymała dłużej i rozplakała się, pochlipując cicho.

– Tak bardzo tęskniłam za tobą, kochanie. Tak bardzo tęskniłam.

Łzy popłynęły wartkim strumieniem, wreszcie poczuła ulgę.

– Zoe... Zoe. Zoe, posłuchaj mnie przez chwilę. Potrzebuję twojej pomocy.

Poczuła nagle ukłucie w sercu. Słyszała jego ciężki oddech.

– Seth? Gdzie jesteś? Nic ci nie jest?

Seth rozejrzał się dokoła. Stał w budce telefonicznej przy Gloriamstrasse, po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko wejścia do Szpitala Uniwersyteckiego. Obok budki przechodziły grupki studentów, po dwie lub trzy osoby; niektórzy już w białych kitlach, inni, widać z młodszych lat, ubrani normalnie. Nikt nie zwracał na niego uwagi, ale z pewnością nie potrwa to długo. Już za parę minut zaczną go poszukiwać.

W oddali, od strony budynku, w którym mieszkał Yost, dobiegło wycie syren.

– Tak, nic mi nie jest... przynajmniej na razie. Jestem w Zurychu i...

– Wiem – przerwała mu Zoe. – Ale gdzie?

Seth przekrzywił głowę w jedną stronę, wsłuchując się w coraz głośniejsze wycie syren. Odgłosy dochodziły z kierunku, z którego przybiegł.

– Posłuchaj, dysponujesz jakimś samochodem? – zapytał niecierpliwie.

Zoe zawahała się.

– Tak, mam... mamy do dyspozycji auto. George Stratton spojrzał na nią pytająco.

– To Seth – potwierdziła.

– Słucham? – zdziwił się Seth.

– Powiedziałam to do George'a Strattona. Pracuje dla rządu... Uratował mi życie.

– Co zrobił? – zapytał zdezorientowany Ridgeway.

W tym właśnie momencie dostrzegł samochód policyjny, a za nim karetkę pogotowia.

– Nieważne. Skarbie, musisz zabrać mnie stąd najszybciej, jak tylko będziesz w stanie.

– Zabrać skąd?

– Jestem po drugiej stronie ulicy naprzeciwko wejścia do Szpitala Uniwersyteckiego... na wzgórzu ponad Starym Miastem po wschodniej stronie. Ja...

Zza rogu wyjechał powoli drugi policyjny wóz bez włączonego koguta i syreny. Policjant siedzący obok kierowcy przesunął światło reflektora na ściany domów i chodniki. Czy ktoś go wcześniej zauważył? Samochód znajdował się o niecałe sto metrów od niego, a jaskrawy snop światła przebijał się przez mrok.

– Muszą stąd zniknąć – odezwał się Seth. – Spotkaj się ze mną w GroBmiintser.

– Gdzie? – zapytała Zoe.

Seth odniósł wrażenie, że policjant z reflektorem spogląda właśnie w jego kierunku.

– GroBmiintser. To olbrzymi kościół. Zapytaj kogoś. Nie czekając na odpowiedź, odwiesił słuchawkę i zniknął w ciemnościach.

Rozdział 27

GroBmiintser – powtórzyła Zoe, wiążąc sportowe buty i nakładając płaszcz. – Wydaje mi się, że jest to kościół gdzieś w pobliżu rzeki.

– Wiem, gdzie to jest – warknął Stratton. – I nie potrzebuję żadnej pomocy w przywiezieniu tu pani męża. Chcę, żeby pani została tu z Richem, gdzie będzie pani bezpieczna.

– Do jasnej cholery – zaklęła Zoe, stając między Strattonem a drzwiami. – Zamierzam zobaczyć się z nim bezzwłocznie i nie powstrzyma mnie pan przed tym. Nie jestem walizką, którą może pan rozstawiać po kątach.

Stratton spojrzał na Cartiere'a, który stał, czekając na polecenie, potem znów na Zoe.

– Mógłbym kazać przytrzymać panią tutaj do czasu mego powrotu – oznajmił. – Jednak nie chcę bez potrzeby narażać Richa. Trudno przewidzieć, co pani strzeli do głowy.

Spojrzał na ochroniarza.

– Ubieraj się. Wolę wdać się w konflikt z KGB, niż spierać się z nią.

Potem dał Zoe znak, żeby stanęła z boku, otworzył drzwi i wyjrzał ostrożnie.

– Droga wolna – zakomunikował. To może być niebezpieczne. Chcę, żeby przyrzekła pani wykonywać moje polecenia szybko i bez ich kwestionowania.

Zoe skinęła potakująco, wiedząc, że jest to cena, jaką musi zapłacić za możliwość szybkiego zobaczenia Setha. Wyszła na korytarz, tuż za nią podążał Cartiere. W duchu jednak decyzję podjęła już, kiedy i gdzie będzie wykonywać polecenia Strattona. Cartiere zdążył zamknąć drzwi od apartamentu, kiedy telefon w salonie znowu dzwonił.

– Niech się pan pospieszy. – Zoe ponagliła ochroniarza, który grzebał w kieszeni, szukając klucza. – To może być znowu Seth!

Telefon zadzwonił trzeci raz, potem czwarty. Przy piątym dzwonku Cartiere otworzył drzwi, a Zoe popędziła do aparatu stojącego na stoliku przy łóżku.

Zdjęła słuchawkę z widełek.

– Halo? – Nikt nie odpowiadał. – Halo? Czy ktoś tam jest? Trzasnęła słuchawką o widełki.

– Cholera! Cholera! Cholera! – przeklinała. – Za późno. Przez moment jeszcze czekała, ale już nie zadzwonił.

– Ruszajmy – zawołał Stratton z korytarza; dołączyli do niego bez zwłoki.

Pułkownik KGB Mołotow uśmiechnął się szeroko i spokojnym ruchem odwiesił słuchawkę hotelowego telefonu na widełki.

– Jest w swoim pokoju – odezwał się do mężczyzn stojących obok.

– Ty – wskazał na kierowcę ich auta – pójdiesz ze mną schodami.

Potem zwrócił się do pozostałych.

– Pojedziecie windą i zaczekacie przy niej na nas.

Nie czekając na potwierdzenie, Mołotow ruszył dziarskim krokiem schodami wyłożonymi puszystym chodnikiem, zapominając na chwilę o bólu powodowanym przez rany głowy.

Rich Cartiere wyczuł drżenie podłogi pod podeszwami butów.

– Stójcie – odezwał się, zatrzymując muskularnym ramieniem Zoe i Strattona.

Wyciągnął broń i przyłgął do ściany.

– Co się dzieje? – zapytał Stratton, dosłownie przyklejając się do ściany klatki schodowej i polecając Zoe gestem, by uczyniła to samo.

– Kroki – szepnął Cartiere. – Ktoś biegnie po schodach... z dołu.

Stratton zatrzymał się i nasłuchiwał.

– Może to bawią się dzieci? Nie słyszę...

– Dzieci hałasują – odparł Cartiere. – Powinniśmy więc słyszeć nie tylko odgłosy kroków.

Cartiere stapał ostrożnie, zachowując całkowite milczenie i wysuwając do przodu lufę uzi. Stratton szedł pół kroku za nim, trzymając w gotowości automat. Zoe zamykała pochód.

Mołotow przytulił się do niszy drzwi jednego z hotelowych pokoi. Po drugiej stronie korytarza kierowca również usiłował zejść z widoku, kryjąc się w wąskim zagłębieniu. Obaj mieli w dłoniach pistolety maszynowe.

– Słyszysz ich? – zapytał szeptem Mołotow.

– Skąd wiesz, że jest ich kilkoro?

– Instynkt. Gdyby było inaczej, z pewnością nie rozmawialiby ściszonymi głosami. I dlaczego jeszcze nie zeszli na dół? Są na górze już bardzo długo. I zachowują się bardzo ostrożnie. Usłyszeli nasze kroki. To jedyne wytłumaczenie.

Cartiere dostrzegł obu mężczyzn w korytarzu dokładnie w chwili, kiedy jego stopa opuszczała ostatni stopień schodów prowadzących na pierwsze piętro. Był zadziwiająco szybki jak na swój wzrost i zapewne przeżyłby, gdyby nie stracił cennych sekund na odepchnięcie ramieniem Strattona i Zoe.

– Cofnijcie się! – krzyknął, podnosząc uzi i celując do mężczyzny, stojącego po drugiej stronie korytarza. Widział, jak tamten podnosi broń, jednocześnie kątem oka dostrzegł drugi pistolet maszynowy w niszy innych drzwi. Strzelaj i po chyl się; strzelaj i pochyl się; w uszach znów miał krzyk starego sierżanta, instruktora z wojska. Nacisnął spust, seria trafiła mężczyznę w twarz i rąbnęła jego głowę o drzwi.

Mołotow, który stał niecałe dwa metry obok, poczuł na twarzy ciepłe bryzgi. Wyskoczył i wycelował w olbrzyma; kule uderzyły w potężny tors i w brzuch Cartiera. Wyraz mściwej satysfakcji zniknął jednak z twarzy pułkownika KGB, gdyż kolos, jakby nie czuł ran, nadal obracał się w jego kierunku. Tylko na jego płaszczu wykwitły jaskrawoczerwone plamy.

– Zdychaj, niech cię szlag – wymamrotał Mołotow, kolejny raz opróżniając magazynek.

Olbrzym słabł, a ręce trzymające broń drżały, wciąż jednak stał na nogach. Nagle potrząsnął energicznie głową, jak byk oczekujący na dokończenie przez matadora tego, co rozpoczęli pikadorzy.

Zdjęty przerażeniem Mołotow wpatrywał się, jak wylot lufy automatu kieruje się wprost na jego klatkę piersiową. Wypuścił broń z ręki i rzucił się w bok; kule trafiły w miejsce, gdzie jeszcze przed ułamkiem sekundy stał. Sięgnął błyskawicznie po automat i oddał trzy szybkie strzały w głowę przeciwnika.

O mój Boże! O mój Boże! Rich! Przerażona Zoe stała jak wryta, zaciskając mocno dłoń na poręczu. Stratton przesuwał się po ścianie, usiłując dotrzeć do Cartiere'a. Widziała, jak ochroniarz drga, przy każdej trafiającej go kuli, chwieje się przez moment, a w końcu podnosi broń i strzela. A w następnej chwili dwie kule oderwały mu lewą stronę jego twarzy, potem trzeci pocisk oderwał głowę od tułowia. Trysnęła fontanna

krwi, malując szkarłatny ogon komety na ścianie. Głowę Zoe wypełniły przenikliwe i fałszywie brzmiące tony sekcji dętej oraz smyczków; zdużyła krzyk przerażenia.

Wtedy z góry klatki schodowej dobiegły nerwowe głosy innych mężczyzn. Mówili po rosyjsku, a to oznaczało, że znaleźli się w pułapce. Stratton wahał się jedynie przez ułamek sekundy.

– Trzymaj! – rozkazał, wciskając uzi w jej rękę. – Bezpiecznik jest zwolniony. Przykucnij i rozwal każdego, kto tylko po jawi się na schodach.

Z kabury pod ramieniem wyciągnął automatyczny pistolet i pobiegł w górę. Chwilę później powietrze znów wypełniło się odgłosami strzelaniny. I zupełnie zniemacka zapadła cisza, którą przerywały jedynie jęki konających.

Strach ścisnął ją za gardło. Kto umierał tam na górze? Jeśli to Stratton, znów została sama, zdana tylko na własne siły. Poczwała, jak drży.

– Wracajcie do siebie, w przeciwnym razie wam również odstrzelę łeb!

Zoe rozpoznała głos Mołotowa, skierowany rzecz jasna do ciekawskich hotelowych gości. Drzwi zatrzasnęły się, potem usłyszała zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. Ułamek sekundy później Mołotow wszedł w jej pole widzenia. Przez moment nie bardzo wiedziała, co robić. Broń, którą wcisnął jej do ręki Stratton, trzymała bezwładnie zakrytą fałdami płaszcza.

– Nie ruszaj się – powiedział Mołotow po angielsku.

– Ty! – wydusiła z siebie z goryczą.

Serce waliło jej jak młot; w przyćmionym świetle rozpoznała sylwetkę jednego z mężczyzn, którzy ją więzili w magazynie. Niech to szlag! Reagowała zbyt powolnie, przeklinała siebie w duchu, zaciskając dłoń na uzi i przystawiając palec wskazujący do spustu. Ich spojrzenia spotkały się, a Zoe starała się wytrzymać jego wzrok, jednocześnie powoli unosząc lufę automatu.

Mołotow uśmiechnął się.

– Tak. Ja. Przyszedłem po ciebie.

Szedł w jej kierunku, nie zachowując ostrożności; pistolet zwisał luźno w jego dłoni. Na górze znów ktoś szedł. George? A może któryś ze zbirów? Mołotow zrobił następny krok. Zoe powoli, milimetr po milimetrze podnosiła lufę uzi.

– Teraz pójdziesz ze mną – oznajmił.

I nagle dostrzegł ruch jej ręki i zobaczył pistolet maszynowy. Zaczął podnosić własną broń.

Boże, błagam, pomóż mi, modliła się.

Szybko uniosła broń i nacisnęła spust. Uzi dosłownie eksplodował w jej ręku długą serią; wierzgał, tańczył i terkotał. Zoe zobaczyła, jak klatka piersiowa Mołotowa rozpryskuje się niczym rozgnieciony melon. Jego ciało osunęło się na ziemię. Chwilę później z góry przesunął się jakiś cień. Zoe bez wahania odwróciła się, nie opuszczając broni. George Stratton wtulił się w ścianę.

– Nie strzelaj – wykrzyknął. – To ja.

Na jego spodniach na wysokości bioder widniała czerwona plama. Podbiegła do niego. – Jest pan ranny?

– To nic poważnego – odparł, z trudem utrzymując się na nogach. Po chwili ruszył w górę.

– Chodźmy. Musimy wydostać się stąd. Nie mam pojęcia, czy posiłki są w drodze.

Minęli zwłoki dwóch mężczyzn i wpadli do apartamentu. Zoe wrzucała rzeczy do walizki; słyszała, jak w sąsiednim pokoju Stratton rozmawia przez telefon przygaszonym głosem. Nie była w stanie zrozumieć większości słów, ale wychwyciła nazwisko Richa oraz nazwę hotelu. Po minucie zjechali na najniższy poziom windą służbową znajdującą się w końcu korytarza.

Zoe czuła się okropnie. Pomyślała o Richu Cartierze, a potem o Mołotowie i o tym, że modliła się o jego śmierć. Przypomniała sobie także dwóch mężczyzn, których zabiła w magazynie, co było również odpowiedzią na jej modły. Kiedy wreszcie, zastanawiała się, Bóg da jej szansę pomodlenia się o coś, co nie spowoduje śmierci i cierpień?

Seth Ridgeway ukrył się głęboko w cieniu wejścia i obserwował volvo, które wjechało właśnie na plac GroBmuntser. Policyjne wozy już dwa razy tędy przejeżdżały, ale były to oznakowane radiowozy i miały włączone syreny. To volvo jest inne, pomyślał. Dwie osoby w środku, auto jedzie powoli. Widocznie kogoś szukali. Jego? Poczuł, jak serce zabiło mu mocniej. Światła stopu zaświeciły się na moment, auto

zwolniło, potem zatrzymało się na środku placu, zbyt jednak daleko, żeby mógł rozpoznać ludzi. Widział jedynie szare sylwetki za ciemnymi szybami.

Chwilę później drzwi od strony kierowcy otworzyły się. Mężczyzna, który wysiadł, poruszał się jak gliniarz. Stąpił ostrożnie, obracając głową niczym wygłodniały jastrząb. W jego prawej dłoni dostrzegł pistolet. Mężczyzna poszedł powoli jakieś dziesięć, dwadzieścia metrów z tyłu samochodu, potem tyle samo do przodu. Facet przeszedł na stronę pasażera, pochylił się i powiedział coś do drugiej osoby, która tam siedziała. Potem otworzył drzwi i cofnął się, umożliwiając pasażerowi wyjście z auta.

Kiedy z samochodu wysiadła Zoe, Seth poczuł, że serce przestaje mu bić. Drzwi zamknęły się z głośnym trzaśnięciem, potem ona i mężczyzna o wyglądzie gliniarza stanęli przed maską auta i rozejrzeli się dokoła.

Seth wciąż nie ruszał się z miejsca. Czy naprawdę była to Zoe? W przyćmionym świetle jej twarz przesłaniał cień, ale... ale widział przecież, jak idzie, jak stoi, jak porusza głową, kiedy mówi i jak macha rękoma. Nagle odniósł wrażenie, że ktoś podniósł leżący od dawna na jego sercu głaz. Wyszedł z cienia i szedł powoli, krok za krokiem, jak gdyby nie do końca ufał własnym nogom. Widział, jak ich spojrzenia koncentrują się na nim. Mężczyzna o wyglądzie policjanta trzymał wycelowany w niego pistolet.

– Zoe – krzyknął Seth, nie mogąc już dłużej powstrzymać rozpierającej go radości.

– Seth – zawołała Zoe, jakby nie do końca wierząc, że to rzeczywiście on.

Po chwili nie miała już żadnych wątpliwości. Spotkali się po środku pogrążonego w półmroku GroBmuntserplatz.

– O Boże. – Z oczu Zoe płynęły łzy, kiedy objęła go ramio nami. – O Boże, o Boże, nie sądziłam, że ja kiedykolwiek... my kiedykolwiek... że...

Jej głos załamał się.

– To prawdziwy cud. Cud, za którym stoi Bóg.

Seth spojrzał na nią i poczuł, jak serce mu pęka. Ileż ona musiała przejść. Przyciągnął ją do siebie i przytulił ze wszystkich sił.

– Zoe, ach, Zoe... – Jego głos również się załamywał. – Tak się cieszę, że znowu jesteś. Kocham cię bardzo, bardzo.

Nie słyszeli nic poza własnymi słowami; ani wycia syren, ani hałaśliwych samochodów na Limmat Quai, ani odległego ryku silników odrzutowca przelatującego nad ich głowami. Wszystkie te hałasy zniknęły razem z kościołem GroBmuntser, z placem i samochodem marki Volvo, a także z policjantami i szpiegami. Istnieli tylko oni.

Potem chwila ta przeminęła. Blask świateł nadjeżdżającego auta pobudził Strattona do działania. Podbiegł do volvo od strony kierowcy.

– Wsiadajcie – krzyknął. – Szybko.

Usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Światła nadjeżdżającego auta zrobiły się jaśniejsze. Seth i Zoe pobiegli do samochodu, trzymając się za ręce. Stratton poczuł przez moment ukłucie zazdrości, kiedy tamci wsuwali się na tylne siedzenie. Ruszył natychmiast kiedy tylko Seth zatrzasnął drzwi.

Zbliżające się auto wjechało na GroBmuntserplatz w momencie, kiedy volvo dotarło do drugiego końca przy Oberdorfstrasse. Stratton na moment przyhamował i spojrzął w lusterko wsteczne. Na bokach tamtego samochodu dostrzegł emblematy policji miasta Zurych.

Rozdział 28

Seth Ridgeway obudził się zupełnie zdezorientowany. Nieznane pomieszczenie wzbudzało w nim lęk, ale tylko do chwili, gdy wyciągnął prawą dłoń i dotknął pogrążonej we śnie Zoe. Spała ufna jak dziecko, zwinięta w kłębek, z głową zanurzoną w poduszki. Na ramieniu czuł jej delikatny oddech.

Odprężył się i zaczął rozglądać po nieznanym otoczeniu: sękaty deski, którymi obłożone były ściany, belkowany sufit, szary kamienny kominek oraz ręcznie malowane meble, jak nakazuje ludowa alpejska tradycja. Za jodłami, które widział przez okno świeciło jaskrawe światło poranka, wciąż jeszcze zaróżowionego brzaskiem. Jego umysł pracował na wysokich obrotach. Gdzie właściwie byli? Przypomniał sobie ucieczkę z Zurychu oraz upór Strattona, żeby nawet nie zbliżali się do hotelu Eden au Lac, gdyż z pewnością roilo się tam już od policji.

Pojechali na południe od Zurychu. Pamiętał, że mijali miejscowość Zug, a przed Lucerną zjechali z głównej drogi. Później droga stała się górzysta; widział tablice reklamujące stoki narciarskie oraz zimowe kwatery. W pobliżu było też jezioro, niewielkie jezioro. Stopniowo dochodził do siebie, uspokajał się. Pamiętał. Znajdowali się w bezpiecznym domu, w pobliżu jednego z narciarskich stoków.

Zoe westchnęła przez sen i przytuliła się do niego. Spojrzał na jej twarz i zastanowił się, o czym może śnić. Nieważne, pomyślał, byle tylko nie był to koszmar.

Wyglądała tak niewinnie, była taka krucha. A przecież wiedział, jak bardzo okazała się twarda, skoro zdołała przetrwać tamte katusze. Czy to, co przeżyła, zmieniło ją? Oczywiście, musiało zmienić. Ale czy zmieniło ich oboje?

Myślał o tym przez dłuższą chwilę i w końcu przyznał, że doświadczenia ostatnich miesięcy nie mogły nie wpłynąć na relacje między nimi. Pocieszał się jedynie myślą, że zmiany te nie były negatywne.

Dotknął jej delikatnie; pieścił jej twarz, przesuwając dłoń wzdłuż jej ramienia, potem po wrażliwym łuku na szyi, gdzie kosmyki włosów skręcały się w prowokacyjnym nieładzie. Wydawało mu się, że w ten sposób przywróci wspomnienia i dotrze do określonych miejsc przeszłości. Usłyszał słowa wypowiedziane przez nią poprzedniego wieczora.

To prawdziwy cud!

Czy naprawdę był to cud? Czy Bóg miał w tym jakiś cel? Czy też żaden pieprzony Bóg nie maczał w tym palców i był to wyłącznie zbieg okoliczności, bo światem rządzi jedynie przypadek? Chciał podziękować Bogu, ale uczucie wdzięczności wobec Stwórcy nie nadeszło.

Zoe powoli budziła się.

Wynurzała się stopniowo, przechodząc przez kolejne warstwy snu niczym nurek powracający z głębin. Chwytała świat kawałkami: najpierw dotyk na jej ramionach i szyi, delikatny jak pocałunek, potem jaskrawe poranne światło nowego dnia. Poruszyła się i położyła nogę na płaskim brzuchu Setha, wtulając się w niego. Czuła jego dłonie na plecach, potem niżej, i potem jeszcze niżej. Czuła, jak robi się wilgotna. Czuła też jak on twardnieje, kiedy przesunęła nogę w poprzek jego brzucha.

Kiedy pocałował ją za uchem, otworzyła oczy. Zadrżała.

– Dzień dobry – powiedziała głosem ochryłym od snu.

– Z pewnością taki jest – odparł.

Zaczęli się całować delikatnie, później namiętność wzięła górę.

Kochali się desperacko, jakby robili to po raz pierwszy... albo ostatni. Słońce wzeszło wysoko i zmieniło delikatny różowy odcień na jaskrawą promienistość alpejskiego dnia. Nie zauważali mijającego czasu. Byli tam, gdzie ludzie nigdy się nie starzeją, nie cierpią, nie umierają. Jedynie głupiec chciałby zamienić to miejsce na Niebo.

W końcu rozgrzani, wyczerpani i zrelaksowani zasnęli. Ona tak jak zawsze z głową na prawym ramieniu Setha, on objął ją prawym ramieniem, czołem dotykał jej włosów.

Kiedy George Stratton zapukał do drzwi, było to niczym grom, wrywający ich ze snu, jakiego nie zaznali od ponad sześciu miesięcy.

– Już ósma – powiedział Stratton. – Banki otwierają za dwie godziny. Woda jest gorąca, śniadanie gotowe.

Seth przeciągnął się.

– Okrutny drań – wymruczał z uśmiechem, nasłuchując oddalających się kroków.

Zoe wymamrotała coś do poduszki. Pochylił się nad nią i pocałował.

– Interpol szuka informacji na twój temat – powiedział Stratton, gdy właściciel domku sprzątnął resztki obfitego śniadania, jakie dla nich przygotował. – Jesteś poszukiwany w związku z morderstwem. Zoe zachnęła się.

– Ktoś mocno pociąga za sznurki – wyjaśnił Stratton. – Za leży im na tym, by pozbyć się ciebie.

Seth przytaknął. Wcale go to nie dziwiło. Zbyt wiele razy był blisko, za blisko wydarzeń, by ktoś nie zaczął go z nimi kojarzyć – Rebeka Weinstock i jej szofer, faceci, którzy zginęli na jego łodzi, Tony Bradford, masakra w Amsterdamie oraz zabójcy w mieszkaniu Yosta, a także nieszczęsny operator dźwigu. Śmierć podążała za nim.

– Jakies szczegóły? – zapytał w końcu.

– Wydaje się, że widziano cię w pobliżu ciała profesora Tony’ego Bradforda w jednym z budynków Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles.

– O mój Boże – wykrzyknęła Zoe. – W jaki sposób Tony został wmieszany w to wszystko?

– To długa historia – zaczął Seth. – Lepiej jak rozpocznę od samego początku.

Pociągnął długi łyk kawy i przystąpił do relacji.

– Spałem na łodzi – zwrócił się do Zoe. – Nie mogłem zostać w naszym domu... gdy ciebie w nim nie było. Wszystko przypominało mi ciebie. Czulem się tak, jakby w nim straszło.

Wziął głęboki oddech.

– Pewnego ranka lało jak z cebra i byłem nieźle przestraszony, gdy ktoś zapukał do włazu zejściówki.

Opowiedział o Rebecce Weinstock oraz o zabójcach, o szoferze i George’u Strattonie. – A więc Walkiria zatoneła? – zapytała ze smutkiem Zoe.

Opowiedział jej resztę zdarzeń. O tajemniczym motelu, który okazał się bezpiecznym domem, o odzyskaniu malowidła oraz o odkryciu zwłok Bradforda. A następnie o przelocie do Amsterdamu i zabójcach, którzy go tam odnaleźli.

– Czy ten ksiądz powiedział słowo „brown”? – dopytywał się Stratton. – Jesteś pewien, że to właśnie powiedział?

Seth przytaknął. Stratton chciał więcej wiedzieć o tajemniczej grupie duchownych

w Watykanie.

Zoe i Stratton w milczeniu przez niemal dwie godziny słuchali opowieści Setha, od czasu do czasu tylko rzucając jakieś pytanie.

– Cóż, sądzę, że powinniśmy ruszać – rzekł na koniec Stratton. – Zakładam, że ten ojciec Morgen, o którym wspominał ci Yost, nie będzie siedział w Alt Aussee bez końca.

– W porządku – odparł Seth. – A zatem karuzela rusza!

Rozdział 29

Ulica Bahnhofstrasse była jak zawsze zatłoczona. Wzdłuż niej parkowały, stykając się niemal zderzakami, mercedesy i limuzyny, a tłumy mieszkańców Zurychu, dźwigających ciężkie pakunki, mijały okna niedużej restauracji. Z oddali dobiegł ich śpiew kolędników. Zatrzymali auto, nie wyłączając silnika. Po drugiej stronie ulicy furgonetka Armii Zbawienia wjechała na krawężnik; wysiadło z niej kilku skromnie ubranych mężczyzn z instrumentami muzycznymi, a towarzyszyła im kobieta, która zmagala się z trójnogiem, na którym zawieszony był dzbanek na datki. Spod płaszcza wysunął się dzwonek i upadł z brzękiem na chodnik. Kapela ustawiła się po prawej stronie tuż obok wejścia do Thule Gesellschaft Bank. Po chwili Stratton podjechał przed bank.

– Upewnij się, że masz nieco drobnych – powiedziała Zoe. – Inaczej ci tam spojrzą na nas koso, zanim wejdziemy do banku.

– Racja, ale prawdopodobnie i tak popatrzą na nas krzywo, jeśli datek będzie zbyt mały – zażartował Seth.

Minął ich chłopiec sprzedający gazety; Seth zdążył zerknąć na nagłówki gazet: CZTERY OFIARY ZAMACHU W MIESZKANIU. A poniżej: CZY ISTNIEJE JAKIŚ ZWIĄZEK Z MORDERSTWAMI W MAGAZYNIE?

Ridgeway wstrzymał oddech. Czy zamieszczono też jego fotografię? Ale gazeciarsz zniknął już w głębi ulicy, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi.

Zdenerwowany Seth ścisnął w dłoniach bezcenny pakunek zawinięty w brązowy pakowy papier i owinięty sznurkiem. – Jakie są instrukcje, możecie powtórzyć? – zapytał Stratton.

– Mamy to pokazać komuś z zarządu banku.

– Pamiętajcie, że jeśli obraz rzeczywiście jest kluczem do skrytki depozytowej w tym banku, najprawdopodobniej nie jest to legalne. Jedynym powodem, dla którego umożliwią wam dostęp, mogą być ustalenia poczynione, zanim prawo bankowe uznało za nielegalne konta anonimowe.

Czy chcesz przez to powiedzieć – zdenerwował się Seth – że mogą nie uznać obrazu za dowód uprawniający do dostępu do skrytki?

Stratton pokręcił przecząco głową.

– Nie. Szwajcarzy zawsze byli godni zaufania. Ale nie zrobią nic, jeśli sprawy wydadzą się im podejrzane. Musicie więc wejść tak, jak byście byli właścicielami tego miejsca. Zachowujcie się w sposób arogancki jak bogaci, nawet bardzo bogaci Amerykanie. Oni tego właśnie się spodziewają, nawet im to odpowiada. Wówczas nie zaryzykują obrażenia was.

– Racja – odparł Seth, a potem zwrócił się do Zoe: – Jesteś gotowa?

Przytaknęła bez entuzjazmu.

– Ale ty będziesz na nas tutaj czekał?

– Tutaj albo gdzieś w pobliżu – odpowiedział Stratton. – Ponieważ nie jest to żaden mercedes, przypuszczalnie będę musiał stąd odjechać. Jeśliby coś się... złego wydarzyło, a mnie nie byłoby w pobliżu, niedaleko przy Sihlstrasse znajduje się wielopoziomowy parking. Wskazał palcem kierunek.

– Droga wiedzie przez stare miasto. Zaparkuję na najwyższym poziomie.

Seth i Zoe wysiedli z auta. Słońce świeciło mocno i wiał ostry suchy wiatr.

– Przez niego się denerwuję – powiedziała Zoe, gdy szli w kierunku drzwi.

– Wiem, o co ci chodzi – powiedział Seth, rozglądając się ostrożnie.

Już wcześniej śmierć pojawiała się nagle, nie wiadomo skąd. Tym razem nie da się zaskoczyć.

– Czułem to samo, kiedy pierwszy raz go spotkałem. Ale musisz przyznać, że za każdym razem pojawiał się na czas. Żadne z nas nie chodziłoby już po tym świecie, gdyby nie on.

– A jednak... – głos Zoe zawisł w powietrzu. – On ma kontakty z Interpolem i mógł przyczynić się do tego, że jesteś teraz na liście poszukiwanych.

– Dlaczego, do diabła, miałby to zrobić?

– Żebyś był od niego zależny. Żebyś nie szukał pomocy gdzie indziej.

– No dobrze, jest jedynym oparciem, jakie mamy. Może równie dobrze grać na własną rękę.

Minęli kapekę Armii Zbawienia, a Seth rzucił do dzbanka banknot dziesięciofrankowy.

– *Danke schön* – zawołała za nimi kobieta.

Ridgeway zatrzymał się i spojrzał na budynek, a serce waliło mu jak młot. Przyjrzał się bacznie kamiennym murom sprawiającym solidne wrażenie; w końcu znalazł to, czego szukał. Dyskretne, niemal niewidzialne błyski zdradzały zamontowane nowoczesne urządzenia zabezpieczające. Słyszał opowieści o tych bankach i o tym, że we framugi drzwi, w holach wejściowych i w windach wbudowane były skanery służące do sprawdzania, czy ktoś nie wnosi broni. Każdy przedsionek, biuro i winda w budynku mogły być automatycznie odcięte, by w razie potrzeby odizolować potencjalnych złodziei, terrorystów lub po prostu ludzi podejrzanych.

Szwajcarskie banki słynęły z dyskrecji, która nie pozwalała opinii publicznej poznać szczegółów systemów zabezpieczeniowych, ale w środowisku stróżów prawa wiadomo było tak zresztą jak i w środowisku światka przestępczego – tak przynajmniej zakładał Seth – że po odcięciu każde takie pomieszczenie było równie bezpieczne jak cela w najbezpieczniejszym więzieniu. Dźwiękoszczelne, kuloodporne i zdolne wytrzymać nawet solidną eksplozję. Można w nich było przytrzymać potencjalnych przestępców do czasu przybycia policji, nie przeszkadzając jednocześnie w normalnej pracy w banku.

Seth spojrzał na drzwi. Przetarł wilgotne dłonie, potem chwycił za klamkę. Czy drzwi okażą się ostatnimi, które poprowadzą ich do wolności? Czy może w banku potraktują ich jak potencjalnych przestępców, oni zaś będą ściganymi, którymi rzeczywiście byli, i zostaną odcięci w jakimś w pomieszczeniu, z którego nie będzie wyjścia do czasu przybycia szwajcarskiej policji? Miał dziwne przeczucie, że nie jest to miejsce, do którego chciałby wejść. Przełknął ślinę i pchnął drzwi, otwierając je przed Zoe.

Pomieszczenie w żaden sposób nie przypominało sali bankowej. Po jednej stronie stała kanapa, obok niej dwa fotele i koktajlowy stolik. Stała też mosiężna lampa, rzucająca ciepłe światło. Szli po puszystym ciemnognatowym dywanie. Ściany obite były ciemną boazerią, a ozdabiały je ryciny przedstawiające sceny myśliwskie. W przeciwległym końcu pomieszczenia, za masywnym, drewnianym biurkiem siedział postawny jasnowłosy mężczyzna. Wstał, by ich powitać. Mogłoby to być zwykłe pomieszczenie korporacyjne, gdyby nie fakt, że nie było żadnych innych drzwi poza tymi, przez które weszli.

– Co państwa do nas sprowadza? – zapytał mężczyzna.

Ubrany był w ciemny, klasyczny garnitur, a gdy podszedł do nich, Seth dostrzegł, że ubranie było fachowo skrojone tak, żeby ukryć broń trzymaną pod lewym ramieniem. Mężczyzna zwrócił się do nich po angielsku, pewnie sprawił to ich strój. Szwajcarscy bankierzy wiedzieli, że tak ubierają się zwykle Amerykanie; najczęściej byli to po prostu ludzie, którzy po powrocie do domu chcieli pochwalić się znajomym, że złożyli wizytę w murach szwajcarskiego banku w Zurychu. Mimo to mężczyzna zachowywał się uprzejmie, szwajcarscy bankierzy wiedzieli bowiem, że na każdym kilkunastu ciekawskich zdarzał się jeden niesłychanie bogaty Amerykanin, który tylko ubrał się nieodpowiednio, idąc załatwiać sprawy finansowe.

– Mam do omówienia poufną sprawę – powiedział Seth władczym głosem. – Poza tym mam niewiele czasu, muszę zaraz widzieć się z kimś z zarządu banku.

– Oczywiście, proszę pana – odparł mężczyzna, omiatając wzrokiem paczkę oraz nowe, już na pierwszy rzut oka drogie buty Zoe.

Podszedł do biurka, podniósł słuchawkę i rozmawiał na tyle cichym głosem, że jego słowa były niezrozumiałe. Kiedy skończył, znów popatrzył na gości.

Amerykanie stali nie okazując żadnych emocji.

– Ktoś spotka się z państwem za chwilę – oznajmił.

W tej chwili w ścianie za biurkiem otworzyły się niewidoczne do tej pory drzwi i wszedł wysoki, ascetyczny mężczyzna z bródką a la Lenin, w granatowym garniturze w prążki.

– Dzień dobry – odezwał się głosem uprzejmym, lecz pełnym rezerwy. – Nazywam się Gunter Abels. W czym mogę państwu pomóc?

Uścisnął najpierw dłoń Zoe, a następnie Setha.

– Mamy tu konto – powiedział pewnym głosem Seth. – Skrytkę depozytową, do której dostęp gwarantują pewne... uzgodnienia natury prywatnej. Rozejrzał się znacząco dokoła. Wolałbym nie mówić nic więcej, dopóki nie znajdziemy się... w bardziej prywatnym otoczeniu.

Abels uniósł zdumiony brwi.

– Ależ oczywiście. Przepraszam bardzo, ale... ale musimy być naprawdę bardzo ostrożni, jeśli chodzi o rozpoznanie prawdziwych biznesowych klientów. Proszę, proszę

za mną.

Poprowadził ich przez ukryte drzwi korytarzem do windy i wcisnął przycisk siódmego piętra. Drzwi zamknęły się gładko, a winda ruszyła w górę. Seth unikał spojrzenia recepcjonisty i nie odzywał się. W końcu ludzie zamożni i wpływowi, zwłaszcza tacy, którzy posiadali konta i skrytki depozytowe w szwajcarskich bankach, nie bratali się z bankowym personelem. Poza tym ich bajeczka została kupiona, a nigdy nie wiadomo, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Poza tym bogaci są zwykle małowówni, więc sprawdzi, czy potrafi odgrywać taką rolę.

Zoe poszła za przykładem Setha i także milczała.

– Proszę na lewo – powiedział Abels, gdy drzwi windy otworzyły się na siódmym piętrze.

Znaleźli się w kolejnej sali recepcyjnej, bliźniaczo podobnej do tej na parterze. Kolejny postawny strażnik siedział za kolejnym masywnym biurkiem. Z tego pomieszczenia jednak ciągnęły się dwa korytarze.

Abels zaprowadził ich do drzwi w końcu jednego korytarza i otworzył je kluczem, który wyciągnął z kieszeni. Pomieszczenie zajmujące narożnik budynku, wychodzące na Bahnhofstrasse i jezioro, urządzone było z pełnym smaku przepychem, jak gdyby specjalnie zaprojektowane dla sprawienia przyjemności tym, którzy mieli mnóstwo pieniędzy, lecz niechętnie wydawali je lekkomyślnie.

– Proszę się rozgościć – rzekł Abels. – Ja w tym czasie powiadomię jednego z członków naszego zarządu, że jesteście państwo tutaj.

I nie czekając na ich odpowiedź, obrócił się, wykonując idealnie wojskową komendę „w tył zwrot” i opuścił pomieszczenie. Drzwi zamknęły się za nim niczym wrota skarbcza. Seth nacisnął klamkę. Zamknięte.

W milczeniu spojrzeli na siebie. Pomieszczenie miało rozmiary i wygląd luksusowego pokoju hotelowego. Oprócz kanapy i krzeseł był tu telewizor, stojak ze świeżymi gazetami, niewielki komputer wyświetlający dane finansowe, a także barek. Seth odstawił owinięty w papier obraz i napenił szklanek wodą ze schłodzonej butelki Perriera.

– Niezły bank, hmm? – powiedziała Zoe, z udawaną słodyczą. – Ci faszystowscy androidzi z Nations Banc powinni na uczyć się paru rzeczy od tych ludzi.

Seth podszedł do okna i spojrzał w dół na ulicę. Grajkowie z Armii Zbawienia wciąż grali jakąś kolędę.

– Być może – odparł lakonicznie. – Bankierzy wszędzie są tacy sami, zwłaszcza ci z dużych banków.

Odwrócił się do Zoe.

– Ludzie raczej nie zyskują na kontaktach z nimi.

– Mój Boże, jesteś dzisiaj jakiś drażliwy – zażartowała, podchodząc do niego.

– Przykro mi – odparł. – Pomyślałem sobie po prostu, że ten facet płaszczy się przed nami jak szczur, a potem zamyka nas w tym pomieszczeniu, tak na wszelki wypadek. Bankowa procedura. Dla nich wszystkich najważniejsze są procedury. Bankierzy są jak zgraja nazistów, którzy krzyczą: „Mamy rozkazy. I spodoba się to wam!”. A kiedy już cię wyzyskają, przypadkiem lub celowo, zawsze tłumaczą, że tylko wykonywali polecenia.

Zrobił przerwę.

– To tylko biznes. Za każdym razem, gdy słyszysz, jak to mówią, możesz być pewna, że swoją moralność zostawili za drzwiami.

Spojrzał na nią i dostrzegł ogrom cierpliwości w jej oczach.

– Dobrze wiedzieć, że nie zmieniłeś się w ciągu tych sześciu miesięcy – uśmiechnęła się.

Seth spoglądał na nią przez dłuższą chwilę, potem roześmiał się.

– Przykro mi – wyznał. – Zrobiłem się nieco nerwowy.

– Wiem.

Rozległo się zgrzytanie klucza w zamku i po chwili drzwi szczęknęły, a do pokoju wszedł dystyngowany mężczyzna o siwych włosach i krótko przyciętym wąsiku. Miał patrycjuszowską twarz i garnitur od Savile Row. Mówił po angielsku z okropnie poprawnym akcentem człowieka, który studiował w najlepszych szkołach.

– Proszę wybaczyć, że musieli państwo czekać – powie dział.

Drzwi zamknęły się za nim.

– Nazywam się Josef Mutters – powiedział, wyciągając dłoń, którą Ridgeway uściśnął; wyczuł ciepły, mocny chwyt. – Jestem wiceprezesem w Thule Gesellschaft Bank.

Powtórzył pełną nazwę banku, jak gdyby chciał pomóc gościom upewnić się, że trafili do właściwego banku.

– Co mogę dla państwa zrobić?

Seth wziął pakunek.

– Chcemy dostać się do naszej skrytki depozytowej – po wiedział, przekazując paczkę Muttersowi.

Przez moment wiceprezydent spoglądał na pakunek owinięty w szary papier, jak gdyby w środku znajdowała się co najmniej nowa amerykańska broń biologiczna, jednak równie szybko jego twarz odzyskała służalczy wygląd.

– Czy możemy na chwilę usiąść? – zapytał.

Seth przytaknął i usiadł na kanapie. Mutters postawił pakunek na małym stoliku i zaczął go rozwijać.

Kiedy zobaczył obraz, ledwie zdołał powstrzymać cichy okrzyk. Przez dłuższy czas spoglądał w milczeniu, a kiedy podniósł wzrok, wyraz służalczości ustąpił miejsca trwodze.

– Po tylu latach – rzekł bardziej do siebie niż do gości. Skinął potakująco głową, jak gdyby potwierdzał nieunikniony fakt, że miał przed sobą obraz.

– Mój ojciec poczynił ustalenia związane z tym kontem – wyjaśnił Mutters. – Wtedy jeszcze taka procedura była legalna. Nie była wprawdzie czymś zwykłym, lecz ojciec nie widział w tym nic sprzecznego z prawem, zatem przyjął depozyt od klienta.

Spojrzał na nich ostrym wzrokiem.

– Ale zapewne zdajecie sobie państwo z tego sprawę, czyż nie tak? W końcu obraz jest w waszym posiadaniu.

Seth czuł, jak niewidzialna ręka strachu ściska mu wnętrzności. Czyżby ten mężczyzna podejrzewał ich? Czy zamierzał zadać im pytania, na które nie znali odpowiedzi? Policja pojawiłaby się zapewne w krótkim czasie.

– Oczywiście, że wiemy to wszystko – odparł oschłym to nem. – Nie przyjechaliśmy tutaj wysłuchiwać lekcji historii. Jesteśmy wyłącznie po to, by odebrać zawartość naszej skrytki depozytowej.

Spojrzenie Muttersa było teraz bardzo skupione. Wyraźnie gorączkowo myślał, oceniał, szacował, podejmował decyzję.

– Ależ oczywiście – powiedział w końcu. – Proszę wybaczyć chwilowy brak dobrych manier. Chodzi o to, że...

Popatrzył na Seta. Tym razem było to spojrzenie potulnego służącego.

– To ostatnia skrytka z tamtej epoki. – Jego głos tchnął nostalgią. – Wszystkie inne konta, którym towarzyszyły... nie typowe ustalenia, zostały przez te lata dostosowane do standardowych procedur. Poza tym szwajcarskie prawo zabrania powrotu do tamtych praktyk.

Mutters wyglądał teraz jak żałobnik oplakujący odejście bliskiego przyjaciela. Przez chwilę milczał, potem nagle wstał.

– Za państwa pozwoleniem – odezwał się formalnie – będę musiał sprowadzić tu sporo rzeczy, żeby przeprowadzić procedurę.

Seth przytaknął szorstko, a Mutters szybko opuścił pomieszczenie.

Głuchy odgłos przypominający zamykanie drzwi bankowego sejfów, który towarzyszył zamykaniu i otwieraniu drzwi, zaczął działać Sellowi na nerwy. Otworzył butelkę wina Grange i nalał kieliszek dla Zoe oraz dla siebie. Wypili niemal w milczeniu.

Napełnił kieliszki po raz drugi kiedy pojawił się Mutters. Przytrzymał otwarte drzwi, a Abels pchał przed sobą niewielką metalową szafkę na kółkach, z blatem na wysokości biurka. Wiceprezes banku w ręce trzymał kartkę papieru oraz rozdartą kopertę. Wszedł za Abelsem do pomieszczenia i polecił mu ustawić szafkę obok okna. Potem Abels wyszedł, a drzwi po raz kolejny zamknęły się z irytującym odgłosem bankowego sejfów. Wciąż trzymając w dłoniach kartkę papieru i kopertę, Mutters podszedł do Seta i Zoe. Rzucił spojrzenie na butelkę.

– Doskonały wybór – pochwalił. – Jedno z najdoskonalszych win świata.

– Niezłe – odparł Seth, starając się mówić obojętnie. – Ale nie sądzę, że zyskuje na wartości, leżakując.

Mutters uniósł zdumiony brwi, potem bez komentarza wziął obraz ze stolika.

– Czy zatem przystąpimy do kolejnych kroków? – zapytał. Ridgeway przytaknął, odstawił kieliszek na mały stolik, potem podszedł z Muttersem do szafki. Zoe stanęła obok.

Patrzyli, jak Mutters wyczytuje się w dokument, kładzie go obok obrazu na blacie i otwiera drzwi szafki. Następnie ponownie pogrążył się w lekturze dokumentu.

Z półki w szafce wyciągnął butelkę terpentyny, szmatkę oraz szarą metalową kasetkę skrytki depozytowej. Pudełko było zamknięte na klódkę. Nawet nie zdejmując marynarki, otworzył butelkę z terpentyną, namoczył szmatkę i zaczął nią przecierać powierzchnię malowidła.

Zoe prawie przestała oddychać. Oczy Setha rozszerzyły się, lecz chwycił ją za ramię, ostrzegając, by zachowała milczenie.

Farba nałożona kilkadziesiąt lat temu powoli miękła, a Mutters zużywał szmatkę za szmatką, żeby usunąć barwniki trzymające się uparcie gruntu. Kolory zaczęły mieszać się, rozpływać, w końcu, po około dwudziestu minutach, powierzchnia obrazu zaczęła się zmieniać.

– Ach! – odezwał się zagadkowo Mutters, nie przestając trzeć.

Pojawił się pierwszy błyszczący błysk złota, po chwili następny w środkowej części obrazu.

Po dziesięciu minutach Mutters skończył pracę. Odślonił bardzo małą złotą sztabkę umieszczoną w zagłębieniu drewnianej płyty, na której namalowano potem obraz. Sztabka miała rozmiar paczki papierosów. Mutters podniósł deskę, żeby mogli ją lepiej zobaczyć. Na sztabce odcisnięte były ciągi liter i numerów. Cecha odlewni potwierdzała czystość złota w stopniu 0,99999. Podana była też waga sztabki. Na powierzchni metalu widniały odcisnięte swastyka, pruski orzeł oraz błyskawice symbolizujące SS. Zoe sapnęła głośno.

– Jestem przekonany, że tego właśnie państwo spodziewaliście się, czyż nie tak? – to pytanie Mutters skierował do Setha.

– Co?... Ach... tak. Tak! – odparł Seth, starając się ukryć zaskoczenie. – Mówiąc bardziej precyzyjnie, czego ja się spodziewałem.

– Ostrożnie – ostrzegł Mutters. – Na krawędziach wciąż jeszcze może być rozpuszczona farba.

Seth wziął obraz od Muttersa i ustawił go pod światło. Wstrzymał oddech i poczuł, jak zaczyna go ścisnąć w żołądku, gdy popatrzył na swastykę odcisniętą w złotym metalu. Namacalny symbol zła, wokół którego rozwinęła się pajęczna sieć, w jaką zostali schwytani oboje.

Oddał obraz Muttersowi. Wiceprezes banku wziął do ręki dokument, z którym

przyszedł. Kiedy to robił, koperta upadła na podłogę. Seth schylił się i podniósł ją. Wtedy zauważył nazwisko podane na adresie zwrotnym – Hermann Göring. Poniżej pod berlińskim adresem dopisano pojedyncze słowo: instrukcja. Dłoń Ridgewaya zdrząła, gdy odkładał kopertę na stolik.

Mutters spoglądał na dokument, który wyciągnął z koperty, następnie wyjął nóż o krótkim ostrzu i z jego pomocą wydłubał sztabkę z zagłębienia w desce. Pod nią znajdował się kluczyk. Wiceprezes banku wydłubał również kluczyk ze szczeliny w drewnie i przekazał go Sethowi.

– To pański klucz do skrytki depozytowej – oznajmił. – A to – wręczył Sethowi złotą sztabkę z literami i numerami – jest numer pańskiego konta. Dokładnie taki sam, jak numery przedstawione w instrukcji, którą otrzymaliśmy od – rzucił znaczące spojrzenie na Seta – dzentelmena, który założył to konto i zlecił jego prowadzenie przez czas nieograniczony.

Seth wziął sztabkę i kluczyk z pewnym wahaniem. Nie potrafił wyobrazić sobie, że człowiek, który wyrządził tyle zła, Hermann Göring, trzymał w dłoniach te same przedmioty, których dotykał teraz on.

– Dobrze, zatem postępujemy dalej zgodnie z procedurą – ponaglił Seth.

– Oczywiście – zgodził się Mutters. – Obawiam się, że numery wybite na złotej sztabce wskazują na konto o najwyższym priorytecie.

Seth poczuł nagłe ukłucie w sercu.

– Co należy przez to rozumieć?

– Oznacza to, że nie wolno nam wyjąć skrytki depozytowej ze skarbca bez pana obecności.

Seth odetchnął z ulgą.

– To bardzo rzadki wypadek. Zazwyczaj przywozimy skrytkę depozytową tu – Mutters rozejrzył się – albo do jednego z innych specjalnie do tego przeznaczonych pomieszczeń. Jednak w przypadku konta o najwyższym priorytecie musi pan być obecny przy otwarciu sejfów ze skrytką depozytową.

Seth przytaknął.

– Zatem nie marnujemy więcej czasu.

Mutters wziął kartkę z instrukcją, potem poprowadził ich z powrotem do windy i

wcisnął nieoznaczony guzik.

– Zjedziemy na najniższy poziom skarbcza. I najbardziej bezpieczny.

Seth przytaknął, starając się demonstrować całkowity brak zainteresowania i wyglądało na to, że w jakiś sposób odpowiadało to Muttersowi.

Po wyjściu z windy podążyli korytarzem z brązową, marmurową podłogą, mijając liczne skrytki depozytowe o różnych rozmiarach. Po zejściu kolejnym przesłem schodów, dotarli do pomieszczenia, gdzie znajdowały się największe skrytki depozytowe, niektóre z nich wielkości biurowych szuflad na dokumenty. Mutters cofnął się od ściany, odchylił do tyłu i wpatrywał się w numery skrytek, poczynając od sufitu do podłogi. Niemal natychmiast dostrzegł właściwy numer.

– Tutaj – oznajmił, wskazując palcem.

Skrytka znajdowała się na wysokości trochę powyżej metra, drzwiczki do niej miały około trzydziestu centymetrów szerokości i piętnastu wysokości. Zoe i Seth podeszli bliżej, chcąc przyjrzeć się skrzynce. Oba zamki zapieczętowane były cienką złotą folią.

– Proszę przyjrzeć się dokładnie, żebyście państwo mieli pewność, że nikt wcześniej nie próbował otworzyć tej skrytki, po założeniu plomb – poinstruował ich Mutters.

Plomby były nienaruszone.

– Postępujemy dalej zgodnie z procedurą? – zapytał Mutters.

Seth przytaknął i wręczył Muttersowi kluczyk, który ukryty był pod sztabką złotą; sztabka złota uwierała go w udo, naciągając mocno tkaninę kieszeni spodni.

Mutters wsunął kluczyk będący w posiadaniu banku, a potem ten, który ukryty był w obrazie, przerywając złote plomby. Obrócił oba kluczyki jednocześnie, a zamek otworzył się ze szcękaniem. Mutters otworzył drzwiczki sejfów, a ich oczom ukazała się skrytka depozytowa. Wiceprezes banku wyciągnął ją, potem podsunął im pod oczy. Wieko było zabezpieczone czterema grubymi plombami ze złota; na nich również, podobnie jak na złotej sztabce, odcisnięte były pieczęcie z błyskawicami SS. Mutters spojrzał na pieczęcie, potem na Seta. Jego twarz cały czas pozostawała bez wyrazu; przypominał człowieka, który widział w życiu już wszystko i czekał na to, że przydarzy mu się to kolejny raz.

– Czy życzycie sobie państwo, żebym zabrał skrytkę do po mieszczenia inspekcyjnego?

Seth przytaknął na znak zgody. Gdy podążali za Muttersem, opuszczając skarbiec, Seth spoglądał na rzędy skrytek depozytowych i zastanawiał się, jakie jeszcze zło jest w nich ukryte. Czy teraz także ginęli ludzie z powodu ich zawartości? Na samą myśl o tym zadrzał.

Rozdział 30

Pokój inspekcyjny wciąż jeszcze pachniał terpentyną. Mutters wyłożył zawartość skrytki depozytowej i zostawił ich samych. Niecierpliwie zerwali złote plomby z kasety i znaleźli w środku metalową kasetkę podobną do tych, jakich używa się dla ochrony aparatów fotograficznych lub przyrządów elektronicznych. Miała wyrafinowany zamek szyfrowy, który otworzył się, kiedy wprowadzili cyfry w sekwencji występującej w numerze konta bankowego przypisanego skrytce.

Zawartość kasetki całkowicie zakryła mały stolik. Były tu dokumenty – wiele z pieczęciami, w tym Kancelarii Trzeciej Rzeszy oraz z Watykanu oprawione instrukcje odnoszące się do ufortyfikowanej instalacji; światłokopia planu instalacji opisanej jedynie nazwą „obiekt Habersam”, mikrofilm z opisem „oryginały historycznych zeznań zgromadzone w obiekcie Habersam” oraz fotografie. Dziesiątki fotografii.

Seth nerwowo podał Zoe jedno ze zdjęć.

– Nic dziwnego, że chcieli zabijać za ten obraz – powiedział. Odbitkę wykonano na drogim beziarkowym papierze, a zdjęcie przedstawiało wizerunek twarzy martwej młodej kobiety lub dziewczyny. Twarz emanowała spokojem i ulgą, jak gdyby ogromne cierpienie dobiegło końca.

– Nie mogę w to uwierzyć – rzekła Zoe. – Hitler szantażował papieża, zmuszając go do milczenia wobec nazistowskich zbrodni i okropieństw.

– Powinnaś w to uwierzyć – dodał Seth. – Ten dokument to potwierdza.

Pogrzebał w papierach i wyciągnął dokument, porozumienie, jakie gwarantowało milczenie Kościoła katolickiego, w zamian za co Hider zobowiązał się do zapewnienia bezpieczeństwa Watykanowi i powstrzymanie się od publicznego wykorzystania dowodów istnienia Całunu Zofii. Na dole dokumentu, potwierdzone oficjalnymi pieczęciami Watykanu raz Trzeciej Rzeszy, widniały własnoręczne podpisy papieża Piusa XII oraz Adolfa Hidera.

Zoe odłożyła zdjęcie.

Spoglądali na materiał zgromadzony na stole. Był przytłaczający. Próba zamaskowania istnienia kobiety Mesjasza, podjęta przed wiekami przez cesarza oraz papieża, odkrycie Całunu oraz wszystkie dokumenty potwierdzające – czyli Pasja Zofii –

złożone tu przez Góringa. Setki ludzi poniosły śmierć podczas pierwszej próby zatarcia faktów, a miliony zostały zamordowane przy milczącym zezwoleniu Kościoła katolickiego, zwłaszcza w sprawie holocaustu.

– Co teraz robimy? – zapytała Zoe.

– Jedziemy do Alt Aussee, jak przypuszczam – odparł Seth. – To zdaniem Yosta powinniśmy zrobić. Pojechać tam i spotkać się z ojcem Morgenem. Poza tym nie możemy tu pozostać zbyt długo. Policja niedługo zacznie deptać nam po piętach. Być może niewielkie miasteczko w Austrii będzie dobrym miejscem, w którym skryjemy się do czasu, kiedy dowiemy się dokładnie, jak wyplątać się z tego galimatiasu.

– Przy okazji moglibyśmy bliżej przyjrzeć się tym materia łom. Na razie tylko na nie zerknęliśmy.

Seth przytaknął, pochylił się nad stołem i zaczął zgarniać stertę dokumentów do teczki.

Ich pobyt w banku trwał ponad dwie godziny i z pewnością Stratton był już nieco zaniepokojony. Muszą go odnaleźć, a potem pojadą do Alt Aussee. Tam stary ksiądz Hans Morgen być może ułatwi im odnalezienie odpowiedzi na niektóre pytania. W tych odpowiedziach powinny być ukryte rozwiązania. Sposób powstrzymania fali zbrodni towarzyszącej Całunowi, a także sposób, z pomocą którego Ridgeway będzie w stanie oczyścić się z zarzutów o popełnienie morderstwa. Musi być jakiś sposób. Po prostu musi.

Seth chwycił Zoe za rękę i podążyli za Muttersem w stronę windy. Kątem oka zauważył w końcu korytarza dwóch mężczyzn zmierzających w ich kierunku. Przyjrzał im się bliżej. Jeden z nich wydawał mu się znajomy, ale nie mógł nic sobie przypomnieć. Policjanci i profesorowie – a także ludzie ścigani – widywali w życiu wiele twarzy.

Mutters skinął tamtym głową i uśmiechnął się, gdy drzwi windy zaczęły się otwierać. Wyglądał na to, że zna ich. Mężczyzna po prawej stronie wsunął rękę za poję płaszcz, a kiedy ponownie ją wyciągnął, trzymał w dłoni automatyczny pistolet z długą cylindryczną rurą przykręconą do wylotu lufy. Seth poczuł, jak w żołądku robi mu się zimno; z ust Zoe wyrwał się cichy okrzyk zaskoczenia. Mężczyzna z pistoletem zatrzymał się w odległości około sześciu metrów.

– Nie... – Tylko tyle zdążył powiedzieć Mutters, zanim zginął.

Zabójca obrócił broń w kierunku Setha.

Działając instynktownie, Seth wepchnął Zoe do windy i wcisnął przycisk z napisem ZUMACHEN. Słysząc było tupot biegnących, przytłumiony przez elegancką wykładzinę dywanową. Drzwi zamykały się powoli. Seth chwycił Zoe za ramię i popchnął w narożnik windy obok tabliczki z przyciskami. Zoe patrzyła, jak obiema rękami chwytając rączkę czarnej metalowej kasetki i unosi ją niczym zawodnik rzucający miotem na igrzyskach olimpijskich.

– Nie ruszaj się – powiedział.

Zamachnął się i uderzył z całą siłą w momencie, gdy głowa człowieka z pistoletem pojawiła się poza linią drzwi.

Metalowa kasetka była ciężka, a ostra krawędź z łatwością rozcięła kość. Automatyczny pistolet z tłumikiem wypadł z dłoni zabójcy i odbił się od ściany windy. Seth wciąż trzymał kasetkę, gdy ciało mężczyzny zaczęło się osuwać, a potem ciężko upadło. Drzwi windy zaczęły się wreszcie zamykać, ale napotkały na przeszkodę – ciało leżącego zabójcy.

Seth rzucił zakrwawioną kasetkę w stronę Zoe i pochylił się, chcąc sięgnąć po broń zabójcy. Kiedy drzwi po raz kolejny cofnęły się, Seth zauważył, że drugi z mężczyzn mówi coś do niewielkiej krótkofalówki. A więc było ich więcej. Tylko gdzie?

Mężczyzna dostrzegł pistolet w dłoni Setha i szybko podbiegł do ściany, schodząc z linii ognia. Drzwi windy znów nie mogły się zamknąć. Seth pochylił się i zaczął wciągać trupa do windy. Drzwi kolejny raz odbiły się, tym razem od nóg mężczyzny i ponownie się otworzyły.

Kiedy rozsunęły się, ten drugi stał naprzeciw nich, a w ręku trzymał tym razem pistolet. Przez moment wpatrywali się w siebie zaskoczeni, potem każdy z nich uniósł broń i wypalił. Seth był jednak o ułamek sekundy szybszy i o włos celniejszy. Poczł silne odbicie pistoletu w dłoni, jedno, drugie, potem uchylił się, schodząc z linii ognia. Gdy drzwi windy zamykały się, tym razem do końca, zdążył jeszcze zauważyć, jak mężczyzna pada na kolana, a potem uderza twarzą o podłogę.

Seth nie tracąc ani chwili, obrócił ciało zabójcy na plecy i znalazł jeszcze dwa zapasowe magazynki do pistoletu. Wsunął je do kieszeni spodni.

– Kim... – głos Zoe załamywał się, przełknęła ślinę i spróbowała jeszcze raz. –

Kim oni są?

Seth potrząsnął tylko głową i dalej przeszukiwał zwłoki zabójcy. W portfelu zabitego znalazł grube pliki banknotów; franki szwajcarskie, szylingi austriackie i trochę marek niemieckich, a wśród wielu kart jedna, ta ze zdjęciem, wystawiona była na nazwisko Bernharda Saltzera, pracownika Thule Gesellschaft Bank.

Pokazał kartę Zoe.

– *Hen* Mutters nie był jedyną osobą przygotowaną obsłużyć tych, którzy przyjdą odebrać zawartość tej skrytki depozytowej.

Winda dojeżdżała już do parteru.

– Trzymaj to – powiedział, wciskając jej w dłoń portfel.

Winda zatrzymała się i drzwi powoli zaczęły się otwierać.

Seth chwycił metalową kasetkę i wyszedł. Tuż obok zobaczył ciało strażnika leżące na masywnym biurku; z niewielkiej okrągłej rany w skroni płynęła krew.

Na kanapie siedział mężczyzna ubrany w czarny uniform z czerwoną lamówką. W mgnieniu oka Seth rozpoznał w nim jednego z grajków kapeli Armii Zbawienia. Drugi stał przy drzwiach wejściowych do sali recepcyjnej. Obaj sprawiali wrażenie zaskoczonych widokiem Setha i na chwilę dosłownie zamarli. Potem unieśli nagle w górę pistolety maszynowe H&K MP5A. Seth cofnął się do windy, ale wpadł na Zoe i przewrócili się w chwili, gdy kule uderzyły głucho o obite boazerią ściany windy.

– *Schnell! Schnell!* Szybko! Szybko!

Seth usłyszał krzyki zamachowców. Poderwał się na kolana i wystrzelił w kierunku nadbiegającego. Kula trafiła mężczyznę w brzuch; zatrzymał się, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. Najwyraźniej nie przewidział, że Ridgeway może być uzbrojony. Seth wykorzystał moment zaskoczenia i ponownie nacisnął spust.

Zoe poderwała się na nogi i desperacko wciskała wszystkie guziki na tablicy. Nim drzwi windy zaczęły się zamykać, Seth strzelił jeszcze dwa razy w kierunku drugiego z grajków. Magazynek był już pusty. Automatyczne drzwi w końcu się zamknęły i winda ruszyła w górę.

– Dokąd jedziemy? – zapytał. Obrócił pistolet i starał się znaleźć blokadę magazynku.

– Na górę – odparła Zoe.

Seth wsunął nowy magazynek.

– Na którymś z niższych pięter powinny być biura – wyjaśniła Zoe. – A tam, gdzie są biura, muszą być wyjścia ewakuacyjne.

Drzwi windy otworzyły się i zobaczyli ogromne pomieszczenie podzielone przegrodami zwieńczonymi u góry szybami. Słychać było szum komputerów, kalkulatorów i drukarek. Seth szybko ukrył pistolet za paskiem spodni.

Zoe minęła go, podeszła do dzwonka alarmu pożarowego i pociągnęła rączkę.

– *Feuer! Feuer! Feuer!* Pożar! Pożar! Pożar! – krzyknęła głośno.

W pomieszczeniu rozległ się najpierw niespokojny pomruk, potem ludzie zaczęli się podnosić. Seth chwycił kasetkę i dołączył do Zoe.

– Pożar! Musimy uciekać! Pożar!

Pomruk przemienił się w głośny, podekscytowany gwar. Niektórzy z pracowników zaczęli zbierać rzeczy z biur, kobiety chwyciły torebki. Jakiś wysoki mężczyzna podszedł do nich energicznym krokiem.

– Cóż tu się dzieje – odezwał się gniewnym głosem. – Co to wszystko ma znaczyć?

– Pożar na parterze – wykrzyknął w odpowiedzi Seth. – *Hen* Mutter polecił mi, żebym ewakuował całe piętro.

Mężczyzna zeszywniał, słysząc nazwisko przełożonego.

– Ale to wbrew przepisom – krzyknął. – Muszę osobiście porozmawiać z wiceprezesem Muttersem.

Ruszył w stronę telefonu, jednak w pomieszczeniu panował już zupełny chaos; ludzie przepychali się, jeden przez drugiego, biegnąc w stronę otwartych drzwi w drugim końcu pomieszczenia. Zoe i Seth dołączyli do tłumu, który był już bliski paniki.

Na dole, po zejściu ze schodów pożarowych, ludzie biegali w panice po podwórzu, które połączone było alejkami z innymi ulicami. Nie wiedzieli wyraźnie, co robić. Niektórzy głośno komentowali, że nigdzie nie czuje się dymu, inni wysuwali przypuszczenie, że muszą to być kolejne ćwiczenia przeciwpożarowe.

Seth i Zoe odłączyli się od bezładnej cizby i powoli ruszyli jedną z alejek prowadzących w kierunku przeciwnym do Bahnhofstrasse. Odgłosy wyjących syren stawały się głośniejsze – z pewnością były to wozy straży pożarnej i przypuszczalnie

także radiowozy policyjne – pewnie odkryto już ciała zabitych.

Alejka zaprowadziła ich na spokojną uliczkę w starej, średniowiecznej dzielnicy Zurychu. Szli w milczeniu, zbyt oszołomieni, by cokolwiek powiedzieć. Pół godziny później dotarli do podziemnego garażu przy Sihlstrasse, a minutę później Zoe dostrzegła volvo. Stratton kiwnął do nich ręką.

Rozdział 31

Do Alt Aussee przyjechali rankiem w przeddzień Wigilii. Tuż przed świtem zaczęło intensywnie padać i z godziny na godzinę śnieżycy przybierała na sile.

Wąska droga z Bad Aussee ciągnęła się wzdłuż strumienia, który wpływał do jeziora. Jechali z prędkością poniżej piętnastu kilometrów na godzinę, a śnieg zasypywał wycieraczki i zmieniał się w lód tam, gdzie one nie sięgały.

Wynajęli dwa pokoje w Kohlbacherhof, niewielkim zajeździe na skraju miasteczka, tuż obok małego kościołka. Zoe i Seth wzięli parasol i poszli piechotą do centrum miasteczka. Yost wyraźnie powiedział, że on czeka tylko na nich.

– Kto? – Niemal jednocześnie zapytali Zoe i Stratton. Seth wzruszył ramionami.

– Oświadczył, że zostaniemy rozpoznani.

W drodze do miasteczka minął ich tylko traktor ciągnący przyczepę wyładowaną sianem; opatulony grubo farmer machnął do nich ręką. Poza tym nie spotkali nikogo. Dotarli do centrum Alt Aussee, minęli kilka małych sklepików: z artykułami żelaznymi, odzieżowy oraz z tysiącem i jeden drobiazgów. Wszystkie mieściły się w pojedynczych parterowych drewnianych lub kamiennych domach ciągnących się wzdłuż drogi i oddzielonych jeden od drugiego wąskimi alejkami i podjazdami. Wszystkie sklepiki były zamknięte – dla mieszkańców Alt Aussee Boże Narodzenie już się zaczęło.

Mniej więcej pięćdziesiąt metrów za sklepem z książkami i zabawkami zobaczyli posterunek policji i pocztę. Mieściły się w jednopiętrowym budynku z nieobrobionego szarego kamienia. Seth zastukał do drzwi, okazało się, że również były zamknięte.

– Dokąd teraz?

Stali chwilę, rozglądając się dokoła. Po obu stronach ulicy dostrzegli kolejne sklepy, ale wszystkie były zamknięte. Obok nich przejechała stara, pordzewiała ciężarówka, odciskając w śniegu świeże ślady opon. Kierowca pomachał do nich ręką. Odwzajemnili ten gest i patrzyli, jak wóz zaczyna znikać w śnieżnej zawierusze. Nagle usłyszeli pisk hamulców i zobaczyli, że auto zjechało na pobocze. Przez zmrużone oczy patrzyli na migocące światła. I wtedy zauważyli rozświetlone okna jednego z domostw. Kierowca ciężarówki wszedł do środka.

– Idziemy za nim? – zapytała Zoe, robiąc nieśmiało krok w kierunku ciężarówki.

– Możemy spróbować – zgodził się Seth, ruszając za nią. – Wygląda na to, że to jedyne zamieszkane miejsce w tym miasteczku.

Podeszli bliżej; okazało się, że to niewielka restauracyjka i piwiarnia. Dopiero teraz zauważyli, że ciężarówka stała obok poobijanego mercedesa i nowiutkiego fiata.

Przez okno widzieli kierowcę witającego się z jakimiś ludźmi, dwóch umundurowanych policjantów siedziało przy stoliku, popijając kawę, obok stały też kieliszki, prawdopodobnie z wódką. Nic dziwnego, że drzwi posterunku były zamknięte. Przy stole siedziało też troje ludzi, takich nieokrzesanych typów o czerwonych twarzach, popijających piwo z wielkich kufli.

Za barem stali właściciel gospody i pulchna kobieta, zapewne jego żona; nowych gości przywitali szerokim uśmiechem i kiwnięciem dłoni.

Seth i Zoe weszli do ciepłego, pachnącego drożdżami, piwem, przyprawami, ale także kapustą i kiełbasą pomieszczenia. Głowy wszystkich gości obróciły się w ich kierunku, a w spojrzeniach tych nie było żadnej wrogości. Jedynie ciekawość. W Alt Aussee kończyły się wszystkie drogi, dalej prowadziły jedynie ścieżki biegnące w kierunku wysokich gór i skalnych grani. Obcy rzadko kiedy przyjeżdżali tutaj w Wigilię Bożego Narodzenia.

– *Gruss Gott* – powiedział Seth.

– *Gruss Gott* – usłyszeli w odpowiedzi chóralne głosy. Podeszli do baru, za którym stali właściciel i jego połowica.

Seth zdążył jednak dostrzec jeszcze starego człowieka z twarzą pooraną zmarszczkami, który siedział w rogu, popijając piwo z półlitrowego kufła.

– Czym mogę służyć? – zapytał właściciel z miękkim, austriackim akcentem, dzięki któremu język niemiecki brzmiał prawie lirycznie.

– Och, mam nadzieję, że może pan pomóc – powiedział Seth. – Szukamy pewnego człowieka. Ojca Morgena.

Twarz mężczyzny jakby stężała.

– Czy zna go pan?

– Tak – odpowiedział gospodarz z namysłem. – Znam go... Tak, znam go.

I nic więcej.

Seth czuł, że oczy pozostałych gości wwiercają się w jego plecy. Kiedy w końcu

odezwał się, jego głos drżał.

– Czy... widział go pan?

Właściciel spoglądał na niego poważnie przez kilka chwil, potem roześmiał się rubasznie.

– Tak, widziałem go. Byłem małym dzieckiem, kiedy widziałem go po raz ostatni. Nie sądzę, abym widział go od tamtej pory.

Ponownie przerwał na chwilę.

– Było to w ostatnich tygodniach wojny.

Seth przytaknął i powoli obrócił się.

Dwaj policjanci siedzieli w milczeniu i spoglądali podejrzliwie, jak to strażnicy prawa na całym świecie.

– A panowie? – Seth zaczął mówić jeszcze bardziej drżącym głosem. – Czy orientujecie się, gdzie można znaleźć ojca Morgena?

Pokręcili przecząco głowami.

– A gdzie mógłby się zatrzymać, gdyby przyjechał tu z wizytą? – Zoe zwróciła się do właściciela i jego żony.

Pokręcili jednocześnie z powątpiewaniem głowami:

– Prawdopodobnie w Kohlbacherhof. Albo w innym starym zajazdzie.

Mężczyzna spojrział na północną ścianę swojej gospody. To kilka kilometrów stąd. Trzeba iść w górę drogi. Zoe odczekała chwilę, ale to był już koniec wyjaśnień.

– Dobrze – odparła z wahaniem. – Dziękuję panu za... informację.

Wyszli z restauracji i ruszyli w drogę powrotną do zajazdu Kohlbacherhof.

Śnieg zamienił się w drobną, zmarzniętą kaszkę, ale stał się bardziej intensywny.

– Nie mogę uwierzyć, że tak trudno odnaleźć starego człowieka w tak małej miejscowości – odezwała się Zoe.

– Tamci dobrze wiedzą, gdzie on jest – powiedział cicho Seth.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Nie widziałaś ich spojrzeń? Byli przyjaźnie nastawieni, dopóki nie zapytałem o ojca Morgena. Wtedy powstał mur. Ich twarze zamieniły się w kamienie.

– Ale dlaczego?

– Oni go chronią.

– Przepraszam – z tyłu za nimi odezwał się jakiś głos. Seth i Zoe ujrzeli starego człowieka, który wcześniej pił piwo w rogu knajpki.

– Znam ojca Morgena – rzekł. – Być może będę w stanie wam pomóc.

Starzec był pochylony i mocno zgarbiony, ale nawet teraz jego głowa sięgała głowy Setha. Najwyraźniej w kwiecie wieku był postawnym mężczyzną. Niesforna czupryna siwych włosów przypominała Einsteina z okresu, kiedy wykładał w Princeton.

– Nazywam się Gunther – przedstawił się.

Wyciągnął dłoń bez rękawiczki.

– Ja jestem Seth Ridgeway, a to moja żona Zoe. – Seth podał mu rękę.

Mężczyzna pochylił się i wziął dłoń Zoe. Przez chwilę sądziła, że zamierzają pocałować, ale on tylko uścisnął ją i puścił.

– Mogę was zaprowadzić do ojca Morgena. Zadzwoń, za czekajcie w zajeździe Kohlbacherhof... sami... przy barze. Odwrócił się i z zaskakującą jak na tak starego człowieka szybko kością poszedł w stronę restauracji.

Mijały godziny, a Zoe i Seth siedzieli na parterze zajazdu Kohlbacherhof i popijali *Gliihwein* – grzane czerwone wino doprawiane korzeniami. W pokoju na górze Stratton wściekał się na lakoniczne instrukcje, jakie Seth otrzymał od Yosta seniora. Czekając na spotkanie ze starym człowiekiem, Zoe opowiadała swoje przeżycia w magazynie, w którym ją więziono, mówiła, jak udało się jej uciec. Seth siedział w milczeniu, nie mogąc nadziwić się jej psychicznej sile i pomysłowości.

– Muszę przyznać, że jedyne, co mnie zaskakuje to fakt, że taki plan ucieczki nie przyszedł ci do głowy wcześniej.

Zoe pociągnęła łyk wina i skinęła głową.

– Być może miało to podłoże psychiczne. Niewykluczone, że nie chciałam stamtąd uciec, dopóki nie zobaczyłam wszystkich skradzionych dzieł sztuki. Albo być może... – przerwała i przez dłuższą chwilę spoglądała gdzieś w dal.

– Albo być może? – naciskał Seth.

– Pewnie trudno ci w to będzie uwierzyć – odpowiedziała z wahaniem – ale sądzę, że taka była najprawdopodobniej wola Boga. Jestem zdania, że miałam tam zostać do czasu, kiedy otrzymam wiadomość od Niej. Potem Ona zesłała mi plan, który

pozwoił mi uciec.

– Ach, oczywiście. Chcesz mi powiedzieć, że istnieje Bóg... któremu nawet wybrałaś płeć, czy też Bóg pozbawiony płci – i który jest do tego stopnia perfidny, że pozwala nam niemal umrzeć, zanim w niego uwierzemy?

Zoe spojrzała zdumiona, a Seth pokiwał z niedowierzaniem głową.

– Zoe, to nie jest wiara. To desperacja, będąca efektem śmiertelnego przerażenia. Człowiek szuka wtedy czegokolwiek, czego może się uczepić. Posłuchaj, miałaś, wszystko, co trzeba, w swojej głowie.

– Wcale nie jestem tego taka pewna – odparła niezdecydowanym głosem.

– Oczywiście, że miałaś – obstawał przy swoim Seth. – Wystarczyło tylko, żebyś przypomniała sobie lekcje, jakie dał ci ojciec i żebyś to wszystko zamieniła w czyn.

– Wcale nie jestem tego taka pewna – zaczęła powoli Zoe. – Teraz, kiedy spoglądam na to z perspektywy, uświadamiam sobie, że o wielu z tych rzeczy nigdy wcześniej nie wiedziałam.

– Oczywiście, że wiedziałaś. Po prostu nie myślałaś o tym przez całe lata, ponieważ nie było takiej konieczności.

– Zatem dlaczego to wszystko było dla mnie tak jasne i oczywiste? Miałam niemal wrażenie, jakbym widziała światłokopię planu.

– Ponieważ napięcie związane z nadchodzącą w nieunikniony sposób śmiercią ułatwiło twoim myślom skoncentrowanie się... Zaufaj mi, bywałem już w takich sytuacjach i niejednemu raz o tym myślałem.

– Spotkania ze śmiercią, które ostatnio były twoim udziałem, zdają się mieć całkiem przeciwny efekt.

– Tak, za pierwszym razem tego typu doświadczenie ma charakter mistyczny, ale kiedy ludzie raz za razem usiłują zabić cię, zaczynasz myśleć, że Bóg ma wynaturzoną i sadystyczną naturę albo że wcale go nie ma.

Zoe potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

– To nie jest tłumaczenie. Byłam w grobie, w nieustannym zagrożeniu przez cały czas. Śmierć zawsze skrywała się tuż za rogiem, każdego dnia, który mijał. Dlaczego więc widmo śmierci nie zawładnęło moim umysłem, zanim zaczęłam poznawać prawdę o Wielkiej Bogini i zanim zaczęłam wierzyć w Boga, który ma w sobie pierwiastek żeński?

Nie daję temu wiary – odparł Seth, dopijając kieliszek wina. – Ty, niewierna pani Tomaszowa, która nigdy nie wierzyła w nic, czego nie mogła dotknąć własnymi dłońmi lub zobaczyć własnymi oczami.

– Ja również nie daję wiary temu, co teraz mówisz. Byłeś osobą wierzącą do chwili, kiedy sprawy zaczęły się układać źle, a teraz porzucasz wiarę? Jakaż więc była siła...

Telefon zadzwonił punktualnie o siódmej wieczorem. Nastoletni syn właściciela podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał, a potem powiedział:

– To do pana, *mein Hen*.

– Słucham – zapytał Seth.

– *Hen Ridgeway?* Mówi Gunther. Jestem przekonany, że mogę panu pomóc. To znaczy kilku moich przyjaciół będzie w stanie dopomóc w zaaranżowaniu pańskiego spotkania z ojcem Morgenem.

– Zatem znajduje się w Alt Aussee?

Gunther na chwilę zamilkł.

– Oni mogą służyć panu pomocą. Czy zechce pan spotkać się z nimi?

– Oczywiście.

– Wspaniale – ucieszył się Gunther. – Niech pan wyjdzie z Kohlbacherhofu i pójdzie w dół główną ulicą, w kierunku miasteczka. Zanim dojdzie pan do centrum, w miejscu gdzie droga się rozwidła, zobaczy pan niewielki sklep z zabawkami, książkami...

– Wiem, gdzie to jest.

– Dobrze – odparł Gunther. – Spotkajmy się przed tym sklepem.

– Kiedy?

– Teraz.

– Teraz?

– Czy wyobraża pan sobie lepszy sposób na spędzenie wieczoru w Alt Aussee? – W głosie starszego mężczyzny zabrzmiał nagle zniecierpliwiony sarkazm.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Dobrze. Moi przyjaciele nie mogą się doczekać spotkania z panem. Niech pan wyrusza natychmiast.

Seth odłożył słuchawkę, zapłacił za wino, potem wyjaśnił Zoe, o czym

rozmawiał. Poszli na górę do pokoju, żeby wziąć płaszcze, a tam Stratton również wysłuchał relacji Seta z rozmowy telefonicznej.

Wyszli na zewnątrz. Śnieżycy niemal ustała, temperatura spadła, a śnieg pod ich nogami skrzypiał. Do sklepu z zabawkami i książkami dotarli po około pięciu minutach.

Kilka chwil później coś twardego dźgnęło z tyłu w żebra Seta, a warkot samochodowego silnika wypełnił wieczorną ciszę.

– Proszę nie robić żadnych gwałtownych ruchów, panie Ridgeway. Pani także.

Głos nie należał do Gunthera. Zdezelowany mercedes, który widzieli wcześniej zaparkowany przed restauracją, zjechał na pobocze. Seth obrócił głowę, starając się zobaczyć tablicę rejestracyjną, ale nie widział nic, gdyż oślepiły go przednie światła auta.

– Siadajcie z tyłu – odezwał się ktoś wprost do jego ucha. Seth spojrzał na Zoe, która już miała krzyknąć, ale dłoń w rękawiczce szybko zatkała jej usta. Zaczęła szarpać się. Seth ruszył w jej kierunku i poczuł nagle mocne, tępe uderzenie w tył głowy. Nogi się pod nim ugięły.

– To nie było mądre – odezwał się głos, kiedy wpychano ich oboje na tylne siedzenie samochodu. – Nie musicie się ni czego obawiać.

W głosie nie było słyhać groźby. Drzwi zatrzasnęły się i samochód ruszył.

– Zamierzam zawiązać wam oczy – uprzedził ten sam głos. Seth usiłował obrócić głowę w kierunku mówiącego, ale rwący ból w karku uniemożliwił mu ruch. Chwilę później jakieś ręce naciągnęły mu na oczy coś, co było chyba grubą czarną szarfą. Nic nie widział, ale mógł bez trudu oddychać.

– Możecie się odprężyć, nie zamierzamy wyrządzić wam krzywdy.

Ból głowy sprawił, że Sethowi trudno było uwierzyć w te słowa. Przywołał w myślach zabójców, których spotkał w Zurychu, w Amsterdamie oraz w Marina Del Rey. Próbował pocieszyć się myślą, że w odróżnieniu od tamtych, ci usiłowali tylko ich pojmać, nie zabić. Chociaż pociecha zaiste była niewielka.

Samochód jechał kilka minut utwardzoną drogą, potem zjechali widać z asfaltu, bo zwolnili i auto zaczęło się kołysać i podskakiwać. Rzuciło nimi na tylnym siedzeniu tak, że którymś momencie Seth natrafił na dłoń Zoe. Uścisnął ją, ona odwzajemniła uścisk. Siła, otucha, nadzieja, miłość. Przekazywali sobie te sygnały bez słów, a stary mercedes przebiegał się tymczasem powoli przez ciemność. Po około pół godzinie

zatrzymali się. Mężczyźni pomogli im wysiąść z auta i posadzili na jakimś twardym i chłodnym siedzeniu. Chwilę później rozległ się warkot. Seth rozpoznał silnik skutera śnieżnego.

Ruszyli z miejsca, Seth domyślił się, że posadzono ich w saniach, które doczepiono do tego właśnie skutera.

Jechali jakieś pół godziny, głównie przebijając się przez zarośla, bo co rusz gałęzie ocierały się o ich odzież.

W końcu zatrzymali się, silnik zgasł. Poprowadzono ich przez śnieg. Otworzyły się jakieś drzwi i wprowadzono ich do ciepłego wnętrza. Potem usłyszeli za sobą trzaśnięcie zamykanych drzwi.

– Zdejmijcie im zasłony z oczu – odezwał się jakiś głos, po czym ściągnięto z ich głów skarpety.

Nie musieli nawet mrużyć oczu, gdyż jedyne światło w pomieszczeniu dawała lampa naftowa oraz ogień palący się na kominku z naturalnego kamienia. Izba wyglądała jak wnętrze alpejskiej chaty, tak charakterystycznej dla krajobrazu całego Tyrolu. Było tu proste piętrowe łóżko oraz kilka mebli z grubo ciosanego drewna. Pachniało woskiem i kawą. Zoe objęła Seta. Obrócili się, przy kominku stało dwóch ludzi, a każdy trzymał w dłoni cynowy kubek. Rozpoznali Gunthera. Obok niego stał wyższy mężczyzna o bardziej dystyngowanym wyglądzie. Spoglądał na Zoe i Seta, potem podszedł do nich.

– Witam – rzekł i wyciągnął dłoń na powitanie. – Jestem Hans Morgen.

Rozdział 32

Morgen absolutnie nie przypominał księdza. W grubym wełnianym swetrze zrobionym na drutach ścięciem warkoczowym i w wełnianej kurtce bardziej przypominał profesora uczelni lub naukowca. Poza tym nie miał koloratki. Wymienił z nimi uściski dłoni, najpierw z Zoe, potem z Sethem.

– Jestem zmuszony przeprosić państwa za osobliwy sposób, w jaki was tu przywieziono – oświadczył – ale obecnie bardzo wielu ludzi chciałoby wiedzieć, gdzie przebywam. Po za tym musiałem mieć całkowitą pewność, że jesteście tymi, za których się podajecie.

Seth potarł obolały tył głowy.

– Naprawdę bardzo mi przykro, panie Ridgeway – jeszcze raz przeprosił Morgen – z powodu pańskiej głowy. Ale Richard...

Wskazał głową na mężczyznę stojącego przy drzwiach. Spojrzał. Potężny Richard Stehr miał łagodną, niemal niemowlęcą twarz o poczciwych niebieskich oczach.

– Na całe szczęście to fachowiec. Pański uraz nie będzie miał trwałych następstw.

– Łatwo panu powiedzieć – stęknął Seth, lecz jego gniew powoli ustępował.

– Oczywiście – powiedział Morgen ugodowym tonem. – Zechcecie państwo usiąść? Zaparzyłem świeżą kawę.

Wskazał na dwa krzesła z plecionymi na grubo ciosanym stole stały kubki, butelki, była też sucha kielbasa oraz bochenek ciemnego chleba.

Usiedli i w milczeniu spoglądali, jak Morgen bierze przez grubą rękawicę poobijany dzbanek z odpryśniętą emalią, stojący na ruszcie w kominku. Wybrał dla Zoe i Setha wyszczerbione kubki i napełnił je parującym, czarnym płynem, dolał sobie kawy, wreszcie usiadł przy stole. Pozostali mężczyźni – dwaj, którzy przywieźli ich do chaty, oraz Gunther stali przy oknie i co jakiś czas odsuwali zasłonę, by wyjrzeć na zewnątrz. Tam najprawdopodobniej byli jacyś wartownicy, gdyż jeden z mężczyzn regularnie dawał znak.

– Rozumiem, że przeszliście sporo, podejmując trud odzyskania Pasji Zofii – oznajmił Morgen, a Zoe i Seth przytaknęli niemal jednocześnie. – Dlaczegoż więc nie mielibyście mi opowiedzieć o tym, co przeszliście?

– Nie chciałbym uchodzić za niewdzięcznego gościa – odparł Seth – ale ponieważ to pan przywiózł nas tutaj w tak... osobliwy sposób, czułbym się bardziej komfortowo, gdyby to pan opowiedział nam o sobie oraz – spojrzał na mężczyzn stojących przy oknie – o pańskiej grupie.

Spojrzenie Morgena złagodniało.

– Oczywiście – odparł. – Proszę mi wybaczyć zbytnią ostrożność oraz kiepskie pełnienie honorów gospodarza. Doskonale rozumiem pańską rezerwę.

Spojrzał na Gunthera i dał mu znać skinieniem, żeby dosiadł się do nich. Starzec podszedł, powłócząc nogami, i usiadł obok Setha.

– Gunther być może będzie w stanie podać barwne szczegóły, które ja pominę. Zakładam, że mój stary przyjaciel Jacob Yost opowiedział panu o wszystkim, co było na początku. Rozejrzał się dookoła, jak gdyby alpejska chata stanowiła symbol wszystkiego tego, co go spotkało w ciągu ostatnich czterdziestu lat.

Pozwólcie, że rozpocznę w miejscu, w którym Yost niewątpliwie zakończył swoją opowieść. Być może trudno będzie wam uwierzyć w to, co działo się w ostatnich dekadach, jeśli nie poznacie określonego kontekstu związanego z tymi wydarzeniami.

Pociągnął łyk kawy z cynowego kubka, skupił się i oparł na krześle.

George Stratton mrużył powieki, światła przednich reflektorów odbijały się w śniegu i aż kłuły w oczy. Prawie już przestało padać. Jechał powoli po nierównej, skalistej drodze, która wiodła stromo zboczem góry. Gałęzie obwieszane śniegiem ocierały się i uderzały o boki auta.

Stratton podążał śladami Sedia i Zoe do miejsca, w którym wyznaczono im spotkanie. Fachowym okiem rozpoznał ślady opon, miejsce wydeptane w śniegu oraz ślad samochodu, który odjechał spod sklepu. Ponieważ nie dostrzegł śladu stóp, prowadzących gdzieś dalej, doszedł do wniosku, że Ridgeway i jego żona pojechali autem razem z tymi ludźmi – z własnej woli lub też wbrew niej. Ruszył więc za śladami opon; na szczęście prawie już wtedy nie padało, a i ruch na ulicy był żaden.

Podwozie volvo zgrzytnęło o jakiś występ skalny. Stratton zatrzymał więc auto, wziął latarkę i dalej ruszył pod górę na piechotę.

– Wtedy, już po wojnie, zacząłem szukać sierżanta – kontynuował opowieść Morgen – lecz on, podobnie jak wielu jego towarzyszy broni, zniknął i to skutecznie.

Morgen wstał i podszedł do dzbanka, który odstawił na ruszt, by kawa nie wystygła.

– Na dodatek dokładałem wszelkich starań, chcąc zweryfikować twierdzenie sierżanta, że Hitler szantażował papieża. Zabiegi te przyniosły dwojaki rezultat.

Pochylił się, sięgnął po dzbanek dłonią w grubej rękawicy.

– Po pierwsze – oznajmił, gdy szedł z powrotem do stołu – spotkałem w Kurii niewielką grupę ludzi, którzy podjęli zdecydowane działania, by nigdy więcej żaden papież nie stał się przedmiotem moralnego lub też teologicznego szantażu.

– Ksiądz w parku – wtrącił Seth. – W parku w Amsterdamie. Spojrzał pytająco na Morgena, a ten skinął głową ze smutkiem.

– Ojciec Smith. Wysłałem go, żeby deptał panu po piętach. Żeby pana chronił.

– Tuż przed śmiercią powiedział jeszcze słowo, które brzmiało jak „brown”. Co to może znaczyć?

Morgen wyglądał tak, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

– Użył tego nazwiska?

– A więc to jest nazwisko?

Morgen przerwał na moment, jakby chciał nieco ochłonać.

– Tak przypuszczam – odparł. – Ale prawdę mówiąc, nie wiem, nie jestem do końca pewien.

Na jego twarzy pojawił się wyraz przygnębienia, a usta zaczęły mu odrobinę drżeć.

Seth i Zoe spoglądali, czekając na wyjaśnienie tajemniczych uwag. Przez moment oczy Morgena przesłoniła mglista zasłona, potem zniknęła, a w jej miejsce pojawiły się błyski gniewu.

– Opowiem wam o tym za chwilę – obiecał, zasiadając ponownie na krześle.

– Drugą konsekwencją moich poczynań było to, że stałem się obiektem inwigilacji ze strony innych członków Kurii, ludzi, którzy wydawali się zadowoleni z prowadzonych przeze mnie poszukiwań sierżanta oraz obrazu, chociaż jednocześnie z pełną determinacją pilnowali, bym nie zrobił użytku z informacji, gdybym tylko zdołał je

posiąść.

To grupa, która kryje się w cieniu – ciągnął dalej Morgen. – Udało mi się ustalić, kim są ci ludzie na niższych poziomach... to moi koledzy księża, a także niektórzy biskupi.

Przerwał na chwilę.

– Jednym z nich jest również mój opat w Monachium. Dałbym bardzo dużo za wiedzę o tym, z kim rozmawia, kiedy przekazuje do Rzymu informacje na mój temat.

Morgen znów przerwał na chwilę, spoglądając gdzieś daleko nieobecnym wzrokiem, jak gdyby dokładnie widział oczyma wyobraźni, co by zrobił, gdyby odnalazł w Rzymie tych ludzi. Potem potrząsnął lekko głową i wrócił do relacji.

– Zostawili mnie właściwie samemu sobie, pominąwszy ścisłą obserwację. Jak przypuszczam, wystarcza im, że pozwolili mi poruszać się swobodnie, jeśli tylko mogą czerpać jakieś korzyści z moich informacji i moich wysiłków. Stano wiłem dla nich swego rodzaju przynętę, a sami czaili się, czekając na tego właściwego drapieżcę. Przez wszystkie te lata byłem ostrożny, nadzwyczaj ostrożny, nie dałem im nigdy żadnej poszlaki czy wskazówki, iż jestem świadom ich wysiłków. Dzięki temu łatwiej popełniali błędy. Nawet najlepszych profesjonalistów i fanatyków można uspić i zwieść ich czujność.

Seth pomyślał o tym, jak udało mu się wyprowadzić w pole człowieka Strattona i wyjść z biblioteki UCLA tego wieczora, kiedy Tony Bradford został zamordowany.

– Zatem przez wszystkie te lata od końca wojny – kontynuował Morgen – wysyłałem najważniejsze listy do Jacoba Yosta i rozmawiałem z nim sekretnie przez telefon. Oczywiście Watykan wiedział, że pracuję razem z nim, usiłując zlokalizować miejsca ukrycia dzieł sztuki zrabowanych przez Niemców. Wszystkie nasze listy i rozmowy dotyczące dzieł sztuki biegły oficjalną drogą i jestem pewien, że były przejmowane i podsłuchiwane przez ludzi w Kurii. Jednak sytuacja uległa zmianie mniej więcej przed rokiem. W styczniu... – Oczy Morgena zamknęły się na chwilę. – Tak, w styczniu zeszłego roku Yost i ja zdołaliśmy odkryć pewien obraz. Było to jedno z wczesnych dzieł Pissarra, które zostało wystawione sekretnie na sprzedaż przez byłego pułkownika SS, żyjącego w Portugalii pod przybranym nazwiskiem. Doprowadziliśmy policję do jego willi niedaleko Lizbony, gdzie zarekwirowano obraz, a pułkownika

aresztowano. Wydarzenie odbiło się echem w miejscowej prasie. W rezultacie zadzwonił do mnie z Kreuzlingen człowiek, którego od ponad czterdziestu lat znałem jako Franza Bohlesa von Halbacha. Okazało się, że był to tamten sierżant SS, który przyszedł do mnie pamiętnej nocy przed czterdziestu laty i poprosił o rozgrzeszenie za zastrzelenie chłopca z górskiej osady. Ten sam człowiek, który pokazał mi Całun oraz Pasję Zofii w podziemnym, silnie chronionym skarbcu w kopalni soli.

Cóż, von Halbach był teraz człowiekiem bardzo bogatym, a nazywał się Willi Max. Max... von Halbach... był już bliski śmierci i dylematy moralne, które przez czterdzieści lat skutecznie tłumił, zaczęły gnębić go z nową siłą. Tamten młody sierżant dręczony wyrzutami sumienia stał się teraz skruszonym, umierającym, starym człowiekiem, zatroskanym o losy nieśmiertelnej duszy.

W ciągu minionych czterdziestu lat zmienił się. Był teraz człowiekiem niezwykle wyrafinowanym, wiedział, jakie znaczenie ma obraz, wiedział też, że w środku znajduje się klucz, dzięki któremu można dotrzeć do Całunu oraz Pasji Zofii. Dlatego nie pojawił się bezpośrednio u moich drzwi z malowidłem w ręku. Co było zresztą całkiem rozsądne, bo obraz znajdowałby się teraz najprawdopodobniej w rękach moich wrogów w Kurii. W pełni świadom znaczenia tajemnicy, postanowił działać dyskretnie. Nawiązał kontakt z Yostem, który natychmiast do mnie zadzwonił.

Rozmowę przerwał Gunther, sugerując, że pora coś przekazać. Mężczyźni pełniący wartość na zewnątrz chaty co jakiś czas zmieniali się, przychodzili do izby i zjadali kawał zimnej kielbasy oraz pajdę chleba. Wszyscy oni byli starsi i z ogromnym szacunkiem traktowali ojca Morgena.

– To dawni księża – wyjaśnił Morgen, wskazując na mężczyzn. – Każdy z nich zetknął się ze zdradami i oszustwami w łonie Kościoła, ale nawet po zrzuceniu sutanny nie stracili powołania i chcą dalej służyć Bogu. Prowadzą teraz żywot duchownych, lecz służą bezpośrednio Bogu, nie Kościołowi. Pomagają w ten sposób coraz mniejszej liczbie tych z nas, pozostających w kościelnych strukturach, którzy walczą z nieuczciwością oraz nadużyciami.

– Mając Całun oraz Pasję Zofii, będziemy w stanie wygrać nawet kilka bitew – wtrąci! Gunther, siadając przy stole. – A teraz, jak sądzę, wasza kolej.

Seth i Zoe kolejny raz opowiadali historię mąk, jakie przeszli; ich opowieść za

każdym razem stawała się krótsza, bardziej lakoniczna, jakby chcieli zapomnieć o bólu i strachu.

Kiedy zakończyli, Morgen wyjaśnił, że jądro reformatorów w Watykanie nieustannie się kurczy, bo ludzi ci postrzegani są jako zagrożenie dla walczących o władzę i utrzymanie struktur bizantyjskiej wręcz biurokracji. Nawet zwolennicy działań reformatorskich, przekonani, że korupcja w Watykanie ma charakter fundamentalny uważali ich za potencjalne źródło kłopotów i komplikacji.

– Dlatego właśnie nie byliśmy w stanie chronić was do końca skutecznie – przyznał z żalem Morgen.

Ridgeway kiwnął głową ze zrozumieniem.

– To, co ksiądz powiedział, wyjaśnia wiele rzeczy, ale wciąż nie podnosi kurtyny tajemnicy i nie tłumaczy, dlaczego ludzie z KGB zabili waszego człowieka w parku w Amsterdamie. Wspominał ksiądz o zagrożeniu ze strony Kościoła. Ale niebezpieczeństwa, na które zostaliśmy narażeni Zoe i ja, pochodziły ze strony Rosjan. Nie widzę, w którym miejscu te dwie siły – Kościół i KGB – są ze sobą powiązane.

– Na dobrą sprawę zadał pan kilka pytań. Po pierwsze i najważniejsze, KGB nie jest odpowiedzialne za zabójstwo w Amsterdamie.

Przerwał na moment, jak gdyby to, co miał do powiedzenia, było bolesną raną.

– Zabili go ludzie Kongregacji. Kongregacji Doktryny Wiary – to nowa nazwa Świętej Inkwizycji.

Ridgeway i Zoe popatrzyli na Morgena z niedowierzaniem.

– Uwierzcie mi – powiedział. – I nie był to wcale pierwszy raz. Kościół dysponuje pieniędzmi oraz wpływami, dzięki te mu stać go na wynajmowanie odpowiednich ludzi, także płatnych zbójców. Dzieje się tak już od tysiąca lat.

– Sądziłem, że skończyło się to razem z rodem Borgiów – powiedział zdumiony Ridgeway.

Morgen pokręcił głową ze smutkiem.

– Nie zakończyło się to wraz z wymarciem Borgiów i nie zaczęło się też w ich epoce. Po prostu za ich czasów zjawisko to osiągnęło apogeum. Rządy – wszystkie – dochodziły niejednokrotnie do wniosku, że konieczne jest usuwanie ludzi z tego czy innego powodu. Takie zabójstwa były niekiedy opisywane jako czyny odważne i

szlachetne, ale – o czym nie należy zapominać – historia co rusz jest pisana na nowo, żeby usprawiedliwić czyny zwycięzców. I w tym właśnie miejscu KGB oraz Kościół stykają się – obie struktury są powiązane z rządem i jako takie działają jak rządowe administracje. Kościół nienawidzi Żyrinowskiego, bo się go obawia. On z kolei oraz jego poplecznicy, wliczając w to wielu ludzi z KGB, nienawidzą i obawiają się Kościoła. I w tym połączeniu strachu i nienawiści łączy ich braterstwo przemocy.

– Ale jaki interes ma w tym KGB? – upierał się Seth. – Dlaczego tak bardzo pragną zdobyć to malowidło? Przecież nie chodzi tylko o przekorę, że Kościół tak bardzo pragnie to posiadać.

– Do pewnego stopnia tak właśnie jest – wyjaśnił Morgen. – Ale przede wszystkim chcą posiadać obraz z tych samych powodów, dla których pragnął go Hitler.

Ridgeway i Zoe popatrzyli na niego pytającym wzrokiem.

– Pasja Zofii posiada moc. Moc, którą można wykorzystać w rozmaity sposób, bez względu na to, kim się jest. W tym przypadku Żyrinowski – lub ludzie jego pokroju, jeśli jego by zabrakło – chce wykorzystać Męczeństwo Zofii do szantażowania Kościoła – wszystkich Kościołów – i zmusić je do milczenia wobec okropności, będących efektem nowego rosyjskiego ekspansjonizmu, wobec ludobójstwa, do którego z pewnością dojdzie. Kościoły zawsze skupiały ludzi działających w ruchu oporu wobec niesprawiedliwych reżimów. Żyrinowski wie o tym, podobnie jak wiedział Hitler, że rząd jest bezpieczny, jeśli nie jest w konflikcie z dominującą w danym narodzie religią. Na całym świecie ludzie głosują zawsze zgodnie z religijnymi przekonaniem.

Hitler, KGB oraz choćby ci żądający w imię Jezusa zabijania zwolenników aborcji, a także pravicowi aktywiści działający na rzecz praw zwierząt, religijni fanatycy oraz polityczni terroryści tak naprawdę wszyscy są tacy sami – oznajmił Morgen. – Różnice między nimi są nieistotne. Nie ma znaczenia, czy jest to Żyrinowski, czy ktokolwiek inny. Jeśli nie on, pojawi się inny tyran. Nie możemy pozwolić na to, żeby kolejny despotą wykorzystał prawdę i związał ręce Kościołowi.

Słowa Morgena zostały wypowiedziane z niezwykłą mocą.

– Ale jak chce ksiądz tego dokonać, nie powodując zamętu w łonie Kościoła? – zapytał Seth. – Kościoły chrześcijańskie, bez względu na ich postać, bazują na wierze w Chrystusa jako Mesjasza. Czy ksiądz nie doprowadzi do zburzenia jedności chrześcijan,

jeśli ujawni istnienie innego Mesjasza? Tego, którego istnienie może być udowodnione ponad wszelką wątpliwość. Zwłaszcza Mesjasza kobiety? Czy niektórzy z wiernych nie porzucą własnej religii, chcąc wyznawać tego nowego Mesjasza? Niech ojciec pomyśli o antagonizmie, jaki zrodzi się pomiędzy wyznawcami nowej i starej wiary. Choćby Irlandia. Przemoc bazuje tam właśnie na różnicach w sposobie oddawania czci temu przecież samemu Mesjaszowi. Podział byłby równie dramatyczny jak... – Przerwał, usiłując zebrać myśli.

– Równie głęboki, jak różnica między islamem a chrześcijaństwem – dokończyła za niego Zoe.

Morgen spojrział na nich spokojnie, jakby chciał dać im do zrozumienia, że rozważał te argumenty przez dziesiątki lat.

– Mówicie zupełnie jak przywódcy Watykanu. To analogiczna argumentacja, jaką zastosował Konstantyn oraz wybrany przez niego papież, gdy podejmowali decyzję o zgładzeniu Zofii i wszystkich jej wyznawców. Kościół zawsze znajdował się w zagrożeniu – ze strony Rzymian, Hunów i Wizy gotów, ambitnych królów, faszystów, nazistów oraz innych jednostek, które pragnęły nim kierować. I zawsze będzie znajdował się w takim zagrożeniu. Jestem o tym głęboko przekonany.

Przerwał na moment, a kiedy znów się odezwał, jego głos był cichszy, bardziej niezachwiany i pewny siebie.

– Ale Bóg nigdy nie jest zagrożony, zwłaszcza prawda mu nie zagraża. Czyż nie widzicie, że przede wszystkim to właśnie kłamstwo doprowadziło do takiej sytuacji? Konstantyn oraz kościelni biurokraci bardziej troszczyli się o przetrwanie instytucji niż o czystość wiary i dusze wiernych. Zabili zatem Zofię i zatuszowali prawdę, pragnąc utrwalić własną władzę. Zasiał nasiona destrukcji, które w tej chwili rodzą owoce. Kiedy ktoś raz skłamie, musi potem znowu kłamać, i znowu, aż prawda zostanie do tego stopnia zafałszowana, że kłamliwe treści doprowadzą do wynaturzenia wiary. Z tego właśnie powodu każdy kolejny papież staje się fałszywym świadkiem wobec najważniejszych artykułów wiary. Jednak żaden z nich nie ma wyboru, gdyż musi bronić ortodoksji, mówiąc dalsze kłamstwa i dając fałszywe świadectwo. Ci, którzy usiłowali zerwać z tą bezwstydną tradycją, zwykle umiera li przedwcześnie.

Morgen pochylił się do przodu, w jego oczach zalśnił szczyry zapal.

– Lecz my mamy na uwadze duchową wiarę ludzi, nie Kościoł. Przetrawanie jednej z najstarszych w świecie struktur biurokratycznych oraz drobnych ludzkich dążeń i błędów nie jest ważne. To, w kogo ludzie wierzą, jest bez porównania mniej ważne niż to, że wierzą. Liczy się wiara, bez względu na to, czy jej obiektem jest Budda, Chrystus, Mahomet, Wisznu czy też bóstwa, które przeprowadzają słońce po nieboskłonie każdego dnia.

– Mój ojciec tak mówił – powiedziała cicho Zoe. – Mówił, żebym wszystkie religie i wyznania świata potraktowała jak okno z witrażem, które jarzy się każdym kolorem. Barw jest wiele, ale słońce tylko jedno. Bóg stworzył nas w różnych kolorach i Bóg przemawia do nas wieloma językami.

– Pani ojciec był mądrym człowiekiem – odparł Morgen. – Jesteśmy ograniczonymi istotami siłującymi się z nieskończonym bytem. Tym, co się liczy, są nasze pytania. Pytania, nie zaś odpowiedzi są ważne, ponieważ odpowiedzi te nigdy nie są pełne, zawsze ograniczone przez nasze fizyczne zmysły. Odpowiedzi te nigdy nie są prawdziwe, ponieważ „ludzkie” odpowiedzi na sekrety boskie, zawsze są uwarunkowane kul turą, przynależnością społeczną, partykularnymi interesami, przesadami, chciwością oraz każdym grzechem śmiertelnym.

Mimo to ludzie muszą wierzyć. Wiara w rzeczy, których nie widzimy, jest pożywką naszej kreatywności, pozwala nam dokonywać czynów, których nie da się wytłumaczyć zjawiskami naturalnymi. Pozwala nam też wyjść poza świat fizyczny. Pochylił się nizej, opierając mocno łokcie na stole. – Ludzie muszą wierzyć i muszą wierzyć w prawdę. My zaś możemy stać się instrumentem, który ją przed nimi odsłoni.

Morgen starł z czoła kropelki potu.

– Współczesny Kościół bazuje w dużej części na kłamstwie. W dłuższej perspektywie – w odcinku czasu, jaki da się zmierzyć jedynie przez historyków, którzy urodzą się dopiero za sto lub więcej lat – w tej długiej perspektywie prawda umocni wiarę. Lecz my oraz ci, którzy przyjdą po nas, wciąż będziemy cierpieć z powodu grzechów, braku rozwagi i lęku ludzi, którzy dopuścili się zbrodni w roku 325 roku naszej ery. Alternatywą jest dopuszczanie faszystów i dyktatorów i ludzi ambitnych do tego, by wykorzystywali prawdę do szantażowania przyszłości.

Osunął się na krzesło, wyraźnie wyczerpany. Po mniej więcej minucie Seth wstał,

podszedł do kominka i zdjął dzbanek z rusztu.

– Dolać księdzu trochę? – zapytał Morgena.

Duchowny przytaknął słabo, a Ridgeway nalał do pełna.

Potem dolał kawy do kubka Zoe i swojego, następnie odstawił blaszany dzbanek na gorący ruszt.

Morgen wrócił powoli do siebie, chociaż wciąż ciężko opierał się o blat stołu, jak człowiek kurczowo trzymający się ostatniej deski z tonącego statku. Wsłuchiwali się w gwizd wiatru, w trzaskanie szczap na kominku, w niemal niewyczuwalne oddechy i poruszenia. W końcu Seth przerwał ciszę.

– Nie mogę po prostu zrozumieć, jak ksiądz, wiedząc to wszystko... przeszedłszy to wszystko, mógł pozostać katolikiem, nie wspominając już o sutannie duchownego.

Morgen spoglądał badawczo na twarz Seta, potem uśmiechnął się, a był to uśmiech zaprawiony smutkiem.

– Przeszedłem wiele kryzysów wiary, i jak wyczuwam, pan też teraz taki przechodzi. Jestem jednak głęboko przekonany, że Bóg wspiera nas, podtrzymuje nas na duchu...

– Ale nasze pojmowanie Boga jest tak bardzo skorumpowane przez politykę i doraźne interesy zorganizowanej religii – odparł swarliwie Seth. – Pojmowanie to jest skorumpowane, a istnienie Boga w dużym stopniu podejrzane.

– Tak – odparł cierpliwie Morgen. – Tak, ma pan rację. Wiara wspiera i łączy nas; religia nas dzieli. Proszę wszelako odpowiedzieć mi na pytanie: Jeśli wspina się pan na górę i stwierdza, że w linie, która pana podtrzymuje, są przegniłe włókna, to czy odrzuca pan całą linię? Czy odrzuci pan całą wiarę tylko dlatego, że jest w niej kilka przegniłych włókien?

Seth wzruszył ramionami.

– Wiara łączy nas w sferze duchowej – kontynuował Morgen. – Ale wiara i religia splotły się ze sobą w jedną linię. W każdym zorganizowanym systemie religijnym prawdziwa wiara oraz herezja występują obok siebie, w każdym splocie liny. Dokładam wszelkich starań, by oddzielić zło, nie niszcząc przy tym całości. Jestem istotą śmiertelną i ograniczoną i nie zawsze dostrzegam, które włókna należy pozostawić, a które odrzucić.

– Zatem akceptuje ksiądz Kościół takim, jakim jest, ze wszystkimi jego wadami.

Morgen przytaknął bez pośpiechu.

– W większości. Na tyle, na ile potrafię. Widzi pan, ja nie posługuję się przykładem z witrażem, ja spoglądam na każdą religię, jak na inne drzwi prowadzące do Boga. Jako ograniczone istoty jesteśmy w stanie zrozumieć nie więcej niż tylko małą część nieskończonego bytu. Nic więc zatem dziwnego, że różni ludzie, różne kultury, różnie postrzegają swoją własną niewielką część boskiego bytu.

– Jak ślepiec opisujący słonia? – wtrąciła pospiesznie Zoe.

– Dokładnie. Wszyscy na swój własny sposób jesteśmy ślepcami – wyjaśnił Morgen. – Wierzę głęboko, że każda religia zawiera odrobinę prawdziwej percepcji Boga.

– Ale dlaczego każda z tych religii ośmiela się twierdzić, że jest tą jedyną prawdziwą? – zapytała Zoe.

– Tak naprawdę nie mają prawa tego czynić. Nie szczerze i uczciwie. Nie w imię prawdziwej, dobrej wiary – argumentował Morgen. – Wykluczenie, odrzucenie i piętnowanie innych poglądów na temat Boga jest ziem, które ludzie czynią.

– I odrzucenie kobiet – dorzuciła Zoe.

Morgen uśmiechnął się.

– I odrzucenie kobiet. Bóg jest mężczyzną. Bóg jest kobietą... obojgiem zarazem i zarazem żadnym. Usiłujemy chwycić obraz Boga i bardzo pragniemy uwierzyć, że w jakiejś części przypomina nas.

– Zatem wiara jest ogniwem, które łączy nas z boskim bytem, natomiast religia jest jedynie próbą narzucenia naszej wizji Boga innym ludziom?

Duchowny przytaknął.

– Ale czy nie sądzi ksiądz, że złem jest wynoszenie jednej wizji Boga ponad drugą oraz przypisanie Bogu wyłącznie atrybutów męskich lub żeńskich? – dopytywała się Zoe. – Czy nie jest to swego rodzaju intelektualnym bałwochwalstwem ograniczanie tego, co nieograniczone, nadawanie twarzy temu, co nie posiada oblicza? Być może przykazanie zakazujące składania hołdu idolom stanowiło próbę skupienia naszej uwagi na abstrakcyjnym, nieskończonym, obejmującym wszystko wizerunku Boga, zamiast na konkretnym jego ucieleśnieniu w danej historycznej chwili.

Ma pani rację – zgodził się Morgen. – Ograniczanie Boga w jakikolwiek sposób,

bądź też dawanie wiary temu, że Bóg wygląda tak jak my, jest herezją w czystej i prostej postaci. Jestem głęboko przekonany...

Przerwał nagle, gdyż na dworze rozległy się jakieś krzyki.

– Szybko – powiedział Morgen do Gunthera. – Pasja. Seth spoglądał, jak Gunther, powłócząc nogami, idzie do narożnika chaty, gdzie stała prycza bez materaca.

– W jaki sposób to zdobyliście? – wykrzyknął Seth, widząc, jak Gunther pochyła się i wyciąga czarną, metalową kasetę, którą wczoraj wynieśli z Thule Gesellschaft Bank.

– Ci, którzy są po mojej stronie, są niezwykle utalentowani – wyjaśnił Morgen.

Seth patrzył, jak Gunther zanosí kasetkę w poblíże paleniska. Trzeci mężczyzna znajdujący się w izbie, barczysty, z włosami przyciętymi niemal do skóry, dołączył do Morgena i Gunthera. Razem podnieśli skalną płytę, która stanowiła element kominka.

Gdy krzyki na zewnątrz zrobiły się głośniejsze, mężczyźni włożyli kasetkę do niszy w kominku, a następnie usiłowali nasunąć na miejsce kamienny blok. Po chwili niezdecydowania Seth dołączył do nich. Ledwo zdążyli. Drzwi chaty otworzyły się z impetem, a do wnętrza wpadł ostry wiatr, niosący tuman śniegu. Dwóch ludzi Morgena zawahało się przez moment, trzymając w ramionach półprzytomnego mężczyznę. Morgen przytaknął, wtedy dopiero weszli – włokąc, trochę niosąc kogoś ubranego w ciepłą kurtkę, podobną do tej, jaką miał na sobie Seth, w grube wełniane spodnie oraz solidne buty do wspinaczki.

– Znaleźliśmy go, jak myszkował wokół domu – wyjaśnił jeden z mężczyzn. Pojmany mężczyzna stęknął.

– Obróćcie go – polecił Morgen.

Kiedy obrócili mężczyznę twarzą do góry, Zoe wykrzyknęła. Tym mężczyzną był George Stratton.

Rozdział 33

Kopalnia Habersam jest duża – wyjaśnił Gunther. – Wiem to na pewno. Byłem jej dozorcą do czasu, kiedy przybyli tam esesmani.

Wyciągnął plan kopalni i rozłożył go na stole, wokół którego siedzieli Morgen, Ridgeway, Zoe, dwaj ludzie Morgena oraz George Stratton z zabandażowaną głową; efekt walki z ludźmi księdza. Tyle że i trzech mężczyźni Morgena mieli na sobie bandaże. No i nie byli szczęśliwi z przyłączenia się do nich Amerykanina. Gotowi byli zlikwidować Strattona, na szczęście Zoe i Seth zaręczyli za niego.

– Uratował nam życie – zapewnił Seth Morgena i opowiedział o tym, co wydarzyło się w limuzynie w Marina Del Rey, a Zoe, jak agent NSA ocalił jej życie w Zurychu.

– Wydaje się pan niezwykle przydatny, panie Stratton – oznajmił Morgen. I zgodził się, choć bez entuzjazmu, by Amerykanin dołączył do ich zespołu.

Siedzieli teraz przy stole, planując dotarcie do kopalni. Mieli udać się po Całun oraz Pasję Zofii w dzień Bożego Narodzenia.

– Nasze poświęcenie będzie naszą celebrą – skomentował Morgen.

Gunther wyjaśnił, jak on oraz kilka innych osób, bez Morgena, pracowali przez kilka lat nad przebicciem przejścia z sąsiedniej opuszczonej kopalni do podziemnych korytarzy w górze Habersam.

– Wejście do kopalni Habersam zostało do tego stopnia zawałone, że utorowanie drogi wymagałoby ogromnego wysiłku, ciężkiego sprzętu oraz materiałów wybuchowych. Z oczywistych względów nie chcieliśmy ściągać na siebie uwagi, podejmując działania na tak dużą skalę.

– Nie wspominając już o kosztach – dodał Morgen. – Koszty takiej operacji byłyby ogromne.

Gunther przytaknął.

– Mieszkalem tu przez całe życie i pracowałem w niemal każdej kopalni stąd do Bad Ischl. Góry są tutaj podziurawione kopalniami jak pszczeli wosk, a jest ich tu tyle, że wiele nie zostało nawet naniesionych na mapy.

Gunther potrzebował niecałego roku na odnalezienie najodpowiedniejszej.

Musiała być opuszczona, żeby mogli pracować, nie ściągając niczyjej uwagi. Musiała być odpowiednio blisko kopalni Habersam, żeby garstka ludzi, pracujących w ograniczonym czasie, mogła przekopać chodnik łączący je ze sobą. Zadanie to zajęło Guntherowi i grupie jego współpracowników ponad dziewięć lat.

– Ale jeśli już zdołaliście przekopać się do tej kopalni, dlaczego nie wynajęliście jakiegoś kasiarza lub kogoś w tym rodzaju, żeby od razu wydobyć Całun? – zapytał Seth.

Nic nie mówiąc, Gunther sięgnął do czarnej metalowej kasetki i wyciągnął z niej niedużą oprawioną książeczkę. Pokazał ją wszystkim, żeby dobrze widzieli.

– Dobry sierżant von Halbach poinformował ojca Morgena o rozbudowanym systemie zabezpieczeń, o minach i pułapkach przygotowanych na drodze do skarbcza – wyjaśnił.

– Na dodatek – dorzucił Morgen – nie tylko sam skarbiec został tak zaprojektowany, by uniemożliwić wejście niepowołanej osoby, ale – o czym powiadomił mnie von Halbach – zabezpieczeniem są też mechanizmy, które zniszczą Całun oraz Pasję, zanim dostaną się w niepowołane ręce.

A to jest klucz – podjął temat Gunther, kartkując stronicę książeczki. – Strona po stronie jest tu napisane, jak uniknąć, rozbroić lub rozmontować poszczególne mechanizmy pułapki. Włącznie z procedurą wejścia do sejfu.

– Ale materiały wybuchowe czy trucizny... czy cokolwiek, czego użyto, w ciągu czterdziestu lat z pewnością uległy już rozkładowi i zniszczeniu – zasugerowała Zoe.

Seth pokręcił przecząco głową.

– Ludzie wciąż giną od niewypałów z okresu II wojny światowej.

Gunther przytaknął.

– Pani mąż ma rację, pani Ridgeway. Poza tym gazy trujące produkowane przez nazistów, takie jak paralityczno-drgawkowe, na przykład tabun, czy bomby z bakteriami węglিকা wciąż mają taką samą siłę rażenia jak kiedyś i są prawdopodobnie tysiąc razy groźniejsze z uwagi na to, że ich metalowe obudowy i pojemniki w dużej mierze przetrwały. Nie, naziści produkowali bardzo dobrą broń. Powinniśmy spodziewać się, że większość z tych zabezpieczeń wciąż jeszcze stanowi zagrożenie.

Zoe wzdrygnęła się.

– Zakładam więc, że któryś z was – Seth spojrzął na Gunthera – jest ekspertem w

dziedzinie materiałów wybuchowych i urzędzeń z okresu II wojny światowej?

Zapadło wymowne milczenie, Gunther spojrzał na Morgena, a Morgen przełknął ślinę.

– Obawiam się, że ten człowiek zginął w Amsterdamie – wyznał. – Zmarł w parku na pana rękach...

– Dowiedziałem się nieco o materiałach wybuchowych – powiedział Gunther – kiedy byłem odpowiedzialny za kopalnię. Ale ekspert? Raczej nie, panie Ridgeway.

– Dlatego właśnie chcielibyśmy, żeby towarzyszył pan nam w jutrzejszej wyprawie do kopalni – powiedział Morgen do Seta. – Rozumiem, że pan, doświadczony policjant, miał do czynienia z materiałami wybuchowymi. To oraz fakt, że jest pan młody i silny.

– Nie, Seth! – wykrzyknęła Zoe. – Przeszliśmy już dostatecznie dużo. Niech sami się tym zajmą.

Morgen spojrzał na nią zatroskanymi oczami.

– Pragniemy... możemy... pomóc oczyścić pańskie nazwisko, sprawić, że wycofane zostaną kryminalne zarzuty, jakie ciążyą na panu. I to bez względu na zakończenie jutrzejszej misji.

Przełknął ślinę, spojrzał na Seta, potem ponownie na Zoe.

– Nie ma wątpliwości, że nie będzie pan w stanie odrzucić oskarżeń, jeśli nie zdołamy przedstawić dowodów, które w tej chwili znajdują się w kopalni.

Przerwał, niczym obrońca, pozwalający sędziom zrozumieć sens przekazanej informacji.

– Jednakże bez Całunu oraz Pasji Zofii pańskie zeznania w tej kwestii zostaną odrzucone jako kłamstwa i fantazje. Będą zbyt niewiarygodne... jeśli nie zostaną poparte jakimiś dowodami. I resztę życia spędzi pan w więzieniu albo ukrywając się.

Wstał, obszedł stół dookoła i stanął obok Seta i Zoe.

– Pańska pomoc znacznie zwiększy nasze szanse na sukces i jednocześnie poprawi pańskie widoki na oczyszczenie z wszystkich zarzutów. Z drugiej natomiast strony, jeśli po niesiemy fiasko... – Wzruszył ramionami.

Seth poczuł nagle ogromny ciężar, jaki spadł na jego barki.

– Czy mogę przemyśleć sprawę do jutra rana?

– Oczywiście – zgodził się Morgen. – Ale musi tu pan zostać z nami, bo będziemy analizować plan. Dobre przygotowanie pozwoli nam ocalić jutro życie. Przygotowanie, lut szczęścia oraz modlitwa.

Rozdział 34

Przy wejściu do opuszczonej kopalni zjawili się koło południa w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Pogoda zmieniła się, lecz na gorsze. Wściekły wiatr hulał w kotlinie, pędząc przed sobą twarde drobiny śniegu, które kłuły niczym igły, jeśli natrafiły na nieosłoniętą skórę. Widoczność spadła niemal do zera, a wszędzie tworzyła się biała szadź. Słońce wyglądało jak bladoszary dysk na jednolicie szarym, zasnutym chmurami niebie. Seth i Zoe byli bardzo wdzięczni za gogle, które otrzymali od Gunthera.

Skutery śnieżne z mozołem przebijały się przez jaskrawą i kłującą nieprzeniknioną, a Gunther prowadził ich konwój od jednego charakterystycznego elementu rzeźby terenu do drugiego. Bez reszty mu zaufali, nie wątpili, że dzięki niemu nie zgubią się w drodze.

Morgen siedział za Guntherem na pierwszym skuterze, który ciągnął za sobą nieduże, przykryte brezentem sanie, załadowane narzędziami, materiałami wybuchowymi oraz innym sprzętem, który ich zdaniem mógł się przydać. Drugi pojazd kierowany był przez Strattona, a pilotowany przez jednego z trzech mężczyzn, którzy schwytali go poprzedniego wieczora po zaciętej walce. Kawalkadę zamykał trzeci skuter, prowadzony przez Seta Ridgewaya. Z tyłu siedziała Zoe, obejmując go ramionami w pasie. Usiłował wcześniej namówić ją do pozostania w chacie razem z ludźmi Morgena, lecz stanowczo odmówiła.

– Powiedziałam ci w Zurychu. Odnalazłam cię i bez względu na to, co się będzie działo, nigdy więcej już się nie rozdzielimy.

I nie dała sobie tego wyperswadować.

Seth pilnował, by nie stracić z oczu tylnego światła skutera jadącego przed nim, zwłaszcza że pierwszy pojazd w ogóle zniknął w bieli.

Gdy słońce dotarło do zenitu, Seth usłyszał, że silnik skutera, na którym jechał Gunther, nagle zaczął ciszej pracować. Zaraz potem dostrzegł światła stopu drugiego pojazdu. Chwycił więc za hamulec i zatrzymał swój. Potem pomogli dociągnąć sanie do samego wejścia do kopalni. Po paru minutach ustawili je pod skalnym okapem dającym niezłe schronienie. Przed nimi były stalowe wrota zamykające wejście do kopalni. Gunther ściągnął brezent z sań i zaczął przenosić sprzęt. Seth, Zoe oraz Stratton

otrzymali plecaki, a każdy z nich ważył około piętnastu kilogramów, potem Gunther wręczył im latarki oraz gwizdki.

– Przez cały czas noście je zawieszane na szyi – poinstruował ich. – Jeśli oddzielicie się, stańcie w miejscu i za gwizdźcie.

Przerzucił sobie przez ramię duży zwój liny, potem dopiął do pasa mnóstwo karabińczyków i haków do wspinaczki, a także młotek do wbijania haków.

– Wejście wykute w skale nie jest zbyt solidne – uprzedził. – Kiedy jednak dotrzemy do pokładów soli, będziemy bezpieczni. Ale pamiętajcie, że skały i stemple, które ciągną się przez pierwsze sto kilkadziesiąt metrów, grożą zawaleniem.

Jak gdyby na potwierdzenie tego usłyszeli dochodzący gdzieś z ciemności rumor spadających odłamów skalnych.

– W górnych pokładach soli wydrążony jest kanał wentylacyjny biegnący pionowo. Jeśli wejście do niego jest zablokowane, będziemy musieli przejść, posługując się sprzętem taternicznym.

Podszedł do stalowej bramy i przekręcił klucz w starej kłódce. Ruszyli za nim.

Skąpe światło dnia rozjaśniało mrok zaledwie na odległość piętnastu metrów od wejścia. Zapalili latarki. Marsz okazał się trudny, ze względu na warstwę lodu pod nogami oraz wielkie, przypominające lodowe sztylety stalaktyty zwisające spod sufitu.

Seth i Zoe szli ostrożnie, małymi krokami, gdyż korytarz nieubłaganie opadał w dół. Nie dochodziło tu już światło dzienne, ustępując miejsca nieprzeniknionej czerni tunelu. Mimo to Gunther zalecił, by wyłączyli latarki, żeby oszczędzać baterie. Wystarczyć musiał snop światła jakie rzucała jego latarka; oświetlał zbutwiałe drewniane stemple oraz przerdzewiałe resztki filarów. Wydawało się, że skały ponad nimi wiszą wbrew prawu grawitacji, całkowicie pozbawione już podparcia.

Nagle odgłos spadających skał wypełnił tunel. Gdzieś w ciemności, ale niezbyt daleko usłyszeli głuchy, pusty stukot uderzających o siebie kamieni.

– Zaczekajcie – zalecił Gunther ściszoneg głosem.

Już wcześniej ostrzegł ich, by nie rozmawiali głośno, bo każdy hałas mógł spowodować katastrofę. Potraktowali to poważnie i szli w milczeniu. W końcu Gunther spędził w kopalniach niemal całe życie. Odgłosy walących się skał dochodziły przez kilka sekund. Ziemia drżała pod ich stopami, wkrótce niewielkie odłamki zaczęły

odpadać także nad ich głowami.

Zoe odmówiła w duchu modlitwę.

Po minucie wszystko ucichło i znów w tunelu słychać było jedynie ich oddechy. Gunther odczekał jeszcze kilkanaście sekund, potem w milczeniu ruszył.

Seth powtórzył w myślach wszystko, czego mogli się spodziewać w korytarzach kopalni Habersam. Poprzedniego wieczora chyba ze sto razy powtarzali plan operacji oraz instrukcje znalezione w skrytce depozytowej. Na nazistowskich planach kopalni zaznaczone były miejsca, w których założono miny i zgromadzono materiały wybuchowe. Mapy te porównano z planami, które Gunther zdobył od miejscowych władz kopalnianych. Mapy się nie pokrywały. No cóż, te dostarczone przez urząd górniczy pokazywały też tunele, których nie było na planie z czasów wojny, kiedy nie dysponowano zdjęciami lotniczymi czy satelitarnymi. Teraz jednak nawet drobne różnice mogły okazać się groźne, ponieważ musieli dokładnie wiedzieć, gdzie zastawiono pułapki. Krok w złym kierunku mógł spowodować katastrofę.

– I oczywiście nie mamy żadnej pewności, że wszystko zostało prawidłowo naniesione na mapę – uprzedził ich po przedniego wieczora Gunther. – W ostatnich dniach wojny dowódca oddziału SS mógł zlecić wprowadzenie dodatkowych środków ochronnych, ale nie kłopotał się ze zaktualizowaniem map.

Lód pod ich nogami roztapiał się w miarę, jak schodzili w głąb kopalni, a po jakimś czasie w podziemnym korytarzu słychać było głośny szum płynącej wody.

– Te góry są podziurawione podziemnymi strumieniami i rzekami – oznajmił Gunther. – Największym niebezpieczeństwem, jakie grozi górnikowi, oprócz zawalenia oczywiście, są podziemne strumienie, na które natrafia się, wysadzając skały.

Wyjaśnił, że deszcze oraz topniejące śniegi wsiąkają w ziemię, osłabiając warstwę skał, a po ich pokonaniu stopniowo spływają w dół. Część z tych wód w naturalny sposób zasila źródła strumieni wypływających na powierzchnię, ale znaczna część spływa pęknięciami i szczelinami w głąb górskiego masywu i dociera do wszechobecnych tutaj pokładów soli. Sól, która zawiera sporo siarki i innych minerałów, rozpuszcza się w wodzie i przenoszona jest w dół, do cieplejszych warstw skały, znajdujących się pod nasadą góry. Ostatecznie wiele z tych ciepłych, bogatych w minerały strumieni wyłania się ponownie na powierzchni w postaci ciepłych źródeł

mineralnych, wokół których powstają liczne uzdrowiska.

Idąc teraz ciemnym tunelem, Seth przypomniał sobie słowa Gunthera; miał wrażenie, że skalne ściany prą na nich, wyciągając kamienne ramiona, jak gdyby chciały odebrać im życie. Zaprzagnął pobiec, by jak najszybciej się dostać do solnych korytarzy, jednak to Gunther wyznaczał tempo marszu. Seth usiłował zignorować swój niepokój, uznając go za łagodny przypadek klaustrofobii. Prawdziwe niebezpieczeństwo wciąż jeszcze było przed nimi.

Dokumenty z czarnej metalowej kasetki opisywały szereg pomysłowych urządzeń, zamontowanych przez nazistów w celu ochrony ich cennej zdobyczy. Były tam między innymi karabiny maszynowe, których spusty połączone były z zamaskowanymi drutami.

– Podobne pułapki zastawiali w strefie granicznej z RFN Niemcy z NRD, było to jeszcze przed ponownym zjednoczeniem – skomentowała Zoe.

Musieli się też spodziewać głębokich dołów z ustawionymi na sztorc palami wkopanymi w dno.

– Takie z kolei pułapki stosowali północni Wietnamczycy – dodał Ridgeway.

Zainstalowano też pojemniki z napalmem, a ci, którzy zdołaliby ująć śmierci w płomieniach, zginęliby prawdopodobnie z powodu wyczerpania przez ogień całego tlenu. W większych pomieszczeniach kopalni soli, gdzie formacja geologiczna była bardziej stabilna, tuż pod powierzchnią solnej posadzki zamontowano miny przeciwpiechotne.

Wszystkie te pułapki zaznaczone były wyraźnie na planach, wraz z procedurą, jak je ominąć lub rozbroić. Jednak miny pułapki, które mogły być zainstalowane w ostatnich dniach wojny, nie dawały spokoju Sethowi, podobnie jak dopisana odręcznie notatka na wewnętrznej stronie okładki instrukcji znalezionej w kasetce.

– Co znaczy wyraz *PfeiU* – dopytywał się.

– Strzałka – odpowiedział Gunther.

Nigdzie jednak nie znaleźli dalszych odniesień do strzałek. Seth dopiero teraz przypomniał sobie o nich.

Światło latarki Gunthera stało się jakby mocniejsze, ale było to złudzenie. Po prostu weszli w obszar, gdzie ściany tunelu były białe. Przyspieszyli, chcąc jak najszybciej opuścić niepewny tunel podpierany stemplami. Po paru chwilach wkroczyli

do ogromnej komnaty. Gunther zatrzymał się.

– Włączcie na chwilę latarki – powiedział.

Aż krzyknęli z wrażenia, gdy rozejrzeli się po potężnej białej komnacie.

– Formacje solne uważane są za bardzo stabilne – powie dział Gunther. – Wykorzystywano je nie tylko do gromadzenia zrabowanych dzieł sztuki i skarbów, naziści przenosili do takich kopalni jak ta całe fabryki, bo nie trzeba było obawiać się alianckich nalotów i bombardowań. Okoliczne góry pełne są solnych komnat podobnych do tej.

Teraz głos zabrał Morgen.

– Niektóre z podziemnych pieczar wykorzystywane były też przez ludzi uciekających przed nazistami, na przykład Żydów, jako kryjówek. A po drugiej stronie tej kotliny są kopalniane komnaty – groby. Znajdują się w nich ciała ludzi zamordowanych przez nazistów; kiedy penetrowali kopalnie, szukając odpowiednich miejsc na magazyny, znajdowali tam często całe rodziny żyjące pod ziemią.

Gunther kazał ponownie zgasić latarki. Seth zauważył na solnej posadzce brązowy szlak, wydeptany bez wątplenia przez Gunthera i jego ludzi, którzy przebijali przejście do korytarza kopalni Habersam.

Szli podziemnym chodnikiem, mijając stertę desek, zardzewiałych metalowych rusztowań oraz stożkowe przyzmy soli, która opadała ze stropu wielkiej solnej komnaty.

– Jeśli nie przekopuje się chodnika we właściwym miejscu, woda uczyni to sama w miarę upływu czasu – wyjaśnił Gunther.

Po paru minutach opuścili białą komnatę i weszli do szerokiego korytarza. Białe ściany jakby wchłaniały światło latarki, rozcieńczały je i odbijały je w taki sposób, iż wydawało się, że chodnik jest oświetlony właśnie przez ściany. Po około piętnastu metrach korytarz zaczął się zwężać, a przejście utrudniały przyzmy soli sięgające niemal do połowy wysokości chodnika.

– To jest nasz urobek, z czasu kiedy kopaliśmy przejście – poinformował ich Gunther.

Przeszli dalsze piętnaście metrów, aż natrafili na duży, nieregularny otwór w ścianie korytarza. Zatrzymali się. Przyzma soli przegradzała częściowo korytarz.

– To jest to – oświadczył Gunther głosem tak dumnym, jak zapewne dumny był

Michał Anioł, kiedy obwieścił światu ukończenie prac nad rzeźbą Dawida.

Stłoczyli się wokół wejścia, a Seth wszedł na mały wzgórek soli, chcąc lepiej widzieć. Tuż obok niego stanęła Zoe.

Otwór miał wysokość jakieś metr osiemdziesiąt i nie cały metr szerokości. Sethowi przypominał otwartą trumnę. Kiedy Gunther skierował tam światło, zobaczył długi, prosty korytarz. Seth spojrzął na zegarek, dochodziła pierwsza po południu.

– Chciałbym jeszcze raz powtórzyć kilka najważniejszych rzeczy, zanim wejdziemy do tunelu – powiedział Gunther. – Przede wszystkim zapamiętajcie, że są tutaj zakopane miny przeciwpiechotne, praktycznie wszędzie. Plany wskazują miejsce ich ulokowania, poza podziemną komnatą, w której znajduje się skarbiec. Rozmieszczone są bardzo gęsto. Dlatego właśnie Richard będzie szedł z przodu z wykrywaczem metalu. Mam nadzieję, że detonatory zdążyły już przerdzewieć na skutek wilgoci, ale nie możemy być tego pewni.

Zapamiętajcie też, że my też nie byliśmy jeszcze w kopalni Habersam, bo nie mieliśmy mapy, którą wydobyliście ze skrytki bankowej. Teraz możemy być niemal pewni, że nasza misja nie zakończy się zranieniem któregoś z nas lub co jeszcze ważniejsze, uszkodzeniem Pasji. Gdy tylko postawimy stopy po drugiej stronie korytarza, znajdziemy się na całkowicie niezbadanym terenie. A ponieważ różnice między mapami nazistów, a otrzymanymi z urzędu górniczego są dosyć istotne, nie mamy pewności, w które miejsce kopalni Habersam trafił wykopany przez nas korytarz.

– Czy to oznacza, że przewidywane miejsca pułapek i min nie do końca są trafne?
– zapytała Zoe.

Gunther skinął głową, przytakując.

– Jestem jednak przekonany, że wiem, w którym miejscu się przebiliśmy.

– Modłę się, żebyś miał rację – wtrącił ojciec Morgen, potem zwrócił się do reszty grupy. – Czy zechcecie pomodlić się, zanim przejdziemy przez to wejście?

Pochylili głowy, a Morgen zaczął deklamować Psalm dwudziesty trzeci.

– Pan jest pasterzem moim, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć: orzeźwia moją duszę. Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię.

Pani pozwala mi – myślała w duszy Zoe. – *Pani prowadzi mnie; Pani orzeźwia;*

Pani prowadzi mnie, przez wzgląd na jej imię.

Z każdym słowem głos księdza stawał się donośniejszy.

„Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza. Stół dla mnie zastawiasz wobec mych przeciwników; namaszczasz mi głowę olejkami; mój kielich jest przeobfity. Tak, dobroć i łaska pójdą w ślad za mną przez wszystkie dni mego życia i zamieszkać w domu Pańskim po najdłuższe czasy”.

W słabo oświetlonym korytarzu rozległo się ciche, mrukiwe „Amen”, wypowiedziane przez wszystkich poza Sethem, który zachował milczenie.

Potem Morgen wziął do rąk praśny, ciemny, góralski chleb oraz manierkę z wodą, połamał chleb, wypowiadając słowa Eucharystii i podawał go wszystkim. Seth trzymał się z dala. W milczeniu zjedli chleb i wypili wodę. Następnie, jak spadochroniarze zbliżający się do strefy zrzutu, pograżyli się we własnych myślach na temat kruchej ludzkiej egzystencji, która zawsze ma gdzieś swój kres.

Seth i Zoe stali objęci. Czuł jej ciepło oraz jej miłość i bardzo pragnął odzyskać duchową pewność, która go opuściła.

W końcu Richard Stehr ruszył pierwszy w głąb chodnika, a w ślad za nim podążyli Gunther, Seth, Zoe, ojciec Morgen i na końcu George Stratton.

– Kocham cię – wyznała Zoe Sethowi, kiedy wchodzili do chodnika.

– Ja również cię kocham, maleńka – odparł i pocałował ją.

Następnie bez entuzjazmu ruszył w ślad za Guntherem w głąb wąskiego korytarza.

Szli niecałe dziesięć minut, kiedy tunel wypełnił się odgłosem wartko płynącej wody.

– Co to? – zapytał Seth.

– Podziemny strumień – odparł Gunther, nie zatrzymując się. – Słyszałem ten potok przez wiele lat. Zwykle mnie przerażał.

Przerwał na moment, jak gdyby szukając słów, które najtrafniej opisałyby jego odczucia.

– Teraz ten strumień jest dla mnie jak stary przyjaciel.

Seth nie podchodził z podobnym optymizmem do groźnych odgłosów, które, w

miarę jak posuwali się naprzód, stawały się coraz głośniejsze. W tunelu dosłownie dało się wyczuć lęk, który sprawiał, że podążali przed siebie coraz szybciej.

Po następnych dziesięciu minutach snop światła z latarki Richarda natrafił na białą ścianę przegradzającą korytarz. Pośrodku ściany widać było otwór wielkości pięści.

– Dotarliśmy do samego końca! – wykrzyknął Gunther. Ryk wody był teraz na tyle głośny, że musiał krzyzczeć, że by pozostali, oddaleni o kilka kroków, mogli go usłyszeć.

– Ściana ma grubość około piętnastu centymetrów. Kiedy podeszli bliżej Gunthera, ten poprosił Setha o szpadel, który miał przypięty do plecaka. Seth pochylił się, by odpiąć pasek, kiedy usłyszeli przerażony krzyk Richarda. Seth spojrział – Richard skurczył się w sobie. Patrzył na nich, ręce wyciągnął szukając ratunku.

– Pomocy! – krzyczał z rozpaczą.

Gunther zrzucił natychmiast plecak, padł na brzuch i zaczął czołgać się w stronę Richarda.

Dopiero po kilku sekundach Seth zdał sobie sprawę, że Richard po prostu zapadał się. Wymachiwał rozpaczliwie ramionami i krzyczał, zanurzając się coraz głębiej i głębiej. Wokół niego solna posadzka ciemniała od napływającej wody, a para skroplona w chłodnym powietrzu nad ciepłym potokiem spowodowała, że korytarz wypełniła delikatna mgła. Gunther zbliżył się ostrożnie, rozstawiając szeroko ramiona i nogi, by równomiernie rozłożyć ciężar ciała. Nie wiadomo było, jak daleko woda podmyła chodnik. Seth szybko zrzucił plecak i czołgając się na brzuchu, ruszył w stronę Gunthera. Chwytał go za nogi w kostkach. Z wody wystawała już tylko głowa Richarda. Mężczyzna chwycił wyciągniętą dłoń Gunthera, a kolejne kawałki solnej posadzki skruszyły się i zniknęły w rwącym nurcie. Seth czuł, jak Gunther wyciąga się i chwytą tonącego, a w następnym momencie krzyknął do Setha:

– Ciągnij! Ciągnij nas obu. Teraz!

Ciągnąc z całych sił, Seth posuwał się do tyłu, walcząc z siłą podziemnego prądu. Centymetr po centymetrze.

– Pomogę.

Seth poczuł, że silne ramiona ciągną go do tyłu za pasek; to Stratton przecisnął się obok Morgena i Zoe, włączając się do akcji ratunkowej.

Przesunęli się jakieś trzydzieści, pięćdziesiąt centymetrów, kiedy znów rozległ się przeraźliwy krzyk. Seth i Stratton nie czując oporu, polecili do tyłu. Richard krzyknął po raz ostatni, potem zniknął w mokrej, ssącej dziurze.

Siedzieli przez dłuższą chwilę, zbyt oszołomieni, by się ruszyć. Zoe podbiegła do Setha i objęła go. Po chwili usłyszeli szloch Gunthera.

– To nie twoja wina, Gunther – powiedział Morgen, obejmując ramieniem starego przyjaciela.

– Ale to ja go wysłałem pierwszego – protestował Gunther. – Trzymałem go za rękę i puściłem.

Znów zaczął cicho łkać.

– Zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy – uspokajał go Morgen.

Seth, Zoe i Stratton siedzieli w milczeniu, wreszcie Stratton dał im znak, żeby ruszyli za nim z powrotem do komnaty, przez którą przechodzili wcześniej. Powrócili, ciągnąc za sobą dwie długie, grube deski. Sporo czasu im zajęło umieszczenie ich w wąskim przejściu, Zoe tymczasem zaprowadziła Morgena i Gunthera do sterty belek, którą mijali po drodze. Po godzinie nad otworem w podłodze przerzucona została kładka.

– Musimy się spieszyć – ponaglał Gunther. – Teraz, kiedy woda przebiła się na powierzchnię, nie wiemy, ile czasu mi nie, zanim podmyje brzegi. Być może podziemny potok po rwie również nasz mały mostek.

Pierwszy przez kładkę przeszedł Gunther, później przekopywał się przez cienką solną ścianę, a pracował z taką zapalczywością, jak gdyby chciał ukarać sam siebie. Kiedy otwór był już dostatecznie duży, Gunther precyzyjnie się, jak marynarz przez bulaj i poświecił latarką w głąb tunelu za otworem. Następnie wyciągnął plan z czarnej metalowej kasetki, spojrzął na mapę, raz jeszcze wsadził głowę w otwór, porównując to, co ma przed oczami, z tym, co widział na mapie. W końcu odwrócił się do pozostałych i rozłożył mapę na podłodze korytarza. Seth, Zoe, Morgen i Stratton stłoczyli się, chcąc lepiej widzieć.

– Jesteśmy tutaj. – Gunther wskazał miejsce na planie w pobliżu połączenia dwóch tuneli. – Sądziłem, że przebiliśmy się w tym miejscu...

Przesunął brudny od kopania palec w punkt odległy o jakieś dwa centymetry.

– Sądziłem, że przebiliśmy się dokładnie w tym miejscu. – W jego głosie dało się

wyczuć dumę, która nieco osłabiła żal i smutek. – Odbiliśmy o niecałe piętnaście metrów. Ale nie znaczy to nic, jeśli nie wiemy dokładnie, w którym miejscu się znaleźliśmy.

Złożył mapę i dokończył poszerzanie otworu, żeby bez trudu dało się wejść do korytarza.

Gdy znaleźli się po drugiej stronie, uparł się, żeby szli gęsiego, w odległości co najmniej sześciu metrów jedno od drugiego. Jedynie Seth i Zoe złamali ten nakaz.

Wykrywacz metalu utracili wraz z Richardem, którego porwał podziemny potok, dlatego Gunther studiował strona po stronie szczegóły planu kopalni. Pokonywany dystans mierzył taśmą mierniczą, którą rozciągał za sobą, drugi jej koniec trzymał ojciec Morgen. Zoe miała za zadanie posypywać podłogę korytarza sproszkowaną sadzą, aby w ten sposób znaczyć drogę; miało to im ułatwić późniejsze wyjście.

Wszyscy mieli teraz zapalone latarki. Oświetlali korytarz, szukając śladów min pułapek, które być może nie zostały odnotowane na planie.

O czternastej trzydzieści natrafili na pierwszą pułapkę z karabinem maszynowym i nisko zawieszonym drutem.

– Zaczekajcie! – wykrzyknął Gunther.

Zbliżali się właśnie do skrzyżowania z innym tunelem, Gunther skierował światło latarki w dół.

– Spójrzcie tu.

Pośrodku krzyżujących się chodników przeciągnięty był cienki naprężony mocno drut. Gunther dał im znak że mogą powoli za nim ruszyć. Szli prawą stroną, aż do drutu, potem zatrzymali się. Gunther zaświecił latarką w głąb tunelu po prawej stronie. Był tam tylko słupek, do którego przywiązany był jeden koniec drutu.

Po przeciwnej stronie stał na trójnogu karabin maszynowy z długą lufą zakończoną czymś w rodzaju racy. Lufę okrywał perforowany metalowy płaszcz, służący za chłodnicę. Przez moment patrzyli, jakby spodziewali się, że zaraz wypali.

Gunther kazał im cofnąć się do tunelu, z którego przyszli, sam podszedł do karabinu i skierował lufę w stronę jaskrawej, białej ściany solnej. Następnie wyciągnął obciążki i przeciął napięty tuż przy ziemi drut. Ruszył w ich stronę, nagle jednak zatrzymał się i zawrócił. Pochylił się nad karabinem i pociągnął za spust.

Karabin nagle ożył, wypełniając tunel ogniem i hukiem. Wystrzelił chyba z tuzin pocisków, kiedy wreszcie ucichł.

– Dlatego właśnie musimy zachować ostrożność – wyjaśnił, potem polecił, by wyciągnięto z plecaka taśmę i umocowano jej koniec na ścianie korytarza. Następnie chwycił drugi koniec taśmy i doszedł do miejsca zaznaczonego na planie. Potem zawrócił, chcąc w ten sposób ominąć miny. Jakies sto metrów dalej pochylił się, by zdjąć przykrycie maskujące głęboki dół. Rozległ się stuk spadających kawałków drewna, a towarzyszyły temu kłęby kurzu. Zoe zaświeciła latarką do wnętrza dołu i dostrzegła sterczące, niemal metrowe pale owinięte kolczastym drutem.

Miny rozłokowane były teraz gęściej, więcej też było pułapek, które musieli rozbroić.

Dotarli do ogromnej komnaty, niemal tak dużej jak ta, którą minęli na początku kopalni. Teraz posuwali się centymetr po centymetrze, przechodząc przez pole minowe; miny ustawione były gęsto, między nimi ledwo starczało miejsca na postawienie stopy. Gunther wziął od Zoe pojemnik z sadzą, ale nie sypał ścieżki, tylko zaznaczał konkretne miejsca, gdzie należało stawiać stopy. Ostatnie z pól minowych miało szerokość niemal dwunastu metrów. Gunther kazał im wszystkim poczekać daleko z tyłu, a sam przecierał szlak. Stali w milczeniu, wstrzymując oddech. Zoe spoglądała na ojca Morgena i widziała, jak jego usta poruszają się w niemej modlitwie. W końcu Gunther wyprostował się i wykrzyknął.

– Udało się. Chodźcie ze mną, tylko gęsiego.

Zoe obserwowała ze zgrozą, jak Seth idzie przez pole minowe. W końcu odwrócił się do niej.

– Może jednak zaczekasz tam na mnie?

– Zapomnij o tym – odparła z odwagą, chociaż wcale tak się nie czuła.

Ridgeway czuł w palcach mrowienie, gdy obserwował Zoe przechodzącą przez pole minowe. W jego oczach wyglądała jak balerina wykonująca solową partię w tańcu śmierci. Wydawało mu się, że jaskinia oddala się od niego z każdym jej śmiertelnym krokiem. Miał wrażenie, że idzie bez końca, a potem wreszcie znalazła się w jego ramionach. Odprowadził ją na bok, podczas gdy ojciec Morgen i George Stratton przechodzili kolejno przez zaminowany szlak.

W końcu wszyscy znowu byli razem.

– Znajdujemy się w głównej krypcie – oznajmił Gunther, spoglądając najpierw na plan kopalni, potem rozglądając się dokoła. – Według mapy nie ma tutaj żadnych min pułapek.

Komnata miała około siedemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych powierzchni i od dziesięciu do trzynastu metrów wysokości. Posadzka pokryta była jakimiś odpadkami, które przypominały kawałki skrzyń.

– Tak, wiem – powiedział ojciec Morgen rozmarzonym głosem. Byłem tu. Byłem tu ponad pół wieku temu... Niemal całe życie temu.

Poświecił latarką dokoła.

– Weszliśmy... Weszliśmy tamtędy.

Światło jego latarki skierowało się na wejście po drugiej stronie komnaty.

– A wejście do krypty znajduje się po prawej stronie... – Skierował snop światła bardziej w prawo. – Tam.

Metalowe wrota zainstalowano w występach szarej skały. Były duże, nieprzeżarte przez rdzę, a z miejsca, w którym stali, wyglądały zupełnie jak drzwi od skarbcza w Thule Gesellschaft Bank.

– Z pewnością nie ma tutaj min pułapek – ciągnął Morgen natchnionym głosem – ponieważ przebywali tutaj ludzie. Wielu ludzi. Chodzili tu dookoła. Sierżant pokazał mi to wszystko. Główne wejście było silnie strzeżone, w pozostałych podejściach do krypty założono miny pułapki oraz zwykłe miny, które miały chronić skarbiec przed ludźmi takimi jak my.

Ridgeway poprowadził ich w stronę drzwi krypty. Był w połowie drogi, kiedy nagle poczuł, jak solna posadzka lekko się pod nim ugina. Z drugiej strony pomieszczenia dobiegł go metaliczny trzask i szcęk jakiegoś mechanizmu.

– Na ziemię! – wrzasnął, rzucając się na posadzkę i ciągnąc za sobą Zoe.

W pomieszczeniu rozległ się pojedynczy strzał, po którym nastąpiło głuhe szcęknięcie iglicy uderzającej w nabój niewypał – kolejny karabin maszynowy. Seth gotów był przysiąc, że słyszał, jak kula przeleciała tuż nad nim.

Kilka chwil później wstali i podjęli marsz. Kiedy podeszli pod wrota, Seth poświecił latarką na jedną z pryzm. Były to szkielety ludzi ubranych w mundury SS.

Było ich wiele. A jednak żadne z nich – ani Sedi, ani Zoe, ani nikt z pozostałych nie odczuł współczucia.

W drzwiach krypty zobaczyli dwa zamki szyfrowe, które należało otwierać równocześnie. Zoe czytała na głos liczby, Seth ustawiał mechanizm po prawej stronie, zaś Gunther po lewej.

– Lewy zamek w lewo do pozycji dwadzieścia siedem – czytała z dokumentu, a Stratton przyświecał jej latarką. – Prawy też w lewo do pozycji pięćdziesiąt dziewięć. Gotowi. Wy konać.

Seth i Gunther jednocześnie wykonali obrót tarczy, potem czekali na kolejne instrukcje.

– To wszystko – oznajmiła wreszcie Zoe – To już wszystkie numery.

Seth i Gunther spojrzeli na siebie i potem, jak gdyby porozumieli się ze sobą bez słów, obrócili się i wykonali ukłon wobec Morgena.

– Ojciec – przemówił Gunther. – Czy zechcesz uczynić nam ten honor?

Morgen ceremonialnym krokiem podszedł do drzwi, a potem jakby się zawahał – oto zbliżał się do celu swego życia. Chwytał klamkę i nacisnął ją. Coś wewnątrz wrót szcęknęło głośno, a dobrze naoliwione elementy mechanizmu ruszyły po raz pierwszy od czterdziestu z górą lat. Morgen napał na wrota. Ani drgnęły. Zaniepokojony tym, że pokonał tak daleką drogę nadaremnie, Seth położył prawą dłoń obok dłoni księdza i pomógł mu. Wciąż nic. Radość zniknęła z twarzy Morgena.

– Seth? – zapytała Zoe. – Co się dzieje?

– Wrota się nie otwierają. Mechanizm w środku zadziałał, lecz skrzydła wrót się nie rozsuwają.

Przerwał na moment. – Pozwól, że spojrzę raz jeszcze na instrukcję.

Podala mu broszurę. Ponownie czytał tekst, a Gunther przyświecał mu nad ramieniem latarką.

– Zrobiliśmy wszystko tak jak trzeba – oświadczył Seth. – Najprawdopodobniej chodzi o szyny lub o coś w tym rodzaju. Myśli pobiegły ku innej epoce.

– Było tu coś w rodzaju automatycznego mechanizmu, jak mi się wydaje – odezwał się w końcu Morgen. – Przypominam sobie, że drzwi te otworzyły się niemal automatycznie, gdy przyprował mnie tutaj sierżant.

– Być może chodzi o jakiś mechanizm, który dodatkowo zamontował dowódca garnizonu? – zasugerował Gunther.

Seth wzruszył ramionami, zatopiony w myślach. Po chwili odezwał się do Gunthera.

– Niech pan zdejmie linę i przywiąże jeden koniec do klamki wrót.

Ghunter wykonał polecenie, a kiedy węzeł był już zaciągnięty, Seth ustawił wszystkich w szeregu, jak do przeciągania liny. Sam stanął jako pierwszy.

– Ciągnijcie!

Lina naprężyła się, drgnęła, rozciągnęła się... Wrota ani drgnęły.

– Mocniej – zagrzewał pozostałych Seth. – Ciągnijcie mocniej.

„W końcu wrota skarbca jękliwie zaskrzypiały i otwarły się.

– W porządku! – zawołał Stratton.

– Dzięki Bogu – wymamrotał Morgen.

Za drzwiami zobaczyli pomieszczenie jakby z innej epoki. Miało cztery do pięciu metrów szerokości i co najmniej dwa razy tyle długości, a urządzone było jak elegancki gabinet; w środku stało biurko, obok fotel, lampa oraz długi stół konferencyjny. Podłogę przykrywał dywan, a podłużne ściany obite były drewnem. W ścianie zamykającej, betonowej, widać było następny sejf.

Powoli weszli do środka. Morgen wyglądał jak człowiek, który trafił do niemal zapomnianego snu. Skierowali światło latarek na ściany.

– Tam – odezwał się Morgen, wskazując środek ściany po prawej stronie.

Ridgeway nie rozumiał, co ksiądz wskazuje. Morgen podszedł i pokazał hak.

– Tu wisiał obraz. Sierżant von Halbach zabrał go stąd. Musiał to zrobić. Widziałem wtedy ten obraz. Widziałem.

Odwrócił się do nich, jak gdyby nie spodziewał się, że dadzą wiarę jego słowom.

Ale Gunther i Seth szybko przeszli obok niego, pragnąc jak najszybciej zakończyć ostatni etap ich misji. Dotarli do końca skarbca i rozłożyli plany na stole.

– Kombinacja jest standardowa – wyjaśnił Gundier, przyglądając się planom. – Ale kiedy drzwi się otworzą, będziemy mieli tylko dziesięć sekund na włożenie złotej sztabki z obrazu w tę szczelinę. O, tutaj.

Wskazał na pierwszy z rysunków przedstawiających drzwi sejfu, potem na

szczelinę w drzwiach zamontowanych w ścianie. Szczelina była teraz zablokowana kawałkiem metalu. Ridgeway wyciągnął złotą sztabkę z plecaka.

– Musi tu być gdzieś we wnętrzu jakiś mechanizm wykorzystujący równowagę – domyślił się Gunther. – Prawdopodobnie jest uaktywniany przez przedmiot o właściwych rozmiarach i ciężarze.

Seth przytaknął.

– Niech mi pan poświeci – poprosił Gunther.

Seth przytrzymał latarkę, a tamten zaczął obracać cyfrowy zamek. W sumie było to szesnaście numerów i Gunther wprowadzał je bez pośpiechu, ale precyzyjnie. Po wprowadzeniu ostatniej liczby usłyszeli nagle szczęknięcie i natychmiastowy turkot. Wskazówka sekundnika na zegarku Seta wskazywała godzinę 3:13:26 i nie przestawała sunąć do przodu.

– Szybko – ponaglił Gunther. – Proszę dać mi sztabkę.

Seth wręczył sztabkę Guntherowi.

3:13:29.

Gunther obrócił się w stronę sejfu. Ręce mu drżały, gdy wsuwał sztabkę do szczeliny. 3:13:30.

Gunther zaklął, mocując się ze sztabką. 3:13:31. Sztabka upadła cicho na dywan.

– Och, Boże! Szybko! – Gunther i Seth padli jednocześnie na kolana, gdy mechanizm drzwi sejfu zazgrzytał.

3:13:34.

– Niech pan weźmie. – Gunther wcisnął sztabkę w dłoń Seta. – Niech pan to zrobi.

Seth wstał.

3:13:37.

Wcisnął sztabkę do szczeliny. Zniknęła im z oczu, połknięta przez mechanizm zainstalowany w drzwiach. Terkot ucichł.

– Zdążyliśmy?

Seth spojrzał na zegarek.

– Sekundę lub dwie po czasie – odparł, sięgając do klamki. – Zobaczmy, czy zamek wciąż działa.

Zaczął naciskać klamkę, kiedy Zoe krzyknęła:

– Wrota! Seth! Wrota się zamykają!

Seth odwrócił się i zobaczył, jak wrota dużego skarbca powoli przesuwały się po szynach.

– George! – krzyknął. – Ty i Zoe oraz ojciec wyjdźcie na zewnątrz i ciągnijcie za linę. Sprawdźcie, czy będziecie w sta nie spowodować zamykanie wrót. Ja pomogę Guntherowi.

Ale Gunther już wyciągnął rękę i nacisnął klamkę otwierającą sejf. Usłyszeli syczący odgłos uwalnianych sprężyn. Moment później z pół tuzina strzał z grotami jak harpuny wbiło się w ścianę po drugiej stronie sejfu. Jedna ze strzał przeszła przez prawą pierś Gunthera, przyszpilając go do ściany.

– *Pfeil!* – krzyknął Gunther.

Tak. W końcu znaleźli strzałki.

– Gunther! – Morgen ruszył w jego stronę, lecz Seth chwycił go za ramię i powstrzymał.

– Ojcie, proszę stąd wyjść – nakazał, patrząc, jak drzwi nie przestają się zamykać.

– Zabierzcie go stąd – powiedział do Zoe i Strattona. – Ja pomogę Guntherowi.

Seth siłą obrócił Morgena i pchnął go w stronę coraz węższego przejścia między skrzydłami wrót.

– Wyjdźcie. Wszyscy – warknął.

Stratton chwycił Morgena i wybiegli. Zoe nie ruszyła się z miejsca.

Seth podbiegł do Gunthera, który wyglądał na półprzytomnego i poruszał ustami niczym ryba wyjęta z wody. Krew poplamiała już dywan pod jego stopami. Drzewce strzały nie trafiło jednak w płuco, bo krew się nie pieniała. Jeśli szybko zdołają zapewnić mu pomoc lekarską, będzie miał szansę na przeżycie.

Seth spojrzał na niego, potem na wrota, które były już do połowy zasunięte i znów odwrócił się do Gunthera. Chwycił starego Austriaka za barki.

– To będzie cholernie bolało, Gunther.

Stary człowiek spojrzał przez zamglone oczy, z których przebijało cierpienie, i przytaknął. Seth wziął głęboki oddech i wyciągnął strzałę. Gunther wrzasnął

przeraźliwie, a potem – co było zupełnie zdumiewające – odepchnął Seta i ruszył chwiejnym krokiem w kierunku sejfu.

– Gunther, co... – Seth nie był w stanie uwierzyć, że stary wciąż jeszcze trzyma się na nogach.

– Niech pan się cofnie – powiedział słabnącym głosem Gunther. Oparł się o ścianę i stał tak przez moment.

Seth popatrzył niespokojnie w stronę zamykających się wrót, a kiedy ponownie się odwrócił, Gunther próbował już wydobyć zawartość sejfu. Wyciągnął coś ciężkiego.

Seth otworzył usta z wrażenia. Gunther trzymał w dłoniach złotą szkatułę wysadzaną drogimi kamieniami, które mieniły się feerią kolorów: zielonym, czerwonym i białym, i zdawały się zwielokrotniać promienie światła latarki Seta. Nagle ciszę panującą w krypcie przerwał dźwięk, który na długo zapadł mu w pamięci. Druga seria strzał, niewątpliwie wyzwolonych przez uniesienie szkatuły z podestu, przecięła przestrzeń w ciemnościach. Jedna trafiła Gunthera w twarz. Impet uderzenia podniósł go z klęczek i rzucił nim o ścianę. Dwie dalsze strzały uderzyły głucho i przebiły się przez jego tułów. Złota szkatuła z głuchym odgłosem upadła na posadzkę, a jej zawartość wysypała się.

– Seth. Pospiesz się. Wrota.

Seth rzucił przerażone spojrzenie na wrota, potem ponownie na zawartość szkatuły rozsypaną na dywanie. Bela zgrzebnego płótna oraz kartki papieru. Jeśli wybiegnie, zostawiając je, okaże się, że wszyscy, którzy zginęli, zginęli daremnie. A kolejnym mordom nie będzie końca.

Walcząc z paniką, Seth padł na kolana i zbierał przedmioty, które wypadły ze szkatuły. Potem włożył je do niej z powrotem i zamknął wieko.

– Wychodź, natychmiast! – krzyczała Zoe.

Odstęp między skrzydłami wrót miał już tylko kilkanaście centymetrów. Zoe przesunęła się między nimi bez trudu.

– Trzymaj – krzyknął, rzucając szkatułę przez szczelinę we wrotach.

Chwyła szkatułę. Seth skoczył między skrzydła wrót, ale nie mógł się precyzyjnie przesuwać. Czuł, jak stalowe krawędzie zaciskają się na nim. Ogarnęła go panika. Chciał krzyknąć. Nie teraz, nie tak blisko końca. To nie w porządku. Opanował się i z całej siły

odepchnął zasuwające się skrzydła wrót. Na moment utknął w miejscu, potem przesunął się przez szczelinę, i padł twarzą na solną posadzkę.

Rozdział 35

Daj mi szkatułę. Głos Strattona zabrzmiał jak kategoryczne żądanie. Zoe w ogóle nie zareagowała. Klęczała na pokrytej drobinami soli posadzce solnej komnaty obok zwiniętego w kłębek Seta, wstrząśniętego do głębi tym, że ledwo uszedł z życiem. Przepisnąwszy się między wrotami, padł twarzą do ziemi wśród szczątków zmarłych dawno temu żołnierzy SS. Leżał na szkatule i dyszał ciężko wyczerpany nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Nigdy już nie zapomni Gunthera przygwoźdzonego do solnej ściany, i to niejedną, lecz dwa razy. Na zawsze zapamięta jego oczy i drgawki targające jego prawą ręką.

– Daj mi szkatułę, natychmiast! – ponownie zażądał Stratton.

– Chrzań się – odwarknęła Zoe. Pochyliła się nad Setem, a łzy ulgi i wdzięczności zaiskrzyły się w ich oczach.

– Dzięki Bogu jesteś bezpieczny.

– Szkatuła! Natychmiast! – Głos Strattona stawał się coraz bardziej natarczywy.

Zoe odwróciła się rozwścieczona, lecz pełne furii słowa zamarły jej na ustach, kiedy zobaczyła lufę pistoletu skierowaną wprost na nią. W drugim ręku Stratton trzymał latarkę, której światło skierował na jej twarz. Zmrużyła oczy oślepiąca.

– Co...?

– Podaj mi szkatułę – powtórzył raz jeszcze agent Biura Bezpieczeństwa Narodowego. – Natychmiast!

W ciemności dosłyszeli odgłos szurania butów o ziarnistą posadzkę.

– A ty, ojczy – Stratton oświetlił Morgena – stój w miejscu, bo inaczej cię zastrzele.

Stary ksiądz zatrzymał się. Seth usiadł.

– Nie ruszaj się! – rozkazał Stratton. – I nie rób żadnych głupstw.

Seth podniósł wzrok, przez moment jeszcze oszołomiony, ale nowe zagrożenie sprawiło, że szybko rozjaśniło mu się w głowie.

– Natychmiast – ponaglił agent, z trudem skrywając zniecierpliwienie. – Podaj mi szkatułę.

Zoe spojrzała na Seta, który skinał głową.

Kiedy nachylała się szkatułę, Seth kątem oka dostrzegł pistolet w skórzanej kaburze, wciąż doczepionej do pasa martwego esesmana.

Stratton odebrał cenną zdobycz i cofnął się na jakieś sześć metrów; z tej odległości każdy strzał był pewny.

– A teraz wyłączcie latarki i rzućcie je do mnie. Wykonali polecenie. Zebrał latarki i ułożył je na ziemi.

Niech ojciec przejdzie na ich stronę i usiądzie obok nich. Morgen podszedł do Setha i Zoe. Spojrzał, a Seth skinął głową, dając mu znak, żeby usiadł.

– Nie chciałem... – zaczął Stratton, z trudem wydobywając słowa... – Nie chciałem, żeby sprawy przybrały taki obrót.

Zdjął ciężki plecak, a Seth wykorzystał ten moment, by przesunąć się nieco w stronę pistoletu.

– Stawiamy jednak czoło sprawie natury duchowej o ogromnej wadze, która dotyczy milionów wiernych – prze mawiał już bardziej zdecydowanie Stratton. Klęczał obok plecaka i jedną ręką rozpinął paski. – Kilka ludzkich istnień – wliczając w to także moje – niewiele znaczą w porównaniu z milionami.

Otworzył górną klapę plecaka i wolną ręką zaczął wyciągać z niego zawartość: apteczkę pierwszej pomocy, koc, butelki z wodą, liofilizowane jedzenie oraz małą kuchenkę na butan.

– Ale czyż prawda nie jest ważniejsza? – zapytał Morgen tak spokojnie, jak przemawiać może wyłącznie ktoś, kto od dawna przestał bać się śmierci.

– Prawda? Nie jestem pewien, czym jest prawda; wątpię nawet, czy prawda ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. – Głos Strattona stawał się coraz bardziej piskliwy. – Wiem, że wiara w określone i stałe dogmaty dla większości ludzi jest czymś najważniejszym. Rzeczą okrutną byłoby pozbawianie ich tego duchowego komfortu jedynie po to, żeby zadziwić świat kolejnym religijnym, niejednoznacznym odkryciem, choćby jego prawdziwość nie budziła wątpliwości.

Seth centymetr po centymetrze przybliżał się do kabury, chwycił ją za węższy koniec i zaczął ciągnąć w swoją stronę. Zdumiał się, jak było to łatwe. Wyobrażał sobie, że mundur wypełniony kośćmi jest równie ciężki jak zwłoki.

Morgen otworzył usta, chcąc coś odpowiedzieć, lecz Stratton skierował gniewnie

pistolet w jego kierunku.

– Nie, ojcze! – warknął. – Nie opóźniajmy tego, co jest nieuniknione. Nie mogę was tutaj zostawić, żebyście umarli z głodu, jak te nieszczęsne dusze – machnął ręką, pokazując szkielety rozrzucone po komnacie. – Nie jestem sadystą. Konanie z głodu jest długie i bolesne.

Znów zamilkł na moment.

– Ale nie martwcie się – powiedział, pochylając się i usiłując uchwycić szkatułę, która okazała się wyjątkowo nieporęczna. – Każdy z was otrzyma po dwie kule w nasadę czasz ki. Nawet nie poczujecie bólu. I nie będę pierwszym, który zabija w obronie wiary.

Seth delikatnie odpiął zatrząsk kabury. Rozległo się ciche trzaśnięcie. Stratton był jednak zajęty pakowaniem szkatuły do plecaka i nawet nie zwrócił na to uwagi. Seth wyciągnął pistolet. Poczul w dłoni twardą i chłodną rękojeść.

Stratton zdołał w końcu wsunąć szkatułę do plecaka, na wierzch wrzucił latarki i usiłował zapiąć paski. Seth szturchnął wylotem lufy najpierw Morgena, potem Zoe. Kiedy spojrzeli na niego, skierował wzrok na pistolet. Miał nadzieję, że się domyśla i rzuca się w mrok, kiedy nadejdzie właściwy moment.

A stało się to bardzo szybko. Stratton zapiął paski, dźwignął plecak i przełożył jedną rękę pod pasek. Żeby dopasować pasek po drugiej stronie plecaka, musiał na chwilę przełożyć pistolet do lewej ręki.

Seth patrzył i czekał. Wycucie chwili rozstrzygało o wszystkim. Wycucie chwili oraz nabój w starym rewolwerze. Stratton wyregulował lewy pasek i przesunął go tak, by móc przełożyć prawą rękę. Lewa dłoń chwyciła pistolet i przez krótki moment żaden z jego palców nie znajdował się na cynglu.

Teraz! Seth podniósł rewolwer, popychając jednocześnie Zoe ramieniem, tak że potoczyła się na bok, poza snop światła.

Stratton był wyraźnie zaskoczony tym, że zakładnicy nie siedzą bez ruchu, ale gdy dostrzegł pistolet w dłoni Setha, w jego oczach pojawił się strach. Wypalił pierwszy, lecz celował zbyt nerwowo i chybił. Morgen padł na ziemię, kryjąc się w ciemności. Razem z Zoe rzucili się w kierunku sterty ludzkich kości, mając nadzieję, że znajdą tam broń.

Seth odciągnął kurek i wycelował w klatkę piersiową Strattona. Pociągnął za

spust. Rozległo się głucho, mechaniczne stuknięcie iglicy uderzającej o nabój niewypał. W uszach Setha zabrzmiało to jak śmiertelny jęk. Przeturlał się poza snop światła latarki Strattona, agent zdążył przełożyć pistolet do prawej ręki i ponownie wystrzelić. Kula wyryła głęboki żleb w posadzce tuż obok stopy Setha.

Seth ponownie strzelił. Tym razem pistolet zadziałał, kula jednak chybiła celu. Trafił w ścianę, która rozprysnęła się gradem solnych kryształków, błyszczących w świetle latarki. W tym nienaturalnym świetle Seth dostrzegł, że Stratton biegnie w kierunku wyjścia z komnaty. Snop światła skierowany był bezpośrednio na korytarz, który wychodził z solnej komnaty. Ściany korytarza były oświetlone, ale wewnątrz komnaty pograżyło się nagle w głębokiej i bezkształtnej ciemności.

Nagle po swojej lewej stronie Seth dosłyszał huk wystrzału i w błysku światła z wylotu lufy dostrzegł biały gejzer soli wyrwany ze ściany tuż za plecami Strattona.

– Seth? – Był to głos Zoe.

– Tutaj – zawołał.

Po chwili znowu byli razem.

– Ridgeway! – Tym razem był to głos Strattona. – Ridgeway, zostało mi jeszcze sporo amunicji. To są ostre naboje i z pewnością nie zawiodą. Jeśli ruszysz w pościg za mną, za czekam na ciebie w ciemności. Nigdy nie zdążysz dostrzec mnie na czas. Wiem, którądy musisz iść, by wydostać się na zewnątrz.

– Stratton – zawołał Seth, ale nie usłyszał odpowiedzi. Stali razem, bojąc się nawet szepnąć, by nie naprowadzić Strattona. Czy czekał na nich gdzieś poza zasięgiem światła latarki? Siedzieli tak długo, aż światło latarki, początkowo jaskrawoniebieskie, zaczęło blaknąć i zmieniać kolor na żółty. Zapadła ciemność. Teraz nie mieli szans na wyjście z kopalni szlakiem oznaczonym sproszkowaną sadzą.

W końcu Seth wstał, trzymając w jednej dłoni pistolet. Czy światło latarki miało być przynętą? Czy szczur umierający z głodu został w końcu zmuszony ruszyć i chwycić ser znajdujący się w pułapce? Po chwili wsunął parabellum za pasek spodni, ruszył biegiem w stronę latarki, chwycił ją i odskoczył w bok, starając się w locie wyłączyć latarkę i jednocześnie czekając na huk wystrzału i uderzenie kuli.

Lecz huku nie było. Jednym dźwiękiem, jaki dobiegał z ciemności, był jego własny, zdyszany oddech. Czy Stratton odszedł? Jeśli gdzieś tam czekał na nich, zginą.

Ale z pewnością umrą, jeśli takiej próby nie podejmą. Chcąc oszczędzać słabnące baterie, zapalił latarkę tylko na moment, by upewnić się, gdzie są Morgen i Zoe. Potem wyłączył ją i ruszył w ich kierunku.

Ciemność była ich przyjacielem, bo mogli się w niej skryć. Ale ciemność była równocześnie ich wrogiem; w mroku czyhały na nich pułapki pozostawione przez wrogów dawnych i nowych.

Zabrali ze sobą wodę, kuchenkę turystyczną, linę, która wciąż jeszcze była przywiązana do drzwi skarbcza, oraz jeden z koców, które Stratton wyrzucił ze swego plecaka.

Seth zapalił kuchenkę i w łagodnym niebieskim świetle płomienia ruszyli w drogę szlakiem zrobionym z sadzy. Anemiczne światło doprowadziło ich aż do rozległego pola minowego. Seth zapalił latarkę i krok po kroku przebyli niebezpieczny odcinek.

Resztę drogi pokonali bez większego trudu, przede wszystkim dzięki szlakowi sadzy, który wskazywał obejścia min i innych pułapek. W kilku miejscach Stratton wyraźnie starał się zetrzeć czarny pył, lecz bezskutecznie. Usiłował też odciąć im powrotną drogę, wyciągając deski tworzące kładkę nad rwącym podziemnym potokiem w tunelu, ale wystarczyło kilka rzutów lassem z liny taterniczej i Seth zdołał uchwycić koniec jednej z desek. Potem przeciągnął ją na swoją stronę. Wreszcie przewiązany liną w pasie przeszedł po tej kołyszącej się kładce, asekurowany przez Zoe i Morgena. Kiedy znalazł się już po drugiej stronie, przerzucił pozostałe deski, żeby Zoe i ojciec Morgen mogli bezpiecznie przejść.

Zapadał już zmrok, gdy dotarli do wyjścia. Burza śnieżna całkowicie ustała, nad głową mieli bezksiężycowe niebo rozjaśnione gwiazdami. Ostry wiatr lamentował żałośnie w konarach drzew.

Jeden ze skuterów śnieżnych zniknął, w pozostałych Stratton wyjął przewody rozdzielaczy; musiał je zabrać albo gdzieś je rzucić.

Seth pomyślał chwilę, potem wyciągnął z jednego skutera świecę zapłonową i zaniósł ją do drugiego pojazdu, połączył pierwszy skuter z rozdzielaczem i potem z cewką wysokiego napięcia. Silnik zaryczał, kiedy nacisnął rozrusznik.

Wszyscy troje wsiedli na skuter, Seth zajął miejsce za kierownicą.

– Pojechał do Innsbrucku – odezwał się Morgen beznamiętnym głosem,

przerywając grobową ciszę. – Stratton pojechał do Innsbrucku.

– Skąd ojciec wie? – Seth usiłował przekrzyczeć ryk skutera.

– Brown.

– Co? Nie rozumiem.

– Powiedziałem panu, że kiedyś wyjaśnię, co znaczy to słowo, czyż nie tak?

Seth przytaknął, chociaż zastanawiał się, czy wydarzenia dnia nie pomieszały staremu księdzu w głowie.

– To nie chodziło o kolor – tłumaczył cicho Morgen.

Seth wyłączył silnik, chcąc słyszeć lepiej.

– To chodziło o Brauna. Braun. Tamten ksiądz w Amsterdamie wypowiedział to słowo tuż przed śmiercią, jak gdyby wskazując winnego. Modliłem się, żebym się mylił, ale wszystko wskazuje na to, że tak właśnie jest.

Morgen skierował na Seta oczy, w których malowało się cierpienie.

– Braun mieszka pod Innsbruckiem. Stratton zabrał Pasję Zofii do niego. Musimy tam jechać.

Seth czekał na dalsze informacje, lecz Morgen zamilkł. Ponownie więc uruchomił silnik skutera i skierował pojazd w dół zbocza.

Rozdział 36

Brzask ledwo co zaczął wydobywać cienie kolumnady Berniniego wokół placu Świętego Piotra, a rzymska policja już rozpoczęła przygotowania do cotygodniowej papieskiej audiencji, ustawiając barierki rozdzielające tłum.

Od dłuższego już czasu środa była dniem, w którym papież udzielał audiencji zwykłym ludziom przybywającym z całego świata. I chociaż ta wypadała dzień po Bożym Narodzeniu, Ojciec Święty nie widział żadnego powodu, by odwoływać zwyczajowe zgromadzenia wiernych.

Papież szedł zamyślony z prywatnej kaplicy, wzmocniony dziewięćdziesięcioma minutami godzin, hymnów pochwalnych oraz odprawioną prymarią – pierwszą mszą dnia powszedniego.

Zatrzymał się przy oknie swego apartamentu w Pałacu Apostolskim i spojrzał na to, co dzieje się poniżej. Dostrzegł zgromadzony już niewielki tłumek, który później miał zająć całe audytorium, jakie Paweł VI wyznaczył na miejsce audiencji generalnych. Audiencje te sprawiały mu szczególną radość. Miał do czynienia z prawdziwymi ludźmi, z bożym stadłem, do którego pasterzowania go wybrano. Nikt nie mógł mu tego odebrać, nawet Braun.

Papież starał się opanować narastający w nim gniew. Zaufał kardynałowi Braunowi w wielu najdelikatniejszych kwestiach Kościoła, bronił go przed tymi, którzy uznawali go nastawionego za zbyt wojowniczo, za pozbawionego zdolności do wybaczenia. Gdy tak spoglądając teraz w dół, na ludzi, którzy wstali w środku nocy, by dotrzeć tu przed wschodem słońca, papież poczuł, jak do oczu napływają mu łzy rozgoryczenia, złości i smutku. Jeśli Braun dopnie swego – a zuchwały kardynał prawie zawsze osiągał swoje cele – wkrótce to ten ambitny Austriak będzie udzielał tych publicznych audiencji.

Papież, wstrząsany dreszczem, wziął głęboki oddech, potem wypuścił powietrze z westchnieniem, w którym zawierał się ból całego świata. Tego ranka jego cierpienie wiązało się wyłącznie z odkryciem cudownego Całunu oraz Pasji Zofii.

Braun obudził go wczoraj późną nocą, przekazując tę wiadomość i żądając natychmiastowego zwołania Kolegium Kardynałów. Podkreślił przy tym, że zgodnie z

postanowieniami prawa kanonicznego żąda jego abdykacji.

– Abdykacja zgodna z literą prawa kanonicznego – papież prychnął do siebie. Odwrócił się od okna i ruszył w stronę sali jadalnej; pomimo kryzysu na szczytach władzy kościelnej odczuwał głód.

Natychmiast po telefonie Brauna wysłał do Innsbrucku Richarda Bordena, swojego sekretarza stanu, oraz zespół watykańskich archiwistów, w celu potwierdzenia autentyczności zdobyczy Brauna. Papież spoglądał nerwowo na stary zegar wiszący na ścianie. Kiedy Borden wreszcie zadzwoni? Z pewnością dla nich wszystkich była to bezsenna noc. Ale kiedy w końcu zadzwoni?

Wszedł do sali jadanej i pozdrowił członków swego osobistego personelu. Odpowiedzieli, lecz z ich oczu przebijały smutek i niepewność. Czyżby wiedzieli? Ale skąd?

Telefon zadzwonił, kiedy papież zagłębił się w lekturze dziennika „Romę Daily American”. Odebrał w prywatnym gabinecie.

– Tak, Richardzie? – Starał się, by jego głos brzmiał po godnie. – Cóż stwierdziłeś?

Po chwili twarz papieża zmarszczyła się niczym papier, jego zwykle podniesiona głowa opadła, a barczyste ramiona opadły. Nerwowo rozglądał się za krzesłem, na którym mógłby usiąść.

– Tak – odezwał się, a był to głos starca. – Rozumiem.

I znów słuchał.

– Czy jest cokolwiek... Cokolwiek, co możemy zrobić? Słuchając, potrząsał z niedowierzaniem głową, jak gdyby sekretarz mógł to widzieć, wreszcie powiedział stanowczo:

– Nie! Nie wolno ci tego zrobić. W ten sposób znizylibyśmy się do poziomu moralnego rynsztoka, tak jak on. Wracaj jak najszybciej. Jesteś mi tu potrzebny.

Papież odłożył niespiesznie słuchawkę i ruszył do swej prywatnej kaplicy. Przechodząc korytarzem, spojrział przez okno. Brzask zabarwił plac na kolor jasnorożowy. Tłum powoli wzbierał. Spojrział na ludzi z gorzką czułością kogoś, kto mówi żegnaj.

Potem poszedł pomodlić się o cud.

– To wspaniałe, Georg, po prostu wspaniałe. – Braun obchodził dokoła stół konferencyjny w sali, gdzie zbierała się Rada Ekumeniczna.

Całun Zofii zakrywał niemal cały blat, obok, na mniejszym stoliku przyniesionym z holu spoczywały wysadzana kamieniami złota szkatuła oraz oprawiony w skórę duży wolumin z Pasją Zofii.

Całun miał prawie trzy i pół metra długości, utkany był z lnu, a przedstawiał dwa wizerunki zetknięte głową – przód i tył ciała młodej dziewczyny. W jasnym świetle wczesnego poranka widoczne były blade zarysy konturów ran.

Zza zamkniętych drzwi dobiegły przytłumione głosy ludzi, których papież przysłał z Watykanu w celu potwierdzenia autentyczności Całunu. Braunowi sprawiało radość obserwowanie ich przy pracy. Jako profesjonalści byli podekscytowani możliwością po twierdzenia jednoznacznie prawdziwych faktów historii, lecz jako ludzie lojalni wobec urzędującego papieża i jego doktryny wykonywali to zadanie ze zmarszczonymi czołami; dobrze wiedzieli, co oznacza uznanie autentyczności Całunu.

Najbardziej zatroskany był Richard Borden. Ale jakie to ma znaczenie, pomyślał Braun. Tak jak kiedyś skryba Konstantyna, który zbierał relacje od mieszkańców osady Zofii, tak teraz Borden oraz inni przestali już być potrzebni. Ich los, tak jak skryby, był już przesądzony.

Od drzwi dobiegło pukanie.

– Otwórz im, proszę, George – rzekł Braun, pochylając się nad stołem i raz jeszcze spoglądając w twarz cudownego wizerunku.

Buty Strattona stuknęły głucho o drewnianą podłogę. W progu stał Richard Borden, już wkrótce były watykański sekretarz stanu.

– Przekaż kardynałowi, że zaraz wyjeżdżamy – oznajmił Borden.

Braun podniósł głowę.

– A jak się miewa dziś papież?

Sekretarz stanu usiłował zapanować nad gniewem.

– Miewa się nieźle, Wasza Eminencjo, poza tym wyraził zgodę na... prośbę Waszej Eminencji. Kiedy możemy spodziewać się was w Rzymie?

Braun spoglądał przez dłuższą chwilę, jak gdyby głęboko się zastanawiał.

– Kiedy będę gotowy – odpowiedział, spoglądając na Całun.

I właśnie wtedy podłoga lekko zadrżała. Ruszyła gondola kolejki linowej, by zabrać watykańskich gości. Stratton zamknął drzwi przed nosem Richarda Bartona i powrócił do Brauna, stając u jego boku.

– Czy zechciałbyś zostać szefem mojej osobistej ochrony? – zapytał Braun, wciąż wpatrując się w Całun.

– Ależ tak – odparł entuzjastycznie Stratton. – Oczywiście, Wasza Eminencjo.

Stał w służalczej pozycji obok Brauna, wreszcie odważył się zapytać:

– A co z Rolfem? Służył Waszej Eminencji jako ochroniarz przez tyle lat.

– Rolf starzeje się. Poza tym brakuje mu pewnej... pewnej finezji, wymaganej przy wypełnianiu nowych obowiązków.

– Czy powiadomi go o tym Wasza Eminencja?

– Jak tylko się tu pojawi – odparł Braun, prostując się. – A tymczasem, proszę, schowaj to wszystko z powrotem do szkatuły.

Machnął ręką, wskazując stół konferencyjny.

– Muszę iść spakować się. Mamy zamówiony samolot do Rzymu w południe. Chciałbym wyjechać stąd najpóźniej przed jedenastą. – Obrócił się i ruszył w stronę drzwi. – Zechcesz powiadomić o tym personel?

– Oczywiście, Wasza Eminencjo – odpowiedział skwapliwie Stratton.

Tuż przed dziesiątą rano Seth, Zoe i ojciec Morgan opuścili Hotel Central. Ruszyli w dół ulicy Gilmstrasse w stronę parkingu, gdzie zostawili stare audi Gunthera. Jaskrawe światło dnia sprawiło, że mrużyli oczy.

– To jest w tamtym kierunku. – Morgen wskazał na pół noc, a jego długi, wąski palec zaznaczył strzeliste górskie szczyty. – Byłem tam raz, blisko trzydzieści lat temu, zanim jeszcze Brauna wyniesiono do godności kardynalskiej.

Doszli do rogu ulicy Erlstrasse i skręcili w prawo w kierunku Uniwersytetu. Po pięciu minutach dotarli do auta. Zoe zajęła miejsce obok kierowcy, a Morgen rozsiadł się z tyłu. Ridgeway wrzucił torby do bagażnika i odgarnął szczotką cienką warstwę śniegu, który nocą nawiał wiatr.

Ulice Innsbrucku były śliskie, zalegał je śnieg, a gdzieś tam pojawiały się

również łąchy lodu. Dotarli wreszcie do autostrady prowadzącej w stronę lotniska; Seth zarezerwował lot helikopterem w firmie oferującej turystom przeloty nad górskimi stokami.

– Lądowisko dla helikopterów znajduje się na dachu rezydencji – oznajmił Morgen. – Zgodnie z informacjami gospodyni Brauna, która pracuje dla nas od blisko dwudziestu lat, wejście do domu z lądowiska nigdy nie jest zamykane. Łączy się ono z windą oraz klatką schodową, która prowadzi do głównego budynku. Ochroniarze zawsze patrolują obrzeże terenu, a przebywają w oddzielnym domku, poza terenem rezydencji. Braun nie lubi, jak mu się przypomina o konieczności ochrony, zatem strażnicy mają wstęp do rezydencji wyłącznie w sytuacjach wyjątkowych. Jedynym ochroniarzem, który ma prawo na co dzień bywać w kardynalskiej rezydencji, jest szef ekipy, Rolf Engels. To prawdziwy olbrzym i na dodatek niezwykle lojalny. Będzie go pan musiał po prostu zabić, jeśli stanie na pańskiej drodze. Wprawdzie jest już w podeszłym wieku, ale wciąż budzi grozę.

– Cudownie – mruknął pod nosem Seth. – W najlepszym razie możemy spodziewać się, że połowa naboju w tych starych pistoletach wypali.

Miał na myśli pistolety oraz dodatkową amunicję, które znaleźli przy szkieletach żołnierzy SS w kopalni soli Habersam.

– Może szczęście nam dopisze i wystarczy, jak nimi postraszymy – odezwała się z nadzieją Zoe.

Ani Morgen, ani Seth nie skomentowali jej wypowiedzi.

Po mniej niż trzydziestu minutach dotarli na lotnisko. Pilot helikoptera nie krył zdziwienia, usłyszawszy, dokąd mają lecieć.

– To dzisiaj ruchliwy dzień w Kardynalskim Gnieździe.

Se di spojrzął zdumiony.

– Mam zlecenie, by odebrać kardynała dziś o godzinie jedenastej i przywieźć go tutaj. Wycarterował samolot odrzutowy do Rzymu. Widocznie jakaś nadzwyczajna sytuacja – przerwał na moment, potem dodał: – Ale kardynał nie prze pada za niespodziewanymi gośćmi. Pozwolą państwo, że jednak wcześniej zadzwonię.

Seth spojrzął na Morgena, który szybko rozpiął kurtkę, odsłaniając koloratkę. Wywarło to natychmiastowy efekt.

– Wiozę dla kardynała bardzo ważną wiadomość – powie dział Morgen, co zresztą nie do końca mijają się z prawdą. – Jego Eminencja oczekuje mnie i będzie bardzo niezadowolony, jeśli się spóźnimy. Może pan zadzwonić, ale zapewniam, że arcybiskup Wiednia oczekuje nas.

Pilot spojrział na Morgena wzrokiem pełnym szacunku.

– Oczywiście, ojciec – odparł. – Proszę za mną.

Sięgnął po czerwoną, wełnianą czapkę, naciągnął ją na łysą głowę i ruszył w stronę drzwi.

Zapięli pasy bezpieczeństwa, a silniki zawyły na jałowym biegu. Wystartowali, gdy odgłos silnika przybrał dużo wyższe tony. Nagle ziemia znalazła się daleko w dole, a oni ruszyli do przodu, z nosem maszyny skierowanym do dołu. Potem pilot wykonał nagły skręt, wciskając ich w bok helikoptera, wreszcie zadarł maszynę pionowo w górę, sprawiając, że ich żołądki stały się cięższe niż kamienie.

Rozdział 37

Neils Braun ledwie skończył pakować torby podróżne, kiedy usłyszał charakterystyczny terkot zbliżającego się helikoptera. Spojrzał na zegarek, ale nie, to nie on, on się zbyt grzebał. To śmigłowiec przyleciał przed czasem. Może i lepiej, pomyślał. Im szybciej znajdzie się w Rzymie, tym szybciej będzie mógł przejąć pełnię władzy.

Rozejrzał się po pokoju i uśmiechnął się. Ostatni raz spoglądał na to miejsce oczami kardynała. Za jakieś siedemdziesiąt dwie godziny zasiądzie na Tronie Piotrowym. W duchu już widział ceremonię abdykacji.

Sięgnął po telefon i zadzwonił po służącego, by ten zabrał spakowane torby na lądowisko. Potem zszedł dziarskim krokiem do sali konferencyjnej.

Kardynalskie Gniazdo wzniesione było pod samym szczytem, na skalistej płaszczyźnie oddalonej jakieś czterysta metrów od stromego urwiska. Mniej więcej sto metrów dalej stał mały domek połączony z rezydencją zadaszonym i ogrzewanym przejściem; mieszkali tam ochroniarze, którzy w czteroosobowych grupach na trzy zmiany patrolowali teren przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Podobnie jak ci zapewniający bezpieczeństwo Pałacowi Arcybiskupiemu w Wiedniu, wszyscy oni byli ludźmi sprawdzonymi w walce, weteranami dobranymi z najlepszych jednostek wojskowych świata. Dwunastu mężczyzn podlegało bezpośrednio Rolfowi Engelsowi, który służył niegdyś w elitarnym Korpusie Górskim Adolfa Hitlera. Rolf przed laty został zarekomendowany przez jednego z członków Rady Ekumenicznej jak odpowiedni kandydat na ochroniarza dla dobrze już wtedy zapowiadającego się biskupa, jawnego przeciwnika komunizmu; te poglądy sprawiły, że duchowny stał się celem zamachów agentów nasyłanych przez komunistyczne reżimy.

Rolf Engels przebywał akurat w dolnej stacji kolejki linowej i pił gorącą herbatę z operatorem kolejki oraz jednym z podległych sobie ochroniarzy, kiedy dosłyszał odgłos zbliżającego się helikoptera. Spojrzał na zegarek i uniósł lekko brwi w zdziwieniu.

– Bernhard – zwrócił się do swego żołnierza. – Zobacz, co się tam dzieje.

Bernhard, barczysty, ubrany w biały maskujący kombinezon, po chwili był już z powrotem.

– Żółty helikopter. Z czarnymi literami. Jest zbyt daleko, żeby odczytać napis na burtach, ale wygląda tak samo jak maszyna, którą kardynał zwykle lata.

– Dziękuję, sierżancie.

Rolf pociągnął kolejny łyk herbaty i zajął do kubka, jakby chciał się przekonać, czy naprawdę nic już nie zostało.

– Lepiej będzie, jak uruchomisz kolejkę – powiedział do operatora.

– Mam jechać z tobą? – zapytał Bernhard. Rolf zaprzeczył ruchem głowy.

– To zwykła rutyna.

Wyrzucił kubek do śmieci, potem ruszył za operatorem.

Płozy helikoptera ledwie tylko zdążyły dotknąć śniegu na lądowisku na dachu rezydencji, a Seth już wyskoczył, a potem pomógł wsiąść Zoe oraz ojcowi Morgenowi.

– Zaczekam tutaj – pilot poinformował Morgena. – Nie ma potrzeby, żebym wracał na lotnisko i zaraz znów przylatywał po kardynała. Proszę powiedzieć, że nie musi się spieszyć. Zaczekam.

Morgen skinął głową, potem dołączył do Zoe i Seta. Zgodnie z przewidywaniami księdza, drzwi nie były zamknięte. Seth wyciągnął stary, ciężki pistolet i ostrożnie przekroczył próg.

– Chodźmy – powiedział szeptem i zaczął ostrożnie schodzić po metalowych schodach pokrytych gumową wykładziną antypoślizgową. Szli w milczeniu.

Na pierwszym podejściu usłyszeli, jak otwierają się drzwi na klatkę schodową, potem dobiegły ich odgłosy sapania i stękania człowieka dźwigającego jakiś ciężki przedmiot. Sapanie przybliżało się.

Seth spróbował otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Idący był coraz bliżej. Seth sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął kartę kredytową. Potem wetknął pistolet za pasek, przyklęknął przed klamką i wsunął kartę między drzwi a futrynę. Rozległo się szcęknięcie i drzwi się otworzyły.

Za nimi był obszerny strych, zarzucony tekturowymi pudłami i drewnianymi skrzynkami. Seth nakazał gestem Zoe i Morgenowi, by weszli do środka. Ledwie zamknął drzwi, a już usłyszeli wyraźnie ciężkie sapanie.

Seth przyłożył oko do wąskiej szczeliny między drzwiami a framugą. Zobaczył chudego mężczyznę, który chwiejnym krokiem wchodził na górę, dźwigając dwie

potężne walizki. Mężczyzna zatrzymał się na podeście, otarł pot z twarzy i ruszył w górę. Po kilku sekundach klatkę schodową zalało jaskrawe światło słonecznego dnia. Kiedy ponownie zapanował półmrok – drzwi na lądowisko były już zamknięte – Seth otworzył drzwi i ruszyli dalej na dół.

Stratton wkładał właśnie do szkatuły cudowny Całun oraz dokumenty, kiedy do sali wkroczył Braun.

– Helikopter przyleciał wcześniej – oznajmił kardynał. – Chciałbym, żebyś...

Nagle drzwi otworzyły się z impetem, uderzając z hukiem o ścianę. Braun zatrzymał się raptownie, a Stratton, który obrócił się, by zobaczyć, co jest przyczyną hałasu, upuścił złote wieko szkatuły. Rozległ się głuchy odgłos.

– Ridgeway – powiedział z niedowierzaniem, wyglądał jak by nagle ujrzał ducha.

Chcąc wykorzystać przewagę, jaką dawało mu zaskoczenie, Seth ruszył szybko do przodu i dał znak Zoe, żeby weszła za nim.

– Pilnuj go – polecił, wskazując żonie Brauna.

Zoe podeszła kilka kroków i wymierzyła stary ponemiecki pistolet prosto w kardynała. Odwiodła kurek.

Przez chwilę w oczach Eminencji widać było strach, ale zdołał się opanować i znów na jego twarzy zagościły tupet i zuchwałość.

– Cóż to ma znaczyć – wrzasnął gniewnie. – Jak pan śmie naruszać w ten sposób moją prywatność.

– Zamknij się! – warknęła Zoe rozkazującym tonem. Braun usiłował się cofnąć.

– Nie ruszaj się.

Braun przyjął dystygowaną pozę, lecz jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Usiłował sam siebie przekonać, że wychodził już z większych opresji w życiu. Spojrzał na kobietę, która zmierzała w jego stronę. Bez wątpienia była atrakcyjna, i nie zmieniała tego jej wściekłość.

Stratton cofnął się, chciał znaleźć się za stołem; wiedział, że stary pistolet może go rozerwać na kawałki.

– Niech Wasza Eminencja nie da się zastraszyć – powiedział nerwowo. – Ta broń to zabytek z czasów wojny. Amunicja ma czterdzieści lat z górą.

– Milcz, Stratton! – nakazał Seth. – I stój tam, gdzie stoisz.

Seth uśmiechnął się do kardynała.

– Niech wasza haniebnosc spojrz na niego – odezwał się ironicznie. – Twój sługus jednak próbuje się kryć, bo zdaje sobie sprawę, że ten pistolet może równie dobrze odstrzelić mu łeb.

Seth uśmiechnął się szyderczo do Strattona, a potem znów zwrócił się do kardynała.

– Chcesz się przekonać, jaka jest szansa, że pistolet wypali?

– Nie. – Braun przełknął ślinę, usiłując zapanować nad ogarniającym go gniewem. – Oczywiście, że nie. Masz prze wagę, bo udało ci się nas zaskoczyć.

Kardynał spoglądał na pistolet Zoe, gorączkowo zastanawiając się, gdzie w tej chwili może znajdować się Rolf. Stary żołnierz był rutyniarzem i dokonywał obchodu terenu z dokładnością większą niż niejeden zegarek. Nagle poczuł pod stopami lekkie drgania. Silnik kolejki linowej został uruchomiony. Uśmiechnął się w duchu. Gondola potrzebowała około trzech minut, by dotrzeć na szczyt spadzistego stoku. Trzy minuty. Tylko tyle czasu musiał podtrzymać negocjacje z nimi, żeby Rolf zdołał tu dotrzeć.

Seth cofnął się do miejsca, z którego miał w polu widzenia jednocześnie i Strattona, i Brauna.

– Połóż pistolet na stół – zwrócił się do Strattona. Agent przez chwilę wahał się, jakby rachował prawdopodobieństwo tego, że pistolet Seta nie wypali.

– Na stół, przyjacielu.

Stratton sięgnął pod połę płaszcza.

– Jeśli zobaczę, że twój palec zbliża się do cyngla, jesteś trupem.

Stratton skinął głową, wyciągnął pistolet z kabury pod ramieniem i położył go na stole.

– Okazałeś się całkiem sprytny, Stratton – przyznał Seth. – I przekonujący. Z pewnością udało ci się wystrychnąć mnie na dudka.

– Niech pan pohamuje gniew, panie Ridgeway – odezwał się Braun, czuł się coraz bardziej pewny siebie, wiedząc, że lada chwila zjawi się Rolf. – Jesteśmy rozsądnymi ludźmi. Dlaczego nie mamy ze sobą porozmawiać.

– Rozsądnymi? – wrzasnął Sedi. – Zabijanie ludzi nazywasz rozsądną rzeczą? Ty zadufany w sobie, przesiąknięty hipokryzją sukinsynu. Powinniśmy rozprawić się z tobą

tu, na miejscu. Masz jeszcze tupet nazywać siebie rozsądnym człowiekiem? Zdradziłeś wszystkich i wszystko, z kimkolwiek i z czymkolwiek się zetknąłeś.

Spojrzał na szkatułę.

– Albo ukrywałeś wszystko w tajemnicy, żeby nikt nie wie dział, jaka jest prawda. Zamierzasz ukryć prawdę o szantażowaniu przez Hitlera, prawdę o hańbie – wyrzucił z siebie Seth, potem przerwał na moment. – A nawet więcej, sam też zamierzasz kogoś szantażować.

Dostrzegł w oczach kardynała iskierkę, która zdawała się potwierdzić podejrzenia.

– Więc kogo zamierzasz szantażować, panie kardynale arcybiskupie? Jakie masz plany związane z Całunem?

– Pan mnie nie zrozumiał, panie Ridgeway – zaproponował Braun.

– Oczywiście. Hitlera i Eichmanna również nikt nie rozumiał.

Braun uniósł powoli dłoń.

– Proszę pozwolić mi coś powiedzieć, dobrze?

Seth skinął przyzwalająco głową.

– Cudowny Całun ma mi jedynie dopomóc w ocaleniu chrześcijańskiego świata, nic więcej.

Seth przez chwilę spoglądał na hierarchę oniemiały.

– Chyba sobie stroisz żarty – wydusił w końcu. – Znam ludzi takich jak ty. Żyjesz tylko dla siebie. Masz gdzieś ratowanie czegokolwiek lub czynienie jakiegokolwiek dobra, jeśli nie służy to twoim osobistym interesom. Nie ma dla ciebie znaczenia, w jaki sposób dochodzisz do władzy ani po której stajesz stronie, żeby tylko po nią sięgnąć. Jesteś jak chorągiewka, ty i ludzie twojego pokroju. Przechodzisz po prostu z jednej strony na drugą. Cóż, bez względu na to, co ci chodzi po głowie w związku z Całunem, możesz uznać, że z twoich zamiarów nici.

Seth ruszył w stronę szkatuły.

– Zabieramy ją ze sobą. Helikopter już na nas czeka. Chcę więc, żebyście ty i Stratton położyli się teraz na podłodze.

Ridgeway wskazał wylotem lufy na obu mężczyzn.

– Kładźcie się tu, na środku. Twarzami do dołu, z rozłożonymi szeroko nogami.

Ani Braun, ani Stratton nie posłuchali polecenia.

– Natychmiast – włączyła się Zoe, szturchając Brauna wylotem lufy swojego parabellum. Kardynał podskoczył, jakby poraził go prąd, potem spojrział na nią gniewnym wzrokiem.

– Kładź się – ponagliła Zoe. – Słyszałeś, co powiedział.

– Moglibyśmy już teraz skończyć z tobą – oznajmił Seth. – Tak jak ty zlecałeś zabijanie innych. Więc albo połóżysz się na podłodze i pozwolisz nam bez zbędnych kłopotów zabrać szkatułę, albo...

– Musi mi pan pozwolić wyjaśnić. – Braun usiłował zyskać na czasie. – Pan po prostu nie rozumie.

– Być może on nie, ale ja rozumiem z całą pewnością. W sali rozległ się nagle głos ojca Morgena. – Być może pan Ridgeway i jego żona nie rozumieją, ale ja na pewno rozumiem. Całe lata spędziłem na śledzeniu poczynań Waszej Eminencji.

– Niech cię szlag, stary durniu! – złorzeczył Braun na widok podchodzącego Morgena.

– Tak – odparł beznamietnym tonem stary ksiądz. – Niech mnie szlag trafi. Ale w takim razie co powinno spotkać Waszą Eminencję?

Obaj mężczyźni przez dłuższą chwilę spoglądali na siebie w całkowitym milczeniu.

– Dlaczego ksiądz mi to zrobił? – zapytał wreszcie Braun. – Nie widzę żadnego powodu. Dlaczego zrobiłeś wszystkie te rzeczy, ty wścibski i zniedołężniały stary głupcze?

– Mówiąc prawdę, przez wszystkie te lata dwie rzeczy utrzymywały mnie przy życiu – wyznał Morgen. – Jedną z nich było dążenie do odzyskania tej szkatuły, drugą zaś moja duma z ciebie.

– O czym ty mówisz? – zdumiał się Braun. – Pleciesz jakieś brednie.

– Usiłowali przekonać mnie... – podjął Morgen. – Usiłowali przekonać mnie, że ty właśnie jesteś osobą odpowiedzialną za to szaleństwo, lecz ja nie dawałem im wiary. Nie byłem w stanie im uwierzyć.

Kardynał obrócił się w stronę Setha.

– Czy może pan sprawić, że ten stary dureń zacznie wreszcie mówić do rzeczy?

Morgen pogrzebał w głębokiej kieszeni kurtki i wyciągnął pogniecioną i złożoną kopertę. Wyjął z niej kartkę papieru, a ręce mu drżały. Podszedł do Braun i wyciągnął dłoń z dokumentem.

– Spójrz na to.

Kardynał patrzył na księdza jak na wariata. Przez moment wahał się, potem wziął kartkę. Przebiegł szybko wzrokiem przez treść dokumentu, potem zwrócił go Morgenowi.

– Co z tego? – zapytał.

Nie fatygując się udzieleniem odpowiedzi, Morgen wyciągnął z koperty kolejną kartkę i podał ją arcybiskupowi. Braun wznosił oczy do góry, lecz wziął i ten drugi dokument. Przejrzał i oddał go Morgenowi. Tak samo było z trzecią kartką papieru.

– Moja cierpliwość ma swoje granice – oznajmił w końcu Braun. – A dzięki swoim zagadkom dotarłeś do niej właśnie.

– Czy te dokumenty mają dla Eminencji jakieś znaczenie? – zapytał niezrażony Morgen.

Braun spojrział rozdrażnionym wzrokiem.

– Nic dla mnie nie znaczą, przynajmniej wszystkie razem. Pokazał mi ksiądz list od mojego ojca do mojej matki, odpis mojego aktu urodzenia oraz zawiadomienie przesłane przez Wehrmacht do mojej matki o śmierci ojca na polskim froncie.

Morgen przytaknął niespiesznie, nie spuszczając spokojnych i smutnych oczu z twarzy watykańskiego hierarchy. Ponownie podał Braunowi dokumenty.

– Niech Eminencja spojrzy na nie raz jeszcze. Proszę po patrzeć na daty.

Braun skierował wzrok na Ridgewaya.

– Dlaczego muszę...

– Weź dokumenty – polecił Seth.

Z grymasem niezadowolenia na twarzy kardynał wyrwał kartki z dłoni starca i ponownie pogrążył się w ich lekturze.

– Niech Eminencja porówna daty – powtórzył Morgen.

Z rosnącym zafascynowaniem Seth oglądał tę scenę. Między mężczyznami było jakieś napięcie, co do tego nie miał wątpliwości. Jednak nie było to napięcie między dwoma wrogami. To coś bardziej... osobistego.

Stratton również obserwował duchownych, lecz on czekał raczej na moment, w którym cała uwaga Ridgewaya skoncentruje się na Braunie i Morgenie.

Grymas na twarzy Brauna stopniowo ustępował miejsca wyrazowi zdziwienia. Morgen usiłował czytać z twarzy kardynała.

– A zatem te daty mówią coś Eminencji? – zapytał.

– Nie bardzo... nie bardzo rozumiem – rzekł Braun, spoglądając najpierw na Morgena, a potem zmieszany ponownie na dokumenty.

– Ależ to całkiem oczywiste – wyjaśnił Morgen. – List do matki Waszej Eminencji od jej męża został napisany ręką dzielnego oberleutnanta siódmego września 1939 roku w Radomiu, sto kilometrów na południe od Warszawy. Ten sam dzielny oberleutnant...

– Mój ojciec... – przerwał Braun.

Morgen zignorował wtrącenie.

– Ten sam dzielny oberleutnant zginął dziewiątego września, kiedy Niemcy ruszyli na Warszawę. A Wasza Eminencja urodził się szóstego sierpnia 1940 roku, blisko jedenaście miesięcy po śmierci tego dzielnego żołnierza.

– Wciąż jednak nie rozumiem – odezwał się cicho Braun, do głębi skonsternowany. – Przyjechał ksiądz z tak daleka, żeby udowodnić mi, iż jestem dzieckiem z nieprawego łoża? Cóż z tego, więc jestem nieślubnym dzieckiem. Nie byłbym pierwszym papieżem, który urodził się jako bękart. Jednak nie wyjaśnia to w żadnym stopniu zachowania księdza w ciągu ostatnich czterdziestu lat.

– Nie, w normalnej sytuacji Eminencja miałby rację – wyjaśniał Morgen. – Ale nie jest Eminencja po prostu czyimś bękartem. Jesteś, kardynale, moim bękartem.

Braun zrobił się biały, rozdziawił usta w zdumieniu.

– Zatem ksiądz jest...jest moim ojcem?

Morgen potwierdził skinieniem głowy.

Ridgeway skupił całą uwagę na starym księdzu i kardynale, a wtedy Stratton rzucił się w stronę swojego pistoletu.

– Seth! – rozległ się krzyk Zoe.

Szybkim ruchem Seth wycelował w Strattona i pociągnął za spust. Iglica wydała głucho szczęknięcie. Poczul, jak ściska go niemiłosiernie w dołku. Dłoń Strattona była

już blisko colta. Seth podążył za nim lufą swego pistoletu, odwiódł kurek i kolejny raz pociągnął za spust. I znów tylko głucho szczęknięcie.

Stratton chwycił colta, potem, lecąc w powietrzu, obrócił się, chcąc wylądować na podłodze po drugiej stronie stołu.

– Cofnij się! – krzyknął Seth do Zoe, lecz ona stała bez ruchu, celując w miejsce, w którym zniknął Stratton.

Po krótkiej chwili Stratton wyskoczył, strzelając na chybił trafił. Seth nacisnął i po raz trzeci jego parabellum zawiodło. Stratton naciskał teraz spust ze spokojem i bez pośpiechu.

Błagam, Boże, modliła się Zoe. Spraw, żeby pistolet wypalił. Ocal nas.

Wycelowała w pierś Strattona i pociągnęła za spust. Rozległ się ogłuszający huk, a smuga ognia sięgnęła niemal połowy pomieszczenia. Kula uderzyła agenta w bark dokładnie w tym samym momencie, kiedy strzelał, w efekcie jego pocisk chybił. Stratton upuścił pistolet na podłogę, a wtedy Zoe wypaliła ponownie. Drugi strzał trafił go w plecy z taką siłą, że rzucił go prosto na okno wychodzące na dolinę rzeki Inn.

Odgłos roztrzaskującej się szyby przypominał trzask gromu, potem rozległ się krzyk Strattona, który przez moment jeszcze chwiał się na parapecie, a wreszcie poleciał razem z gradem szklanych odłamków w dół. Przerażliwy krzyk słychać było jeszcze przez kilka sekund.

Rozdział 38

Rolf wysiadł z gondoli, spojrzął w kierunku lądowiska helikopterów i zdziwił się, że kardynał jeszcze nie wystartował. Zwykle zawsze i wszędzie się spieszył, nigdy nie lubił czekać. Rolf potrząsnął głową w zdziwieniu, potem wszedł na schody prowadzące do rezydencji, wsłuchując się w leniwe turkotanie śmigieł helikoptera. A potem nagle usłyszał krzyki i odgłos tłuczonego szkła; rezydencja zbudowana była z kamiennych bloków i grubych bali drewna, nic więc dziwnego, że nie słyszał wcześniejszych strzałów. Ale teraz nie miał wątpliwości, że coś było nie w porządku. Szedł ostrożnie rachując w pamięci, ilu ludzi mógłby wezwać: trzech mieli wolne i pojechali do Innsbrucku, jeden był przy hangarze kolejki linowej, tak więc było dwóch na służbie i trzech śpiących w baraku.

Wystarczy, uznał, przechodząc cicho do głównego holu. Z wnętrza dobiegały gorączkowe rozmowy służby, po chwili do holu wbiegła gospodyni.

– Och, *Herr Engels* – krzyknęła przestraszona. – Tak się cieszę, że pan przybył. Coś się stało w sali konferencyjnej. Słyszałam rozbijanie szyby i głośny huk. To mógł być wystrzał z pistoletu albo jakaś eksplozja.

Eksplozja? Nie słyszał żadnego wybuchu. Nagle przyszła pomyślał o tej nowej instalacji gazowej, którą arcybiskup kazał zainstalować w kominku. Rolf od początku był temu przeciwny, upierał się, że to niebezpieczne, jednak kardynał postawił na swoim. Pewnie nigdy nie słyszał o domach czy biurach – czasem całych blokowiskach – które wyleciały w powietrze dlatego, że nie wykryto wycieku gazu, który eksplodował od maleńkiej iskiery.

Teraz jednak fakt, że mógł mieć rację, nie był najważniejszy. Biegiem ruszył do sali konferencyjnej.

– Zatrzymaj go! – Seth krzyknął do Zoe. W powstałym zamęciu, Braun chwycił szkatułę z Całunem i Pasją Zofii i rzucił się do drzwi. Zoe odwróciła się i pociągnęła za spust. Tym razem ona usłyszała tylko głuche szczęknięcie. Braun pomknął przez korytarz, minął wejście do jadalni i skierował się do kuchni. Prawie na końcu korytarza potknął się na wykładzinie, lecz utrzymał równowagę i kontynuował ucieczkę. Zoe

ponownie nacisnęła cyngiel. Tym razem pistolet wystrzelił, lecz o ułamek sekundy za późno. Seth ruszył przez korytarz, a Zoe i Morgen za nim. Seth był już w połowie drogi, gdy Braun otworzył drzwi i wbiegł do kuchni.

Ogromna kuchnia, wypełniona urządzeniami, garnkami i naczyniami w pełni wykorzystywana była tylko podczas przyjęć wydawanych przez kardynała. Tego jednak ranka była pusta, jeden tylko kucharz przygotowywał posiłek dla służby i ochroniarzy.

Seth wbiegł do kuchni.

– Stój! – krzyknął do Brauna, który był już tylko kilka metrów przed nim. – Stój, bo strzelam.

Kątem oka dostrzegł, że kucharz pada na ziemię; Braun biegł dalej, nie zważając na ostrzeżenia. Seth wycelował i pociągnął za spust. Nabój trafił w wiszący od sufitu rondel tuż obok głowy Brauna. Głośny hałas przestraszył kardynała, który stracił równowagę i padł na ziemię, wciąż kurczowo trzymając szkatułę. Po chwili Seth siedział już na nim okrakiem.

– Oddaj mi to – wrzasnął.

Kardynał odmówił, Seth wsadził więc parabellum za pas, pochylił się i zaczął wrywać szkatułę z jego rąk.

– Zawołaj Rolf! – wrzasnął Braun do przerażonego kucharza. – Wezwij go, natychmiast!

Zoe zdążyła jednak podbiec do kucharza i wymierzyła do niego z pistoletu.

Zbliżający się Rolf usłyszał strzał, a potem odgłosy szarpaniny.

Seth usiłował wyrwać szkatułę z uścisku kardynała. Nagle ten zaatakował wolną pięścią i trafił Seta w czoło, na moment go ogłuszając. Nim Seth odzyskał świadomość Braun zerwał się na równe nogi i próbował doskoczyć do schodów. Seth jednak dopadł go i uderzył w lewą stronę głowy. Kardynał zwałił się na podłogę.

Wysadzana klejnotami szkatuła oraz jej zawartość rozsypały po podłodze, a kardynał leżał nieruchomo na biało-czarnych kafelkach.

Zapadła cisza, przerywana jedynie ciężkim oddechem Seta i bulgotaniem mięsa w garnku, które najwyraźniej wymagało zamieszania.

I wtedy do kuchni wpadł Rolf Engels. Uniósł broń do strzału, a wtedy kątem oka dostrzegł kobietę celującą do kucharza. Lata doświadczenia wyrobiły w nim umiejętność

szybkiej oceny sytuacji. Uznał, że groźniejszy jest mężczyzna stojący nad kardynałem. Kucharz go nie obchodził, płacili mu za chronienie kardynała. I to za wszelką cenę.

Tak więc wycelował w mężczyznę. Dobrze znał moc pocisku magnum kaliber 11 mm. Kiedyś strzelił w tył uciekającego samochodu, a nabój przebił się przez bagażnik, człowieka siedzącego z tyłu, trafił w kierowcę, potem w deskę rozdzielczą, wreszcie w silnik. Nacisnął spust.

W tym momencie Seth pochylił się, chcąc sięgnąć po szkatułę; pocisk przeleciał już ponad nim.

– Zoe padnij! – wrzasnął, usłyszawszy wystrzał niczym z ar maty.

Padł na kolana obok Brauna, a wtedy rozległ się drugi strzał. Gdzieś z tyłu za sobą Seth usłyszał syk, a potem zapach gazu.

– Wyłącz gaz, Heinrich! – Rolf przeklinał w duchu sam siebie.

Drugi pocisk przebił bowiem piecyk i uszkodził zawór albo przewód. Kucharz leżał skulony obok kobiety. Rolf przeskoczył więc szafkę i wyłączył gaz. Moment ten wykorzystała Zoe. Przykucnęła, wycelowała i pociągnęła za spust. Rozległ się tylko głuchy szcęk.

Braun usiłował się podnieść, ale Seth wyciągnął pistolet zza pasa i uklęknął obok kardynała.

– Teraz będziesz robił to, co ci każę, rozumiałeś? – warknął, przystawiając lufę do szyi Brauna, który skinął głową. – Dobrze – powiedział Seth ponuro. – Teraz każ swojemu gorylowi wstrzymać ogień. Jeśli zastrzeli Zoe, jesteś trupem.

Czekał chwilę, a potem wbił lufę mocniej w gardło kardynała.

– Powiedz mu to albo odstrzelę ci ten pieprzony łeb!

– Rolf? – powiedział słabo Braun. – Rolf, czy to ty?

Engels odwrócił się od kuchenki w kierunku kobiety.

Trzymał już palec na spuście, kiedy Braun go zawołał.

– Tak, Wasza Eminencjo.

– Rolf, nie strzelaj. Zabijają mnie, jeśli tego nie zrobisz. Rozumiesz?

Rolf z nienawiścią w oczach spojrzał na kobietę.

– Tak, Wasza Eminencjo.

– I, przede wszystkim, nie zrób krzywdy dziewczynie.

Zapach gazu był coraz intensywniejszy. Morgen, który dotarł akurat do drzwi, stanął, chcąc się przekonać, co się wydarzyło.

– Wstań – powiedział Rolf do Zoe.

Zastosowała się do rozkazu. Rolf stanął za nią i przyłożył broń do jej głowy.

– Chcę zobaczyć kardynała – zażądał. – Pozwól mu wstać, żebym wiedział, że nic mu nie jest. W przeciwnym razie zastrzelę dziewczynę.

Trzymając wciąż parabellum przy szyi Brauna, Seth podniósł się wraz z zakładnikiem. Serce mu podskoczyło do gardła, kiedy po drugiej stronie kuchni zobaczył Zoe stojącą przed jednym z największych ludzi, jakich kiedykolwiek widział.

Rolf i Seth patrzyli na siebie.

– Albo zagazujemy się tutaj, albo wysadzimy to miejsce w powietrze, jeśli szybko nie zaczniemy działać – stwierdził Rolf.

– To zależy od ciebie – odparł Seth. – Puść ją, a oddam ci twojego cennego kardynała.

Rolf wykrzywił twarz w szerokim, złym uśmiechu.

– Myślisz, że jestem durniem?

Nagle usłyszeli stuknięcie przy drzwiach od strony korytarza. Rolf Engels był szybki niczym błyskawica. Spojrzał w miejsce, z którego dobiegł dźwięk, zobaczył człowieka, którego nie znali w jednej chwili wystrzelił. Morgen padł, a kula wbiła się w ścianę.

Rozdział 39

Pocisk chybił. Ksiądz upadł na kolana, trzymając w dłoniach colta należącego do Strattona. Odmawiał modlitwę dziękczynną za wybawienie od jeszcze jednej kuli. W środku, za kuchennymi drzwiami, Braun kasłał, dusząc się coraz bardziej zagęszczonym gazem. Morgen kochał syna, ale czuł też odrazę wobec grzechów, których ten człowiek się dopuścił. Sytuacja była bez wyjścia. Bez względu na to, jak zakończy się ten dzień, cierpienie i ból będą targać jego starym sercem przez resztę życia. Nagle przestał troszczyć się o własne bezpieczeństwo.

Z kuchni dobiegł go głos Setha Ridgewaya.

– Posłuchaj, Ralph, czy jak tam masz na imię. Zabijesz swego umiłowanego kardynała, jeśli szybko stąd nie wyjdziemy. Dlaczego nie przeniesiemy się w jakieś inne miejsce, a przy okazji ktoś zakręci główny zawór gazu?

– Sytuacja bez wyjścia? – odpowiedział pytaniem Rolf.

– Nieważne. – Seth pokręcił głową. – Musimy wydostać się stąd jak najszybciej, inaczej wszyscy zginiemy.

Rolf pokręcił głową przecząco.

– W porządku – stwierdził Seth. – Ty zostajesz tutaj, my wychodzimy.

Ciągnąc ze sobą kardynała, powoli przesuwał się w stronę wahadłowych drzwi.

– Stój tam, gdzie jesteś – odezwał się Rolf tonem coraz bardziej piskliwym, a Seth widział w jego oczach narastającą panikę. – Stój tam, bo inaczej ją zastrzelę.

Seth nie przestawał się przesuwać, kierując spojrzenie na przemian to na twarz olbrzyma, to na jego wskazujący palec. Gdyby dostrzegł najmniejszy choćby ruch palca, zatrzymałby się natychmiast. Starał się nie patrzeć na twarz Zoe. Wiedział, że to wytrąciłoby go z równowagi. Zachowaj spokój, mówił sam do siebie. Całkowity spokój. Rozgrywasz niebezpieczną partię, w której stawką jest życie wszystkich tu obecnych.

Seth i Braun zbliżali się do drzwi, a palec Rolfa nawet nie drgnął. Szefer ochroniarzy powoli zaczął się kierować w ich stronę. Nie zamierzał spuścić z oka człowieka, którego miał przecież chronić. Nagle Seth zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Na twarzy Rolfa pojawił się uśmiech; goryl pchnął Zoe na podłogę, a moment później ręce o stalowych mięśniach chwyciły Setha za szyję, wreszcie wyrwały mu

pistolet z dłoni. W kuchni pojawili się pozostali ochroniarze. Czyjeś dłonie wciskały twarz Setha w podłogę. Zdążył jeszcze zobaczyć przerażonego kucharza wybiegającego z kuchni.

Przez moment Seth poczuł się stary i zupełnie bezsilny. Tym razem przegrał... Razem przegrali. Pomyślał o tym, że spogląda na Zoe po raz ostatni, tak piękną, tak... tak niegotową jeszcze na umieranie. Wtedy, zbierając w sobie wszystkie siły, podjął atak na tych, którzy go przytrzymywali. Byli jednak młodzi i bardzo silni. Poczuł, jak czubek buta uderza go w bok głowy i przez dłuższy moment świat zatracił wyraziste kontury.

– Niezły kop, Davidzie – usłyszał jak przez mgłę triumfujący śmiech Rolfa.

A potem głosem, w którym słyhać było szacunek, zapytał: – Jak Wasza Eminencja się czuje?

Odpowiedź Browna zabrzmiała niezrozumiale. Wtedy Seth usłyszał łagodny głos Zoe.

– Seth?

– Tu jestem.

Ktoś, być może facet imieniem Dawid, ponownie kopnął go w głowę.

– Zamknij się świni – usłyszał.

– Czy nic się Waszej Eminencji nie stało? – Do uszu Setha znów dobiegł głos Rolfa.

– W porządku, jestem tylko trochę oszołomiony – odpowiedział kardynał, tym razem wyraźniej. Nastąpiła chwila ciszy. – Wygląda na to, że znów stanąłeś na wysokości zadania. Nigdy nie zwątpiłem w twoje umiejętności.

– Dziękuję, Wasza Eminencjo – odpowiedział z dumą w głosie Rolf.

– Zabierz mnie teraz do helikoptera – polecił Braun. – Pomóż mi wstać.

Seth usłyszał odgłosy stękania i wytężonego wysiłku.

– Co mam z nimi zrobić? – zapytał Rolf.

Ton, jakim odpowiedział Braun, sprawił, że krew w żyłach Ridgewaya niemal zamarzła.

– Cokolwiek zechcesz. Cokolwiek tylko zechcesz. Znów nastąpiła chwila ciszy, potem Seth usłyszał głos Brauna, tym razem bliżej.

– Odwróćcie go.

Trzej mężczyźni przyciskający Seta do podłogi wykonali polecenie. Seth zobaczył nad sobą niewyraźne kontury sylwetki Brauna. Kardynał pochylił się nad nim i splunął. Seth usiłował obrócić głowę, lecz silne ręce przytrzymały go nieruchomo. Zamknął oczy, gdy plwocina wylądowała na jego czole.

– Idź i weź szkatułę oraz jej zawartość – polecił Braun Rolfowi. – Potem muszę opuścić to miejsce. Mam umówione spotkanie w Rzymie.

Ojciec Morgen zbliżał się cichaczem przez kuchnię, trzymając w prawej dłoni colta. Zobaczył, jak Braun pluje na twarz Seta. Potem Rolf odwrócił się, by zebrać Całun oraz Pasję Zofii. Morgen natychmiast zrozumiał wszystko. Tuż przed nim był Rolf, reszta ochroniarzy znajdowała się po jego lewej stronie, w pobliżu drzwi wychodzących na korytarz.

Seth leżał dociśnięty do podłogi, Braun wciąż stał nad nim, Zoe klęczała, szarpiąc się z dwoma innymi mężczyznami.

Morgen stał w otwartych drzwiach, czuł ulatujący się gaz. Jego wzrok spotkał się na chwilę ze spojrzeniem Zoe. W tym momencie zobaczył go Rolf. Podniósł pistolet i wymierzył. Morgen również podniósł colta, lecz zamiast strzelić, upadł na podłogę w chwili, gdy Rolf nacisnął spust.

Najpierw rozległ się wystrzał, a potem rozjaśniony płomieniami huk! Ostatnim obrazem, jaki widział Rolf Engels, była smuga ognia z jego pistoletu, która sunęła do sylwetki ojca Morgena i jeszcze dalej. Kiedy kuchnia zajęła się ogniem, Rolf nie miał już wątpliwości, że w alpejskiej rezydencji nie należało zakładać instalacji gazowej.

Ognista kula wypełniła kuchnię, wzniecając ogień w tysiącu miejsc. Seth poczuł, że gniotący go ciężar zelżał nagle. Chwilę później usiadł i zobaczył scenę przypominającą prawdziwe piekło. Rolf oraz dwóch innych ochroniarzy Brauna płonęło niczym pochodnie. Ich usta były otwarte, jak gdyby krzyczeli, ale Seth nie słyszał nic poza rykiem płomieni. Wysuszone drewno ścian oraz meble błyskawicznie zajęły się ogniem.

Seth zerwał się na równe nogi i popędził w stronę Zoe. Braun czołgał się nieopodal, potem znieruchomiał jak marmurowy posąg. Kuchenne szafki osłoniły ich przed pierwszym impetem ognistej kuli. Kilka sekund później ochroniarze, którzy przeżyli wybuch, wbiegli do kuchni. Seth przygotował się do podjęcia walki, ale

mężczyźni ciągnęli za sobą wąż przeciwpożarowy i nie zwracali uwagi na nic poza ogniem.

– Zoe, wstawaj – krzyknął, chwytając ją pod pachy. – Mu simy stąd uciekać.

Wstała, chwiejąc się na nogach. Chwilę później dołączył do nich ojciec Morgen. Nagle, niczym posąg budzący się do życia, stanął obok nich Braun.

– Całun. Musicie pomóc mi uratować Całun.

W jego oczach odbijały się płomienie. Chwycił Setha i pociągnął go. Seth uderzył kardynała wierzchem dłoni, aż upadł na kolana.

– Sam ratuj sobie ten pieprzony całun – zawołał Seth, sta rając się przekrzyzczyć ryk płomieni.

Morgen spojrzał na kardynała pełnym uczucia wzrokiem.

– Choć z nami, synu – wykrzyknął.

– Idź do diabła, starcze! – wrzasnął Braun i ruszył na czworakach w stronę rozrzuconych relikwii.

Morgen stał przez chwilę ze spuszczonej ramionami i zwieszoną głową. Płomienie ryczały coraz głośniejsze. Porażony był widokiem syna, jedyne dziecko, które zmierzało w stronę ognia, nie bacząc na nic. Seth podszedł do Morgena i położył dłoń na jego ramieniu.

– Szybko, ojczy – powiedział. – Wynośmy się stąd. Morgen przez chwilę walczył z instynktem, który pchał go w stronę syna. Widział człowieka ogarniętego obłędem. Serce księdza szarpnęło się w piersiach, potem odwrócił się. Po twarzy spływały mu łzy; oto ostatecznie odrzucił syna, jedyne dziecko, które kochał przez całe życie, chociaż nigdy mu nie mógł tego powiedzieć.

Nagle za nimi rozległ się krzyk. Zobaczyli czterech ochroniarzy zmagających się z kardynałem, który szedł prosto w płomienie.

– Puśćcie mnie – krzyczał Braun. – Puśćcie mnie, puśćcie.

Nagle przestał się szarpać, a potem z nadludzką wprost siłą, na którą stać tylko ludzi zdających sobie sprawę z tego, że grają o najwyższą stawkę, wyrwał się im i rzucił w ogień. Ochroniarze cofnęli się przed żarem. Morgen zrobił pół kroku do przodu, potem zatrzymał się.

Wszyscy stali jak porażeni przed ścianą płomieni, nie wierząc w to, czego byli

świadkami. Krzyk Brauna, głośniejszy niż ryk ognia, był najpierw niski, potem szedł w górę przez całą skalę ludzkiego głosu, aż po tony, które wydawały się przekraczać granicę możliwości ludzkiego słuchu. Był głośny, zbyt głośny i zbyt potężny, by wydawała je ludzka istota. Jednak tym, co sprawiło, że Seth i Zoe do końca życia zapamiętali ten rozdzierający krzyk, był jego ton. Krzyk przypominał głos człowieka przeżywającego ekstazę.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece – powiedział cicho Morgen.

Gdy krzyk ucichł, Seth, Zoe oraz Hans Morgen rzucili się w stronę klatki schodowej, dobiegli do lądowiska helikopterów, modląc się, żeby helikopter wciąż jeszcze czekał na dachu kardynalskiej rezydencji.

Epilog

Zaczęli już przybywać pierwsi z wezwanych przez papieża kardynałów. Ojciec Święty rozmawiał z nimi, kiedy nagle pojawił się Richard Borden, watykański sekretarz stanu. Jego twarz pozostała nieodgadniona.

– Najmocniej przepraszam za najście, Wasza Świątobliwość, ale uznałem, że zechciałbyś zapoznać się z treścią tej wiadomości najszybciej, jak to tylko możliwe.

Borden przekazał papieżowi żółtą kartkę, potem wyszedł.

Papież przeczytał wiadomość trzykrotnie. Tyle czasu potrzebował, aby w pełni pojąć jej znaczenie. Teleks został nadany przez biskupa Innsbrucku.

Przeczytał otrzymaną wiadomość po raz czwarty, potem zwrócił się do mocno już zaintrygowanych gości. Starając się, by nie zdradzić zadowolenia, papież ogłosił uroczyście:

– Kardynał arcybiskup Neils Braun nie żyje.

W sali rozległy się głosy zdziwienia i niedowierzania.

– Ale jak? – zapytał arcybiskup Paryża.

– Gdzie? – dopytywał się arcybiskup Mediolanu.

Papież podał im kartkę, ciągle walcząc z uczuciem ulgi.

Po raz pierwszy od czasów, kiedy był małym chłopcem, naprawdę uwierzył w cuda.

– Odmówmy słowa modlitwy za naszego zmarłego brata. Zmówił modlitwę w intencji kardynała, w duchu jednak śpiewał hymn dziękczynny.

Chata nie różniła się od innych w okolicy. Miała dwuspadowy dach, w środku były proste, drewniane meble i żelazny piecyk buchający ogniem. A co najważniejsze, znajdowała się w parafii przyjaciela Hansa Morgena.

Seth Ridgeway dorzucił kilka drew, potem zamknął metalowe drzwiczki piecyka i podszedł do Zoe. Patrzyła przez okno na stoki porośnięte drzewami i na górską kotłnię. Gdy objął ją ramieniem, przytuliła się mocno.

– Powinam się do tego przyzwyczaić – powiedziała.

– Tak. Wiem, co masz na myśli.

– Zdaję sobie sprawę, że minęło dopiero kilka dni, ale odnoszę wrażenie, jakby

wszystko to wydarzyło się wieki temu.

– To, co zdarzyło się w Kardynalskim Gnieździe, działo się naprawdę wieki temu. Stali w milczeniu, obserwując, jak słońce przebija się przez szpary w chmurach, a promienie rozświetlają zielone ogniki wśród drzew.

– Bóg okazał się dla nas litościwy – oznajmiła Zoe.

– Skoro tak twierdzisz. – W głosie Setha dało się wyczuć przygnębienie. – Mam nadzieję, że masz rację. Naprawdę chciałbym w to uwierzyć, ale w tej chwili nie potrafię.

Zoe uścisnęła jego dłoń.

– Uwierzysz w to – zapewniła go. – To jedynie kwestia czasu.

– Obawiam się, że trzeba do tego o wiele więcej niż tylko czasu.

Znów zamilkli. Obserwowali, jak wiatr hula w kotlinie, smagając mroźnymi powiewami wierzchołki drzew. W pewnym momencie dostrzegli jakiś ruch. W dole stoku, na krętej ścieżce między drzewami zobaczyli czerwoną plamę – kurtkę Hansa Morgena. Siedział na skuterze śnieżnym, na którym dwie godziny temu zjechał do miasta, a do pojazdu doczepione były nieduże sanki przykryte brezentem.

– Może powrót na uczelnię wszystko zmieni – zasugerowała Zoe.

– Być może – odparł Seth, potrząsając z wahaniem głową. – Ale nie sądzę. Po tym wszystkim... Po tym, czego dowiedziałem się na temat Pasji Zofii oraz całej reszty... będę musiał odrzucić dotychczasowy program nauczania i napisać go na nowo.

– Niewykluczone, że to właśnie jest twoja odpowiedź.

– Słucham?

– Odrzuć wszystkie stare ścieżki wiary i zacznij na nowo. Ja właśnie tak uczyniłam. Nie mogłam po prostu dalej trwać w wierze, która pełna była przegniłych włókien. Potrzebowałam czegoś nowego, co przemówiłoby do mojej duszy. Może tak jest również w twoim przypadku.

Uśmiechnął się do niej z podziwem.

– Ty, to coś innego – odparł. – Nie bardzo wiem... Nigdy w życiu nie czułem się tak zdezorientowany, tak wewnętrznie zagubiony.

– Czułam się tak samo, kiedy w końcu zdałam sobie sprawę, jaki wstyd moja matka przyniosła Kościołowi.

– Ja jednak nie mam zamiaru czekać całe lata, zanim ponownie odzyskam

pewność.

– Być może te dogmaty, które odeszły w przeszłość, nie były do końca prawdziwe – stwierdziła Zoe.

Poczła w sercu ukłucie, widząc jego pełne bólu oczy.

– Niewykluczone też, że wszelkie dogmaty są jedynie iluzją.

– Dziękuję pani profesor – odparł z sarkazmem.

– Nie chciałam cię urazić... Uśmiechnął się do niej szeroko.

– Wszystko w porządku, naprawdę. Wziął ją w ramiona i pocałowali się.

Odgłosy silnika śnieżnego skutera były teraz głośniejsze.

– Być może odsunięcie fałszywych dogmatów to sposób, w jaki Bóg chce nam powiedzieć, że nie była to prawda – wysnuła końcowy wniosek Zoe. – Nowy program nauczania będzie oznaczał, że powinieneś zacząć od przemyślenia nowych idei, od poszukiwania prawdy. Moim zdaniem Bóg raduje się, gdy wyruszamy na poszukiwania. Być może ostateczna prawda kryje się w tym, że tak naprawdę jej nie ma – i że w rzeczywistości naszym zadaniem jest poszukiwanie jej przez całe życie, aż do grobowej deski.

– To naprawdę pocieszające.

Z zewnątrz chaty dobiegał bardzo głośny ryk silnika, który po chwili ucichł.

– Czy masz lepszy pomysł? – zapytała Zoe.

Seth zaprzeczył ruchem głowy.

– Thalia przeprowadziła pogłębione studia tematu, ma bardzo dużo materiałów źródłowych i notatek. Być może będzie w stanie dopomóc ci, kiedy tylko tutaj dotrze. Nie wspominając już o alabastrowej płaskorzeźbie w kształcie koła.

– Jeśli będziesz w stanie odzyskać.

– Możesz na to liczyć – odparła Zoe. – Dzieła sztuki oraz baza danych, jaką skopiowałam z serwera zawiera wszystko: daty, nazwy, ceny, certyfikaty przewozowe i numery dokumentów załadunkowych. Wszystko, co będzie potrzebne do udowodnienia, że dzieła sztuki zostały skradzione, i to nawet dwukrotnie. Oraz do wykazania, że mam prawo do ich odzyskania.

– Nadepniesz w ten sposób wielu ludziom na odciski – ostrzegł ją Seth. – Wszystkim tym prominentnym kustoszom z muzeów i ich wpływowym kolekcjonerom.

To nie wpłynie dobrze na twoją działalność marszanda.

Za sobą usłyszeli kroki Morgena. Odwrócili się.

– Naprawdę nie zależy mi na tym – odparła Zoe. – Oni zasługują na to, co ich spotka. To tchórzliwe kreatury, które zaprzedały duszę diabłu, chcąc zdobyć skarby sztuki bez względu na cenę. Nie martwię się o mój interes, jeśli tylko dzieła trafią do właścicieli lub do ich prawowitych spadkobierców. Jeśli nawet miałabym zamknąć moją działalność, nie widzę problemu.

– Wciąż nie wiem, czy będę chciał wrócić do pracy na uczelni – powiedział nagle Seth. – Kiedyś byłem całkiem niezłym detektywem. Być może dopomogę ci w twojej misji.

– A zatem cóż wiesz na temat sztuki? – zażartowała Zoe.

– Mniej więcej tyle, co ty wiesz na temat religii!

Śmiali się, kiedy oblepiony śniegiem Hans Morgen stanął w drzwiach. W jednym ręku trzymał płócienny plecak.

– Dzień dobry – powitał ich serdecznie, ściągając gogle wolną ręką. – Alpejski śnieg sprawia, że czuję się o trzydzieści lat młodszy..

Sięgnął do plecaka.

– Miejscowy proboszcz przekazał mi wieści, że pani przyjaciółka Thalia przyjedzie tu jutro. Przyleci zaraz po pogrzebie ojca.

– Sukinsyny – mruknął pod nosem Seth.

Morgen przytaknął.

– Biedna dziewczyna nie miała pojęcia, że jej ojciec zmarł podczas snu zaledwie w kilka tygodni po tym, jak przyjechała do Zurychu.

Wyciągnął z plecaka egzemplarz „International Herald Tribune” i wręczył Zoe.

– Na co zmarł? – zapytał Seth, gdy Zoe rozkładała gazetę.

– Udar mózgu – odparł Morgen. – Tamci włożyli jego ciało do chłodni.

Seth pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Och! – krzyknęła Zoe, patrząc na stronę tytułową. Przez chwilę czytała w milczeniu, potem wręczyła gazetę Sethowi. Była to relacja z pożaru w watykańskiej rezydencji pod Innsbruckiem. Zamieszczono też zdjęcie lotnicze płonącej budowli, które zaraz po starcie wykonał pilot helikoptera małą kamerą. Obok zdjęcia zamieszczono

fotografię Brauna z podpisem „Znalazł śmierć w ogniu”.

Seth przeczytał relację od deski do deski.

– Słuchajcie – powiedział w końcu, wskazując na ustęp pod koniec artykułu. – „Policja wciąż poszukuje dwóch osób, które zdołały przeżyć pożar i odleciały helikopterem, który miał odwieźć kardynała na lotnisko w Innsbrucku”. – To o nas. Przecież oni znają nasze nazwiska. Dlaczego ich nie wymienili? – Seth zwrócił się z pytaniem do ojca Morgena. – Czyż nie jesteśmy poszukiwani? Czy Interpol nie przeszukuje wszystkich kątów i zakamarków w pogoni za nami?

– Powiedziałem wam, że nasi sojusznicy w Watykanie mają przyjaciół – odparł ksiądz z uśmiechem. – Wasza pomoc sprawiła, że zyskaliśmy wdzięczność wielu dostojników Kurii, w tym także Ojca Świętego. Inaczej nie pobłogosławiłby naszego pobytu w tej cudownej ustronnej chacie. – Przeczytajcie sobie jeszcze ten tekst. – Morgen wskazał inny artykuł w gazecie. – Przywiozłem też komputery, które zamówiliście, zaraz je przyniosę.

– Proszę mi pozwolić pomóc sobie. – Zoe i Seth powiedzieli to niemal jednocześnie.

Morgen zaprzeczył ruchem głowy.

– Czuję się dziś silny jak lew.

– Czyżby? – odparła Zoe z powątpiewaniem w głosie.

– Ależ oczywiście! – odparł i szybko wyszedł na zewnątrz. Seth podążył w stronę drzwi. Zoe chwyciła go za ramię.

– Nie. Urazisz jego dumę.

Seth popatrzył na nią przez chwilę, ale pozwolił się zaciągnąć w stronę okna. W oddali dostrzegli narciarzy sunących w poprzek szerokiej, zasypanej śniegiem łąki. Kiedy rozsiedli się w fotelach, Zoe zaczęła czytać głośno artykuł.

– „Mieszkańcy osady dostrzegli w ruinach znak niebios”, tak brzmi tytuł... To tekst zamieszczony obok nekrologu Brauna. „Robotnicy, którzy przybyli na pogorzelnisko stwierdzili, że cała budowla została doszczętnie spalona, poza płachtą linoleum, którą wyłożona była posadzka w kuchni. Zdaniem niektórych świadków kawałek linoleum przypominał sylwetkę kobiety... Można było rozpoznać oczy, dłonie, relacjonował jeden z robotników. «Przysięgam, że to widziałem. To prawdziwy cud, znak od Boga...»

Większość zignorowała ten wizerunek, jako jeszcze jeden przykład tego, że ludzie widzą to, co pragną zobaczyć w przypadkowych obrazach na ścianach budynków czy w rzucanych cieniach, plamach oraz wzorach, jakie światło rysuje na pokrytym szronem szkle... Szef straży pożarnej z Innsbrucku powiedział, że... ogień czasami wyczynia dziwne rzeczy. Widzieliśmy wiele razy spalone zgliszcza, które przypominały obrazy z widocznymi na nich twarzami. Ale to jest to samo, co dopatrywanie się kształtów statków w chmurach czy też konturów twarzy na Księżycu. Jest to wyłącznie kwestia ludzkiej wyobraźni.

Biskup Innsbrucku wydał nawet oświadczenie, w którym w pełni podzielał opinię wyrażoną przez szefa straży pożarnej.

Za kilka lat kolejny następca Świętego Piotra będzie zapewne musiał toczyć spór z niedużą lecz bardzo zaangażowaną grupą katolików z Innsbrucku, żądających od Watykanu uznania tego miejsca za święte. Papież ten zapewne udzieli tej samej odpowiedzi, której udzielił już zwierzchnik Kościoła w dniu, kiedy Kardynalskie Gniazdo spłonęło.

Wiara w to, czego nie widzimy, jest silniejsza od wiary rzeczy, które możemy dotknąć lub zobaczyć. Najprawdziwszym testem wiary w istotę boską jest wola wiary bez świadectwa oczu. W dłuższej perspektywie Kościół katolicki i wszystkie jego wyznania mają się lepiej bez tego rodzaju widzialnych znaków z nieba. Ponieważ zawsze znajdują się tacy, którzy zobaczą, lecz nie uwierzą. Bóg błogosławi w szczególności tym, którzy uwierzyli, chociaż nie widzieli”.

Papież nigdy nie wyraził głośno opinii na temat, czy osobiście wierzył w ten znak od Boga.

Od autora Książka ta jest fikcją literacką opartą na faktach.

Hitler istotnie powołał do życia grupę operacyjną Sonderauftrag Linz, której celem była grabież dzieł sztuki z najświetniejszych galerii państwowych i prywatnych w Europie. Planował wystawienie zrabowanych arcydzieł w monumentalnym muzeum, które zamierzał wznieść w austriackim Linzu, mieście swych lat dziecięcych. Projekt muzeum zszedł nawet z deski kreślarskiej architektów, lecz plan nigdy nie został zrealizowany.

Oficerem łącznikowym Hitlera z grupą operacyjną Sonderauftrag Linz był niejaki Heinrich Heim, z którym udało mi się porozmawiać w Monachium w grudniu 1983 roku; w mieście tym była wtedy jeszcze żyta ze sobą społeczność zatwardziałych nazistów. Do grupy tej należały dwie byłe sekretarki Fuhrera oraz jego osobisty pilot. Ludzie ci spotykali się od czasu do czasu, wzajemnie pocieszając się w obliczu klęski, z którą nigdy do końca się nie pogodzili.

Heim mieszkał w starym schronie przeciwlotniczym z okresu II wojny światowej, usytuowanym w dzielnicy Schwabing i oddalonym zaledwie kilka przecznic od Staatsbibliothek, będącej bawarskim odpowiednikiem amerykańskiej Biblioteki Kongresu. Poza mizernymi tantiemami, jaki uzyskiwał ze sprzedaży napisanej przez siebie książki (w której opisywał, jak szpiegował Adolfa Hidera na zlecenie Hermanna Göringa), źródłem dochodów Heima, także skromnych, było udzielanie odpowiedzi na prośby o informacje nadsyłane do niego z całego świata. Większość jego dociekań odbywała się w Staatsbibliothek. Heima poznałem dzięki Wernerowi Meyerowi, wtedy naczelnemu reporterowi monachijskiej wieczornej gazety „Abend Zeitung”, który przedstawił mnie pewnego wieczora tuż przed Bożym Narodzeniem.

Tamtego dnia padał na zmianę śnieg, śnieg z deszczem oraz marznący deszcz. Zaparkowaliśmy na ciemnym, nieutwardzonym parkingu i ruszyliśmy zaśmieconą uliczką, oświetloną żarówkami latarni bez kloszy.

Werner zastukał w grubą, metalową płytę, która służyła za frontowe drzwi lokum Heima. Zauważyłem wtedy, że w dwóch oknach wydrążonych w betonowych ścianach schronu zainstalowano grube, metalowe płyty. Werner wyjaśnił, że Heim żył w nieustannej obawie przed odwetem ze strony Izraelczyków – mimo że spędził kilka lat w alianckim więzieniu. Wielu ludzi uważało bowiem, że był on nie tylko głównym adiutantem Hitlera, zajmującym się koordynowaniem akcji rabowania dzieł sztuki, ale że miał na sumieniu także inne, haniebne czyny.

Po kilku minutach Heim podszedł do drzwi, potem zmagął się jeszcze chwilę z pancerną płytą i w końcu zaprosił nas do środka.

Określenie „przygarbiony lecz nieugięty” to wyjątkowo trafna jego charakterystyka. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie ulicznego włóczęgi. Miał na sobie dwa płaszcze oraz liczne swetry i koszule, ale jego oczy wciąż jeszcze promieniały

bladym, lodowatym błękitem; jako dziecko musiał być takim plakatowym przykładem jurnego Aryjczyka.

Zaprowadził nas do pomieszczenia, w którym oddawał się swym historycznym dociekaniom. Kiedy już usiedliśmy wśród stosów papierzysk, położył nam na kolanach wytarte koce, żebyśmy przypadkiem nie zmarzli. Schron przeciwlotniczy nie był bowiem ogrzewany. Meyer zaczął rozmawiać z Heimem, a ja, ledwo znając język niemiecki, tylko się przysłuchiwałem. Przez kilka minut Heim i Werner rozmawiali o postępie wysiłków zmierzających do zlokalizowania kilku oryginalnych partytur Wagnera, które zaginęły podczas wojny. Poszukiwania te to była pasja Wernera. Chwilę rozmowy poświęcili również kwestii autentyczności dzienników Hitlera, które ostatnio ktoś odnalazł. Zdaniem Heima, który przeczytał ich fragmenty, mogły okazać się prawdziwe.

Potem zaczęli rozmawiać na mój temat oraz na temat podejmowanych przeze mnie prób wytropienia zaginionych dzieł sztuki. W poszukiwaniach tych wykorzystywałem między innymi doświadczenia zdobyte w pracy reportera dochodzeniowego. W ten sposób nie tylko zbierałem materiał do powieści, ale jednocześnie miałem oczy otwarte na ewentualne znaleziska, który mogłyby posłużyć za kanwę do napisania szerokiego artykułu nadającego się do publikacji w jakimś czasopiśmie lub nawet do napisania książki z gatunku literatura faktu.

Rozmawialiśmy zaledwie moment, a Heim nagle zaczął z rozrzewnieniem mówić o Friedrichu Stahlu, malarzu, który stał się ulubieńcem Hitlera i innych czołowych nazistów wspomnianych w tej książce. Heim wzruszył się do łez, wspominając Stahla i, jak przypuszczam, stare, dobre czasy. Rozwodził się nad pięknem jego płócien oraz nad tym, jak ciepło traktował tego artystę Hider, zupełnie jakby był jego bratem czy może nawet przybranym ojcem.

Po chwili Heim zaczął nas obu traktować bardziej poufale, przejawem czego było używanie słowa *unser*, czyli niemieckiego odpowiednika zaimka dzierżawczego „nasz”. Używał tego słowa w znaczeniu, które można by przetłumaczyć na „nasz krąg”. Czułem się coraz bardziej nieswojo, bo gospodarz objął nim wkrótce również swoich nazistowskich towarzyszy, a także Fuhrera we własnej osobie. Zdecydowanie nie było to towarzystwo, do którego chciałbym przynależeć.

Nawiasem mówiąc, Heim powstrzymywał się od wymawiania nazwiska Fuhrera,

jakby czuł obawę przed wypowiedaniem go nadaremno – niemal jak bardzo religijni ludzie nie wypowiadają imienia Pana Boga. Posługiwał się raczej inicjałami „A.H.”, wypowiadając je po niemiecku, co brzmiało jak „Ahahh”!

Po pewnym czasie stary nazista wyciągnął plik dokumentów oraz kopertę z małymi fotografiami. Były to małowymiarowe czarno-białe zdjęcia szerokości około pięciu centymetrów, a każde przedstawiało jakiś obraz. Wszystkie te płótna wyszły spod pędzla Stahla, a pełny ich spis zawierała kartka papieru, którą wręczył mi Heim. Płótna, powiedział wtedy, zaginęły; ostatni raz widziano je w Zurychu tuż przed upadkiem Trzeciej Rzeszy. Nie wyjawiał mi jednak dokładnie, kiedy widziano je po raz ostatni oraz kto je widział.

Kiedy obiecałem, że przystąpię do poszukiwania zaginionych obrazów i za pośrednictwem Wenera będę informował go o czynionych postępach, dał mi spis inwentarzowy oraz jedną z tych fotografii.

Z Monachium pojechałem do Zurychu, chcąc przekonać się, czy są tam jeszcze jakieś ślady po płótnach Stahla. Zameldowałem się w hotelu i zacząłem się rozpytywać. Wkrótce zdobyłem adresy kilku galerii sztuki, które istniały już w czasie, kiedy obrazy zaginęły. Poszedłem do najstarszej z nich i zacząłem rozmawiać z właścicielem. Pokazałem fotografię otrzymaną od Heima i oświadczyłem, iż reprezentuję zamożnego kolekcjonera, który zainteresowany jest zdobyciem płótna Stahla.

Właściciel galerii bez pardonu wyrzucił mnie za drzwi i zagroził, że zadzwoni na policję, jeśli bezzwłocznie nie opuszczę tego miejsca. Dodał jeszcze, że nie wie nic na temat płócien, o których mówiłem i, co więcej, nie chce mieć z nimi nic wspólnego, jak również z ludźmi, którzy się nimi interesują. Nie bardzo wiedziałem, czy przemawiał przez niego strach, czy gniew. Prawdopodobnie jedno i drugie. Ja z pewnością byłem przestraszony.

Wykonując zawód reportera śledczego, niejednokrotnie nadstawiałem karku, lecz zawsze byłem w stanie drażyć temat, nie dając się zastraszyć, aż udawało mi się zdobyć niezbędne materiały. Ale tak było kiedyś, teraz pragnąłem po prostu wyjść z tego cały i zdrowy.

Tak więc tamtego wieczora spałaszowałem *rosli* i popiłem litrem piwa, poszedłem do łóżka, a następnego ranka pierwszym pociągiem wyjechałem do

Monachium. Do dziś nie mam pojęcia, gdzie znajdują się obrazy Stahla oraz, co chyba ważniejsze, nie sędzę, by zdobycie wiedzy na ten temat było najlepszym sposobem zapewnienia sobie spokojnego życia do późnej starości.

W książce tej przytaczam jednak wiele faktów najzupełniej prawdziwych. Na przykład relacje o tym, jak uciekający żołnierze SS wykorzystywali zrabowane skarby sztuki do kupienia sobie wolności. Można śmiało uznać za pewnik, że wiele z dzieł zaginionych podczas wojny, wciąż zdobi ściany pewnego *chdleaux* w Alpach, a znacznie więcej ukrytych jest w bankowych sejfach ciągnących się pod ulicami Zurychu. Z pierwszej ręki zdobyłem informację, że wartość wielu spośród tych dzieł niebotyczna, bez porównania znacznie wyższa niż cena życia człowieka, który zacznie zadawać niewłaściwe pytania.

Ostatnie lata dwudziestego wieku obfitowały też w podejmowane na nowo próby odnalezienia dawno temu zrabowanych dzieł sztuki i zwrócenia ich prawowitym właścicielom. Długo czekała też na rozwiązanie kwestia zdemaskowania nazistowskich kolaborantów: szwajcarskich banków oraz licznych europejskich korporacji. Żądania wypłaty odszkodowań, wnoszone przez żyjące ofiary holocaustu oraz ich rodziny, spotykały się z aroganckimi drwinami i nieugiętą odmową ze strony szwajcarskich bankierów, aż całkiem niedawno, pod wpływem międzynarodowych nacisków wypłacono nieduże kwoty właścicielom bankowych kont lub ich potomkom.

Autentyczną postacią jest także cesarz Henryk IV, wprowadzony w latach dzieciństwa. Wszystkie inne bezeceństwa i błazenady z udziałem papieży (trzech hierarchów zgłaszających jednocześnie pretensje do Tronu Świętego Piotra) oraz cesarzy także nie mijają się z historyczną prawdą. No i postacią historyczną jest również cesarz Konstantyn, który położył kres religijnym sporom, wydając administracyjne dekrety wcielane w życie pod groźbą mieczy. Bez względu na konkretne wyznanie, w historii religii prawdziwa jest teza, że o kwestiach wiary rozstrzygają doraźne interesy i korzyści polityczne, nie zaś potrzeby duchowe. Ustępy powieści, które odnoszą się do Soboru Nicejskiego I oraz do wydarzeń i religijnych kontrowersji, jakie doprowadziły do jego zwołania, także bazują na prawdzie historycznej. Wydarzenie to jest bez porównania lepiej udokumentowane niż pisma zawarte w hebrajskiej czy chrześcijańskiej Biblii bądź muzułmańskim Koranie.

Jestem głęboko przekonany, że wątki odnoszące się do Zofii, jako kobiety z krwi i ciała, są wytworem wyobraźni niżej podpisanego. Zrodziły się w głowie autora na podstawie intrygujących dociekań na temat wczesnej historii Kościoła chrześcijańskiego oraz doniosłej roli, jaką odegrały w niej kobiety. Roli, którą zdominowani przez mężczyzn religijni rewizjoniści usiłowali pomniejszyć. Czynie to w dużej mierze skutecznie, ale zachowały się znaczące odniesienia – wystarczy przeczytać Księgę Przysłów lub Pieśń nad pieśniami – w których Mądrość oddaje należną im cześć.

Do dziś Kościół katolicki, a także inne wyznania – w szczególności prawosławne Kościoły grecki i rosyjski – wciąż nie zajmują jednoznacznego stanowiska wobec mitycznej postaci Zofii. Niektóre wyznania, zwłaszcza zwolennicy gnostycyzmu, utrzymują, że jest ona pierwotnym Stwórcą Wszechświata. Inni z kolei wierzą w nią jako żeński pierwiastek obojnaczego Boga. Jeszcze inni uznają ją za wcielenie Mądrości czy nawet Logosu w chrześcijańskiej Trójcy, zanim dogmat o Trójcy uległ całkowitej maskulinizacji. Nie ma żadnych wątpliwości, że bardzo długo w historii rodzaju ludzkiego Bóg postrzegany był jako kobieta.

Zofia ma więc swoje miejsce w historii, lecz wciąż jeszcze nie zostało sprecyzowane, gdzie się ono znajduje.

Kościół katolicki nie jest jedynym spośród współczesnych wyznań, który wykazuje chorobliwą trwogę przed pierwiastkiem kobiecym i odrzuca ich duchową czy dominującą rolę. Większość postaci z tej książki, będących wyznania rzymskokatolickiego, równie dobrze mogłaby być przedstawicielami judaizmu, islamu czy większości wyznań protestanckich. Każdy z nich (no, może poza kilkoma) byłby zdolny zabić, zanim przyznałby, że kobieta może być równie ważna, nie mówiąc już o odegraniu przez nią roli Zbawiciela.

Jest również tajemnicą poliszynela, że papież Pius XII przymykał oczy i zatykał uszy wobec potworności, jakich dopuszczała się Trzecia Rzesza. Gdy chodzi o motywy, którymi kierował się człowiek zasiadający wtedy na Tronie Piotrowym, można jedynie spekulować, ale z całą pewnością milczenie z jego strony wydaje się niezrozumiałe, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego ogromny moralny autorytet. Niechęć do zabrania głosu w proteście przeciwko polityce nazistów wciąż jest i z całą pewnością pozostanie już tajemnicą. Kościół katolicki wypowiedział słowa skruchy wraz z nadejściem nowego

tysiąclecia i przeprosił za niektóre spośród grzechów śmiertelnych, których się dopuścił w imię Boga i Chrystusa. Był to wprawdzie drobny krok, lecz poczyniony we właściwym kierunku; reszta chrześcijańskich wyznań, a także judaizm i islam powinny pójść za tym przykładem.

Studenci historii, teologii, geografii oraz nauk politycznych znajdą na stronach tej powieści znacznie więcej faktów prawdziwych i autentycznych, jednak zakończenie książki jest w całości wytworem wyobraźni autora. A przynajmniej niżej podpisany jest o tym przekonany.

Jeśli jednak znajdujemy w tym beletrystycznym dziele prawdę, część z niej odnosi się do duchowego imperatywu, który nakazał autorowi zadawać pytania i zgłębiać nasze relacje z Bogiem. Idąc dalej, kazał uznać, że ta relacja wcale nie wyklucza innych więzi, które rozwinęli nasi pobratymcy. Żadna z religii nie ma monopolu na Boga, podobnie jak kolor czerwony nie jest uprzywilejowaną barwą w spektrum światła słonecznego.

I na koniec: Złota Reguła leży u duchowych podstaw każdej wielkiej religii. Podstawy te są często ignorowane przez tych, którzy głoszą kazania i twierdzą, że regułą „Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie” [Ewangelia św. Mateusza, 7,12] wcielają w życie. Ponadczasowy nakaz, miłowania innych w takim samym stopniu jak siebie samego, traktowania innych w taki sposób, jaki chciałoby się być traktowanym przez nich, jest regułą, którą jest w stanie pojąć i wdrażać w praktyce nawet nasz ograniczony ludzki umysł. Już żydowski mędrzec Hillel, zwany Babilońskim, głosił, że sąsiada należy miłować jak siebie samego. Reszta jest tylko komentarzem.

Lewis Perdue Sonoma, Kalifornia Wrzesień 1999

LEWIS PERDUE, fizyk, biolog, dziennikarz, autor kilkunastu znakomitych thrillerów. Sam mógłby być bohaterem powieści.

Od wczesnej młodości wykazywał zdolności do nauk ścisłych i talent literacki. Konstruował silniki rakietowe, jonowe, plazmowe, zbudował laser. Dostawał liczne nagrody na międzynarodowych konkursach. Zawsze interesował go Leonardo da Vinci, genialny inżynier oraz Tesla, geniusz przełomu XIX i XX wieku. Obu uczynił bohaterami swoich bestsellerów. Te dwa nazwiska połączyła także broń masowego rażenia – promienie śmierci. Da Vinci zostawił notatki, a Tesla dokończył dzieła. Ukoronowaniem tych zainteresowań są książki: *Spadek Leonarda da Vinci* i *Tesla – promienie śmierci*. W *Spadku* autor porusza również problemy religii, tego jak mogą ją wypaczyć ludzie przepełnieni ambicją, którzy bardziej troszczą się o swoje prywatne interesy niż o potrzeby duchowe wiernych. Kwestie religijne poruszył też w powieści *Córka Boga*.

Kilka lat później pojawił się *Kod Leonarda da Vinci* Dana Browna. Lewis Perdue zarzucił Danowi Brownowi plagiat. Twierdzi, że Dan Brown w *Kodzie* wykorzystał jego dwie powieści *Spadek Leonarda da Vinci* i *Córkę Boga*.

To najbardziej bezczelny przykład plagiatu, jaki kiedykolwiek widziałem. Dosłownie setki podobieństw.

John Olsson,
Dyrektor Instytutu Językoznawstwa Sądowego New York Post

Jest zbyt dużo podobieństw pomiędzy moimi książkami a *Kodem Leonarda da Vinci*, aby to mógł być przypadek.

Lewis Perdue
San Francisco Chronicle

Proces o 150 mln dolarów jest w toku.

SPADEK LEONARDA DA VINCI

Kodeks da Vinciego bezcenny zbiór oryginalnych prac Leonarda czy zręczna podróbka?

Kiedy Vance Erikson odkrywa, że kilka stron Kodeksu Leonarda da Vinci to falsyfikaty, rozpoczyna poszukiwania zaginionych oryginałów. Ale nie tylko on szuka brakujących stron. Wkrótce przekonuje się, że ściga go potężne tajne bractwo, wywodzące się z początków chrześcijaństwa. Bowiem Kodeks Leonarda to coś więcej niż tylko cenny dokument. To także klucz do dawno zapomnianego przerażającego odkrycia. Teraz stawką jest nie tylko życie Eriksona, lecz przyszłość całej ludzkości.

Książka oparta jest na faktach.

Lewis Perdua

TESLA – PROMIENIE ŚMIERCI

W 1943 r. zmarł w Nowym Jorku światowej sławy fizyk amerykański, serbskiego pochodzenia, Nikola Tesla. W latach dwudziestych wynalazł „promienie śmierci”, które mogły unieszkodliwić każdą nowoczesną broń. Podejrzewano, że został zamordowany. Rząd Stanów Zjednoczonych zarekwirował całe archiwum Tesli i opatrzył klauzulą tajności, która obowiązuje do dziś. Na tych faktach oparta jest akcja thrillera Lewisa Perdue.

UNESCO ustanowiło rok 2006 Międzynarodowym Rokiem Tesli w 150 rocznicę urodzin genialnego wynalazcy

Nikola Tesla (1856-1943) wynalazca, poeta i malarz; autor 112 patentów. Uznany za jeden z dziesięciu najwybitniejszych umysłów w historii. Po jego śmierci burmistrz

miasta Nowy York powiedział: *Był jednym z najwybitniejszych ludzi, którzy kiedykolwiek żyli. To, co tworzył *iet wiplkje i 1UTJ7 7 itbhmwm rTi-tt i-ts.i?**